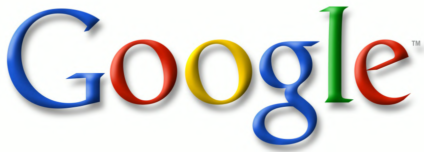
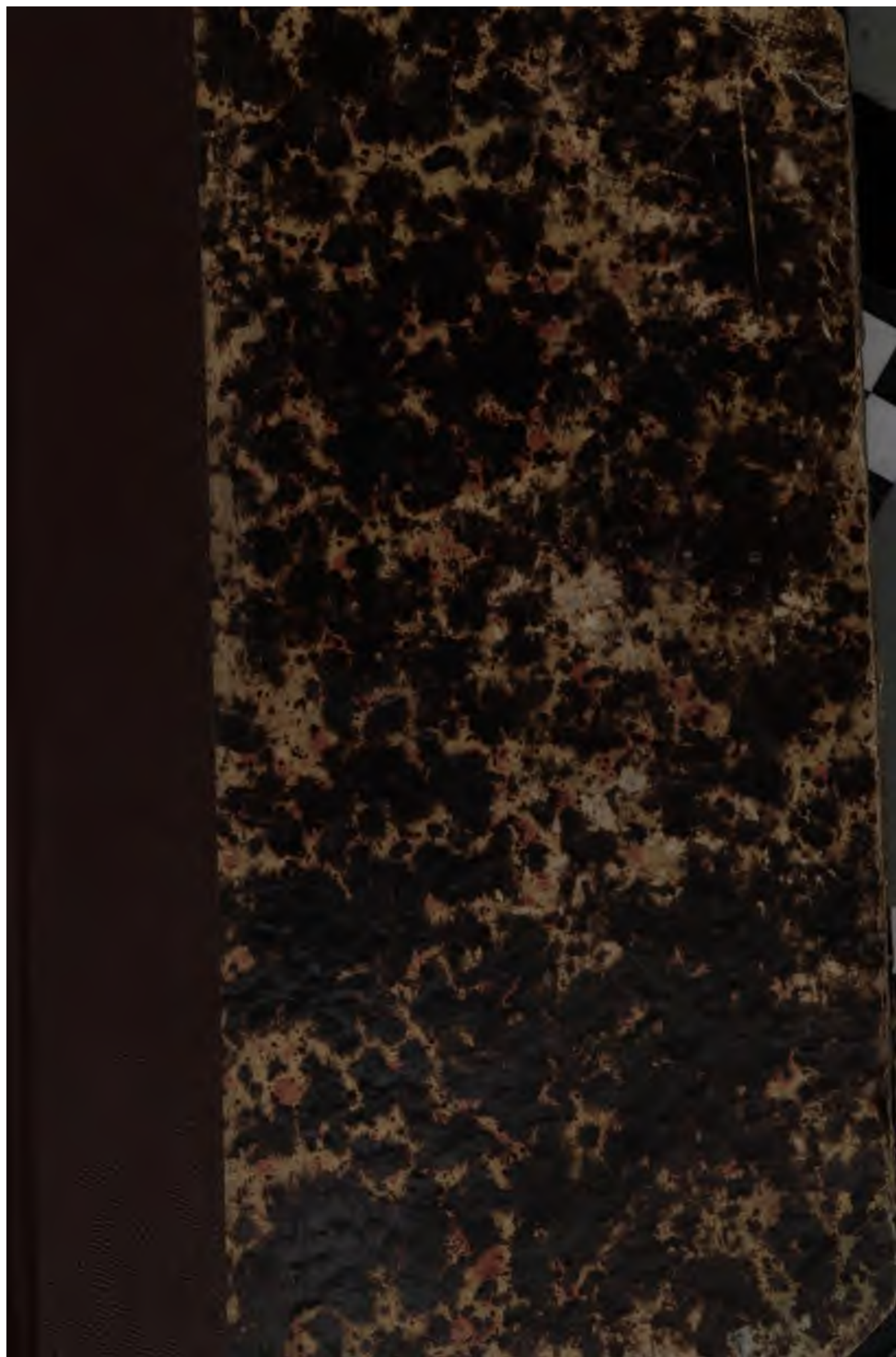





STANFORD UNIVERSITY
LIBRARIES

LISTY
Z KRAKOWA.

Wydanie Adama Zawadzkiego.

LISTY
Z KRAKOWA.

NAPISAŁ

JÓZEF KREMER.

Tom Trzeci.

DZIEJE ARTYSTYCZNEJ FANTAZJI.

CZĘŚĆ DRUGA.

WILNO.
Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.
1855.

Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonéj liczby exemplarzy.— Wilno, 26 Sierpnia 1855 roku

***Cenzor* Paweł Kukolnik.**

LISTA PRENUMERATOROW

którzy na dzieło niniejsze podczas druku jego pośpieszyli zapisać swoje imiona.

Bagieński Józ. Dr Med.
Barancewicz Antonina.
Becker Teresa, Obyw. gub. Woł.
Belke Gustaw i Kremer Alexander (11 ex.)
Berezowski, Ob. g. Kijow.
Berkman Michał, Naucz: w Wil. Dworzańs. Ptéj Szkole.
B. L.
Blum Xawery, Ob. g. Mińs.
Bortkiewicz Karol.
Bośniacki L., Ob. g. Wołyńs.
Ks. Brudzynski, Dziekan Bracławski.
Bułhak Józef, Obyw. gub. Mińskiéj.
Butrymowicz Ksawery, Ob. gub. Mińs.

Chlewiński Władysław, Ob. gub. Kow.
Ks. Chlewiński, Dz. Lidzki.
Chodakowski Aleks., Ob. gub. Kow.
Chomiński Pułkownik, Marsz. Ptu Swięciańs.
Czapska Zofia Hr.
Czechowicz Zygmunt, Ob. Ptu Swięciańs.
Czerniewski Bolesł., Ob. gub. Kow.
Czerwiakowski Teod., Pom. Kontrol. Liflands. Izby Skarb.
Czosnowski Hrabia Jan, Obyw. Pow. Krzem.
Czyż Ignacy, Okr. Naczel. w Rosieniach.

Dołobowski Alex., Obyw. gub. Kow.

Falewicz Karol.

Gan Konstanty, Inspektor w Gimnaz. Mińsk.
Giejsztor Jakób, Ob. gub. Kow.
Gliński, Redaktor Wil, gub. Wiad.
Gniewiewski Walery. Ob. gub. Kow.

Godlewski Wład., Dr. Med. w Kamieńcu Pod.
Gombrowicz Onufry, Ob. gub. Kow.
Górska Emma, Ob. gub. Kow.
Grabowiecki, Urzędnik Kanc. Wileńs. Wojen. Gub.
Grocholski Hr. Mikołaj.
Grużewski Emiljusz, Ob. gub. Kow.
Gucewicz Zofia.
Gużewski, Ob. gub. Kow.

Horbacewicz Karol, Nauczyciel W. R. Szkoły.
Horwatt Aleksander, Obyw. Gub. Mińs.

Jagiełłowicz Klementyna, Obyw. gub. Wołyńs.
Jałowicki Floryan, Ob. gub. Kow.
Jankowski Wład.
Jaroszyński, Ob. gub. Wołyńs.
Jeleński Jan, Ob. gub. Mińs.
Jelski Józef, Ob. gub. Grodz.
Jełowicka Emilja, Ob. gub. Kijows.

Kalinowski Andrzéj, Dyr. Wil. Dw. Inst., Radz. Stanu.
Kazigrodzki Cezary, Ob. g. Grodz.
Karwowski Wincenty, Rzecz. Stud. Cesarskiego Mosk. Uniw.
Kędrzycki Juljan, Ob. gub. Woł.
Kiełłczewski Skarbek Jan, Ob. gub, Mińs.
Kobyliński Adolf., Ob. gub. Mińs.
Ks. Kontonowicz w Odessie.
Kopańska Izabella z Montrymowiczow, Ob. gub. Kow.
Kopański Stanisław, Uczeń Wil. Dworzańs. Inst.
Korbutt Assesor Kol.
Kordzikowski Ferd., Obyw. gub. Kow.
Kordzikowski Józef, Obyw. gub. Kow.
Kordzikowski Luc. Ob. gub. Kow.
Korecki Hilary.
Kościelski Bonawentura, Ob. gub. Podols.
Koziełłowa J., Obyw. gub. Kowieńs.
Ks. Kozłowski, Kan. Kat. Wil., Rektór Semin. Dyec. Wil.
Krasicka Marja, Ob. gub. Wil.

Lipiński Wienczysław, Ob. gub. Pod.

Łapicki Michał, b. Assesor Izby Cywil. Mińs.
Łopacińska Idalja.
Łukaszewicz Wincenty, Obyw, ptu Wiłkom.

Mackiewicz.
Mickiewicz Nap.
Mierzejewski Seweryn, Ob. gub. Mińs.
Mikulski Jan.
Morawski Apollinary, Obyw. gub. Wil.
Morgulec Erazm, Urzęd. Pskowskiego gub. Rządu.
Morykoni Lucyan Hr.

Nargielewicz Jan, Ob. gub. Mińsk.

Obrąpalski E., Ob. gub. Wil.
Olechnowicz Konst., Ob. gub. Kow.
Orwid Elżbieta, Ob. gub. Kow.
Oskierko Leopold, Ob. Gub. Witebs.
Osuchowski Bogusł., Ob. gub. Gr.
Osuchowski Michał, Ob. gub. Grod.

Paulina z Bożego Świata.
Pawłowski, Ob. gub. Kow.
Piasecki Kazimierz, Ob. gub. Wileńs.
Pietkiewicz.
Piłsudzki, Ob. gub. Kow.
Pietraszkiewicz Onufry, Urzęd. Tobols. Opieki Pow. Op.
Pinińska, Ob. gub. Woł.
Plater Hr. Włodzimierz.
Pomernacki Jul., Ob. gub. Wileńs.
Potocki (Hr.), Ob. gub. Wołyńs.
Prozor Władysław, Ob. gub. Mińs.
Przeborowski Stefan.

Raczkowski Apol., Podkom. Ptu. Upitsk.
Rdułtowski Eustachy, Ob. gub. Mińs.
Reuttowa, Obyw. gub. Witebs.
Rodkiewicz Gedymin, Ob. ptu Oszm.
Romanowski Felic., Ob. gub. Kow.
Römer Seweryn, Ob. gub. Wil.
Römer Ryszard, Ob. gub. Wil.
Rudomina Wincenty, Ob. gub. Kow.
Rusiecki Kanuty, Prof. Inst. Dw. Wil.

Sieklucki Luc. Obyw. g. Wil.
Siesicki Leonard, Obyw. g. Kow.
Sipajłowa, Obyw. g. Mohil.
Skulski, Dr. Medyc.

Sławiński Witold, Ob. gub. Mohyl.
Słobodzińska Róża.
Słodkowski Podporucznik.
Ks. Smigielski Benedykt Prałat i Archidiakon Kated. Żmudz.
Sołtan Hr. Michał.
Staniewiczowna Justyna.
Staniewicz Mieczysław, Ob. Ptu Poniew.
Starorypiński Zygmunt, Ob. gub. Pod.
Stypułkowski Teofil.
Sumowski Adam, Ob. gub. Wołyń.
Swiacki Józ., Obyw, gub. Mohil.
Szaniawski, Doktor Med. w Wiatce.
Szymkowicz Jan, Ob. gub. Wil.

Taborowski, Obyw. g. Woł.
Ks. Tołłoczko Franciszek.
Trzebiński Adolf, Ob. gub. Wołyń.

Ks. Ussowicz Bonawentura.

Walewski Michał, Obyw. g. Woł.
Walicka Leokadya, Obyw. g. Grodz.
Wańkowicz Edward, Ob. gub. Mińskiéj.
Węgrzynowski Arkadjusz, w Odessie.
Wereszczyński Piotr, Radca Dworu.
Wilczyński Karol, Dr. Med.
Ks. Wiśniowski Józef, Kurat. Kat. Mińs.
Ks. Wnukowski, Prałat Kanclerz Katedr. Żytomir.
Ks. Wobolewicz Teodor, Kanon. Lateran.
Wołodkowiczowa z Hr. Tyszkiewiczów, Ob. gub. Mińs.
Wróblewski Jan, Ob. gub. Grodzieńs.
Ks. Wróblewski, Wizyt. Koś. Dyec. Wil. Kan. Kat. Wil.
Wyszkowski Stanisław, w Petersburgu.

Zaleski Floryan, Obyw. gub. Wołyńs.
Załęski Karol, b. Marsz. gub. Grod.
Zessel Aleks., Prof. Wil. Dworz. Inst.
Zubkowa Antonina, Obyw. g Mińs.

Żaba Edward.
Żukotiński Felix, Obyw. gub. Pod.



LIST XX.

Historya Fantazyi u różnych ludów.

(Ciąg dalszy.)

FANTAZYA LUDÓW KLASSYCZNYCH.

Grecya.

Wstęp.— Stosunek Grecyi do starego Wschodu.— Stanowisko Grecyi w Historyi Powszechnéj.— Znaczenie fantazyi klassycznéj.— Piękność i młodość cechą Grecyi.— Wszystkie warunki sprzyjające estetycznemu rozwojowi Greków.— Jak Grecy pojmują obyczaj.— Idealizują nawet potrzeby cielesne.— Uczucie piękności rozpowszechnione.— Mitologia grecka.— Różność szczepów jest u Greków korzyścią duchową.— Te szczepy jednoczą się językiem, religią i spólnemi igrzyskami.— Harmonia człowieka wewnętrznego i zewnętrznego zradza charaktery niby z jednego odlewu.— Z téj harmonii i historya grecka jest arcydziełem.— Aspazya wyrazem ducha greckiego.— Sokrates.— Czasy greckie i nowożytne.— Grecya umiera na piękność.

Może i ty doznałeś, w latach młodości swojéj, owych uczuć pełnych niewymównego szczęścia i uroku, gdy po ciężkiéj, długiéj niemocy, po przebytéj złowrogiéj chorobie, jakby odrodzony, wczesnym porankiem, piérwszy raz stanąłeś wśród świeżéj natury, co równie odrodzona wiosną, równie jak ty tchnęła rozkoszą i weselem.

W tych chwilach błogich zapomniałeś wszystkich przemożonych cierpień twojego ciała, uniosły się z duszy wszystkie męki fizyczne, któreś przebolał; lecz została przecież, jakby na rąbku wspomnień, pamięć smętna

owéj duchowéj niemocy, która cię niby zmora gnębiła w czasie choroby twojéj; została pamięć owych krzywd sromotnych wyrządzonych jasnéj myśli od demonicznych potęg natury; jeszcze straszą ciemnym zarysem widziadła ohydne, gorączkową fantazyą wymarzone, co cię trwożyły wśród jasnego dnia, a nawiedzały w nocach długich, jak wieczność; jeszcze jakbyś widział one twarze straszliwe a larwy dziwaczne, które, ciągle przeradzając się w nowe a zawsze w okropniejsze poczwary, unosiły się zawrotnym tanem a szyderczym chichotem nad łożem boleści twojéj.

Lecz teraz na serce twoje młode tchnęło zaranie świeżego żywota natury i rozbudziło w niém radości weselne, dawno oniemiałe. Odetchnąłeś głęboko, szeroko; owe straszydła potworne, owe mary uciekły w dal, straciwszy swoją groźną moc, jak ucieka chmura nocnéj burzy na ostatni rąbek nieba, gdy ją złoci i barwi promień magiczny młodego dnia.

Ten piękny Boży świat teraz otacza cię do koła, uderza na duszę falą rozkoszy, nie zdołasz się pojąć w tém morzu szczęścia! Wszystko w koło gra i śpiewa, cała natura jest muzyką czarowną. Wiosna, dziewica skrzydlata, z wysokości niebios spuściła się na ziemię i przebudziła geniuszki śpiące w pączkach, a geniuszkom ciasno i duszno w pączkach, więc odemknęły sobie liście malowane i siedzą w otwartych wonnych kwiatach, i kołyszą się i śpiewają. I patrzysz w siebie; a wiosna młodego życia przebudziła aniołki niebiańskie w piersiach twoich; przebudziły się wiary, nadziei i miłości aniołki; a tym wieczności dzieciom nie ciasno, nie duszno w sercu twojém, i one śpiewają radości i szczęścia pie-

sni, bo im tak szeroko, domaszno w tém sercu, w którémby się już w téj chwili świat cały pomieścił. Geniuszki kwiatów kołyszą się na wonnych liściach i nucą ziemskie piosenki swoje, a roje pszczółek i robaczków oskrzydlonych bucząc, brzęcząc, wtorują ich śpiewkom i spijają rosę z kwiatów, a nie bronią im też tego geniuszki, bo te robaczki i pszczółki to przecież ich grajki nadworne a skrzypki weselne. Otóż i w szafirach niebiańskich odzywają się chóry skrzydlatych muzykantów, i drzewa i krzewy grają, bo i tam świegotny a lekkomyślny ludek ptasi założył szmaragdowe pałace swoje, więc baja i gada i śpiewa i roznosi plotki miłośne. Swiegocą role, łąki i dąbrowy, bo i tam ludno i wesoło. Ale już najpiękniejszy koncert wygrywa światło samo, jakby po klawiszach przebiera po tym pięknym cudnym świecie; tam grzmią tonem głębokim ciemne boru tajemnice; ówdzie znów dźwięki najwyższéj jasności spinają się po szczytach drzew, grodów, wież dalekich, aż nie ulecą na lekkie złociste obłoczki; tu światło drga na dygocących liściach; tam znów, niby echem przeczystém, opływa fioletem eterycznym dalekie góry, i nuci światło, i brzmi we wszystkie barwy i cienie i dźwięki: ztąd w tobie rozwarło się serce tkliwością i stanęło na rozcież otworem. A aniołki w piersiach twoich rozmawiają z tą całą przyrodą uroczą, rozumieją ptasie gadanki, znają mowę brzęczącéj pszczółki, słuchają gry światła i cieniów, i same śpiewają tak cudną harmonią, tak wdzięcznie i rzewnie, że też nakoniec cała ta drużyna weselna natury — grajki i skrzypki, organisty skrzydlate, przodem — wstępuje radośnie do piersi twoich, jakby do weselnie ustrojonego domu.

Wtedy w piersiach ludno i ochoczo i skoczno; promień z góry wgląda w te niedawno puste ciemnice duszy, co teraz tak jasne, radośne, pełne wieńców i świeczek. W duszy kołyszą się wonią kwiaty i śpiewają i śmieją się aniołkowie niebiańscy i geniuszki ziemskie, i igrają światła i brzęczą i buczą muzykanty i mlaskoty wesołe (*). Bo w sercu twojém niebo i ziemia obchodzą weselne śluby swoje, geniuszki natury i anioły wieczności wiążą się miłości przymierzem. Ztąd ci się już zdaje, żeś i ty jednym z tych kwiatów, jednym z akordów dźwięcznych, jednym z tych jasnych promieni. I rozpłynęła istota twoja w téj naturze i zda ci się, że ty i natura to jedno, że to jeden i ten sam boży raj. Ale czyli to tylko z tą przyrodą, tak cudów pełną, zawarłeś to kochania przymierze? O nie! I ludzie i świat i życie, rzeczywistość całą zamknąłeś w objęciu twojém; jeszcze pełném życiem żyje w tobie wiara w ludzi, nadzieja przyszłości, i miłość co ogarnia świat. Wszystko co jest, co tylko istnieje, jest ci tak lubém, tak drogiém, jakbyś je wynosił w ciepłych piersiach twoich, jakby ci się było zrodziło we własném sercu twojém. Patrzysz oczyma ducha na zewnątrz siebie, a wszystko co tam widzisz, jest niby zwierciadłem własnéj, wewnętrznéj twojéj treści; rzeczywistość a myśli i uczucie zestrojone, nawzajem sobie wtorując, spływają w jedną harmonią szczęścia pełną. Tu jeszcze nie wdarł się dźwięk fałszywy! Tutaj jeszcze nie cofnąłeś się w siebie, a serce nie zabolało jeszcze żadną raną! Jeszcze kochasz tę rzeczywistość, i ona cię serdecznie mi-

(*) Grajki krakowskie.

łuje, niby kochanka swojego. Bo sam jéj kochankiem będąc, użyczasz jéj co jeno w tobie najzacniejszego i stroisz ją i zdobisz własnemi skarbami duszy twojéj.

Otóż, takim poraukiem błogim, cudnym, taką chwilą młodości i wesela była dla dziejów ludzkich Grecya. Człowiek już przebolał, przebył one czasy jęctwa swojego, gdy oddany na łaskę demonicznym potęgom natury, straszony, gnębiony larwami gorączkowéj fantazyi, przebywał długie wieki pod oczynieniem ślepookich mocy materyi. To sponiewieranie jasnéj myśli się skończyło. Widma, obrazy potworne indyjskich bogów, dręczące, miotające zagadki egipskie, zeszły jakby chmura słoty nocnéj, z jasnego nieba myśli na ostatni horyzontu rąbek. A człowiek w wiośnie młodości swojéj stanął wśród natury, a ta natura nie jest mu więcéj panią ciemiężką, złowrogą, ale kochanką lubą. Chaos zamętny, Uranus i Gea, i wszystkie one pierworodne bogi, co dopiéro były głuchemi potęgami materyi, spadły z tronu wszechrzeczy, i powalone są straszliwe Tytany, sturękie potwory (Hekatoncheiry) i ród ogniowładny Cyklopów. Po nich zasiadł na panowaniu Kronos (Saturn) zwyciężca—Czas, chłonący własne dzieci swoje. Ale Czas, choć sam przez się nie jest więcéj materyą, jest atoli jeszcze trzonem a dnem wszech materyi, a potomstwem jego są wszelkie rzeczy skończone, rodzące się i umierające po sobie. Ztąd siłą ducha świadomego siebie dźwignął się przeciw niemu Jowisz i zatrzęsła się ostatnia twierdza wrogiéj materyi, runęło z kolei szerokowładne królestwo Saturna, a on sam wtrącony do najgłębszych ciemnic Tartaru — tam żyje na wieki bez czci i sławy. Nie spoczęły atoli jeszcze owe moce ślę-

péj przyrody. Zuchwałe i pełne pychy Tytany podniosły się wojną a buntem na Jowisza. I znów łamały się siły bezrozumne z bogiem-duchem. Słuchaj o téj wojnie starą pieśń, którą zabrzmiała arfa Hezyoda przed trzema tysiącami lat; posłuchaj dźwięku ze szarych świtów ludzkiéj historyi, a głosu wieszcza o postaci mglistéj, rozwiewnéj: »Wzdęła się grzmotnym szałem nie»skończoność mórz! Łamie się przepaścią ziemia, ję»kły wysokich niebios sklepienia; w najgłębszych po»sadach swoich zadrżały Olimpu szczyty. Zadudniły »nawet Tartaru nocne otchłanie i zatrzęsły się od huku »łomotnych hałasów i pocisków ciężkich; a wkoło grzmot »walki wznosił się wzgórę bijąc o gwiazdzisty strop.... »Lecz bogi niebios jasnych przemogły. — Tytani, rzu»ceni w piekłów głębie, tam w czarnych bezdeniach, »w gardzieli wiekuistych ciemnic, u kończyn świata le»gli.— Posejdon (Neptun) ścisnął ich wkoło murem i »przywalił bramą śpiżową.«

Tak jest! W Grecyi wybawiony świat z pod przewagi ciemnych sił przyrody, co odparte do kończyn wiedzy straciły swoją ślepą moc.

W Grecyi piérwszy raz stanął ród ludzki w wieńcu zwycięzkim; tu zabrzmiały wiekuiste tryumfy jego. Ta natura, któréj dawniéj był poniewierką, która go niegdyś dławiła ciężką przemocą, teraz promieni się jego duchem, stała się wyrazem jego chwały i zwiastuną jego treści. Tu, na téj ziemi błogiéj Hellady, duch z nieba zrodzon obchodził święto młodości swojéj. Ani dawne wschodnie ludy, ani wieki, które były późniéj zrodzone, nie zaznały już więcéj tych ślubów ducha a przyrody, téj harmonii wewnętrznéj treści a zewnętrznego świata.

Bo i ludzki ród, jak i człowiek pojedyńczy, raz tylko jest młodym, raz tylko kwitnie wiosną życia; a ta wiosna młodości jest niepowrotną nigdy.

Jakoż, chciéj baczyć, owe pradziadowe rody Azyi i Egiptu, choć się migocą tak różną między sobą barwą, mają wszystkie to sobie wspólnego, iż natura zmysłowa, górując nad duchem człowieka, trzyma go na uwięzi swojéj; pierwiastek niebiański u nich gore przyćmiony ziemskim wyziewem. Religią, społeczność, fantazya, myśli i uczucia ich ulegają przemocy materyi, a dzieje tych ludów są jedynie szamotaniem się, sileniem instynktowém, by się wydobyć z pod brzemienia przewagi natury. Tu jest wprawdzie jedność ducha i materyi, wewnętrznego a zewnętrznego świata; ale ta jedność jest raczéj pomieszaniem dwóch pierwiastków, jest to jedność rodząca się z panowania natury nad myślą człowieka, ale nie z harmonii swobodnéj tych dwóch światów.

Po skonaniu Grecyi odwrótny dramat występuje na widownią historyi. Wtedy duch wzrasta w olbrzyma, bo uznał siebie; góruje nad materyą i nad magią jéj zjawisk; on późniéj nawet odepchnie od siebie naturę, jako wroga, nie uzna bynajmniéj rzeczywistości, która go wkoło otacza; ona go więcéj nie zadowolni, będzie obcą dla niego. Duch i przyroda, wnętrzne światy a zewnętrzne jękną dyzharmonią, struny duszy się pozrywają, a dzieje rodu ludzkiego gorąco zapragną ukojenia boleści i ziemskiéj tęsknoty.

Otóż w samym środku tych dwóch ogromnych epok dziejowych staje szczęśliwa, uroków pełna Hellada. Jak tutaj duch człowieka nie podlega już naturze, tak też jéj nie przerósł jeszcze; on jéj nie odepchnął od

siebie; stawając z nią na stopie równości, łączy się z nią harmonią. To miłośne przymierze nie jest już bynajmniéj oném pomieszaniem zamętném dwóch światów; bo duch ludzki w tych ślubach swoich z naturą wie że on jest czemś inném, czemś różném od niéj. Przecież zważ: mimo tego, że lud grecki umiał już oddzielić istotę duchową od przyrody, przecież nie zdolen był jeszcze sobie wyobrazić ducha samego przez się, lecz, wzywając na pomoc fantazyą, odziewał go niby szatą ciałem materyalném. I nawzajem, Grek nie zdoła zrozumieć, iż naturą, temi zjawiskami fizycznemi, rządzą pewne abstrakcyjne ustawy, prawa odwieczne; ale uważa jakoby jestestwa duchowe były władcami tych zjawisk, jakoby się w nich pojawiały. Tak w Helladzie nie ma materyi bez ducha, nie ma ducha bez materyi. Treścią jest duch, a natura, materya—formą; nie ma treści bez formy, nie ma myśli bez ciała; Grek myśląc obrazuje, a obrazowanie jest myśleniem jego. Tu przeto nieskończoność istoty duchowéj odziewa się w postaci widome z natury wzięte; a toć właśnie jest stanowisko piękności (List XI i XII) i to właśnie jest powodem że Hellenowie są ludem wskroś artystycznym. Gdy tutaj duch, treść z jednéj strony, a natura, forma z drugiéj są sobie odpowiednie co do potęgi, gdy się równoważą, zatém wszystko, co jest w treści, wyrazi się w formie, i nawzajem wszystko, co jest w formie, w wyrażeniu zewnętrzném, znajdzie się w treści; aleć to właśnie, jak wiesz, jest stanowisko ideału; ztąd Grecya jest mistrzem nad mistrzami. (Tamże).

Te kilka słów rozświecają nam serce tego wielkiego, choć tak nielicznego ludu; możemy go tedy już przej-

rzeć wskróś. Co tylko jeszcze o Grekach powiemy, będzie tylko dalszym rozwojem tych piérwszych lekkich naszych zarysów. Chciéj atoli pamiętać, że jakim trybem zachowuje się duch Hellady do natury, do materyi, takim też trybem staje do całego zewnętrznego świata, do całéj rzeczywistości, do całego rzeczywistego otoczenia swojego i w niém się przeziera, jakby w miłości swojéj. Ztąd też ta Grecya tak szczęśliwa! jéj tak lekko, tak błogo na sercu; ona nie zna, co rozdwojenie wewnętrznego człowieka a zewnętrznego świata; u niéj co jest w duszy to znajdziesz i w rzeczywistości. Grecya więc w dziejach swojego ludu, w mitach religijnych, w posągach swoich bogów, w pieśniach, w prawie, w obyczaju swoim, we filozofii wypowiedziała całą treść wewnętrzną duszy swojéj, nic już w tajnych piersi przybytkach nie zostawując: człowiek tutaj żyje z tym światem jakby ze sobą samym, jakby z kochanką, która rozumie najcichsze głosy ducha jego. Dla tego też Grecya w każdym kierunku cielesnego i umysłowego życia jest mistrzem, bo każdy, choćby najskrytszy, pierwiastek ducha jéj znajduje wyrażenie swoje zewnętrzne, a tak iście zamienia się na piękności dzieło.

Uważ, powiedzieliśmy dopiéro, że w Helladzie właśnie każda treść duchowa znajduje swoje wyrażenie i zewnętrzną formę swoją, a formę zupełnie wyczerpującą, tak dalece, że co jest w treści, to i w formie, a co w formie, znajduje się oraz i w treści duchowéj; otóż ta zupełna równowaga, to zupełne odpowiadanie sobie tych obu stron, ta doskonała ich harmonia stanowi właśnie istotę fantazyi *klassycznéj.*

Wnet obaczymy, że ta wdzięczna harmonia raz tyl-

ko pojawiła się w ludzkich dziejach; do téj harmonii tęskniły późniejsze ludy, dorabiały się jéj ciężkim trudem a pasowaniem się z sobą, nie widząc atoli nigdy końca swojéj pracy a krwawego znoju. Wszelako Grecya miała ją darem, bo jako skutek prosty swojego stanowiska w dziejach ludzkich; ona z nią przyszła na świat, ta harmonia była jéj naturą, ona nawet nie przeczuwała dźwięków fałszywych; jéj usposobienie duchowe, uczucia jéj i świat cały wkoło są usposobieniem, uczuciem, światem młodzieńczym; boć wiesz, że i na wiosnę żywota, duch i rzeczywistość, zaślubione wzajemném kochaniem, śpiewają razem radości himny. Hellada przez życie całe była młodą, ztąd też tak trafnie powiedziano, że dwóch młodzieńców mogiły wznoszą się na dwóch kończynach dziejów Grecyi: na jednéj stanęła Achillesa postać, jakby gwiazda poranna, przyświecająca zrodzeniom dziejów greckich, a na mogile drugiéj, jakby łuna zachodu, promieni się nad skonem Hellady młoda postać Macedońskiego Alexandra. Bo gdy inny duch miał nastać w świecie, gdy człowiek miał cofnąć się w siebie, wtedy Grecya umarła, a umarła za młodu. Ztąd też lud ten w pełném uczuciu szczęścia swojego widzi świat tak błogim, uroczym, a życie tak pięknem; ztąd zadrgał w sobie niewymówną rozkoszą i wieńczy się w kwiaty i rodzi z siebie ideały cudne, a te ideały, niby orlęta młode, wzbijają się na jasne niebios wysokości, kędy zasiadło wesołych bogów grono; bo co w sercu ludzkiém zacne, piękne, wdzięczne,— tutaj—staje się bóstwem. Jakoż widzisz, zjawiska natury, jéj potęgi, uderzające myśl człowieka podziwem, były tylko lekkiém zewnętrzném

potrącceniem fantazyi, która też owe potęgi, owe zjawiska odziała w postaci cudne, uosobiła w niebiany urocze. Tak tedy całe grono olimpijskich Bogów wywodzi z własnéj duszy człowieka rody swoje.—Olimp niebiański wprzód tu zamieszkał w piersiach człowieka, zanim zasiadł na tronie świata. Na ziemi niéma krwawego trudu, nie straszą więcéj potworne Indyów potęgi, ustały walki z nieużytym granitem, zamknęły się ciemne katakomby Egiptu, owo głuche państwo umarłych; a natomiast brzmią zewsząd pieśni wesela i radości; życie uśmiecha się wieczną wiosną, strzela pączkiem wonnym, nigdy niezwiędłym kwiatem; a to życie hoże, świeże, przepływa bezkłopotnym tanem wśród dźwięku i kochania. Wszak tutaj wszystko jest piękności ideałem, »śmierć nawet nie jest straszydłem ohydném, to geniusz, pełen wdzięków, z wieńcem kwiatów na bladém czole, co wywraca żywota pochodnią« (Schiller) a zanim uprowadzi w elizejskie ogrody, zanim zcałuje z ust bladych boleści skonania, przyśpiewuje duszy umierającego starą pieśń pociechy— pieśń Homerową: »Ciebie »poprowadzą sami bogowie na ziemi kończyny, po»prowadzą do cichego szczęścia elizejskich pól, kędy »mieszka Radamant błogi. Tam bez trudu, w pogodnym, »nigdy niezamąconym pokoju żyją śmiertelni! Tam nie »ma śniegów, ani zimowéj-zawiei, ani gromów, ani »deszczów. Tam wiecznie szepce tchem lubym zarania »powiew zachodu, a posyła go Oceanos łaskawy, by »ochłodził rozpalone trudem śmiertelnych czoła.”

I na Olimpu jasnéj wysokości płynie bogom bezkłopotne, wiecznie młode życie; na czole ich wiecznie rozlany pokój i wesele; więc zchodzą na ziemię i wplata-

ją się do spraw ludzkich, bo i na ziemi tak pięknie, tak wesoło a miło, i córy ludzkie tak urocze a wdzięku pełne i tęskne kochania! A wszędzie obecną i wśród bogów i ludzi jest Venus Aphrodite, owa przeważna pani, a wszędzie broi jéj synek, owo skrzydlate, swawolne pacholę. Choć się przeto z sobą niekiedy i pokwaszą i powaśnią urocze mieszkańce niebios, one znów się godzą w Olimpie, gdy zakipi czara ambrozyi i nektaru; przy puharze wraca im się pamięć nieśmiertelności, wraca przyjaźń i jedność, wesele i żarty, a radośnym, serdecznym śmiechem bogów brzmią niebiańskie pałace.

Co w sercu ludzkiém radości, smutku, rozkoszy, tęsknoty, toć żyje całą pełnią i w bogach nieśmiertelnych, choć uzacnionych fantazyą i wzniesionych do ideału; bogowie Grecyi, to Grecyi arcydzieła! Człowiek ideałami swojemi zaludnił Olimp. Widzisz tedy, jak tu człowiek wstęgą uroczą fantazyi połączył się z bogami a spokrewnił się z całém gronem mieszkańców niebios. Więc też syn Hellady proroczém, choć bardzo ciemném jeszcze, przeczuciem odgadł pierwiastek niebiański, tlejący we własnych piersiach jego. Dla tego uważał tę swoją postać cielesną za dzieło piękności, bo te formy cielesne, również jak dzieła sztuki, są zmysłowym objawem nieskończonéj istoty ducha. Zrozumiesz przeto, że Grek uzacniał nawet to ciało swoje, uszlachetniał je by z niego uczynić posąg żywy, bogom podobny. O tém wszystkiém atoli obszerniéj jeszcze pomówimy; te dotychczas rzucone słówka niechaj ci będą przegrywką wstępną do przyszłéj rozprawy naszéj o tym ludzie, nad którego nie było wyższego

w sztuce, o tym ludzie tak ukochanym od natury i od Bogów swoich!

Uwierzysz mi też przyjacielu mój, żem z całego serca rad, że przecież razem już z tobą stanąłem na téj błogiéj ziemi Hellady, w téj ojczyźnie piękności, przebywszy wędrówką one wszystkie dawne zapadłe stólecia i zamroczone ludy. Niechaj nas przeto tutaj witają słowa Sofoklesa, nad którego świat zaiste nie zaznał wyższego wieszcza; posłuchaj pieśni, którą niegdyś ateński jego chór uczcił Edypa króla-wygnańca, przyjmując starca znękanego na attyckiéj ziemi: »Tu »z gajów zamroczonych liści splotem, z pod sklepu »powojów ciemnych, dzwoni tłumnych słowików pieśń! »a pieśń się żali rzewną miłości tęsknotą. W tych »gajach nietkniętych stopą śmiałą, w tych gajach świę»tych cieniów, złocistych owoców, nie ma wichrów, »nie ma burzy. W tych gajach sam jedynie weseli »się radości bóg, co wodzi za sobą ochotne drużyny i »i orszaki nimf cudnych uroków. Tu pod niebios won»ną rosą, pod zwojem nocnym jagod winnych, wiecznie »rośnie, wiecznie kwitnie narcyz bujny; a szafrany »świecą złotem, a nie zasną nigdy strumieni szepty, »co się toczą od Kefizu wód, pojone kryształową nieba »strugą, a szerzą się tu wkoło miękkie pagórza, kę»dy pląsają nieśmiertelne muzy; tych pagórów nie »omija nigdy miłości bogini.«

Gdy się przypatrzysz téj krainie, która się zwała dawniéj Grecyą, wyznasz że ona w porównaniu z ogromem dzisiejszych państw jest niby żarcikiem ducha historyi, a przecież ta krainka zaważyła tysiącami lat w cywilizacyi ludzkiéj; my żyjemy ciągle i żyć zawsze

będziemy puścizną jéj. Gdyby téj Europie staréj przyszło oddać to wszystko, co albo wprost wzięła spadkiem po Grecyi, albo czego się dorobiła za potrąceniem ducha Hellady, zaprawdę pod wielu względami powtórzyłaby się bajeczka o onéj kawce, ustrojonéj w obce piórka. Wierzaj, gdyby kiedyś utonęło w nocy grubéj barbarzyństwa co tylko zacnego i pięknego na świecie, gdyby człowiek miał kiedy zapomnieć o wiekuistém pochodzeniu swojém i zapaść się w otchłani nieuctwa i zmysłowości; mógłby jeszcze z głębi swojego poniżenia, z pośród sromoty swojego upadku podnieść się i urość samém wspomnieniem staréj Hellady; sama pamięć, że duch Grecyi był przecież także duchem ludzkim, byłaby ratownym talizmanem wracającym mu uczucie własnéj godności jego; ten duch napoiłby ufnością i wydźwignąłby z rozpaczy i pogardy siebie. Dziś z tych gruzów Ateńskich, z tych kilku ułamków starych kolumn, z tych kilku ksiąg, z tych posągów marmurowych wieje na świat dech ożywczy, co ratuje późne pokolenia od zgnilizny a dżumy duchowéj.

Powiedziałem wyżéj, że stanowisko Greków w dziejach ludzkich zrodziło właśnie ową równowagę, harmonią między duchem człowieka a naturą, między myśleniem a rzeczywistością, między całą treścią wewnętrzną a zewnętrznym światem; zgodzisz się zaiste ze mną, iż to stanowisko jest tak jedyne w świecie, tak oryginalne, tak wyjątkowe, iż warto, byśmy choć lekkim przelotem przejrzeli wszystkie objawy greckiego żywota, a wtedy cecha fantazyi tego ludu wypłynie nam już sama przez się.

Spójrzyj na samo ukształtowanie geograficzne ziemi

Hellenów, czyliż ona sama nie jest już jakoby sztuki dziełem? Zaprawdę tutaj natura sama stała się artystką. Ta kraina grecka, to kamea kosztowna; widzisz jakby misternym dłótkiem, czy pilnikiem powycinane pobrzeża morskie i zatoki, kształtne góry, doliny, przylądki; cała rzeźba wyrobiona niby wedle rysunku genialnego mistrza. I znów obacz, jak te formy lądów dziwnym splotem wiążą się z żywiołem wodnym. Tak przeto już w téj twardéj i głuchéj naturze masz wypisane hieroglifem stworzenia losy Grecyi; te jéj rzeźby geograficzne— toć nieme nuty do przyszłéj pieśni czarującéj. W budowie azyatyckich lądów, jakby w grubéj kamieniarskiéj robocie, uderza cię potęga tak olbrzymich rozmiarów, iż wyraźnie widzisz, że człowiek, uchwycony ich mocą, staje się jeńcem natury własnego kraju swojego, że tutaj lud od ludu odcięty to przegrodą nieprzemożoną górskiego pasma, to piaszczystym grobem umarłéj pustyni, to stepem tęsknym, nieskończonym. W Helladzie, przeciwnie, rzeźba i cała natura kraju jest dość silną, aby wpłynęła na usposobienie różnych szczepów i wplotła się w ich historyą i kulturę, jednakże, z drugiéj strony, ta przyroda nie jest znowu tak przeważną, by zdołała ujarzmić niewolą mieszkańców i wziąć ich pod wyłączne panowanie swoje. A klimat! Tu nie ma ostateczności złowrogich, tu nie ma śnieżnych zamieci, nie ma mrozów ścinających życie ciepłe, ani spieki pustyni arabskiéj. Tu żywioły splotły się wdzięczną harmonią, żaden ich przemagający ton nie głuszy téj czarodziejskiéj muzyki natury; a lądy i morza, góry, skały i rzeki, niebo, światła i barwy, niby służebnice téj błogiéj krainy ubrały ją na świątni-

cę piękności, na ojczyznę tego co zacne i wielkie na świecie.

Takowe jest piérwsze zestrojenie ducha a materyi, człowieka wewnętrznego a zewnętrznego świata, czyli téj geograficznéj przyrody jego ojczystéj ziemi; tu spotykamy tedy piérwsze akordy onéj harmonii, będącéj tonem żywotnym Grecyi i czyniącéj tę geograficzną naturę kraju ziemią klassyczną. Dla tego też w Grecyi zapukało serce piérwszy raz gorącą miłością dla ojczystych drogich stron; tém ciepłem duszy swojéj Grek uduchownił i ziemie swoje i pobrzeża i góry i doliny swoje. Téj miłości nie ma na Wschodzie, bo tam natura jest dla człowieka hardo-władną panią; téj miłości nie znajdziesz w krajach przecywilizowanych, kędy człowiek, skurczony na sercu, wybuja jałowym rozsądkiem; wtedy strony ojczyste i ich głosy ogłuchną, oniemieją dla niego; on tę naturę czyni swoją sługą a wyrobnicą. Natura Hellady nie jest dla Greka ani panią ani sługą; on jéj sercem zaślubiony, on ją kocha jako przyjaciela, małżonkę lub oblubienicę swoją. Ulisses wśród rozkoszy, którą go czaruje Kalipso, tęskni do Penelopy, życia swojego połowicy drogiéj, on tęskni do wyspy rodzinnéj, a serce mu zadrgało dreszczem radości na wspomnienie dymu z chatek ojczystych.

Drugim pierwiastkiem przyrody jest pochodzenie szczepowe. Zaiste te różne greckie szczepy nigdy nie starły z siebie piętna właściwego, które każdemu z nich było przyrodzone a które tak silnie odróżniało je między sobą; lecz z drugiéj strony te szczepy wszystkie połączyły się razem w jeden wieniec cudny, bo te różnice od natury pochodzące ugłaskał, ułagodził ogól-

ny duch Grecyi, uduchownił je i nastroił do siebie jako do spólnego kontrapunktu. Tak ów męzki, butny, hardy, pełen grozy a powagi charakter dorycki stanął obok pełnego wdzięku a słodyczy miękkiéj jońskiego szczepu; tak wszystkie różnice przyrodzone, nie tracąc siebie, pogodziły się w związku a sojuszu ogólnym. Widzisz tedy jako ten ród szczęśliwy Hellenów umiał nawet te rozmaitości swoje, z natury pochodzące, obrócić na zdrowie a korzyść dla siebie, bo i tu zespolił ducha ogólnego harmonią z potęgami rodowemi.

A uczucia serca, a skłonności jego i tęsknoty? Wszak i one, rzekniesz, są tą potęgą od natury człowiekowi wrodzoną,—jakże się do nich zachowuje Hellada?

Widziałeś jak tam w głębi Azyi, w Indyach zapadłych, albo katusze zadawane ciału i serca uczuciom, albo utopienie duszy w rozpuście bezdennéj, zapomnienie zawrótne siebie w chuci, oddanie się na pastwę rozhukanym zmysłom jest sprawą zasługi, idącą na chwałę bóstwu Sziwy.

W nowożytnéj Europie, przeciwnie, wznosi się głos potężny, głos mędrca sławnego w poprzek świata, (Kant) co na cię woła: »Wyplew, jako chwast wymietny, co »jeno miłe a drogie sercu, ogłuchnij w duszy choć za»płoną uczucia boleścią; niechaj istota twoja będzie »wolną pustą świątnicą filozofii, kędy jeden tylko wzno»si się ołtarz, na nim samotny rozumowéj powinności »majestat. Przed tym ołtarzem zabij na ofiarę wszyst»kie skłonności serca, wszystkie uczucia twoje, bo tu »jedynie czyn pójdzie ci w zasługę którego dokonasz

»wbrew serca dążnościom z czystéj czci rozumowéj dla »ustawy moralnéj, wskazującéj ci postępowanie twoje.«

Słuchaj co radzą mędrcy Greccy: »Zajrzyj w sie»bie, we własne piersi twoje, spytaj się popędów, »uczuć, pragnień twoich, one ci same wskażą jak so»bie postępować masz; lecz nie oddawaj się równie na»oślep tym wrodzonym ci potęgom, bobyś spadł po ni»żéj siebie, i ugrzązł w zwierzęcości twojéj natury:— »uduchownij żądze i popędy twoje, by były godne isto»ty ludzkiéj. Dosięgniesz zaś harmonii między tą na»turą twoją a duchem, jeżeli same wszystkie te popę»dy, ochoty, pragnienia, skłonności razem zestroisz tak»że harmonią; boć one są wielce między sobą różne a »nawet sobie przeciwne, więc żadnemu nie pozwalaj »zbytecznie wybujać, by nie przytłumił sobą innych, »niechaj wszystkie się nawzajem miarkują i ważą, bo »miara jest doskonałością wszech rzeczy. To miarko»wanie i zestrojenie wszystkich dźwięków twojéj istoty »wykonane być może jedynie pod sterem ducha twoje»go,— duch, wiążąc je spólną harmonią, sam się har»monijnie z niemi wiąże.« (Arystoteles).

Tak tedy tu obyczaj poważny zestroił ducha i naturę, sprzymierzył rozum ze sercem; tak też ta zgoda i jedność dwóch światów przejęła sobą nawet zwyczaje powszednie, bo ona doleciała dźwiękiem do spraw codziennych człowieka i uszlachetniła nawet fizyczne potrzeby jego. Powiedz, czyli może już być niższa proza jak potrzeba pokarmu i napoju?— otóż i tu Grek jest artystą, on zidealizował, upoetyzował tę prozę i pozłocił urokiem fantazyi. Ucztę, choćby najwykwintniejszym wymysłem przyprawioną, zwał biesiadą beocką, jeżeli

w niéj brakło soli attyckiéj, niby dowcipu attyckiego. A wiesz, że Beocya, to szary kąt Grecyi; mieszkańcy jéj poszli na języki, na drwinki a przycinki, boć nie grzeszyli podobno zbytnią bystrością, ale za to nikt im nie wyrównał przy uczcie bogato zastawionéj. Wstyd nas, gdy czytamy te biesiady greckie, to zaiste poemacik mały— więc wieńce na głowach i kwiaty, i strojno w sali i strojno w duszy; więc żarty, wiersze, pieśni, tańce i muzyka, zagadki, igraszki dowcipu i śmieszki,—a to wszystko tak grzeczne, tak uprzejme, lekkie i gładkie, iżby nam się już trudno było na cóś podobnego zdobyć, nam, cośmy tak już wyschli powagą, czyli raczéj zgburowacieli na duszy. O tych biesiadach, co to iście klassyczne, raz jeszcze mówić będziemy.

A przypatrz no się, teraz tym ich łożom, stolikom, lampom, dzbanom, słowem, wszystkim sprzętom i narzędziom codziennego życia, co je wykopano w zapadłych onych miastach starych,—a zdziwisz się, ile tu smaku i poezyi, ile artystycznéj elegancyi! A wiesz dla czego? Oto te sprzęty wszystkie, że służą potrzebom fizycznym, tę fizyczność trzeba było zakryć, zidealizować, trzeba ją było owionąć tchem ducha, co jest swobodny i wolny, trzeba było i w tych drobiazgach okazać idealność istoty ludzkiéj, co, choć do materyi przykuta, kładzie przecież na niéj piętno duchowéj swobody. Pomyśl coby Grecya uczyniła z lokomotywy naszéj, gdyby ją zaznała, jakąby fantazyą ją przybrała!

Słowem, czego się ta Grecya dotknęła, wnet jakby czarem przybierało formy urocze, wdzięczne, boć ona była co się zowie ludem - artystą. Miło też było przed takim ludem popisywać się malarstwem, rzeźbą i nie żal

było czytać mu choćby najgłębsze poezye, bo miał instynkt artystyczny w oku, w sercu, w słuchu! Ztąd też zdarzały się u niego rzeczy, które nam dziś ani przez myśl nie przejdą: naprzykład razu jednego Sofokles, młody poeta tragiczny, będący dopiéro na dorobku swojéj sławy, zerwał się, by o prym pójść z Eschylem, okrytym już dawno wieńcem jasnéj chwały. Zbierają się do teatru niezliczone tłumy widzów;—po odegraniu obu tragedyi pytanie, która lepsza?—Wrzawa, spór zacięty, zagrzewają się serca i głowy, namiętności kipią; na szczęście, wśród téj burzy wchodzi do teatru wódz naczelny Cymon,—on wraca z tryumfem z wyprawy perskiéj, za nim dziesięciu generałów, towarzyszy jego zwycięztw: więc laury na skroniach, więc wkoło okrzyki radości, więc ciżbą tłoczą się tłumy z uwielbieniem w sercu, w oku, na ustach. Szczęśliwi jak bogi Olimpu, wojownicy wchodzą do teatru; w téj chwili lud okrzykuje wodza i generałów sędziami tragedyi. Nieprawdaż że to dziwnie! cóś podobnego nie tak łatwo by się dziś stać mogło,—Sofokles odniósł pierwszeństwo. Zważ, późniéj, po kilku latach, ten sam Sofokles, za napisanie swojéj tragedyi *Antygona*, został wraz z Peryklesem obrany naczelnym wodzem! toć podobno jeszcze dziwniéj! to podobno trudniéj jeszcze dziś by się zdarzyć mogło! Lubo Perykles po skończonéj wyprawie orzekł o poecie: »nie ma co mówić, żołnierz dzielny, »ale wódz nie osobliwy!« Posłuchaj jeszcze, ten sam Sofokles, ot tak sobie poeta, był nawet i w starości troszka hulaką, więc na wesołych kompanijkach hojnie szafował majątkiem. Syn jego Jophon zażądał od sądu kuratora majątku, twierdząc, że ojcu dla późnego wie-

ku zabrakło już rozgarnienia. Wesoły tragik pozwany staje przed sądem, ale, zamiast obrony, trzyma w ręku świeżo napisanego *Edypa w Kolonie*, przeczytał, i pyta — cóż się wam zdaje, mamże rozgarnienie?— Sędziowie odpowiedzieli grzmiącém twierdzeniem, aJophon sprawę przegrał.

Jednak czas wielki na nas byśmy nawrócili do rzeczy! Widziałeś jak Hellada umie łączyć w harmonią ducha i materyą, jak tedy po mistrzowsku uduchownia świat fizyczny — naturę. Przecież właśnie z téj dążności zradza się ich wielobożeństwo. Bo gdy oni nie pojmowali istoty ducha samej w sobie, ale w postaci zmysłowéj, ztąd też ich idea bóstwa rozpromieniła się, rozszczepiła się na mnóstwo jestestw duchowo-zmysłowych; bo co zmysłowe jest zarazem jednostkowém, bo aby wiedzieć o Bogu jedynym trzeba pojąć istotę ducha jako czystą i wolną od materyi. Te bogi ich, z jednéj strony, są własną treścią człowieka uosobioną, a tak stają się pogodzeniem wewnętrznego człowieka a formy zewnętrznéj, lecz z drugiéj strony też bogi są potęgami, siłami natury, którym tu człowiek fantazyą nadaje znaczenie duchowe, użyczając im postaci ludzkiéj, czyniąc je osobami. Te bogi tedy są zarazem i treścią ludzkiego ducha (jego uczuciem, skłonnością i t. d. i t. d.) i mocą fizyczną, naturą, (np. znaczą powietrze, ogień, urodzaj i t. d.) one tedy łączą w sobie dwojakie znaczenie; a to właśnie dla tego, że Grek sam z istoty swojéj jest zespoleniem ducha i natury. Ta dwojakość istoty bogów okazuje się właśnie w tém, że widzimy w nich duchowość odzianą ciałem. Ale to właśnie jeszcze obszerniéj wyłożymy.

Tak niebios wysokości, obłoczne pałace, knieje ciem-

ne, tajemnicze, i góry i strumienie, i morskie zuchwałe przestrzenie, kwiaty, wichry zaludnia fantazya grecka bogami i drobniejszą ich czeladką. Cała natura pełna duchów wcielonych, wszystko wkoło oddycha, czuje, raduje się, smuci, tęskni i weseli niby człowiek. Cała głębia piersi ludzkich i wszystko, co w nich żyje, jest wyczerpaném w tych bogach, przybiera ich kształty pełne poezyi; boć w tych postaciach ich jest nieskończoność, co świeci nieprzymroczonym nigdy piękności promieniem, i dla tego właśnie one są najwyższém fantazyi dziełem. Bogowie Hellenów są duchami, ale obleczonemi w ciało ze sercem ludzkiém; tak one przeto są harmonią ducha i przyrody, i dla tego znów właśnie człowiek sam siebie w nich przegląda.

Tutaj nie spotkasz widoku pełnego ohydy a poniżenia, owych głów zwierzęcych na ciele ludzkiém, owych potworów spaczonych, straszliwych. Te formy skręcone i źwierzęce kształty straciły tu na znaczeniu, one poszły jakoby na gawiedź dworską i służą u głównych bogów, przebrawszy się w satyry, syreny, trytony, nereidy, dryady, harpie; a co więcéj, ta cała niższa przyroda niekiedy jest tylko prostém godłem panów Olimpu np. paw' Junony, gołąbki bogini miłości, orzeł Jowiszowy. Nakoniec uważmy że ta przyroda źwierzęca przypomina się lekkim odgłosem w saméj postaci głównych bogów: pan Nieba potrząsa włosy niby lew grzywą, z czoła u Posejdona spływają kędziory, jako fale morskie burzą kołysane, Apollo wiatronogi, śmigły, lekki jakby jeleń skoczny. A lubo te bogi wszystkie są wprawdzie wyobrażnikami potęg natury, nad którémi oni czuwają, niby baczne ich opiekuny, jednakże ta

strona przyrodzona ulatnia się i znika obok znaczenia duchowego bogów. Rzekliśmy dopiero, iż każdy z tych niebian greckich wyraża głównie jeszcze jakąś treść żyjącą w sercu człowieka; nie rozumiéj atoli, że te bogi są jedynie jałowym symbolem, czczą allegoryą, abstrakcyą téj lub owéj serca ochoty lub zdolności umysłowéj. Owszem każdy z nich ma swoją historyą a żywot pełny wdzięku i uroku; fantazya tak bogata a lekkomyślna Hellady przypięła każdemu z nich jakieś powiastki genialne, a czasem nawet jakieś swawolne, awanturnicze komeraże i plotki. W tych jednak mitach i plotkach najczęściéj żyje myśl głęboka a znaczenie wzniosłéj mądrości, odzianéj w cały urok nadziemskiéj poezyi. Te mity rosły jakby kwiaty polne, bezświadome siebie; nikt ich nie siał, nikt nie sadził, one się same rozwinęły po różnych greckich ziemiach, jako dech i uczucie serdeczne różnych szczepów. Późniéj dopiero uszczknione, zwite w jeden wieniec, złożone zostały na ołtarzu boga, do którego się odnosiły, stanowiąc całość dziejów jego (*).

Chciéj baczyć: z postaci bogów spadły niedostatki i wszelka nieudolność ziemskiéj natury; ta postać, wolna od krzywd materyalnego świata, króluje na wysokościach w młodości wiekuistéj a w nieśmiertelnym wdzięku; a przecież — przecież każdy z tych bogów odziany jest postacią indywidualności pełną, nadającą mu charakter osobny, właściwy, odróżniający go od innych niebiańskich mieszkańców. Z drugiéj atoli strony, choć w tém wielobożeństwie, tak w sobie rozdzieloném, znaj-

(*) Ob. Vischera Estetykę o fantazyi różnych ludów, od § 434.

dziesz najwyższą rozmaitość indywidualną, choć w niém rozstrzelona jest, jakby różnobarwnym promieniem, całość treści duchowéj człowieka i jedność bożéj idei, toć znowu wszystkie te promienie, te różne bogi zlewają się w całość swobodną. Jakoż przewodniczy im wszystkim Olimpu Pan, ów niebowładny Zews; on jest ich wspólném ogniskiem i głową; jednak rządy jego nie są panowaniem ciężkiém, on niby piérwszy między równymi, więc zwykle to złagodzi, to pogodzi; tu pogłaska, tu poswata, czasem się zmarszczy i przywołuje do porządku; słowem, jak może radzi sobie z témi niebianami swojemi. Lecz krom téj powagi Jowiszowéj, jest jeszcze inne połączenie tych bogów, jest to ono głuche bezdenne fatum, owo przeznaczenie, będące niby ciemném tłem, na którém rysują się żywe, ciepłe postaci bogów i ludzi; ale to fatum grozi i straszy ludzi, grozi i straszy bogów nieśmiertelnych. Fatum samo jedno nie jest osobą, nie ma postaci, nie ma ciała; jest to głucha abstrakcya, moc przepaścista, bezdenna, nieznana, i dla tego tak okropna; jest to jako bezkształtna moc natury, a przecież rozumna, a przecież sprawiedliwa! Śmiałbym powiedzieć, że to fatum, co siłą nieznaną zawieszone jest nad światem, na którego wspomnienie przejęte są zgrozą i lękiem bogi wszystkie i sam nawet gromowładca Zews,— że to fatum, które wedle starych a niezłomnych wyroków strącić ma wesoły Olimp z wysokiéj świata stolicy, jest z jednéj strony jeszcze lekkiém zidealizowaniem, odgłosem cichym indyjskiego Bramy, a z drugiéj strony jest ciemném przeczuciem o innym Bogu — o Bogu, przed którym kiedyś zestąpią z podnoża Olimpijskie bóstwa i, opuszczając świątnice reli-

gijne, schronią się do artystycznych piękności przybytku.

Uważ następnie, że te niebiany łączą się jeszcze z sobą innym trybem, bo ogniwami natury; wszak one, jak wiesz, nie zaparły się bynajmniéj ziemskich serdeczności, więc ich wiąże urok wzajemnego pokrewieństwa i rodzinnych ogniw: ci dwoje, to brat i siostra; a tamta dama, toć znów córką onego boga; a owa pani, co tak harda i gniewna zasiadła obok Jowisza, co tak się sępi, a duma a myśli, to jego małżonka zazdrośna; zapewne doleciała ją jakaś świeża plotka o małżonku niewiernym; może pan Olimpu, jakto on lubi, incognito spuścił się na padoły ziemskie, a przebrawszy się za jakiegoś tam łabędzia, czy za obłok lub wołu zwykłe figle płatał. Znasz kopciem zaczernionego Wulkana; inne bogi nie rade się z nim parać, gdyż on «reprezentuje» jeszcze jedną z potęg przyrodzonych, bo ogień, a oni przecież duchy z duchów, więc on nie równy im z pochodzenia a rodu. Wszyscy pamiętają, jak go niegdyś nawet wyrzucono z Olimpu na ziemię, z czego też okulał. Teraz «intruza» już jako tako «tolerują,» a co więcéj jeszcze, najszpetniejszemu z bogów najcudniejsza z niebianek, Wenus, oddała rączkę swoją — oczywisty «mezalians!» Ale cóż począć, kiedy tę biedaczkę tak już ogadali, że już dla saméj «reputacyi» swojéj zdecydowała się pójść za kulawego kowala. I dobrze obojgu z tém, boć niechaj sobie gadają co chcą, on tam nie dba na przycinki, plotki, dowcipki i komeraże. Zresztą, inni nie lepsi; nie jeden z nich ma pokrewnego w jakimś śmiertelniku ziemskim, więc gdy temu dokuczy jeden z olimpijskich mieszkańców, on u drugiego znajdzie pro-

tekcyą i dobrodzieja, co jakoś tę sprawę jego nadrobi i sprostuje.

Widzisz tedy, iż te bogi Hellenów, choć każdy z nich samodzielnego osobnego piętna, pod każdym względem wiążą się jednak w całość, a pod ich panowaniem nie najgorzéj jeszcze wiodą się rządy świata.

Jakie rządy na Niebie, takie i na Ziemi. Tutaj jeden duch, jeden ród Grecyi rozstrzelił się niby na różnobarwne promienie, na różne państewka, co choć drobne miniaturki polityczne, a przecież każde z nich miało pretensyjki do własnego piętna, i, nawzajem, lubo każde gospodarzyło po swojemu u siebie, a przecież znów wszystkie wiedziały się być jedną całością. Spólny język, spólne bogi, spólne pochodzenie i spólny sąd, rozstrzygający spory między niemi, wiązały te ludki i ziemie różne w jedną całość; a przypominały ciągle tę ich jedność owe uroczystosci zacnych zabaw a igrzysk, co, jako święta religijne a polityczne, od czasu do czasu pukały do serca Hellady, wzywając do wielkich czynów a szlachetnéj ochoty.

Jakby rzewną a wzniosłą epopeją spływały ludy starogreckie na uświęcone równiny, by oddać na tych igrzyskach bogom a raczéj własnemu duchowi cześć i chwałę.

Jakeś okiem puścił, szeroko, daleko rozlały się niby falą żywą o sercu wrzącém nieprzeliczone tłumy, co stojąc gronami, lub zasiadając na pagórach czy chodząc i prawiąc, grupując się instynktem przyrodzonym piękności, gotowały się ku radosnéj chwili, kiedy urodziwość ciała, zwinność i moc, szlachetność jego ruchów i mężna odwaga pasując się z sobą wystąpiła w szranki. Tu przepych form ludzkich, dźwięczność muszku-

łów zagrała w postaci człowieka jako w arcydziele natury; w téj dzielności a pięknocie cielesnéj duch Grecyi siebie obaczył i sobie samemu oddał pokłon, bo w nich ujrzał uwidomienie swoje, boć w tych formach cudownych zamieszkał jako w przybytku swoim. Tak przeto stapiało się ciało i duch w muzykę niemą, widomą, pełną wymowy i dźwięku.

Przebrzmiały te poemata żywéj rzeźby, a cisza święta, uroczysta zamknęła słowa w piersiach wszechwidzów nieprzejrzanych; milczenie nabożne czcią przejęło duszę,—z wzniosłego pagórza toczą się słowa poważne, świąteczne.

Słuchaj — brzmią akordy głębokie; teraz wieszcz przygrywa na lutni, przebiera w tonach, jak w barwnych promieniach ducha, i splata i wiąże dźwięki strun. Zamarł wszelki głos na ustach ludu, oczekiwanie napręża się, potęguje się serca jego uderzenie; bo lud przeczuwa, że pieśń wieszcza sprowadzi bogów na Ziemię. Mistrz z lutnią w ręku słucha dźwięku jéj złotych strun, i dusza jego tonie w błękitach niebiańskich pałaców; on miał poczucie bogów we własnych piersiach, bogi są w nim obecne, więc uwierzył w nie, więc je uczcił w sobie, on z bogami rozmawia na pieśni, on ich poufałym kapłanem. Stąd wieszcz na tłumy ludu patrzy tak dumnie, on jakby wszystkich serc król, on wielomocny ich mistrz. Ta piękna Grecya, te ludy wszystkie i serca wszystkie, to jego państwo, on tém państwem włada jako królestwem a domem rodzinnym, jakby własną wolą swoją. Gdy się w nim odezwą gromem bogi, gdy go posiędzie ich potęga, wtedy, porwany ich natchnieniem, wznosi się, ulatuje z ziemi, wzbija się pod

obłoczne dzielnice i z zawrótnéj wysokości patrzy na lądy, na morza, na miasta, toczy okiem po starych upłynionych dziejach i duchem widzi senne postaci nadchodzących pokoleń, i mierzy czas i waży żywych i umarłych, a pieśń jego tak dumna, tak hardego majestatu! On sam w promienistéj koronie rozdaje korony chwały najwyższéj, on bogów wybrańcem, przemawia ich językiem; myśli niebian, ich uczucia i potęga płyną jego pieśnią jak światłości rzeką.

Gdy dotknie umarłych, już tony jego lutni promieniem odzieją wzniosłą ich pamięć, już on ją postawi na jasnych wysokościach. «Kogo z żyjących z wysokości wspomni słówkiem, to słówko splata się w wieniec nigdy nie zwiędłéj chwały, już on szczęśliwym wybrańcem; bez posągu, bez pomników rzeźbionych staje się nieśmiertelności synem, i żyć będzie na wieki w pieśni, bo pieśń na skrzydłach promiennych uniesie go w późne stólecia, w cudze narody, w obce lat tysiące.» (Pindar).

Innym razem, na innych igrzyskach, gdy oniemiała wesoła wrzawa, milczenie przeleciało po ludzkich rojach, znów z podwyższenia słychać głos!—Kto to?—Historyk czyta greckim ludom ustępy z ojcowskich dziejów, a tych ludów fale stanęły niewzruszone, zaklęte; cała ich dusza cofnęła się w serce, wszystkie ich zmysły utonęły w słuchu. Jako piérwszy powiew rannego wschodu dreszczem budzi śpiącą dąbrowę, a dąbrowa szepnie, zadrga w sobie, i zatrzęsie się drzewo każde, i zadygoce listek każdy, a niewidomy duch od listka do listka, od drzewa do drzewa rozniesie po całéj knici tajemniczy szept; tak na głos przeszłości zadrgały dreszczem każde piersi, zadygotały najgłębsze uczucia, a nie-

widomy duch rozniósł po tysiącznym słuchaczu przeszłości głos. Cisza święta, uroczysta padła na ciżby tłumne, zatrzymał się dech, każdy słyszy tylko własnego serca gwałtowne bicie; te ludy wszystkie, choć tak różne, mają jedno serca uderzenie—jedno wielkie, spólne serce. Stanęło nieruchome morze zgromadzonych tłumów, nad równiną żeglują milczące złociste obłoki; wszystko oniemiało, słychać tylko loty orłów, co płyną po wysokościach; słowa dziejów wionęły z ust proroka przeszłości i przywiały tchem cienie maratońskie i postaci z Termopilów i obrazy Salaminy. Po nad ludem kroczą widziadła ojców, słychać ich pochód i oddech i szczęk broni i wołanie tryumfów. I patrz, każdy w téj ciżbie, choćby maluczkiego serca, choćby wątłego ducha, rośnie w olbrzyma, w bohatera, dźwiga się sam nad siebie. Bo wielka przeszłość jest wielkiéj przyszłości zasiewcą!

Przeminął już dawno historyka głos, umilkł prorok ojcowskich spraw, a w duszy ludu wzniosło, uroczysto, świąteczno; piersi każdego stały się jako panteon wysokich imion o jasnéj sławie.

Takie były zabawy, takie igry Greków! Widzisz jak w ruchach ciała, i w dziejach, i w pieśni Grek sam własnego ducha obaczył, jak wnętrzna, najświetniejsza treść jego znalazła w zacnéj formie zacne wyjawienie swoje, jakto ludy różnéj natury przecież spływały mocą duchową w jedną całość, nie zacierając atoli przyrodzonego piętna.

Wszak te same ludy łączą się jeszcze w jeden wielki naród mocą wyroczni, a te wyrocznie same, choć wiodą z natury poczęcie swoje, są jednak natchnione,

zidealizowane duchem. W wyroczniach greckich: w Dodonie, w Delfach, proroczéj natura mocy; szeleścą liście, gaworzą gaje święte, szumią strumienie tajemniczą pogadanką; tam znów Pitya na trójnogu, owiana ziemskim wyziewem, bezprzytomna sobie, rzuca słowa bezświadome. Zaiste, szelesty i gawory drzew, pomruki wodne, ciemne wyrazy pityjskiéj kapłanki, toć jeszcze mowa tajemnicza bezrozumnéj natury; lecz kapłani ujęli te głosy duchem, wysłuchali z nich mowę bogów i przetłumaczyli ją na język poetyczny, pełen mądrości a harmonii; a tak i tutaj widzisz uduchownienie natury w najszlachetniejszém znaczeniu. Pomnij, gdy nadejdzie w Grecyi czas, w którym o prawdzie przemówi wyrocznia we własném wnętrzu człowieka, wtedy Grecya skona; lecz ten czas jest daleki, jeszcze żyją stare wyrocznie, jeszcze natura zewnętrzna uzacniona jest ducha jaśnią, jeszcze treść głęboka znajduje zacną a odpowiednią zmysłową formę swoją.

Patrz, ta harmonia, która, jak mówiłem, jest istotą Grecyi, wiąże też każdego z pojedyńczych ludzi z kraikiem, w którym żyje; ogół téj drobnéj społeczności jest obrazem własnéj istoty jego, ogół i człek pojedyńczy są wzajemném siebie wtórowaniem. Stąd też każdy człowiek jest tutaj jako posąg z jednego odlewu. Bo jego życie, jego sprawy, ochoty, jego wiara i myśli i uczucia są wszystkie z sobą w zgodzie, i w zgodzie jest człowiek z rzeczywistością, która go otacza. On więc zawsze jest jeden i ten sam. Tu przeto ojczyzna charakterów. Jakoż i charakter jest zgodą treści wewnętrznéj a formy zewnętrznéj, bo harmonią zasady i przekonania a całego wątku żywota. Gdy w Grecyi treść

jest pełna, niesprzeczna z sobą samą, ztąd i żywot cały jest z jednego odlewu. Stólecia nowożytne są tak ubogie w charaktery, bo albo znajdziesz ludzi, co przędą to życie swoje jednostajnie, bez walki, bez treści, albo też są inni, których życie pełne treści, ale w ich piersiach ta różna życia treść budzi co chwila inne moce, które same między sobą walczą, pasują się i szarpią a zwycięztwo każdéj z nich od chwili zależy; więc nie znajdziesz zgody i powiązania tych potęg, bo brak siły, któraby je ujęła i zestroiła akordem. Nie dziw też, iż nie jeden, gdy go spłoszy rzeczywiste życie, chowając się sam przed sobą, cofa się jak ślimak do najskrytszego zacisza duszy swojéj.

W Neapolu, w oném światosławném muzeum, wśród oniemiałych dziś bogów, wśród orszaku bohaterów, co niby skamieniałą Epopeją przemawiają do biednego wędrowca z północy, wśród tych wszystkich marmurowych cudów piękności, które po dawno już pochowanych świetnych stóleciach dostały się puścizną karłowatym pokoleniom, stanął, jako żywy wizerunek, posąg Arystydesa. Jest to jedna z tych postaci, co gdy je choć raz w życiu obaczysz, już nigdy więcéj nie ustąpią ze świętych głębin duszy twojéj. Taka postać, zamknięta w przybytku piersi naszych, może być przypylona kurzawą powszedniego życia, mgły słotne świata mogą ją pokryć jakąś oponą żałobną, ale przecież obraz téj postaci nie zemrze nigdy w sercu. W godzinach szczęśliwszych, gdy choć na chwilkę zajaśnieje pogoda w wnętrzu naszém, gdy do ducha naszego, jakby do czystego przybytku, wstąpi posłaniec boży i przyniesie pokój domowi temu, wtedy rozwiane są posępne tumany

a rozświeci się ta postać cudowna i wystąpi w pełnym a cichym majestacie swoim. Widzisz jakby oczyma tu na jawie to oblicze nadziemskiéj ciszy a przecież tak pełne nieskończonéj treści; rysują się te kontury czyste, melodyjne, widzisz wszystkie fale spływających włosów, każde zagięcie miękkie draperyi. Tak jest,— wołasz ze czcią radośną i serdeczném zachwyceniem— toć to jest Perskiéj dziczy pogromca! toć wybawca swojego kraju, toć jest ten obywatel co spokojnym ducha majestatem patrzał na rozhukany lud, który w złéj chwili zapomnienia nie mógł wielkiemu człowiekowi przebaczyć wielkości! i powiesz: tak jest, z tém obliczem Arystydes przechadzał się wśród tłumów nieopatrznych, gdy one tego najzacniejszego syna Aten wskazywały na wygnanie; z tém też obliczem głębokiego pokoju wrócił, gdy kraj znowu jego usługi potrzebował; to jest całkowity, to jest klassyczny człowiek! Nie będę tu prawił o piękności artystycznéj dzieła tego, które jest arcydziełem sztuki; wszak sam Thorwaldsen nawet oznaczył na posadzce miejsce dla widza najstosowniejsze do wpatrzenia się w to dziwo piękności; ja przywodzę je tylko jako najpotężniejsze, najzacniejsze objawienie się charakteru. Kogoż nie uderzy ta powaga, ta moc woli, niby ze śpiżu ulanéj, a jednak splecionéj z nieskończoną słodyczą i uśmiechem dobroci, ta niebiańska jakby pośmiertna spokojność na téj twarzy, obok najwyższego udziału w tém wszystkiém, co innych boli i weseli? Tutaj widzisz treść ogromną duszy, treść ogarniającą wszystkie stosunki człowieka, a przecież spływającą z sobą głębokim i pełnym wdzięku akordem. Tutaj, w téj twarzy marmurowéj a tak jaśniejącéj życiem

najwyższém promieni się zgoda człowieka ze światem, z ludźmi, z losem i z sobą samym. Cała ta postać otulona płaszczem, nawet rękę znać tylko z pod szaty, trzyma ją na piersiach; a przecież ten charakter, ten sam duch płonie w całym marmurze, niby w czystém kryształowém przezroczu, żyje w każdéj linii, w każdym zarysie, w każdym załomku téj szaty jego. A przecież, a przecież to nie zjałowiały pedant o skurczoném sercu, to nie pełen cynicznéj pychy stoik; on Grekiem, on zna życia radośne wesela, ale je uszlachetnił, on je umiał uduchownić i podnieść do zacności obyczaju i otulić artystycznym wdziękiem. W nim tedy zaślubiona treść człowieka z jego formą, bo żywotem zewnętrznym, w nim zespolony duch z naturą; tu przeto klassyczność występuje w całéj potędze swojéj. Dla tego wierzaj, że taki posąg, taka postać może być tylko wizerunkiem Greka; tu znać, że Arystydes jest także artystą w najszlachetniejszém znaczeniu; samo życie jego jest arcydziełem sztuki jego, ten żywot jest także posągiem, jest formą doskonale objawiającą treść wewnętrzną ducha. Patrząc się na tę postać, czujemy że człowiek takowy mógł rozgrzać zacnością, wznieść szlachetnością całą społeczność swoją, mógł się treścią ducha podzielić ze wszystkimi, a przecież zbogacić jeszcze samego siebie tym podziałem. Wstyd bierze nowoczesną Europę, gdy pomyślimy jakich to Hellada rodziła mężów! Cóż dziwnego że, jakby z instynktem własnego niedostatku w sercu, rzucamy się pełni tęsknoty w objęcie owego ludu, że radzi otrzeć się o niego choć myślą, by przecież, ile siły naszéj, samych siebie uzupełnić. Zaiste, uczucia nasze, myśli nasze, wypusz-

czone z duszy, jakby pszczółek rój, ulatują po nieśmiertelnych kwiatach Grecyi, pijąc z nich osłodę i pokrzepienie w życia naszego goryczy i omdleniu duchowém.

I chciéj baczyć że jaki był tu żywot pojedyńczego człowieka, taka też była historya całego ludu tego; jak wielkie charaktery, będąc mistrzami siebie samych, wyrabiały się na własne arcydzieła, tak też cała Grecya artystyczną potęgą stworzyła swoje dzieje niby rzeźbę cudowną. Żaden kraj, żaden naród, nie miał takiego żywota, coby był tak zupełnie całkowitością ukończoną w sobie, tak doskonałém objawieniem wewnętrznéj treści. I historya Hellady jest z jednéj sztuki, z jednego odlewu, ona jest zawsze wierną saméj sobie. Grecya nigdy nie zaznała różnorodności sprzecznych sobie pierwiastków, co przywiane z obcych ludów, z obcych stóleciów, matwają się z sobą, a tak czynią zbyt często narody niepodobne do siebie samych. Grecya od nikogo nie pożyczyła swoich obyczajów, zwyczajów, swoich praw i religii; bo cokolwiek z obcych żywiołów w piérwszych czasach do niéj przyplątać się mogło, toć ona przeistoczyła w sobie nie do poznania, przerobiła na własną krew, na własne soki, a tak rozwijała samoistnie dzieje swoje.

Ona sama sobie wymyśliła początek pradziadowéj historyi swojéj, ona niby sama siebie poczęła, sama siebie zrodziła: Grecya wszystko sobie saméj winna, ona jest własném swojém dziełem. Stąd też, nad wszystkie inne historye, historya Greków tak jest ucząca; jest to wzór dziejów narodu, jest to wyrocznia historycznéj mądrości. Tu nie ma gwałtownych przeskoków, ani przerw

w wątku żywota, tu nie ma cofania się przed nowym postępem, tu nie ma zaparcia się siebie. W tych dziejach każda epoka tak przezroczysta i zrozumiała, w każdéj epoce możesz policzyć pulsa, podsłuchać pukanie serca tego ludu, tu niéma zagadkowych zjawisk; Grecya od kolebki do skonu nigdy nie odstąpiła siebie. Te dzieje są iście dramatem artystycznie ukończonym w sobie; rzekłbyś, że jakiś arcymistrz odważył wszystkie figury, wszystkie akta, każdą scenę w téj cudownéj kompozycyi. Czytając te dzieje Grecyi widzisz w nich prawidła jak narod się rodzi, rośnie, dosięga szczytu swojego, zstępuje z niego i kona.

Niechaj nas tedy nie dziwi, że grecki historyk, opisujący dzieje ojczyzny swojéj, jest również artystą, mistrzem; jego opowiadania i przedstawienia, to plastyka cudowna, to marmurowe rzeźby, nic dodać, nic ująć nie zdołasz. To są arcydzieła; a przecież są u nas, którzy nie pojmują, za co to literatury i języki starożytne są uznane za warunek wszelkiego wychowania rzetelnego—»wszak wystarczą nam tłumaczenia!« wołają zewsząd.—Tłumaczyć ich nie można, boć to są dzieła sztuki, mające nie tylko treść ale i formę, tu forma artyzmem: i o nią to właśnie chodzi, ona jest rzeczą. Tłumaczenie! Dla czegoż każdy się zgodzi, że litografia nie zastąpi ci oryginałów Rafaela, a litografia przecież odda ci zupełnie treść jego obrazów? Treść jest dana, forma zaś to dzieło ducha!

Zrozumiesz przeto, że ta historya Hellenów, tak w sobie jednolita, tak artystyczna, gdy stanęła na szczycie swojego żywota, rozwinąć się musiała najwonniejszym kwiatem swojéj istoty, bo czcią i hołdem serde-

cznym dla wdzięków i urody duchowéj, dla istnéj piękności. Wszak to właśnie w samo południe chwały greckiéj pojawiła się w Atenach Aspazya, co jakby gracya niebiańska zamieszkała wśród ludzi; a patrz! Perykles, ten szlachetny wielki człowiek, co skinieniem swojego geniuszu prowadził losy swojéj ojczyzny, ten Perykles zaślubił sobie Aspazyą, a tym trybem uwidomił śluby historyi i wdzięków w Grecyi. A jak u Hellenów jedna i taż sama świątnica bywała przybytkiem Muz i Gracyi, tak też dom Aspazyi stał się świątnicą, kędy się zbierali wybrańce muz, ludzie jaśniejący chwałą to w umiejętności, to w sztuce, to genialnym dowcipem. Wszakże nie sama piękność ciała była magiczną siłą, którą czarowała Aspazya, ale raczéj te powaby niewymówne duszy, woń rozmowy, wdzięki uroku pełne trzymały wielkich mężów jakby w zaklęciu misterném. Wymienię kilku z tych ludzi; oni zaiste ludźmi nie na małą stopę! Bywał w domu Aspazyi naprzód głęboki Anaxagoras, który piérwszy wyrzekł, że pod szatą rzeczy zmysłowych, że na dnie gry atomów żyje w świecie myśl, co rządzi wszech jestestwy, a tak w jego filozofii piérwszy raz z głębin ciemnych natury spójrzały na człowieka jasne oczy ducha. Obok filozofa, Phidias; wszak usta nasze jeszcze w pacholęcych latach wymawiały ze czcią to imie, a dziś kornie pamięci jego oddajemy cześć, boć on arcykapłanem piękności! Daléj Sokrates, męczennik prawdy, co gotował ścieżki wyższym jeszcze prawdom w dziejach ludzkiego rodu; daléj Alcybiades, awanturny geniusz, co wielki w cnoty, wielki w występki, w światła i cienie, co potężnym wrogiem i potężnym ratownikiem oj-

czýzny swojéj, choć błyszczącéj sławy, był przecież zwiastunem, iż w Grecyi już dójrzewa choroba i śmierci zaród. Wszyscy ci ludzie, pomijając innych, znajdowali wdzięczną rozkosz w towarzystwie Aspazyi; te imiona, toć świeciste gwiazdy, które ona wplotła sobie w kwiaty wieńca swojego. Przyznasz, że ten »salon literacki« Aspazyi nie ma dziś równego sobie w świecie, boć w nim bywali ludzie, z których każdy w swoim sposobie stanowił epokę w dziejach ludzkiego rodu. Od tych imion liczymy wypadki obchodzące świat cały; one nie do historyi greckiéj należą, one są historyi powszechnéj własnością.

Uważ naprzykład jednego z nich — Sokratesa; on uczynił zwrót myśli człowieka. Na samotnych przechadzkach niekiedy stawał, jakby martwym posągiem, jakby bezprzytomny sobie, nie słysząc, nie widząc wrzawy światowéj i ruchów powszedniego żywota; lud nazywał te stany katalepsyą, chorobą, snem na jawie i litował się nad biednym nauczycielem; aleć to raczéj ten lud sam śnił na jawie, świat to spółczesny drzémał bezprzytomny. Te chwile wrzekoméj bezprzytomności były chwilami świętemi, bo duch nieskończony, wszechobecny i przytomny we wszystkiém, co jest, obecny więc i w człowieku, wybrał sobie za piérwszego świadka a kapłana swojego czyste Sokratesa serce, zapukał w duchu mędrca i dawał mu znać o sobie: i słuchał mędrzec pukania tego; to nie bicie serca jego ciała, toć serce świata w nim biło. I słuchał Sokrates tajemnych szeptów, uczących o najwyższéj bezwzględnéj mądrości. Tak sam zwlokł z siebie zwyczajnego codziennego człowieka, a gdy z utonienia nawrócił do siebie, nie rozu-

miejąc, co mu się stało, wmawiał w siebie, że jakiś geniusz (demon) w nim szepcze. Wyrzekł przekonanie, że człowiek w sobie ma miarę wszech rzeczy, że się niczego ze zewnątrz nie nauczy, że uczenie się jest rozwijanie treści wewnętrznéj naszéj, jest wyśledzeniem tego, co od wieków w nas zarodem spoczywa. Słuchaj jeszcze: gdy Sokrates tonął w przepaściach duchowego poczucia tego, gdy na poły tylko sam rozumiał wieszcze głosy przemawiające w nim, a tęsknił rzewnie, a bolał za uczniem, coby zdołał rozsnuć te myśli jego, zdarzyło mu się jednéj nocy, że go nawiedził proroczy sen: śniło się bowiem jakoby piastował na kolanach młodziuchnego łabędzia, a łabędź ten tak był śnieżnéj bieli, tak cudnych kształtów, tak luby a potulny że się już nim nie mógł dość nacieszyć, napieścić. Lecz, patrzy, a tu o dziwy! młode skrzydła ptaszęcia nagle zaczęły rość i rość, i rosły w olbrzymie loty, i o dziwy! łabędź zaśpiewał cudowną, wdzięczną pieśnią i rozwinął te loty swoje i uniósł się w górę, uleciał nad ziemię, i wyżéj i wyżéj ulatywał, i wyżéj i wyżéj dzwonił pieśnią swoją, wzbił się nad świat i śpiewając zniknął w niebie! Nazajutrz, gdy Sokrates myślał nad tym dziwnym snem swoim, przyprowadzono mu nowego ucznia, młodego *Platona*, który, gdy urósł w skrzydła geniuszu, z wysokości nadświatnych zaśpiewał, wszystkim stóleciom i wszystkim rodom przyszłości na podziw, mądrości pieśń.

O tym śnie Sokratesa, o łabędziu, pełna była wszystka starożytność i wierzyła marzeniom proroczym, a wyznaj, że ta powieść, idąca z pokolenia w pokolenie, nie tylko poszła uczniowi i mistrzowi na cześć, lecz i na chwałę całemu ludowi owemu, co umiał tak wielbić wielkich

ludzi swoich, że ich aż odziewał poetycznym fantazyi urokiem.

Chodzi i druga wieść z pokolenia do pokolenia: oto szeptano sobie, że ten Sokrates, co mądrością swoją dał hasło nowéj epoce w dziejach świata, że ten Sokrates sam tęsknił miłością ku Aspazyi! a Aspazya, Aspazya nawet miała pisywać do niego jakieś poemata, jakieś dźwięczne wiersze, niemi go pocieszając. Oto głęboka mądrość znalazła siebie, przejrzała się we wdzięku niewieścim.

Przecież dość tych moich bladych zarysów owego pięknego i pełnego życia, co kipiało całym warem uczucia i świeciło całą barwą radośnego wesela. Tutaj wszędzie a wszędzie we wszystkich sferach rzeczywistości znajdziesz cudowny zestrój treści wewnętrznéj a zewnętrznego objawu. Wszak widziałeś tę harmonią ducha Hellenów i z naturą geograficzną ich kraju i ze szczepowém ich pochodzeniem; widziałeś jak się u nich splotła powinność z rozumu płynąca z tęsknotą sercu wrodzoną, jak nawet potrzeby cielesne były uszlachetnione tchem duchowym. I też same wdzięczne akordy dwóch wtórujących sobie światów właśnie sprawiły, że człowiek, czując się spółdźwiękiem wszech rzeczy, wszędzie sam obaczył siebie, bo wszędzie uduchownił materyą i nawzajem wszędzie ducha ubierał w szaty materyi; więc obaczył się też i w swoich bogach, w tych jestestwach duchowo-zmysłowych, ujrzał się całkowicie w społeczności swojéj i w igrzyskach swojego ludu, i w dziejach własnéj ziemi, i w wielkich ludziach tych dziejów. Otoż i sami ci wielcy ludzie byli artystami swojego żywota, i widzieli się we własném życiu, tak-

jak się widział historyk-mistrz w arcydziele swojém, jak się przejrzał mędrzec ich w najwyższym wdzięku niewieścim. Tutaj wszystko jest artystyczném, bo wszędzie duch przybiera na się ciało godne jego istoty nieskończonéj, słowem, co było w głębiach ducha występowało radośnie na jaw; cały człowiek wewnętrzny wypowiedział się na zewnątrz.

Inaczéj przeto tam było, niż w naszych posępnych stóleciach o namarszczoném czole: w Grecyi dusza rozkwita tysiącznym pączkiem wiosennym, a choć te kwiaty jéj z ziemi zrodzone, przecież kąpią się w powodzi światłości słonecznéj, pojone rosą niebiańską, pieszczone powiewem promiennego dnia. W nowożytnych serca dziejach inaczéj bywa. Najzacniejsza, najświętsza treść duszy wtedy się rodzi, gdy życie zgaśnie do koła, gdy oślepną wszystkie zewnętrzne barwy i światła; wtedy dopiéro w przepaściach duszy wschodzą gwiazdy, i płoną i gorej niewidzialne dla ludzi, zapoznane od świata; ale ufajmy że ten sam Bóg, co na miłości skrzydłach unosi się od planet do planet, od słońca do słońca, tą samą miłością, którą strzeże firmamenty przez siebie stworzone, jest też obecny tym gwiazdom zrodzonym w piersiach śmiertelnego człowieka. A choć je zapoznają ludzie i nie przeczuwa świat, Bóg zna te gwiazdy, i kiedyś zabierze je do swojéj chwały, by były klejnotem strojącym Jego nieskończoności tron.

I Grecya umarła, ale wszystkie zacniejsze ludy, ludy-wybrańce dziejów oddały cześć téj uroczéj dziewicy. Grecya umarła, »bo wszystko co piękne umiera« bo duch nigdy nie zdoła na zawsze zaślubić się skończonemu światu i materyi śmiertelnéj; te śluby

zradzają wprawdzie piękności dziwy, ale te śluby są doczesnemi ślubami, piękność nie jest jeszcze najwyższą prawdą; duch jest wiekuistości synem, on przerasta materyą, zrywa związki z doczesnością znikomą, ona mu nie wystarcza, a wtedy piękność kona. Nie dziw tedy, że Grecya umarła na piękność, będącą jéj żywotnym pierwiastkiem.



LIST XXI.

Grecya.

(Dalszy ciąg).

Pestum.— Świątnice Posejdońskie a mianowicie świątynia Neptuna i charakterystyka architektury greckiéj, jako ściśle klassycznéj.— Wróżba o skonaniu Hellady.— Mit o Prometeuszu i Herkulesie.—Torso belwederski Herkulesa.— Plastyczność jest cechą przeważającą w fantazyi greckiéj, zatém rzeźba jest sztuką najwięcéj celującą w Helladzie.— Wysokie znaczenie urody cielesnéj u Greków, stąd taniec i gimnastyka tak ważnym pierwiastkiem ich żywota.— Uczta ateńska i Sokrates.

»Jeszcze chwileczkę cierpliwości, signori! jeszcze troszkę, a staniemy na miejscu!« Tak wykręciwszy się na koźle do ciebie przemówił veturino, chłop przepysznych kształtów, piękny jak posąg z brązu i zaświecił oczami dużemi, co wilgotne a płonące jako węgiel żarzący, a zaświecił śnieżnemi zębami i poprawił kapelusza, zrzucił do reszty kurtkę aksamitną, zawieszoną na lewém ramieniu, zatrząsł kolczykami i zaciął konie, a rześko daléj a daléj popędziły koła po równinie brunatnéj, przepalonéj na popiół.

Słońce bije pionowo w ziemię i ssie z niéj ostatki życia; natura wkoło mdleje w żarach skwarnych; oddychać jéj ciężko. Tu i ówdzie po pustkowiach głuchych zabłąkały się jakieś drzewa chude, jakieś krzewy ubogie, a te drzewa i krzewy smętne, samotne wygnańce ze szczęśliwszych stron; żaden powiew nie ucałuje ich liści biednych, żaden szept nie pocieszy; stoją w milczeniu oniemiałe. Powietrze rozpalone płonie, dygoce, skacze, więc się zdaje że wszystko wkoło się rusza, i trzęsie się i łamie, niby febryczną gorączką dotknięte. Każda gałązka na drzewie drży, wije się, łamie z osobna; rzekłbyś, że to drzewo potwór sturęki, że to ramiona olbrzymich gramolących się polipów. Równina bura, głucha, ociężała zaległa cię wkoło zaspana; i marzy bezprzytomna, a słońce strzela ogniem i pali żarem; słyszysz tętna bijące w skroniach, czujesz wary we własnych pulsach.

Tu i ówdzie pastuch na poły nagi, wycieńczony, schorzały przepędza krowy i kilka kozek; tu i ówdzie siedzi i duma chatka obdarta, wykrzywiona, spaczona, i sapie i ziewa, a gdzie niegdzie rozlały się błotne młaki, co dyszą złośliwym wyziewem, w nich rusza się gad, nad niemi chmury komarów; w trawach przepalonych świerszczą świerszcze,—toć jedyny głos wśród grobowéj ciszy. Nad równiną burą sklepi niebo złociste błękity swoje; one tak głębokie, czyste, pogodne, jakby wesołe, wiecznie spokojne mieszkanie starych bogów téj ziemi. A tęskno ci do tych gór, co w dali się piętrzą jakby ziemskie pałace tych bogów szczęśliwych; tam na wysokościach wieją chłody, tam szumią strumienie świeże; tam co żywe, oddycha szeroko, głęboko,

a kontury szczytów, lekkie, eteryczne spływają z jasném nieba tłem. Te góry, niby napowietrzne grody, ochuchane to złotem różowém, to fioletem promiennym; a te barwy tak lekkie, tak czyste, jakby rumieniec piérwszéj miłości dziewiczéj; te góry tak eteryczne, przezroczyste, jakby malowania na szybie kryształowéj przeświecanéj światłem słoneczném.

Pędzą daléj a daléj koła równiną skwarną, śpiekłą. Gdy puścisz okiem po tych pustkowiach głuchych, po tych umarłych bagnach i stęchłych młakach, uwierzysz, że tu czatują w lęgowiskach swoich wrogie febry, nieprzerwane nigdy, idące smętném dziedzictwem z pokolenia na pokolenie, niby jedyna puścizna tych pastuszków nagich, co, jako upiory przed śmiercią, wloką to życie nędzne starzejąc się za młodu; uwierzysz, że obok febry jadowitéj hulają tu jadowite węże, jedyne żywe stworzenia, którym tutaj zdrowo i ochoczo. Znów wykręca się na koźle veturino i pokazując biczyskiem w dal, woła: «Vedete—Pesto!» Z dala na równinie rysują się budowania jako grobowce stare; są to pradziadowe świątnice pradziadowych lat, cel twoich pragnień i wycieczki z Neapolu. One dziwnie się odbijają na tle płynnych szafirów morskich fal, co posypują się siejbą złotych iskier w promieniu słonecznym.

Tak jest, to Pestum Rzymian, a niegdyś Posidonia Greków. Ta tu równina, co dziś jest cmentarzem niemym, lęgowiskiem moru i zdradnéj zarazy, a panowaniem zatrutego gadu—niegdyś, przed bardzo dawnemi laty, była onych Sybarytów rajską ojczyzną; bo Pestum to osada ze Sybaris! Tutaj przeto mieszkał ów ludek z uśmiechem nigdy nie zwiędłym na ustach, co

duszkiem spełniał wszech uciechy i radości ziemskie; tutaj to on żył i śpiewał, tutaj się kochał i pieścił, tutaj rozkoszował ciesząc się niezamąconym życia weselem; on to przetłumaczył sobie całą treść życia i świata i natury na rozkosze doczesne, i płynął mu wiek mlekiem i miodem wśród woni róż. Zaiste, wśród róż, bo cała starożytność sławiła Posidonii róże, co dwa razy do roku rozwijały przepych swojéj cudobarwnéj woni. Choć Rzym później śpiżową pięścią zadławił życie rozkoszne, pełne słodyczy i wdzięku, i zabił kwiaty w ludzkich sercach, toć te róże zostały, a umizgały się do nich rzymskie wieszcze. Wirgiliusz wyznaje, że gdyby nie był party pośpiechem, jeszczeby zawrócił statkiem i dobił do brzegów cudnych i zaśpiewałby o kwiecistych ogrodach bujnych, hodowanych troskliwą miłością—zaśpiewałby o różach, co dwa razy do roku roztulają liście wdzięczne chuchając zapachem. A ten biedak Owidiusz, wygnaniec ze stolicy świata, wykwintu i smaku, za to iż podobno wmięszał się w miłostki Julii, onéj zbyt tkliwych uczuć córki Augusta—ten Owidiusz, marząc gdzieś na północy i biedując wśród Getów, zaklinając się woła: »Wprzód Babilon nie zazna ognistych »skwarów, wprzód Pontus straci mrozy swoje, wprzód »nagietki apteczne zagłuszą wonie pesteńskich róż, niż....« i t. d. A Martialis, co tak dowcipny a ucinkowy, choć człek o ciepłéj duszy, pragnąc obłaskawić dla siebie serce jakiejś rzymskiéj damy, zapewnia, że jéj usta walczą o prym z różami Posidonii.

Patrząc się dziś na tę naturę głuchą, co niby całunem ciemnym, śmiertelnym rozwlekła się nad życiem wszelkiém, zaiste, one wieści czarowne o starych stó-

leciach, są jakby snem i niby sennćm marzeniem; zdaje się też, gdy pomyślisz, żeś to dopiéro wczoraj wyjechał z Neapolu, zdaje ci się że na setki mil gdzieś zostały one pomerańcze i pieśni wesołe, one makarony i bukiety, tarantelle i kawiarnie szkliste, Wezuwiusz i pulcinello, okręta masztowe i osiełki dzwoniące, one oficery świeciste i damy o strzelistych oczach, lemoniady i serenady i pomidori!

Stanąłeś przed nędzną locandą, dochodzisz do onych budynków, które dźwigły stare czasy, na pół tysiąca lat przed chrześciańską erą; należą one do najszczęśliwiéj dochowanych pomników po Grekach starych. Jakoś ci w sercu świąteczno, uroczysto, niespokojnie, bo masz obaczyć dziwy, o których ci się niegdyś w młodości przyśniło!

Teraz już zatrzymujesz się w obec najwyższéj z trzech budowli, patrzysz się na świątnicę *Poseidona*, co go rzymianie Neptunem nazwali.

Ale czy to doprawdy ta sama świątnica, o któréj tyle się nasłuchałeś, naczytałeś, która ci tak często obrazem wplotła się w marzenia twoje? To budowanie przed tobą takie drobne, takie nikłe! wszak one nie wyrównywa ogromem nawet w części wielkim świątnicom chrześcijańskiego świata!

I żal ci się robi na duszy i smutno ci. Spodziewałeś się gwałtownych wrażeń, olbrzymiego dzieła, coby zatrzęsło całą istotą twoją, a tu budowanie tak skromne, ciche! czyli to znów jeden z zawodów w życiu? Radbyś podziwiać, bo cię wstyd że cię jednego niby nie rozpala uniesieniem widok, którym się wszyscy zachwycają; więc zaledwie sam sobie wyznajesz, żeś nic tego się

spodziewał! Może ten brak wspaniałości spodziewanéj pochodzi też ztąd, że ta świątnica nie należy jeszcze do czasu najwyższego rozkwitu sztuki helleńskiéj, to nie geniusz Peryklesowych czasów, który stawiał te świątnice, więc też dla tego one nie zagrzewają chętnéj miłości twojéj.

Pocieszając się radbyś tedy obaczyć w tém budowaniu choć pomnik starych wieków i ludów, co dawno już przemknęły się sceną historyi; wpatrujesz się w wyszczerbione głazy, śledząc tropów wielkich wydarzeń, które tędy przeszły, zanim przebrzmiały jako jęk ostatni wędrowca na głuchéj pustyni. Zioła, krzewy, kwiaty powiewne wyrosły na połamanych murach i umaiły zwietrzałe ciosy; toćto wianek śmiertelny, którym natura ustroiła skronie przeszłości zmarłéj.

Ale, wśród dumania, wśród marzeń twoich coś zadrgało w tych głazach! coś gada w tych martwych ciosach! I patrzysz i oczyma toniesz w zwaliskach, a one się ruszają, i jakieś dźwięki dziwne wionęły po gruzach, gruzy zmartwychwstają, kolumny rosną, dźwigają się majestatem, rośnie potęga kapitelów, biją wdzięczną falą linie, grają światła i cienie. To budowanie, dopiero tak skromne, drobne, teraz urosło olbrzymem! jakże wspaniałe, uroczyste, jak poważne i pełne grozy! schyliłeś czoło oddając wielkości zapoznanéj przez ciebie pokłon i cześć! Teraz cię wstyd, żeś wielkość massą mierzył, żeś ją mierzył na stopy i kroki!— Wszak na naszéj północy chodzą wieści o dziwnych obrazach malowanych: w zaśniedziałych ramach bieleje jakaś postać zapomniana, obraz spłowiały, przypylony o omdlałych zarysach; mówią też ludzie, że są pewne dnie i godzi-

ny nocne, gdy rozświecą się barwy, gdy postać ożyje, odetchnie, wystąpi z ram i odrodzona wdziękiem cudownym rozpowie dzieje swoje; lecz usłyszy, obaczy postać uroczą tylko ten, kto w łasce, kto rozumie mowę duchów — kto ma oczy ku widzeniu, a uszy ku słuchaniu. Tak, bądź w łasce, znaj się na mowie duchów, zapadnij w tych gruzach całém sercem, całą myślą, a ze starych, spłowiałych rozsypisk wystąpi piękności geniusz, i obaczysz postać jego odrodzoną wdziękiem cudownym, obaczysz ją na własne oczy twoje — ogromną, niebotyczną. Jakimże dziwem ta świątnica tak skromnych wymiarów urosła w tę wspaniałość wzniosłą, w ten majestat dumny a potężny?—Bo to budowanie jest ducha wcieleniem, bo jest harmonią skamieniałą, bo w niéj wszystkie szczegóły, każda kolumna, każdy kamień, każda linia spływa wspólnym akordem z całością; dodaj, zmień, ujmij choć drobnostkę, a już znieważysz tę harmonią, pełną tak cudownych dźwięków i obrazisz ją tonem fałszywym. Jak w organizmie luzkim, w tém arcydziele stworzenia, każdy organ, każdy członek odpowiada każdemu innemu w szczególności, a tem samém całéj budowie żyjącego jestestwa; tak téż w téj architekturze cudownéj zespolenie wszystkich szczegółów czyni z niéj organizm dziwnego zestroju, co brzmi i śpiewa, jakby one starodawne muzyki kościelne, co tak proste i rzewne, a przecież budzą wtórujące dźwięki w piersiach twoich, nawet tobie samemu nieznane. I to jest zaprawdę cała tajemnica téj potęgi czarodziejskiéj, którą ten stary budownik grecki przygrywa na strunach duszy twojéj. Bo zważ — i duch nasz jest także całością, także ogółem ·łnym treści różnéj; on jest morzem uczuć, myśli, tę-

sknot, wyobrażeń tak różnych między sobą a związanych przecież jednością harmonijną; więc dla tego też ma za mieszkanie dane sobie ciało, które, będąc również doskonałém zestrojeniem rozmaitości w jedność, jest wy rażeniem zmysłowém, godném téj harmonii ducha naszego. Stąd też to budowanie greckie jest jakby zwierciadłem duchowéj istoty; w niém przeziera się duch nasz i w niém znajduje ducha ludu, który je stworzył. Ten starodawny lud umarł dla zmysłowego świata, ale część jego wiekuista oddycha w tych głazach martwych, ona z niemi zaślubiona, ona odziała je nadziemskim urokiem; więc byleś miał oczy duchowe, a już przez organizm kamienny téj świątnicy, przez to głuche ciało głazów dojrzysz ducha, który w nich mieszka, a on cię powita jako brata w piękności; on, choć dawno umarły i zapomniany od ludzi, dla ciebie wiecznie młody, wiecznie odradzający się nieskończonym wdziękiem. Zrozumiesz tedy, dla czego ta architektura jest tak wspaniałości pełną, dla czego ona się dźwiga tak dumnym majestatem!

Widzimy także jak się tutaj w architekturze naprzód prawdzi zasada wyrzeczona o Grecyi w liście ostatnim, że w niéj duch w dziele sztuki znajduje doskonałe wyrażenie swoje jako we formie zupełnie odpowiednéj; a tak i budowanie Hellenów jest klassycznén budowaniem.

Stary Egipt przez całe swoje życie szamotał się i łamał z materyą, a łamał się z nią aż do śmierci, aby ją przezwyciężył; ztąd olbrzymie rozmiary jego budowania, ztąd ogrom straszliwy jego granitowych ciosów, ztąd chmurotyczne piramidy, a praca niesłychana, nie-

wypowiedziana męka są jedyną oznaką jego tryumfów nad martwą, głuchą materyą; lecz ta architektura jego nie jest jeszcze wizerunkiem istnym ducha, w niéj nie znajdziesz organicznéj harmonii, onego zestrojenia rozmaitości szczegółów w jedną całość. W Egipcie, równie jak w Indyach, w Chinach, nie obaczysz architektonicznéj całości; możesz dobudować drugie tyle gmachów, komnat, dziedzińców, bram; możesz zburzyć ich połowę, a całości nie pogwałcisz, bo jéj tutaj nie ma. Tak podobnie dzieje się w naturze nieorganicznéj— możesz roztrącić ów kamień, a każda część będzie także kamieniem, tylko drobniejszym. W Grecyi nie znajdziesz tych wymiarów tytanicznych, bo ona nie pragnie już grubych tryumfów nad materyą, samą tylko mocą siły fizycznéj dokonanych; te tryumfy są li ujemne, negacyjne, one są mniéj godne Hellady; jéj tryumfem jest raczéj uduchownienie głazów, zatém jéj celem jest architektura, będąca symboliczną mową jéj ducha.

I zważ dobrze, owa harmonija wszystkich części nie jest bynajmniéj harmonią dla samego tylko oka, nie jest samym zestrojem estetycznym; tu zestrój a wzajemne zestosowanie wszystkich części jest ugruntowane na technice, jest obrachowane wedle praw mechaniki, statyki, tutaj najściśléj obliczona ciężkość, moc materyału. Otóż, jak nie możesz zmienić najdrobniejszych szczegółów bez znieważenia piękności ogółu i zgwałcenia estetycznego uczucia, tak też zmiana tych szczegółów byłaby zgwałceniem praw mechaniki, nadwerężającém moc i trwałość budynku. Co tu jest pięknością artystyczną, jest zarazem techniczną potrzebą, i nawzajem: w budowaniu greckiém możesz rozumowa-

niem wyprowadzić znaczenie każdéj części. Podobnież, gdy cię uderza proporcya i piękność członków w jakiejś postaci ludzkiéj — możesz śmiało wnosić o sile i czerstwości człowieka tego. Chciéj baczyć, ta zgoda artystycznéj piękności z potrzebą techniczną jest właśnie zgodą i harmonią ducha a materyi. To zastosowanie się ścisłe estetyki a praw fizycznych natury jest właśnie powodem, dla którego architektura grecka jest wiecznie młodą i kwitnie nieskończoną nigdy wiosną; tu masz rozwiązanie zagadki, że to helleńskie budowanie nie jest bynajmniéj tylko budowaniem jednego narodu, jednéj epoki, ale jest własnością świata i wszystkich stóleciów. Tak przeto i tutaj znów wypłynęło nam zestrojenie dwóch światów, stanowiące klassyczność greckiéj fantazyi. Obaczysz w innym liście, iż nasza, tak urocza a pełna właściwych sobie wdzięków, architektura średniowiekowa jest jakby wołaniem, że duch chrześcijańskich ludów już przerósł materyą, że na skrzydłach wiary wzniósł się nad wszelkie jéj prawidła, że uleciał tchem duchowym. Stąd też ta ogromna jéj różnica od budowy greckiéj. Patrz na gotyckie śmiałe budowania: tutaj zaiste właśnie chodzi o to, aby ukryć prawa materyi, aby ona, wbrew swojéj ciężkiéj natury ku ziemi cisnącéj, stała się lekką, eteryczną; słupy w świątyniach naszych niby nie dźwigają sklepienia, one, jak pieśń nabożna, strzelają w górę, a sklepienie z nich zrywa się, rozwija się jako konary palmowe; zważ te wieże ciosowe, dziergane w koronkę; tutaj kamień przezroczysty, przez niego świeci, promieni wiekuisty błękit niebiański; te przypory ciosowe, z których, jakby ogrody boże, wyrastają kwiaty, gałęzie kamienne a igrają i bawią się wdzię-

cznym splotem budując kapliczki wysoko wzniesione na mieszkanie ludzi. W świątnicy gotyckiéj nie chodzi o naturę, bo tutaj zakryte jest stosowanie się ducha do jéj praw; tutaj znać o sobie daje swoboda duchowa, niedbająca o rzecz, ale pragnąca wyrazić siebie w rzeczy, w świecie zewnętrznym.

Spójrzyj na tę Posejdona świątnicę — lat tysiące i promienie słoneczne oblały ją barwą ciemnego złota, a koloryt ten tak ciepły i miękki, a jednak tak poważny; rysuje się ona na czystych głębokich nieba lazurach, w koło cicho i spokojnie; cała natura umilkła nabożeństwem; niekiedy tylko stado dzikich gołębi przelatuje po nad gruzy, jak przelatywały z kolei stólecia długim szeregiem, dotykając ciężkiém skrzydłem swojém świątnice ludów starych. Tu, w stolicy dawnego szczęścia i ziemskich rozkoszy, oparł się teraz na kolumnie chłopczyna schorzały w łachmankach—i żebrze; daléj na gruzach siadła matka blada, bawiąc zgłodniałe dziécię Madonną zawieszoną na szyi.

W koło otoczył uroczyste budowanie zastęp doryckich kolumn potężnych; słupce nie są wcale czczym przystrojem, one dźwigają doprawdy brzemię budowy jak bohaterów szereg, na którym spoczywają losy drogiego im kraju; a moc podpierająca tych kolumn, a ciężar cisnący najcudniéj zestrojone z sobą; praca dźwigania zaiste nie lada, nie łatwa, lecz ona im przychodzi bez męki i zbytniego mozołu; one nie mają podnoża, bo dzielne ich zgrubienie od dołu zastępuje im podstawę; lecz aby znowu ułagodzić ich butność zbyt poważną, fantazya artystyczna poprowadziła wzdłuż ich żłóbki głę-

bokie kanelury (rówki), w których mienią się światła i cienie lekką falą, a od góry głowica dzielnie występując podtrzymuje brus a zarazem wdzięcznie łączy się z okrągłym trzonem; a tak każdy słupiec jest prawie całością dla siebie i prawie sam w sobie harmonią. Te kolumny przemawiają tutaj jakby ludzką mową, duch przez nie spogląda, one są więcéj niż ciosem, niż martwym nieczułym kamieniem. Ba! wszak nawet do kolumn swoich Hellenowie, jakby do swoich bogów, przypięli legendy a mityczne podania, a tak tchnęli na nie życie indywidualne i wyraz duchowy. Posłuchajno co nam baje Vitruvius o powstaniu kolumn greckich: on, arcyprozaiczną rzymską duszą będąc, bierze za prawdę te podania i wierzy im co do litery, nie pojmując téj poezyi, co nam w nich płynie z dawnych lat. Osadnicy greccy w Jonii, powiada, pragnąc stawiać świątnice, a nie mając prawideł sobie danych, wzięli się na sposób, chcąc otrzymać kolumnę poważną, butną; zabrali się do mierzenia postaci mężkiéj, a gdy stopa mężka jest właśnie szóstą częścią całego ciała, «więc, powiada Vitruvius, uczynili kolumnę mającą te same wymiary, a tak zrodził się dorycki słup.» Innym razem znów «osadnicy, radzi widzieć kolumnę lekką, pełną uroku a strojnego wdzięku, jęli się mierzyć wysokość postaci niewiasty i jéj stopę, a tak z bezkształtnego bałwana, niby wdzięczna dziewica, wyskoczyła na jaw kolumna jońska, w której podnoże jest tylko ósmą częścią wysokości, a przystroili téż jéj głowicę w lube zwoje ślimacznic, udających jakby włosy niewieście, wijące się w drobne kędziory, a kanelury, idące po kolumnie, udają długie szaty spływające fałdami.» Otóż masz w téj powieści zaślubienie

ducha i materyi, jestto odgłos daleki postaci ludzkiéj, obłatujący nawet kolumnę grecką.

Przed laty, a jest temu bardzo dawno, umarła w Koryncie dziewczyna młoda, i była zaniesiona do grobu jako nieroztulony pączek kwiatu, od smierci podcięty; umarła dziewczyna zostawując łzy i serdeczne żale po sobie. Płakała ją też w zaciszy z boleścią rzewną niańka stara, boć ona dziécię wykołysała na ręku miłością gorącą, a płakała dniem i nocą niańka biedna, aż pragnąc ukoić cierpienia duszy swojéj chodziła po domu i pozbierała ze łzami bawidła i sprzęciki, które niegdyś najmilsze były zmarłéj dziecinie, i ułożyła je wszystkie w koszyczek schludny i z koszyczkiem poszła na grób kochania swojego, i złożyła go na grobie, a chroniąc od słoty zimowéj przykryła koszyczek cegiełką małą. Gdy atoli na wiosnę nad grobem odezwały się pieśni ptasząt, przebudziły pieśni rośliny śpiące, przebudził się też acanthus, co także był drzémał w grobie obok śpiącéj dzieciny; on ożył i puścił łodygi zielone i strzelił w liście, a liście jego objęły miłośnie koszyczek, zwijając się misternie pod cegiełką ową. Zdarzyło się, iż przechodził tamtędy rzeźbiarz Kalimach, człek, co miał w oku serce, i patrzy, i zachwycony wdzięcznym widokiem siadł i przerysował koszyczek, i cegiełkę i liście, i uczynił z tego głowicę do kolumny; i takito jest początek koryckiego kapitelu, a opowiedziałem go biorąc sobie za tło podanie Vitruviusa.

Otoż tu podchwyciliśmy grecką fantazyą na uczynku; ona z niewinnych bawidełek i z liści wyrosłych na grobowcu młodéj dziewczyny stworzyła sobie architektoniczną formę, ochuchawszy kolumnę tchem poezyi lu-

béj. Proszę cię nie myśl atoli, jakoby ten kapitel korynecki, choć strojny we formy od roślin pożyczone, był naśladowaniem natury; w Grecyi już natura przemieniona, ona tutaj jest tylko jeszcze szatą dla ducha, przezroczém lekkiém, przez które on się patrzy.

Te liście korynckie— toć nie kopia rzeczywistości, to wesołe drwinki, lekkie żarty igrającéj fantazyi greckiéj; ona uśmiechając się przetwarza sobie formy roślinne na ornament architektury. A tak i pod tym względem widać ześlubienie ducha a natury.

Hellada nie jest Egiptem, nie jest Azyą; ona wié, że kolumna nie jest łodygą, że kapitel nie jest pączkiem ani kwiatem. Dla tego Grecy równie nie lubili Karyatyd onych postaci ludzkich wyrzeźbionych, co zastępują dźwigające kolumny; im jakoś było wstrętno, duszno patrzéć się na to poniżenie form ludzkich, które przecież są ducha przybytkiem. Przepych takowy chętnie zostawiali barbarzyńcom wschodu, rzadkim tylko wyjątkiem używając postaci ludzkich zamiast słupów, bo jedynie wtedy, gdy chodziło o pamiątkę odniesionych tryumfów; a tych przykładów na palcach się doliczysz. Owe zaś Kanefory, owe dziewice marmurowe cudownéj piękności, niosące koszyczki na głowie a podtrzymujące tram w jednéj z kapliczek ateńskich, pewnie nie raziły uczucia, boć te dziewice tak hoże i wdzięczne, belkowanie zaś z umysłu uczynione tak lekkie i eteryczne, a wejrzenie niewiast tak spokojne, iż znać, że ich praca istnym żartem.

Dla instynktu artystycznego Greków wystarczyło, by samą proporcyą kolumn oznaczyć ludzką postać, a nawet płeć. Rożne zaś porządki słupów wypłynęły z róż-

nego uczucia różnych szczepów greckich. Jońska i Koryncka kolumna mają podnoża, a tak każda z nich, choć do ogólnéj całości budowli należy, jest znowu jakby całością o sobie stojącą. Dorycka kolumna zaś nie ma osobnego podnoża, ona z całym szeregiem swoich rówiennic osadzona na wspólnéj podstawie. Tak też działo się w rzeczywistym świecie; w państwach jońskiego pochodzenia rozwinęła się swobodnie indywidualność każdego z osobna obywatela, w państwach zaś doryckiego rodu indywidualność była starta; ogół brał górę nad odosobnieniem się ludzi, on był im spólną ogólną podstawą. I zważ, że gdy w Atenach tak rześko, tak świeżo i bujnie zakwitła indywidualność ludzka, więc też tutaj wcześniéj, niż w innych ziemicach właściwéj Grecyi, rozwinął się joński porządek. A lubo prawda, że w czasie najświetniejszego rozwoju sztuki pięknéj za czasów Periklesa porządek dorycki był w Atenach przeważający i dla tego właśnie tracił tam swoje wejrzenie ponure i butne, a kolumna dorycka wyzwolona z pod ucisku wznosiła się pełna swobody i nabierała kształtów wysmukłych; co więcéj, ona w arcydziele architektury owoczesnéj (w Propyleach) wdzięcznie umiała się łączyć z kolumną jońską— był to jakby cudowny śpiew męzkich i żeńskich głosów, któremi duch Hellady śpiewał chwałę swoją.

Z tych różnych kolumn, różnych szczepów, mógłbyś wywróżyć różnicę usposobienia tych ludów, różnicę ich żywota, ich losu i skonu. Te dwa porządki kolumn mają się do siebie jak Solon łagodny, a twardy Lykurg, jak Ateny a Sparta.

Patrząc na tę naszą Posidońską świątnicę, znać,

że ona wyprzedziła Periklesowe czasy, że te jéj kolumny zachowały jeszcze całą starą zadumę zuchwałą; one spoglądają na cię tak hardo i poważnie, tak są uroczystości i grozy pełne, a przecież spójrzenie ich tak rzewne i tkliwe, tak serdeczne a poruszające, że już na widok ich same ci się powtarzają w duszy słowa owego termopilskiego grobowego napisu: »Przychodniu! »powiedz Sparcie, żeśmy tu legli, posłuszni jéj pra»wom!« Ty, wędrowiec z zimnéj północy, sercem gorącém, miłością wrzącą wlałeś uczucia twoje w te głazy południowego świata, wskrzesiłeś do życia świątnicę zmarłéj przeszłości, a Poseidon, stary gospodyń domu tego, miłość miłością płacąc, życie za życie dając, przemienił nawzajem serce twoje na świątynię,— na świątynię tego, co wielkie i zacne na ziemi; on w tych piersiach twoich zamieszkał, więc też się patrzysz na to budowanie Hellady własnemi jego oczyma.

Jak Hellady serce żyło w harmonii ze światem zewnętrznym a wesołym dramatem natury, tak też jéj świątnice zwracały na zewnątrz całą piękność architektury swojéj; i ta nasza świątynia nie ukryła się wewnątrz siebie, ale zwróciła te jasne, wesołe podsienia, te kolumnady swoje do świata, na znak zgody z naturą i przymierza z ludźmi.

Stąd te podsienia zalewa radośnie powódź światłości; do nich miał przystęp ów lud mówny, ruchawy, o jasném oku a sercu wesołém, poufalący się z bogami swojemi. A pięknie też tym kolumnom, co tak uroczo rysują kształty swoje na jednostajnéj ścianie świątnicy, bo w tych ścianach nie ma okien, coby krzyżowały, nie pokoiły, bałamuciły kontury kolumn.

Gdy szerokość budynku wyrównywa prawie połowie długości jego, ztąd też te wymiary tak cudownie się miarkują i równoważą. I takąż równowagę znajdziesz w stosunku wymiarów poziomych do wysokości całéj. Tu nie obaczysz ani rozchodzenia, szerokiego rozczołgiwania się budynku po ziemi jak w Indyach, ani sennego zrywania się wzgórę piramid Egitu. Nie ma też tu przesady w przystrojach rzeźbionych jak w budowaniach nadnilowych, kędy czasem trudno zgadnąć czy rzeźby są dla budynku, czyli budynek dla rzeźby. Grecka fantazya oszczędnie używała skulptury, nie zacierając nigdy właściwéj cechy architektonicznéj; owszem ta rzeźba, również jak malowanie, jak pozłota była budownikowi tylko pomocą, by charakter każdéj części, każdego członka architektonicznego podnieść, uwyraźnić i spotęgować.

Lecz słońce, mając się już ku zachodowi, rozpływa złotem po téj ciosowéj poezyi i zapala na niéj światła różowe i pełne głębokie cienie bronzowe ; nie czas ci już prawić o tym mistrzowskim rytmie, którym sobie wtórują części belkowania, o współdźwięku, którym się odzywa brus, stropowie i wieniec. Odbuduj sobie jedynie w myśli dach, który zaiste od lat tysiąców runął. Chciéj baczyć, iż jak w Egipcie szczegółowe budynki, pilony, dziedzińce, choć należące do jednéj i téj saméj świątnicy lub pałacu, nie wiążą się..przecież w organiczną całość; tak też każdy z tych budynków nie jest całością w sobie skończoną, a nie jest taką całością już nawet i dla tego, że dach nie jest widny dla płaskości swojéj; brakuje tedy estetycznego zamknięcia z góry, uzupełnienia całości. W Grecyi, przeciwnie, wi-

dzisz dwa szczyty po dwóch węższych bokach świątnicy, i im odwrótne po dłuższych bokach dwa połacie dachu, dwa okapy; sam kierunek kalenicy tedy okazywał kierunek całego przybytku. Tak tedy pochyłość piramidalna, będąca w egipskich budynkach formą przeważającą, tutaj w greckiéj architekturze odzywa się tylko jeszcze w kształcie dachu, stała się tylko jednym z pierwiastków całości.

Zważmy, jeżeli na wschodzie, a mianowicie w Indyach, fantazya budownika, będąc bezmierném senném marzeniem, miota się i szamoce, nie znając praw rozumu, w Grecyi istnieją prawa i ustawy sztuki; ale wśród tych ustaw znowu z wolnością i swobodą porusza się geniusz artystyczny. Jest prawo, że świątnica jest domem podłużnym, zamkniętym w sobie, otoczonym w koło kolumnadą, każdy porządek ma sobie dane liczebne proporcye, a przecież fantazya może swobodnie urozmaicić całość świątnicy. Podobnie, też prawidła, odnoszące się do liczebnych stosunków i proporcyi, kładą jedynie im pewne granice (stanowią jedynie ich minimum i maximum) których przestąpić nie wolno. Dla tego, mimo tych przepisów sztuki, nie znajdziesz w całéj Grecyi dwóch świątnic zupełnie do siebie popodobnych. Tak i tutaj, jak i we wszystkich kierunkach żywota greckiego, prawo zewnętrzne i indywidualność osobista człowieka zaślubione są wolném, swobodném przymierzem; i tu nie ma ani swawoli bezuzdnéj, ani duszności krępującéj.

Wstąp teraz do wnętrza naszéj świątyni Neptuna. Ten wnętrzny przybytek spokojny, cichy jako serce zacnego starca po burzach żywota i krzywdach świato-

wych. Ziemię zasłały ogromne, zgruchotane ciosy, spiętrzone w pagóry, a na pagórach jakby na grobach wyrosły bujne krzewy kwieciste i zioła pachnące; ścigają się po nich motyle, owe maluchne zmartwychwstania wieszcze. Tam, pod ochroną długiego cienia kolumny, zasiadł samotny artysta— i on, jak widać, synem obcéj dalekiéj ziemi; pęzlem, ołówkiem chwyta wizerunek tych dziwów, by mu już towarzyszyły na zawsze przez świat. Szczęśliwy to ród tych artystów! Ich życie także motylim żywotem; kędy się roztworzy piękność barwą i wonią tam zlatują i ssą słodycze niebiańskiéj uciechy i karmią się nieskończoności kwiatem. Co piękne, co urocze a wdzięczne to jest ich ojcowizną, to ich własnością.

Jak świątynię na zewnątrz otoczyły kolumny, tak we wnętrzu, w kierunku długości, stanęły dwa ich rzędy; na nich spoczął ogromnéj potęgi brus ciosowy, na którym znowu wznosi się drugi rząd kolumn nierównie mniejszych. Dziś z tych słupów zwierzchnich pięć tylko przetrwało potrącenie stóleciów, co tędy do wieczności przegnały, inne spadły z wysoka, drzemią śmiercią wśród ziół i kwiatów. Uważ, te wierzchnie mniejsze kolumny niegdyś podpierały dach. Zapewne i tutaj ten dach, jak wszędzie w większych świątnicach dla ich oświetlenia, był w środku wycięty szeroko; w mniejszych bożnicach otwory wązkie w stropowiu wystarczały dla celu tego. Tak tedy środkowa część wnętrza miała niebo za strop, a słońce i gwiazdy patrzały się w serce świątnicy, opływając jasnością posąg boga, który się tutaj wznosił w milczącym majestacie. Ta postać jego była olbrzymia w porównaniu przybytku

samego; całe budowanie, choć pełne wspaniałości, malało, skromniało w obec olimpijskiego mieszkańca. Świątynia Hellenów nie była już pustą łupiną jak egipska, ona w rzeczy saméj jest domem a mieszkaniem gospodynia, co tu włada uosobioną potęgą.

Rozpuść raz jeszcze oczy i uczucie twoje po tych głazach, niechaj ci ta lira kamienna raz jeszcze zaśpiewa pożegnaniem, niechaj ci po raz ostatni jéj dźwięki uroczyste a lube wsiąkną w duszę, byś je uniósł z sobą kędy zimne wieją wichry, kędy natura lodami krzepnie a gorące serce w piersiach żyje. Raz jeszcze, i już na zawsze, pożegnaj przybytek ten! spójrzyj na niego po raz ostatni; a choć ci smętno i chmurno w duszy, pomnij, że i chwilka mała, co ci upłynęła w obec piękności, zaważy długie lata tego zwyczajnego, tak biednego żywota; chwilka takowa, choć przelotna, w któréj ci się udało oko w oko obaczyć piękność i rozmówić się z tém, co zacne i wielkie na świecie, jest zaiste szczęśliwém podejściem własnego losu i ogromną, niespodzianą wygraną w życiu!

I patrzysz się na tę świątynię, a trudne, a bolesne z nią rozstanie; ależ bo i jéj saméj czegoś tak smętno i chmurno, może i jéj żal pożegnać się z tobą! Może i jéj mile było i lubo, że ktoś zrozumiał tajemniczą jéj mowę; a żeś te nieśmiertelne jéj wdzięki sercem ukochał, uwielbił, żeś podsłuchał jéj ukryte, a tak głębokie boleści, stąd też i ona, przy rozstaniu z tobą, nastroiła tony żałobne wtórujące strunom duszy twojéj. Ba! téj świątnicy też smętno i chmurno; ona zaiste od urodzenia swojego, od poczęcia już ukrywa w sobie boleści głębokie! Stanęły w świątnicach bogi radością, weselem

promienne, z uśmiechem pokoju na ustach, otulone w uroki i wdzięki niebiańskie. A tym bogom rodziły się też ludy o sercu radośném, weselném— dzieci szczęścia i ziemskiéj rozkoszy. Kwiaty i wieńce i wonie składały te ludy na ofierne swych świątnic ołtarze; a brzmiały, pieśni i lutnie i tany bogom na dzięki, na cześć, za żywot tak błogi, za losy bezchmurne, za wiosenne ich dzieje, za urok tak młody. Kwitły tym ludom róże miłości, kwitły im róże na ścieżce żywota.

Lecz gdy noc głęboka samotna po ziemi, po niebie rozleje swe cienie, gdy mrokiem smętnym obejmie te wdzięczne bogów postaci, już one są tak zadumane, tak tęskne, a boleścią tak rzewną, tkliwą owiane, żeć się zdaje że ta cicha kropelka, co po ich spływa obliczu, nie jest nocnéj rosy kropelka, ale lęku i troski łza.

Czegoż te cienie, te mroki nocne tak smucą, trwożą tych bogów postaci? zkąd tym bogom ta żałość bolesna, zkąd im te lęki i tęskne przeczucia?— Słuchaj, od wieków, od wieków zapadłéj przeszłości idzie zgrozy pełna wieść —wieść, co jęczy w cichych nocnych powiewach, co szeleści w liściach oliwnych, w gajach cyprysów i laurów bogom poświęconych, co się żali w szeptach strumienia, którą nawet słyszą bogi w cichém kwiatów i ziół westchnieniu. Słuchaj co niesie straszna owa wieść! Gdy jeszcze panował rodzącym się dopiéro ślepym potęgom przyrody Kronos, ów złowrogi, chłonący dzieci swoje Czas, gdy jeszcze nie było na stolicy świata Jowisza, boga bogów, ani jeszcze żyła Hera, niebomoca pani, ani żył Poseidon morzowładny, ani żaden z jasnych niebian Olimpu, wtedy noc ciemna, bezdenna zrodziła dzieci swoje, dzieci okropności

pełne. Wystąpiła z łona jéj Ker — śmierć blada, »wichroskrzydła,« »sercołomna« smierć; a drugim ciemnym porodem nocy było Przeznaczenie, owo nieprzebłagane, nieodwrótne głuche Fatum. A zrodziła noc te straszliwe dzieci, bez małżonka, bez miłości. Ker ściga ludzi, a Przeznaczenie potężniéjsze nawet niż niebian potęga. Więc niesie wieść że ta córa nocy zamknie kiedyś w swych otchłaniach ciemnych, bezdennych całe jasne grono promienistych olimpijskich Bogów. Tę to wieść szepcą strumienie, szeleszczą liście gajów i nocne powiewy; tę wieść proroczą wyrocznie. Ztąd więc tym bogom tak smętno, tak straszno, tak rzewno i bolesno, gdy zapada noc — ich przeznaczenia zwiastuna. Bo co piękne, ze światem doczesnym jest ześlubione; co piękne, tego smierć jest przeznaczeniem!

I ziściły się straszne przepowiednie; otworem stanęły otchłanie bezdenne, ciemne, a z jasnych świątnic, pływających w powodzi światłości słonecznéj, wystąpiły bogi, a bogi smętne, żałobne; ciągną długim pogrzebnym orszakiem, za niemi płyną nieprzejrzanym tłumem ich ludy ukochane; a bogi i ludy wchodzą razem do otchłani bezdennéj, ciemnéj. Fatum jako grób, przyjęło, nocą nieprzespaną nigdy i Olimp jasny i ludzi radosnych i cały ten wdzięczny, luby świat.

Spełniły się straszne wróżby twoje, o ludu biedny! Na ciebie i na bogi twoje padło przeczucie tęskne, bolejące, że umrą bogi twoje, boć one są z tego świata bogi, bo one, jak i ty, doczesności dzieci! Chmurno ci było i smętno; bolesno i żałośno było bogom twoim, bo ciebie i niebian twoich miała otulić ciężka gruba noc. Lecz ta ciężka noc waszego skonu stała się dla świa-

ta wiekuistéj światłości zdrojem, ona stała się dla świata nocą Zmartwychwstania! stała się Wielką-Nocą! Tobie zgasły gwiazdy wszystkie, ale zapaliła się owa gwiazda Boża nad Betleemską strzechą; w onéj nocy zrodziło się świata Zbawienie!—Zbawienie z ciemnéj nieprzespanéj nocy! Spełniły się proroctwa, bo śmierć umarła śmiercią. Śmierć nie jest więcéj nieprzespanym snem, śmierć stała się żywotem.— Sama tylko pusta świątnica stoi, i duma, i marzy w upadku swoim; jéj tylko saméj bolesno i żałobno po tych jéj bogach zmarłych.

Ale nie! te bogi nie zmarły; one ustąpiły z wysokiego Olimpu, ustąpiły z rządów świata; one już nie wodzą słońca po niebie, ani rozkazują morzom, one już nie wywołują kwiatów z ziemi, ani sądzą już więcéj umarłych pośmiertnym sądem; lecz im oddane inne panowanie, inne świątnice. Te bogi wprawdzie otuliło nocne fatum bezdenne, one zniknęły z żyjącego świata; ale o dziwy! dwanaście stóleciów przeszumiało ciężko nad ludzkim rodem,— dwanaście długich stóleciów,— wtedy bogi powstały z długiéj sennéj niemocy, podniosły się z ciemnicy grobowéj, a nie wróciły już do Olimpu, lecz zostały z nami,— z nami na ziemi; one zebrały się w piękności świątyniach i tam, odziane marmurową bielą, stanęły posągiem na wzniosłém podnożu; tam promienią się i świecą wdziękiem nieskończonym. Patrz, tam w wiekuistéj Romie dźwigły się watykańskie pałace i Świętego Piotra gród, a obok apostolskiéj stolicy, w samych watykańskich pałacach dziś zgromadziły się dawne Olimpu mieszkańce w bogato dla nich ustrojonych przybytkach. Wiara z miłością użyczyła

przytułku wiecznie żyjącéj piękności dawno zapadłych ludów.

Zaprawdę, w owéj Wielkiéj Nocy dokonane było, co drgało poczuciem w tych starych ludach, bo i w nich żyła wiekuistości wróżba, a świata zbawienie poruszało się w sercu zapadłych narodów i dawało znać o sobie to widmem senném, to tęskném marzeniem i przemawiało przez usta proroków; o niém wieszczyły Sybille natchnione i tajemnicze wyroczni słowa. To przeczucie zbawienia tak pukało w duszy ludów i ubierało się w poezyą ich mitów, jak młode serce dziewczyny, nie zaznawszy jeszcze miłości, przeczuwa ją atoli we wróżbie uczuć i w postaciach fantazyą stworzonych, jak lekkie obrazy i gry porannego snu wyprzedzają prawdę jawną i rzeczywistości pełną.

W Grecyi chodziła z pokolenia do pokolenia dziwna wieść, co ją zrodził lud przeczuciem z głębi ducha swojego i odział fantazyą najcudniejszéj poezyi, a wieść, jako mit uroczy, żyła w ustach i piersiach ludu. Hezyod wyspiewał ten mit proroczy swojéj arfy dźwiękami, a Eschylus uosobił go i unaocznił w tragedyi.

Wierzył helleński lud wiarą serca, że w zaraniach ludzkiego rodu biedził się twardo z życiem człowiek, że na myśli jego cisnęła ciężka pomroka »więc patrzał a nie widział, i słuchał nie słysząc,« powiada starowieczne podanie.

Ulitował się atoli rodu ludzkiego jeden z Tytanów, ów światłodawca Prometeusz, boć w trwożne serce człowieka zaszczepił choć złudne pośmiertne nadzieje, a śpiąwszy się w niebo, uniosł zazdrośnym Bogom ogień niebiański, i światłem nadziemskiém rozjaśnił ludzkiéj

duszy ciemnice. Człowiek przejrzał: więc zaznał siejby polne i nauczył się jak wschodzą i zachodzą gwiazdy, jak zrozumieć wróżby rzeczy przyszłych i jak proroczy ptasi polot; a wiadomość wszelka i sztuka wszelka wstąpiła w głuchą myśl człowieka. Lecz zawistny ludzkiego szczęscia Zews (Jowisz) zemstą nieużytą rozkazał przykuć Tytana do samotnéj skalnéj iglicy odsadzonego od świata Kaukazu, i nasłał nań sępa, który wiecznie mu rozdzierał wiecznie odrastające wnętrzności. Cała natura wkoło przychodziła chorem żałośnym płakać nad przeznaczeniem dobroczyńcy ziemi; wystąpił z przepaści ciemnych Okeanos wodowładny i bałwany zagrzmiały żałośnym jękiem, i przypłynęły rzeki i zdroje westchnęły stroskaniem, a ile ludów zamieszkało świętéj Azyi równiny, tyle bolesnego współczucia, tyle było łez wylanych w ofierze; nawet Tartaru otchłanie i urwiska nocne jego odezwały się głuchym smętkiem. Prometeusz trwał w cierpieniu, bo jasném przeczuciem widział, że i Jowisza doczesne jest panowanie, że i on runie ze stolicy rządów nad światem.

Przepłynęły stólecia po stóleciach, przeleciały lat miryady a Prometeusz cierpiał nieskończone i niewypowiedziane katusze. I znowu umierały i rodziły się nowe stólecia w mękach bez granic, aż z Jowisza, najwyższego króla Olimpu i Alkmeny, śmiertelnéj niewiasty, zrodził się Herkules; ztąd też dwojaki w bohaterze tym ważył się pierwiastek: ojcowski unosił go ku bogom, gdy pierwiastek po matce zatrzymywał jeszcze na ziemi, nakazując cierpienie i twarde pasowanie się z życiem i pracę, trudu pełną, by się nieba dosłużył i aby

się stał jako jeden z bogów. Tak żywot jego jest pasmem poświęceń krwawych i trudem trudów. Herkules, jeszcze dziecięciem będąc, dał świadectwo przyszłości swojéj dławiąc dwoje wężów w kolebce niemowlęcéj; a gdy wyrosłszy na młodzieńca stanął na rozdrożach żywota, już odwrócił się od dziewicy, wabiącéj przelotną ziemską rozkoszą, a poszedł za drugą, co, polecając ścieżkę cierniów i boleści, zwiastowała mu tryumfy nieśmiertelne.

Przeszedł światem bohatér wśród zwycięztw, okupionych walką a cierpieniem i stanął pod Kaukazem. Poznał go Prometeusz,— a poznał że właśnie ten najukochańszy syn Zewsa będzie zbawcą jego. Pomodlił się bogom strzałosławny Herkules i przeszył krwiożerczego sępa, i wybawił z mąk Tytana i wyzwolił z długowiecznych katuszy: a Prometeusz na oznakę swojéj winy i pokuty uwieńczył czoło koroną oliwną i nadział na palec pierścień żelazny, jako przebytego jęctwa znamię. I znów poszedł Herkules przez świat szeroki, by wyswobodzić człowieczy ród i przemógł hydrę stugłową i ludożercze rumaki i srogie szaleństwem woły, i lwy zajadłe, i potwory, co na poły ludzkiéj, na poły zwierzęcéj potęgi:— Tak padło pod ciosami jego, co tylko tchnęło chucią zmysłowéj natury; i przemógł też Cerbera, stróża ohydnego piekłów i wywlokł go na jaw dzienny. Cięższym atoli trudem nad te wszystkie prace były cierpienia, które wytrzymał Herkules oddając się w służby poniżające, a posłuszeństwo dobrowolne z ubliżeniem zacności swojéj.

Zwalczał Herkules trudy po trudach, aż znalazł w bolesnéj śmierci ukoje ziemskich prac. Małżonka

Dejanira krwią niecnego centaura Nessusa skropiła szatę białą bohatera, by go oczynić miłością wierną na wieki. Zatruta krew potworu, zrodzonego z młaku materyi, żarem jadu paliła członki; Herkules zrzuca z siebie zdradną szatę, lecz z nią zdarł zarazem poszarpane ciało swoje,— ciało doczesne przystępne jadom doczesnym. Przeto, na górze Oeta sam wzniósł sobie stós ofierny i wśród płomieni umiera oczyszczon z zuzelic ziemskich; umiera atoli samą tylko śmiercią tuteczną, bo na płonące ognie stosu spuszcza się obłok, a Herkules, uniesiony do nieba, został zaślubiony z Hebą, młodości wiekuistéj boginią, z oną wdzięczną cześnicą bogów nieśmiertelnych, co im nalewa napój wiekuistéj radości i niebiańskiéj uciechy. Sam jeden Herkules ze wszystkich ludzi wzięty jest do Olimpu, on sam jeden stał się rówiennikiem niebian z cierpień i dosługi.

Tak w téj staréj Herkulesowéj mitycznéj wieści znajdziesz w połączeniu niebiański i ziemski pierwiastek i tryumfy ducha nad chucią zmysłową; tu widzisz uzacnioną materyą, ciało duchem świecące,— obraz człowieka łamiącego się z życia trudem o wieńce wiekuiste. Przecież to wszystko jest dopiéro marzeniem nocném pierwiastkowéj, nieprzebudzonéj jeszcze Historyi ludzkiéj; są to widma, wróżące we śnie o nowym żywocie, co się kiedyś zrodzić miał w dziejach świata! są to przepowiednie o zbawieniu rodu ludzkiego, zamknięte jeszcze w pączku bożego kwiatu! W tych proroctwach sennych a poczuciach duch nie jest jeszcze duchem w sobie; on jeszcze zmysłami oczyniony i odziany jeszcze powłoką cielesną, choć uzacnioną, promienistą! Ta stara wieść, niby fosforescencya duchowa a

błędne nocne światełko, miała zgasnąć za nadejściem porania prawdy, a wschodem niebiańskiego słońca.

To podanie pradziadowe o Herkulesie było wyrażeniem istoty greckiego ludu, owéj harmonii ducha a ciała uzacnionego poświatą jego, téj istoty będącéj zestrojeniem treści wiekuistéj z formą uwidomioną w materyi. I dla tego ten Herkulesowy mit jest sztuki i piękności zwiastunem. Bo i piękność jest wiekuistością odzianą we formy materyi, i ona dwoistego jest pierwiastku: jeden z nich z nieba, drugi z ziemi pochodzi. I piękność wybawiła świat z grubéj źwierzęcéj ochoty i przemogła dzikie materyi potęgi; i dla tego ona zostawia zwłoki ciężkie na poniżach natury a wyswobodzona ogniem od doczesnych zuzelic, ciałem przeczystém unosi się do Olimpu: tam żyje w wiekuistéj młodości, w niezamąconém weselu. Zrozumiesz przeto, że podanie o Herkulesie dziwnie się nadawało greckim wieszczom i artystom.

»Zgruchotany, sponiewierany do ostatka, bez rąk, »bez głowy, bez nóg pojawia się nam posąg ten; lecz »kto zdolen wpatrzyć się w tajemnicze tonie sztuki, »obaczy go w promieniach dawnéj piękności jego. Mistrz »w tym Herkulesie wykonał ideał wzniesiony nad zwy»czajną przyrodę, a ideał przyrody nieskończenie wyż»szych stóleciów, spotęgowanéj do szczęśliwości nie»bian. Ta jego postać pojawia się nam oczyszczona »z doczesnych pyłów, zasiadająca nieśmiertelnością w po»śród bogów stolicy.« Temi słowy zachwycenia zawołał niegdyś Winkelman, gdy ujrzał owe marmurowe dziwo, ów okruch posągu, który dziś zowiem *belwederskim torso.*

Z gorącą czcią w sercu, z niemém milczeniem na ustach wstępujesz w progi Belwederu w Watykanie Rzymskim. Przed tobą bieży galerya, jakby ulica sklepiona długości nieprzejrzanéj. Ona dziełem nieśmiertelnego Bramante. Wspaniale, a przecież lekko sklepi się nad galeryą strop; strop lekki, eteryczny, by cię nie cisnęło tęsknotą to olbrzymie budowanie. Choć cię Rzym nazwyczaił do ogromnych wymiarów, choć cię wyuczył mierzyć rzeczy ludzkie na lat tysiące, na wielkości światowładne, choć cię oswoił ginąć okiem w niedościgłych przestrzeniach ręką ludzką zbudowanych, choć w tym Rzymie wszystko, na co kiedyś patrzałeś i co kiedyś przesunęło ci się myślą, kurczy się w karła, toć przecież ten korytarz z całym rzędem nieprzeliczoych okien swoich przemawia do ciebie, jakby ustami długich wieków.

Pochód tą galeryą jest iście podróżą. Od dołu, od góry, z prawéj i z lewéj, wzdłuż ścian cisną się grobowce, popielnice, napisy, sarkofagi, jedne puścizną pierwszych chrześcijan, inne nieme świadki starych pogańskich stóleciów. Zatrzymujesz się niekiedy słuchając rzewnéj mowy cichych głazów, ale cię prze do pośpiechu jakiś niepokój wewnętrzny. Na inną chwilę zostawując te pomniki stare, udajesz się w dalszą pielgrzymkę, i znów daléj a daléj towarzyszą ci ciżbą nowe szeregi napisów, pomników, grobowców. Daleko jeszcze przed tobą ciągnie się ta galerya, teraz widzisz atoli już wyraźnie jéj granice; tam schody marmurowe wznoszą się ku bramie żelaznéj, przeźroczystéj, zdobnéj, ale do końca galeryi, do tych stopni jeszcze daleko. Na uboczy pod ścianą, siadł na stołku prosto-duszny syn

Alpów, gwardzista szwajcarski; halabardę średniowieczną oparł o sarkofag, hełm złożył na posadzkę; i strojno mu i dobrze w téj sukni opiętéj, uszytéj ze skrawów błękitnych, żółtych i czerwonych wedle rysunku, jak prawią, Rafaela; szwajcar podkarmioną świecistą twarzą ziewając patrzy i na te pomniki dawne i na podróżnych gości. I znów daléj się puszczasz wzdłuż korytarza, i teraz już przy ścianach obok siebie, nad sobą ustawione posągi, popiersia, grupy, postaci bogów i bogiń, bohaterów. Te stoją hardo opierając się na sobie, te spoczęły zadumane, owe witają cię z uśmiechem na ustach, te z obłokiem gniewu na czole; jedne pomniejsze, inne kolosalne. Nakoniec minąłeś i ten Olimp kamienny, już stanąłeś w końcu galeryi. Ze stopni wspaniałych rzuciłeś jeszcze spójrzeniem na przebieżoną drogę, jakby na całe długie życie, któreś przewędrował przez szereg lat. Wstępujesz po za ową bramę kraciastą, a objął cię w koło przysionek niewielki, lecz poważny jak kaplica piękności, pełna prostoty a dumy szlachetnéj. W środku téj świątniczki na sześciennym głazie jakby na ołtarzu: Torso belwederski! kadłub — od ramion odtrącone ręce, od kolan nogi, z głowy pozostała tylko część szyi, i piersi nawet uszkodzone; na podstawie wyryte słowa: «Apollonius syn Nestora z Aten.»

Jest to zaiste Herkules spoczywający, bo o tém przekonywa skóra lwia na któréj siadł, a dziś już bystrość badawcza odkryła, że przy nim stała druga postać, pewnie Hebe; więc bohater już do nieba wzięty, już świecący w chwale niebiańskiéj po przebytych trudach, po boleściach. Ten okruch posągu jest całym światem piękności! on zdrojem marmurowym, co bije krynicą ni-

gdy niewyczerpanych rozkoszy duchowych. I obchodzisz do koła ten cud wdzięków najwyższych, a wpatrujesz się w każdą linią, w każdy ruch, w każdy ton tych muszkułów, co tu występują to potężnie i silnie, to miękko i łagodnie. Jakże pełne wysokiéj prawdy te słowa Winkelmana, gdy w dalszym ciągu tak o tym torsie prawi: »Niechaj artysta podziwia zarysy tego ciała, jakto te formy jego nawzajem z siebie wypływają, »i jak one niby fale to wzbierają, to niżą się, by się »znów z sobą spoić i zlać harmonią. Pozna artysta że »niezdoła być pewien siebie gdy się zabierze do odry»sowania tych cudownych kształtów; bo gdy mu się »zdawać będzie, że już, już dojrzał kierunku jakiejś for»my, że mu się już tylko trzymać jéj biegu, a jużci nie»dostrzeżonym zwrotem forma zlekka zboczy i z cza»rodziejska złudzi i oko i rękę jego.

Stajesz to z téj, to z owéj strony, a co raz to nowe niewidziane piękności budzą ci się w tym zimnym marmurze, a z każdą chwilą wzmaga się magia, która cię trzyma i czaruje. Radbyś wykąpać oczy tym urokiem nadziemskim, by je na zawsze uświęcić na służbę piękności, byś siebie samego wychrzcił ze wszelkiéj skazy i zmazy tutecznéj, byś serce twoje wyzwolił od pyłów powszedniego żywota. I zaiste, głos wewnętrzny ci szepce, żeś w téj chwili urosł nad siebie, żeś wyszlachetniał: jakże w téj chwili najczystszéj uciechy zdają się być marne i drobne te troski, te biedy, które cię tak bolały w żywocie twojém! Rzekłbyś, że duch, przebywający w tym posągu, tchnął w serce twoje, że ten cichy jego majestat nadświatny rozniecił w tobie przeczucie onéj błogiéj nieskończonéj spokojności po-

śmiertnéj, zagrobowéj! I stajesz i wielbisz starego mistrza, który w tym Herkulesie i siebie uwielbił i uwielbił zacność ludzkiego ducha.

Lecz serce nasze ludzkie za słabe, by zniosło na długo wielkie rozkoszne wrażenia, jak nie znosi długo głębokich boleści. Stąd radbyś pofolgować wzruszeniu, przerwać uczucia; w przysionku, na przeciw Torso, na uboczy postawiona z marmuru ławeczka, na niéj siadasz, byś duchem odetchnął, Spójrzałeś oknem na zieloną tak artystyczną rzymską naturę; zlekka kołyszą się mirty dziewicze, ciemne pinie, smętne cyprysy, laury harde i kwitnące oleandry; w dali, w przezroczy różowéj rysują się cudowną falą sabińskie góry. Znów oczyma do przysionku nawracasz. Iście ten Rzym, toć stolica dziwów, wiecznie nowych, wiecznie się rodzących. Na przeciw siebie, za Torso, obok ściany, widzisz sarkofag ciemny, pełen grozy; on zdobny fryzem doryckim, między tryglyfami róże, na nim napis: Corn. Lucius. Scipio. Barbatus.— Scipio! i on walczył z trudem żywota, a łamał się ze światem pełen chwały!

I znowu czarem pociąga cię do siebie torso, i znów duchem w nim toniesz; zdaje ci się że duch twój a ta postać w jedno spłynęły! Co kto przejdzie, stanie w milczeniu; nikt się nie waży dotknąć nawet ledziuchno dzieła tego, bo każdy, choćby nieświadomy sztuki, instynktem czuje, że ten ułomek jest własnością wszystkich stóleciów, wszystkich narodów, że jest klejnotem całego ludzkiego rodzaju. Już tędy przeszły i przechodzić będą, niby rzeką, długie fale różno-językowych pokoleń, a każdy z wędrowców zatrzymuje się tutaj z hołdem i podziwieniem, i choćby już wiele, wiele razy był wi-

dział Herkulesa tego, nie opuści Rzymu, by mu po raz ostatni nie oddał pożegnalnéj czci. A tęskno ci a boleśno, gdy cię uderzy myśl, że i na ciebie niezadługo przyjdzie rozstania chwila!

Już podobno nie ma czego prowadzić cię po innych skarbach Watykanu; ten torso, ten kadłub zgruchotany wystarczy nam za wyobraźnika najwyższéj piękności rzeźby greckiéj.

Ale, skąd téj greckiéj rzeźbie ta magia nadziemska, co cię unosi po nad własną istotą twoją? Skąd tym posągom ta uroda niebiańska?— Lud Hellenów jest arcymistrzem nad wszystkie ludy powszechnéj Historyi. Ale co więcéj! ze wszystkich znów rodzajów sztuki, rzeźba jest sztuką Grekom właściwą, ona jest ich sztuką żywotną, narodową. Prądem pełnym światłości uderzyła dusza Hellenów w skulpturę, w niéj się zbierając jako w ognisku swojém; uboczne tylko promienie padły na architekturę, malarstwo i poezyą.

Prawda, że te Greków świątnice, ich malowane obrazy i mozaiki ich wieszcze jaśnieją po przez wieki, rozświecając ducha prawnuczych pokoleń, rozgrzewając ich serca wzorami najwyższych, najczystszych wdzięków; toć przecież stolicą żywota Grecyi, najświętszém jéj sercem jest rzeźba. Widzisz tedy, zkąd przyszła tym posągom ta magia nadziemska, ta uroda niebiańska: oto, że cała potęga ducha Hellady wstąpiła w skulpturę. Ztąd też także architektura tutaj była organiczną całością, niby ledziuchném przypomnieniem ciała organicznego, które właśnie jest główną osnową rzeźby; stąd też ów lekki oddźwięk postaci ludzkiéj odzywającéj się nawet w kolumnach greckiego budowania.

Ujdzie ci, choćbyś porównywał Shakespeara, Dantego z Homerem i Sofoklesem lub Eschylem, nasze tumy gotyckie ze świątnicą Hellenów, bitwę Konstantyna w Stanzach Rafaela z bitwą Aleksandra na mozaice pompejańskiéj, ale Thorwaldsen sam nie śmiałby się równać z arcydziełami rzeźby greckiéj,— a Canowa? temu źle się przysłużono umieszczeniem w Watykanie jego Perseusza w sąsiedztwie Apolina belwederskiego i Laokoona. Słusznie ktoś rzekł, że »wieki i ludy, idące po »Grekach, wyrobiły sobie właściwą architekturę, oso»bną i wielką szkołę malarstwa i muzyki, zrodziły so»bie właściwą rodzimą poezyę; ale co do rzeźby są tyl»ko słabymi naśladowcami i uczniami Greków.« Fantazya Hellady jest wskróś plastyczną.

Pytasz atoli, dla czegoż znowu skulptura jest tą sztuką od Grecyi wybraną i ukochaną nad wszystkie inne, dla czegoż właśnie ona a nie inna stała się formą a wyobraźnikiem jéj duchowego żywota? Wiele o tém rozprawiano i szeroko pisano. Może mnie się uda choć w krótkich słowach porozumieć się z tobą; co tém snadniéj nam przyjdzie, jeżeliś się zgodził na zdania objęte we wstępie poprzedniego listu.

Wiesz, że istotą ducha Hellady, że piętnem jéj fantazyi jest owo zestrojenie ducha a materyi, owe pełne miłości zrękowiny nieba i ziemi. W tym współdźwięku dwóch światów, żadna strona nie przeważa; tutaj duch przenika materyą wiekuistą poświatą swoją, a nawzajem natura staje się powłoką przejrzystą ducha. Wszak to porównanie tych dwóch potęg było właśnie powodem, że Grecya, choć wiedziała o duchu i znała

go być osobą, toć jednak nie umiała jeszcze pomyślić ducha bez ciała. Właśnie dla tego jéj bogi obok niebiańskiéj istoty odziane są ziemską naturą; wiesz również, że to doskonałe równoważenie się treści i formy, ducha i materyi stanowi klassyczność sztuki greckiéj. Lecz z tego wszystkiego wprost wypływa, że dopiero postać ludzka jest najwłaściwszym przedmiotem dla fantazyi Hellenów. Bo cielesność człowieka iście już sama przez się jest ducha przybytkiem, więc objawem osoby; tutaj istotnie brzmi harmonią zestrojenie onych dwóch swiatów, ducha i materyi, nieba i ziemi, wiekuistości i doczesnego żywota. Postać ludzka, jéj ruchy i rytm, jéj fizyognomia i postawa, owa tajemnicza muzyka ciała—są odgłosem ducha obecnego we formach widomych cielesności. Stąd idzie też ogromne znaczenie, jakie miało u Greków ciało rzeczywistego, żywego człowieka, a zarazem poznać możesz, że doprawdy ono było osnową najwięcéj odpowiednią artystycznéj fantazyi Hellady. Tak tedy się dzieje, że architektura, lubo brzmi w Grecyi w tak cudownych formach, nie mogła być przecie sztuką odpowiednią w zupełności usposobieniu Hellady; budowanie nie wyraża jeszcze w zupełności ducha, nie objawia go wprost; jest ono dopiero symbolizowaniem jego i echem dalekiém. Dzieło architektury nie ma jeszcze własnego swojego ducha, w niém dopiero żyje duch pożyczony od mistrza, który je stworzył. Sama świątnica nie wyraża osoby, sama świątnica bez niebiańskiego mieszkańca jest dopiero głuchą łupiną, piersią upiora bez serca. I dla tego właśnie ludy wschodu, stojące po niżéj Grecyi, a mianowicie Egipt, były dopiero ludami budownikami; bo nie znając ducha

istoty, nie wiedząc go być osobą, w architekturze znalazły dostateczne, wystarczające wyrażenie swoje.

Zgodzisz się tedy już ze mną, że architektura nie była sztuką najwłaściwszą dla fantazyi Greków, i że raczéj sztuka, mająca za osnowę postać człowieka, nierównie więcéj była odpowiednią ich artystycznemu usposobieniu. Spytasz się jednak, dla czegoż takową sztuką właśnie miała być koniecznie rzeźba, gdyż przecie i malarstwa najzacniejszym celem jest ludzki kształt z całym dźwiękiem tonów duchowych odzywających się w nim. I spytasz daléj, czém się to dzieje, że wieki późniejsze, a mianowicie ludy chrześcijańskie nie miały również celować w rzeźbie, boć to przecież na łonie wiary Zbawienia dopiero wypiastowała się wiedza o istocie duchowéj, o znaczeniu duchowém osoby?— Wytłómaczę się, ile zdołam najkrócéj.

Jakoż widzieliśmy, że w Grecyi chodzi o zestrojenie ducha i materyi, o zupełną równowagę tych dwóch światów, wypada tedy, aby duch nie przemagał nad materyą, aby ona zachowała istotę swoją. Istotą zaś materyi jest jéj byt w przestrzeni, więc trzy wymiary przestrzeni, zatém wysokość, długość, szerokość; daléj istotą materyi jest ciężkość. W malarstwie zaś, w obrazie malowanym ta istota materyi ginie; obraz jest-li powierzchnią, ma tylko dwa wymiary: długość i szerokość, a ztąd same przedmioty malowane mają jedynie wymiary zmyślone ale nie rzeczywiste; milowe oddalenia, skrócenia, perspektywa, ciężkość, cienie i światła i t. p. są tutaj jedynie złudzeniem zmysłów, są jedynie idealne, duchowe, istnieją tylko dla widza, ale nie mają rzetelnego, materyalnego istnienia. Ta przewaga

duchowości nad materyą w malarstwie okazuje, że ten rodzaj sztuki będzie mniéj właściwym dla Grecyi, która jeszcze równoważy ducha i materyą, a stanie się rodzajem sztuki właściwszym dla ludów chrześcijańskich; boć w nich materya jest przemożona, starta, a duchowi wyrosły wiekuistości skrzydła. A cóż dopiero muzyka! w któréj przestrzeń przypomina się tylko jeszcze drganiem muzycznego narzędzia i dygotaniem powietrza, onego jakby duchowego pierwiastku cięższéj materyi. Muzyka, która jakby nie z tego świata zrodzona, która jakby aniołem, co nas wita przelatując do nieba, będzie zaiste po nad wszystkie inne sztuką chrześcijańską.

W rzeźbie, przeciwnie, znajdziesz wszystkie trzy wymiary właściwe przestrzeni, zatém materyi. Tutaj ducha zmateryalizowanego ciałem widzisz przed sobą, możesz się nawet dotknąć jego form czarownych. Tutaj oddalenia, skrócenia, kształty, nie są złudzeniem, ale rzeczywistością, a cienie i światła nie są udane, ale są rzetelne, same się rodzą. A ciężkość? — Ba, tu nie tylko materya, nie tylko ten marmur lub spiż ciąży, ale sam posąg ciąży na sobie, na swoich członkach, on sam opiera się na sobie. Słowem, co tu widzisz, to jest rzeczywiście; co istnieje dla ciebie, dla ducha, toć istnieje i zewnątrz ciebie i materyalnie; tak i pod tym względem jest zgoda ducha i materyi, — człowieka wewnętrznego a zewnętrznego świata. A gdy w Grecyi właśnie chodzi o wyrażenie ducha w cielesności, stąd tutaj piękność i forma ciała jest głównym warunkiem; przeto też drapperya nie ukrywa cudności tych form, lecz właśnie służy, aby wyświecić ich urok i najwyższy wdzięk.

Chciéj baczyć, że w tém całém rozumowaniu nie miałem bynajmniéj na celu przeczenia, jakoby wieki chrześcijańskie nie szczyciły się wieńcami chwały Michała Anioła lub Thorwaldsena, albo jakoby Hellada nie wykwitła arcymistrzami malarstwa; chodziło mi raczéj o wskazanie dążności artystycznéj, przeważającéj we dwóch światach, tak wskróś różnych od siebie. Ten splot wieczności a świata fizycznego w sztuce plastycznéj Greków jest powodem, że potęgą cudowną rzeźby ich bogi uwidomiły się na ziemi; wszak i bogi są nieskończonością uzmysłowioną; stąd one ubłagane mistrza fantazyą spuściły się z wysokiego Olimpu, stanęły wśród ludzi i pojawiły się oczom śmiertelnym.

Właśnie atoli dla tego, że skulptura była sztuką wybraną, najukochańszą Greków, stąd też Hellada cała się jéj powierzyła, w nią wlała całą miłość swoją, w niéj złożyła całe własne życie i wszystkie tajemnice duszy swojéj. Nie dziw tedy, że rzeźba w Grecyi żyła długą nieprzekwitłą wiosną, odradzając się ciągle arcymistrzami nowymi, że ona przetrwała wszystkie inne sztuki Hellenów, że przeżyła nawet byt polityczny ich ojczyzny. Dawno już owa Roma nieużyta, harda i twarda położyła brzemię miecza swojego na pełnéj wdzięku Helladzie; dawno już dawno i poezya nawet z ostatnim lutni dźwiękiem umarła na ziemi i uleciała w nadświatne krainy, by w nich przeczekać długą, kilkunasto-wiekową noc, co miała paść grubą, ciężką ćmą na ludzki ród. Przeczucie smutne cisnące serce świata niby zły sen, niby mara, dręczyło duszę zwolna konającéj Grecyi; wtedy sama jedna skulptura została z Helladą, jakby matka u śmiertelnego łoża najukochańszéj

swojéj córy i przebyła z nią cierpienia i boleści wszystkie; i pocieszała ją długo jeszcze szeregiem postaci marmurowych bogów, co świeciły pięknością wśród tęsknego mroku, a bogi zstępowały na smętną ziemię jako wspomnienia przeszłości wielkiéj chwały, uczuć dawnych i upłynionych dziejów. Nie było już pieśni radości, wszystkie tony przebrzmiały w głuchocie. Po ziemi Hellady wdziękiem uświęconéj, teraz gruzami zasłanéj, grzmiał jedynie pochód ciężki, spiżowy rzymskich legionów. Lecz geniusz Grecyi, zanim się uniósł do nieba Historyi, jeszcze długie lata przemieszkał w cichéj nadziemskiéj piękności tych posągów; one śnieżne, bez skazy, z uśmiechem innego świata, broniły długo jeszcze ród ludzki od rdzy barbarzyństwa, a uzacniając nawet onych synów od wilczycy karmionych, chroniły długo jeszcze Historyą od wrogiéj potęgi nadchodzącéj już nocy.

Uważ, że co było u Greków powodem tego przeważnego znaczenia skulptury, stało się też powodem owéj ogromnéj wartości, jaką miały u nich postać i ciało rzeczywistego żywego człowieka. Piękność i urodziwość ciała uchodziły u nich za zasługę, dla tego też gimnastyka stała się tak celnym warunkiem greckiego wychowania; lecz ona nie była bynajmniéj owém samém rubaszném ćwiczeniem muszkułów i kości i pięści, gotującém obrońców, gdy o płatne pójść miało; zacniejsza strona gimnastyki imała się duszy człowieka, ucząc młodzież jak wyrobić estetycznie, muzycznie ciało, aby cała postać i wszystkie jéj ruchy stały się ducha wyrazem, aby osoba cała była żywym posągiem, do bogów podobnym. Kto tego dokazał, nazywał się u Greków mu-

życznym człowiekiem. Gdy zaś te bogi same są wiekuistością uwidomioną w najwyższéj piękności, cóż już dziwnego, że ułożenie, że ruchy pełne wdzięku, że taniec ściśle się łączył z obrządkiem religijnym i z ofiarą, którą człowiek czynił niebianom swoim. Zaiste wiele ludów starych odprawiało tańce na cześć bóstwa, ale sami Grecy, ów lud-artysta, zaprawdę znał istotę prawdziwą jego. Tutaj, pod tym głębokim nieba błękitem, a przecież wiecznie promiennem, jasném,— tu, w ojczyźnie wszystkich wdzięków, taniec był zaiste sztuką piękną, bo był rzeczywiście wcieleniem nieskończoności ducha i odbiciem nadzmysłowego świata; tutaj duch a natura, bo ciało, zaślubione wieszczém natchnieniem, równoważyły się harmonią artystyczną. Dla tego też nie tylko nogi, ręce, były wyjawieniem wiekuistéj treści człowieka, ale i głowa i oblicze i całe ciało splatało się mimiką i pantomimą cudowną.

Dla tych to właśnie ślubów ducha i cielesnéj postaci, uczuć i natury, taniec nie przekraczał nigdy naturalności granic, nie znieważał gwałtami zadanemi ciału przyrody jego, i z téj to właśnie przyczyny taniec grecki jest sztuką piękną; a z tego także właśnie powodu, balet nam spółczesny jest często raczéj sztuką łamaną, przeistaczającą te szlachetne formy ludzkie na fruczki, kołowrotki, sadząc się na skoki desperackie i na to wszystko, co jest wbrew przeciwne piękności przyrodzonéj. Wszak i między naszemi towarzyskiemi tańcami znajdzie się i taki co jest jawném świadectwem barbarzyństwa naszego czasu, taniec, w którymby się nawet nie puścił i Faun grecki bez ubliżenia sobie.— Faun grecki!— W muzeum neapolitańskiem jest Faun

z bronzu, znaleziony w jednym z pompejańskich domów. Kto widział, przyzna, że ani w Paryżu, ani w Wiedniu, ani w Londynie, ani w Warszawie nikt piękniéj nie tańcuje jak ten wisus mały. Jakaż to lekkość, jaka nieskończona gracya w téj drobnéj figurce! To ułożenie jego, ta fizyognomia tak jest pełna radości, iż ci się już serce śmieje, gdy się patrzysz na tego malca. On cały piosenką wesołą; to anakreontyk, to cały świat uciech i szczęśliwości niczém niezamąconych. On wcale z twarzy nie ładny, ani też bardzo młody; owszem, znać po nim, że już wiele w świecie nadokazywał; ależ jakże on zgrabniutki, jaki śliczny! jaki on kontent z siebie i ze świata! Ta radość a wesele, rozlane na całéj jego postaci, od stóp do głowy, występuje w każdym muskule, w każdym ruchu, więc on też może dla tego taki piękny i wdzięczny. Wszak on blizkim sąsiadem onych tanecznic Herkulańskich, onych małych obrazków, co się stały podziwem ludzi. Dziś te małe obrazki zblakowały, przygasły, ale któraż ze sławnych dam tańcujących dziś po Europie w baletach przewyższyć je zdoła! A jeżeli która z pań tych istotnie porywa poezyą swoich ruchów, toć zapewne o tyle, o ile się zbliża w pojmowaniu tańca do Greków, o ile, nie hołdując panującemu smakowi, prostuje go raczéj, ucząc świat, czém jest taniec, jako sztuka piękna.

Ideał rozwija się w duszy mistrza obrazem z natchnienia zrodzonym; i ideał rośnie, wzmaga się, wznosi się w toniach twórczych mistrza, aż mu zaboli w duszy, aż mistrz, folgując wewnętrznym cierpieniom, wcieli ideał w duchu poczęty, to w rzeźbę, to w malowanie lub architekturę, lub wypuści go z piersi na

świąt uskrzydloną pieśnią. Gdy atoli ideał jednym gromem uderzy w duszę, gdy w jednéj chwili płomieniem ogarnie całego człowieka, gdy owładnie, uchwyci, jakby czarodziejską potęgą, własną osobę jego, wtedy ruch wewnętrzny duszy występuje na jaw poruszeniem ciała, a ideał wciela się w taniec. Wszak ruch jest zmianą przestrzeni odbywającą się w czasie, a zmianą czasu w przestrzeni. Stąd ruch uduchowniony wyraża się jako przestrzeń pięknością linii, a jako czas rytmicznością (taktem). Jak taniec w ogólności jest harmonią ducha i ruchów ciała, tak piękność linii tych poruszeń i ich rytmiczność w każdéj jednostkowéj chwili objawia się harmonią wszystkich członków. One wszystkie zatém razem tworzą w téj chwili artystyczną całość, kompozycyą, one są jakby jednym widomym akordem. Następnie znów wszystkie odmiany ruchów, we wszystkich po sobie upływających chwilach, zlewają się znowu w jedną całość wielką, w jedną wielką kompozycyą.

Taniec u Greków jest zdoprawdy rzeźbą żywą, uwidomioną poezyą, muzyką niemą, stąd też towarzyszy mu pieśń i dźwięk lutni. Spadanie i wznoszenie się tonów muzyki wciela się w poruszenia ciała, a rytm lutni jest ich miarą i prawem. Lecz gdy muzyka wtóruje tanom, toć nawzajem i taniec towarzyszy muzyce. Muzyka podnieca, podsyca duszę ogniem niebiańskim, by wystąpiła na jaw ruchem ciała; przecież znowu rytm muzyczny trzyma dzikie potęgi natury zmysłowéj na wodzy, miarkuje je i łagodzi, by te moce bezprzytomne przyrody nie buchły ślepą, niezacną ochotą.

Gdy taniec jest wystąpieniem na zewnątrz wewnę-

trznego człowieka, przeto też Hellenowie najczęściéj tanom towarzyszyli śpiewem, bo i on wytryskuje z głębin wewnętrznych, z duchowego zdroju, jest tedy właściwszym dla człowieka, niż muzyka wydobyta na martwém narzędziu, która zawsze jest czémś obcém i cudzém i niby zewnętrznem.

Widzieliśmy w liście poprzednim, jak Hellenowie, jak ten lud-arcymistrz nadawał nawet sprawom codziennym fizycznego życia artystyczne piętno, jak nawet naczynia i sprzęty, służące potrzebom powszednim, za dotknięciem się jego ręki przybierały postać estetyczną; otóż podobnie umiał on sobie upoetyzować i prace i roboty zwyczajne, mające na celu zaspokojenie potrzeb przyrodzonych. Każda z tych prac miała piosenki osobne do siebie zastosowane, a każda z nich była również przedstawioną sobie właściwym tańcem; były tańce udające winobranie, żniwo, pieczenie chleba i t. d. Takiego drugiego ludu już nie będzie na świecie; on sam siebie umiał wyrobić na arcydzieło piękności, on sam z siebie uczynił pieśń uroczą, posąg pełen wdzięków cudownych. Ta gracya postaci ludzkiéj, ten instynkt ułożenia stały się zaiste wonią całego ludu Grecyi; on potém przeszedł do Italii i spadł pradziadowémi dziedzietwem na spółczesne nam ludy Włoch; patrz, jak ów transteveranin rzymski, okryty gałgankami, trzyma się, jak on stanął lub jak usiadł. Miałby mu czego pozazdrościć nie jeden elegant krajów północnych, kędy już dziś nawet do arcyrzadkich dziwów należy, jeżeli kto umie porządnie chodzić.

Nie będę ci prawił o Orchestyce, o owéj wyższéj sztuce tańców w Helladzie, byłaby to zbyt obszerna

osnowa. Lepiéj podobno uczynimy, jeżeli puścimy, choć mimochodem, oczy w ściany domowe Greka i obaczymy, jak się bawił, gdy się z przyjaciołmi zebrał na ucztę wesołą. Tutaj żywcem uchwycimy artystycznego ducha tego ludu, a o to właśnie najwięcéj nam chodzi. Nie braknie nam też materyałów, mamy je nawet z piérwszéj ręki, a z jakiéj jeszcze! Oto, z pióra Platona i Xenofonta; każdy z nich opisał biesiadę takową, a na każdéj z nich był obecny Sokrates, ich nauczyciel wspólny. Piérwszy z nich wieszcz-filozof urósł nie tylko swojéj Grecyi, ale wszystkim ludom i krajom i stóleciom, ba, całemu rodowi ludzkiemu na chwałę. Wszak to nasza dzisiejsza Europa, wykluwając się z ciemnic średniowiekowéj myśli, świeciła przed obrazem Platona dniem i nocą lampy, obchodząc jakoby święto odrodzenia swojego, a zarazem chcąc uczcić pamięć wielkiego męża, i sama pochwalić się zachwyceniem, którém rozgorzała dla olbrzymiego geniuszu jego. Xenofon również jak i Plato był uczniem Sokratesa. Gdy Plato potęgą mądrości natchnionéj uchwycił mistrza swojego porozrzucaną ułomkami naukę i z niéj dźwignął budowę — wysoką, — a tak wysoką, że aż w niebo zaglądała; Xenofon wprawdzie nie został filozofem, bo jakoś zbyt z żołnierska zabierał się do spekulacyi, ale za to stać go było na co innego. Oto, któż nie słyszał o odwrócie dziesięciu tysięcy Greków! Otóż to właśnie był ten sam Xenofon, który ich, krajem obcym, manowcami przez kilkaset mil zwycięzko przeprowadził. Wyznaj, że to wódz nie na żarty! Gdy boje ucichły, Xenofon zawiesił szablę na ścianie domowéj, bogów świątnice ustroił w laury zdobyte i zabrał się do pióra i jął się

pisać historyą. Dokonał też arcydzieła na wzór wszystkim wiekom. Wszak dziś, po dwóch tysiącach lat z okładem, młodzież po szkołach uczy się na jego książce i długo się jeszcze na niéj uczyć będzie kunsztu pisania historyi. Wiązała też Xenofonta cześć serdeczna do Sokratesa; on się nie nauczył od niego filozofii, lecz nauczył się zacności prawego, niczém niezachwianego żywota. Wszyscy też w Atenach wiedzieli, jako Sokrates, co to także nie czczy teoretyk, raz w krwawéj bitwie widząc Xenofonta powalonego dzidą z konia, wziął go na barki, a odcinając się tłumnym nieprzyjaciołom mieczem, wyniósł z ciżby. Odsłużył mu się też nawzajem Xenofon. Nie mogąc odeprzeć wyroku, którym był Sokrates na śmierć wskazany, wystąpił z całą uczciwą odwagą broniąc czci i sławy swojego niesłusznie potępionego nauczyciela.

Dość już tych przedmów, wypiszę ci najważniejsze ustępy z Xenofonta malującego ucztę, na któréj był i Sokrates obecny. Żal mi, że cię nie mogę uraczyć tłumaczeniem całego opisu, bo to rzecz bardzo długa: niechaj ci tedy wystarczą te pojedyncze kamyki kosztowne, które ci podaję, domyślisz się z nich całego obrazu téj mozajki prześlicznéj. Wyimki te chciéj uważać za dosłowne tłómaczenie.

Zaczyna Xenofon opis swój od wyrazów: »mniemam, że wieczystéj pamięci są godne nie tylko poważne sprawy wielkich mężów, lecz że warte zachowania i to wszystko, co czynią na żart i zabawę; dla tego tutaj publicznie ogłaszam rzecz, na którą sam się patrzałem!«

Zaiste i dla nas rzecz ciekawa i wielce zajmująca

wejść do sali jadalnéj tych starowiecznych ludzi i patrzyć się na nich i słuchać, co rozprawiali przy obiedzie, dwa tysiące trzysta lat temu.— Scena w Atenach, we dworku nad morzem.

W Atenach żyje Kallias, człek bogaty, lubiący wyprawiać obiadki literackie.— Otóż zdarzyło się, że przyjaciel jego, młody *Antolikus*, przecudnéj urody młodzieniec, odniósł nagrodę na wyścigach konnych. Kallias, pragnąc uraczyć zwycięzcę, zaprasza go wraz z ojcem na ucztę, a gdy mu zarazem przyszła myśl zaszczycenia domu swojego obecnością ludzi znakomitych, bardzo mu było na rękę, gdy obaczył grono mężów słynnych po przez Grecyą całą, stojących razem, rozmawiających z sobą o sprawach ważnych i zajmujących kraj cały. Był to Sokrates, Kritobulus, Xenofon, Antysthenes i kilku innych. Co się tyczy tego Antysthenesa, przypominam ci, że on był wprawdzie początkiem szkoły Cyników, ale proszę, byś go nie mieszał z onemi obszargańcami starożytnego świata, u których niechędóstwo moralne i fizyczne a bezczelność stanowiły całą filozofią, obyczaje zaś uliczne i dowcip brukowy całą mądrość. Antysthenes był iście postacią zacną i szlachetną, daleką od wszelkiego baragulstwa. Kallias zbliża się tedy do onego kółka, wzywa na obiad do siebie, puszczając się więc w komplementa powiada: »wierzajcie mi że będę ucztę moją za nierównie świe»tniejszą uważał, gdy mężowie czystego serca bytno»ścią swoją przyozdobią dom mój, niż wtedy, gdy przyj»muję u siebie dowódzców jazdy lub takich, co gonią »za dostojeństwy.« Oni też, trochę się podrożywszy, poszli. W końcu obiadu wstępuje do sali jadalnéj aktor

ze Syrakuzy, mając z sobą wyborną flecistkę, dalej tanecznice, a nakoniec pachole przedziwnéj piękności. Chłopczyna ten tak już cudownie przygrywał na cytrze i tańcował z tak niewypowiedzianym wdziękiem, że goście unosili się z radości.

Wtedy *Sokrates* do gospodarza: »Jak mi Zews miły, do»skonale nas podejmujesz, bo i obiad przewyborny a teraz »jeszcze uraczasz oczy i uszy najwyższą przyjemnością!«

—*Kallias* »pozwólcie proszę, bym kazał jeszcze »przynieść pachnącéj wody, radbym was woniami »uczęstować.«

—*Sokrates* »daj temu pokój!— zostawmy pachnidła »niewiastom, ot zdałoby się dla córek naszego Kritobu»la, zwłaszcza iż, jak słyszę, te panienki za mąż idą. »Lecz co do nas, chciejmy zważyć iż lada kto może skro»pić się wódką pachnącą, a jaki taki może pod tym »względem wyrównać najzacniejszym ludziom. Już to »dla nas mężczyzn nie ma zapachów wyższych, jak »woń czynów szlachetnych; tą jedynie oznaczyć się »możemy nad innych.«

Tymczasem trwały tańce urocze, a te ruchy młodéj tanecznicy zachwycały wszystkich.— *Sokrates*, wpatrując się w wyraz duchowy jéj postawy, w harmonią artystyczną jéj poruszeń, zawołał:

»Przypatrzcie się dobrze téj dziewczynie, a przy»znajcie, że kobiety w niczém nie są niższe od nas. »Ich zalety przyrodzone zaiste wyrównywają naszym. »Kto tedy z was ma żonę, niechaj ją kształci, a może »być pewien, że się wszystkiego nauczyć zdoła!«

—*Antysthenes*— »Jak to! i tyż to tak mówisz! dla »czegoż sam nie wyedukujesz sobie wprzód twojéj Xan-

»typpy, dla czegoż żyjesz z kobietą najnieznośniéjszą »ze wszystkich, które są, będą i były na świecie?«

—*Sokrates*, »Jużcić to prawda! nie ma co mówić!— »Lecz zważ,—ja pragnąłem nauczyć się obcowania »z ludźmi,—wybrałem sobie zatém tę niewiastę, bo »myślałem, że jeżeli mi się już uda znieść taką żonę, »toć mi z innymi ludźmi pójdzie jakby z płatka.« ..... »Ale cóż wam się zdaje, czyli ten chłopczyna nie sto»kroć piękniejszy w tych poruszeniach wdzięcznych, »niż wtedy, gdy w miejscu spoczywa?«

—*Charmides:*— »Ty cóś wysoko cenisz sobie ta»niec, Sokratesie!«

—*Sokrates;* »I wielce, bo widzicie, jak to całe cia»ło, nogi i ręce i szyja i głowa wchodzą do gry, a tak »wszystka postać nabiera giętkości wdzięcznéj.« .... »Ot, wiesz co Syrakuzaninie, jabym się chciał tych po»ruszeń i kroków od ciebie wyuczyć!«

—*Syrakuzanin*: »A tobie co po tém?«

—*Sokrates:* »Jak Zews żywy, tańcowałbym!«

—Uśmiechnęli się wszyscy, bo każdy wyobrażał sobie tańcującego Sokratesa, co i podeszły i słynny ze szpetności swojéj i z tuszy obwisłéj i t. p.—Sokrates, sam wytykając te niedostatki swoje, na poły doprawdy, na poły żartem dowodzi, że właśnie dla sprostowania tych niedostatków ciała zdałby mu się taniec, nakoniec woła:

—»Otóż macie tutaj obecnego nam Charmidesa, py»tajcie go, czy mnie dziś rano nie zastał tańcującego.«

—*Charmides:* »Na Zewsa, prawda! wyznaję, żem »się z razu nie mało przestraszył, byłem pewien, że »cię cóś złego opadło. Gdym jednak później słyszał,

»jak zdrowo a mądrze rozprawiałeś, więc przyszedł-»szy do domu, nie tańcowałem wprawdzie, bom się te-»go nigdy nie uczył, ale machałem przynajmniéj rę-»kami na wszystkie strony.«

—*Kallias:* »Pamiętajże Sokratesie, proszę cię, daj »mi znać, gdy się będziesz miał uczyć tańcować, będę »chętnie twoim współuczniem.«

Tak wśród ciągłéj muzyki i tańców toczyła się żartobliwa gawęda, przeplatana niekiedy i bardzo poważną i bardzo głęboką rozmową. Nakoniec, na wniosek Sokratesa, stanęło na tém, aby każdy z kolei wyznał, którą ze swoich zalet najwięcéj sobie ceni.

—Bogaty *Kallias* chwali szczodrość, bo powiada, że »ona wśpierając ubogich uprzedza złe rodzące się naj-»częściéj z biedy i nędzy.«

Nikerat: »Ojciec mój, pragnąc mieć ze mnie uczci-»wego człowieka i wychować w cnotach i prawości, »dopilnował mnie, abym się nauczył Homera. Otóż ja »umiem całą Illiadę i całą Odysseę na pamięć; i to »właśnie ważę sobie najwięcéj ze wszystkich przymio-»tów moich. Homer śpiewał o wszechrzeczach ludz-»kich,—kto tedy z was chce być doskonałym gospoda-»rzem, albo rządzcą, albo wodzem, ten niechaj się »mnie trzyma, a ja mu doradzę.«

—*Kritobulus:* »Wszak nieraz przysięgaliście, żem »bardzo piękny i urodziwy, a wam wierzę, bo was mam »za ludzi rzetelnych i uczciwych. Wiedzcież o tém, »żebym ja téj mojéj urody nie ustąpił za całe ogrom-»ne państwo Wielkiego Króla (perskiego);—bo piękno-»ścią można wpłynąć wszechwładnie na ludzi, piękno-»ścią zdołamy wpoić w nich miłość do pracy, do umiar-

»kowania, do wstydu i dodać im męztwa w ciężkich »potrzebach. Ja uważam tych za szaleńców, którzy »nie wybierają sobie chętnie pięknych ludzi na naczel- »ników wojskowych! Wiecie, że ja się gniewam na noc, »która ciemnością zasłania mi Kliniasa, który tak prze- »cudnéj urody, a z całéj duszy wdzięczen jestem słoń- »cu, że mi pokazuje jego postać uroczą! Wyższąby dla »mnie było przyjemnością oddać wszystkie moje mająt- »ki Kliniasowi, niż przyjmować od innych skarby..... »Powiadacie, że uroda wnet przemija, ale ja wam po- »wiadam, że kto był pięknem pacholęciem, będzie i »młodzianem i mężem pięknym, i w późnym wieku »nie straci wdzięków swoich. Wszak wiécie, że dobie- »rają najurodziwszych starców, by nieśli gałązki oliw- »ne przed pochodem uroczystym, i t. d.—i t. d.«

Otóż masz gorącą apoteozę piękności! — powiedz, za coby miano człowieka, któryby się w naszych cza- sach podobnie odezwał? Zdanie Kritobulusa było pra- wie powszechném przekonaniem u Greków: wszak Kro- tona wystawiła Filipowi posąg jedynie za to, że był tak prześliczny.

Sokrates: z kolei uważa, że »najwyższą zaletą »w człowieku jest sztuka jednania sobie serc ludzkich »i wiązania ich między sobą wzajemną przyjaźnią, bo »tym trybem można wiele dobrego na świecie dokonać.«

Tak następnie ciągnie się rozmowa, która się koń- czy na sporze pełnym dowcipu, żartów i konceptów między szpetnym Sokratesem a urodziwym Kritobulem: Sokrates dowodzi, że jego nos zadarty, oczy wystające, usta duże i t. p. odpowiadając jak najdoskonaléj prze- znaczeniu swojemu, są arcydziełami natury i że są prze-

to nierównie cudniejsze niż cała piękność Kritobula. Nie mogąc go przekonać, żąda sądu i głosowania: padły kréski za Kritobulem.— »Sędziowie przekupieni!« zawołał Sokrates.

Tymczasem przy gawędzie, muzyce, tańcu i winie, coraz to głośniejsza wrzawa i gwar, wszyscy mówili razem a mało kto słuchał. Wtedy *Sokrates*: »Ponie»waż wszyscy radzibyśmy mówić, więc zaśpiewajmy »razem!« i zaintonował piosenkę wesołą.

Gdy zaś tanecznica w końcu zaczęła wyprawiać jakieś sztuki łamane, wtedy *Sokrates* do Syrakuzanina:— »Prawda, że to są rzeczy trudne i dziwne, ale czyli »maganie koziołków, a skakanie przez miecze dobyte »są miłém dla widza? czyli jest wdzięczniejszém niż »wejrzenie na ciało kwitnące pięknością i pełne spo»kojnego powabu? Słuchaj, ja mniemam, iż gdyby ta»necznicy twoi wykonywali mimiki przypominające »nimfy, gracye i Hory, toćby im łatwiéj przychodziło, »a nam sprawiłbyś widok uroczy i stosowniejszy dla »uczty.« Zgoda! odrzekł tamten; więc na zakończenie biesiady odegrano pantomimę: »Spotkanie się mło»dego Bachusa z kochanką swoją Aryadną na wyspie »Chios.« Przedstawienie było tak czarujące, zaloty kochanków tak pełne wdzięków, że goście patrzący zagrzmieli pełnym, hucznym oklaskiem; uniesieni najwyższém zachwyceniem, głośnym okrzykiem oddali piękności hołd.

Podziękowawszy serdecznie gospodarzowi, wrócili jedni pieszo, drudzy konno do domu.

»Tak się skończyła ta uczta,« powiada Xenofon.

Z uczty opisanéj przez Platona, pozwól, bym choć

jeden przywiódł zarys:— Agathon, młody poeta, otrzymawszy wieniec' za napisanie tragedyi, w radości serca wyprawia gody, zaprasza na nie przyjaciół swoich, do których należy i Sokrates. Biesiada trwa trzy dni. Drugiego dnia Sokrates nakłonił towarzyszy, aby pili z umiarkowaniem. Gdy wszyscy bawią się wesoło, ale spokojnie, wpada do świetlicy jadalnéj Alcybiades już nieco podochocony. Widząc wszystkich trzeźwych, rad był ich wznieść z prozaicznych nizin rozsądku i postawić na wysokości własnego natchnienia. Bierze puhar do ręki, ogłasza się królem biesiady, pije z kolei do wszystkich, pomija atoli Sokratesa, mówiąc: »tego nie warto zaczepiać, praca stracona, bo chociażby spełnił najrzęsistsze puhary, nie zmieni się i będzie zawsze jeden i ten sam.« Udało się też Alcybiadesowi:— wszyscy z kolei zasnęli na wezgłówkach. Budzą się dopiéro na zajutrz z rana, a z wielkiém podziwieniem spostrzegają Sokratesa, jak sobie stał najspokojniéj z puharem w ręku, rozmawiając z Arystofanesem, owym sławnym pisarzem komedyi;— rozbierali oni głęboko istotę tragedyi i komedyi, a mianowicie pytanie, czyli ten sam człowiek może być zarazem wielkim autorem tragedyi i komedyi. Potém, jakby nigdy nic, Sokrates udał się wprost do swoich dziennych zatrudnień.

W tych moich wypisach, choć tak niedostatecznych, nie znajdziesz zaiste ani wyrazu, któryby nie był potwierdzeniem tego, com dotychczas powiedział o usposobieniu artystyczném Greków, tego nadzwyczajnego ludu. Obejdzie się tedy bez komentarzy, bo zrozumiesz powód dla którego te ustępy przytoczyłem, choć w skróconéj treści.

Zważ tylko jeszcze, ten Sokrates nie jestże wskróś Hellenem, ten cały jego stosunek do życia powszedniego, do natury, do obyczaju, nie jestże wierném wyrażeniem i przedziwném odbiciem téj harmonii cudownéj wiążącéj treść duchową z całym zewnętrznym światem? A treść duchowa w tym Sokratesie zaważyła ludzkość, ona była ogromna, olbrzymia. Ta treść, zrodzona w duchu jego, stała się, jak już rzekłem, nową epoką wykluwającą się w ludzkich dziejach; stała się onym nawrótem ogromnym świata do wewnętrznych głębin duchowych. Nauka, co płynęła z ust Sokratesa, usłała ścieżki dla wiekuistych prawd, które po trzech stóleciach miały odrodzić człowieka i wyświęcić go na pracownika bożego zakonu. Powiedziałem już dawniéj, że silnie a potężnie biło wielkie serce tego człowieka, a w toniach jego ducha szeptały głosy jakiejś na pół zrozumiałéj wyroczni;— lecz to serce, które w nim tętniło, było zarazem sercem świata, sercem całego ludzkiego rodu,— a te głosy, które w nim szeptały, były mową ducha Historyi. Ten duch ludzkich dziejów wszechobecny, choć rozlany po wszechistnieniu, choć wszędzie przytomny, jeszcze milczał, odezwał się jedynie w duchu Sokratesa, w przeczystém sercu jego. Ten Sokrates był dziejów wybrańcem, a zapłacił też życiem to wybranie swoje.

Widziałeś jakim on był na tych biesiadach z przyjaciołmi swoimi; on, choć tak wielki a niebotyczny, nie jest pysznym, hardym pedantem,— a zaiste nie jest hardym, bo jest prawdziwie wielkim człowiekiem. On czuje po ludzku; on jest chętnym uczęstnikiem darów zwyczajnego żywota, a tak mile umie podzielać uciechy

ludzi powszednich! Ale już w téj chwili, gdy z ust jego płyną żarty lekkie i ironia uprzejmości pełna, i słodycz serdeczna, już około głowy jego, przez historyą na śmierć namaszczonéj, opływała aureola wybrannictwa jego. Jakoż on z tąż samą słodyczą na ustach i lekkiém sercem umierał. Kochał to życie i kwiaty jego, a przecież nie chronił się skonu, choć mógł go uniknąć; on umarł, bo uważał, iżby było nieprzyzwoicie niechcieć umrzeć, gdy padł taki na niego wyrok współziomków jego.

Gdy w przybytku duchowym tego człowieka położone były ostatki jednéj epoki a zawiązki drugiéj, następnéj,— gdy w nauce jego wyrzeczony był nawrót umysłu ludzkiego ze świata zewnętrznego do własnych głębin duchowych; stąd też ta nauka, mimo wiedzy samego Sokratesa, była zwiastunem skonania pierwiastku żywotnego Grecyi, bo owéj harmonii wewnętrznéj treści a zewnętrznego świata, owéj harmonii, stanowiącéj właśnie piętno fantazyi klassycznéj, greckiéj.

Grecya i fantazya jéj umarła na filozofią Sokratesa, lubo on sam w życiu towarzyskiém swojém był jeszcze tak wierném wyrażeniem a prawdziwém odbiciem onéj cudownéj harmonii. Lecz o tém obszerniéj jeszcze pomówimy w liście najbliższym.





LIST XXII.

Grecya.

(Dalszy ciąg).

Poezya grecka.— Jéj charakterem jest plastyczność.— Bliższa cecha poetów greckich.— Homer i świat jego.— Lira grecka.— Tragedya grecka.— Tragedya w Helladzie jest wróżbą jéj skonu.— Znaczenie Tragiczności w świecie greckim i nowożytnym. - Eschilus – Sofokles.— Euripides oznaką blizkiego skonu.— Arystofanes.— Sokrates i Arystofanes.— Grecya umiera na filozofią Sokratesa.— Epikureizm, Stoicyzm i Sceptycyzm u Greków.— Sokrates i Antygona Sofoklesa.— Filip i Alexander Macedoński.

Pamiętasz zapewne, że mi w tych kilku listach bynajmniéj nie chodzi o to, abym ci rozwinął obraz historyi sztuki; wziąłem jedynie na siebie obowiązek skreślenia w kilku lekkich rzutach dziejów fantazyi; i ztąd mniemam, że to wszystko, com dotychczas o Grekach powiedział, mogłoby już zupełnie wystarczyć, zwłaszcza żem nieco za obszernie się rozpisał, mówiąc o architekturze i rzeźbie Hellady, a tak wyjaśniłem, jakoby przykładami, pojmowanie nasze o jéj fantazyi. Uwolnisz mię przeto zapewne od bliższéj charakterystyki jéj malarstwa i muzyki, ale za to pozwolisz że jeszcze dodam tu kilka słów o poezyi Hellenów. Trudno

ją pominąć milczkiem, boć to jest poezya, która odrodziła nowożytną Europę. Grecya umarła niby dziewica młoda, złożona z wiankiem kwiatów do grobu. Lecz wianki kwiatów, choć w grobie, nie zwiędły nigdy, a lutnia Grecyi, uniesiona do nieba przez geniuszów piękności, tam zawieszona na obłoku, niedowidziana z poniżów ziemskich, przeczekała w milczeniu siedemnaście stóleciów. Gdy atoli nocne ćmy wieków średnich, rozwiane tchem ducha historyi, pierzchnęły ze sceny świata, a dzieje ludzkie znów zaświeciły wiosną młodą, kwiaty wyrosły z grobu, a lutnia owa, dawno zapomniana, ożyła i zagrała z nadziemskich wysokości— jakby skowronek zadzwoniła z pod obłoku na zaranie, na podziw światu i serdeczne wesele. W sercu słuchających ludów odezwały się pieśni echem, niby muzyka nowa a przecież jakby kiedyś dawno w młodości słyszana; a dusza ich, pięknością odmłodniona, nurzyła się w falach tych tonów, jakby w piérwszéj kąpieli po odrodzeniu swojém.

Dziwne to losy téj Grecyi,— poezyą był jéj żywot, poezyą jéj skon i rodzenie. Na szczytach stromych północnych, w dolinach głębokich Tracyi i Tessalii urodziła się poezya Hellenów. Tam, na wzniosłych Helikonu przyczołach zabrzmiała owa cudnowdzięczna pieśń siostr dziewięciu, a gdy muzy śpiewały o prym, Helikon skalny, uchwycony czarem tonów, unosił się ku niebu; ale zatrzymał górę w polocie i utwierdził ją na ziemi Pegaz; a kędy uderzył nogą rumak skrzydlaty, trysnął z Helikonu hipokreński zdrój,— zdrój co daje wieszczom natchnienie, co ich unosi do stolicy nieśmiertelnych Bogów. Na téj północy Orfeusz zaśpiewał cześć

i wielbienie Bogom, a Hezyod uczy Helladę o Bogów zrodzeniach i wiąże wieści o losach w jeden wieniec akordem swéj lutni, bo oni kapłani i wieszcze swojego ludu. Lecz wnet ożywcze, świeże, górskie powiewy zaniosły na południe Helleńskie te pieśni; więc na nizinach, na wyspach, na jońskich pobrzeżach zagrała poezya, jakby na strunach Apollina — śpiewnego boga,— wszędzie budząc drzémiące w kwiatach pieśni, a pieśni, owiane ciepłem jasnego bezchmurnego nieba, rozwinęły się wonnym poezyi ogrodem.

Pierwsza Jonia zabrzmiała Homerowym śpiewem — Iliada i Odyssea wyniańczyły bohatérskiego ducha Grecyi; w nich wieszcz kapłanem i filozofem i prawodawcą zarazem. Dziś pytają się nawzajem, badają i radzą, azali rzeczywiście istniał jaki Homer? Czyli może nie było nawet więcéj Homerów? Otóż te pytania i badania dowodzą właśnie, czém była poezya u Greków: ona żyła w sercu, we krwi, ona żyła w powietrzu; śpiewała w drzewach, szeptała w strumieniach, gadała w ptakach; poezya była wszędzie obecną, żywą. Iliada, Odyssea, ba, cała poezya grecka była warunkiem żywotnym Hellady, a zarazem objawem koniecznym jéj żywota. Ona rosła, kwitła, nie siana, nie sadzona; sama strzeliła z serc, z ziemi; ona należała do natury tego kraju i tego ludu. Stąd też ten lud zaśpiewał,—zaśpiewał z wolnych szerokich piersi, z całéj duszy, bo nie straszyły go więcéj mary fantastyczne, bezmierne a rozpłynne, rozwiewne Indyów, ani grobowe zagadki w granitach egipskich zaklęte. Hellada odetchnęła całemi piersiami i zaśpiewała, bo nie mogła nie śpiewać. Ta poezya sama siebie zrodziła, powstała bez wzorów, lubo się stała wzorem

dla wszystkich późniejszych stóleciów, powstała bez prawideł i reguły, nie była więc bladém, wymokłém dziecięciem rozumowania i krytycznego rozbioru. (*).

Z drugiéj strony atoli nie była to już fantazya opojona bezprzytomnym szałem Wschodu, który nieobecny sobie szamoce się podniecany marzeniem sennέm. Hellada śpiewała z natchnienia, ale ten zachwyt nie był nasłańcem ślepych a ciemnych potęg natury, on był darem idącym z jasnych wysokości Olimpu, był nawiedzeniem bogów. Więc wieszcz grecki, choć uniesiony zachwyceniem, nie tracił siebie; w nim przemieszkiwał duch, co obecny sobie miarkuje i mierzy i waży sprawy swoje. Tutaj duch i natura, treść i forma, przedmiot zewnętrzny i człowiek wewnętrzny wiążą się w dźwięczną jedność; poezya grecka jest wskróś plastyczna, i toć jest główną jéj cechą.

Wytłumaczę się, ile możności mojéj, jeszcze dokładniéj z téj plastyczności. Rzekłem powyżéj, że plastyka, że skulptura jest sztuką, będącą ze wszystkich rodzajów sztuk najwierniejszém odbiciem artystycznego ducha Grecyi i jéj fantazyi, zatém znać, że i poezya Greków jest jakby rzeźba, że ich postaci poetyczne są jakby posągi. Że tak istotnie rzecz się ma, krótkie zastanowienie się wyjaśni. Okazałem bowiem powyżéj że malarstwo jest sztuką nierównie więcéj należącą do wewnętrznego człowieka, niż skulptura. Jakoż wymiary,

(*) Ob. Co do Literatury starożytnéj Małeckiego „Prelekcye o Filologii" Kraków, 1851, daléj dzieło, które skreślił K. O. Müller, Bernhardy, Herrmann, Petterson, Schöll. Dla początkujących miłośników literatury greckiéj najwięcéj godne polecenia dzieło Munka. Jakoż co do literatury starożytnéj najwięcéj zasługi dziś położyli filologowie Niemieccy.

oddalenia, kształty, cienie i światła i t. p., które widzimy w obrazie, są tylko udane, są tylko malowane, one nie istnieją zdoprawdy w obrazie, ale przemieszkują tylko w nas, w człowieku, w wewnętrznym przybytku naszym. Rzeźba zaś to ma do siebie, że jéj formy, oddalenia, światła i cienie i t. p. istnieją rzeczywiście, że nie są złudzeniem, że przebywają w dziele sztuki, w przedmiocie samym zewnętrznym. Choć i malarstwo, równie jak rzeźba, winno mieć oczy i dusze otwarte dla natury, inaczéj atoli, jak widzisz, zachowuje się malarstwo do zewnętrznego świata, a inaczéj rzeźba. W plastyce treść duchowa, wewnętrzna najściśléj zaślubiona jest formie materyalnéj; ta treść wewnętrzna nie istnieje duchowo, ale przemieszkuje w przedmiocie zewnętrznym, widomym, dotykalnym; w posągu dotykalną, zmateryalizowaną jest myśl i treść duchowa mistrza. Lubo tedy w rzeźbie duch przeistacza tę rzeczywistość zewnętrzną, tę naturę, tę postać żywą na ideał, na dzieło sztuki, toć jednak nawzajem i ta rzeczywistość, ta natura nie wypuszcza go na chwilę z objęcia swojego: ona mu się ciągle przypomina, wiecznie przemawia do niego stając mu żywcem na oczach. A gdy plastyka właśnie odnosi się do téj rzeczywistości, więc też rzeźba potężniéj, niż którykolwiek inny rodzaj sztuki, chroni ducha, by nie puścił się luzem, by nie zbudował sobie we wnętrzu swojém światów osobnych, nic będących w żadnym związku z rzeczywistością, z przedmiotem rzetelnym, z postacią żywą. Rzeźba ma przedewszystkiém oczy otwarte na świat rzeczywisty.

Jeżeli tedy mówimy, że poezya Hellenów jest plastyczną, do rzeźby podobną, rozumiemy pod tém wyrażeniem,

że ona najściśléj wiąże się z rzeczywistością; ona z jednéj strony idealizując w pieśniach swoich przedmiot zewnętrzny, wzięty ze świata rzetelnego, uświęca go na dzieło sztuki, z drugiéj strony uzmysławia po mistrzowsku treść duchową, wewnętrzną. Ta poezya grecka oddycha przeto w przedmiocie rzetelnym, jako w świecie prawdziwym, jako w żywiole swoim, nie odrywając się nigdy od niego. Wieszcz grecki nie zna nowożytnego cofania się duszy w siebie, nie zna tego utonienia w cichych tajniach piersi, kędy rodzą się mistyczne przeczucia, kędy szepcą tęskne głosy nieznanego świata; on nie zna owego niezgłębionego morza uczuć i osobistych sentymentów, które w każdym człowieku mogą być inne, bo nie zostają w żadnym związku ze światem rzeczywistym, zewnętrznym, który dla wszystkich jest jeden i ten sam. Grekom atoli za to obcą była ta uczuciowość, tak często chorowita, która się chowa w głębi duszy, jakby przed świętokradztwem zewnętrznego świata.

Zaiste, jak już dawniéj rzekłem, szczęśliwym Grekom nie było jeszcze znane owo ogromne a pełne boleści rozdwojenie między światem wewnętrznym a zewnętrzną rzeczywistością. Owe radośne zrękowiny ducha i natury, serca a rzetelnego świata — będące, jak wiesz, istotą Hellenów, — uczyniły ich ludem artystą, nacechowały ich fantazyą i uświęciły ich poezyą. U nich co w sercu to w lutni; tu nie było ciemnych duszy zagadek, tu nie było treści, którąby była li wyłączną wieszcza własnością; on nic dla siebie nie zachował w piersiach swoich, on wszystko z siebie wyśpiewał pieśnią; cała treść jego wystąpiła uzmysłowioną na jaw jasny,

stała się widoczną, dotykalną jakby rzeźba, posąg. A nawzajem co życie, co świat podawał, owa cała bogata treść rzeczywistości stała się poezyi osnową i zaświeciła w jasności ideału. Stąd treść wewnętrzna równa się zewnętrznéj formie, a forma wyczerpuje treść;— wszystko co w duszy wieszcza tchnęło, było też prawdą w świecie, prawdą ogólną, rzeczywistą. Dziwnoż tedy, że Grek w swoim wieszczu widział kapłana uczuć wszystkich, swojego zakonodawcę a mistrza! Hellada przezierała się w tych pieśniach, jako w uzacnionym, opromienionym wizerunku swoim.

Stąd też, dla téj wrodzonéj jedności wewnętrznego człowieka a zewnętrznego przedmiotu, grecki mistrz nie uczył się prawideł estetyki, obchodził się bez szkoły; prawidła i szkołę zastępowało u niego sumienie estetyczne, instynkt artystyczny i jasna świadomość rzeczy, która nie była pożyczoną, przyuczoną, ale była wyrobioną we właściwym duchu jego; on miał oczy duchowe, duchowy słuch; zatém wieszcz grecki dojrzał, dosłyszał, czego przedmiot jego poetyczny sam przez się wymaga; pod tchem artysty przedmiot sam się rozwinął w rękach jego, sam urosł, jak rośnie sama roślina — on tylko hodował tę roślinę przyświecając jéj promieniem swojego geniuszu, ciepłem serca i pojąc rosą swojego natchnienia. Grecki mistrz jasném okiem ujmuje zjawiska świata, widzi głębokie znaczenie w nich skryte, ujmuje ich duszę, nie uwodzi go ani samowolne zapatrywanie się na rzeczy, ani przypadkowe osobiste nastrojenie duszy. Nie było w poematach planu wprzód z góry obmyślanego, a przecież nie znajdziesz nigdzie w rozwoju ich treści ani jałowych suchot, ani

przesadzonych zbytków. Tak, jak w ciele organiczném, będącém osnową dla rzeźby, jak w budowaniu Greków, tak też rzecz się ma z ich poematem: co w nim jest, jest, bo tego wymaga przedmiot, a czego przedmiot wymaga, to pewnie znajdziesz w dziele poetyckiém. To umiarkowanie skromne fantazyi, ta jéj wstydliwa wstrzemięźliwość wlewa w tę poezyą grecką spokojność uroczystą i prostotę wzniosłości pełną, będącą zarazem cechą ich postaci rzeźbionych. Patrz np. na ich figury dramatyczne,—to istne posągi; tutaj nie doznasz tego naprężenia wszystkich namiętności, téj ciekawości demonicznéj, którą cię prą nowożytne, zwłaszcza najnowsze autory dramatów, byś brodził z niemi przez to ich błoto krwawe od sceny do sceny; i brodzisz i patrzysz z duszą jakby na męki wziętą, a zgadnąć nie zdołasz jak się to wszystko jeszcze obróci, na czém się to skończy, ani wiesz, czego się ta lub owa figura straszliwa jeszcze dopuści lub czego się uchroni: alec ta figura sama siebie nie jest jeszcze pewną, bo nią szarpią i podrzucają wbrew sobie przeciwne uczucia i żądze, ona jest pastwą jędz i wewnętrznéj walki. W tragedyach greckich nie ma tych zagadek; bajka w nich zupełnie prosta, opowiesz ją w kilku słowach; tak też i postać każda w niéj jest prostoty pełną, wyobraża tylko jedno uczucie, a wyobraża go z całą jasnością; ta figura jest tedy w zgodzie z sobą, odlana niby z jednéj sztuki. Jedna scena, jedna chwila wystarczy, byś tę postać wskróś przejrzał; a na tém właśnie zależy plastyczność; wszak i w rzeźbie, więc właśnie w rzeczywistéj plastyce, także widzisz figurę tylko w jedném chwilowém jéj poruszeniu, w którém skamieniała, a przecież ta chwila wy-

starcza, zrozumiałeś zupełnie tę postać i mógłbyś się już szeroko rozpisać o jéj znaczeniu, o wrażeniu, którém cię za serce chwyciła.

Stąd, wedle mnie, najwyższym, najprawdziwszym komentarzem, tłómaczącym poetów greckich a zwłaszcza dramaturgów, jest galerya posągów starożytnych; gdy cię w koło obstąpią te postacie marmurowe z tym głębokim a wzniosłym wyrazem na obliczu, wtedy iście przemawiać będą do ciebie językiem Homera lub Sofoklesa, i powiesz sobie, że tylko ta mowa wielkich wieszczów może być właściwą tym figurom. Lecz też dla tego czytujesz i znów odczytujesz te poezye Greków, nie mogąc się do syta napoić ich pięknością; to tajemnicze ich życie jest dla ciebie samego jakby źdrojem własnego żywota twojego. I stólecia i pokolenia i ludy różnego rodu, idące po sobie w dziejach świata, piły u tego źdroju, a dopiły się w nim ochłody z trudu a poniżenia. Tym czasem owe, powyżéj wspomnione, nowożytne dramata, choć tak bujne w pomatwaną intrygę, a wypadki napinające duszę, lubo szaleją warem kipiącéj fantazyi, one raz przeczytane wystarczą, rzucasz książkę rad, żeś się z nią pokwitował na zawsze.

Dopiero lat kilka upłynęło, gdy świat, jakby palony febrą gorączkową, pochłaniał tę literaturę, a dziś, dziś ją mało kto weźmie do ręki; ona zapomniana mimo świetnego talentu swoich pisarzy. Jest to pokuta i kara. Kto się wyświęca na kapłana sztuki, niechaj służy jedynie prawdziwéj piękności, która jest wiecznie jedna, wiecznie ta sama; niechaj nie znieważa talentu swojego mizdrzeniem się do smaku i ochoty spółczesnego wieku,

bo mistrz niechaj będzie mistrzem swojego czasu, ale nie jego służalcem i zausznikiem. Smak się odmieni, nastaną inne ochoty, ów zausznik pójdzie w zapomnienie, wymieciony po za progi historyi.

Ta zgoda ducha a rzeczywistości nie tylko uczyła Greków, jak widzimy, właściwéj miary w roztoczeniu treści, lecz była mistrzowi światłem przewodniém pod każdym względem. Jednym rzutem myśli odgadywał czyli ten lub ów przedmiot nadaje się do epopei lub liry, albo dramatu; tym samym błyskawicznym instynktem przeczuwał styl właściwy dla pewnéj treści, miarę wiersza i t. p.—Buffon niegdyś rzekł: «le style c'est l'homme» i to jest prawdą, ale dla nowożytnych; dla Greków zaś styl był wypadkiem i człowieka i treści czyli osnowy jego (*). Smak jest raczéj zupełnie osobistym pierwiastkiem. Grecy dla smaku nie mieli nawet nazwy; a lubo w Grecyi do stylu mistrza każdego wplatało się jego usposobienie duchowe, indywidualne, przecież takowe było tylko lekkim odcieniem, nie paczącym treści, a strojącym się do niéj harmonią. Jeżeli, jakto bywa często między nami, styl niewłaściwy zastosowany jest do przedmiotu, wtedy treść jest zgwałconą, wykrzywioną pod wpływem wewnętrznym, osobistym autora; wtedy nie widzimy rzeczy, o którą chodzi, ale raczéj pisarza, wtedy też pisanie takowe nie jest już stylem, lecz naciąganiem, manierą. Cóż dopiero się dzieje, gdy treść właściwa np. dla epopei, romansu, wciśniona zostaje w dramat. Te nierządy bezecne odbywają się codziennie pod

---

(*) List VI, tam powiedzieliśmy w jakim sensie wypadałoby brać to zdanie Buffona, aby się zgodzić na orzeczenie takowe.

oczyma naszemi. Gdy jakaś powieść plugawa i krwawa, znieważająca święty obyczaj domowy, przypadła do smaku grymaśnéj, bo choréj publiczności, już wtedy pojawiwszy się we felietonach i w książkach illustrowanych i nie illustrowanych, przeszedłszy wszystkie piątra i pięterka, strychy i zatyłki towarzystwa, przewędrowawszy od bogatych złocistych salonów do garderoby, kuchni, warsztatów, wytarłszy wszystkie kąty, zostawiwszy wszędzie jad swój, wkońcu przeistacza się w nowy kształt, bo wrzekomy dramat, na wielką radość umysłowéj gawiedzi i kassy teatralnéj; a ze sceny idzie prosto na odstawkę między rupiecie literatury, przeżywszy to życie kilkoletnie w nierządzie i bezwstydzie, ale hucznie, ale szumnie. Mało która z główniejszych literatur europejskich nie przedstawiała tego dziwnego, ale niepocieszającego zjawiska.

Ta zgoda ducha a rzeczywistości w Helladzie rozświeciła również w wieszczu jéj onę instynktową świadomość własnego usposobienia; on patrzał w siebie i widział się, przejrzał do dna własnéj istoty; ztąd nieomylném przeczuciem odgadywał właściwy dla siebie rodzaj poezyi; liryk np. nie zabierał się do epopei ani do dramatu. Widziałeś nawet powyżéj jakto Sokrates z onym wielkim Arystofanesem rozbierają wątpliwość, czyli tragik może być zarazem komikiem. Stary mistrz umiał się mierzyć i miarkować, on znał rodzaj odpowiedni jego zdolnościom.

Co więcéj, ta poezya Greków rozwijała się jeszcze w różnych epokach ich Historyi i wsród różnych rodowych szczepów, osiadłych po licznych jéj ziemiach. Jak tedy każda roczna pora roku występuje w wianku wła-

ściwych sobie kwiatów, jak każda składa właściwe owoce na cześć natury, tak fantazya Hellady, przeobrażając się w dziejach tego ludu, w każdéj epoce występowała właściwym jéj rodzajem poezyi; tak naprzód epopeją, późniéj lirą, nakoniec dramatem. Co było na czasie, zabrzmiało w sercu, rosło i przybrało formę poetyczną, w któréj się zwierciedlił czas. Każdy rodzaj poezyi był w swoim czasie całą poezyą grecką, każda z tych postaci rozwinęła w téj sobie właściwéj epoce cały żywot swój, a gdy przeszła wszystkie jéj przemiany, już skonała na zawsze, nie budząc się już nigdy z martwych. Nakoniec zważ, że każdy z tych rodzajów poezyi wyrastał znów ze serca szczepu właściwego sobie: Jonia wypiastowała Epos, ród dorycki zabrzmiał hymnem, a ta Attyka, co tak mowna, tak skora do przypatrywania się rzeczom ze wszech stron, rozdzieliła te różne stanowiska pojmowania na różne osoby i stworzyła dramat.

Tak przeto każdy szczep i ziemia, każdy peryod dziejowy, każdy wieszcz ograniczał się ściśle w sobie, nie przekraczając kończyn własnéj istoty swojéj; za to też w niéj był jakby sam u siebie, oddawał się całém sercem téj poezyi jemu przyrodzonéj, był w niéj, jakby we własnéj duszy, w niéj zaważył całą pełnią ducha, nim nie miotały chęci i pokusy obce jego fantazyi; nie zaznał też przeto nigdy powątpiewania o sobie — o swojéj zdolności. Mistrz, dla onéj harmonii wiążącéj ducha jego z przedmiotem, był też ściśle zaślubiony swojemu rodzajowi poezyi; ta poezya, jemu przyrodzona, stała się jego własną istotą nieodłączną, on w niéj żył, w niéj umierał.

Przecież z drugiéj strony znowu całą poezya grecka była jedną całością cudowną. Tak jest! bo w Helladzie jak się uzupełniały epoki dziejowe, jak się uzupełniały ziemie i rodowe szczepów pierwiastki, tak uzupełniały się nawzajem rodzaje poezyi i wieszcze sami, składając jeden wielki Olimp mistrzów. Byli to ludzie, z których żaden nie zapragnął być każdym i wszystkiem; każdy z nich znał się być tylko jednym dźwiękiem w tym wielkim akordzie Grecyi całéj, i w tém umiarkowaniu widział chwałę swoją. Byli to ludzie na ogromną miarę, na olbrzymią historyczną stopę, byli to ludzie wielcy, bo umieli się ograniczać, bo umieli przestawać na swojém. Otóż widziałeś, że poezya Hellenów, jak cała ich sztuka piękna, miała za cechę to zespolenie wewnętrznego a zewnętrznego świata. Ta istota jéj odbiła się też w ludzie Grecyi; on téj poezyi słuchał z ust żywych, on słuchał śpiewców epopei, słuchał i widział liryka, gdy uniesion zachwytem wielbił Bogów na Olimpie, lub zacnych mężów na Ziemi. Lud ten patrzał i słyszał, gdy przez widownią sceny kroczyły wielkie dramatyczne postaci; co tylko w widzu, w słuchaczu odezwało się we wnętrzu głębokiém, toć słyszał i widział przed sobą w dziele mistrza.

U nas inaczéj się dzieje: my mamy książki; cofnąwszy się tedy w siebie z biedą samotnego ślimaka, czytamy, przenosimy się na chwilę w obce światy, żyjemy i czytamy w sobie i dla siebie. Ale gdy się książka zamknie, znów nas obleje zimna wodnista rzeczywistość, w koło nas stanie dawno opatrzona, wymokła proza, nie znająca żadnego związku z pieśnią, powieścią czytaną; ten świat poezyi książkowy wydaje się tedy

marzeniem, cackiem dziecinném w obec grozy żywota. Za to też chłoniemy książkę za książką, pędzimy na wyścigi, kto liczniejsze półki książek spożyje, kto je rychléj zapomni.

W piérwszych chwilach młodego zarania, gdy ziemia, morza Grecyi tchnęły lekką powiewną mgłą, jakby lubą dziewiczą nadzieją, na niebie wschodniém grono obłoków, palących się złotem, stanęło wieńcem wkoło, słońce witając. Te obłoczne kształty świeciły w barwy mieniące, i, niby widma lekkiéj fantazyi, budowały się to w baszty, to w grody, to w statki żaglowne, to malowały dziwnym zarysem postaci mężów zbrojnych szyszakiem i włócznią, to znowu spływały w miękkie niewieście formy. Te widziadła świeciste, napowietrzne— to Homerowy świat.

Śpiewał wieszcz w Iliadzie chwałę męztwa i butność wojowników, i śpiewał w Odyssei dziwne czarnoksięzkie przygody i mądrość bohatérów wśród trudu pielgrzymki, co wiodła ich powrót przez świat, przez życie, do ojczystéj ziemi.

Śpiewy wieszcza nie czytane, nie pisane,—on powierzył pieśni swoje rodzinnym powiewom i ustom swojéj ziemi, a pieśni te, rozniesione tchem po krajach, po ludach, po pokoleniach, wpisały się w serce ludzi, wpisały się na wieki w duszę! Pieśni te przetrwały budowania marmurów hardych, przetrwały pamięć złożoną w mogiłach, bo wieszcz nie siebie śpiewał, on cały się stał pieśnią, on rozpłynął w naturze, w głębiach ludzkiego ducha,—on był niewidzialnym w téj pieśni swojéj; natura, ludzki duch, prawdy odwieczne przemawiały przez

usta jego. Stąd też postaci jego tak są wyraziste, tak pełne krwi i życia; zoczył je mistrz świeżém, jasném okiem duchowém,—one tak potężne, tak prawdy pełne jakby dzieło saméj przedwiecznéj przyrody; a przecież te kształty wszystkie owiane, uszlachetnione wdziękiem nieskończonym fantazyi. Te bohatery, te wojowniki Homerowskie,— to dzieci ziemskich padołów, one cierpią i weselą się po ludzku; niemi podrzuca zemsta i miłość, niemi miotają tryumfy i trwogi, a przecież w nich puka sercem ciepłém natura ludzka, wzniesiona do ideału podobnego bogom. Tłem tych postaci, tych obrazów jest spokój niebiański, niezamącony nigdy, a ten spokój jest ową ciszą duchową wieszcza, co składa, wiąże, szykuje i splata części w całość artystyczną. Gdy mistrz przeniknął do dna prawdy żyjącéj w tajniach świata i w sercu człowieka, gdy podsłuchał w nich bicie pulsów, przeto też rozlał uczucie głębokie obyczaju po świecie przez siebie stworzonym. W lekkich i pełnych uroku tonach, w wierszach, co kroczą niby lotne gracye, płynie chwała zacności, a wstręt do winy. Trojańskie boje okazały Grekom, że jeden jest ich ród, jedno pochodzenie, a pieśni Homerowe postawiły ołtarze tym spólnym bogom i spólnéj Greków sławie. Księgi Homerowe, to księgi rodzaju pradziadowéj mądrości dla Grecyi; na ich obrazach, malowanych niezgasłemi nigdy barwami, Hellada uczyła się własnéj duszy swojéj, uczyła się czytać tajemnice natury i własnego serca.

Zaiste, te pieśni są zakonem obyczaju nieznanego Wschodowi,— w nich piérwszy raz występuje na świat wysokie znaczenie kobiety. Wszak wdzięki niewieście rozpalają wojnę Trojańską i stają się piastą Iliady, a Pe-

nelopa znów jest ogniskiem duchowém, idealném Odyssei, bo ostatecznym celem tęsknoty Ulissesa. Dla niéj on cierpi, dla niéj zwalcza trudy ciężkie i rozliczne przygody swojéj podróży, bo ku małżonce również jak ku ojczyznie zwrócone serce i myśli jego. Daremnie pełna wdzięków Kalipso oczynia go czarodziejstwem uroków i szczęścia, napróżno ofiaruje mu wieczną młodość i życie nieśmiertelne; on wyznaje że niebianka iście cudownéj nadziemskiéj urody, że lata długie a przebyte w samotnéj tęsknicy dotknęły zaiste boleśnie wdzięków małżonki, a przecież jedynie do żony śmiertelnéj zwrócone myśli jego i serce; tęsknota do niéj, do ojczystéj ziemi jest jego gwiazdą przewodnią. Cześć ta, którą Homer, a z nim cała późniejsza Hellada, otacza niewiastę, była zarodem uczciwego obyczaju, który się atoli dopiéro w całéj pełni w chrześcijaństwie rozwinął. Wszak kobiety są kapłankami ogniska domowego i miłości rodzinnéj. Czuł wieszczym geniuszem tę prawdę Homer, gdy kreślił postać tak zacną jaką jest Penelopa; rzekłbyś, że ona wychowana w świętym obyczaju chrześcijańskim—tak przeczysta, tak szlachetna i wzniosła ta postać! Od dawna rozchodzi się wieść że jéj małżonek już nigdy nie wróci z pod Troi na ojczyste brzegi, więc ją otacza tłum zuchwałych zalotników o jéj rękę; w samotnéj, smętnéj komnacie przez długie, głuche lata wiernie dochowuje i rękę i serce piérwszéj i ostatniéj miłości swojéj, i tkała zcicha szatę ową, a praca dla niéj tak nieskończona jak jéj miłość, jak i tęsknota, jak wiara jest nieskończona. I czeka i wierzy, kocha i kryje łzy i nadzieję, uśmiechy i tę miłość co nigdy nie umrze w jéj sercu. Nareście, gdy po długich, smę-

tnych latach pojawia się żebrak schylony starością na grodzie Penelopy; gdy pociesza serce królowéj, troskami skołatane, wiadomością o małżonku, ona, najwyższą radością zdjęta, przyjmuje go ze czcią w pałacu, jakby przyjaciela, jakby brata od dawnych czasów, stroi i pieści żebraka. Wtedy senne widziadła wróżą jéj blizkie przybycie małżonka, bo się jéj śniło że orzeł, co wytępił jéj gęsi na podwórzu, przepowiada blizki powrót Ulissesa. (Oddys. XIX 545). I ziściły się marzenia: żebrak zwleka szaty biedne i przed Penelopą staje jéj miłość, jéj małżonek— Ulisses w postaci odzianéj cudowną męzką urodą! Toć jest obyczaj w całéj piękności swojéj. A ta Nauzyka,— to niezapominajka niewieścia, to cudowny kwiatek młodziuchny! Ulisses, rozbitek morski, sam jeden ze wszystkich towarzyszy falą wyrzucony na wyspę, kędy króluje jéj ojciec. Nauzyka nieznajomego biedaka opatruje w szaty, i, by uniknąć plotek zawistnych, zatyłkami miasta prowadzi do rodzicielskiego pałacu (*). Nikt nie zna przychodnia, on opowiada cierpienia swo-

---

(*) Trudno mi się wstrzymać od przytoczenia krótkim wyimkiem ustępu z Odyssei, tak prześlicznie tłómaczonego przez L. Siemieńskiego. Rzecz taka. Nauzyka królewna, wybrała się ze służebnicami na brzeg morza dla prania bielizny. Po skończonéj robocie, dziewczęta stają do piłki; wśród zabawy Nauzyka przyśpiewuje towarzyszkom; w tém piłka, rzucona ręką Nauzyki, omija dziewczęta i wpada do wody; stąd śmiech i wrzaski. Aleć to właśnie tam w krzewach spał Ulisses, wyrzucony przez morze, zwalany morskiém błotem. Obudzony głośną ochotą dziewcząt, w niepewności co czynić, zbliża się. Dziewczęta uciekły; jedna Nauzyka, jako wyższa duchem i sercem, została; wtedy już Odysseus, natchniony przez Palladę, w ten sposób do niéj w prośby się udaje:

Błagam cię, bądź-eś bóstwem, bądź panną śmiertelną;
Jeśliś jedną z tych bogiń w niebiesiech udzielną,
Tedy zdasz mi się córą wielkiego Kroniona.

je, i trudy i prace przebyte, i wdycha, i gdy mu się na płacz zbiera, szatą okrywa oblicze. Pewnego razu Nauzyka stanęła w zaciszu niewidziana, Ulisses przechodzi,— dziewica długiém, przeciągłém spojrzeniem

---

A jeśliś jest śmiertelną mieszkanką padołu,
Błogosławiony ojciec z twą matką pospołu,
Błogosławieni bracia! Jakżeż im gdzieś rośnie
Serce przy tobie, jak się rozpływa radośnie,
Gdy w skocznym korowodzie ujrzą twoją postać!
Lecz szczęściu oblubieńca nie może nic sprostać,
Gdy po kosztownych darach zawiezie cię do dom!
Różnym jam się napatrzył, przeróżnym narodom,
A równéj nic znam tobie.

Tak zacząwszy, prosi by mu królewna dostarczyła szat, i przywodzi nieszczęście swoje, przecież nie przyznaje się być Ulissesem, i daléj mówi:

A Bogi cię najmilszą opatrzą nagrodą:
Dadząć męża i domek; przenajświętszą zgodą
Pobłogosławią! skarb to najcenniejszy w świecie,
Kiedy męża z małżonką tkliwa miłość splecie,
A pokój włada domem. Wróg na to się skrzywi,
Cieszą druhy, a oni nad wszystkich szczęśliwi! —
Śnieżnoramienna panna w te ozwie się słowa:
„Widno żeś człek nie podły ani miałka głowa.
Darmo! woli Jowisza nikt się nie wybiega,
I czy pan czy chudzina losowi podlega.
Od niego padł i tobie; znoś z pokorą brzemię.
A teraz, kiedyś nogą wstąpił w nasze ziemie,
Okryjem cię, na niczém nie będzie ci zbywać,
Co tylko obcy tułacz może potrzebywać.
Do grodu drogę wskażę, dam ludu nazwisko:
My Feaki, tę ziemię zamieszkujem wszystką.
Jam córka Alkynoja— wyższego tu niéma,
On władzy i potęgi w ręku berło trzyma.”

Poczém zawołała Nauzyka na służebnice by mu podały szaty chędogie, a Odysseus, oddaliwszy się, zmywa z siebie morskie brudy i piany. Bogini Pallas-Atene rozlała na całą postać jego urodę i krasę męzką— tak „iż był piękny bez miary.”

Ujrzawszy go królewna, wielce zdziwiła się,
Więc po cichutku prawi do drużyny swojéj:

utonęła w obliczu jego »i rzekła uskrzydlonemi słowy: niechaj ci życie będzie radością! lecz chciéj też i na ziemi ojców swoich pamiętać o mnie, boć to ja przecież uratowałam ci życie!« I słusznie ktoś z estetyków powiedział, że nikt tak nie umie jak Homer kilku słowami skreślić piérwszy pączek przeczystéj miłości, klującéj się w sercu niewinnéj dziewczyny bez własnéj jéj wiedzy! Przypomnijmy sobie jeszcze postać smętną a tak uroczystą jaką jest Andromacha, i znów ową wykwintną ale uzacnioną zmysłowość w Kalipsie, albo grubą ziemską namiętność, wyrażoną w Cyrce, albo gminne pojmowanie życia i nieszlachetne uczucia w służebnicach Penelopy, a wyznaj, że Homer z mądrością głęboką skreślił wszystkie barwy i odcienia natury niewieściéj.— A któż to jest ten Homer, kiedyż on żył?— Niewiedzieć! żył może na ośmset lat, może na tysiąc lat przed Chrystusem!

W Epopei artystyczny geniusz Hellady nauczył się

„Słuchajcie-no dziewczęta! tak mi się cóś roi,
Że nie wszystkich on bogów gniewem obarczony,
Kiedy w błogosławione nasze zabiegł strony.
Z początku zdawał mi się człowiek dość codzienny,
A teraz jak bóg który, niebianin promienny.
O, gdyby mi się trafił mąż coby mu sprostał
Z młodzi naszéj, lub gdyby on sam moim został!—
Alcż jadło, napitek, co tchu mu zanieście!"
(Orędownik rok 1844 N 45).

Otóż jest ułomek z owéj pradziadowéj pieśni którą wyśpiewał Homer bez mała przed 2700 lat. Widać iż co piękne i wielkie zawsze pięknem i wielkiém zostanie; a co do tłómaczenia, wyznaj, że jest takowe jakoby było napisane oryginalnie po polsku. Taką właśnie zaletę znakomitą a tak rzadką mają wszystkie tłómaczenia L. Siemieńskiego; zdaje mi się że gdyby się zabrał do przetłómaczenia całéj Odyssei, jużby ta praca nie ustąpiła tłómaczenicm żadnéj Literatury.

czystém, niezamąconém sercem, wolném od osobistych uczuć patrzeć na świat;— więc mistrz własną duszę swoją przetłómaczył na postaci olimpijskich bogów, na bohaterów swoich, na sprawy ich i walki,— sam siebie przeistoczył na sceny wielkie przyrody, na kołysanie szumiących mórz, na ciszę uroczyste wieczora, na lekkie dymy ojczystych chat, i na ten cały dramat natury, co zawsze jeden a zawsze świeży, nowy i zawsze wielki. Jak serce, chwycone miłością, traci siebie ginąc w przedmiocie ukochanym, tak w Epopei greckiéj osoba mistrza przepadała w treści pieńiów jego; on tonął w świecie zewnętrznym, jakby w duszy kochanki swojéj.

Lecz zważ, właśnie ta istota Epopei, spotęgowana do ostatecznych granic, nawróciła fantazyą Greków do nowego rodzaju poezyi. Gdy bowiem ta Epopeja dobiła się szczytu swojego, gdy człowiek ujął już swoją istotą cały ten świat zewnętrzny, gdy go przepatrzył we wszystkim objawie jego,— teraz dziwnym, a jednak koniecznym nawrótem, ten świat nawzajem wstąpił we wnętrze człowieka i przetłómaczył się na głosy serca, na uczucie własne duszy jego. Cały przeto ten dramat przyrody, wszystkie te bogi, bohatery, wypadki radośne i smętne ludzkiego żywota wkroczyły w serce wieszcza i zagrały mu na uczuciach, jakby na wewnętrznych strunach, a tak zrodziła się *liryka* grecka.

W lirze serce wieszcza jest światem jego. Gdy przeto treścią Epopei jest rzeczywistość cała roztoczona w obrazach, treść liry zebrana jest w sercu jako w ognisku swojém,— tą treścią są uczucia mistrza. I toć właśnie stanowi tę wyrazistą cechę liryki greckiéj, bę-

dącéj wzorem po wszystkie wieki. Uczucia i budzenia się ich nie zależą od człowieka; uczucia są jednostkowe, a im które potężniejsze, tém silniéj wyłącza inne; stąd każda pieśń liryczna ma tylko jedno uczucie za duszę swoją, za treść swoją; od uczucia zależy zrodzenie pieśni i ukończenie jéj; jest to część duszy, część siebie, którą z siebie wypuszczają serca przybytki. Co w piersiach się budzi, wyrywa się teraz na jaw,— to bogosławnym hymnem unosi się w obłoki, lub śmiałoskrzydłą odą wielbi czyny pradziadowe,— to wypływa potokiem rzewnéj, tkliwéj elegii,— to wyskakuje znów ze serca śmiejącą się, radośną ochotą Anakreontyka, ową lubą piosenką, co hula rzezko, dziarsko, brzmiąc chwałą miłostek i puhara!

Chciéj atoli baczyć, że ta fantazya liryczna Hellenów, tak różna, tak bogata, choć wypadała zdrojem z wnętrza wieszcza, nie była przecież samym tylko osobistym wypływem jego, i tém ona różni się całą przepaścią od téj liry nowożytnéj, co bywa najczęściéj fałszywie sentymentalna. Bo co mistrz grecki zaśpiewał, toć było iście tonem zrodzonym za potrąceniem zewnętrznego świata; te tony i dźwięki wieszczowych piersi, toć one właśnie są tym światem, ale przybranym niby w osobiste uczucia śpiewaka. To nie on sam, to świat, co w nim śpiewa i gra, ale świat już przeistoczony na własną duszę wieszcza. Treść duszy poety wzniesiona jest do ogólnego znaczenia; w lirze śpiewa nie ten pojedyńczy człowiek, którego lud słucha, na którego się patrzy, ale w pieśni śpiewa i nuci ogólna wiekuista natura człowieka. Nie jest to liryczność nowożytna, nie jest to pieśń, co jest li osobistym śpie-

wem, co tak często chorobliwa tęskni i żali się, że świat nie rozumie uczuć, zrodzonych w tajniach serca wieszcza.

W lirze greckiéj słychać wprawdzie także osobiste, własne uczucie mistrza, lecz właśnie dla tego, że wieszcz był szerokiego, wielkiego serca, że żadna ciasnota samolubna nie odgraniczała go od świata zewnętrznego, nie krępowała jego swobody— dla tego właśnie tą rzeczywistość cała, bogata, pełna treści zdolną była wstąpić w tajne przybytki duszy jego. Co on zaśpiewał, choć party niby osobistém uczuciem, to rodziło się z rozwartych, wolnych piersi, to budziło uczucia wszystkich,— odbiło się echem w sercu wszystkich i po wieki wszystkie. Mógł przeto Pindar zaśpiewać »jam człowiek jeden, a powołanym dla całéj społecznéj sprawy.« W piersiach jego tchnęły bogi same, gdy śpiewał bogom. Stąd też gdy raz w Delfach, uchwycon potęgą natchnienia, uwielbił niebian na wysokim olimpie, tłumny słuchający lud, uderzony jakby obecnością bogów, zapada w zapomnienie siebie, staje słupem niemym, a grono kapłanów świętéj wyroczni kroczy ku niemu w uroczystym pochodzie i wzywa wieszcza do świątyni na gody. Apollo, obecny w mistrzu i w śpiewie jego, wzywa śmiertelnego człowieka na ucztę do siebie, do domu swojego. Wieszcz— bogów gościem; on od nich uraczony, uczczony.

Rosa niebiańska błyszczy na listku, zbiera się w kroplę, co się pali jasnością słonecznych żarów, a im więcéj kropelka się wzmoże, tém mocniéj oną promieni wszech tęczy barwami; a gdy już zaświeci najcudniéj całym niebios przepychem, spada, ginąc w zie-

mi, w matce wszystkiego żywota. Jest też stara gadka między ludźmi, że skon i kochanie— to dwa anioły bliźniaki; bo w miłości, w najwyższym życia nastroju, już zarodem budzi się śmierć. Tak Tragedya Grecyi, będąc najwyższym jéj piękności tryumfem i najzacniejszą jéj fantazyi postacią,—jest zarazem zwiastuną już kroczącego jéj skonu.

Gdy w Helladzie przeminęło dawno ono piérwszéj wiosny tchnienie, co zrodziło śpiew Epopei, gdy lira już ciszéj, a ciszéj brzmiała w sercu śpiewaka, wtedy stanął wśród ludzi dramat, bo on jest zespoleniem zewnętrznego świata Epopei a świata wewnętrznego lirycznéj poezyi. Dramat roztacza wspaniały obraz ludzkich czynów jak Epopeja, lecz tych ludzi już widzisz tuż w obec siebie, słyszysz jak w lirze te tajemnicze głosy co je prą do czynu. Jak w lirze sam śpiewca wyjawia wnętrze swoje, tak w dramacie każda jego figura jest wyobraźnikiem uczucia, co w nim robi a warzy; i znowu wszystkie te figury i ich uczucia splatają się w jedną całość artystyczną jak w Epopei, a ta całość tém więcéj jest w dramacie ścisłą, artystyczną, iż te figury nawzajem się uzupełniają organicznie, tak dalece, że każda z nich wymaga koniecznie bytności drugiéj. Ta ścisła łączność liry a Epopei w dramacie objawia się jeszcze pod innym względem, bo w chórze tragedyi greckiéj. Chór należy wprawdzie do gry, ale udział jego jest tylko liryczny, a znów jest niby aktorem, a przecież znów tylko widzem, zachowując się jedynie biernie do wypadków odbywających się na scenie. Chór grecki godzi i miarkuje rozkołysane uczucia tragicznych bohaterów; on radby pojednać strony, które się zderza-

ją całą potęgą namiętności swoich. Chór atoli jest bez mocy, wysilenia się jego daremne, on świadkiem i walki i skonu wrogich pierwiastków. On ma słuszność po walce, po zgonie; jest to demos, lud, owa potęga ogólna co zostaje i nie ginie wśród gromów łomotnych, wśród skonu figur dziejowych. Chór ma słuszność; co on orzeka jest prawdą ogólną, którą przytłumiły w sobie figury główne, działające; jest tedy (wedle mojego zdania) odgłosem owego fatum, będącego tłem tragedyi całéj; i dla tego (śmiałbym powiedzieć) chór grecki i Przeznaczenie zostają w ścisłym związku z sobą. Co się w chórze dzieje niby biernie, co u niego jest śpiewem, jego wewnętrzną treścią, staje się w dramacie czynem, występuje na zewnątrz. Stąd każda postać tragiczna zderza się z inną a inną postacią, którą znów inne włada uczucie. Bo co w sercu zamknięte, to nasze,— co czynem się jawi, toć świata własnością, to bije w ludzi i w rzeczy, a tak rodzi się kollizya, zwarcie się potęg wrogich. (List X.)

Kollizya pierwiastków żywotnych nieznana była jeszcze w życiu Grecyi,— ona piérwszy raz pojawiła się w sztuce tragicznéj proroctwem poezyi. Hellenowie patrzali się na te walki i łamania się wrogich mocy, co się wcieliły na scenie w osoby starogreckich bohaterów, królów i ich rodzin. Te postaci zamroczone, te dzieje mityczne, żyjące tylko tradycyą wśród ludu, zdawały mu się historyą dawno odbytą, niepowrótną nigdy. Te króle i bohatery pradziadowych lat wystąpiły ze mgły przeszłości, świecąc całym urokiem piękności tragicznéj, stanęły przed tym ludem i niby smętne zwiastuny przywiodły mu na oczy walki i zderze-

nia okropności pełne;— lud Grecyi patrzał na te obrazy zdumiony, struchlały. Zgroza serce ścisnęła; rozbierały duszę jego trwogi i żale, a lud ten nie przeczuwał, że na téj scenie, w obec siebie widzi własne dzieje łzawéj przyszłości swojéj; nie przeczuwał że ta walka i zwarcie się potęg wrogich zestąpi nie zadługo w rzeczywistość, że zdoprawdy na jawie Grecya odegra dramat, tragedyą, że umrze na tę walkę własnych pierwiastków swoich, że pękną strony onéj harmonii.

Grecya umarła na walkę tych pierwiastków swoich! bo owa ich harmonia, będąca żywotnym warunkiem, duszą Hellady, pękła rozsadzona za dotknięciem się ducha dziejów ludzkich, co idzie przez świat.

Ten cudowny, harmonijny zestrój wnętrza człowieka a zewnętrznego świata, ducha i natury, serca i rozumu, to zespolenie pełne wdzięków człowieka z prawem, obyczajem i bogami jego nie mogło się długo ostać w świecie greckim. Na dnie téj harmonii roztwierała się niewidomie sprzeczność bezdenna, jakby otchłań grobowa, osłoniona różami wonnemi. Gdy nadszedł czas, ziewnął ciemny grób i pochłonął róże wonne i Grecyą.

To zespolenie i harmonia były tylko chwilą piękną, ulotną w ludzkich dziejach; Hellada wprawdzie wiedziała o różnicy owych dwóch odwrótnych światów; to jéj przeczucie jednak nie było dostateczném, ona nie zdołała rozdzielić tych światów wskróś, do dna, i dla tego właśnie nie umiała uznać wzajemnego ich i prawdziwego stosunku i związać ich rzeczywistą harmonią. Grecya widziała różnicy ducha a materyi, a prze-

cież nie stało ją na to by pojąć ducha bez ciała, więc i bogi swoje oblekła zmysłowością, ciałem!— Nieskończoność była tedy u nich na wieki materyi zaślubioną. Bogi były wiekuiste i nieskończone,— ale nieskończoność ta jest sprzeczna wielości ich, bo gdy było wiele bogów, już każdy z nich był koniecznie odgraniczony od wszystkich innych, był więc w sobie ograniczonym, a przecież on miał być nieskończonym. Te bogi były wiekuiste a cielesnością odziane! Dla tego też one w swoich posągach, choć z uśmiechem niebiańskim na obliczu, tak czegoś tęskne i rzewne,— po tym uśmiechu płynie łza! Jakby w przeczuciu smętném téj sprzeczności, Grecy uznali fatum, ową straszliwą przeznaczenia moc, co grozi ludziom i bogom. Stąd znów dalsza sprzeczność bogów a przeznaczenia, stąd znowu następnie sprzeczność w samém ciemném łonie téj mocy wrogiéj. Bo fatum nieubłagane, to raz ślepe, uderzające z przypadku, jakby obłąkaniec w ciemnicy porwany bezprzytomnym szałem— to znów sprawiedliwe i mszczące krzywdy,— to zawistne szczęściu ludzi, pełza milczkiem niewidomie i zabija; ono wszędzie obecne a niedostrzeżone, aż nie uderzy całym nieszczęścia gromem. W Grecyi człowiek jest już wolnéj woli i mistrzem swoich czynów, a przecież odpowiada za przodków swoich; zbrodnia pradziada wlecze się chyłkiem za późném pokoleniem i ściga furyami wnuków. Te sprzeczności zradzały inne a inne, rysując najgłębsze podwaliny greckiego żywota; fundamenta Grecyi się padały; zrazu te szczeliny lekkie, niedostrzeżone, rozwierały się zwolna jako rany śmiertelne, niewyleczone nigdy.

Tragedya Greków była ciężką, dziś ledwie dla nas

dosłyszaną wróżbą przyszłego jéj skonu, a więc też najwyższém górowaniem sztuki Hellady. Trzy imiona przesławne jaśnieją też jako wyobraźniki jéj, a te imiona gromadzą się w około najświetniejszych tryumfów dziejów greckich, bo ich piastą jest owa Salamińska bitwa,— w niéj Greków duch przemógł milionowe Xerxesowe tłumy. Eschylus, żołnierz-poeta, walczy jako mąż dójrzały w téj bitwie: skronie jego już wieńczy chwała tragedyi głośnéj sławy, a piersi jego jaśnieją uczczone już bliznami z pod Maratonu. Naówczas szesnastoletni Sofokles wśród grona najurodziwszych młodzianów, uroczystym tańcem oddaje dzięki bogom za odniesione to zwycięztwo, i właśnie znów w dzień téj potrzeby salamińskiéj rodzi się Eurypides. Grecya za młodu umarła,— było jéj śpieszno z tém życiem. Liczny szereg wielkich mężów swoich i wielkich spraw streściła w krótkiém życiu, nie rozwlekając ich na stólecia i lat tysiące.

Wszak z dawniejszego listu i z tego, co powyżéj rzekłem, wiesz czém wedle nas jest tragiczność (List X). Tutaj każda z postaci jest wyobraźnikiem jednego z tych uczuć, które rządzą sercem człowieka, ale żadna nie jest całą prawdą, prawdą, która łączy i jednoczy wszystkie szczegółowe prawdy i uczucia, którą jest dnem światowładném wszechrzeczy, która właśnie owe szczegółowe uczucia i prawdy wysyła z siebie niby promienie pojedyńcze. Postać tragiczna tedy, oddając się wyłącznie jednéj z tych prawd i urzeczywistniając ją czynem, obraża inne figury tragiczne, bo z nich każda przyznaje się do innego osobnego uczucia, a tém samém każda z nich potrąca i znieważa prawdę wszyst-

kich prawd, będącą ich wszystkich trzonem a podwaliną, będącą samą prawdą wiekuistą i nieskończoną. Postać przeto tragiczna z jednéj strony jest w swojém prawie, ma słuszność, bo uczucie, które ją podżega do czynu i prze, jest przecież jednym z tych promieni téj prawdy nieskończonéj; z drugiéj strony atoli na téj saméj postaci ciąży całém wrogiém brzemieniem wina, boć ona, nieopatrznie gruntując się na tém jedném swojém wyłączném uczuciu, nie uznaje uczuć innych, a tak nie uznaje też onéj prawdy bezwzględnéj, nieskończonéj. Ta prawda zrazu niewidziana, będąca oddalonėm tłem, wysuwa się zwolna, strasznie z za kulisy świata, rośnie majestatem niebotycznym i uderza gromem, karząc winę skonem! Kara ta i skon mrozi strachem serce widza, sięgając do ciepłych głębin jego zimną, nieubłaganą ręką, bo widz uznaje, że to jest sprawiedliwość wiekuista, co tu karze! I znów zarówno widz uznaje, że to uczucie, za które skonem płaci postać tragiczna, mieści się w jego własném sercu, że to samo uczucie jest obecne w nim, we widzu, niby demon śpiący, a gotowy co chwila się obudzić i porwać go w nieszczęścia otchłanie; i dla tego widz truchleje,—stąd jego współczucie tak jest głębokie!

Chciéj jednak baczyć, że inne ma znaczenie tragiczność w sercu wypiastowaném mądrością nowoczesnego świata, a inaczéj wcale ona zaważyła w Grecyi. U nas tragiczność i skon jest zgładzeniem winy, pogodzeniem się człowieka z sobą i z prawdą wiekuistą, bo w naszém sercu tak głęboko! tak przepaścisto! My instynktem, przeczuciem, wiedzą, wiarą chrześcijańską wiemy, że ta prawda wszystkich prawd jest w nas samych

zarodem, że jest naszym własnym pierwiastkiem; ba, że jest własną istotą naszą wiekuistą! Stąd wiemy, że wina, że oddanie się jednemu uczuciu wyłącznie, będące obrazą prawdy wiekuistéj, odstępstwem od niéj, jest zarazem odstępstwem od właściwéj istoty nieskończonéj naszéj; gdy przeto ta prawda uderzy karą, toć uznajemy własną istotę naszą w niéj, więc godzimy się z nią, niby z sobą. Zważ! tu zaiste zawarte są najgłębsze głębie duchowego naszego żywota! Kto się wyrzeka winy swojéj, kto w niéj widzi jedynie błąd złéj chwili, kto się jéj zaprze całą gorącą, serdeczną żałością, ten już zaiste nawraca z niéj ku wiekuistéj a przeczystéj prawdzie, i w téj prawdzie miłością tonie. Wtedy już wina owa przestaje być winą, wina staje się dla niego obcą potęgą—ona zgładzona; a człowiek nietylko w przekonaniu swojém osobistém, ale rzeczywiście, naprawdę uwolniony jest od winy; on staje znowu w zgodzie z sobą i z ową prawdą wiekuistą, przedwieczną. Kara uderza jedynie w błąd jego, ale nie w jego istotę; ona jest zniesieniem chwilowego obłędu, pogodzeniem się przez skon z sobą, z prawdą nieskończoną, nawrotem przez miłość do Boga; na grobie pokutnika wyrasta palma— godło przebaczenia. Jest to tragiczność żywota ludzkiego w najgłębszém znaczeniu.

Takowéj tragiczności nie znała Hellada, ona nie zaznała tych głębin ogromnych, przepaścistych ducha. Grecya żyła ze światem zewnętrznym w harmonii pełnéj wdzięków; świat zewnętrzny był tedy brzemiennéj dla niéj wagi. Nie zdołając utonąć we własnych bezdeniach, Hellada korzyła się przed życiowładném fatum, ślepookim losom przypisując przewagę nad sprawami i

żywotem człowieka. Jakoż oparcie się na sobie, zapuszczanie się nurkiem we własnych toniach, rozsadzające ową harmonią, byłoby antygreckiém.

Niech się tedy święci po wszystkie wieki geniusz tragików greckich, bo Eschylus, bo Sofokles wzięli na się jako zadanie swojego żywota przywieść ludowi na oczy sprawiedliwość bożą, karzącą złe, mszczącą krzywdy; oni uczyli jak miarkować serce, jak ważyć namiętności. Oni wskazali, jak człowiek łączyć ma wolną wolą swoją z rządem niebian losowładnych, jak czcić obyczaj i prawo, jak godzić rzeczy boskie i ludzkie. Tę drogę piérwszy wyłamał geniusz tytaniczny Eschyla, co wznosi się nad świat całą fantazyą Wschodu, a mądrością i umiarkowaniem Grecyi, co tak zuchwały a potężny jakby natury moce, jako burze morskie, jak zrywające się ognie podziemne, jak trzęsienie ziemi lub pożar ciemnéj nocy.

Treść w jego tragedyi prosta; ona kroczy zwolna, harda, pełna grozy i głębi jako chmura, co niesie pioruny i grom. W tropy za nim idzie Sofokles. Sofokles— on tragikiem połowy świata! Ród ludzki czekał dwa tysiące lat, bo czekał aż się Shakespeare urodził, a z nim tragedya innego rodzaju. Sofokles i Shakespeare—to jakby dwaj reprezentanci dwojéj tragedyi. Możnaby powiedzieć, że nie ma tragedyi, tylko ta co staje przy Sofoklesowéj sztuce, albo ta co idzie wzorem Shakespeara; tu środka jakby nie ma. Choć okażemy w inném miejscu, że ta odwrótność nie dochodzi bynajmniéj do gruntu samego rzeczy, że gdy jedna jest piękność, więc tragedya Shakespeara i grecka, czyli prawdziwie klassyczna, mają spólne sobie tło i podstawę, i są może wię-

céj z sobą spokrewnione, niż się z wierzchu zdaje. Są to dwa dęby olbrzymie, łączące się pod ziemią w spólny pień, w spólne korzenie.

Sofokles treść powiązał z mistrzowska; figury jego są pełne, plastyczne, niby światem w sobie zupełnym, skończonym; z piersi ich płynie Pathos, jako rzeka wspaniała, głęboka. A co w sercu jego bohatera rodzi się, to porywa inne figury, boć to jest uczucie włożone od wieków w duszę człowieka i żyje w niéj nieprzemożoną nigdy potęgą, i żyje w świecie, jako jego krew a tętno. Sofokles roztwiera skarby, obłędy ciemne zamknięte w duszy człowieka, podnosi opony zasłaniające historyą serca i świata, a z wysoką sztuką splatając w jeden obraz dzieje tragiczne figur swoich, dotykając się wszystkich uczuć, niby klawiszów brzmiących, wydobywa z nich i jęki i żale, boleść, trwogi i gniew i szał i wszystkie ochoty i namiętności ukryte; aż w końcu te dyzharmonie różnych dźwięków, te zderzenia się ich i walki cichną, korząc się przed powagą ustawy obyczaju. Bo ta ustawa jest konieczną, niewywrotną a przecież ugruntowaną na woli człowieka, na téj woli będącéj z wierzchu tak ruchomą, kołysaną wichrem namiętności, a spoczywającą przecież na trzonie niewzruszonym i wiecznym.

Tak tedy Eschylus i Sofokles światłością geniuszu swojego rozjaśnili nocne tło przeznaczenia, okazując uosobiające się na niém postaci sprawiedliwych bogów i odsłaniając występującą z ciemnicy jego Nemesis, co ściga zbrodnie.

Tak ułagodzona jest nieużytość twarda nieubłaganego fatum w poezyi tych wielkich tragików; ale prze-

cież i oni, jako cały świat grecki, nie zdołali go zgładzić, zetrzeć na zawsze. Rzekłem albowiem, że nie było w onym świecie starym owéj głębi chrześcijańskiego serca, bo ani Eschylus ani Sofokles nie zdołali zanurzyć się w topielach własnego ducha i zerwać do dna z potęgami, co broją zewnątrz człowieka. W nich niema tego głębokiego pogodzenia człowieka z wiekuistą prawdą w znaczeniu wielkiém nowoczesnego świata, niema tego zupełnego, całkowitego nawrotu do siebie; bo do tego trzeba, aby człowiek wiedział, że prawda wiekuista, nie ginąca nigdy, mieszka w nim samym, że jest jego własnym istotnym pierwiastkiem; do tego trzeba było wiedzy żywéj o nieśmiertelności ducha człowieka. Żywot pośmiertny u Greków był cieniem bladym, smętnym, nierównie niższym, niż życie doczesne wśród jasnéj promiennéj rzeczywistości. Skon, nie ma u Greków tego znaczenia wysokiéj prawdy jak u nas, cośmy dziećmi innéj wiary, innego świata.

Dla tego właśnie, że nieśmiertelność ducha stawała w lekkim rozwiewnym obrazie przed oczyma Greków, stąd też oni żyli całą istotą swoją w rzeczywistości tutecznéj, i dla tego też właśnie nie rozdzielali do dna wiekuistości od doczesnego świata; wynikało stąd, że najwyższym szczytem dla ich ducha, była ta harmonia owych dwóch światów, owa piękność fantazyi. Dla nas zaś, cośmy duchem urośli, dzieła piękności, te lube fantazyi dzieci, wystarczą by sobie upięknić, umilić tę ziemską tymczasową gospodę, ale ich nie stać by nam zastąpiły wieczność; a piękność jest nam o tyle drogą, o ile nam jest wieczności ziemską zwiastuną. W naszéj tragiczności, czyli ona się roztoczy na teatrze, czyli w ży-

ciu, grom, który spada na człowieka, choć piorunny, śmiertelny, znajduje usprawiedliwienie swoje we własném sercu, we własném przekonaniu tego, na którego uderza cios; bo karząca go wiekuista, władnąca światem sprawiedliwość, zarazem zasiada w sercu jego. U Greków zaś karze fatum.

Dziś w estetyce słusznie przeważa zdanie, że fatum nie jest jedyną mocą działającą w tragedyi greckiéj, bo to fatum, choć jest raczéj mściwe niż karzące, choć kary jego straszliwe nie bywają w stosunku do winy, toć ż drugiéj strony prawda, że to fatum nie jest ślepą mocą, bo ono wywołane bywa z ukrycia przez własną winę człowieka. Zaiste, to zdanie estetyków jest słuszne, lecz trudnoby mi przyszło zgodzić się z tymi, którzy przesadzając twierdzą, jakoby fatum żadnéj władzy nie miało w tych greckich tragedyach. Fatum nie było starte ze świata, bo nie była jeszcze starta moc cielesna, bo duch nie był jeszcze w Grecyi samoistnym, samodzielnym.

Grecya była ludem młodym, prawie pierwotnym, ona była jedną z piérwszych cór historyi; przeszłość dziejowa, która ją wyprzedziła, była jeszcze tak krótką, tak niedawną, przeto też i treść w człowieku nie była jeszcze w Grecyi tak bogatą, tak pełną osnowy jak w naszych stóleciach, które się wychowały długiém pasowaniem się przez lat tysiące, które są wypadkiem wielkich cierpień, boleści niewymownych i tryumfów łzawych a krwawych. Z tego też powodu charaktery greckich tragedyj były prostoty pełne, a to nie tylko dla tego, że były stworzone przez wieszczów należących do tego pierwotnego ludu o treści prostéj, ale nadto dla tego, że wzięte nawet były z historyi pierwotnéj, z mitów

tego pierwotnego ludu, z czasów porannego świtu jego. Stąd wynika prostota tych charakterów; każdy z nich wyobraża tylko jedną wyłącznie myśl, jedno wyłącznie uczucie; a jest cały tą myślą, tém uczuciem. W tragedyach np. Shakespeara, każdy z charakterów jest wprawdzie także wyobraźnikiem jednego uczucia, jednéj myśli, ale oprócz tego pierwiastku, panującego w nim i będącego w nim główną sprężyną działania, on jeszcze chowa w sercu treść bogatą, w nim waży się i kipi wiele uczuć i myśli, które razem wzięte dopiéro stanowią jego indywidualność, jego właściwą fizyognomią duchową. Każda z tych figur brzmi wprawdzie jednym tonem panującym, ale z nim zarazem słychać i inne wtórujące akordy, a co więcéj, prawda wiekuista, jako boży pierwiastek udzielony człowiekowi, nie usypia nigdy w sercu, a choć przygłuszony, budzi się przecież jako anioła głos, co woła na ostateczne sądy Boże. Tego niema w tragedyach greckich, w nich niema téj bogatéj, różnorodnéj treści, ujętéj w jedność wiekuistą; w nich figury są niby niezmienne maski o nieruchoméj twarzy, bo w nich jedno tylko uczucie włada, a pierwiastek wiekuistéj prawdy jeszcze nie zapukał w głębiach duchowych.

Nadto, warto nam jeszcze i na to zwrócić uwagę, że te figury przyszły Grekom tradycyą, podaniem z dawnych lat, jako typy nietykalne, których zmieniać nie było wolno; wieszcz nie śmieliłby się był nigdy przedstawić bohatéra z dawnych lat wedle swojego własnego zapatrywania się; on go tak stawiał przed oczy widza, jak żył w wyobrażeniu i sercu ludu. Z drugiéj strony te charaktery i typy już gotowe, już dane, były nie-

przebranym skarbem dla wieszczów jakim był Eschylus i Sofokles; oni zbadali tajemnicze i pełne wagi znaczenie tych typów, oni przeprowadzili je w obec ludu, jakby filozofią ojczystych dziejów. Stąd Arystoteles rzekł, że tragedya wyższa od sztuki pisania historyi, «bo ta jedynie przedstawia rzeczy jak były z całą przypadkowością swoją, tragedya zaś bada duszę dziejów i dotyka się ich tętna.» Przyznasz mi jednak, że właśnie dla tego, iż Eschylus, że Sofokles uczyli czci dla bogów i praw i obyczajów, że przywodzili w obec ludzi wieczną sprawiedliwość, już tém samém uznali potrzebę tego nauczania, a tak stali się dla nas wróżbą, że stara Grecya i harmonia jéj z obyczajem i religią usuwała się już z dramatu rzeczywistego życia. Przyznasz, że gdy ta tragedya nakazuje człowiekowi rozpatrzenie się we własném wnętrzu swojém, już tém samém była cofnieniem się jego w siebie i piérwszym zaczątkiem rozwodu między światem wewnętrznym ducha a rzeczywistością zewnętrzną.

Ta cecha przeradzającéj się, a raczéj konającéj Grecyi występuje z całą prawdą swoją w tragedyi Eurypidesa—on synem wskróś odmiennéj epoki. Nastał czas gorączkowy; wyrywało się osobistą chęcią serce ludzi miotane namiętnością i podrzucane innemi potęgami, które dotychczas trzymane na wodzy czcią ogółu milczały na dnie duszy. Podwaliny pradziadowe społeczności, zakon dawnego obyczaju, straciły świętość swoją, a człowiek zdanie swoje jednostkowe, te chętki piersi własnych uważał za prawdę, za skazówkę postępowania swojego. Popękały dawne ogniwa, każdy uważał się być całością osobną dla siebie, a nie stojąc na zasadach ogólnych

jako na fundamentach swoich, nie brał też sił i żywotnych pierwiastków z głębin prawd rodzimych; stąd stał się wiotkim i słabym, bo był-li tylko na sobie oparty. Drzewo zeschło, a te liście, co niegdyś silnie trzymając się drzewa, jako spólnego tła, były czerstwe i zdrowe, teraz zżółkły, spadły idąc na poniewierkę lada powiewom. Takim jest Eurypides, takie są jego figury. Owa harmonia, która była żywotną istotą Grecyi, czyniąc z jéj ludu lud-artystę, która była dla nas wątkiem całego rozwoju naszego, ta harmonia znikła niepowrótnie ze sceny świata. W Eurypidesie nię ma owych potężnych i wspaniałych charakterów, w których żyje rdzeń żywota całéj Grecyi, ale jawią się figury popisujące się błyskotkami swoich osobistych sentymentów. Postaci Sofoklesa działały parte wewnętrznym Pathos; tém Pathos było nie tylko ich uczucie osobiste, ale prawda istotna, ogólna, i dla tego tak olbrzymiego wrażenia. U Eurypidesa figury są rozwojem psychologicznym, są roztoczeniem swawolnéj osobistéj chętki sofistycznéj; niémi miota jakaś tęsknota, jakieś na pół zrozumiane chorobliwe pragnienie. Gdy u tamtych tragików właśnie to Pathos, jako ogólne, wystarczało aby poruszyć wskróś widza i zatrząść sercem jego; Eurypidesa figury nie mają same przez się téj potęgi; więc rade zająć jeszcze widza sztuczném powikłaniem bajki tragicznéj, wymyślném naprężeniem ciekawości, wzniecceniem jakiejś tęsknoty nieukojonéj. Te tragedye były wyrazem dziejów, które nastać miały w rzeczywistości, gdy już każdy w Helladzie uczynił się odrębném ogniskiem samego siebie, gdy Grecya rozjednostkowała się na atomy osobne. Był to czas wojny Peloponezkiéj,

w któréj również one wszystkie ludy Grecyi, zrywając ogniwa jednoczące je w całość, stanęły do siebie kollizyą a bratobójczą walką. Tę wojnę opisując Tucydydes, mistrz dziejopisów, powiada, że: «dużo było rozkazujących a słuchających mało, że każdy upatrywał przyczynę każdéj przegranéj właśnie w tém, że jego tam brakowało, boć on byłby niby złemu zaradził.»

Słowem, ów, niegdyś cudnéj piękności, żywot Grecyi wypaczył się, wydrzeźnił w ironią—on dojrzał w osnowę dla komedyi. Bo gdy zniknęła cześć dla rzeczy publicznéj, gdy zewsząd pchała się prywata, gdy interes osobisty rozpierał się po świecie, siebie za piastę wszech rzeczy mając — wtedy zachodziła sprzeczność między tém, czém każdy się być mniemał, a czém w istocie był, a przekonanie się jego własne o téj sprzeczności zrodziło komiczność. I znalazł się tu komik! znalazł się starogrecki człek z krwawą boleścią w sercu, ze łzą w oku, ze śmiechem na ustach, a z jadem żółci w mowie: był to Arystofanes, komik długo zapoznany a przecież tak olbrzymi. On pisał tym Grekom komedye, a lud śmiał się na komedyi, chichotał z dowcipów, z konceptów lubieżnych, ze scen tak pociesznych! Ale na dnie tych dowcipów, konceptów był wyrok śmierci na lud ten; w nich brzmiał jego sąd ostateczny, w nich śmiała się rozpacz konającego.

Arystofanes palił dowcipem rany śmiertelne Grecyi; pod wesołością lękką ducha, pod drwinkami rozpusty chował uczciwe, prawe nadzieje wyleczenia ludu swojego i nawrócenia go do starego obyczaju, do przeszłości: on się łudził, że zdolen wlać nowe życie w ten biédny kraj swój, on pieścił się myślą, jakoby ta choroba

Hellady była jedynie przechodnia; on za mało sobie ważył te pojawy nowego pierwiastku, który się na świat rodził. Ten pierwiastek, mający przeistoczyć dzieje ludzkie, już był obecny, już pukał pod ziemią, unosił się w atmosferze. Grecya nie tylko dla tego umiérała, że była popsowana w sobie, ale psuła się, bo wybiła godzina, gdy inny zwrót miał nastać w historyi ludzkiego rodzaju. Tym zwrotem był nawrót człowieka ku sobie, utonienie jego w duchu.

»Mężowie! ci wszyscy którzy podrobili świadectwa »nastające na mnie, równie jak ci, co od nich wyuczeni świadectwa dawali, krzywoprzysięztwem je uświęcając— są to zaiste ludzie przekonani w duchu o nieprawości i bezbożności czynu swojego. A czyliż mnie »przystoi, abym w téj chwili mniéj siebie ważył, niż »przed zapadłym wyrokiem waszym? Wszak nie do»wiedliście mi żadnéj winy, o którą przed was przy»zwany zostałem. Bo świadkiem mi Zews i Hera (Juno), »żem nie czynił nigdy ofiar żadnym nowym bogom, anim »też nie przysięgał nigdy na imie ich, anim ich kiedy»kolwiek uczcił bogów imieniem!.... A czyliż ja mo»głem psuć młodzież? ja, com ją uczył zawżdy, jak się »miarkować, jak cierpieć! Śmierć moja niesprawiedli»wa, nie jest dla mnie wstydem, ale jest tylko hańbą »tym, co mnie skazują na skon! Wiém, że nie tylko »czasy przyszłe, ale cała przeszłość będą mi świadkiem, »żem nikogo nie krzywdził w życiu mojém, żem nie gor»szył nikogo, owszem, że świadczyłem tyle dobrego, »ilem tylko mógł, tym wszystkim, z którymi przestawa-

»łem; i to pewna, że uczyłem bez nagrody żadnéj, jak to »być zacnym człowiekiem na świecie.»

(Przemówienie się Sokratesa po skazaniu go na śmierć — z Xenofonta.)

Wiadomo ci zaiste, że Plato w dyalogu swoim »Phaedo« powtórzył rozprawę, którą miał Sokrates z uczniami przed skonem, a mianowicie cały rozwój nauki jego o nieśmiertelności duszy człowieka — rozmowa, która po wszystkie wieki i po wszystkie ludy zostanie arcydziełem mądrości i filozoficznéj głębi. Słusznie też powiedziano, że chwile uroczyste przedśmiertne mędrca oblały poświatą swoją ten zacny przedmiot rozmowy, i nawzajem, że zacność przedmiotu uświęciła i podniosła ostatnie chwile i skon jego. »Phaedo« kończy się temi słowy: ów zaś sługa więzienny, który mu podał truciznę, pokazał nam jako Sokrates stopniowo od nóg drętwiał, i dodał: »gdy to dójdzie do serca, będzie po wszystkiem!« — Niezadługo, drgnęło nim, sługa odkrył twarz, oczy zgasły. — Widząc to Kriton zamknął mu usta i powieki. — Taki był koniec naszego przyjaciela, tego męża, który wedle przekonania naszego jest najdoskonalszym człowiekiem, i pewnie też najrozumniejszym i najzacniejszym ze wszystkich.«

Zaiste był to człowiek najdoskonalszy, był to człowiek, co się urodził na chwałę rodzajowi ludzkiemu, a przecież ten człowiek bezświadomie, bo party duchem przyszłości w nim żyjącym, przez naukę swoją dał hasło na śmierć Hellady. Od powiewu jego filozofii zerwała się harmonia wewnętrznéj treści człowieka a rzeczywistości — ta harmonia, która była Grecyi żywotem; —

więc uleciała i fantazya artystyczna Grecyi, owa fantazya klassyczna, któréj oddechem a istotą była właśnie owa harmonia wdzięków pełna.

Dziwném to zrządzeniem ta sama fantazya, któréj szczytem była tragedya, ta fantazya umarła na naukę męża, którego skon sam jest tak wysoką tragicznością. Dziwny to splot dla nas, ale nie dla Grecyi, bo ona jest taką całością pełną konsekwencyi! bo jéj życie samo jest jakby arcydziełem sztuki!

Łatwo cię przekonać, że tak istotnie się rzecz ma; zechciéj tylko przypomnieć sobie, co gdzieś wyżéj rzekłem. Powiedziałem, że duch dziejów wszechobecny, krocząc przez ludy i stólecia, widział, że nadszedł czas, by człowiek uczynił nawrót ku sobie i zapuścił się w zapadliny głębokie własnéj istoty swojéj. Ten duch, obrał sobie za świadka a kapłana swojego czyste serce Sokratesa, a usta jego za wieszcza nadchodzącym stóleciom. Duch dziejów zapukał w jego piersiach i dał mu znać o sobie. A Sokrates, sam nie wiedząc, co się z nim dzieje, nie przeczuwając, skąd mu to parcie duchowe, przypisywał owe wnętrzne wołania w duszy jakiemuś geniuszowi, co mu szeptał ciche wróżby; i zatonął, młodzieńcem jeszcze będąc, w onym napisie na wyroczni delfickiéj »poznaj siebie samego.« I Sokrates myślą zapadał się w duchu swoim, i poznał go, i dokonał zadania onéj wyroczni; w sobie znalazł wyrocznią wszelkiéj prawdy, więc też owa zewnętrzna delficka Pitya oniemiała,— umilkła. Gdy sam duch człowieka z głębi własnych rozpoczął proroctwa swoje, ona ustąpiła wyższym wieszczom.— Ale to nurkowanie, to zapadanie się ducha w sobie, było zarazem cofnieniem się jego

z rzeczywistego świata, więc skonem harmonii, którą płynęło owo piękne życie Hellady. Serce jéj ciszéj a ciszéj biło,—w rychle miało stanąć i umilknąć na zawsze. Duch dziejów ludzkich oko swoje zwrócił na wnętrze swoje, więc dla niego świat doczesny, słoneczny stracił wartość. Duch przewidział. Te dawne, pełne piękności marmurowe posągi bogów, były bez źrenicy, bez wzroku! one już miały zestąpić z wysokiego podnoża (*)!

(*) *Sokrates* był zaiste piérwszym z Greków, który zwrócił myśl na wnętrze duchowe, na myśl samą, a tak nauka jego już w zarodzie chowała pierwiastek antygrecki, bo gotowała zerwanie człowieka ze światem zewnętrznym, więc zerwania harmonii ducha z całą rzeczywistością, bo tak z naturą jak i ze społecznością;— a wiemy że ta harmonia była właśnie pierwiastkiem żywotnym Grecyi, jako klassycznego ludu. Lecz gdy to zerwanie było dopiéro zarodem zamknięte w nauce Sokratesa, więc nie rozumiejmy jakoby ono zaraz, bezzwłócznie i w całéj pełni wystąpiło z jego filozofią w świat; owszem ten nowy pierwiastek pojawia się dopiéro w całéj wyrazistości w późniejszéj nierównie filozofii i w późniejszéj epoce historyi greckiéj.

Jakoż, uważmy, to zwrócenie się Sokratesa do wnętrza duchowego wyraża się głównie tém: że Sokrates uważa iż piérwszym warunkiem wszelkiego prawdziwego poznania przedmiotu jest: „aby człowiek zwracał baczność na własne pojmowanie swoje, aby myśl własna stała sobie saméj na straży." Widzimy tedy że Sokrates jak z jednéj strony cofa myśl we wnętrze ducha, a poznanie własnego trybu poznawania czyni warunkiem wszelkiego istotnego poznawania;— tak z drugiéj strony nie zaprzecza prawdziwości rzeczywistych przedmiotów. Uczeń jego, *Plato*, posunął się jednym stopniem wyżéj; u niego bowiem jedynym prawdziwym przedmiotem są myśli, są pojęcia—ale nie zwyczajne myśli ludzkie, ale myśli światorodne, ideje istniejące we wszechbytności, wyrażające się w przedmiotach; świat zewnętrzny zaś, przedmioty rzeczywiste, otaczające nas do koła, są jedynie odbiciem, odgłosem tych idei.—Te ideje, te myśli rządzące światem są, wedle Platona, rzeczywistością prawdziwą; to zaś co ludzie zwykle przedmiotami rzeczywistemi zowią, więc ten świat zmysłowy, materyalny, dotykalny, jest tylko cieniem onych myśli. Widzimy tedy, że Plato z jednéj strony zrywa ze światem zewnętrznym, zwykle zwanym rzeczywistością, ale z drugiéj strony na miejscu jego sadza prawdziwą rzeczywistość—ideje, które nie tylko mają istnienie we-

Rozumiész przeto, że sam ten Sokrates jest tak głębokiego tragicznego znaczenia. On ma słuszność, bo przez usta jego objawia się pierwiastek nowéj nadchodzącéj epoki świata,—i w tém jego prawo; ale z drugiéj strony, choć bez wiedzy swojéj, on zarazem obraża i śmier-

---

wnątrz człowieka, ale są prawdami i zakonem świata. Wszelako Platona filozofia ten ma niedostatek, że nie zdołała wytłómaczyć stosunku między dziedziną tych nadświatnych idei a rzeczywistością zmysłową, widzialną i t d. To właśnie w nim gani uczeń jego *Arystoteles*, który dla tego całą potęgą geniuszu ku temu się ma, aby wytłómaczył styczność między idejami a światem widzialnym, między duchem a materyą. Główną myślą w tym względzie jest u Arystotelesa zasada: że ten stosunek i styczność jest stosunkiem formy do osnowy; że myśli, że ideje są formą, a rzeczywistość zmysłowa materyałem, czyli osnową dla téj myśli a idei.

Nie rozszerzając się dłużéj nad tym naszym rozwojem, wystarczy gdy powiémy, że filozofii Arystotelesa nie udało się rozwiązanie tego zagadnienia; stosunek formy do osnowy był niedostatecznym by zrównać łączność dwóch odwrótnych światów. Stąd znać że on, całym geniuszem pracując nad połączeniem dwóch tych odwrótnych biegunów, tém samém pragnął zatrzymać ową harmonią między myślą a materyą, między człowiekiem wewnętrznym a rzeczywistością zewnętrzną. Była to więc dążność, pracująca w nim mimo wiedzy, aby utrzymać właśnie to, co było charakterem i warunkiem żywotnym Grecyi i świata klassycznego. Lecz z jednéj strony, sama ta dążność jego, a z drugiéj strony niedoprowadzenie do skutku téj dążności, tego zamiaru, okazuje że również jak w Platonie, jak w Sokratesie,— tak i w Arystotelesie widzimy naprzód zerwanie ducha ze światem wewnętrznym a rzeczywistością, a powtóre widzimy także, iż to zerwanie, że ten zwrót ducha ku sobie jest tutaj dopiéro w piérwszym swoim stopniu.

Dopiéro po Arystotelesie następuje nowa epoka Filozofii Greckiéj— cofnienie się człowieka staje się zupełném, bo filozofowie nawet uczą: że człowiek opierać się winien sam na sobie, i w sobie samym szukać spokoju i zadowolnienia, że świat nie da mu nigdy tego zadowolnienia. Ten kierunek w najwyższéj potędze okazuje się w filozofii *skeptycznéj*, która wyraźnie orzeka: że człowiek nie zdolen poznać prawdy, że nie zdolen poznać przedmiotu; a tém samém ta filozofia orzeka, że niema już żadnego związku między myślą człowieka a przedmiotami, między duchem a rzeczywistym światem.

telnie rani Grecyą, która umrze na ten właśnie nowy pierwiastek,— i w tém jego wina. Nawzajem Ateńczycy, nastając na mędrca głoszącego prawdę, klującą się w dziejach, stali się winni w obec zakonu historyi; lecz zaiste to nastawanie było znów ich prawem, bo było własną obroną Grecyi i jéj żywota. Toć jest zderzenie się, kollizya tragiczna dwóch stron odwrótnych.

Ateńczycy instynktem przeczuwali, że filozofia Sokratesa stanie się skonem Hellady;— oskarżają go tedy, że nie wierzy w dawnych bogów, ani w stare wyrocznie, lecz w demonium co w nim przemawia, że lekce waży obyczaj rodzinny, że młodzież psuje uwodząc ją nauką swoją. Utorował im już dawniéj drogę Arystofanes—ów genijalny komik— wierzący w możność nawrótu do starogreckich obyczajów. On całém natchnieniem swojéj żółci uderza na Sokratesa, szarpiąc dowcipem, szargając szyderstwem uczciwą, nieskalaną sławę zacnego nauczyciela. Ateńczycy, zrazu na komedyą oburzeni, wnet sami wytoczyli Sokratesowi gardłową sprawę i zadali filozofowi śmierć.— Nie wrócił już atoli stary obyczaj, a lud Ateński w rychle po skonie mędrca swojego, sam już przesiąkniony nowemi prawdami jego, skazuje onych oskarżycieli na śmierć lub wygnanie. W sercu własném całego ludu staje gościem wrogim,— rozdwojenie.

Gdy się tak zerwały ogniwa między światem zewnętrznym a wewnętrznym, już nadaremnie późniejsze filozofie greckie pracowały, by połączyć oba te światy. Każda z nich trzyma się ostateczności; »Rzucaj się wyłącznie całą duszą w objęcie zewnętrznego, zmysłowego świata, on sam jeden jest prawdą« tak

woła *Epikureizm* późniejszy, zepsuty.— »Odepchnij od siebie tę rzeczywistość, pomiataj zakonem jéj; zmysłowość jest kłamstwem, szukaj w sobie prawdy« uczą *Stoicy*, co, cofnąwszy się w ducha, otulają się dumą cnoty i przestawania na sobie. Nakoniec człowiek rozpacza i o treści ducha i o rzeczywistości i o myśli własnéj, i o tém wszystkiém co istnieje, rozpacza tedy o wszelkiéj prawdzie, o sobie samym— a tak zradza się *Sceptycyzm*. Sceptycyzm złożył zwłoki Grecyi do grobu i stanął na jéj mogile, a serce człowieka spustoszało i ogłuchło. Świat w boleści swojéj wołał ratunku.

Tak tedy słuszne było twierdzenie moje. Owe podania mgliste pierwotnych dziejów greckich, owe postaci poranne a mityczne historye, co się zdawały być greckiemu ludowi niepowrótną już nigdy przeszłością, odżyły naprzód poezyą wielkich tragików jego, prorocząc mu własną smętną przyszłość; a wnet też owe zderzenia się i walki zestąpiły ze sceny w rzeczywisty świat. Stało się przeto, że najwyższe arcydzieło poezyi: *Antygona* Sofoklesa, a losy Sokratesa, najzacniejszego męża Hellady, co był wróżbitą skonu ojczyzny swojéj, dziwnie są odpowiednie sobie (*).

(*) Dla łatwiejszego porozumienia się z czytelnikiem, przypomnę tutaj treść Antygony. . . . .

Rzecz tak się ma:— Dwaj bracia Antygony walczą o tron zmarłego ojca Edypa. Eteokles z krzywdą brata zasiadł na stolicy Tebańskiéj. Polynikes, dochodząc prawa swojego, na czele hufców obcych najeżdża miasto rodzinne. Stąd oba winni. W bitwie krwawéj obaj bracia nawzajem zabijają się bratobójczą walką. Teraz Kreon, wuj ich, owładnął rządy w Tebach. On, jako wyobraźnik prawa i ustawy publicznéj, chowa zwłoki Eteoklesa z całym przepychem i czcią należącą obrońcy miasta; ciało zaś Polynikesa zostawia na pastwę ptastwu i dzikiemu źwierzowi a śmiercią grozi każdemu, ktoby je śmiał pogrzebać. Mimo ogłoszonego

Sokrates i Antygona! Dwadzieścia i trzy stólecia minęły, gdy natchniony geniusz Sofoklesa udarował ród ludzki tą tragedyą swoją. A dopiéro kilka lat upłynęło, gdy teatra Berlina i Paryża, pragnąc przecież jakąś

---

zakazu tego, Antygona, idąc za natchnieniem miłości rodzinnéj, powierza ziemi zabitego brata, a tak działając wbrew publicznemu prawu, winną się staje. Schwytana przy dopełnieniu powinności pobożnéj, jest skazaną na zamurowanie żywcem w grobowcu. Toć jest cała treść tragedyi.

Kreon i Antygona zderzają się kollizyą jako dwa uosobnione, wręcz przeciwne sobie, pierwiastki,— są to dwie główne postaci smętnego dramatu. Obok Antygony staje siostra jéj Ismena; ona przedstawia słodycz niewieścią, łagodność i bierność charakteru, a tak tém potężniéj rysuje figurę siostry swojéj.— Obok Kreona znowu Hemon, syn jego, narzeczony Antygony; on przemawia imieniem miłości; ujmując się za kochanką, zderza się z ojcem, zapomina o czci jemu należnéj, a tak sam przewinił obyczajowi domowemu, powinnościom rodzinnym. Nakoniec kapłan i wróżbita Tyresias, starzec ciemny, od dziecięcia prowadzony, napomina imieniem bogów Kreona by się pomiarkował i nie obrażał świętych odwiecznych ustaw.—On jest głosem sumienia, radą serca; ślepota zakryła mu świat zewnętrzny, ale oko duchowe otwarte i czuwa, jasno wgląda w najdalsze, dla innych niewidzialne prawdy.

Każda z tych figur tragicznych ma słuszność, bo jest wcieleniem jednéj z onych prawd; ale każda z nich, tém jedném uczuciem porwana, pomija względy należące się od niéj innym prawdom:— ztąd brak umiarkowania, ztąd zderzenie z niemi a spadający grom nieszczęścia. Lecz każda z nich w końcu godzi się, mięknieiąc traci szorstkość swoją. Antygona, w obliczu okrutnéj śmierci, wraca do słodyczy i łagodności niewieściéj, a mężne i szlachetne jéj serce płacze nad własnym losem swoim. A Kreon, co nieużyty i twardy, bo jest uosobioną ustawą, rozpływa w końcu rozczuleniem nad losem rodziny swojéj którą sponiewierał.— Obraził bogów podziemnych nie grzebiąc ciała poległych nieprzyjaciół; jakoż dziki źwierz, ptastwo, roznoszą krwawe ich członki, kalając ołtarze ziem pogranicznych. Ludy sąsiednie ciągną gęstym zastępem, pomścić się świętokradztwa znieważonych ołtarzów bogów swoich.

Hemon, syn jego, zadaje sobie śmierć, nie chcąc przeżyć kochanki. Eurydyka, żona Kreona, rozpaczająć nad śmiercią syna, ginie skonem samobójczym. Tak grom po gromie spada na głowę Kreona. On dawno już odwołał wyrok srogi, ale Antygona zamknięta w grobie sama sobie życie odebrała;— serce jego kruszy się pod brzemieniem nieszczęścia.

nowością podrażnić znudzoną, zużytą publiczność swoją wprowadziły Antygonę na scenę. Tłumnie garnie się gadatliwa, dowcipkująca, wytworna ciżba, by się przypatrzyć dziwowisku, co zaklęte występowało z zapa-

---

Kończy się tragedya oddając upamiętaniu cześć i napomina śmiertelnych, by samowolą nie bluźnili bogom.

Zaiste warto byśmy te rozprawy nasze o fantazyi greckiéj ukończyli kilku słowami z Antygony. Podaję ci tylko okruchy ułomków, a przecież one jakby klejnoty drogie zbogacą kosztownie tę biédną pracę moją. Nie ośmielam się korzystać z mistrzowskiego tłumaczenia pana Kaszewskiego, bo mając, jak rzekłem, podać jedynie okruszyny téj tragedyi, nie radbym zadać gwałtu pięknym a wdzięcznym wierszom tłumacza i spaczyć tak wielce zasłużoną a zacną pracę jego.

Antygona, słysząc o zakazie pochowania zwłók braterskich, pyta Ismeny czyli zechce razem z nią dokonać pobożnego dzieła.

Ismena. Pomnij że my niewiasty nie zrodzone by wbrew przemocy mężów stanąć do walki!— Ja się modlić będę umarłym o przejrzenie méj winy, żem zmuszona korzyć się przed powagą doczesnéj ustawy. . .
. . . . ; . . . .

Antygona. Więc ja sama jedna zmarłego pochowam. I umrę radośnie po dziele tém, i złożę głowę moją obok mojego przyjaciela, ukochana od niego . . . . . . Tym, co są pod ziemią, dłużéj podobać się godzi niż żyjącym na ziemi, boć kiedyś przyjdzie na zawsze spocząć obok nich! Ty znieważaj prawa przez bogów uczczone! . . . .
. . . .

Straż donosi Kreonowi, że zwłoki Polynikesa pochowane ręką niewiadomą. Kreon grozi straży śmiercią, jeśliby nie odkryła sprawcy, a gdy Chór starców powiada, że przeczucie jakieś mu mówi, iż pogrzeb ten stał się z nakazania bogów, Kreon. . . . . . . Umilknij! a umiarkuj nieopatrznéj mowy!— Śmiesz mówić, że bogi zasłaniają paiżą swojéj opieki tego, co na ich świątnice w kolumny strojne, i bogate w dary ofiarne, niósł pożogi, co w kraj ich opieki rzucał gwałcenie ustaw i praw! . . . . , ...
. . . .

Zaczajona u grobu straż dostrzega Antygonę, czyniącą błagalną ofiarę i chowającą zwłoki brata. Kreon pyta, czyli znała ogłoszony rozkaz

dłych zbutwiałych grobów. Cisną się i garną ze zdaniem już gotowém: »Zapewne ten Sofokles był wiel»kim poetą na swój czas a lud; ale przecież od téj epo»ki, przez blisko półtrzecia tysiąca lat, tyle i tak dziel-

---

jego, i pyta, skąd jéj ta śmiałość działania wbrew jego woli? Ona przyznając się do czynu powiada:

Ani od Zewsa, ani od bogów podziemnego świata płynęło rozkazanie twoje; ono nie jest wzniesione nad boże prawa, co niezmienne nigdy, nie pisane nigdy, nie dzisiaj, nie wczoraj zrodzone, żyją bez końca, a nikt nie wié kiedy stanęły wśród ludzi! więc mnie nie trwoży żadna groźba ludzka, bym miała gwałceniem tych praw wywołać na się bogów sądy!— Zaiste! nie minie mnie skon!— Lecz choć mię i przed czasem zabierze, będzie dla mnie wygraną. Bo kto mnie podobien, wśród katuszy wiedzie żywot swój, temu zaprawdę ukojeniem żalów jest śmierć. . . . . Śmierć nie jest dla mnie boleścią, ale boleścią mi widok niepogrzebionego własnéj matki syna!—

. . . .

Kreon. Ty go czcząc znieważasz drugiego brata!

Antygona. Zaiste, sam umarły nie sądzi sądem twym!—

. . . .

Kreon. Ten pustoszył kraj, tamten umarł w obronie jego!—

Antyg. Państwo umarłych żąda dla obu jednakiéj czci!

. . . .

Kreon. Nieprzyjaciel nawet i w śmierci nie jest kochany!—

Antyg. Ja nie znam, jak nienawidzieć spólnie z innymi, ja tylko kochać umiem spólnie z innymi.—

Przyprowadzona Ismena chce dzielić z siostrą winę i śmierć.

Ismena. Nie chciéj o siostro pogardzać uczestnictwem mojém w skonie, i czcią, którą uświęcę umarłego brata!—

Antyg. Nie umieraj spólnie ze mną, ani nazywaj twojém dzieła, któregoś się nie tknęła nigdy. Moja śmierć wystarczy! . . . . . .
. . . . Tyś pragnęła życia, ja wybrałam śmierć.
. . . . Ty żyjesz, a dusza moja już skonała, by pójść umarłym w służby.

(Obie siostry odprowadzone pod strażą do pałacu; występuje Hemon; zrazu rozmowa jego z ojcem łagodna, lecz w miarę jak Hemon traci nadzieję skłonienia ojca do przebaczenia winy Antygonie, namiętność wzrasta w sercu młodzieńca oburzeniem. Rozjątrzony Kreon nakazuje bez zwłoki wykonanie wyroku na Antygonie, Hemon grozi samobójstwem).

Wyprowadzają Antygonę.

»nych narodów pracowało nad cywilizacyą świata, a »do tego o tyle wyższych od Greków smakiem, uczuciem, »obyczajem, krajem, stanowiskiem, pojęciem rzeczy i t. d. »Pójdźmy! obaczymy przecież jakąś odmianę wśród

---

Antygona. Patrzcie na mnie, ziemi mojéj synowie, jako śpiesznie ostatnia wiedzie mnie droga, jako widzę ostatnią jasność promienistą dnia, dziś i na wieki! Żywą wprowadza mnie podziemny bóg do Acherontu brzegów. Ja nie uradowana nigdy pieśnią ślubną i tanem uroczystym weselnym. Idę do weselnéj Acheronta komnaty.—

Chór.

Lecz idziesz chwały pełna, czcią ustrojona do umarłych grodu. Ty nie zaznasz męki długiéj a zwolna trawiącéj niemocy, ani od miecza nagrodnéj zapłaty. Ty żywa wstępujesz do państwa ciemnic sama jedna, a wedle własnéj woli a własnéj ustawy twojéj—. . . . . . .

. . . .

. . . . . My śmiertelni z ludzkiego rodu! Stąd chwała, gdy choć w śmierci doznajemy losu, jakiego doznają bogowie!—

. . . . , ...

Antygona To potoki zdrojorodne i ten pełen roskoszy Tebański gaj, i cały świat w koło, wzywam na świadki jako bez płaczu przyjaciół, jako za onym wyrokiem zstępuję do więzień grobowych, pod sklepy skalne niesłychanéj zgrozy! Biada! Ja nieszczęsna nie będę ani wśród umarłych ani wśród żywych, ani wśród ludzi, ani wśród martwych zwłok.

. . . .

. . . . I ty bracie mój — ty umarły zabijasz mnie żywą! . . . .

. . . . Nieopłakiwana, nieukochana, niezaślubiona, boleści pełna idę przygotowaną już drogą. Nigdy, nigdy nie obaczę już onéj świetlistéj dnia pochodni a jasnego niebios oka!— Nikt z przyjaciół nie westchnie nad samotném skonaniem mojém! . . . .

. . . . (Kreon wchodzi).

. . . . Idę do was!— Wiém że mnie ojciec przyjmie miłością, przyjmie i matka serdeczném kochaniem! Boć i ja umarła uczciłam was miłością, własną ręką umyłam ciało wasze i przyniosłam pośmiertne ofiary. . . . . I ty bracie mnie przyjmiesz, bo czcząc zwłoki twoje te zbieram nagrody . . . .

. . . . (Antygona odprowadzona).

. . . . (Tyresias kapłan prowadzony od wróżbity wstępuje na scenę— Kreon. . . . .

. . . .

»téj jednostajności nudów śmiertelnych.« Tak rezonując zasiadają na ławach. Podniosła się zasłona. Spójrzyj po widzach,— uśmiech litości i pobłażania— tu ówdzie poziewają, szepcą żarciki, dowcipki. Ale tragedya roztacza się jakby burza daleka; duch starego wieszcza kroczy przez scenę; szepty umilkły, drwinki oniemiały, pręży się uwaga. Cisza głęboka,—każdy słyszy własny oddech swój. Coraz potężeje, dźwiga się tragedya, bije trwogą i strachem;—rzewność i litość

. . . Tyresias (do Kreona). Wiedz! nieliczne już obieży kołowroty swoje słońce, a ty umarłym z własnéj krwi twojéj za umarłych zapłacisz!— Ty zgrzeszyłeś bogom nadziemskim, wtrącając pod ziemię życie żyjące, a bluźniłeś Bogom podziemnym, bo zatrzymałeś ich własność nie pogrzebując zbezczeszczonego umarłych ciała!— One przeto potęgi, co niszczą bezbożności zbrodnię, już tropią ciebie, czyhając by cię umatnić równém nieszczęściem! . . . .
. . . .
. . . .
. . . .

Kreon w objęciu swojém trzyma zwłoki syna . . . . Ciało Eurydyki przynoszą na scenę . . . .

Kreon. Biada! piętrzą się nieszczęścia, cierpienia; w objęciu dźwigam dziecię drogie i przed oczyma ciało matki jego.— Biada ci Matko.— Biada ci . . . nieszczęsne dziécię! . . . .

Ach, ach szczują mnie strachy! Przeszyjcie obosieczném żelazem piersi moje!— Patrzcie na mnie! Biada! Przepadam w okropności morzu! . . . . Nikt z ludzi niechaj niema winy, na mnie samego zwala się całe zbrodni brzemię.— Ja—ja sam zamordowałem się w szale moim. Tak jest, ja sam mordowałem siebie!— uchwyćcie mnie, trzymajcie mnie, odprowadźcie śpiesznie, odprowadźcie mnie śpiesznie, bo ja nie jestem już niczém na świecie! . . . .
. . . .
. . . .

Chór.

Najwyższém ze wszech darów dobrem jest mądrość!— Nie bluźnij bogom! bo słowo potęgą, gromem gwałtownym. Lecz przypłata za butne zuchwalstwo uczy na starość upamiętania.

rozbiera słuchaczów; uczucia dawne, senne, co przycichły w sercach, teraz dygocą i jęczą i bolą,— głębiéj a głębiéj przenika duszę ta dziwna poezya. Spójrzyi w koło,— łzy zrazu wstydzące się, ukryte, w rychle już jawne—bo powszechne. Zapadła kortyna,—jeszcze cisza,— teraz już grzmiące, serdeczne okrzyki i cześć staremu poecie, a te lekkoduche dzieci nowożytnego świata ściskają się nawzajem w najwyższém rozczuleniu. »Tak! »co prawdziwie piękne żyje na wieki i nie zna różni»cy lat tysiąców ani narodu,« powiada Jules Janin, kończąc w swoim feljetonie powyższe swoje zdaniesprawy .o przedstawieniu Antygony i wrażeniu, jakie uczyniła na publiczności paryzkiéj.

Toć się stało przed kilku latami, a przed kilku znów wiekami, właśnie w tém XV i XVI stóleciu, wtedy gdy Europa zmiatała z siebie sredniowiekową pleśń, a wróciła się całém uwielbieniem do Greków, odgrzebując ich poezyą,— wtedy znów dała po swojemu dowód swojéj czci dla Antygony. Wystaw sobie, ten przeczysty kwiat ludzkiego serca,—ta Antygona tak wówczas wszystkich zachwyciła, że rozbierano uczenie pytanie, azali ta dziewica, choćby sama jedna z pogańskiego świata, nie zasłużyła na żywot wieczny?!

Jak Sokrates tak i Antygona zderzają się z prawami kraju swojego; gdy atoli w nim, jako w mężu, prze i robi rodzący się przyszłości głos, Antygona, niewiastą będąc, idzie za natchnieniem przyrodzonego uczucia; ona staje na straży miłości rodzinnéj i życie za nią daje; boć niewiasty są kapłankami domowego ogniska i zacnego rodzinnego obyczaju. Nazwano też tę tragedyą słusznie tragedyą miłości. Jest to jednak miłość przeczysta, wolna

od potęg zmysłowych, bo nie dla kochanka poświęca się Antygona, ale dla brata. W téj miłości gra wprawdzie i różnica płciowa, ale idealizowana, ale wyswobodzona od samolubstwa materyi.

Sokrates i Antygona! obie te postaci były porwane potęgą wewnętrzną,— Antygonę parło uczucie przyrodzone,— Sokratesa duch przyszłości; w niéj natchnienie idzie od serca, na Sokratesa zaś wionął duch filozofii. Obie te postaci zerwały ze światem zewnętrznym, obie łamią się ze światem, z prawdami istniejącemi między ludźmi, i zerwana jest harmonia między człowiekiem zewnętrznym a wewnętrzną ogólną prawdą. Obie te postaci giną, bo śmierć— to ich tragiczne prawo; ale zginie także ten świat zewnętrzny, rzeczywisty. To rozdwojenie się rzeczywistości zewnętrznéj, które Sofokles przedstawił w tragedyi swojéj, a które tchnęło w filozofii Sokratesa, samo stało się rzeczywistością, wstąpiło w świat zewnętrzny, w historyą. Demon wyłączny parł w każdym greckim ludzie; inaczéj więc one uderzyły na siebie wojną Peloponezką; zerwała się harmonia między wewnętrzném uczuciem tych ludów, a zewnętrzną ogólną prawdą, bo prawdą, która te ludy greckie czyniła jedną całością. Uderzyły na siebie te ludy i skonały z ran na wzajem sobie zadanych. Rozwiązał tę tragedyę, Filip i syn jego Alexander, król Macedonii.



LIST XXIII.

Rzym.

Wstęp.— Forum Romanum.— Zadanie Rzymu w Historyi.— Idea panująca w Rzymie.— Stąd usposobienie jego duchowe.— Porównanie Greków i Rzymian a ludów Chrześcijańskich.— Duch historyi rzymskiéj (utylitarność).— Rodzina rzymska.— Wielkość rzymska.— Bogowie rzymscy i greccy.— Bogi rzymskie są sprawą rozsądku ale nie fantazyi.— Rozsądek nie wystarczy głębokim prawdom religijnym ani filozoficznym.— Zemsta bogów.— Z tego usposobienia ducha wypływa też piętno ich fantazyi.— Architektura rzymska i techniczność.— Rzeźba.— Kilka słów o poezyi rzymskiéj.

Wróciłem do domu już dość póżnym wieczorem. Noc cudnie piękna, całe miasto nasze kąpie się w powodzi księżycowéj jasności. Wyznaj, że to jednak dziwna sprawa z tym księżycem, choć tak ogadana i oklepana od dawna. On spowiednikiem miłości młodéj, do niego wzdychają kochankowie i jemu się żalą z tęsknoty a biédy swojéj; a on duma i słucha niby i jak tam może pociesza, udając, że i on bardzo się frasuje ich troską. Lecz niechno stary ten ćwik podpatrzy gdzieś razem tę parkę, a już ją tak urzecze spójrzeniem swojém i tak ją zmatni, że to już na życie całe zostanie! Bo on, choć sam tak zimny, tak blady i samotny, lubi przecież być swatem lic rumianych i miłości wrzących a serc ognistych.

Na tych magicznych nocy promieniach płyną też wielkich mistrzów pieśni, boć poezya sama jest tylko księżycową ducha naszego poświatą. »Niechaj nam żyje »zdrów nasz stary druh! Do ciebie księżycu pijem!« wykrzykuje wesoły ludek artystów, poetów! Dla tego też każdy młodziuchny wieszczek, choćby ze sławą jeszcze w pestce zamkniętą, puszcza się w komplimenta do księżyca; więc jak porwie nieboraczkę gęśl swoją, to ci pewnie, jak na gwałt, zaśpiewa o dziewczynie, o strumyku, o księżycu i słowiku.

Cicho, spokojnie w izbie;—noc głęboka—słychać tylko stukające sekundy, jak ze starego zegaru uciekają do wieczności; małe pacholątko śpi w kolebce, a tu księżyc milczkiem wmyka się przez okno do izby i świeci w kolebkę i świeci aż się drobne chłopię poruszy, skrzywi, ziewnie. Matka jednak czuwa zazdrośną miłością, zrywa się i osłania kołyskę; bo ta smutna, martwa księżycowa twarz patrzy się tak strasznie na dziecinę, a ono w téj jasności smętnéj takie blade, jakby umarłe; i trwoży się matka, by ta księżycowa twarz nie zcałowała rumieńców jéj dziecinie i nie wyssała oczek niebieskich. Ba! inne jeszcze, a coś nie bardzo dobre rzeczy prawią o tym księżycu. Tak, np. rozgadali o nim, że to on promieniem swoim wyprowadza ludzi z komnat sypialnych, każąc im się spinać po dachach i gzémsach i skałach zawrótnych, że miewa jakieś konszakty na Łyséj górze, że owe złe ziółka, co to na śmierć lub na miłość służą, to w jego obecności zbierane, że to on przyświeca na cmentarzach w pewne noce tanom zapustnym, gdy szkielety hulają po grobach. Przecież nie mówmy o tém; mogę cię zapewnić, że nigdy nic podobnego nie widziałem;

więc wolę wierzyć, że to plotki i bajki wierutne przez poetów zmyślone, i nie wierzę aż się osobiście przekonam. Ale za to wiém, że księżyc czasem i bardzo usłużny; ten lub ów tak zapada po uszy w księgi, w szpargały nowe i stare, a tak się zaduma nad niémi, że już nie wié o sobie ani o bożym świecie; wtenczas niekiedy księżyc w całéj paradzie solennéj występuje po nad dachy miejskie i brudne kominy, i jak ciśnie zadumanemu w oczy światłością, tak i obudzi, i da znać, że prócz papieru i atramentu jest przecież jeszcze i natura na świecie!

Co do mnie, jestem mu rad z całéj duszy, bo, widzisz, ja jeszcze z dwóch powodów mam serdeczną słabość do niego. Zważ tylko—księżyc jest dla nas istną przypominajką (przepuść wyraz); jakoż, gdy mu się czasem zdarzy, że tę pełniutką dobro-duszną twarz swoją zwróci do biednéj ziemi naszéj i jasném spójrzeniem wyleje na nią czarodziejskie blaski swoje, już wtedy dziwnie się coś w duszy plącze i roi. Te promienie jego drgają, dźwięczą niby srebrne struny arfy anielskiéj—a dźwięczą i drgają i grają, jakby na ukołysanie boleści dawnych, i usypiają pokojem, choć na chwilę, myśli ckliwe, smętne, i koją wszystko, co w duszy kwili i cierpi i płacze. Patrz — ten księżyc światłością swoją otulił ziemię śpiącą i, jakby zarównem kochaniem, jasnością uroczą ustroił i mogiły i świątnice i żyjących i umarłych. On mogiłom i świątnicom, żyjącym i umarłym na srebrnych strunach promieni swoich przygrywa pieśń, pieśń o innych światach, kędy nie ma trudów życia, kędy nie ma łez i lęku skonania. A tak gdy, wśród téj pieśni jego, w sercu i w myśli uśnie troska dzienna, gdy z du-

szy uleci ciemna chmura, wtedy odetchniesz choć na chwilę i spójrzysz w siebie i utoniesz we wspomnieniach weselszych, szczęśliwszych żywota twojego, a te wspomnienia popieszczą się z tobą, chłodząc bolejące miejsca twojego serca. I patrzysz w koło siebie, a tu chmara geniuszów nocnych, skocznych, lekkich krząta się, zwija i lata i biega; ciałka ich przejrzyste i niby utkane z promieni księżycowych i z wonnego tchu nocnych kwiatów; i zwija się i śpieszy i lata, i biega czeredka, i dźwiga kulisy, kórtyny, i przywleka malowane pałace, kolumny, ciągnie wizerunki krzewów i drzew, i ustawia i szykuje, i jakby mularze, cieśle, malarze, buduje, muruje, rysuje i stroi,—a już i gotowa scena z dawnych lubych lat i teatr gotowy. Robotniki, dziwnie grzecznie skłoniwszy się, uciekają, a z głębi duszy twojéj występują aktory, niby lunatyki księżycem obudzone, i odegrywają ci dramat z dawnych wspomnień drogich; — i patrzysz i weselisz się i poklaskujesz wdzięcznéj komedyi, któréj sam jesteś widzem i autorem. Tak, niesieni na falach księżycowych światłości, płyniemy w oddalone czasy, i raz jeszcze, choć na chwilkę, nawracamy do uczty weselnéj, którą nas raczą rozkosze niegdyś doznane a zmarłe dziś w życiu! A księżyc czegoś mruga i niby mówi «nie prawdaż? tak samo ci się uśmie«chałem — tam! wtedy—pamiętasz?» Tak jest, ile razy taka noc cudowna, jasna, już nam stają przed oczy wrażenia, jakie odebraliśmy, gdy równie świat się ubierał w te czary jasności nocy magicznéj. Powiedz tedy, jakże tu nie kochać onego czarodzieja, co choć zmyśla i łudzi, jednak pieści a koi. Ale o tych wskrzeszonych księżycowych wspomnieniach lubych potém jeszcze więcéj powiem.

Teraz naprędce o drugiéj przyczynie mojéj przyjaźni dla księżyca. Prawda, że ta przyczyna trąci niby trochę wdzięcznością miejscową, trochę tchnie sentymentem parafiańskim, ale może i ta moja parafia nie lada! Ot! ja jeszcze lubię a miłuję księżyc za to, że nam tak cudownie przystraja ten stary nasz rynek krakowski! Trzeba ci było być ze mną przed chwilą, i tak widzieć ten rynek w swym blasku, jak ja go widziałem; nie uwierzysz, jak mu też ślicznie w poświacie księżycowéj! Budki i kletki, przylepki, daszki, stragany, opadłe trynki, to wszystko gdzieś się skryło, a rynek stanął uroczysty, poważny, wystrojony jak do ślubu. Za dnia te domy,—to tak sobie dawne kamienice — usiadły w kółko, niby stare ciotki zebrane na kawę i bajki. Jedne o dachu wieżastym, spiczastym niby w czépku czubatym; inne powykrawały sobie wierzchy we falbany, w cętki dziergane; inne, jakby marząc o królowéj Bonie, udają włoszki i chowają dachy po za jakieś frontony. A już to prawie wszystkie w wygodnym, choć trochę niedbałym, rannym negliżu.

Gdy atoli spadnie noc, gdy potop księżycowych świateł zaleje miasto, wtedy proszę spójrzéć na te kamienice! Jakie to harde! jakie to dumne! Niechnoby one poczęły bajać, gadać a opowiadać, jużby stało czém zapisać grube księgi wieściami temi, a byłoby też po co czytać te stare baje. Boć one kamienice wszystkie, to niby wróżki dawno uleciałych setek lat, więc im się też dziwnie coś roi i marzy i śni.

Wśród rynku, jakby zamknięta arka przymierza, ciągną się *Sukiennice* krakowskie; a choć one same opylone, obleciałe i połatane, podpierają przecież jakieś sta-

rowieczne jatki i sklepiki i tulą do siebie domki i przylepki jak z opłatków sklecone, to większe, to mniejsze, to proste, to krzywe. Zwyczajnie jak to stary pan, który, choć biéda około niego, wspiera jeszcze respektowe szerepetki i, jak tam może, żywi szarą czeladkę wziętą dziedzictwem po ojcu. My, mieszczanie krakowscy, co to znamy każdy strzęp naszego gniazda, cośmy z lat dziecięcych, młodzieńczych, w tych domach i gmachach krakowskich po kawałku duszę naszą zostawili, my, czasem niewiedzieć nawet po co i na co, ciągniem jakoś przez *Sukiennice* — ciągnie nas miłość do starych, tak ukochanych gratów naszych. Stachowicz, co to także dziecko krakowskie, raz w życiu swojém ruszył z Krakowa, a to z księdzem Woroniczem, i to do Warszawy. Zajechali.— Stachowicz co tchu w świątecznéj kapocie, w ręku trzcina srebrem kuta, czapka zuchwała z barankiem, na bakier, puszcza się na zwiady po stolicy— i czegoś szuka, czegoś pyta, zaczepia ludzi i lustruje i biega i mruczy. Wrócił do domu:—»Jedźmy sobie do Krakowa, Mości księże Biskupie! nie ma tu co robić!» —»A coż to wam znów Panie Michale?«— »Co mi to za miasto Excellentissime! Biedaki nie mają Sukiennic!« —»Wiesz, że to istne factum historyczne; lecz nie mów tam o tém Warszawianom — A co prawda to prawda, może pan Michał i miał racyą! Bo trzeba widzieć te Sukiennice, gdy biją pełnym blaskiem nocnych światłości. W koło cisza, jak w kościele, niby to orientalny bazar, niby olbrzymi grobowiec. Podwójne ostrołukie bramy już z późnym mrokiem zatrzasła stara krata żelazna, w środku gęsta noc, a dziwaczne jakieś o tém ciemném wnętrzu chodzą wieści; starzy prawią o jakichś

płochych światełkach, co się migają, gonią i tańcują, i gdzieś giną w piwnicach zapadłych; prawią o gwarach różnojęzycznych ludów, co je wysyłał Zachód zamorski, i głęboki Wschód; o owym nożu ojcobójczym, który, choć od wieków do swéj ściany na łańcuchu przykuty, niekiedy w pewne pory kapie jeszcze krwią czerwoną, ciepłą. Ale lepiéj nie mówmy o tém wnętrzu,—co nam do tego! —patrz raczéj na to, co na widoku księżyca. Ciągną się długie boczne ściany, u góry wystrugane we floressy i essy kamienne, niby snycerskie koncepta prababczynych apteczek domowych. I za każdym essem jakaś głowa czy maszkara ciosowa wycina się na tle nieba. Osobliwe to i straszne te głowy i twarze. Póki dzień biały, to jeszcze jako tako; snuje się wrzawa targowa i handryczy i huczy i gwarzy, i tysiączny przejdzie i ani się spostrzeże, co się tam u góry nad nim święci. Gdy się zaś spuści nocna ćma, a miesiąc weźmie ciskać światła swoje, gdy się rynek wyludni a miasto zaśnie, gdy ty sam jeden w téj kompanii zostaniesz, wtedy, jeśliś zuch, przystąp i patrz się tym ichmościom oko w oko. Ten rozdziawił szeroką gębę i śmieje się do rozpuku, a śmiech jego iście z piekła rodem; na głowie czub zadarty w różki kończate; tam daléj drugi powieki zamknął i śpi i niby już umarł; trzeci ciężko zadumany, spuścił wargi i waży i myśli o czémś głębokiém a przemądrém; aleć z obu stron od twardych skroni potężne odstają uszy; sąsiad jego wywrócił głowę w tył, a oczy w słup, usta rozwarte, krzyczy,—on cierpi męki nie z tego świata! Tam znów jakiś zuchwalec szydzi i drwi, coś mu bardzo na sercu rado i śmieszno; a ów dalszy sąsiad jego ciska się i złości najeżywszy czupry-

nę a gniew jego piorunny, zacięty. Tak daléj a daléj, a co twarz, to inna a inna. Księżyc lunął im w ślépie; ale właśnie w to im graj; cienie i światła migocą, majaczą po tych twarzach; więc te dziwaki mrugają, ruszają brwiami i gębą i wydrzeźniają się i krzywią udając niby że żywe! ale ktoby im tam wierzył!—Tuż obok Sukiennic stanęła nasza stara wieża, ongi ratuszna, dziś samotna sierota; jéj suknię, z gotycka wyszywaną, posrebrzyła światłość nocna. Wierna strażnica, po staremu wywołuje miedzianemi usty godziny, przelatujące nad miastem, i długim przeciągłym cieniem znaczy w koło na domach księżycowe wędrówki na niebie. Nad zegarem, na czterech rogach ustawione jakieś cztéry pękate urny, o metalowych złoconych płomieniach; choć urny jakoś dziś już nie statkują, choć one płomienie sczerniały, jednak księżyc, poczciwiec, po staréj znajomości spuszcza się ku ziemi i jeszcze zapala na onych płomieniach iskry dygocące, niby gwiazdkę białą, by się biedaczka wieża miała choć czém pocieszyć po nieboszczyku swoim mężu — ratuszu.

Z drugiéj strony Sukiennic w głębokich cieniach przyklęknął do ziemi skromny kościołek Ś. Wojciecha. On nie patrzy na blaski cudownéj nocy, zamknął się w sobie; boć w jego sercu goreje inna a nie pożyczona gwiazda: tam jaśnieje światłość wiekuista, widna dla oczu duchowych, z niego wyszedł na świat dzień jasny, Boży, i rozświecił serca ludzi. Z tego kościołka wyszło niegdyś wołanie anioła, głoszące ludowi, śpiącemu jeszcze we śnie pogańskim, że wybiła godzina wiecznego żywota. Jakoż we wnętrzu tego kościołka zamknięty kamień, z którego niegdyś Męczennik Święty siał

w lud wiarę zbawienia. W koło świątniczki wianek zielony topoli, — tych cyprysów i mirtów naszéj północy. Spadają i odradzają się ich liście, świątniczka cicha, niezmienna nigdy, zawsze jedna i ta sama; ona żyje wiosną nigdy nieskończoną. Schną z kolei podstarzałe jéj drzewa, a pokolenia po pokoleniach, same odradzając się, dochowują staréj czci i na miejsce zwiędłych sadzają młode drzewa do wianka Patrona.

Po nad rynek i miasto, po nad kraj w około unosi się poważnie, uroczysto, kościoł Maryacki; on jest całego ludu i kilku wieków modlitwą skamieniałą. Cegła, olbrzymie ciosy, metal twardy, straciły tu ciężkość swoją; materya bezwładna, tu uskrzydlona pobożności uczuciem, zrywa się z ziemi ku obłokom, ku gwiazdom. Wznosi się przybytek Matki-Dziewicy na tle głębokiém nieba; on ku nam zwrócił stronę cieniem zalaną—stąd postać jego,—podobna do tajemnicy Wiary, co niby okryta mrokiem świętym, a przecież rozwidniona serca poczuciem—jest wiekuistości zwiastowaniem. Wzbija się wieża, jakby uniesiona cherubina lotem; pozostawiła siostrzycę swoją niższą bliżéj Ziemi, bliżéj doczesności i jéj spraw, sama zaś ulatuje formą tak wdzięczną, tak lekką a przecież tak poważną! a wzbija się sama jedna wśród topieli światłości nocy, i w nich się nurzy i płynie i pali, jakby kagańcem na wysokościach. U góry unosi z sobą wieniec wieżyczek lekkich, budując z nich w koło siebie jakby twierdzę napowietrzną Wiary. Znowu wyżéj i wyżéj piętrzy się lekkie budowanie i dosięga promienistéj korony, którą ludzie uczcili Boga-Rodzicę. Wystrzeliła już wieża powyżéj korony i u pod gwiazdnych szczytów niesie błyszczącą w księżycu kulę, świata go-

dło; nad kulą, nad światem, chorągiew,— miłosierdzia sztandar,—na niéj imię Maryi, pośrednicy Ziemi i Nieba!! Świątnica czuwa nad miastem, jako orędownica jego; w niéj złożone jego nadzieje i miłości i ciche wierzenia; w niéj nas Krakowian uświęcają chrztem na żywot, w niéj wiążą ślubem «aż do śmierci», w niéj nas Bogu oddają. W tym przybytku zamknięta Alfa i Omega wszystkiéj naszéj ziemskiéj wędrówki!

Kościół oblekł się szatą uroczystą nocnych cieni, wieża tylko ubrała się w blaski promienne; po dachu stromym rozpłynęła rosa niebiańska, a po rosie téj księżyc rozlał srebrną polewę swoją. Patrz na te przypory pełne potęgi, które podparły kościół koło wielkiego ołtarza; każda z nich od szczytu wykwitła, jakby w liliją śnieżną, w drobniuchną, eteryczną świątniczkę gotycką; ścianki jéj przejrzyste z marmurowéj koronki — cała ta kapliczka zwita z kwiatów, liści, słupków i wdzięcznym splotem przerosła dach, i bieli się i świeci na wysokości jakby lekki sen dziecięcia. W kapliczce próżno, w niéj nie zamieszkał żaden wizerunek święty; ale jest tam gospodyn, jest! tylko nie widny zdołu; tam, w tych śnieżnych, eterycznych, kwiecistych kapliczkach siadają aniołkowie na straży małych dziatek naszych. Te aniołki tam czekają na dzieci, co umierają na dole, na Ziemi. Gdy dziécię chore, matka nocą chodzi po izbie i huśta na rękach kochanie swoje; chodzi biedna, husta i płacze i wstrzymuje tchy, i przemaga łzy, by nie przebudzić śpiącéj dzieciny; tak! matka chodzi, huśta, do serca ją tuli, a nie wié, że dziécię już umarło, że aniołek z bieluchnéj kapliczki już całuje i pieści jéj dziécię, ulatując z braciszkiem — aniołkiem do nieba.

Raz jeszcze objąłem okiem i sercem ten rynek krakowski, i te domy i gmachy stare, wieże i kościoły lśniące w świątecznym uroku nocnéj natury i wróciłem do domu. Przebacz, żem się tak bardzo rozgadał, że marzę o tém mieście naszém, ile mnie stać, miłością je strojąc; ale ty pewnie nie potępisz roślinki biednéj, co, wyrosłszy ze szczelin starego grodu, zdobywa się na kwiatek mały i rozsypuje wonne listki jego po tych kamieniach siwych, jako ofierne dary miłości swojéj. Bo widzisz, choć my Krakowianie między sobą wydziwiamy niekiedy na to nieboże mieścisko nasze, toć jednak gdy kto do Krakowa przyjedzie a pochwali przed którym z nas tę uczciwą chudobę naszą, i tę Wisłę naszą i te góry, doliny i mogiły i kościoły nasze, tak go za serce uchwyci, jakby mu rodzonego ojca uczcił.

Po téj pielgrzymce około rynku naszego jakoś mi było uroczysto i świecisto w duszy i tak czegoś rzewno i nabożno, żem z cicha zapadał sam w sobie słuchając gwaru różno-mownych uczuć moich. Tym czasem księżyc zazierał przez szyby do izby, i po szafach, po książkach i szpargałach porozstawiał świeczki magiczne; po swojemu jął mrugać, jakto zwykle czyni, gdy nam chce przypomnieć jakąś noc wrażeń świątecznych, którąśmy kiedyś, gdzieś przeżyli, gdy on podobnie jak dziś jasnością swoją otulał świat. Więc też głosy zapadłych a uroczych chwil, obrazy dalekich żywota scen przemykały się w duszy mojéj, to wypływając z morza wspomnień, to tonąc w jego głębiach. A tu znowu owa czeladka gnomków wyroiła się z kątów i z kącików i nuż się krzątać i kręcić i zwijać, aż mi książ-

ki i szafy i szpargały stopniały w oczach i gdzieś znikły, a na miejscu skromnéj izby widziałem pagór ciemny, na nim gmach stary, groźny i sterczące samotne kolumny; w koło rozsypiska i bramy tryumfalne ze szczytem w kwiaty porosłym, z podnóżem w gruzach pogrzebioném; tam daléj dźwigły się sklepienia szare, potężne, jakby dzieła skalne zbuntowanéj przyrody; one na poły spadły, na poły wyciągają ramiona groźne w ciemną noc; w dali piętrzy się w rzędy łuków, jakby upiór ze starych lat, jakieś tytanów budowanie okrągłe, wyszczerbione, a spójrzeniem umarłém trwoży, mrozi serce późnych pokoleń. Tam na uboczy pagór ubrany w roślinność południowéj natury: z gęstwiny wonnéj jego brzmią nocne słowików pieśni, a nad nim rysuje kształty swoje cyprys żałobny, pinia rozłożysta i wawrzyn hardy. Swiecisto i uroczysto było mi w duszy, rzewno i nabożno, boć to *Forum Romanum*, to rynek starego Rzymu—rynek, co był ogniskiem swiata i ludzkiego rodzaju panem przez lat tysiąc. Ten stary Rzym tak jeszcze straszny, choć umarły, tak jeszcze wielkiego majestatu, choć już pod stopą twoją w rozsypaniu kości jego. Tak jest, tutaj, na to forum spływały dzieje a losy powszechne świata; wszak ten pagór ciemny—to Kapitolińskie wzgórze, ten szary na nim groźny gmach,—to starorzymskie tabularium; z jego szczytów, jakby ze strażnicy historyi ludzkiéj, obaczysz przemożone ziemi przestrzenie. Od Szkockich jezior do brzegów Indu, od skał Gibraltaru do pomorza Kaukazu — wszystko to, co stąd okiem ducha obejmiesz, wszystko to Rzymskie panowanie. Po prawéj Kapitolu—przepaść Tarpejską; po lewéj — duszne, czarne Mamertyńskie wię-

zienia; w nich zamorzony głodem Jugurta, wyobraźnik zamordowanéj Afryki; w tychto podziemiach konały króle i wodze zgruchotanych w koło państw; w nich wyzionęli życie spólniey Katyliny, co był jadowitym wyrzutem śmiertelnego moru, który miał stoczyć Rzym; tu czekał śmierci męczeńskiéj on Apostoł, co był opoką, na któréj zbudowana Wiara. Patrz pod siebie, — tam w głębi odgrzebali szczątki mównicy odkopanéj—to dawny bruk, to głazy, po których chodził Cezar i Pompejus, Sulla i Marius, Nero i Tytus. Tuż przed tobą brama tryumfów nad odwieczną Azyą: sczerniałe rzeźby na niéj prawią o zgromionéj Arabii, o zdeptanéj Babilonii, o upokorzeniu Eufratu. Tam w dali druga brama; ona stanęła, gdy Rzym bezświadomie dokonał proroctwa o zgładzeniu z ziemi Jerozolimy i o upadku świętego Syonu. Powyżéj tego pomnika tryumfów łzawych wznosi się ów pagór czarodziejskich ogrodów — to Palatyńska góra! Tutajto ów, od wilczycy wymamczony, bratobójca położył kamień węgielny Romie; tutaj dziś, wśród splotu krzewów wonnych, a ciżby laurów i cyprysów, wsród nocnéj słowików pieśni stanął cały świat zwalisk. Po nad wawrzyny i cyprysy wyzierają padające się ściany, popękane sklepienia, oberwane filary; te rozsypiska dziś jeszcze zdobne są w szczątki rzeźby marmurowéj i w strój różno-barwnéj mozaiki; tu pod rumowiskiem spoczywały cudne postaci, posągi, co je niegdyś stwarzała Grecya, od Rzymu w służby wzięta. Te nagie, zwietrzałe mury, jakby olbrzymów szkielety, oplotły szatą zieloną, w kwiaty szytą, powój, latorośl winna i kaktus zwiesisty o pięknym i hardym kwieciu. Ten świat rozwalin, to szczątki pałaców Cezarów — tu Augusta gród,

tam Tyberyusza, Domicyana złote gniazdo sępie, krwią oszargane, trupem cuchnące.

Z Palatynu wprost patrzysz się na one tytaniczne okrągłe budowanie: stają łuki na łukach, dolne piętro już dziś w ziemi ukryte, najwyższe tu ówdzie runęło z wysokości. Straszy to budowanie i serce wznosi świętości uczuciem, i lękiem mrozi, i rozgrzewa wzniosłością pamiątki, to jest *kolizeum*.— Tu świat stary konał wśród własnych tryumfów, tu świat nowy się rodził, a potoki własnéj krwi były piérwszą kąpielą jego. To jest ów amfiteatr krwawéj pamięci, kędy tysiące Chrześcijan męczeńskich walczyło z tysiącami dzikiego źwierza. Ale krew—to ziarno; śmierć— to żywot. Dziś zapadły się ławy ciosowe, z których niegdyś w sto tysięcy był zebrany widz: cisnęła się ciżbą rozhukana gawiedź; od ziemi, od dołu do najwyższego piętra, wszerz i wzdłuż, wkoło zapchana jest przestrzeń tym świetnym, hardym a rozjuszonym motłochem; olbrzymie budowanie zdaje się być doliną utworzoną z nieprzeliczonych ludzkich żywych ciał, a te tłumy, jakby ptastwo drapieżne, jakby źwierz posoki łaknący, przyciągnęły tu, bo nęci je nadzieja krwi świeżéj i cuch przyszłych trupów. W oczach wywróconych, rozpalonych rozkosz okropności, obłąkana chuć;—zrzenice opojone krwią toną w zamęcie bitwy; walki, krzyki radości, wesela— Cezar kontent ze swoich źwierząt.— U góry, na niebie ciągną obłoki różowe, na nich stoją anieli z palmą w ręku; uśmiechają się anieli ze łzą, z niebiańską perełką w oku.— Na dole, na ziemi, w arenie, zrazu kłęby i tumany kurzu, wnet kłęby pogmatwanych ciał ludzkich i źwierzęcych— bagno krwi i błota—ryk, wy-

cie, jęki; pieśni, wściekłość lwów, tygrysów,— psalmy, modlitwy konających.

Dziś tu cicho, spokojnie,— dzieło dokonane.—W środku areny krzyż prosty, dwa drewna wpoprzek zbite wyciągają ramiona, by obtulić świat. Po tém drewnie śpinał się słowik śpiewając pieśń niebiańskiéj miłości, i spiął się na szczyt krzyża, i śpiewał, i piersi mu pękły!— (stara legenda).

Dwieście lat stała ta arena, gdy naprzeciw niéj znów wzniosła się owa brama tryumfów, a tryumfów Wiary; dźwignął ją Konstantyn W. po zwycięztwie w znaku tego krzyża!

Od tego forum, od podnoża Kapitolu, niêgdyś biegły bite gościńce na wsze strony świata: — te śpieszyły przez Gallią do kończyn Brytanii, tamte pod podnoża jerozolimskiego Syonu; po nich grzmiały żelazne Rzymskie legiony a prowadziły je orły złote na pogrom narodów i państw.— Dziś cicho, milcząco na tém forum,— po gruzach wiją się chwasty, przechadza się bydło; sąsiadami Kapitolu chaty biedne, gospody rzemiosł rozmaitych i wyrobników. I w dzień nawet tu głucho i pusto; niekiedy tylko przemknie się tędy wieśniak lub przeczołga się żebrak, lub stanie zadumany wędrowiec, lub pogonią swawolne pachołęta puszczając w powietrze papierowe orły; — i znów cicho w kruchcie zmarłych wielkości.— Głucho i pusto, tęskno i śmiertelno, ale świecą jasno ścieżki, któremi przechodził anioł pański, przewodnik wielkich dziejów na ziemi.

Rzym podbił świat, i nie było świata, tylko rzymski; ludy i państwa ciągnęły rydwan jego tryumfów, a

bogi narodów zabitych, sprowadzone jeńcem do Rzymu, stawały w jego Panteonie, jako pośmiertne upiory.

Rzym ogarnął całą świata osnowę, cały dochowek jego i zamknął je w sobie. Gdy umierał na złotém łożu swojéj boleści, cisnęły się ludów roje po dziedzictwo. Na wychrzczoną nowym żywotem ludzkość spadła puścizna długich wieków, spadł dorobek duchowy staréj Azyi, zapadłéj Afryki i arcydzieła dawno zgasłéj Hellady. Jego pracą a dosługą wykarmiła się wędrowna dzicz Wschodu; wszak cała Europa, wszak my wszyscy owocem trudu jego i znoju dotąd żyjemy, rozsiadłszy się szeroko na ojcowiźnie jego. Rzym był dwóch światów pośrednikiem; wszak to i on oborał rolą Pańską, na któréj siał zasiewca Boży;— a język nawet światobójczéj Romy stał się językiem Wiary zbawienia i miłości.— Taka sprawiedliwość Boża!

Rzym bezlitośną pięścią ścisnął ludzkości serce, a ludzkość wśród mąk niesłychanych, wśród poniżenia bez miary, wśród ogniów swojéj boleści krwią wypociła z siebie pogańskie uczucia i parcie swawolnéj chuci. Serce ludzkości, wypalone w płomieniach cierpień bezdennych, stało się jako zgliszcze świątnicy, puste, głuche ale czyste i spokojne, godne by do przybytku jego wstąpił panujący Pan.

Zaiste, pod ferulą żelazną Rzymu świat skruszał; wzięty w karby nieubłagane przywykł do zrzeczenia się własnéj istoty swojéj, nauczył się zaparcia się bez granic osobistych uczuć, samowolnych sądów; a tak w mękach i w żarach katuszy wytopił z siebie pierwiastki barbarzyństwa i dzikości i ukorzył się na głos wołającéj wiekuistéj prawdy, a budującéj się we własnym

duchu jego. Tak! Rzym jest przygotowaniem rodu ludzkiego do nauki zbawienia, on jest ołtarzem ofiernym, na którym człowieczeństwo składa treść duszy swojéj, zanim przystąpi do ołtarzów nieskończonéj miłosci Bożéj.

Takie było powołanie Romy, takie też było odpowiednie usposobienie rzymskiego ludu! Ten lud hardy i twardy miał jedną, jedyną tylko ideę, któréj się poświęcał, któréj duszę swoją, żywot swój zaprzedał, któréj poprzysiągł ciężkie swoje służby;— tą ideą była wielkość jego Romy. Tą ideą lud Rzymski żył; ona mu była religią, sumieniem, boleścią i rozkoszą; dla niéj on się rodził, dla niéj umierał; słusznie powiedziano że lud ten »wierzył, że same Bogi chcą wielkości Rzymu:— Kurtius, Decius poświęcają się za Rzym piekłom. Lud rzymski wierzył, że Rzym powinien, że będzie światem władał,— więc też ta wiara jego stała się prawdą— Bogi nawzajem i jemu dochowały wiary,« a dochowały mu wiary i dodały sił do wzrostu i potęgi, dla tego że ten lud rzymski stał na nieskalanéj prawości, bo idea Rzymu wyrzuciła z niego wszystko, co małe, niegodne; bo czystość, prostota obyczaju, cześć dla prawdy i życia prywatnego bez plamy i zmazy, i cnota były jego siłą i mocą.

Państwo rzymskie jest arcydziełem rzymskiego ludu. Ale państwo, wielkość jego, mądry rząd, jest sprawą najwyższą rozumu a bynajmniéj artystycznéj fantazyi kwiatem!—Państwo, fantazyą stworzone, nie ostałoby się w świecie, rozbiłoby się w Historyi o rzeczywistość— bo Historya nie jest fantazyą, ale jest rozumem, jest logiką, któréj kartami są epoki dziejów ludzkich, a jéj oddziałami narodów żywoty. Rzymski

lud był przedewszystkiém logicznym i rozumnym. W téj pańszczyznie pełnéj znoju a cierpień umilkły dla rzymskiego ludu wszystkie serca głosy; tu nie ma mowy o sztukach, owych lubéj fantazyi dzieciach; żywot był napawany grozą i zgrozą, łamaniem się i posłuszeństwem dla onéj idei.— Lud rzymski nie miał czasu chodzić marząc po księżycu! w téj Romie nikt by nie był się rozpisał o poświacie księżycowéj, jak ja to uczyniłem na wstępie listu tego, nikt nie byłby czytał obrazków takowych, jak to ty uczyniłeś. Przecież my jesteśmy też synami innego świata; dla nas rzeczywistość zewnętrzna nie jest całą istotą naszą; my we wnętrzu naszém chowamy sanctissimum w siebie zwrócone, co jest drugim a bezdennym dla nas światem; do niego się uciekamy, do niego wstępujem w rzewności chwilach. Z tych cichych przybytków serca patrząc na otaczającą nas rzeczywistość, odziewamy ją poświatą naszego ducha i strojemy ją i ubieramy lśniącą szatą naszéj fantazyi, a tak znowu się godzimy, ile nas stać, z tém otoczeniem naszém. Ów mój wstęp do listu tego choć na to się może zdał, by wyświecić różnice między naszym światem a rzymskiém pojmowaniem; to nasze pieszczenie się z naturą wypływa z uczuć, których Rzymianie nie znali, znać nie mogli, i znać nie chcieli póki budowali i dźwigali tron Jowisza kapitolińskiego na podwalinach zgromionych ludów i państw. Tak, jest to prawdą niezachwianą że Rzymianie sami nie mają fantazyi w sobie, że nie są poetami, ale są ogromnym, niewyczerpanym przedmiotem dla poezyi (*). Odwrótnie, dzieje Hellady są mniéj poetyczne,

(*) Vischer a. a. §§. 442—446.

choć sami Hellenowie wskróś są ludem-artystą. Rzymianie są dopełnieniem Greków,— co się rozpoczęło w Helladzie, doprowadzone było do ostateczności w Rzymie. Może jednak te zarysy i lekkie rzuty nie są dość wyraziste, wytłómaczę ci się z nich bliżéj jeszcze.

Wiémy z listu przeszłego, że w Grecyi harmonia szczęśliwa, dźwięczna wiąże ducha ludzkiego z naturą i całą zewnętrzną rzeczywistością. Cała treść istoty ludzkiéj, więc zmysły i uczucia, rozum, tęsknoty serca, myślenie, ochoty, i miłości jego, znajdują ziszczenie w świecie zewnętrznym. Swiat wewnętrzny a zewnętrzny zupełnie się równoważą, całkowicie są do siebie nastrojone, są to tony jednego akordu. Ten zestrój i harmonia są Hellenom dane z urodzenia; Hellenowie z nią na świat przychodzą, ona jest skutkiem stanowiska Grecyi w ludzkich dziejach. Grek nie zrozumiałby żywota bez téj harmonii.— Wiész równie, że ta harmonia i współdźwięk, ta zgoda dwóch światów stanowi właśnie to, co my klassycznością zowiémy. Stąd też u Greków i fantazya jest klassyczną, bo treść mająca się uwidomić w dziele sztuki znajduje w niém zaiste swoje uwidomienie doskonałe. Zatém pierwiastek duchowy tak zupełnie wciela się i uzmysławia w formie zewnętrznéj, że co jest w treści, znajdzie się wyrażone w formie, i nawzajem forma zawiera w sobie całą treść, ale też nic więcéj krom treści takowéj. O tém jednak prawiłem ci już w trzech listach poprzednich, tutaj przypominam jeszcze, że gdy duch Hellenów ku skonowi się ma, wtedy pęka ta harmonia; świat zewnętrzny nie zadawalnia więcéj ducha, człowiek cofa się w siebie. Otóż to zerwanie z rzeczywistością, ten

rozwód wewnętrznego człowieka a zewnętrznego świata iście się ma do ostateczności w Rzymie, choć dopiéro w dalszym okresie żywota jego ziści się nawet w całéj okropnéj postaci swojéj.

Wszak i Rzym należy do okresu klassycznego historyi powszechnéj, ale nie zupełnie w tém znaczeniu jak Grecya. — Rzekłem powyżéj, iż w Rzymie nie cała już pełnia treści duchowéj znajduje ziszczenie swoje w świecie zewnętrznym, lecz tylko jedna myśl téj treści, a tą jest, jakeś widział, idea państwa, idea wielkości Rzymu. Te ideę Rzymianin wciela w świat; on się sili i łamie, aby tę ideę urzeczywistnił, aby ten Rzym historyczny był iście takim, jakim go zapragnęło jego niezachwiane przekonanie, — aby tedy stanęła harmonia między rzeczywistością jego ojczyzny a duchem, czyli tém niezłomném przekonaniem wewnętrzném. Ten Rzym rzeczywisty jest przeto jakby formą, jakby uwidomieniem wewnętrznéj treści duchowéj człowieka, jest naczyniem jego boleści i roskoszy, jego krwi i znoju. Ta możność uiszczenia treści wewnętrznéj w świecie zewnętrznym, w Romie, ta harmonia i zgoda obu stron, jest właśnie głównym względem dla którego Rzymian podobnie jak Greków klassycznym ludem nazywamy. Zważ że i Grek kocha i miłuje z serca chwałę ojczyzny swojéj; u niego atoli idea polityczna jest tylko jedną z wielu stron istoty jego; on obok téj idei ma inną jeszcze treść, któréj ziszczenie znajduje w rzeczywistości. On cały jest tedy wskróś ludem klassycznym. A gdy cała pełnia istoty jego wewnętrznéj znajduje odpowiednią sobie rzeczywistość zewnętrzną, dla tego też żywot jego jest tak błogi i młodociany, tak ki-

piący radością a szczęściem. — Rzym nasz właśnie dla tego, iż żył poświęceniem się i zrzeczeniem, iż przygłuszał wszelką inną treść swojego serca dla jednéj wybranéj idei, — dla tego żyje w ciężkiéj a twardéj służbie téj idei, i stąd też jest tak poważny, zadumany, tak posępny i pełen grozy a uroczystości. Gnęb się rodzi w téj harmonii, a Rzymianin dokupuje się jéj okropném sileniem i mocowaniem z sobą i ze światem.

Ludy Chrześcijańskie nie są z istoty swojéj klassycznemi, bo w nich już się przebudził pierwiastek wiekuistości, który nie znajduje ziszczenia swojego w świecie tutecznym; ten pierwiastek nie będzie nigdy w harmonii zupełnéj z tą rzeczywistością tego świata; żadne szczęście ziemskie nie zdoła ukoić nieskończonéj serca tęsknoty; daremnieby nas doczesność pieściła i usypiała; i we dnie i w nocy, i we śnie i na jawie patrzą się na nas oczy, co nie z tego świata. U nas rzeczywistość gospodą, żywot wędrówką, grób przemienieniem, a człek przez życie całe obcym na téj ziemi. Dla tego też Rzym tak mrozi i nasyła dreszcze na serca nasze; on całego siebie poświęcił, on zabił siebie, on choć nie zna niebiańskich nagrodnych nadziei, odwraca się przecież od uczuć ziemskich, zadaje sobie męki bez granic, płaci krwią serdeczną, by ziścił ideę, która jest tylko ideą tuteczną — ideą wielkości doczesnéj! A ta idea, ta wielkość będąc rodem z tego świata, »przeminęła jako liść i uschła jako zioło polne!«...

Widzisz tedy, że wszystka inna rzeczywistość, że wszystka inna treść duchowa, która nie była ideą ową, stała się w Rzymie tylko podrzędną, i o tyle jedynie ważyła, o ile mogła służyć za środek dla téj idei po-

litycznéj, jako dla celu swojego, zatém o ile była użyteczną wprost dla wielkości Rzymu, lub o ile się nadawała, by ustroić, by stać się ojczystéj chwały zwiastuną. Użyteczność, utylitarność jest przeto główną tętnicą żywota Rzymskiego. Więc co się nie może zdać wprost jako środek dla Rzymu, nie ma wartości, jest głuchą łupiną, dziecinną igraszką, czczém próżniactwem. Aby zaś umieć poznać, na co się co zdać może, aby umieć powiązać środki i cele, na to potrzeba, jakem rzekł, rozsądku, rozumu praktycznego, obcego wszelkiéj fantazyi.— Nie było też drugiego już ludu w dziejach powszechnych, równego pod tym względem Rzymianom. Oni, bystrością błyskawiczną zgadując co na zdrowie ich państwa, genialnym praktycznym instynktem umieli obracać na korzyść swoją dorobki duchowe ujarzmionych ludów. Rzymianie nigdy nie byli ślepymi naśladowcami obcych pomysłów; lecz, co im tylko narody i państwa złożyły na klęczkach kornym hołdem, to przerobili, przeistoczyli, by służyło Romie za podnoże wielkości jéj światowładnéj.

Ta logika nieubłagana, ta proza matematycznéj rachuby, odbiła się na całéj umysłowéj historyi Rzymu. Patrz—każdy lud, gdy wzrośnie w siły, gdy się poczuje na sercu, lubi sobie złocić i malić i zdobić piérwsze zaczątki żywota swojego; wieści urocze, podania, pełne poezyi, dolatują z zapadłych wieków i przynoszą mu kwiaty, które urosły w krainie niemowlęcych jego lat; i te kwiaty cudowne fantazyi wplata w laurową koronę, zdobytą długim trudem i pracą krwawą. Jego góry i bory, mogiły i zwaliska stare, i błonia i rzeki, zaludnione duchami z dawnych lat, co pieśnią i

koją, prawią, gadają i stroją te wszystkie w koło ziemice. Lecz te powieści, podania i gadki są przejrzadłem serca ludu, on w nich siebie widzi i poznaje, boć to dech własnéj duszy jego, toć to pierwiastki własnéj jego krwi, a wykwit cudowny rodowéj jego istoty. Rzymianie nie znali tych przystrojów początkowych historyi ubranéj we wdzięki fantazyi czarującéj; bo nie znali oni spólnego ojczystego domu, ani spólnego pochodzenia rodowego, ani spólnéj krwi; wszak każdy z onych siedmiu królów był z innego narodu, a Rzym w swych początkach, jako niesie wieść, był zbiegowiskiem różnorodowéj awanturniczéj gawiedzi. Kto ścigany od swoich, kto za progi własnego kraju wyrzucony z życiem uchodził, zbierał się też około Romulusa, dzikiego herszta zuchwałéj bandy, a on ujął tę rozhukaną czerń ręką spiżową; nie mogąc jéj zakląć na bogi spólne, — bo ich nie miała, — ani trzymać obyczajem spólnym, — bo każdy był gwałcicielem obyczaju, — więc okuł ją w prawa twarde i w karność bez serca. Bo prawo nie patrzy na różnobarwność usposobień ludzkich, pomija różnice wiary, pochodzenia, rodu, uczuć, zdolności, wieku, ale bierze człowieka w abstrakcyi głuchéj, beztreściwéj, żąda posłuszeństwa i łamie indywidualność. Prawo tedy, samo puste w sobie, jest ogniwem żelazném, łączącém piérwszych Rzymian. Prawo było warunkiem wewnętrznym bytu i siły: a na zewnątrz trzeba było się bronić od ściany wrogim sąsiadom, tchnącym nienawiścią i pogardą; — zatém miecz i wojenne rzemiosło było drugim żywotnym pierwiastkiem Rzymu.

Tak urósł tu człowiek w jurystę-żołnierza, a jak

prawo bierze człowieka w abstrakcyi nie wdając się we wnętrzną jego treść, tak i żołnierz był abstrakcyą; karność ślepa i bitność tu żywiołem, reszta obojętna. Sztuka wojenna Rzymian, żołnierski ich duch podbił świat; pod jego ciosem padały się państwa i ludy; runęła i Kartagina waląc się na 700,000 ciał wyciętych mieszkańców. A na takowe prawo, jak je miał Rzym, żaden już naród się nie zdobył; prawo rzymskie i ścisłość matematyczna jego pojęć, jest do dziś dnia wyćwiką dla prawniczego rozumu; uczymy się go też na uniwersytetach, bo bez prawa rzymskiego można być i zręcznym i wymównym matączem, ale prawnikiem—nigdy.

Prawo, żołnierz—otóż dwa pojęcia tak dalekie od wszelkiéj fantazyi, tak abstrakcyjne i głuche w sobie jak sama idea Rzymu, któréj one służą. Ta idea potężna a groźna pomiotła też i świętą miłością rodzinną; Remus zabity od własnego brata, bo zbuntował się prawu, bo chybił karności. Rzymianie porywają niewiasty sąsiadów, bo rodzina, bo obyczaj jest czczém, pustém słowem, gdy chodzi o dobro Rzymu. A czémże jest ta Rzymska rodzina! Jak każdy lud stroi sobie w kwiaty kolebkę pierwotnéj historyi swojéj, tak dla każdego niezepsutego człowieka, pamięć ojcowskiego domu otula się w złocisty obłok miłości i poezyi: uśmiechy ojca, pieszczoty matki, to posag na życie dalekie, na świat szeroki; i unosisz je w duszy z sobą niby talizman święty, co cię broni od złego uroku i niedobréj serca przygody. A choć liście na drzewie żywota twojego zżółkną i pobladną, rzeźwią cię jednak i krzepią wspomnienia drogie z dziecięcych lat.—Zaiste, co w któ-

rym z nas dobrego, jest dobréj matki zasiewem, a często pamięć na matkę umarłą, więcéj ma jeszcze mocy, niż jéj przestrogi za życia dawane. Jak Rzymianie nie znają lubych i wdzięcznych mitów, strojących im piérwsze założenie ich państwa, tak i wspomnienia, wyniesione z ojcowskiego domu, nie tulą zaprawdę duszy ich wdzięcznym urokiem. Rzymska rodzina nie zaznała téj błogiéj, cichéj miłości; tu nie postały pieszczoty, a ciepło przyrodzone serca zmroziła groza i despotyzm ojcowski. Ojciec jest panem życia i śmierci dzieci swoich: — on może sprzedać syna; syn nie posiada własności: czego się on dorobi twardą pracą, jest ojca majątkiem; a najwyższe dostojeństwa w państwie nie wyswobadzają od nieubłaganéj władzy ojcowskiéj, która jeszcze i na wnuków i na prawnuków całém brzemieniem spada. Gdy syna usamowalnia ojciec, używa formy pedanckiego prawa, sprzedając go pozornie po trzykroć mocą ważek i pieniążka. Wszak i małżeństwa zawiązują się kupując żonę, lub przedawnieniem, jak gdyby chodziło o rzecz jaką bezduszną.

Wierzymy chętnie, że mimo téj grozy, odzywały się uczucia serca, jako wiekuiste prawo potężniejsze niż wszelkie ludzkie ustawy; — lecz przecież samo istnienie tych ustaw jawnie okazuje, jak nieśmiałe i lękliwe były głosy natury w obliczu posępnéj powagi prawodawstwa. Jakże tu strasznie, jakże duszno było we własnym domu i ojcu i dzieciom! Miłości skromne, wykwitające z duszy młodéj dziewicy, te piérwsze ducha rumieńce, one tu były wątłą roślinką, którą w rychle zwarzył szron, która nie wypuściła nigdy lubego pączka fantazyi, co zamyka w sobie tęsknoty, nadzieje, i

marzenia, i śny kochania pełnego szczęścia.— Ale za to też niewiasta Rzymska jako matrona, jako matka-obywatelka, wychowująca synów dla Rzymu, świeciła pełnym uroczystości majestatem.

W tym ludzie, tak olbrzymim a tak nieużytym, rodzina była twardą szkołą, gotującą do twardszych jeszcze powinności publicznych; wszak cenzora oczy wglądały w tajne ściany domowe, w zacisze prywatnego życia, a kto chybiał obyczajom, prawu, na kogo padł cień czynu nieuczciwego, niegodnego, był strącony z urzędu, choćby ze senatorskiego krzesła...

Tak Rzymianin poświęcał to bezhałaśne a głębokie szczęście domowe, co się tak wdzięcznie uśmiecha ludom Chrześcijańskim, żyjącym życiem na wewnątrz zwróconém. W zamian, atoli, za tę szczęśliwość błogą, skromną domowego życia w naszém rozumieniu, wstąpiła tu do głuchego wnętrza człowieka ideą wielkości ojczystego państwa i zasiadła w niém, jako na tronie swoim. Idea ta rozparła serce,— serce nabrzmiało ufnością i dumą szlachetną; tak Rzymianin dźwignął się w olbrzyma, wzniósł się nad samego siebie. Obok téj idei wielkiéj, nic drobnego, nic niezacnego ostać się już nie mogło; w duszy ogłuchł egoizm samolubny; prawość nieugięta, cnota wzniosłości pełna, dotrzymująca wiary i swoim i wrogom, poczciwość bez skazy w sprawach prywatnych i publicznych, harde przekonanie o powołaniu Rzymu i o własnéj osobistéj godności, stanowiły istotę obywateli rzymskich. Oni czuli się być wyobraźnikami, kapłanami jednéj wielkiéj myśli, a to kapłaństwo chroniło ich od wszelkiéj zmazy moralnéj, od zbrudzenia uczuć swoich, od wszelkiéj

nikczemności. Czytaj tych historyków rzymskich;— cnota niezachwiana ani strachem ani złotem, poświęcenia bez miary, czyny nadludzkiego heroizmu, któreby inne ludy rozniosły, prozopopeją nadętą chełpiąc się i szumiąc, były w starym Rzymie wypadkiem codziennym, rzeczą powszednią, która się niby sama przez się rozumiała; zatém takie czyny są wspomniane w ich dziejopisach zaledwie kilku jałowemi wyrazami. Lubo późniéj uleciały cnoty i poświęcenia starorzymskie, zostało jednak jeszcze wysokie uczucie przyzwoitości i poszanowanie siebie; Cezar umierając w senacie, wśród morderców swoich, zasłania sobie płaszczem oblicze, by boleścią ostatniéj chwili wypaczone rysy twarzy nie ubliżyły jego godności.

Możemy nie lubić tych Rzymian, ale czcijmy ich cnoty pierwotne, korzmy się zarumienioném czołem przed ich wielkością. W téj idei duchowładnéj Rzymu tkwi tajemnica tych figur tytanicznych, które, jakby galeryą olbrzymów ze śpiżu ulanych stanęły w świątnicy dziejów ludzkich. Na taki szereg postaci nie zdobył się żaden naród w świecie, z takimi ludźmi Rzym mógł zagrać w kości ze światem — o świat. I Rzym wygrał ogromną stawkę. Przyczyń jeszcze w duchu rachubę mądrości politycznéj, która przez siedmset lat snuła się kałkułem ścisłym, nie odstępując na chwilę od siebie saméj. Stąd też ten organizm państwa, chłonący w sobie wszystkie siły tych ludzi na stopę olbrzymią, był rzeczywiście arcydziełem mądrości ludzkiéj, gdy przeciwnie skład rządów Greckich był w porównaniu z nim próbką dziecięcą, niedonoszoną, która dostać nie mogła gwałtowniejszym zderzeniom.

Patrz— ten Rzym jest jeszcze wielki nawet w piérwszych chwilach, gdy mu się już zbiera na ostatnią chorobę. Gdy na miejsce starorzymskich cnót występują z za kulis świata zbrodnie potworne, te zbrodnie dziś jeszcze przerażają trwogą, mrówiem straszą duszę, ale nie budzą pogardy; są to zbrodnie odziane jakąś wielkością piekielną. Marius, Sylla, Tyberius kroczą przez teatr historyi, jako nieszczęścia olbrzymie demony, niosące na barkach swoich losy ludzkiego rodu; i oni są wielcy po swojemu, i oni geniuszami na kołosalną stopę; im też chodziło o ogromną sprawę, ich żarła chuć władania Rzymem i poigrania ze śmiertelnie chorym światem. Późniéj gdy wiara w bogów wygasła w piersiach człowieka, gdy na miejsce kapitolińskiego Jowisza stanął na jego podnożu Kaligula, Klaudius, Nero, i cały ten szereg słabogłowych władźców, cóż dziwnego, że myśl panowania światu śpiekła im krew i zakipiała w mozgu obłąkaniem! Olimp dla nich był pusty, bez mocy, wyludniony z bogów; w sercu tych ludzi nie było więcéj bojaźni istot nadziemskich; oni zostali w osamotnieniu, pełném okropności, bez równych sobie na Ziemi, bez wyższych od siebie na Niebie. Ci ludzie straszliwi są jeszcze ludźmi na ogromną stopę, podobni do ślepowładnych mocy natury, nieświadomych złego, podobni do fatum, co ciemném skrzydłem zaległo świat. Tak się stało, jakem rzekł, iż choć Rzym sam jest bez fantazyi, zdolen jest rozpalić ogniem fantazyi nawet najgnuśniejszą wyobraźnię.

Olimp rzymski wymarł śmiercią, sam przeto Rzym był blizki skonania. On swoim Bogom sam gotował mor

zabójczy. Bo zważ—ta właśnie utylitarność, ta proza rozsądkowa, dławiąca wszelką fantazyę, była jadem śmiertelnym, który zatruł ziemię i niebo. Tu okazuje się z całą potęgą otchłań oddzielająca Greków i Rzym. Bogi Hellady ród swój wiodą z nadziemskiéj krainy poezyi; Hezyod, Homer uderzyli pieśnią w struny lutni swojéj, a struny zabrzmiały cudownemi tony; ulatujące dźwięki lutni uosobiły się w Bogów Hellady; postaci tych bogów tak urocze, napowietrzne, nadziemskie, jak akordy tonów, jak fantazya mistrzów natchnionych; i jeszcze i jeszcze płyną pieśni one i zradzają rojami powiastki i mity cudne o tych bogach, a wieści te, jakby swawolne, skrzydlate geniuszki lekkim dworem oblatując niebian postaci, wybajały ich kochania i tęsknoty i słabostki i cały ich żywot wdzięczny. Stąd też te bogi i czarowne o nich plotki nie były owiane grubym tchem nizin ziemskich; one—swobodne dzieci swobodnéj fantazyi—bujały na wysokościach przeczystych, kędy nie sięgają sprawy doczesne i biedy potrzeb codziennych. Te bogi Hellady i te prześliczne a lube o nich mity, chowały w sobie wprawdzie głęboką treść i wzniosłe prawdy, ale ta mądrość rodziła się bezświadomie, ona wypłynęła z zachwytu, z jasno-widzenia poety, ona nie jest bynajmniéj bezbarwnym owocem rozsądkowego zastanowienia się i chłodnéj obrachowanéj rozwagi. Tutaj jedném uderzeniem, jednym gromem powstała treść i forma. Dla tego, teżto bogi greckie są arcydziełem fantazyi i najwyższym piękności szczytem. (ob. List XI).

Inaczéj w Rzymie. Imiona jego bogów podszyły się wprawdzie pod cudowną fantazyę Hellady, pod ten piękny Olimp grecki, ale one same nie zrodziły się z wie-

szczego natchnienia, są to robione trupie kwiaty, wydrzeźniające życie; one wyrosły wprost z potrzeby doczesnéj, więc też służą ziemskiéj potrzebie. Całe niebo Rzymian jest gronem praktycznych myśli przebranych w ludzkie kształty, a wszystkie odnoszą się do Rzymu, jako czeladź do wszechwładnego pana swojego. Stąd też na czele bogów stanął Jowisz Kapitoliński — uosobienie państwa rzymskiego; obok niego podrzędne bogi-pomocniki, wyrażające znów środki dla głównéj idei; a poniżéj tych znowu stają niższe środki, niższe bogi, jakby sługi sług. Tak, mury miasta, pokój, wojna, granica, piec piekarski, febra, moneta i t. p., mają opiekuńczych bogów, niby bacznych stróżów pilnujących dobra Rzymu. Ile razy zjawiła się nowa potrzeba lub spadł jakiś nowy kłopot lub bieda, już też, jakby na rozkazanie, wyrósł nowy jakiś bóg, jakby na zawołanie nowy sługa. Zważ, że te bogi nie były niczém same w sobie, one nie miały swojéj osobistéj historyi, swojego żywota dla siebie, ale były-li tylko środkiem pomocniczym dla ludzi i nic więcéj. W Grecyi bogi rodzą się naprzód po swojemu i wedle istoty swojéj; każdy z nich ma niby biografią swoją, a Hellada dopiero późniéj w skutku tego ich żywota czyni ich opiekunem to téj, to owéj sprawy ludzkiéj. Stąd też te bogi Greckie tak poetyczne obok jałowéj prozy rzymskich bóstw. Rzym bogów swoich uczynił służalcami, wyrobnikami doczesności; on ideę religijną, choć pogańską, poniżył, splugawił, czyniąc ją niewolnicą ludzkich spraw.

Ale te bogi zemściły się sponiewierania swojego.

Jakoż, potrzeby i tryb zaradzenia im są rzeczą rozsądnéj baczności; stąd te bogi są dziełem rzemieślni-

czém rozsądku. Są to myśli grubego praktycznego rozumu, które uosobiono, dobierając dla nich kształtów. Treść tedy, to jest owa myśl, a forma nie rodziły się razem w ścisłéj jedności, nie były dziełem natchnienia fantazyi.

Rzymianie dla myśli już gotowéj dorabiali, jakby na urząd, formę (nowego Boga) wyrażającą niby symbolicznie ową swoją treść; tak tutaj forma jest wymyślona, wymuszona, naciągana. Treść i forma nie stopione tutaj w jedność, odstają od siebie; jest to jednêm słowem allegorya. Allegorya jest cechą Rzymu, on jest głównym jéj wynalazcą i hodownikiem, ona jest arcydziełem, na które się chłodna prozaiczna jego fantazya zdobyć może. Jego bogi—to allegorye. Allegorya zawsze tam się rodzi, gdzie treść jest dziełem rozumu zimnego, i gdy zarazem dla téj treści, którą jest jakaś myśl, rozum dobiera formy (List XI). Ale o tém szeroko już mówiłem dawniéj (List XI). Ta forma allegoryczna, zależąc atoli od wymysłu rozumu, może być różna bardzo, choćby dla jednéj i téj saméj treści; i nawzajem, taż sama forma nadać się może dla wiele różnych treści. Stąd węzeł obu stron jest wiotki; one nie trzymają się siebie (List XI). Z tego też powodu trzeba było Rzymianom uwyraźnić znaczenie tych postaci godłami, attrybutami, symbolami i inną łataniną; więc te bogi ich takie zimne, abstrakcyjne, tak głuche, jak idea Rzymu, jak pojęcie osoby prawnéj. Te bogi, jako abstrakcye, skostniały w sobie, one nie mają życia, nie mają dziejów, nie mają powieści; żadne mity nie łączą ich z sobą zwojem kwiatów; te bogi są samotne na swych podnóżach i dla tego tak posępne, tak groźne, tak nieużyte.

Widziałeś tedy dla czego Rzymianom tak łatwo o stwarzanie sobie nowych Bogów; otoż, z téj saméj przyczyny nie trudne im było przyswojenie bogów obcych. Oni ze zrabowanych świątnic wszystkich ludów uwieźli bogi pojmane na tryumfy swoje. Bóstwa Azyi, Egiptu, Grecyi zaludniły Rzym w kamienne postaci. W obec niemych tych posągów stawał zwycięzca barbarzyński i palcem gburowatym je wytykając, pyta po swojemu o znaczenie, o treść rozsądkową tych figur? Gdy mu ta treść przypada na rękę, przyjmuje bóstwo obce do inwentarza nieba swojego, dając mu w niém obywatelstwo. Wydobywając jednak treść z formy, zabija i treść i formę. Rzym wycisnął duszę, treść z tych bogów i bogi umarły; ciała ich—toć już martwe, trupie zwłoki. Takowe to są zawsze sprawy rozsądku, gdy się on rozzuchwali i sięgnie do wyższych dzielnic duchowych, do których nie urósł z istoty swojéj. Rozsądek jest wprawdzie piérwszym warunkiem powszedniego żywota człowieka, bez niego nie obejdą się ziemskie sprawy, bo on rozsądza rzeczy różne, by się nie majaczyły zamętem. Ale właśnie też dla tego właściwą jego ojcowizną jest świat przedmiotów nawzajem się odróżniających, odgraniczających od siebie: a zatém przedmiotów ograniczonych, skończonych. Sferą właściwą rozsądku jest świat doczesności. Zatém go nie stać, by mistrzował w dzielnicach wiekuistości a nieskończonych prawd, które właśnie są odwieczną harmonią różnic, kontrapunktem różnorodnych dźwięków, akordem zlewającym niebo i ziemię, śmierć i żywot, tuteczność i wiekuistość. Powiedz, czyli rozsądek wystarczy gorącéj serca twojego wierze, gdy do przybytku duszy twojéj zapuka Pan!

Czyli ci on wystarczy, gdy anioł muzyki unosi się do nadświatnych krain, kędy nie dolatują doczesne westchnienia? Gdy w chwilach świętych żywota twojego spójrzysz w głębie nocnego nieba, i spójrzysz w głębie piersi twoich, a tu i tam obaczysz światła gorejące — ono pismo gwiazdziste, którem Bóg wypisał zakon i przykazanie światu; gdy w tych chwilach uroczystych odezwą się we wnętrzu twojém głosy, niby archaniołów wołania, i przemówią o zacności, o wiekuistości twojéj bezśmiertnéj istoty, o sumieniu, o Bogu;— czyli w chwilach takowych jeszcze rozsądek winien być sędzią twoim? Gdy w koło natura rozłoży się obrazami swoich cudów, gdy w tych szczytach górskich śnieżnych, do nieba się pnących, w grzmiących organach morskich fal, w mroku zielonym śpiewnych gajów i w promienistych błoniach, obaczysz i usłyszysz własnego serca tęsknoty, modlitwy, nadzieje i uciechy twoje, gdy spłyniesz roskoszą z tym cudownym bożym światem, i utoniesz w nim nieskończoną miłością, czyli wtedy, w tych chwilach rozsądkowanie nie powinno się ukorzyć i umilknąć przed tém wewnętrzném duszy nabożeństwem? Kto o wierze, o miłości rozsądkuje, nie ma ani wiary ani miłości, i sądzi o niéj, jako bezoki o światłach, o wdzięku barw (*).

(*) Ta wrzekoma filozofia, która w zeszłym wieku tak zuchwale rozpierała się po świecie, czémże ona wojowała, jakąż bronią rzuciła się na wymordowanie tego wszystkiego, co człowiek jako wielkie, święte i wiekuiste piastował i tulił w sercu swojém? Tą taktyką a bronią było rozsądkowanie, dowcipem naostrzone! Całą mądrość téj filozofii negacyjnéj, w jakąkolwiek była przebrana formę, można sprowadzić do zarzutu jednego, który ona niby głównią rzuciła w duszę człowieka. Jest to ciągle przez nią czynione pytanie: „Jakto wy, gdy wam chodzi o rze„czy powszednie, codzienne, o rzeczy marne i zmysłowe, wy nie wierzy„cie omackiem, ale chcecie dowodu naocznego, dotykalnego, używacie

Nawróćmy atoli do Rzymu. Powiedzieliśmy, iż Rzymianie poniżyli bogów, czyniąc ich służalcami celów doczesnych, ziemskich, że przybierali tłumy obcych bóstw, że wycisnęli z bogów treść rozsądkową, a tak wypruli z nich serce, zostawując ich ciała, jako głuche łupiny i bezduszne lalki. Te tłumy bogów umarłych pomściły się swojéj krzywdy, bo pomnażając coraz potężniéj zastęp swój, dokonały zawrótnego zbałamucenia w duszy ludzkiéj; wielość bezmierna rzymskich bogów, nie będąca kołem w sobie zamkniętém jak u Greków, ale mnożąca się bez końca, wylęgła z siebie zobojętnienie dla wszystkich bogów.

„ciągle rozsądku, a wy na oślep wierzycie co wam uczucie wasze gada, „co wam majaczy przez sen serce wasze o rzeczach nadziemskich, zaświatnych? Wy wierzycie wbrew rozsądkowi, mącąc z sobą rzeczy wręcz „sobie przeciwne; i ucho wasze nie słyszy dyzharmonii własnych mniemań waszych!" Wiesz co się wtedy stało?—serce uległo, bo nie było zdolne obronić się napaści téj nauki, walczącéj rozsądkiem, umilkło w głuchocie, zrabowane z całéj treści swojéj. Uległo uczucie, bo serce umié tylko czuć, ale nie jest umiejętnością; bo umié tylko instynktem wróżyć, ale nie jest filozofią. Przyznasz, że na ową filozofią ujemną, negacyjną, skręconą, był tylko jeden sposób, jedna tylko broń—tę filozofią wrzekomą, złowrogą mogła tylko zwalczyć filozofia prawdziwa. Bo co nauka krzywa zepsuje, to jedynie przez samą umiejętność rzetelną sprostowane być może! Trzeba więc było wtedy filozofii, któraby była wykazała, że ów rozsądek gospodarski jedynie rozstrzygać może o rzeczach skończonych a nie zdolen wznieść się do wysokości nieskończonych prawd; że do tych wysokości podniebnych wcale innego rodzaju rozumowanie może sobie rościć prawo. Trzeba było naówczas filozofii rzetelnéj, głębokiéj, któraby była przyszła w pomoc onym wewnętrznym a cichym serca poczuciom, któraby była drogą ścisłą, umiejętną przypomniała światu, że jedynie rzeczy ułomkowe, tuteczne, więc przypadkowe, mogące być lub nie być, lub mogące być inaczéj, wymagają naocznych dowodów. Taka filozofia byłaby okazała, że te głosy wewnętrzne są mową prawd wiekuistych, koniecznych, i obejdą się bez onych dowodów; że one są prawdami, co władają wszechrzeczami od początku światów, że one są tchnieniem Bożém wiejącém i po przez naturę bezduszną i po

Niewiara mroźna padła dżumą na ducha. Zdawało się, że te bogi bezduszne zstępowały w ciemnościach nocnych z podnożów swoich, i jakby upiory wyssały śpiącym zwycięzcom świata krew serdeczną i mściwie wydławiły z nich nawzajem treść żywotną. Te bogi z kolei uczyniwszy teraz z Rzymian czcze mary, rzuciły ich na pastwę przesytu, zwątpienia, rozpaczy i samobójstwa. I zważ, jak Rzymianie nauczyli się wyjmować treść z bogów, tak że treść, fantazyą zrodzona, umarła bez ciała będąc, a to ciało stało się zwłokami trupiemi; tak późniéj rzymskie państwo, będące wcieleniem wszystkich uczuć, całéj duszy rzymskiego ludu, będące arcydziełem i formą wszelkiéj treści duchowéj jego, stało się mimo wielkości swojéj także marą głuchą i upiorem bez serca; bo lud ten późniéj sam wycofnął z tego państwa, z téj światowładnéj Romy duszę swoją, swoją treść; treść nie miała już formy odpowiedniéj dla sie-

---

przez państwo duchów. Następnie umiejętność prawdziwa, okazawszy że te głosy prorocze serca są iście bożém tchnieniem wiejącém po przez wszystkie jestestwa, byłaby orzekła, że ono jest wszech-przytomne, wszech-obecne, a stąd wypłynąłby wniosek, że jak ten dech boży staje się ustawą dla martwego kamienia, że on to jedynie wedle pewnego prawa matematycznego spadać może, że jak ten dech boży staje się prawem dla rośliny, że ona tak a nie inaczéj rozwijać się winna, tak też równie te tchnienia boże są i obecne i przytomne i żywe w sercu człowieka, i w tém sercu o sobie znać dają owém proroczém przeczuciem, i kołacą i wróżą. Te głosy, wróżące o najwyższéj prawdzie, póty są ciemne, póki umiejętność prawdziwa, odgarnąwszy od nich chętki osobiste, chwilowe, doczesne, nie ujmie w głębiach naszych tych niebiańskich wróżbitów i nie wysnuje z nich umiejętnego wątku i nie zestroi tych różnic i sprzeczności, którym poradzić nie zdołał rozsądek. Właśnie jednak wtedy, gdy owa wrzekoma filozofia negacyjna, rozsądkowa i drwiąca, wjadała się rakiem w duszę ludzi, nie było filozofii, coby obroniła wewnętrznéj skarbnicy duchowéj od napaści. Serce więc, zwątpiwszy o sobie, umierało na oziębłość i rozpacz sceptyczną.

bie. To państwo, co dawniéj było tą formą, stało się bezduszną łupiną, postacią bez serca i krwi, zatém runęło w końcu, przywalając rozsypiskiem swojém późne pokolenia dawnych budowników swoich.

Podobno cała nasza powyższa rozprawa zdoła już wystarczyć, by okazać, czém w istocie jest fantazya Rzymian; dość nawet wiedzieć jako się oni obeszli z bogami swojemi, aby osądzić ich usposobienie artystyczne. Mniemam atoli, że nie zawadzi, gdy choć przelotnie rzucimy jeszcze okiem na niektóre szczegóły ich życia i sztuki, bo nam to wyjaśni do ostatka wszystko com powiedział dotychczas o właściwéj im fantazyi.

Chciéj tylko, proszę, mieć w pamięci wypadki główne całego mojego wywodu; one będą kluczem do zrozumienia dobitnego przykładów i pojawów, które ci jeszcze choć ułomkowo przywiodę. Miéj tedy przed oczyma naprzód ową wszystko chłonącą ideę Rzymian o potędze i wielkości ich państwa; daléj ich rozum prozaiczny, praktyczny, szukający w każdéj rzeczy użytku; pamiętaj, że utylitarność była ich godłem. Następnie, pamiętaj że dążność do symbolizowania i allegoryi oznacza brak ścisłego zestrojenia formy i treści, co właśnie jest warunkiem żywotnym wszelkiéj piękności. Nakoniec, chciéj baczyć, że z owego braku wypłynęło późniejsze wycofanie się treści duchowéj człowieka z zewnętrznéj rzeczywistości, a mianowicie ze saméj Romy będącéj arcydziełem tego ludu.

Fantazya ta lekka i swobodna, «ta kapryśna a przecież tak wdzięczna córa Olimpu» (Göthe), zrodzona w nadświatnéj krainie poezyi, stała się tutaj wyrobnicą najemną owéj idei Rzymu; ona, jako niepraktyczna,

nie zdołała pomódz do ujarzmienia świata, więc jéj nakazano złocić i stroić rydwan tryumfującychh zwycięzców; ona poniżona by floresem zdobiła i ubierała w hafty świecisty płaszcz rzymskiéj sławy. Fantazya staje się tutaj przepychem bez miary, rośnie w hardą dumę i pańskość; jest zwiastuną głoszącą po wszystkie ziemie potęgę Romy, by świat znał olbrzymią wielmożność jéj majestatu.

Z tego już zrozumiesz, iż po nad wszystkie inne sztuki Rzymianie ukochali architekturę, boć ona więcéj, niż którakolwiek inna sztuka piękna, zdołała unaocznić moc gigantyczną panów świata i uwidomić ją w przestrzeni, materyalnie; bogactwo i bajeczna zamożność Rzymu mogły być tu mierzone na sążnie i ważone na massy piętrzących się marmurów. Tutaj pompatyczna uroczystość uderza przychodnie ludy ogromem zuchwałéj wielkości swojéj. Stąd ta «grandezza» harda architektury, służąc do uwidomienia potęgi, była właśnie dla tego jakby czemś utylitarném.

Hellada ograniczała się szczupłością wymiarów swojego budowania, bo jéj chodziło o ducha a nie o materyą. Rzym kocha bezmierność; on co mieczem powalił świat, on rozkazuje cięźkiéj, nieużytéj materyi; a materya się korzy i slucha swojego pana—pana, którego zawiał tchem wielkości Wschód azyatycki.

Nadto, co, jak wiész, wielce odpowiadało duchowi Rzymu, architektura jest nadewszystko sztuką symboliczną; wzniosłość i wspaniałość, światowładztwo butne, nie wyrażały się też postacią ludzką jak w rzeźbie, ale ruchem linii w przestrzeni, co choć nieme, równie tak butne i wzniosłe, tak głośne i grzmiące. Nakoniec zważ,

że budowanie najczęściéj łączy się jeszcze z utylitarnością we właściwém znaczeniu, bo z jakimś celem praktycznym, co właśnie poszło Rzymowi w smak. Widzisz tedy, że on miał czego kochać architekturę, więc ją też z taką miłością pielęgnował.

Stań przed jaką staro-rzymską ścianą — co to za wykonanie! co to za robotnicy! Tutaj to znać ludzi systematycznych, porządnych, pilnych, co nie pracują byle zbyć. Łuk do połowy zgruchotany; druga połowa, niby ramię, sięga w błękity powietrzne; puściła się na niém roślinność bujna, cisną się drzewa, zioła, kwiaty w napowietrzne ogrody; na tém ramieniu budowaném odpoczywają wędrowne obłoki, o niego biją wichry, burze i słoty od tysiąców lat, a ramię kamiennego olbrzyma sterczy i grozi jak przed tysiącem lat. Ba! aby tak budować trzeba było właśnie Rzymian, więc ładu, a ducha porządku, więc wytrwałości, więc dzielnego rzemieślnika, praktycznego rozumu, obchodzącego się bez fantazyi.

Fantazya! uczucie piękności! Uważ—Greków cisnęło i parło uczucie potężne do dzieł sztuki, a co robiło, co wrzało im w sercu, to ulatywało pieśnią, drgało życiem niebiańskiém w marmurowym posągu, lub zdumiewało ludzi cudem budowanego przybytku. U nich duch panem—a duch, syn nadświatnéj krainy, wzniósł się nad przepychy ziemskie, nad bogactwa materyi; on nie potrzebuje olbrzymich obszarów w przestrzeni, bo jego celem jest piękność, a piękność jest duszą Hellady. W Rzymie zaś chodziło tylko o Rzym i potęgę jego. Tutaj, im budowanie ogromniejsze i zuchwalsze, im głębsze wyczerpuje skarbce, im rzęsitszym znojem robotników ską-

pane, tém piękniejsze; bo tém potężniéj roznosi sławę światogłośnéj i ludobójczéj Romy. Ona przystraja się w łupy świątnic Azyi, Egiptu, Grecyi, rabuje rzeźbione ich odrzwia, bramy, progi bronzowe, wyważa kolumny cudne i kosztowne; piłą odcina od murów malowane na nich arcydzieła. Tysiącami posągów obciąża okręty, a z tym zaborem wraca do domu, i, zadowolniona z siebie, ubiera niemi świątnice schlebiając swoim bogom, lub zdobi widowiska, Termy (łaźnie), mizdrząc się do pospólstwa, drugiego swojego boga, co głodny i z nudów ziewający, więc straszny, gdy krzyczy: *chleba i igrzysk!* Stąd jeden z konsularnych hardych korzy się, a potrzebując łaski tego ludu, buduje teatr na ośmdziesiąt tysięcy widza; jedno piętro jego odziewa marmurem, drugie śklaną mozaiką, trzecie pokrywa złotem, i trefi w 360 kolumn cudownych a w. 3,000 spiżowych posągów, a kędy jeszcze miejsce próżne rozściela wschodnie kobierce lub rozstawia obrazy ukradzione Helladzie. Drugi chwycił się oryginalniejszéj myśli: stawia dwa teatra, wprawdzie drewniane, ale posłuchaj — teatra półkuliste, odwrócone od siebie; przeto na obu jednocześnie odegrywano sztuki sceniczne, nawzajem sobie nieprzeszkadzając. Gdy się zaś dramata skończyły, teatra oba dziwnym przyrządem mechanicznym zaczynają się poruszać, wraz z widzami, nawracają się na czopach ku sobie, już się złożyły w jeden amfiteatr, w jedną arenę, kędy już gotowe gladyatory do wzajemnych mordów na wielką pociechę, a huczny oklask rozszalałéj zgrai. A Termy?—to łazienki publiczne «gratysowe», dziś ich gruzy rozkładają się jakby miastem; w jednéj z nich liczą trzy tysiące izb na łazienki — tu na rozkazy ką-

piele, to zimne, to letnie, to gorące; w tych termach są jeszcze teatra lądowe i wodne, galerye obrazów, bibliotеki, amfiteatra, widowiska różnego rodzaju, wszędzie ściany wyzłacane, wszędzie posadzka z mozaiki. Wszak dziś jeszcze puszczając się po tych zwaliskach w kroku potrącasz o sztukę barwnéj mozaiki, o przepych zgruchotanych kapitelów, wyrabianych misternie gzémsów; wszak pod tym gruzem odgrzebano Herkulesa i Wołu Farnezyjskiego, Laokoona i wiele tych dziwów piękności, nad które świat nie zna cudowniejszych arcydzieł mistrzów starych.

Daremnie podobno prawiłbym ci o innych a niezliczonych robotach rzymskiéj architektury, wzdętych przepychem i ogromem bez miary. Któż nie wié, jaki szał parł i prywatnych, gdy ich opadła żądza przesadzania się we wspaniałości swoich siedzib wiejskich, jak to oni równali góry, wybierali doliny, zamieniali morze na ląd, a ląd na morza, by dogodzić kaprysnéj ochocie; jak stwarzali pełne wspaniałości pałace dla każdéj pory roku, dla każdéj zachcianki, i t. d. Ten zbytek, walczący o prym z marnotrawstwem Wschodu, zawiązał się jeszcze za czasów Republiki a wzmaga się i potęguje w cesarskich stóleciach. Patrz—sam ten Hadryan, co stawia wszystkim bogom świątnice, a w żadnego nie wierzy, co unosi się nad pięknością idealną, niebiańską sztuki greckiéj a rozpasany na chuć zwierzęcą, co lubi filozofią a wierzy w gusła i czary; on jest pełen tkliwych sentymentów a podejrzliwy i okrutny; on twardy i zahartowany, a zarazem nurzy się w morzu miękkich pieszczotliwych roskoszy; on lekarzem i muzykiem, poetą i matematykiem, gramatykiem i astrologiem; on umié

na pamięć książki przeczytane; on nawet zna na pamięć imiona wszystkich żołnierzy swéj armii; ten Hadryan jednym razem zerwał się i rusza, aby piechotą, z gołą głową zwiedzić cały ówczesny świat rzymski, i rusza pieszo i z gołą głową przez lat wiele i zwiedził państwo swoje od końca do końca. A gdy wrócił do Rzymu, nuż własnoręcznie rysować plany, nuż w Tiburze, co dziś zowią Tivoli, budować sobie cały świat w miniaturze: i buduje świątnice i lycea, termy i teatra, akademie, prytanea i amfiteatra, pałace i galerye; a buduje z grecka i z egipska, po syryjsku i po persku, i mieści obok siebie bogów z różnych krańców świata, i stworzył sobie i piekła i pola elizejskie i Tartarus i Lete i Styx i już nie wiedzieć co; a gdy tego wszystkiego dokonał, pojechał do Bajów i tam, tęskniąc do Tiburu, umiera. (*). Dziś dzień cały chodzisz i jeździsz po téj willi jego; wśród bujnéj, pełnéj natury, wśród zuchwałéj, a przecież wdzięcznéj roślinności stoją gruzy, zalegając ogromną przestrzeń zamętnym labiryntem; i zamętem także skręca się myśl i ani się pochwytać, ani upamiętać możesz w tym świecie wielkości dawnéj.

I zaiste, te budowania rzymskie z taką potęgą gwałtowną uderzają wyobraźnią, jakby wielkie dramata, które niekiedy odegrywa natura w obec ulęknionéj duszy człowieka. Gdy patrzysz bowiem na te dzieła, przenika cię uczucie, jakbyś widział burzę, co łomotem pędząc przez kraje, gruchoce puszcze odwieczne i pomiata mieszkaniem ludzi; zdaje się, że słyszysz grzmiące

(*) Mniéj więcéj w ten sposób jeden z badaczy dziejów skreślił ten charakter tak dziwaczny a tak znakomity cesarza Hadryana.

wichry i gromy piorunne, że patrzysz na rozjątrzone morza i buntowne fale jego, na powódź, na pożar, na Alp szczyty; stąd mimowolnie korzysz się tym budowaniom, tym prorokom zapadłych stóleciów, i powtarzasz mimowolnie: «co to za wielki naród! co za przeszłość olbrzymia!»

Zważ atoli—sztuka jest wolną córą ludzkiego ducha; ona niczyją sługą, niczyim środkiem; ona, użyta za środek, spacza się i skręca. Tak się stało w Rzymie — architektura, skazana na służebnicę hardości i dumie, nie zniosła upokorzenia i ukarała budowników, wykrzywiając w ich rękach czyste formy piękności. Dziś patrzymy się na te zwaliska rzymskie, jako na grobowce wielko-ludów historyi; przecież, gdy je bliżéj zbadasz, obaczysz, że tym robotnikom hardym brakło estetycznego sumienia, że poniewierali sztuką i prawami jéj tak jako poniewierali światem. Wśród przepychu, ogromu wspaniałego, wśród kosztowności materyału dźwięczą dyzharmonią architektoniczne błędy. (*).

(*) Nie będę ciebie nużył głębszą krytyką występków popełnionych w Rzymie przeciw Estetyce, a mianowicie przeciw prawom kompozycyi (List XII); dotknę się jedynie kilku wyrazistych przykładów, pochodzących ze źle zrozumianéj żądzy przepychu.

Przysionek grecki o kolumnach, tak szlachetny i wzniosły, i w oczach Rzymian uchodził za arcydzieło architektury, i słusznie; ale zważ, co się dzieje. Mniejsza o to, że porządki greckie zdają się im być zbyt skromne, że budownicy rzymscy łączą głowicę strojną Koryntu z ogromem ślimacznic kapitelów jońskich i tworzą kapitel rzymski tak hardy i bogaty — o to mniejsza; zważ atoli, że same wymiary kolumn greckiego portyku nie wystarczają ich żądzy ostentacyi i okazałości pańskiéj; stąd Rzymianie wznoszą kolumny kolosalne, olbrzymie. Rzecz jasna, iż w stosunku wzmagającéj się wysokości i grubości tych słupów trzeba było i powiększyć przestrzeń między temi kolumnami i oddalenie ich od ściany. Lecz to było rzeczą niepodobną, bo brusy i tramy (belki) marmurowe

Rozumie się, że dwory wiejskie, świątnice, fora, pałace, ogrody, wymagały zaludnienia posągami. Zaradzono też téj potrzebie, posyłając do Grecyi i jéj osad okręta, które wracały tonąc pod brzemieniem dzieł ar-

mające u góry łączyć kolumny między sobą i ze ścianą, z natury rzeczy nie mogły mieć wystarczającego ogromu. Kolumny tedy te olbrzymie umieszczano zbyt blizko siebie. Tak tedy zrodziła się ciasnota a duszność przysionku. Pomyśl następnie, że obok tych gigantycznych a jedno-piątrowych przysionków, budynek sam ma wiele piąter, jako np. w teatrach lub amfiteatrach. Każde z tych piąter oznaczone jest na zewnątrz rzędem kolumn, choćby udanych, dekoracyjnych. Więc te kolumny są znów drobnostkowe i maluczkie w porównaniu do onych olbrzymich kolumn przysionku i wszystkich jego ogromnych rozmiarów. A tak zgwałcona była harmonia całego budynku.

Baczmy następnie, że do architektury rzymskiéj przybył nowy pierwiastek, który stanowi ważną niezmiernie epokę w budowaniu; jest to sztuka stawiania sklepień. Tę sztukę wzięli wprawdzie Rzymianie od starych Etrusków, ale ją rozwinęli potężnie i wspaniale; bo też to była forma piękności tak dziwnie przystająca do ducha rzymskiego! Jak bowiem on rozpina nad światem potęgę swoję, tak sklepienie rozpina się nad budowaniem ogarniając sobą olbrzymie przestworza jego. Sklepienie jest tedy pierwiastkiem żywotnym rzymskiego budownictwa Sklepieniem tedy głównie odróżnia się architektura rzymska od greckiéj, która tylko zna stropy brusowane, zatém płaskie Stąd też budynki greckie tak są pełne prostoty, a tém samém wielce do siebie podobne, gdy przeciwnie rzymskie tak są różne i tak bogate w rozmaitość. Lecz tutaj właśnie znajdujemy lęgowisko nowego błędu w architekturze rzymskiéj; wszak ten dwojaki rodzaj pokrywania, bo płaski (poziomy), więc tramowany, a zaokrągłony czyli sklepiony, są wręcz od siebie różne. Rzymianie atoli, nie mając głębszego uczucia piękności, mieszają dziwnym zamętem oba te rodzaje, kładąc je też obok siebie. Z czego znów wynikło, że często bardzo ich kolumny nic wcale nie dźwigają i są czczą paradą nieusprawiedliwioną przez potrzebę.

Ten brak taktu estetycznego przywiódł ich równie do tego, iż używali wysokich kolumn za podnóża posągów, co jest błędem; bo kolumna jest wprawdzie jakby całością, ale przecież gdy jest przeznaczona na podporę budynku, przeto znowu nie jest do tego stopnia całością, by mogła stać osobno i odrębnie. Kolumna np. Trajana w Rzymie jest wprawdzie wielce okazałą; ona harda i pełna majestatu spoziera na mrowiska ludzkie, krzątające się u jéj stóp; szczegóły jéj są prześliczne i szlachetne;

cymistrzów. Już to stary konsul Mummius umiał rabować na stopę wielką i systematyczną, choć, jak się okazuje, nie był osobliwym znawcą. On zdobywa Korynt. Wszedłszy do miasta, jako człowiek lubiący porządek, rozkazuje odstawić na bezpieczne miejsca, co kosztowniejsze, potém puszcza żołnierstwo na rabunek, rzeź — Korynt w płomieniach! Czego kilko-dniowym pożarem nie zniweczył Mummius, każe gruchotać taranami; po-

---

ale całość jest grzechem przeciw ściśléj piękności, a zwłaszcza gdy około kolumny obwinięta jest w śrubę wstęga płaskorzeźb wyobrażających świetne sprawy cesarza; linie przeto téj wstęgi nie zgadzają się z linią pionową saméj kolumny, a tak rodzą dźwięk fałszywy w całém dziele. Gdy atoli i całą Europę na początku naszego stólecia zawiał powiew z Rzymu, więc też i suknie damskie i hafty i krzesła i świeczniki i herbatnice, imbryki i t. d., po wszystkich państwach zarywały na formy rzymskie: wrychle też dźwigła się kolumna Vendôme na wzór kolumn Cezarów staréj Romy; i tu wstęga, i tu rzeźby, których oczyma gołemi nie dojrzysz. Dla tego wolę gładką kolumnę Zygmunta w Warszawie—ona mniéj okazała, lecz też ma mniéj „pretensyi."

Następnie — Grecy byli ludem-artystą, czuli tedy, że dzieło budowane, jak każde inne dzieło sztuki, powinno być wyrazem jednéj panującéj w niém idei; dla tego też, mimo rozmaitości świątnic greckich, tak łatwo zdefiniować czém być powinna prawidłowa świątynia helleńska. Wystarczy powiedzieć, że ona jest prostokątem, którego szérokość jest prawie połową jego długości, a przytém wkoło obwiedzionym kolumnadą. W Rzymie nie ma téj idei panującéj, dla tego też trudniéj o definicyą ich świątnic.

Nakoniec zważ, że w Grecyi wszystkie członki architektoniczne w budynku, nawet najmniejsze częśći w kolumnie mają swój powód w technice; każdy z tych szczegółów może być usprawiedliwiony potrzebą, i toć jest właśnie chwałą geniuszu artystycznego Hellenów, że u nich to, co jest ozdobą i przystrojem architektury, jest zarazem wynikiem z przyczyny technicznéj i nawzajem. Inaczéj u Rzymian. Oni zapomnieli pierwotnego znaczenia szczegółów architektonicznych, uważają je za przystrój, więc nadużywają ich, nadając im kształty przepyszne, bogate, ale nieodpowiednie ich przeznaczeniu. Co więcéj, oni mieszczą kolumny tam, gdzie ich niepotrzeba, i dla tych kolumn wymyślają ciężary, gzémsy, bramy i t. d., które są li dekoracyjne, a nie są bynajmniéj wypływem z saméj istoty rzeczy.

czém sprzedaje niewiasty i dzieci w niewolę i puszcza na licytacyą obrazy i posągi. Wysłannik króla Attalusa za jakiś cudny obraz ofiaruje (na nasze pieniądze licząc) 10,000 dukatów. Konsul Mummius co tchu każe zatrzymać ten obraz, bo jest przekonany że niepodobna, aby malowidło samo miało mieć taką wartość, że tedy zapewne do obrazu jakieś czarodziejskie moce są przywiązane. Wnet też spostrzega, że jacyś żołnierze jego niezgrabnie i gburowato zabierają się do przenoszenia posągów, więc też krzyknął — «Ostróżnie tam z tém! bo jak który co złamie, to każę mu nowe zrobić!»

Takie to zrazu były dzieje arcydzieł greckich w rękach rzymskich. Jednak znowu nie sądźmy, jakoby każdy z wodzów rzymskich, zwłaszcza z późniejszych, był Mummiusowi podobny. Niema wątpliwości żadnéj, że i Rzymianie wyższego ukształcenia doznawali rozkoszy nieskończonéj w podziwianiu dzieł artystycznych; a wysypując skarby za nie zaiste nie zawsze uważali posągi jedynie za sprzęty kosztowne, dogadzające czczéj próżności. I pod ich nawet własną opieką aż do czasów Trajana sztuka rozwijała się w całéj pełnéj piękności. Uważ też, że na palcach dziś zliczyć można rzeźby w Rzymie, o których jaką taką mamy pewność, że sięgają czasów kwitnącéj Grecyi, i że stamtąd przywiezione były. Te dzieła z małym wyjątkiém przepadły w wywrotnych burzach historyi. Te cuda rzeźbione przeto, które spotykamy po muzeach rzymskich, neapolitańskich, florenckich i po innych galeryach europejskich, po większéj części wykonywane były za czasów Rzymian i z ich polecenia. Rzeźby przywiezione z Grecyi, choć niezliczone, nie wystarczyły potrzebie; wreszcie i dla bóstw wła-

ściwie rzymskich trzeba było właściwych form a mianowicie allegorycznych. Pamiętaj atoli także, iż w tym całym spisie mistrzów pracujących dla Rzymu ani jednego nie ma znakomitszego artysty pochodzenia rzymskiego! Najczęściéj są to Grecy, którzy pracują około sztuki.

Wpatrując się w te postaci rzeźbione, które po świecie starożytnym na nas spadły, wyraźnie znać w nich, jakby dwie cechy różne: jedne są idealnéj nadziemskiéj piękności, dokonane stylem iście greckim, inne zaś mają na sobie piętno smaku Rzymian. Z tych ostatnich przeziera żywa rzeczywistość, występująca z całą, silną, zdrową prawdą; tu znać, że artyście chodziło o uchwycenie głębokie indywidualności oblicza i całego piętna żyjącego wzoru, który miał przed sobą; a przecież mimo téj prawdy a ciepłéj rzeczywistości, mimo téj fantazyi rzymskiéj, trzymającéj się ziemi, te prace tchną szlachetnością a zacną dumą, i są dalekie od gminnego, grubego pojmowania rzeczy, jak tego dowodzą nie tylko popiersia i postaci znakomitych mężów i cesarzów, ale nawet i osób prywatnych. W muzeum kapitolińskiém niezmiernie też zajmującym jest ów zbiór ludzi bez głośnéj sławy, niby galerya «obscurorum virorum», co przeżyli to życie swoje w zaciszu domowém, nie wysuwając się na widownią historyi; na tych twarzach kamiennych nie ma wielkich światonośnych myśli, ale za to ta proza powszednia, te kłopoty, biedki, radostki, ochotki codziennego życia, zostawiły wyraziste ślady swoje. Patrząc na te oblicza, czujemy żeśmy między równymi sobie, między swoimi. Znać, że te głowy są podobne do żywych swoich wzorów. Bo Rzymianin utylitar-

ny uważał, że jeżeli popiersie ma być wizerunkiem, niechajże będzie podobném a nie idealném, bo inaczéj szkoda pieniędzy. Ta wierność i prawda jest pod pewnym względem dla nas nieoszacowana; możemy się spoufalić z tymi poczciwcami, co żyli tutaj prawie przed dwoma tysiącami lat. Plinius, istny Rzymianin, sam wyraźnie powiada, iż sztuka rzeźbiarska właśnie tylko na to wynaleziona, aby oblicze umarłych w najwierniejszém naśladowaniu dostało się następcom (!). Ale ta chęć do wiernych wizerunków stała się upadkiem smaku, bo się wyrodziła w przesadę, która doszła do tego, że np. włosy wyrabiano w najdrobniejszych szczegółach, bo nawet świdrem je dziergano. W muzeach spotykamy marmurowe damy z rodzin cesarskich z fryzurami podobnemi do peruk dawnych markizek francuzkich; co więcéj, z niektórych tych popiersi zdjąć można tę fryzurę kamienną; znać, że ją odmieniano, gdy zaszła nowa moda.

Za przykład stylu rzymskiego smaku, trzymającego się prozy życia, przywodzę ci jeszcze grupę z galeryi neapolitańskiéj. Dwóch setnych drabów stanęło przy kotle. Jeden z nich podmuchuje ogień, trzymając się ręką za kocieł, drugi sprawia nierogaciznę. Oba te hultaje żywcem z rzeczywistości wzięte; mianowicie jeden z nich, — rzekłbyś, żeś go gdzieś spotykał na ulicach. Bądź pewien, że ta grupa zrodziła się we fantazyi jakiegoś rzymskiego Teniersa. Ba, w ogólności mówiąc, śmiałbym twierdzić, że smak rzymskiéj rzeźby najczęściéj tak się ma do nadziemskich ideałów greckich, jak one malowania niderlandzkie do Rafaelowych anielskich widziadeł. Krom téj cechy w stylu rzymskich rzeźb, wypływającéj z ich praktyczności, są jeszcze inne. Wspo-

mnę tylko o jednéj z nich, będącéj prostym skutkiem chęci okazałości,—jest to upodobanie w ogromnych wymiarach posągów. Jak wszędzie tak i tutaj Rzymianie wielkość mierzą łokciem. Tak np. cesarz August polecił ulanie posągu Jowisza Kapitolińskiego, który był tak gigantyczny, że go było widać od spadów wód tyburskich aż do albańskich pagórów; a Nero nakazał wykonać własny posąg swój ze spiżu 110 stóp wysokości.

Te budowania Rzymian, majestatu pełne, te uroczyste kamienne postaci, rozpłynęły w muzyce ich poezyi; bo, co milczącém proroctwem zapowiadają marmury, co w barwie malowanych obrazów patrzy na nas niemém ducha spójrzeniem—to staje się istným żywotem w ustach wieszczów natchnionych. Wszak poezya, owa najukochańsza fantazyi córa, jest wierną duszy narodów malownicą, jest spotęgowaném biciem serca ludów i jasnym komentarzem zagadek wypisanych w tajném ich wnętrzu. Ta treść bezdenna, te pączki światów, co ciśnione doczesności mrozem zimują w piersiach naszych, one wszystkie się budzą życiem pełném, gorącém, nieśmiertelném, gdy po nich zawieje wiosenne poezyi tchnienie. Naród każdy samego siebie widzi w pieśni swojéj, ale już się widzi w ulotnionéj postaci, swobodą nadziemską uskrzydlonéj, tak jak się widzi kochanek w miłości swojéj. Ta poezya jego jest jego duszą bezśmiertną, wzniesioną nad doczesne doliny, nad niziny tuteczne; ona okiem archanioła ogarnia lat tysiące co dawno pomarły, ona widzi lat tysiące co dopiéro mają być poczęte w wiekuistości łonie; dla niéj wszystko jest obecnością żywą, jest mapą Bożą, w któréj czas się zatrzymał, stając się widzialną przestrzenią. Poe-

zya wielkie czyny przeszłości i przyszłych czasów wróżby promienne, i wesela i smętki obecne splata w jeden harmonii wieniec, jakby dla swojego ludu koronę. Ta poezya zbiera kwiaty z grobów i z cmentarzów pokoleń dawno pogrzebionych, i tchnie duchem na te kwiaty grobowe zmarłe a kwiaty ożyją, zapłoną światłem, jako te gwiazdy co, bożą miłością uskrzydlone, rozpromieniły przestrzeń nieskończoną, niemą, głuchą, przepaścistą. Poezya ma serce wielkie jak wieczność; ona rozumie i drganie duszy nieświadoméj uczuć swoich dziewczyny, i błyskawiczne myśli wielkich ludzi w historyi przeistaczające świat—ona sercem rozumie i westchnienia mogił ciche. Ta poezya sprawia cuda, a jéj mocą cudowna jest miłość nieskończona; ona świat cały pomieści w sercu swojém, ona kochaniem odchucha co mrozem tutecznym zziębione, co zapoznane od ludzi, i odzieje jasności aureolą; ona stwarza czarodziejskie pałace, które przecież są prawdy najwyższéj przybytkiem; ona stwarza jakby bajeczki dla małych pacholąt, ale te bajki jéj są tak ciężkiéj wagi jak mądrości najgłębszéj wyroki.

Poezya — to wróżka nadniebna, zesłana aby ukoić cierpienia, by ochłodzić twardy ziemski trud,— krocząc przez ludy i wieki stanęła wśród synów nieubłaganéj Romy. Bo i Rzymiane przecież dzielne pracowniki na téj ciężkiéj roli ludzkich dziejów. Lubo prawda, że wszystkie ich łamania się i silenia nie mają człowieka i uzacnienia jego na celu, ale jedynie ku temu zmierzają, aby dzwignąć ukochany Rzym swój; lubo prawda, że ten Rzym jako dzieło doczesne doczesnéj idei runął, toć przecież i to pracowanie się ludu tego nie było stracone i po-

szło na zdrowie światu i cywilizacyi człowieka. Te robotniki znojem swojego trudu i krwią ciepłą serdeczną torowały ścieżkę aniołowi, co miał przejść światem — światu na zbawienie. Tak przeto, choć ta poezya rzymska nie może sprostać greckiéj, jednakże i ona zasługuje bym jéj poświęcił list osobny. Jak bowiem jest widokiem wielce zajmującym i nielada, gdy obaczymy jak to poezya, z wyższych światów gość, przytula i swoi do siebie onych hardych synów cudowładnéj Romy, tak też sprawą jest nie małéj wagi poznanie choć pobieżne téj literatury, co wiąże świat staroczesny z nowożytnym, a nie jest to pewnie rzecz marna przypatrzenie się téj poezyi, co przemawiała językiem, który ogarnął wszystkie ludy oświecone i po dziśdzień żyje wśród nas żyjącą puścizną.



LIST XXIV.

Rzym.

(Dalszy ciąg).

Poezya i język rzymski.— Wiek Augusta.— Piętno téj poezyi, odpowiednie usposobieniu tego ludu.— Allegoryczność.— Horatius i Wirgilius.— Przewaga poezyi dydaktycznéj.—Owidius.— Tybullus.—Dramaturgia.— Satyra, właściwa poezya rzymska.— Skon Rzymu.

Ideały nadświatne piękności nieskalanéj— a logika nieubłagana powszedniéj życia prozy!— Poezya i Rzym! To są sprzeczności jakby dwóch wbrew odwrótnych światów! a jednak te przeciwieństwa zaślubiły się z sobą w Rzymie. Bo piękność, również jak prawda, jak cnota, od wiekuistości ród swój wiedzie, więc w samém wnętrzu człowieka ma swojego sprzymierzeńca pełnego potęgi. A łatwiéj zagasnąć gwiazdom na niebie i olsnąć słońcom, niż zaginąć téj wiekuistości w człowieku; żyć ona będzie w nim choćby w letargu, choćby żywcem pogrzebiona, i odżyje bylebyś znał słowo co ją zbudzi z martwych. Poezya ufała téj wielkiéj prawdzie, więc stanęła wśród Rzymu, a rozebrana nieskończoną miłością zapragnęła umaić tym robotnikom czystém duszy wese-

lem krwawe prace i brzemie ckliwego żywota. Litując się chwały Rzymskiéj tak wielkiéj, tak bogatéj w ofiary bezmierne i w cierpienia bezmierne, zrzekła się postaci niebiańskiéj, przybrała na się doczesne formy, a tak stała się widzialną oczom rzymskim i przemówiła do twardych wojowników zrozumiałą im mową. Poezya w Rzymie wzięła na się rzymskie formy, śpiewa wojownikom to piosenki wojenne, to starodawną ojców ich chwałę, to wtóruje ich hasom i weselom, to ich bawi komiką figlarną, to uzacnia serca odą wzniosłą, to uczy, lub znowu przytula piosenką miłośną. Ta niebianka długo została na ziemi, wśród Rzymian; ona dotrzymała im dłużéj wiary niż sława wojenna i wtedy dopiéro ustąpiła z ziemi, gdy Rzym sam zapomniał siebie, gdy go za żywota toczył już pośmiertny robak zepsucia; wtedy poezya rzymska ze łzą w oku, z raną bolesną w sercu wróciła do niebiańskiéj ojczyzny swojéj.

Ta poezya rzymska miała też za szatę swoją mowę pełną uroczystego majestatu. Ten język rzymski jest to muzyka poważna, pełna szlachetnéj dumy i uczucia własnéj godności i potęgi.

Słysząc ten dźwięk i te fale téj mowy rytmu, rozumiałbyś, że to jakieś pochody uroczyste muzyki Bethowenowéj, że to oratorya unoszące się na grzmiących skrzydłach organów kościelnych. Dziwisz się np. okazałości w mowach sejmowych Skargi, a majestatowi miary i brzmieniu jego peryodów? On podsłuchał pulsów łaciny, zastosował je do mowy polskiéj;—w tém tajemnica téj wspaniałości poważnéj, a tych dźwięcznych akordów jego języka. Stąd też mowa Skargi podobna

do rzymskiéj mowy; stąd ona kroczy to jakby uroczystym pochodem arcykapłana w święto Boże, to jakby tryumfem bohatera uwieńczonego wawrzynem zwycięzkim. A cóż dopiéro ta rozumna a logiczna budowa mowy rzymskiéj, która tamuje swawolę, nie broniąc swobodnych ruchów myśli, która żąda dobitności i siły, ścisłego rysunku wyobrażeń i dokładności najwyższéj w znaczeniu słów. Gramatyka łacińska— toć najzacniejsze wyćwiczenie dla rozumu, ona nadaje myśli logikę, wagę i podwalinę, na któréj stanąć może, jako na ciosowém podnożu. Stąd też aż do końca żywota poznać zdołasz w iście naukowych ludziach piętno, które im nadała nauka łaciny, odróżniające ich od wychowania pochwyconego na dorywku, na żarty, z amatorstwa.

Słowem, język łaciński jest tak dzielnym a mianowicie tak rozumowym i praktycznym, jak sami Rzymianie. Stąd widać, iż mniéj nadaje się dla fantazyi, że jest mniéj językiem poezyjnym, lecz za to stał się językiem wszechświata. Nie przeczę bynajmniéj trafności zdań przywodzących fakta historyczne, dla których ten język rozlał się na wszystkie ludy cywilizowane i dochował się w całéj pełni do naszych czasów; nie zaprzeczam tych powodów, ale one są tylko przyczyną zewnętrzną, która nie byłaby wystarczyła do wyjaśnienia tak osobliwego i jedynego w historyi pojawu, gdyby w samym języku tym, we wnętrzu jego, nie było powodu prawdziwszego, a tym jest właśnie języka tego abstrakcyjność, rozumowość, jego istota ogólna, naginająca się tak doskonale do wszelakiéj treści rozumowéj, przeto do każdéj nauki i umiejętności, stosująca się i do ducha każdego ludu, i do tętna każdego wieku,

do wszystkich epok cywilizacyi (*). Przyznasz mi, że te różne okresy którémi przechodził ten język, te nawet spaczenia się jego w średnich wiekach, dowodzą zasobów i sił żywotnych nieprzebranych jego istoty. A zawsze i wszędzie dochował swojéj potęgi tak czerstwéj i tak zdrowéj. On równie dzielnie się toczy we wierszach Lukretiusa i w mowie Cycerona, jak w »Dies irae« lub »Stabat mater.« I prawodastwo i filozofia scholastyczna i pieśni kościelne przejęły ten język, czyli raczéj były przyswojone przez niego. Zaiste Rzym umierając zapisał testamentem mowie swojéj świat cały i wszystkie cywilizowane narody; on przekazał jéj na dziedzictwo długie wieki i lat tysiące. Rzym umarł tylko cieleśnie, ale mowa jego, niby duch jego zwycięzki, przebywa między nami, jest w atmosferze naszego żywota, nim oddycha myśl nasza.

Powyżej roztoczyłem ci ducha ludu rzymskiego, teraz wspomniałem o języku jego; to już niechaj będzie dostateczném, by zgadnąć jaka jest i poezya Rzymu. Nie pisząc bynajmniéj historyi literatury, wspomnę tylko o niektórych rzymskich śpiewakach z czasu najwyższego zakwitu poezyi, i tych nawet jedynie zwierzchu i przelotnie dotykając.

Tryumwiraty mordercze już umarły, krew proskrypcyi wsiąkła w ziemię, porosły ją zioła kwieciste; August cesarzem, cicho na świecie, jak po ogniu, po morach,— pokój głęboki otulił ludzki ród. Po-

(*) Co do języka i literatury Rzymian obacz głównie dzieła pr. Bernhardy, Bähr, Herrmann, Krause: wielce godne polecenia; przypominam również tutaj powyżéj przywiedzione dziełko Małeckiego, daléj Wirgiliusza wzorowie rozbiera Wagner a Tybulla Richter T. I §. 9.

czucia przyszłości z lekka tylko zadrgały wróżbą w łonie dziejów; orły rzymskich legionów gdzieś przepadły na północy dalekiéj w mrocznych kniejach dziczy germańskich, a na południu weszła na niebo ona gwiazda wschodu i zatrzymała się nad strzechą Betleemską! August płacze straty legionów, choć nie przeczuwa wróżby, co nań woła z południa; a wieść o gwiazdzie onéj nie doszła uszu jego. Na świecie cicho, spokojnie, teraz czas się bawić i brząkać na lutni i śpiewać i pieścić się i miłostkować! A August zachęca do lutni, do piosnek jako do cacka, i pielęgnuje sztuki, i buduje marmurowe miasto na miejsce starych świątnic i domów ceglanych, poszarzanych czasem i poplamionych ludzką posoką. August niekiedy sam robi wiersze; a za przykładem z góry i cały Rzym wykształcony wierszami się pieści. Bo w stolicy świata, co morzem namiętności, szaleństw, kaprysów, dziwactw, przepychu i ogłady, krystalizuje się teraz towarzystwo wytworne, wykształcone, wybrane, bawiące się w poezyą i literaturę. Lecz nad tych elegantów, świecistych i strojnych dowcipem i smakiem, wznoszą się o głowę od nich wyżéj poeci, co na prawdę wieszcze o talencie potężnym, o zacném sercu i uczuciu czystém.

Z całego grona tych poetów wybiorę ci na pokaz trzech tylko, którzy wedle mojego zdania najtrafniéj wyobrażają całą poezyą rzymską. Wyznaję znów atoli chętnie, że i ci poeci są istni Rzymianie, ich nie porywa natchnienie o skrzydłach wichrowych, ich nie zagrzewa zachwyt od Bogów idący, w nich nie robi geniuszu potęga, wzbijająca się wiekuistą swobodą nad świat. Z tych wieszczów przemawia poezya, która

»odetchnęła wonią ziemskich owoców, i przybierając uczucia Rzymian, ich chęci i duszy pragnienia, przemawiała zrozumiałą im mową.« Ta poezya, to nie samorodne puszcze wolnéj natury, co pod tchem powiewów a urokiem rosy niebiańskiéj i promieni słonecznych wystrzeliły w chmurotyczne dęby, odziane w sploty powojów kwiecistych, w bujne zioła i mchy bogate; ta poezya— to grządki kwiatów prześlicznych, sadzonych artysty ręką, co je pieści sztucznie i pielęgnuje z miłością.

Chceszli mieć pojęcie jednem słowem o téj poezyi Augustowskich czasów, przypominam ci że pod tę epokę właśnie kochano się w Rzymie w ogrodach, które z górą tysiąc sześć set lat późniéj niby wymyślił Le Nôtre na tak wielką admiracyą hardego Ludwika XIV, iż go nawet serdecznie wycałował! słowem, wtedy szalano w Rzymie za ogrodami w szpalery strzyżone, w chodniki wymuskane i strojne w krzewy i drzewa udające kształty zwierząt lub postaci ludzkie; były w nich bukszpany wysadzane w cyfry, w imiona i t. d. Brakowało tylko przechadzających się robronów, korków czerwonych u trzewików i chłopiąt małych w jedwabnych frakach, długich kamizelkach, ze szpadą u boku.

Choć tedy poeci owocześni, jako ludzie nie na lada stopę, nie ulegali ślepo bezsmakowi swojego wieku, przecież i oni nie zdołali się w zupełności wyzwolić z pod tchu spółczesnéj im atmosfery. Ich pieśni nie są skutkiem wszechmocnéj potęgi co prze, i wre, i kipi w sercu, lecz talentu świetnego, wytwornego smaku; są to ludzie umiejący doskonale literaturę grecką, ale

nie są jéj niewolniczymi naśladowcami, bo w nich całą potęgą żyje hart rodzimy rzymskiéj ojczyzny. Ich fantazyi towarzyszy rozum, ten rozum rozsądkowy, który wszystko waży, liczy, mierzy i wiąże w ład i szyk. Z tą fantazyą łączy się wytrwałość niesłychana i pracowitość, co ich czyni dzielnymi mistrzami słowa i władźcami języka; stąd w nich najwyższe wykończenie formy. Otóż więc te poezye, jak ktoś słusznie rzekł, są »istne arcydzieła złotnicze, dokonane nieznękaną pilno»ścią, osadzone w perły i brylanty, szafiry, szmarag»dy błyszczące, wyszlifowane z mistrzowska; tu najdrobniejszy szczegół do ostatka wyrobiony.« Nie tylko jednak w téj formie zewnętrznéj okazuje się rozumowość praktyczna Rzymu, ona występuje i w dążności przeważającéj do utylitarności, a co więcéj odzywa się nawet i w istocie poetycznych obrazów. Te obrazy, jako szaty myśli, najczęściéj nie są dziełem szczęśliwéj natchnionéj chwili, ale są raczéj troskliwie dobierane do téj myśli, jakby szaty na jéj miarę zrobione; są tedy skutkiem rozwagi, reflexyi, a tak stają się allegoryami.

Po Tivoli, wśród skalnych ścian, szumów wodospadów srebrnych, powiewów lekkich, pieszczących, wśród cyprysów i gajów oliwnych, przędzie się wzdłuż przepaści dróżka chędoga, wysadzana kwiecistém krzewem; z daleka równina »Kampanii« Rzymskiéj, zalana powodzią mglistego światła; a na ostatnim rąbku widnokręgu w sreżodze różowéj rysują się lekkie kształty kopuł i wież stolicy świata. Na dróżce téj zwykle ciągnie na osiołkach, konikach grono pań i obcych ich-

mosciów,— słychać gadatliwe koncepta, i żarty i dowcipy, aż w końcu cała kawalkada, jakby na komendę, staje.— Przed nią zwaliska, sklepione sieni, otwory okien, bram, w koło gruzy, tu ówdzie ze strzelin powiewa oleander dziki i cyprys smętny. Te gruzy, prawi przewodnik, to resztki z willi, owéj lubéj zaciszy Horatiusa.

Tuż znowu przy Neapolu jest góra opoczysta; w niéj wydrążona owa ulica długa a wysoka, którą nazwali grotą Pausilipo. Nad tą grotą, na zawrótnéj wysokości, samotnéj, odosobnionéj od świata, od ludzi, jakby na napowietrznym przylądku skalnym, jest przestrzeń mała, ścianami opoki otoczona, na niéj plezą się bogate zwoje bluszczowe, i rozwiesił się kaktus pnący o purpurowych kwiatach. Tu Aloësy urosły w drzewa, figi ciemnolistne stoją nieporuszone, a długie zioła rozesłały się bogatym, miękkim kobiercem. Widać Neapol, otulony obłokiem kurzawy palącéj się w gorących słońca promieniach: wrzawa hałaśna najkrzykliwszego na świecie miasta splata się i kłóci z hukiem sąsiednich morskich błękitnych fal, a znów pod tobą w głębi głucho dudni gwar, turkot przytłumiony, ryk, krzyki, dzwonki,— to wozy, konie, kocze strojne, trzody, i tysiące pieszych ludzi, co się cisną przez pausilipską grotę. Życie dolatuje cię tutaj jedynie przytłumioném echem. Na téj samotnéj wysokości skalnéj, na téj przestrzeni drobnéj, oddzielonéj od świata, wyrósł mały wawrzyn, tuż przy nim wstęp do komory czworograniastéj, wykuty w skale. Ten wawrzyn sadził niegdyś Petrarka a odnowił go świeżo Delavigne; ta komora, jak nam prawią, jest grobem Wirgiliusa!

Horatius i Wirgilius,— imiona wdzięczne i ukochane! wszak do nich przedewszystkiem stosują się owe nasze zarysy rzymskich poetów.

Horatius, ów wielki mistrz mowy i rytmu, on pisze zwolna i rozważnie; i gładzi i struże i dłutkiem dzierga te myśli swoje, jakby figurki cudne z kości słoniowéj, sztuczne i misterne, i dodaje im złota i kamieni drogich. Znać, że te pieśni jego nie urosły od razu jakby pod rószczką czarodzieja; każda z nich jest arcydziełem mozolnéj rozwagi i pracy niezwątlonéj, a znać nawet, że różne części jéj dorabiane w różnych ustępach czasu. Horatius zna świat i ludzi, on bystrym okiem rozumu przeniknął życie do dna, i dla tego też w jego poezyi pełno maxym, sentencyj tchnących prawdą głęboką. Naucz się Horatiusa na pamięć, a znajdziesz do każdéj pory życia, do każdego wypadku w rzeczywistości, do każdéj chwili czy radośnéj, czyli smętnéj, trudnéj czyli wdzięcznéj, wiersz, co niby ustawa starodawna i uczy i radzi i karci i pociesza. Jego poezye mniéj może dogadzają młodszym sercom, ale są roskoszą istotną starości doświadczonéj, chłodnéj. Ody jego, to nie potoki wypadające wywrótną potęgą ze serca alpejskich szczytów, to ciche i spokojne strumienie, które czystym zdrojem wylewają się z duszy wytrawionéj życiem, a płyną wśród brzegów kwiecistych, strojnych ręką ludzką. One płyną z czystego serca,— Horatius był uprzejmym, ale bez podłości; on nikomu nie dworaczył, jak twierdzą niektórzy oszczercy, zawistni obcéj sławy.

Horatius pisze też i Satyry. Satyry te atoli, choć tak drwiące, burczące, są znów tak grzeczne a gładkie

i uprzejme, iż widać że to człek dobrego wychowania, światowiec genialny, który lubo uśmiechem pogani, ironią lekką ukarze, nie zrani przecież ani obrazi. Satyry Horatiusa podobne do owéj pięknéj pani, któréj dowcip lekki, gracyjny niby skrzydełka motyle, uśmieszkiem, słówkiem, spójrzeniem, ulotnym żarcikiem ogromną prawdę wypowie; lecz tak wdzięcznie się sprawi, iż zanim się spostrzeżesz, już ów dowcip zwinął skrzydełka swoje i uleciał, kędy trudno za nim pogonić.

Ale zważno—satyra to rzeczywiście rodzaj poezyi na gruncie rzymskim zrodzony; chciéj baczyć, iż satyra, jako poemat, zwraca się przeciw stanowi społeczności, co właśnie znów ma głębokie znaczenie:— bo wróży, że rzeczywistość, że ten świat obyczaju, nie odpowiada więcéj idei swojéj, że już nie jest tém, czémby być powinien, że idea a myśl żywotna, która winna być treścią społeczności, ustąpiła z niéj jako z wyrażenia i widoméj formy swojéj, że treść nie znajduje się więcéj w rzeczywistości, że jest jedynie ideałem przemieszkującym już tylko w piersiach satyryka, a że świat rzeczywisty stał się pustą, bezduszną łupiną. Satyry Horatiusa radeby sprostować, poprawić ludzi; ale nie poprawią, nie sprostują one, choć tak gładkie i wdzięczne i grzeczne; raczéj wróżą że zawistne Rzymowi potęgi już robią i pracują pod ziemią.

Horatius pisze też tę sławną »ars poetica,« co to na poły satyrą, lekką ironią na poetków-wierszokletków, a na poły poematem dydaktycznym;— niby z niechcenia rzucona estetyka poezyi. Jeżeli tedy Horatius i w odach i satyrach uczy praktycznie, na przykładzie jak pisać,

w poemacie o »sztuce poetycznéj« staje się wprost nauczycielem podającym teorye.

Spółczesnym Horatiusa a przyjacielem jego od serca jest Publius Wirgilius Maro.— Drugi człowiek zacny i szanowny.—Na świecie było cicho i spokojnie. Rzym dochodził południa swojéj wielkości; był tedy czas zaśpiewać mu dzieje jego zarania, ozłocić, ustroić kolebkę jego i umaić zmyślonemi przez poetę mitami prozaiczne początki Rzymian. Zadzwonił Wirgilius w lutni swojéj struny, uzacniając i wielbiąc ideę ludowładnego Rzymu. Zaśpiewał więc Eneidę, co jest epopeją-hymnem. Wszak on sam woła wdzięcznym wierszem: »Niechaj inni tchną życie w marmury, niech udzielają duszy śpiżowym posągom; sztuką prawdziwie rzymską jest pogrom narodów i panowanie nad światem.« Słusznie ktoś z krytyków rzekł, iż obrazy Homera są malowaniem tchnioném na przezroczach eteru, a obrazy Eneidy są mozajką lśniącą, cudną, złożoną z kosztownych i drogich kamieni. Boć w téj pieśni ślicznéj nie znajdziesz zaiste onego duchowego widzenia, co rozsuwa mgłę starych heroicznych czasów. Wirgilius patrzy na dawnych bohaterów odzianych całą gigantyczną ich potęgą;— te postaci jego ruszają się, mówią i działają jako ogładzeni Rzymianie z wytwornych czasów Augusta; to nie burza zachwytu, co unosi ducha wieszcza, to talent świetny, znakomity i studya i praca wytrwała (*).

Wirgilius pisze jeszcze Eklogi, to jest sielanki. Dziwne to goście, te sielanki, które jakby bose dziew-

(*) Ob. dzieło Bähr.

częta wiejskie chodzą po złocistych pałacach Rzymian; lecz nie wierz tym maseczkom; wszak patrz jakie małe, zgrabne ich nóżki, jakie rączki białe; one pewnie nie były u żniwa, a daremnie udają prostotę w mowie; ich wyrażenia tak dobrane, iż widać, że to salonowe wytworne damy; one dla fantazyi a kaprysiku przebrały się za wieśniaczki, by w odmiennéj postaci doświadczyć mocy swoich powabów i wdzięków, jak to czyniły owe głośne damy głośnych Ludwików francuzkich.

Jakoż wieśniaki i pasterze tych sielanek — to przebrane znakomite figury Rzymu: jest między niemi nawet i umarły już Julius Caesar, jest i sam autor: — słowem, te sielanki są po prostu allegoryami. Wykwintny Rzym nie pojmuje, jakby się zadawać można z rzeczywistymi rolnikami, bartnikami, pastuchami, a on, jak wiesz, tak lubi allegorye. Te sielanki miały jeszcze przypomnieć zbytkującym, płochym i psującym się panom świata, uczucia rzewne i żywot ich ojców pełen prostoty i poczciwego obyczaju; te pieśni sielskie są tedy źwierciadłem, w którém się miała przejrzeć społeczność i obaczyć, obok tych postaci czystych i niezepsutych, własne rysy twarzy, w karykaturę wykrzywione.

Jeżeli zaś Eklogi zlekka prostują i uczą, toć Wirgilius, śpiewając Georgiki swoje, wprost staje się nauczycielem, ale nauczycielem najmilszym w świecie. Rzecz tak się ma. August patrzał z żalem — a kto wié — może i z wewnętrznym wyrzutem sumienia na opustoszałe pola Włoch, zniszczone długoletnią wojną; namówił tedy, jak słychać, naszego wieszcza, aby zatrudnienia wiej-

skie przyodział urokiem czarodziejskim wdzięcznéj poezyi swojéj. Ba! wtedy i serca były pustkowiem, a dusze zapyrzyły się chwastem; a ty wiész, jak to zaprzyjaźnienie się z naturą, jak ta zacna praca około zagona uspakaja rozmiotane namiętności, jak ona koi rany od ludzi zadane; gdy osa ukąsi, mówią, przyłoż ziemi a ziemia pomoże na żądło. Miał słuszność bardzo on August, jeżeli mu to wszystko przez myśl przeszło.

Spiewa tedy Wirgilius o hodowaniu pszczół i drzew, o roli, o siejbie i zbiorze a śpiewa tak cudnie i lubo i słodko, że nawet niekiedy pogodzić się możesz z nie jednym szkolnym próżniaczkiem,— który, gdy mu już do żywego doskwirzy łacina, greczyzna lub matematyka, na gwałt pragnie oddać się gospodarstwu, jako rajowi ziemskiemu, kędy godziny nie biją, kędy nie ma słychu o książkach, a przepadły egzamina na wieki.

Rozum praktyczny Rzymu, upatrujący wszędzie użytku, kochał się też wielce w poezyi uczącéj, dydaktycznéj. Wszak pojąć można łatwo, iż ten rodzaj poezyi właśnie dla tego, że ma za swoją treść naukę, więc rozumową osnowę, nie jest dziełem swobodnéj fantazyi,— treść a forma nie są ściśle z sobą zlane:— ta poezya, służąc jakiemuś obcemu celowi, nie odpowiada już ściśle istocie sztuki, która właśnie ma cel sama w sobie.

Bądź jak bądź, Georgiki Wirgiliusa brzmiały też we wszystkich ustach, a przed nim i po nim dydaktyczne poemata wschodziły gęsto, niby posiane, na niwie poezyi rzymskiéj. Jeden zaśpiewał o Astronomii wierszami, drugi o ptakach, trzeci poeta udaje geologa i pisze wierszem o Etnie i powodach jéj wybuchów. Lu-

cretius nawet, ten wieszcz znakomity, zabrał się do filozofii Epikura i z téj nauki jego, która jest pewnie najjałowszą metafizyką, jaką zaznała kiedy filozofia, uczynił prześliczny poemat. Owidius pisze rodzaj kalendarza, poetycznie wywodząc święta i uroczystości Rzymian; ale mniejsza o to. Lecz, co więcéj, wystaw sobie, ten Owidius wierszami napisał cały kurs sztuki kochania! Daléj ten sam wieszcz swawolny, niedyskretny, napisał inny poemat, »Remedia amoris,« co znaczy środki, niby lekarstwo na miłość! — i napisał jeszcze jedną pieśń »Medicamina faciei,« w któréj podaje sposoby na podratowanie a podwyższenie piękności! Niechaj mi wierzą wszystkie piękne panie, że ten Owidius w tych naukach swoich, wcale nie jest bakałarzem pedanckim. On podobno nawet tak wysoko zastosował do praktyki te teorye swoje, iż August, co to przecież dość wyrozumiały na poetów, uczuł się osobiście obrażonym. Nie wiém, co iście zgrzeszył Owidius o miłującém sercu, i nikt tego nie wié i wiedzieć nie będzie; rzecz cała jakby w wodę wpadła. To tylko pewna, że się przesiedział aż do śmierci jako wygnaniec gdzieś na północy, podobno słowiańskiéj, między grubemi Getami. Przeto, wśród mrozów, biedaczysko chłodził zapały miłośne i na wieczernicach uczył gospodarzy swoich łacińskie wiersze składać.

W pieśniach Owidiusa błyszczy, świeci dowcip, humor lekki, figlarny, fantazya ciągle na zawołanie, łatwość szalona do wierszy; sypią się obrazy jakby na wyścigi; a obrazy te malowane w gorące, przepyszne barwy, zwróty nowe, niespodziane, pełne świeżego i niesłychanego wdzięku. Ale cóż z tego, gdy mi tru-

dno bliżéj rozprawiać o tych poezyach. Te amorki jego, śliczne wprawdzie pacholęta, gładkie to i dowcipne, zwinne i powabne; przecież znów takieto chłopięta swawolne i rozpustne, że podobno lepiéj nie zaczepiać ich wcale; a ten Owidius tak nieidealnie pojmuje miłość, on tak »niedyskretny« i zuchwały! Więc jakże tu pisać o tych pieśniach!—chybaby może po łacinie! Ale to znów niegrzecznie! Dajmy więc temu pokój, a powiedzmy słówko o Tybullu, który wprawdzie także rozkochanego temperamentu człek, ale przecież już inny jak Owidius.

I w Tybullu uśmiecha się miłość ziemska z niewypowiedzianą lubością i wdziękiem; lecz ta miłość jest uszlachetnioną, zidealizowaną; ona się wprawdzie na ziemi zrodziła, ale jéj wyrosły tęczowe skrzydła Psychy; stąd ona przypomina niebiankę na olimpie poczętą.— Elegie Tybulla— to nie kwiaty w szklance chowane, one nie wyciśnięte z mozgu zimną reflexyą. Dusza śpiewaka uciekła z zewnętrznego świata, bo jéj ten świat niemiły, tak zimny, pusty, bezsercy; utonęła tedy sama w sobie, własnym tajnym uczuciom dając posłuchanie. A te uczucia tak tkliwe i rzewne! tak głębokie a tak prawdziwe! Uczucia te, z razu zcicha szepcące, wzmagają się potęgą, i mówią i śpiewają, i nucą w piersiach poety; a co mu zanucą, co mu zaśpiewają, toć on pisze, a tak jawia się śliczna, dźwięczna i tkliwa elegia. Te pieśni Tybulla wyśpiewało serce po swojemu; nie znajdziesz tedy w nich rozumowego układu, artystycznego planu, ani ścisłéj jedności, bo o tém wszystkiém nie wié serce; są to słowiki, co sobie śpiewają od ucha, ale właśnie też dla tego te pieśni są tak

wdzięczne, tak urocze.—Na tych miłościach Tybulla, jakby na fiołkach młodych, drga jeszcze łezką rosa poranna.

Czyliż może być wdzięczniejsza, wyższego czarodziejstwa poezya, nad ten bukiet pieśni nazwany Sulpicia. Tutaj Tybullus mistrzem miłości— mistrzem światów żyjących w sercu niewieściém. Sulpicię słusznie nazwano Heloizą rzymską, pogańską; żary namiętne ochłonęły jéj duszę, świat cały nie ma dla niéj znaczenia; sercem jéj serca, jéj światem jest ulubieniec; ona go czci i kocha, miłuje i wielbi. Jéj miłość daleka od idealności chorowitéj, kłamanéj, ale też daleka od ziemskich ogniów nieuzacnionych głębokiém, bogatém duszy uczuciem. Poświęcenie się jéj jest bez granic a przecież bez sromu a poniżenia,— Sulpicia dumna swoją miłością. Kochanie jest jéj chwałą i tryumfem jéj wartości.

Zważ jednak,— ta Elegia jest odwróceniem się od świata, od rzeczywistości, a zwrótem duszy ku sobie! W téj poezyi przeto tkwi wróżba, że duch cofa się z rzeczywistości, ze świata zewnętrznego, że ten Rzym już nie zadawalnia, że go opuszcza duch, który już w sobie się zwinął obojętniejąc na sprawę publiczną; słowem, że treść duchowa rozstaje się z formą zewnętrzną; znać tedy, iż, jakby wąż, zcicha, niepostrzeżenie od ludzi zbliża się milczkiem przeznaczenie Rzymu.

Dość już o poetach Rzymskich; com o nich rzekł, wyświeca dostatecznie istotę fantazyi Rzymian wyłożoną powyżéj. Nie ma więc czego rozszerzać się nad ich dramaturgią, a to tém bardziéj, że ona nie wyrównywała doskonałością innym rodzajom poezyi. Wzory dramatu greckiego, takie świetne i wielkie, odbiera-

ły rzymskim autorom odwagę mierzenia się z ich geniuszem. Naśladowano tedy Greków i, o ile się dało, naciągano ich formę gwałtem do rzymskich stosunków i obyczajów. Brakło też dramatowi publiczności jednéj, wielkiéj, litéj, mającéj jedną spólną duszę. Kółko patrycyuszów ogładzone, wykształcone, ze smakiem wyrobionym na Grekach, z lekceważeniem dumném patrzało na zabawy grube i dowcipy nieokrzesane teatru, który bawił większą część mieszkańców. Co tedy było w rym ludowi, było odrazą patrycyuszom, a w czém się ci kochali, było niezrozumiałe a może jałowe i nudne dla ludu. Po co nam atoli wchodzić w dalsze a głębsze przyczyny niepowodzenia w Rzymie dramaturgii; dość przypomnieć kilka faktów:— wiész, autorowie dramatyczni pochodzili albo z cudzoziemców, albo z klassy najbiédniejszéj, albo nawet z niewolników, bo nikt sobie takiém autorstwem nie chciał ubliżyć, bo na artystów scenicznych spadała plama infamii; uważano ich sztukę za nikczemne a pogardliwe rzemiosło. Baczmy jeszcze, że komedya, chcąc się podobać ludowi, musiała mu się zapisać na służby błazeńskie a tak pozbyć się godności swojéj:— cel jéj była zabawa, to niby użytek płynący z niéj. A jaka tego upodlenia nagroda? Oto, odegrywa się komedya pełna dowcipu i żartów, lud się cieszy, chichoce i poklaskuje; wtém słychać, że przybyli skoczki i mistrzowie sztuk łamanych; lud każe przerwać komedyą i dla skoczków ustąpić aktorom!— Pod gruzami Pompei, zasypanéj przez Wezuwiusz w 79 lat po nar. Jezusa Chrystusa, znaleziono też bilet wstępny do teatru; znać z niego, że miano grać właśnie wtedy jedną z komedyi Plauta. Gdy atoli ten czło-

wiek z tak świetnym talentem kwitnął na 200 lat przed Erą naszą, widać tedy już że najmniéj przez lat 280 był ulubionym komikiem rzymskiego ludu, choć trudno wątpić, że nierównie jeszcze dłużéj sztuki jego napełniały teatralne ławy. Otóż ten Plautus wtedy, gdy talent jego okrył go już był sławą, gdy imie jego chodziło już z ust do ust, zapadł właśnie dla teatru w długi, oddany był przeto wierzycielom jako niewolnik i zmuszony był pracować za parobka w młynie. Nie popłacały też na scenie docinki i żarty strzelające tu lub ówdzie. Naevius żartobliwy swój humor odpokutował w więzieniu, a późniéj na wygnaniu. Tragedya jeszcze mniéj była narodowa, mniéj świetna; kluła się jak mogła niby roślinka exotyczna, w donniczce na oknie chowana.

Widzisz tedy— i z rozwoju ducha Rzymian, i z historyi, i ze składu społeczności im właściwéj—rodzaj ich fantazyi. To rozumowanie nasze potwierdza sama sztuka i poezya rzymska; wszędzie spostrzegłeś, iż cechą téj fantazyi jest allegorya, utylitarność, idea Rzymu, a przedewszystkiém brak ścisłego zlania treści i formy. Raz już powyżej rzekłem iż Romie saméj brakuje téj ścisłéj jedności formy i treści; formą jest państwo rzymskie, a treścią duch Rzymian. Lecz idea ziemska, doczesna, nie była zdolną, by w sobie pomieścić całą treść ducha człowieka, zatém poszło, że śluby między duchem jako treścią, a Romą jako formą, nie były ścisłe, że się ta jedność ich rozwiodła, bo była gwałtowną. Ten zaród śmierci, który w przykładach powyższych, wziętych z epoki najświetniejszéj Rzymu, odzywał się dopiéro lekkim proroczym szeptem,

dawał znać o sobie coraz potężniéj, głośniéj, aż w końcu zagrzmiał wołaniem ostatecznego sądu nad konającym Rzymem.

Satyra, co niegdyś tak uprzejma z uśmiechem żartobliwym przyganiała wadom, staje się w ustach Persiusa i Juwenala ponurą, groźną, żółcią palącą, bo rzeczywistość zewnętrzna, wykrzywiona w poczwarną maszkarę, jest coraz mniéj tém, czémby być winna wedle prawdy swojéj; między tą formą zewnętrzną a treścią coraz okropniejsza roztwiera się przepaść. Rzym psuje własny język swój, bo on stracił sumienie siebie, sam siebie zdradza i zapoznaje; on nie umiejąc własnéj wewnętrznéj istoty swojéj, nie umié już odziać jéj ciałem a formą swojéj mowy.

Zerwała się tedy harmonia między duchem a rzeczywistością zewnętrzną. Człowiek nie zdołał już powiązać tych dwóch światów. Rzeczywistość jest teraz w Rzymie bezduchową łupiną; a duch już nie ma w sobie rzeczywistéj treści. Więc człowiek albo porzuca z pogardą ten świat, zamyka się w sobie i dla siebie wymyśla harde teorye, osobną treść, nie będącą w żadnym związku ze światem rzeczywistym, którym pogardza, dla którego już nie ma współczucia, a tak czyni się niezawisłym w sobie, otula się płaszczem dumy swojéj, słowem staje się filozofem stoickim. Albo też, odwrótnie, nie mogąc wytrzymać otchłani próżnéj własnego ducha, rzuca się w objęcie rzeczywistości zewnętrznéj, którą dla niego jest teraz sama natura zmysłowa; rzuca się zatém w roskosze cielesne, a szukając zapomnienia siebie, w chuci bezdennéj, zmysłowéj chce utopić istotę duchową swoją, — i to nazywa filozofią

epikurejską. Albo nakoniec Rzymianin teraz w nic nie wierzy, niczemu nie ufa, rozpacza o wszystkiém, o sobie, o prawdzie, o rozumie, a tak sam staje się uosobioném nicestwem, słowem oddaje się sceptycyzmowi— onéj filozofii rozpaczy. Te trzy filozofii rodzaje: bo Stoicyzm, Epikureizm i Sceptycyzm, które u Greków były tylko nauką, systematem filozoficznym, teoryą, w Rzymie stały się straszliwą, okropną praktyką.

Świat stał się cmentarzem, kruchtą psujących się zwłok, i psuło się przez stólecia to ciało umarłéj potęgi. Ród ludzki wzywał ratunku, anioł stróż dziejów świata wołał zbawienia. A z nieba szedł głos przez świat, przez ludy i przyszłość: »wy wszyscy, co pracujecie, przyjdźcie do mnie a ja was pocieszę!... a ja zostanę z wami aż do skończenia światów!«

Gdy w złocistym Rzymie szał roskoszy, boleści straszliwe, krzyki namiętności rozźwierzęconéj i rozpacz hulają w dzikie zapusty; — pod ziemią, stuka i puka przyszłość.— Pod ziemią, pod Rzymem, w głębiach wyłomów kamieni modlą się, i płaczą, i radują się i cierpią,—to chrześcijanie, robotniki i czeladź Boża; z głębin tych katakomb ciemnych wyrośnie zasiew niebiański.

Na szerokich, niezmierzonych Azyi rozłogach, na przestrzeniach, co toczą się do ostatniego Wschodu, kędy słońce wstępuje na świat, szum w powietrzu, szelest, brzęk, niby w pasiece ludzkiéj, gdy się wyroić mają mieszkańce milionowe. To szczepy, to ludy i rody, nieprzebrane tłumy, one mają porzucić błonia nieprzebyte i stepy niemające granic i puścić się wędrówką na Zachód im nieznany;—ich prze siła niewidoma, opatrzna, mądrość żyjąca w dziejach ludzkich;

ta mądrość, niby matka pszczelna, wiedzie ich przeczuciem w nieznajome świata strony, jak wiedzie stada ptaków wędrownych przez morza, przez kraje, do nowéj siedziby. I ich starodawne dzieje umarły, przebrzmiała przeszłość pradziadowa, bo na świat woła przyszłości duch.— Są te szczepy azyatyckie, germańskie, słowiańskie; one idą na odrodzenie świata.

Dreszczem przeczucia zadrgały serca rodów nieznanych Rzymowi, serca ludów na Wschodzie zapadłym, na stepach bez granic, i serca ludów na Północy aż na onych skałach morskich, na górach mgłą odzianych. Ossyan śpiewa pieśń z dawnych lat, z lat, które przeszły dawno, pieśń o dziejach pradziadowych, które skonały dawno. I śpiewa bard samotny, jeden, tęskny, na skalistym brzegu, śpiewa o bohaterach, które ustąpiły w kraj nieznany, i płyną w postaciach mglistych, rozwiewnych. I śpiewa Bard. »Lube są pieśni dźwięki! Słuchaj pieśni moich, słuchaj ich samotny mężu, co dumasz na skale mgłą odzianéj! Ty, coś na obcéj ziemi zrodzon, chciéj posłuchać pieśni moich! Rozbudziła się dusza we mnie i pełna jest treści upłynionych dawno czasów; wróciła mi się radość młodych moich lat.« I śpiewa bard, i słuchają pieśni jego w koło pagory zielone a pieśni jego słuchają rozsypiska starych grodów, i zioła, co porosły stary tron, i słucha ich tarcza, w któréj się lęgnie puszczyk. Ale mąż samotny na skale milczał i dumał. On na obcéj ziemi zrodzon, on w kraje mglistych rozwiewnych postaci, on w kraje bardów, w ojczyznę Fingala przyniósł wiarę zbawienia, on w Chrystusie wychrzczony, on nowego świata wysłannikiem.



LIST XXV.

Żydzi.

Przegląd ludów mieszkających nad morzem Śródziemném.— Palestyna.— Powołanie ludu Hebrajskiego.— Architektura — Przybytek.— Kościoł Salomona i dzieje jego.— Brama tryumfalna Tytusa w Rzymie.— Język hebrajski.— Pieśni święte.— Dzieje Hiobowe.— Pieśń Mojżesza dziękczynienia.— Póżniejsze czasy.— Muzyka hebrajska.— Psalmy.— Kaplica Syxtyńska w Rzymie.

Ucichło, oniemiało dziś na forum dziejowładnéj Romy; jéj mównicę przywaliły rozsypiska świątyń dawnych bogów, bramy jéj tryumfów porosły w kwiaty i zioła, jakby wieniec śmiertelny. Dziś samotno, milcząco na forum rzymskiém. Tu nie zalatują gwary dzienne życia, tu nigdy wrzawa drobnych ludzkich kłopotów nie znieważa téj ciszy świętéj.

Gdy się zmruży słońce, gdy zaśnie dzień i uśpi się cała w koło natura, wtedy historya chodzi wśród tych ruin i duma nad ludami i wiekami przyszłości, które jeszcze nie zrodzone spoczywają zwinięte w wieczności łonie. Wśród nocy milczącéj duma historya na rzymskiém forum. A od Śródziemnego morza, co sąsiaduje z Rzymem, śpieszą duchy onych ludów, co na pobrzeżach jego napracowały się w służbie dziejów świata. Boć te wody Śródziemne śpiewały falami pieśni swo-

jéj tym ludom, gdy one, niby niemowlę w kolebce, nie marzyły jeszcze o wielkości i potędze światomożnéj, która na nie w życiu z kolei czekała. Te wody rozniosły późniéj wieści o ich sławie, gdy z kolei stawały na reju państwom prowadząc je na odrobienie onéj pańszczyzny, którą im przeznaczył Pan. Te same wody Śródziemne śpiewały tym ludom pieśni grobowe na cześć ich skonu i twardego żywota.

I śpieszą duchy tych ludów z brzegów Azyi, Afryki i Europy na rzymskie forum, kędy im wszystkim historya daje posłuchanie.

Patrz, to duch starego Egiptu! On przez życie całe zanurzony w przepaściach własnego wnętrza swojego i badał i dumał, i mocował się, by rozwiązać zagadkę świata i zagadkę ducha ludzkiego. I podsłuchiwał Memnony swoje, gdy tęskném wołaniem witały słońce wschodzące, i czekał azali Sfinx nie roztworzy ust kamiennych, prawiąc o tajemnicy śmierci. Ale Egipt nie zdołał zrozumieć Memnonów wołania, nie przemówiły do niego Sfinxy i milczały też własne serca przepaści; i umarł zacny pracownik-lud. Może on dopiéro przed śmiercią, może jakby w błyskawiczném jasnowidzeniu, w chwili skonania ujrzał rozdartą oponę, co mu przez życie całe zakrywała prawdę? Obok niego występuje inny duch, jego niegdyś sąsiad od Zachodu, co za żywota swojego na ziemi dźwignął miasto morzowładne; on z raną śmiertelną na skroniach, historya uwieńczyła blade, krwawe czoło jego laurem, co świeci nocą niby aureola święta. Jest to duch Kartaginy. On przez życie całe frymarczył i kupczył i rozsyłał okręty swoje po wszech świata krańcach i dufał skarbom i złotu, i nie-

mi kupował obrońców zdradnych i półki najemne; a przecież ten duch wyświecił się zacnością, bo zacnie stanął do walki rzymskim legionom, i gdy mu przyszło bronić krwią i śmiertelnym bojem ognisk swoich, i bogów swoich, i gdy mu wypadło już umrzeć, umarł poczciwie, na tarczy, na wzór późnym pokoleniom. Gruzy palącéj się Kartaginy pogrzebały kilkakroć sto tysięcy jéj synów, ale też te płomienie palącéj się Kartaginy zaświeciły w serce rzymskiego wodza rozjaśniając mu straszliwe wróżby o własnéj jego ojczyznie. A jeszcze daléj—ku zachodowi téj królowéj mórz, po dziś dzień plątają się po świecie zwłoki żywe maurytańskiego ludu, którego duch już staje przed sądem historyi. Duch ten, póki żył na ziemi, świetności i cudów pełen, śpiewał miłość i cześć dla kobiet, i wypiastował uczucia rycerskie i budował Alhambry czarodziejskie, i nauczył się greckiéj mądrości, i strzegł pilnie ołtarzy nauk w onych mrocznych wiekach, gdy inne ludy nie wyleniły jeszcze myśli swojéj z pierwotnéj surowizny a barbarzyństwa. Runęła Granada, a duch Maurów przeniósł się do dziedziny historyi, ustępując pirenejskiego półwyspu dwóm nowym ludom, z których jeden stanął Europie na czele, prowadząc ją przez dalekie, bajeczne oceany do mitycznego świata Indów, a drugi zdobył dla cywilizacyi świata nową świata połowę, a jaśniał chwałą ten naród i promienił wielkiemi czynami, aż razem z onym ponurym okropnéj pamięci Filipem był pogrzebiony w ciemnych sklepach grobowych Eskurialu.

Niedaleko od tych brzegów Hiszpanii, wody Rodanu niosą do morza wieść o trudach nowożytnych ludów, o ich dziejach, co rozpoczęte długo przed lat tysiącem,

przecież jeszcze są tak młode i świéże, iż się zdaje, że te wszystkie europejskie ludy przebyły dopiéro jeden zupełny okres swojego żywota; — takto one są głośnym dowodem, że wiara chrześcijańska nadaje pierwiastek ciągłego odrodzenia i wyzdrowienia z niemocy narodom, co się wychrzciły wiekuistością na zacne sługi Zbawiciela.

I znów Italia wiecznie młoda, wiecznie roskoszy pełna ziemia, ona trzech części świata sąsiadą, ona po dwakroć w tym samym Rzymie dźwignęła stolicę a ognisko wszech dziejów. Niegdyś Rzym mistrzował światu żelaznym orężem swoich legionów. Późniéj wzniósł wielki ołtarz wiary, co świeci na świat, i zacną gościną przyjął u siebie dzieła sztuki staréj, promieniejące pięknością, i przyjął je gościną i przytulił do serca, choć te dzieła—to bogi ludów, co nie przeczuwały jeszcze wiary, która miała przyjść na świat, ludzkości na zbawienie. I stanął duch Italii na rzymskiém forum przed historyą, i stanął w uroczéj postaci, jako jeden z najszlachetniejszych robótników około uzacnienia człowieczego rodzaju; duch ukoronowany koroną wysadzaną, jako klejnotami, gorejącemi gwiazdami, a temi gwiazdami korony jego: to Decius i Fabricius, to Scipio, Cezar i Pompejus, Grzegorz W., Dante i Petrarka, Kolumb, Leonard da Vinci, Michał Anioł i Galileus i Pergolese i Palestrina, i wiele, wiele jeszcze świeci gwiazd na koronie Italii; one świeciły za życia i świecą po za grobem światłem przewodniém państwom i ludom. Więc też stworzenia Mądrość, budując twierdze lądów Europy, dodała Italii w posagu grono wysp, których imię grzmi głośno w historyi starego i nowego świata, bo dodała

jéj Sycylią i Sardynią, dodała jéj jeszcze Korsykę i Elbę!

Gdy Italia patrzała się w świat széroki i słuchała, co jéj szeptały Śródziemnego morza fale, oto, do jéj południa, do jéj Sycylii, zawitali goście, co jéj przynieśli hołdem i kochaniem dary piękności, a przybyli z krainy niezbyt dalekiéj, bo z owéj ojczyzny najwyższéj artystycznéj fantazyi, kędy śpiewali wieszcze natchnione chwałę wielkich bogów na Olimpie, wielkich ludzi na ziemi, kędy stały świątnice wesołe, strojne w uroki budowania, strojne w kwiaty i wieńce wonne, a kędy postaci marmurowe bogów, wdziękiem niebiańskim oblane, przemawiają śmiertelnym ziemi mieszkańcom, że piękność na doczesnych dolinach jest zacną wysłannicą nieskończonéj prawdy, że ona ściele ścieżki, po których przyjdzie na świat wiekuistość bez opony, nie odziana już więcéj w szaty zmysłowe, zasłaniające prawdy Boże. Wszak to Hellada jest tą ojczyzną piękności wdzięcznéj, ona to zabrzmiała pieśniami, ona to uczciła się urokiem swoich świątnic, ona to piérwsza w arcydziełach marmurowych postaci ujrzała zacność człowieka i oddała nieskończoności cześć. Ta Hellada dziś sama skamieniała marmurową postacią, co niema, bezduszna z wysokiego podnóża na nas spogląda; oczy jéj bez źrenicy, postać jéj zimna, usta jéj nieme; lecz byleś miłością gorącą Pigmaliona przytulił do duszy te zimne marmury i rozciepił je rzewnością serdeczną, już te mroźne głazy ożyją, zatętnią życiem głębokiém, oczy przewidzą a usta nieme roztworzą się pieśnią i za miłość twoją zapłacą, i zaśpiewają pieśnią cudowną, harmonii pełną o wszech wielkich synach Hellady; i ożyje chwałą Leonidas, Ary-

stydes, Cymon, Perikles, Epaminondas i Homer i Sofokles, Pindar i Plato i Sokrates, i płynąć będzie z ust rzeka wielkiéj sławy. I staniesz przejęty podziwem, że ta kraina o tak szczupłych rozmiarach, o dziejach tak krótkich i przelotnych, zrodziła ten świetny orszak znakomitych ludzi, tak wielki i liczny, że Grecya odstępując ich połowę innym ludom, podniosłaby ich nieskończenie w znaczeniu, a mimo to sama byłaby jeszcze ludem najbogatszym w zacną chwałę, byłaby jeszcze pierwszą mistrzynią w uszlachetnieniu człowieka! Więc też historya wita z miłością ducha Hellady, a wita go jako wybranego i najukochańszego syna swojego.

Na północ Grecyi mieszkał lud twardy i surowy, śmiały i mężny; on wszystkie uczucia swoje, wszystkie myśli swoje zebrał w postaci młodego Alexandra, króla swojego. Alexander zwyciężył bojem żołnierskim Grecyą, a po zwycięztwie oddał się w służby jéj wierne i zacne, roznosząc dobytki jéj ducha po szerokich obszarach Azyi, siejąc język, nauki i myśli Hellady po ludach pradziadowych, gotując je do nowéj epoki dziejów, która miała zadnieć nad światem.

Na wschód od Macedonów błyszczy miasto Konstantyna i świeci w złociste kopuły, przezierając się w toniach krystalicznych morza swojego, a natura w koło, sama czarodziejka, ustroiła się cudami swojemi, co, oczyniając człowieka, wznoszą go jako hymnem w nadobłoczne wysokości, to urzekając roskoszą miękką usypiają duszę. Wszak państwo Bizantyńskie, stawszy się połowicą wschodnią dawnego rzymskiego świata, o tysiąc lat przeżyło zdobycie i zrabowanie Rzymu przez dzicz westgocką; ono więc przeszło lat tysiąc było upio-

rem na ziemi, więc zgnuśniało w sobie, spróchniało na mocy, wysilając się obłąkaniem wojen domowych, ulicznych mordów i okrucieństw szalonych. A przecież, gdy duchowi Bizantium zebrało się na skonanie, umarł bohatérem; w godzinie śmierci swojéj błysnął pamięcią starych dziejów, a szanownym bojem i krwią serdeczną zmył swoje winy, i został uczczony od dziejów, co sądzą i mierzą i przebaczają błędy, gdy one zacną śmiercią zmazane. A za Hellespontem, na południu rozwija się bożą mappą Azya Mniejsza i Jonia. Tam stała Troja i mogiła Achillesa; tu śpiewał Homer i dumał Tales i głębokiéj treści Heraklitos; tu stał Efez pyszniący się kościołem swojéj Dyany, co był cudem świata; tutaj Milet, miasto ojczyste Aspazyi. A jeszcze więcéj na południe wzdłuż morza, rzędem stanęły porty fenicyjskie, w nich krzątał się ów ludek, co śmiały i mądry, awanturniczy, handlowny i żeglowny, puszczał się gdzieś przez Gibraltar, oceanem Atlantyckim, Kategatem na Pruskie pomorza po bursztyn, i posyłał karawany w Egipt i w Indye. Między Fenicyą starą a Egiptem, który rozpoczął przegląd historyi, wcisnęła się kraina mała, drobna; jéj długość zaledwie ciągnie się na mil trzydzieści a szerokość ledwie na mil dwadzieścia; na dalekim widnokręgu budują się góry jednostajnych rysunków bez szczytów, bez wierzchołków śmiałych, a lasem cedrowym poszyte. Słuchaj—ta drobna krainka, co na poły pustynią głuchą, na poły czarodziejskim ogrodem, ona jest dla dziejów niebiańskich i ludzkich Ziemią Świętą, ziemią obiecaną; te góry, to—Liban, ta kraina drobna, to—Palestyna! Ta ziemia mała — ona była od ludzi poniżoną, zdeptaną, ona była zoraną od światoburzców Azyi, ona

była karmiona łzami, a przecież Bóg ją uzacnił i uczynił odkupienia ołtarzem. Nad wioską téj ziemi zatrzymała się gwiazda przewodnia, co sama jedna świeciła ludzkiéj historyi, gdy wszystkie gwiazdy pogasły na niebie, a nadzieje wszelkie już zagasły na świecie i w sercu ludzkości, gdy noc padła na świat i duszę człowieka. Wśród nocy samotnéj, ciemnéj, gwiazda wieczności błysnęła krzyżem na Golgocie—i Bóg umierał.

Tysiąc lat z górą przeminęło od pojawienia się gwiazdy-zwiastuny w ciemnéj nocy, gdy Europa wyroiła z siebie krzyżowców miliony, co, parte tajemniczą potęgą, skrapiały krwią serdeczną stopy krzyża; a nowe i nowe zastępy śpieszyły tłumnie, by umrzeć na ziemi uświęconéj śmiercią i zmartwychwstaniem Boga. Ludy różnéj mowy, różnego rodu, u stóp krzyża umierały we krwi spólnéj, uznając się braćmi w duchu. Ale łzy i krew, boleści i śmierć, nie idą światu w zapomnienie. Europa utraciła grób święty, ledwie co zdobyty, ale sama zmartwychwstała z ciemnéj nocy duchowéj; uznał człowiek człowieka bratem w Zbawicielu, a duch ludzki, na krzyżu rozpięty, uwolniony od katuszy i poniżenia, uczczony był jako wysłannik pański na doczesności doliny!

Wszak to w téj drobnéj krainie, kędy stanęło Betleem a Golgota, zachowana była światu od wieków wieków wiara w Boga jedynego, co jest Stworzycielem Nieba i Ziemi, a który duchem jest. Zachowana jest wiara, która była objawiona ludzkości przy stworzeniu jéj, a która poszła w zapomnienie gdy człowiek odstał od Boga i własnéj, wiekuistéj istoty swojéj, oddając się złowrogiéj zmysłów potędze.

Lud hebrajski sam jeden uniósł przez wieki w sercu

wiernie cześć prawdziwemu Bogu, aż nie przyszła na świat zbawienia chwila; więc wyrzekł się obrazów i posągów, chroniąc się od demonów bałwochwalstwa, które oczyniły inne stare narody w koło. Tak w pierwiastkach swoich i zawiązku lud ten zerwał z całym Wschodem; Wschód starożytny umarł na wiarę hebrajską, jak sam hebrajski lud umarł na wiarę Zbawiciela. On przechował wiarę w jedynego Boga; z jego łona narodziła się nowa era, nowy czas nastał w dziejach bożych i ludzkich; wtedy lud hebrajski spadł z żywego drzewa historyi, jak, gdy ziarno dojrzeje, łupina pęka i spada na ziemię idąc wiatrom na pomiotło. Stąd lud ten jest ogniwem między Wschodem a Zachodem, między staroczesną a nowożytną historyą. I dla tego też dopiéro w tym liście o nim mówić nam przystało.

Co więcéj — gdy lud ten z rozkazu Bożego wyrzekł się obrazów i posągów, wszelkiego uzmysłowienia swojéj wiary, gdy wiernie stał przy prawdzie, którą miał objawioną sobie, stąd też rozprawiając o nim nie możemy o nim mówić trybem zwykle przez nas zachowanym, gdy rozbieramy istotę duchową innych ludów. Obok prawdy objawionéj temu ludowi, obok ogromnego jéj znaczenia, sztuka piękna i wszystko, co połączone z pierwiastkiem zmysłowym, traciło na wadze, malało i nikło.

Widać przeto, że nam wolno będzie rzecz całą o tym ludzie zamknąć w szczupłych rozmiarach.

Gdy roztworzysz Pismo Ś. starego zakonu, zawieje cię jakby dech od trzech tysięcy lat. W nim, jakby w testamencie dziejów Bożych na ziemi, słyszysz i dawne

mowy, i obyczaj pomarłych wieków, i sztuki starowieczne pomnikiem złożone.

Jak człowiek w biedach i trudach ziemskich ściera z siebie niedostatki duchowe i wśród ciężkiéj pielgrzymki przez życie myślą nawraca ku Bogu, ufając, że przecież znajdzie miejsce, kędyby już mógł spocząć po twardym trudzie i rozpatrzyć się w téj wędrówce przebieżonéj długą męką i znojem, tak i ten lud hebrajski ciągnie z Egiptu przez pustynię jałową. W koło głucho, samotno i ciężko mu na sercu, a wśród boleści, biedy i mozołu wyswabadza się z obłędu i ułomności duchowéj; starcy zwolna wymierają po pustkowiach, jako wyobraźniki dawnéj winy: ale lud cały wiedzie przecież ta otucha, że się dosłuży obiecanéj Ziemi Świętéj, kędy znajdą żyjący strzechę spokojną, a umarli grób spokojny wśród swoich. A on myślą i sercem zwrócił się ku Bogu i na rozkazanie Jehowy buduje przybytek Pański.

W tym przybytku nie upatruj sztuki architektonicznéj, ale raczéj ofiary, którą uczynił lud cały «sercem dobrowolném jako podarek uczyniony Panu» (ks. Mojżeszowe II, 25. 2.) a żydzi «uczynili Bogu świątnicę, aby mieszkał w pośrodku ich» (l. c. 8). Nie było w téj świątnicy wizerunków bożych, ale sam Bóg w niéj zamieszkał.

Przybytek, jak żywot ówczesny całego ludu, był wędrownym namiotem, który łacno było rozebrać i złożyć wedle potrzeby: deski i kobierce, otóż główny wątek tego przybytku; skromnych też był wymiarów (długość 30 łokci, wys. i szer. po 10 łokci). Lecz gdy w nim nie tak chodziło o sztukę samą, jak raczéj o ofiary złożone podarem, więc deski były powleczone bla-

chami złotemi (l. c. 26, 29), a stały na «podstawkach ze szczerego srebra.» Były też «bogate opony umocowane na pętlicach a haczykach złotych» (l. c.)

Cały przybytek stał umocowany na słupach srebrem powleczonych. Rozdzielony był na świątnicę i na świątnicę przenajświętszą, przez «zasłony z hyacyntu i szkarłatu i z karmazynu dwakroć farbowanego i z białego jedwabiu kręconego, a na téj zasłonie robotą haftarską uczynione były Cherubiny» (l. c. 31 do 33). W przenajświętszéj stolicy stała skrzynia czyli arka, w któréj «było złożone świadectwo Pańskie;» opis téj arki w szczegółach równie znajdujemy w Piśmie Ś.: była ona z drzewa akacyowego, lecz wewnątrz i zewnątrz powleczona złotem. Ona przykryta błagalnią (wiekiem) szczerozłotą: na niéj ze złota wyrabiane Cherubiny, osłaniające ją skrzydłami. I rzekł Pan do Mojżesza: «tam (w przenajświętszéj świątnicy) z tobą się schodzić będę «i z tobą rozmawiać z ubłagalni, z pośrodka dwu Che«rubów, którzy będą nad skrzynią świadectwa» (l. c. 22). I jeszcze uczyniono stół akacyowy powleczony złotem czystém z koroną złotą w koło; na ten stół kładziono chleby pokładne. Wyrobiono też świecznik o siedmiu konarach rozwijających się kształtem roślinnym w «orzechy migdałowe i kwiaty;» daléj ołtarz miedzią powleczony i inne sprzęty i naczynia święte unaoczniają sztukę owych starych wieków. W koło przybytku szerzył się dziedziniec utworzony ze słupów, na których zawieszano kobierce i makaty kosztowne.

Słowem—w tym przybytku lud składał się ze swojéj chudoby; stawiając namiot pełen przepychu, czynił ofiary z rzeczy doczesnych, materyalnych na cześć i

chwałę Jehowie, najwyższemu Panu, a tak sam dał świadectwo sobie, że w obec Stworzyciela, co odziany nieskończoności majestatem, przedmioty tuteczne, skończone nie mają wagi, że nikną i ulatniają się, gdy je owionie nieskończoności duch. Bo światy i słońca wszystkie i stólecia są jedynie rąbkiem jego szaty, a same niebiosa gwiazdziste są podnóżem jego tronu, na którym kładzie stopy swoje.

Wiele lat upłynęło. Lud hebrajski zdobył sobie obiecaną ziemię, rozgospodarzył się na puściznie ojców swoich. Niewola egipska, co była twardą szkołą, stała się już jedynie echem, podaniem z dawnych lat i dawnego poniżenia. Wtedy po Dawidzie, owym królu-pasterzu, zasiadł na stolicy izraelskiéj Salomon, syn jego. On sławą swoją olśnił Wschód cały, mądrość jego poszła w przysłowie, a azyatyckie ludy swoje baje czarodziejskie wplotły w pamięć jego potęgi, mądrości i chwały, niby nić złotą, co choć się tu i ówdzie ukryje, znowu wystąpi pełnym blaskiem świecąc i błyszcząc. Wszak Talmud i ludy islamickie usnuły sobie o królu Salomonie mity a wieści tak czarodziejskie, iżbyś rzekł, jakoby wielki ten człowiek był iście bohatérem powiastek z tysiąca nocy i jednéj! Cudotworność a dziwy otaczają jego postać obłokiem magii fantastycznéj. Tak Talmud prawi o pierścieniu, co go Salomon nosił na palcu; na sygnecie tym wyrznięte było tajemnicze słowo, którego już nikt wymówić nie zdołał. Tym pierścieniem Salomon stawał się świata panem; gdy go na palcu obrócił, z dala i z blizka, z dołu i góry śpieszyły zastępy nieprzeliczonych demonów, by słuchać rozkazania króla Izraela; gdy Salomon podniósł rękę w górę, wła-

dał falom wodnym, i płomieniom ognistym, i wichrom i deszczom i roślinom i zwierzętom, i rozumiał głosy natury i rozumiał mowę ptasząt. Pieczęci przyłożonéj tym sygnetem już żadna ręka odjąć nie zdołała.

Wszak nawet i przez całe średnie wieki postać wielkiego króla wplatała się w powieści cudotworne, a sygnet jego nabierał symbolicznego znaczenia w naukach tajemniczych i ukrytych.

Niema się też czému dziwić rozgłosowi téj wielkiéj sławy Salomona po całym mu spółczesnym świecie, po wszystkich ludach i po wszystkie następne wieki. Pełen mądrości politycznéj, bystrém, przenikliwém okiem odgadł potrzeby swojego ludu, przejrzał wskróś stosunki swoje do mocarstw ościennych. On otworzył morze handlowne izraelskiemu ludowi, a zhołdował narody obce berłu swojemu. Więc państwo jego rozpromieniło się blaskiem niesłychanym, więc lud oddał mu cześć najwyższego podziwienia, a tłumy cudzoziemców dążyły do Jerozolimy, by obaczyć wielkiego człowieka, i napatrzyć się wystawie i świetności jego dworu, i téj stolicy jego jaśniejącéj przepychem, który nawet lśnił oczy nawykłe do wystawności pełnéj zbytku mocarzy wschodnich. Wszak przyjechała i królowa Saba z dalekiéj Etiopii «usłyszawszy sławę o Salomonie i imieniu pańskiém, aby go doświadczyła we wróżbach» (Król. III, 10, 1, i Kroniki II, 9). Gdy «królowa obaczyła wszystkie przepychy i wspaniałości jego majestatu, zdumiałą się bardzo i mówiła do niego o wszystkiém, co miała na sercu i rzekła do króla: «Prawdziwać to mowa, którąm »słyszała w ziemi swojéj o sprawach twoich i mądro»ści twojéj. Alem nie wierzyła powieściom onym, ażem

»sama przyjechawszy oglądała to oczyma swemi. Ale »mi tego nie powiedziano i połowy. Większa jest mą»drość i dobroć twoja, niżeli sława, którąm słyszała» (l. c.) Potém czytamy dokładne rozwody nad wzajemnemi podarami, któremi się uczcili król i królowa obcéj ziemi.

Wśród takowéj epoki gorejącéj świetnością, stanął ów głośnéj sławy kościoł Salomonowy w Jeruzalem, na przyczołach góry Moria, lat tysiąc przed onym czasem gdy Boży-Syn rzekł do Apostoła swojego, że jest opoką na któréj zbuduję Kościół mój.

Wszak kościoł Salomonowy jest zagadnieniem trudném do rozwiązania dla historyi sztuki, bo mimo opisów szczegółowych, które o nim znajdujemy w Piśmie Świętém, mimo najświeższych badań i prac około przedmiotu tak wielkiéj wagi, trudno nam uczynić sobie dokładny obraz tego budowania, co był cudem dla spółczesnych, a promienił najwyższém bogactwem.

Same już przygotowania do téj budowli były ogromne. Salomon posyła do króla Tyrskiego, aby mu pozwolił drzewa z lasów cedrowych Libanu; poczém Salomon wybiera »robotniki ze wszystkiego Izraela, a było wy»branych trzydzieści tysięcy mężów, które słał do Li»banu do dziesięciu tysięcy na każdy miesiąc na prze»miany; i po miesiącu mieszkali na Libanie, a po dwa »miesiące w domu swym. Miał też król Salomon siedm»dziesiąt tysięcy tych, którzy nosili ciężary, a ośmdzie»siąt tysięcy tych, którzy rąbali na górze (na Libanie).« A oprócz tych robotników było »przedniejszych urzędników trzy tysiące trzysta« którzy byli przełożeni nad

ludem odprawującym robotę.« (Król. III, 5. i kron. II, 2).

Praca ta trwała lat siedm.

Widać z opisu, że kościół Salomona był zbudowany wedle wzoru pierwotnego przybytku, choć z przepychem a okazałością odpowiednią potędze ówczesnéj Żydów.

Dwa wielkie dziedzińce otaczały do koła kościół. Sciany ich składały się z trzech warstw ciosowych a jednéj bęlek cedrowych. Środkowy dziedziniec przeznaczony dla kapłanów, zewnętrzny dla ludu. Świątynia sama była prostokątem, a było jéj wzdłuż na łokci 60, a na 20 łokci wszerz, wznosiła się też na wzwyż na 30 łokci. Widzisz że wielkość całego budynku jest arcyskromna, gdy ją zechcesz porównać z ogromem budowli starego Egiptu lub z tumami chrześcijańskich ludów. Ten budynek był w środku w poprzek rozdzielony przepierzeniem (?) na dwie części, z których piérwsza stanowiła właściwy kościół (Cella), a druga była świątnicą przenajświętszą, czyli Sanctissimum, w którém umieszczono arkę. Gdy zaś właściwy kościół (cella) miał długości 40 łokci, więc na świątnicę przenajświętszą przypadało 20 łokci; długość tedy kościoła była 40 łokci, szerokość 20, a wysokość jak się rzekło 30 łokci. Sanctissimum zaś wedle tego, co powiedziałem, 20 łokci wszerz i wzdłuż, a zarazem 20 łok. wysokości; było tedy doskonałym sześcianem. Lecz tutaj spotykamy wątpliwość główną, bo pytanie, jeżeli wysokość całéj świątyni dochodziła 30 łokci a Sanctissimum jedynie do 20 łokci, cóż się działo z 10 łokciami wysokości, które jeszcze zbywały? Może tam była świetlica na chowanie sprzętów świętych, może była otwarta od góry. To py-

tanie nierozwiązane dostatecznie. Ale jest jeszcze druga wątpliwość. Na wstępie do kościoła był przedsionek, którego było wzdłuż 10 łokci, ale wysokość jego niepewna, choć wiemy, że był nierównie wyższym niż świątynia sama. Do tylnéj ściany świątnicy i do dwóch jéj boków dłuższych przytykały budynki na trzy piętra, w których były komory, zapewne skarbce i schowania dla sprzętów i szat do nabożeństwa służących; te budynki, przylegające do ścian kościelnych, były jedynie na 10 łokci szerokie. Dach, jak się domyślają, był płaski jak to bywa na całym Wschodzie.

Trudniéj nierównie wystawić sobie zewnętrzny kształt całego kościoła; wiadomo tylko, że jego ściany były pionowe a nie ukośne, jak to bywa w Egipcię, i że nie był otoczony kolumnami w koło. Pismo Ste wspomina, że na wstępie do przysionku stały dwie kolumny, z których jedna nazwana jest Boas, to jest moc Boża, a druga Jachin czyli utwierdzenie w wierze. Nie wiemy przecież, czyli te kolumny były rzeczywiście podporami, czyli stały wolno, mając tylko znaczenie symboliczne, cobym uważał za podobniejsze do prawdy; bo, o ile się zdaje, one dopiéro po wybudowaniu świątnicy ulane były przez Chyrama z Tyru. Kolumny te były ze śpiżu ulane, trzon ich miał wysokości 18 łokci, krom tego głowica była bardzo potężna, bo na 5 łokci wysoka. Każda była ozdobiona w lilie, otoczona dwóma rzędami jabłek granatowych i ustrojona w siatki robotą dzianą i w sznury nakształt łańcuchów (król III. 7. 17 i następne, daléj 41 i następ. jeszcze kroniki II. 3). Rzeczą jest wielce niepewną, jako rozumieć mamy te sznury; niektórzy twierdzą, i zdaję

się, że słusznie, że te sznury niby przyczepione były do głowic kolumn i otaczały w koło świątnicę (*).

Widzimy tedy dostatecznie, iż świątynia Salomona mniéj była dziełem sztuki architektonicznéj w ścisłém znaczeniu, jak raczéj, podobnie jak ów piérwszy przybytek, kosztowną ofiarą złożoną Bogu przez lud, który się błogosławieństwem Jego wzmógł i dźwignął z poniżenia w chwałę i potęgę. Że ten kościół nie był, ściśle mówiąc, dziełem sztuki, znać z tego, że osnowa najwłaściwsza dla prawdziwéj architektury, bo ciosy, mniéj były w poważaniu u żydów. Wszak mury składały się na przemiany z trzech warstw ciosów, z jednéj warstwy belek cedrowych, a opis wyraźnie wspomina, że nigdzie nie było widać kamieni. (król III 6. 18).

Bogactwa i kosztowność budowy można sobie jedynie wytłómaczyć ze świetności panowania Salomona, który i wytknął był drogi handlowe żydom, dopiéro co pasterskim, i zgromił ludy obce, zmuszając je do płacenia haraczu. Zadumienie pełne podziwu uderzało zapewne przychodnia, gdy wstąpił poza progi téj świątnicy Bożéj. Gdzieś spójrzał, świeciło złoto całym blaskiem swojéj okazałości; bo cały strop, wszystkie ściany do koła, nawet podłoga, wyłożone były blachą złotą! Kędyś okiem potoczył: i z góry i z dołu i z boków, jakoby w źwierciadłach złocistych odbijały się jasności gorejących szczerozłotych świeczników; a było ich

(*) P. Selvatico w Historyi estetyczno-krytycznéj sztuki 1852 I. str. 139 widzi w tych łańcuchach, obwodzących kościół w koło, zwyczaj, który zwykle zachowywany bywa u niektórych kościołów włoskich, niby łańcuchy jakie widzimy około naszego kościoła Maryackiego, i innych świątnic Krakowskich.— (?)

10, a każdy o siedmiu konarach, więc 70 płomieni rozświecały te bogactwa, okazałości pełne. W świątnicy stał ołtarz złocisty, i stół szczerozłoty na chleby pokładne. Ze świątnicy prowadziły do Sanctissimum drzwi z drzewa oliwnego, a na tym wchodzie pozawieszano kobierce drogie i złote łańcuchy, na znak nieprzystępności i świętości miejsca. Samemu nawet arcykapłanowi raz tylko do roku wolno było wstąpić w tę przenajświętszą świątnicę. W niéj stała arka przymierza, a było jéj wzdłuż 2½ łokcia, a 1½ wszerz i tyleż wzwyż, a była z drzewa akacyowego powleczonego złotem, a wieko zaś było ze szczerego złota; obok arki stały dwa Cherubiny (10 łok. wys.) o rozpiętych skrzydłach, które tak były wielkie, że gdy skrzydło każdego zewnętrzne końcami dotykało bocznéj ściany, skrzydło drugie, to jest, wewnętrzne, schodziło się w środku nad arką ze skrzydłem wewnętrznem drugiego Cherubina.

Tak po siedmiu latach stanął ten dom Boży gotowy; budowano go z kamienia już wyrobionego, »który przywożono, a młota, ani siekiery, ani żadnego naczynia żelaznego nie słychać było w domu, gdy budowano (król III 6. 7).«

Wystarczy nam tedy ten ogólnie i z lekka narysowany obraz kościoła Salomona. Nie będę się też już rozwodził nad innem budowaniem króla tego, choć wyznaję, że opis pałacu, który sobie wystawił, dałby wam wyobrażenie bliższe o sztuce hebrajskiego ludu, gdyż jego architektura światowa, będąc wyrazem fantazyi wolnéj i swobodnéj, wyświeciłaby nam dokładnie artystyczny jéj kierunek. Ale podania o tym pałacu są

tak niedostateczne, że z nich trudno zbudować sobie w myśli obraz wierny; z tego atoli, co o nim wiemy, zdaje się, że można upatrzyć w nim jakieś podobieństwo do perskiego budowania, choć kosztowność materyału i ozdób była przeważającym charakterem w tym pałacu Salomonowym.

Dopiéro co cztery wieki stały Salomońskie pomniki w blasku i przepychu, gdy od Babilonu zerwał się światobójca Nabuchodonozor i wziął miasto Jeruzalem, i króla oślepił, i okuł w łańcuchy, i zawiódł go do Babilonu; potém przyciągnął »Nabuzardan, Hetman żołnierski, sługa króla babilońskiego, i spalił dom pański, i dom królewski, i wszystkie domy w Jeruzalem, owe wszystkie budowania kosztowne popalił ogniem. Mury także jerozolimskie w około rozwaliło wszystko wojsko chaldejskie, które było z onym hetmanem żołnierskim.« (król IV. 25). A dawniéj za piérwszym najazdem »wszystko Jeruzalem, i wszystkie książęta, i wszystek lud rycerski zaprowadzono do Babilonu; a teraz po spaleniu i rozwaleniu Jeruzalem, ostatek ludu, który był został w mieście i zbiegi, którzy zbiegli byli do króla babilońskiego, i inne pospólstwo przeniósł Nabuzardan hetman żołnierski.« (król l. c.). Bo Pan rzekł: »podam to miasto na spustoszenie i na świstanie; każdy idący mimo zdumieje się a świstać będzie nad wszystkiemi plagami jego!—Tak stłukę ten lud i to miasto, jako gdy kto tłucze naczynie garncarskie!« (Jerem. XIX).

Wiadomo, jak to po pół wieku babilońskiéj niewoli Cyrus dozwolił Żydom powrótu do ojczyzny. Wtedy Zerubabel postanowił nowy dom Boży w Jeruzalem (około 520 pr. J. Chr.), który zaiste, jak się zdaje, był

wiernem naśladowaniem kościoła Salomonowego, lubo mniéj bogatym, z powodu mniejszéj już zamożności żydowskiego ludu. Aż dopiéro Heród, na 20 lat przed samą erą chrześcijańską, dźwignął świątnicę pełną okazałości a majestatu, co już była przesławna na wszystkie ziemie w koło. Przecież sztuka rzymska a mianowicie grecka na ówczas już przejęła sobą świat, więc też ten kościół Heroda o tyle jedynie był przypomnieniem kościoła Salomona, o ile służba Boża wymagała rozkładu części zastosowanego do siebie, ale styl i szczegóły, i duch cały artystyczny był greckim. Ta to jest świątnica, która się tak ściśle wiąże z dziejami Chrystusa Pana; jéj kolumny a stropy patrzały się na zbawienie świata, które się gotowało rodowi ludzkiemu w tych świętych przestrzeniach. Atoli te mury, uczczone obecnością Syna Bożego, nie dostały nawet stu lat, padły pod ciężkiém uderzeniem Rzymu; padło nazawsze Jeruzalem i nie podniosło się więcéj z grobu swojego. Dziś nawet niepewne miejsce, kędy niegdyś stał kościół, a potomki onych mieszkańców, jakby ich widma pośmiertne, błąkają się między nami, wśród świata obcego sobie, jako lud, co kona od wieków a umrzeć nie może.

Dziś w sąsiedztwie forum, wśród ciszy samotnéj i natury prawie wiejskiéj, dźwiga się budowanie, co okazałe, szlachetne, patrzy jakby z wysokości dziejów na sprawy ludzkie. Jest to brama tryumfalna Tytusa, pogromcy Jerozolimy, ona mu była postawiona po zgonie na oznakę ubóstwienia zwycięzcy. Dziś widać postać cesarza uniesioną przez orła ku niebu; gdy staniesz pod jéj łukiem, bogate płaskorzeźby roztaczają ci, niby pi-

smem kamiennném, historyą łzawą, co spełniła wieszcze proroków słowa. Wśród ciszy sielskiéj, która cię w koło tu otacza, patrzysz na płaskorzeźby; widzisz mężów niosących skrzynie i lichtarz siedmioramienny: są to sprzęty święte z kościoła jerozolimskiego, niesione na tryumfie Tytusa; one użyte były jako świecidła by dodać blasku hardéj uroczystości nieużytych zwycięzców. Gdy dziś tryumfalne bramy zwycięzców hardych stoją samotne, niby grobowe pomniki na cmentarzu przeszłości,— gdy i po ludzie zwyciężonym, zgruchotanym nie zostały nawet miejsca, kędy stawiał budowanie swoje, gdy wszystko, co materyą, runęło w rozsypaniu,— zostało przecież światu puścizną słowo,— została światu na dziedzictwo ona księga święta, co jest świętym testamentem dla ludzkiego rodu. W niéj żyją głosy, które nie umilkną nigdy, w niéj żyją pieśni, które po wieki wieków budzić będą wtórujące im dźwięki w sercu człowieka; ta księga już jakby deszczem niebiańskim zrosiła serca wszech ludów różnéj mowy, różnego szczepu; a już nie znajdziesz kraju, ani wyspy na oceanach, ani pustkowia, ani wysokości śnieżnych, kędyby te księgi nie przemówiły słowem Bożém i pociechą niebiańską.

A godne też i przezacne szaty znalazły te pieśni w mowie hebrajskiéj. Jak puszcza pierwotna Bożą ręką zasiana, po któréj nie postały wrzawy ludzkiego żywota, po któréj nie prowadzą ścieżki, a wędrowiec wedle kory drzew a gwiazd kieruje kroki swoje, takim jest ten hebrajski język. Znawcy języków wschodnich, bystrością głęboką czyniąc porównania między hebrajszczyzną a innemi pobratymczemi językami, nie mogą się nadziwić téj mocy a świeżości, téj dzielności męz-

kiéj mowy hebrajskiéj; w niéj żyje cała potęga i moc pierwotną ducha, niezwątlona, nieskalana. W tym języku słowa żyją, ruszają się, tchną oddechem, w nich płynie krew ciepła, żywą. Tutaj słowa czasowe nawet są jakby uosobieniem, są upostaciowaniem, a przymiotniki rodzą się z powiązania wyrazów, więc i one są żywe, niby myślące, czujące jestestwa. Do téj mowy, co czystym zdrojem płynęła od świata początku, sięgali po słowa historycy i od Boga natchnione wieszcze! A te słowa wyrzeczone są obrazem, każde zdanie przybiera ciało i krew, i dycha i woła, raduje się lub żali. Tutaj każda myśl wciela się w przenośnie, w porównania; każdy wyraz już sam przez się wyjawia istotę rzeczy, maluje naturę jestestwa, o które chodzi. Wszak sam Pan, »gdy stworzył z ziemi wszelki zwierz polny, i wszelkie ptastwo niebieskie, tedy je przywiódł do Adama, aby obaczył, jakoby je nazwać miał.« (Mojżesz I. 2. 19). A tak nazwy stworzeń powstały, gdy człowiek obaczył na żywe swoje oczy jestestwa przez Boga stworzone. I dla' tego ta mowa jest malownicą przecudną, dla tego wyraz jéj każdy jest obrazem, dla tego słowo żyje, i jest przenośnią i uzmysłowieniem ogromnéj głębi i znaczenia. O przykłady nie trudno. »Dwa uczynione są od Boga światła wielkie« światło większe aby *rządziło* dzień, a światło mniejsze aby *rządziło* noc i gwiazdy.« (Moj. I. 1. 16) wody *wywiodły* płaz i ryby. Krew Abla *woła* do Pana z Ziemi!« a ziemia *otworzyła usta* swoje, aby *przyjęła* krew brata z ręki brata!

Stąd ta mowa tak uderzająca i potężna; ona płacze i weseli się chwytając za serce czytelnika, ona unosi

z sobą myśl do Boga i przenika je trwogą, ona pieści duszę i straszy ją strachem.

A ten sam język, który zrazu jest niby tak uzmysławiający, obrazujący, przecie w późniejszych wiekach znów nagina się do wyrażenia myśli i pojęć rozumowych i głosi światu najwyższe prawdy.

Gdy wszech ludy w koło odstały od wiary w Boga jedynego, gdy świat w koło ociemniał a wszechnarody odpadły się od wiary przekazanéj ludzkiemu rodowi od chwili jego poczęcia, ta Boża wiara dochowała się w sercu, jako w przybytku, jedynego tylko izraelskiego ludu. Czyliż tedy dziwno, że on, wierząc w Boga, który duchem jest, sam utonął w głębi ducha swojego, i był w przymierzu z Panem, że stał się iście ludem wybranym? Gdy inne narody lgnęły do Bogów materyi, co dowidzialne dla oczu cielesnych, lud żydowski sam jeden ze wszystkich widział Boga oczyma serca swojego, więc skupił się w sobie a zebrawszy się w duchu swoim oddziaływał całą potęgą na bałwochwalstwo, i bronił się zarazie, co się rakiem rozjadła w świecie, tocząc duszę zepsuciem.

I dla tego właśnie, póki lud żydowski stał wiernie przy wierze swojéj, póty też fantazya jego, będąc trzymana w karbach, nie zbłąkała się ani w bałwochwalstwo, ani w światy czarodziejskie imaginacyi, ani w panteistyczność, jak to czyniły inne ludy, u których fantazya była tworzycielką religii. I dla tego też, jak do téj ziemi i tych dziejów jéj nie możemy stosować miary, którą mierzymy inne ludy, tak też te jéj pieśni już nie ulegają ani zwykłym sądom, ani rozbiorom używanym przy rozpatrzeniu się w sztuce innych ludów.

Z tego powodu zrozumiész, jak już wyżéj rzekłem, dla czego w tém miejscu dopiéro mówimy o Żydach i o ich pieśniach natchnionych tchem Bożym, i dla czego to nasze rozprawianie o nich, jest jakoby przysionkiem do świata chrześcijańskich ludów.

Z tych przyczyn tedy ograniczamy się li na wypowiedzeniu tych uczuć a wrażeń, jakie one czynią na duszy każdego człowieka, który został zdrowym na rozumie i zdrowym na sercu.

Chciéj baczyć, że gdy lud ten oczyma ducha swojego widział Boga i zebrał się we wnętrzu ogniska duszy swojéj, więc też zrodziło się w nim uczucie liryczne niewypowiedzianéj głębi i odezwało się w nim jakby westchnieniem głębokiém. A jak on nie stwarzał sobie obrazów malowanych i rzeźb, tak też i w pieśniach nie dokończał obrazów i przenośni rozpoczętych. Najczęściéj się dzieje, że obrazy dopiéro się rodzące już rozpływają się na inne a inne.

Tutaj zaiste dusza, gorejąc płomieniem świętym, który Bóg w niéj rozpalił, niéma dość spokoju w sobie, by dokonała w zupełności rozpoczętych obrazów i przenośni! A zważ, że się to dzieje mimo języka tak plastycznego, którego same słowa już, jak rzekłem, są obrazem, a same zdania już są przenośnią malowniczą. Niechaj ci się atoli nie zdaje być sprzecznością ta liryczność uczuć z jednéj strony, a plastyczność języka z drugiéj strony. Bo rzekłbym, że gdy właśnie w tym języku każde słowo jest rozpoczęciem obrazu i przenośni, już tém samém każdy wyraz następny nie jest rozwojem obrazu rozpoczętego przez słowo poprzednie, ale sam staje się znów zarodem nowego obrazu. Nie-

chciéj zarzucić, że znajdujemy to w księgach Hiobowych, to w Psalmach, obrazy natury najwyższéj doskonałości plastycznéj, będące na wieki wzorem, jak malować naturę. Prawda, alеć ja też w powyższéj charakterystyce kreśliłem tylko ogólne cechy tych pieśni świętych; a nadto zważ, że tam nawet, gdzie obrazy uderzają nas podziwieniem, najczęściéj one złożone są z wielu po sobie idących obrazów, a co więcéj, te malowania natury wszystkie bez wyjątku mają to właściwe sobie znamie, że w nich mniéj chodzi o naturę samą, jak raczéj o to, aby wystawić Majestat i Moc Bożą; te obrazy są złotym haftem na rąbku szaty Pana na Niebie. Jąk cała natura nie ma znaczenia przez się i jest jedynie podnożem Bożego tronu, tak też te opisy wspaniałe natury mają o tyle znaczenia, że są spotęgowaniem uczuć lirycznych, które wypływają pieśnią na chwałę a uwielbienie Pana!

Ta liryczność gorąca, serdeczna, wylewa się Hymnem, Odą, Psalmem; te pieśni święte, niby kadzidło ofiarne, wznoszą się ku niebu, otaczając Boży tron. A tchną one tęsknotą nieskończoną, miłością gorącą; w téj tęsknocie rzewnéj a miłości gorącéj płacze serce za Panem; ale te pragnienia duszy, te upały serca, one dopiéro znajdą ukojenie swoje, gdy sam Pan, sam Zbawiciel świata, stanie się człowiekiem i zestąpi wśród ludzi.

Wśród téj liryczności głębokiéj a tęsknoty nieskończonéj, opowiadanie Bożych łask, przez naród cały i i pojedynczych ludzi doznanych, rosą pocieszenia uśmierza żary wewnętrzne i głębokie serca pragnienia. Jakoż te zdarzenia, w których lud żydowski miał jawne świa-

dectwo łaski Bożéj zawsze i wszędzie mu obecnéj, opowiedziane są tchnieniem z góry idącém, więc też poruszają serce czytelnika w najcichszych głębiach i grają mu rzewnością w duszy jego.

Wspomnij np. na historyą Agary.

Abraham wstał bardzo rano i, wziąwszy chleb i łagiew wody, dał Agarze, i to włożywszy na jéj ramię, odprawił ją z dziecięciem.

Agar z dziecięciem błąka się sama jedna wśród pustyni. Ale nie stało wody w łagwi! Matka złożyła dziécię pod drzewem. I odeszła, siadła naprzeciw niego tak daleko, jako na strzelenie z łuku. Bo mówiła: Nie będę się patrzała na umierające dziécię!

A tak siedząc naprzeciw niemu, podniosła głos i płakała!

I wysłuchał Bóg głos dziecięcy. I zawołał Anioł Boży Agarę z Nieba. I wołał: co czynisz Agar! Nie bój się, wysłuchał Bóg głos dziecięcia z miejsca, na którém ono jest! Wstań, podnieś syna i wzmocnij nim rękę twoją. Bo ja w naród wielki rozmnożę go. Wtedy Bóg roztworzył oczy jéj, że ujrzała źrzódło wody; i poszedłszy do niéj napełniła łagiew wodą i dała pić dziecięciu.

I był Bóg z tém dziecięciem. Ismael urósł i mieszkał na pustyni i stał się strzelcem (Mojż. ks. I. r. 21. w. 14).

Patrz, równie wzniosłym a pełnym prostoty jest opis następujący.

Jakób, w podróży do Mezopotamii, pewnego wieczora zaszedł w miejsce bezludne, opuszczone od świata. Słońce już zaszło. Tutaj Jakób chciał nocować. Wziąw-

szy jeden z kamieni, które leżały na tém miejscu, położył pod głowę swoją, i spał na témże miejscu. I śniło mu się, że widzi drabinę stojącą na ziemi, a wierzch jéj dosięgał nieba, a Anioły, Boże wysłanniki, wstępowały i zestępowały po niéj. A na jéj szczycie stał Bóg i rzekł: Jam jest Jehowa, ojca twojego Bóg!..... Oto ja jestem z tobą i strzedz cię będę, gdziekolwiek pójdziesz, i przywrócę cię do téj ziemi, i nie opuszczę ciebie, aż uczynię com rzekł!

A gdy się ocknął Jakób ze snu swojego, rzekł: Zaprawdę Pan jest na tém miejscu!—A jam nie wiedział!—i przeląkł się w duszy, i mówił: O jakże to miejsce jest straszne! Tu Boże mieszkanie! Tu brama niebiańska!

Świt pokazał się na niebie. Jakób wstał bardzo rano. I wziął kamień, który był podłożył pod głowę swoję i postawił go na pomnik i nalał oliwy na wierzch jego. I nazwał miejsce to Betel, bożym domem. I uczynił ślub mówiąc: Jeżeli będzie Bóg ze mną, a będzie mię strzegł na drodze, którą idę, i da mi chleb i szaty, jeżeli się wrócę w pokoju do ojca mojego, tedy Jehowa będzie mi za Boga! A ten kamień, który wystawiłem na znak, będzie Bożym domem!

Te lęki, które padły na Jakóba, to widzenie, które miał we śnie należą do historyi młodości jego. A on urosłszy w męża pasuje się z Aniołem oną nocną walką, która cię przejmie dreszczem byleś w niéj duchem utonął. (Moj. I. r. 32. w 25) (*).

Jeżeli dusza zabiegnie ci boleścią nieubłaganą, gdy

(*) Wykład Filozofii T. I. str. 342.

na serce padnie powątpiewanie i smętek nocny pełen rozpaczy, wtedy roztwórz księgi Hiobowe i naucz się że świętokradzkiém zuchwalstwem są wszelkie twoje sądy o rządach Bożych; naucz się, że płoche i grzeszne będą twoje szperania, gdy z nieszczęścia doczesnego lub szczęścia doczesnego zechcesz odgadnąć winy albo zasługi człowieka przed Bogiem. Że taką naukę wyniesiesz w życie z ksiąg Hiobowych, toć jest zdanie uświęcone orzeczeniem ludzi wielkiéj powagi; toć jest prawda, którą potwierdzi własne serce twoje, byleś czytał te księgi ze skupieniem się w sobie! Księgi Hiobowe uczą byś stał wiernie przy Bogu i ufał całą głęboką ufnością w łaski Jego, a w końcu Bóg poda ci rękę i nie będziesz zawstydzony przed ludźmi w ufności twojéj w Panu, a w nadziejach położonych w nim. A gdy cię Bóg nawiedza, to ufa tobie, że się nie zachwiejesz w sobie. A któryż człowiek, który z narodów tak pewny przyszłości swojéj, by dufał że na niego nie przyjdą dni Hiobowe, dni łez i poniżenia, że nie dozna, co nawiedzenie Pańskie!

Zrozumiesz, że tutaj jedynie w wielce skróconéj treści podać ci mogę dzieje Hiobowe; wszak one należą do najstarszych podań ludzkiego rodu.

Był mąż w ziemi Uz, imieniem Hiob, a ten mąż był doskonały i prosty, i bojący się Boga, a nie czyniący złego. I urodziło mu się siedm synów i trzy córki. A miał Hiob siedm tysięcy owiec i trzy tysiące wielbłądów, i pięćset jarzm wołów, i innego dobytku bardzo wiele, tak iż on mąż był najmożniejszy nad wszystkie ludzie na Wschód słońca.

I schadzali się synowie jego i sprawiali uczty i po-

syłali do siostr, aby biesiadowały z nimi. I tak z kolei odprawowali uczty, a gdy biesiady obeszły w koło, wtedy wzywał ich do siebie Hiob, i wstawając rano czynił tyle ofiar, ilu było synów. Bo mówił Hiob u siebie: może zgrzeszyli czém synowie moi i nie błogosławili Bogu w sercach swoich!—Tak czynił Hiob po wszystkie dni....

Gdy tak się działo z Hiobem na ziemi, stało się, że przed Pana stanęli synowie Boży, a był też między nimi i szatan. I rzekł Pan do szatana: Skąd idziesz? I odpowiedział szatan Panu i rzekł: Okrążyłem ziemię i schodziłem ją. I rzekł Pan do szatana: Przypatrzyłżeś się słudze mojemu Hiobowi, że mu niemasz na ziemi podobnego? Mąż to doskonały i prosty i bojący się Boga i nieczyniący złego.

I odpowiedział szatan Panu i rzekł: Azaliż się Hiob darmo Boga boi? błogosławiłeś sprawom rąk jego, i dobytek jego rozrósł się po ziemi! Ale ściągnij tylko rękę twoją a dotknij wszystkiego, co ma, a obaczysz czyli w oczy złorzeczyć nie będzie!

Tedy rzekł Pan do szatana: Oto wszystko, co ma, jest w ręce twojéj, tylko na niego samego nie ściągaj ręki twojéj!—I odszedł szatan od oblicza Pańskiego.

Stało się pewnego dnia, że przybieżał posłaniec do Hioba i powiedział, jako przypadli Sabejczycy i zabrali woły orzące i pasące się oślice, i pozabijali sługi mieczem, a uszedłem tylko ja, ja sam, abym ci oznajmił. A gdy ten jeszcze mówił, przyszedł drugi i rzekł: ogień Boży spadł z nieba, i uderzywszy na sługi i owce spalił je. Jeszcze ten mówił, gdy przyszedł inny i rzekł: Chaldejczycy, rozsadziwszy się na trzy

hufce, wypadli na wielblądy i zabrali je, i sługi pozabijali ostrzem miecza i uszedłem tylko ja sam, abym ci oznajmił. A gdy ten jeszcze mówił, przybieżał inny i rzekł: synowie twoi i córki twoje jedli i pili wino w domu brata swojego pierworodnego; a oto wiatr gwałtowny przypadł od onéj strony pustyni i uderzył na cztéry węgły domu tak, że upadł na dzieci twoje i pomarły, a uszedłem tylko ja sam, abym ci oznajmił!

Tedy wstał Hiob i rozdarł płaszcz swój i upadłszy na ziemię uczynił Panu pokłon. I rzekł: Nagim przyszedł na świat, nagi się wrócę. Pan dał, Pan odjął: jako się Panu podobało, tak się stało. Niechaj będzie imie Pańskie błogosławione.

Gdy tak się działo z Hiobem na ziemi, stało się pewnego dnia, że przed Panem stanęli synowie Boży, przyszedł też szatan między nich i stał przed oczyma jego. I rzekł Pan: Przypatrzyłżeś się Hiobowi słudze mojemu, że mu niemasz podobnego na ziemi; mąż to doskonały i bojący się Boga a zachowujący niewinność swoją, choć trapiony bez przyczyny! I odrzekł szatan: Wszystko, co ma, człowiek oddaje za duszę swoją, ale ściągnij tylko rękę twoją i dotknij się kości jego i ciała jego, a ujrzysz, czyli w oczy złorzeczyć nie będzie. Tedy rzekł Pan do szatana: Oto w ręce twojéj jest! Wszakże żywot jego zachowaj!

Wyszedłszy tedy szatan zaraził Hioba niemocą i raną od stopy nogi jego aż do wierzchu głowy jego.

Wtedy przyszła własna jego żona do niego i rzekła: Jeszcze trwasz w bogobojności twojéj! Błogosław Bogu i umrzyj!

I rzekł do niéj Hiob: Izali tylko dobre przyjmować będziemy od Boga a złego przyjmować nie będziemy!

A miał Hiob trzech przyjaciół dawnych; ci, gdy usłyszeli to wszystko złe, które nań przypadło, przyszli każdy z miejsca swojego, przyszedł Elifas i Bildad i Sofar. Bo się byli zmówili, żeby pospołu przyszedłszy nawiedzili go i cieszyli. A podniósłszy zdaleka oczy swoje, nie poznali go, i zakrzyknąwszy płakali a rozdarłszy szaty swoje sypali proch na głowy swe ku niebu.

I siedzieli z nim na ziemi siedm dni i siedm nocy, a żaden do niego słowa nie mówił, bo widzieli, że się wzmagała gwałtownie boleść jego!

Wtedy Hiob otworzył usta swoje i złorzeczył dniowi i nocy urodzenia swojego. I mówił: Dzień on niech się obróci w ciemność, niech się o niego nie pyta Bóg z wysokości! Niech go zaćmią światłości i cień śmierci! Noc onę ciemny wicher niech zasiędzie! aby nie szła w liczbę dni rocznych i niechaj nie będzie policzona w miesiącach. Bodaj noc ona była samotna i aby w niéj nie było śpiewania! Bodaj się były zaćmiły gwiazdy mrokiem jéj, a czekając światła, aby się nie doczekała, ani oglądała zorzy porannéj! Czemuż nie umarłem przed urodzeniem, albo czemu urodziwszy się nie zginąłem! Czemuż mnie piastowano na kolanach, czemu byłem karmiony piersiami. Teraz bowiem odpoczywałbym i miałbym pokój!

Bo tam niebożnicy przestawają straszyć i tam odpoczywają spracowani siłą. Tamże więźniowie sobie wydychają, a nie słyszą głosu trapiącego ich. Mały i wielki tam sobie równi są, a niewolnik wolny od pana swo-

jego. Czemu nędznemu dana jest światłość, a żywot tym, którzy są utrapionego ducha, którzy czekają śmierci a nie przychodzi, choć jéj pilniéj szukają, niż skarbów ukrytych.

Wtedy Elifas gromi Hioba dla niecierpliwości jego, a powiada, że te utrapienia nań przyszły od Boga dla grzechów jego, bo Bóg niewinnego nie karze.

I tak mówił Elifas: Jeżeli będziemy mówili z tobą, czyliż ci nie będzie bolesno? Otóż ty wielu innych uczyłeś i wzmacniałeś ręce obce, gdy omdlewały, upadającego wspierały mowy twoje a kolana zemdlone posilałeś; a teraz, gdy na ciebie przyszła plaga, ustałeś w mocy twojéj i strwożyłeś się! Czyli pobożność twoja nie była ufnością twoją? Gdzież teraz jest moc twoja? Słuchaj! doszło mnie słowo ciche i dosłyszało szepty jego ucho moje.—Było to w godzinie nocnych widziadeł, gdy sen twardy ludzie zmorzy—zdjął mię strach i drżenie—i wszystkie kości moje strachem zdjęte były! duch około mnie szedł, szedł tuż przed twarzą moją! a włosy stanęły na mojéj głowie!—I stanął! Stanął ktoś a nie znałem twarzy jego. Kształt tylko jakiś był przed oczyma memi—oniemiałem—i słyszałem głos jako cichego powiewu:— Czyliż człowiek, porównany Bogu, będzie usprawiedliwion; czyli człowiek czyściejszy niżeli Bóg?—

Na to Hiob okazuje, że cięźéj cierpi niż zasłużył, uskarża się na przyjaciół ciężko, że go opuszczają. I rzekł Hiob: Daj Boże, aby grzechy moje, któremi na gniew zasłużyłem, i nędza, którą cierpię, były włożone na wagę, a nędza ukazałaby się cięższą niż morskie piaski. Stąd dla boleści moich nie stawa mi słów.

Ale wy na łajanie słowa stroicie, a przewiewacie mowy utrapionego! Na sierotę targacie się i chcecie wywrócić przyjaciela waszego. Wszakoż coście zaczęli dokonajcie, nadstawcie ucha i obaczcie, czyli mowa moja kłamstwem jest. Odpowiedźcie proszę bez swaru, a mówiąc, co jest sprawiedliwe, osądźcie. I nie znajdziecie w ustach moich nieprawości.

Daléj powiada Hiob czém żywot ludzki jest, mówiąc: Bojowaniem jest żywot człowieczy na ziemi, a jako dni najemnicze są dni jego. On jako niewolnik pragnie cienia, a jako najemnik czeka końca pracy swojéj!

Potém Hiob woła do Boga, śmierci żądając, i mówi: Wspomnij, o Panie, że żywot mój powiewem jest. Jeżeli rzekę do siebie: pocieszy mnie nocne łoże moje i ulży mi się, gdy będę z sobą mówił na pościeli, tedy mnie straszysz przez sny, i widmami trwogą trząsasz! Sprzykrzyłem sobie żywot! Zaniechajże mnie, bo marnością są dni moje! Cóż jest człowiek, że go tak wielce ważysz, że go nawiedzasz na każdy zaranek? I że w każdéj chwili doświadczasz go?

Teraz Bildad Elifasowi wtóruje, gromiąc Hioba, i domawiając mu do żywego rzecze: takieć, jak twoje, są drogi wszystkich, którzy zapominają Boga, i tak nadzieja obłudnika ginie. Podcięta bywa nadzieja jego, jako siatka pajęcza, i ufanie jego.

Tak tedy wzmaga się spór jątrzący duszę Hioba. Przyjaciele coraz groźniéj i twardziéj nastają nań, mówiąc że on grzesznikiem wielkim jest, bo go Bóg tak srodze karze, że jego prawość dawna, sprawiedliwość była obłudą, a teraz zawstydzon jest w obliczu ludzi. A Sofar prawi, jako Hiob dwakroć większe karanie za-

służył. Tak każdy z nich, a każdy wedle własnego trybu a patrzenia swojego, przykrą a niesłuszną nauką jątrzy serce Hiobowe. Wtedy Hiob, nie będąc już siebie mocen, wywiaduje się od Boga przyczyny utrapienia swojego, woła: Jeślim bezbożny, biada mi! a choćbym też był sprawiedliwy nie podniosę głowy mojéj, będąc nasycony pohańbieniem! Czemu mnie na żywot wywiodłeś! Ach bym był umarł, żeby mnie było oko nie widziało!

A późniéj w chwili, porwany gorączką sporu i uniesienia, jakby zapominając siebie, woła: Przecież niepobożni żyją, starzeją się, wzmagają się w bogactwach, a oni weselą się przy odgłosie muzyki!—Lecz wrychle cofa zbyt śmiałe orzeczenie i z boleścią, pełną rozrzewnienia, przywodzi sobie na pamięć dawną błogość swoją. O bodajby mi się wróciły miesiące dawne! i dni one, w których jeszcze Bóg był mi opiekuńczym stróżem, gdy pochodnia jego świeciła jeszcze nad głową moją, a ja w jéj promieniach przechodziłem ciemności! gdy za dni młodości mojéj Bóg, siadając pod strzechą moją, był mi radą w żywocie moim! Wtedy Bóg był jeszcze przy mnie, a około mnie dziatki moje. Kędym stąpił ścieżki płynęły mlékiem, a ze skały płynęła oliwa strugami. Gdy wchodziłem bramą do miasta, na rynku rozpostarto dla mnie kobierce; widząc mnie młodzi ukrywali się, a starcy powstawszy stali, a książęta ucichli. Bo każde ucho słuchające błogosławiło mnie, a każde oko widzące dawało o mnie świadectwo; bom ja wybawiał ubogiego wołającego ratunku, byłem pomocą sierocie, który nie miał pomocy; mnie błogosławił, kto już miał zaginąć, a serce wdowy napełniałem radośném śpiewaniem. Ja przyoblekłem się sprawiedliwością jako szatą, przyodzia-

łem się prawem jako płaszczem i zawojem, byłem niewidomemu okiem, chromemu stopą, byłem ojcem ubogich, i ujmowałem się nawet za prawem nieznajomych mi...... A teraz synowie tych, których niegdyś z pośród ludzi wygoniono, za którymi wołano jako za złoczyńcami, brzydzą się mną i oddalają się odemnie; stałem się śpiewką ich!

W końcu przeciwnicy Hioba umilkli, przemożeni wywodami jego. Ale występuje jeszcze czwarty, rzecznik Elihu, co był młodzieńcem; on, widząc milczących, strofuje starce z niemądrości, że nie umieli Hioba przekonać; namawiając tedy do słuchania, pokazuje nieprawość Hiobową i długo się wielce rozwodzi, lubo jemu już nikt nie odpowiada.

Ale w tém wichry zagrzmiały, a Pan przemówił z wichrów. I przemówił Pan do Hioba. Któż to jest, co zaciemnia wyroki moje nieroztropnemi słowy! Gdzieżeś był, kiedym zakładał węgły światu? Któż uczynił rozmierzenie jego, gdy śpiewały wespół gwiazdy poranne, i radowali się wszyscy Boży synowie! Kto postawił bramę morzom, gdy się wyrywały na świat, jako rodzące się; kto morzu, jakby niemowlęciu zrodzonemu, dał obłoki za szatę jego, a ciemność za pieluchy jego! Czyliż ty skinąłeś na świtania i okazałeś, kędy mają wschodzić zorza? Czyliż ty widziałeś śmierci wrota? wrota ciemne śmierci widziałeś ty? Powiedz, kędy droga do miejsca, w którém się rodzą światłości, lub w którém mieszkają nocne ciemności? Czyli umiesz powiązać z sobą gwiazdy niebiańskie, albo czyli możesz rozerwać związek gwiazd Oryonu, czyli powiedziesz gwiazdy po-

łudniowe, czyli powiedziesz wóz niebiański z gwiazdami jego!

. . . . Któż przygotował krukowi pokarm jego, gdy wołają dzieci jego do nieba tuląc się, gdy nie mają pokarmu? Azali na twoje zawołanie wzbija się orzeł w górę i składa sobie na wysokich miejscach gniazdo swoje?

Tak Pan przywodzi na oczy i dalsze sprawy wszechmocnego majestatu swojego.

Wtedy Hiob korzy się Panu i wyznaje błąd swój. A Pan zwrócił się do Elifasa i dwóch przyjacioł jego, strofując ich, że nie mówili o Bogu z tą prawoscią jako Hiob sługa Boży. A Pan każe im czynić całopalenia ofierne dla oczyszczenia, i poleca, by prosili Hioba, aby się modlił za nich, bo jego oblicze przyjmuje Pan. A oni uczynili jako nakazał Pan, a Bóg przyjął oblicze Hiobowe. I gdy Hiob modlił się za przyjaciołmi swojemi, Bóg powrócił mu wszystko, co dawniéj miał we dwójnasób, a Pan błogosławił późniejszym czasom Hiobowym więcéj niż początkom jego.

Potém Hiob żył długo i oglądał syny swoje i syny synów swoich, i umarł Hiob będąc starym i dni sytym.

Te są dzieje Hiobowe. One należą do najdawniejszych pomników ludzkich dziejów, bo im pewnie 3,000 lat z górą. One przekazane światu, by ludzie wzięli je sobie do serca.

Widzisz w tém opowiadaniu onego wielkiego Bożego dramatu liryczność, wylewającą się z najskrytszych zdrojów ludzkiego ducha. A cóż dopiéro się dzieje w prawdziwéj pieśni lirycznéj.

Mojżesz po długich walkach a pasowaniu się wywiódł lud swój z egipskiego jęctwa, wszystkie tabory izraelskie już przeszły z dopuszczenia Bożego przez morze Czerwone, a zastępy egipskiéj pogoni już pochłonione są w topielach, pochłonione jeżdzcy i konie i wozy wojenne. Wtedy nad morzem stanął Mojżesz, wybawca swojego ludu, a uczucie dziękczynienia wzdęło mu serce i natchnęło piersi jego, i zaśpiewał! i wtórował mu chór mężów i wtórował chór niewiast. I śpiewał Mojżesz, wybawca ludu swojego!

Ja śpiewam Chwałę Panu. Bo mocny jest Bóg! Bóg, co wtrącił w morze i konie i wozy wojenne! Mocą moją i Chwałą moją Pan, i stał mi się zbawieniem Bóg. On jest Bogiem moim, i wielbić będę Boga, co jest Ojca mojego Bogiem. . . . .
(Mojż. ks. II. roz. 15).

A jest druga jego pieśń przedśmiertna. Gdy po mozołach a długiém pracowaniu i trudzeniu ujrzał nakoniec tę Ziemię Obiecaną, otuloną w dali śreżogą niby przejrzystą oponą. Wtedy wyszedł Mojżesz i rzekł: »sto dwadzieścia lat jest mi dziś, a powiedział mi też Pan: nie przejdziesz za Jordan, i ty zajdziesz między ojcami twojemi!« A Mojżesz, przewidując odstępstwo Żydów od wiary, napisał słowo drugiego zakonu, a gdy je napisał, kazał je włożyć do Arki Przymierza i rzekł do ludu: Ten zakon będzie tam przeciw tobie świadectwem. I mówił do ludu. Znam ja upór twój i kark twój twardy. Oto, póki ja jeszcze dziś z wami żyję, byliście upornymi, cóż dopiero kiedy ja umrę! (Mojż. ks. V. r. 31, w. 27). Wtedy w obec wszystkiego zgromadzonego ludu zaśpiewał pieśń: Słuchajcie niebiosa

mowę moją; słuchaj słowa ust moich. Jako deszcze, niechaj płynie uczczenie moje, niechaj słowa te roszą jako wilży rosa, jako deszcz ziele młode, jako rosa wilży trawę wszystką. Bo wielbię imie Boże; oddajcie Panu cześć. Opoką jest Bóg, i bez chyby jest dzieło jego! I wszystkie drogi doskonałe są! Bo On jest bez błędu; Bóg sprawiedliwy i wierny jest . . . .
. . . .
. . . .
(Mojż. V. 32.)

Ta liryczność pierwotna wzmaga się i rośnie majestatem przez następne czasy, aż dosięga najwyższéj swojéj potęgi za lat Dawida i Salomona. Wszak czasy Sędziów, wyprzedzające panowanie królów, były pełne trudu twardego i pełne walki ze sąsiedzkiemi szczepami, a jak lud cały żydowski nabrał hartu, jak urosł w one bohaterskie postaci: Jeftego, Gedeona, Samsona, tak i mowa jego zmężniała w sile a mocy godności pełnéj. W téj epoce męzkiéj rozwinął całe swoje głębie i wdzięki swoje właśnie wtedy, gdy i państwo stanęło w całym blasku swoim. Dodaj jeszcze, że muzyka, równorodna siostra pieśni, nastroiła je do melodyj a harmonij swoich. Dawniéj pieśń miała-li za miarę swoją instynkt serca; jéj rytmem były uczucia i natchnienie bezświadome siebie; gdy się atoli złączyła z muzyką, już te obrazy, pieśnią objęte, płynęły na falach tonów, a tak pieśń sama winna się była stosować do tonów tych, a tak nabrać muzykalnego rytmu. To poślubienie muzyki z pieśnią było bardzo dawne. Wszak ów hymn Mojżesza nad morzem Czerwoném był śpiewany chórem przy odgłosie narzędzi muzycznych. Wiémy też że prze-

rozmaite były te narzędzia muzyczne, i że ich miało być 63 rodzajów; lecz choć wiémy, jak się nazywały, przecież trudno nam odgadnąć ich znaczenie i kształt. Wszak i wyobrażenia nasze o całéj muzyce hebrajskiéj są wielce niedostateczne. Jest atoli pewna, że lud, tak pierwotny jak Żydzi, nie mógł miéć zapewne muzyki sztucznéj, że jego melodye były zaiste pełne prostoty. Mimo tego jednak wątpić nie można, że muzyka ta ogromną potęgą chwytała duszę; bo całe usposobienie Żydów było wskróś liryczne, muzykalne. Samo podanie owo o Dawidzie, który śpiewem i muzyką urzekał obłąkanie Saula, i zaklinał ducha złego, który nim miotał, dowodzi i wykształcenia téj sztuki u tego ludu, i jéj mocy nad sercem jego. Jakoż Dawid, zostawszy królem, ustanowił cztéry tysiące Lewitów mających wtórować muzyką służbie Bożéj; wiemy również, że do tego celu za jego czasów byli osobni nauczyciele śpiewu i 284 śpiewaków. Zdaje się, że to usposobienie Żydów do muzyki przetrwało wieki i wszystkie ich losy i koleje. Rozpatrz się w całym poczecie dzisiejszych wielkich muzyków, a obaczysz, że nieporównanie większa ich część jest starozakonnego pochodzenia, gdy tymczasem tak rzadko znajdziesz ich mistrzami w innych rodzajach sztuki.

Łatwo zrozumieć, że liryczność dosięgła najwyższéj wysokości swojéj w Psalmach Dawida. Arfa jego była mu za dni młodości jego pociechą i utuleniem w żalu, ona mu śpiewała ufnością w Bogu.

Gdy na niego przyszły strachy, gdy lęki płoszyły serce jego, wtedy pieśń i muzyka dodawała mocy, a dźwięki jéj uniosły z duszy ciemne grozy. A gdy znów

zajaśniały dni pogody, gdy radości uczyniły z serca jego przybytek wesela, wtedy, niby Anioły Boże, ze strun harfy ulatują hymny uwielbienia, niosąc cześć Panu na wysokościach. Czyliż ci więcéj mam prawić o tych pieniach Dawidowych? gdybym się i najwięcéj nad niemi rozwodził, toby słów brakło; boć one są najwyższą lirą, jaka kiedy pojawiła się między ludami. Żadna literatura Zachodu i Wschodu, żaden wiek ani starożytnéj ani nowożytnéj historyi, żadne stólecie niema takich pieśni, takich hymnów, jak są te Psalmy Dawidowe. Któż ich nie zna! Komuż one nie są towarzyszem przez życie. Jakoż dzięki niechaj będą Janowi z Czarnolesia—bo on je uczynił własnemi pieśniami naszemi, on je uczynił talizmanem każdego domu naszego, każdéj naszéj rodziny. Matki czytają te Psalmy jego nad śpiącém niemowlęciem, te Psalmy czytają i nad konającym starcem, czytają je mali i wielcy, w nieszczęściu i w utrapieniu, w jasnych i ciemnych chwilach.

A z Psalmami już nazawsze brzmieć będzie w duszy Pieśń nad Pieśniami Salomona i będą myśli przyświecać przypowieści jego.

Czyli ci wspomnieć o wieszczych głosach Proroków! wszak one są jakby wyrocznice, które Bóg umieścił w sercu, świecąc w niém światłem. Boże myśli, co ogarniają gwiazdy, ześlubiają przeszłość i przyszłość, rządzą światami, co są wszechobecne, wszędzie rozlane, jako pulsa wszechistnienia i niewidoma jego krew a żywot, — te myśli Boże są także obecne i w sercu człowieka, bo są tchem Bożym, tchnionym na niego przy stworzeniu jego. A wedle czasu i wieku, narodu i człowieka, ten Boży dech, to przytłumiony, zaledwie błyśnie

w sercu iskierką mdłą sumienia, tęsknego przeczucia lub sennym obrazem, to znów rozpłomieni się jasném światełkiem; lecz gdy człek Bożym jest wybrańcem, wtedy już w nim buchnie ogniem płomiennym i ogarnia całą duszę; cała dusza śmiertelnego człowieka zajmie się pożarem Bożym i gore ogniem proroczym za łaską a dopuszczeniem Bożém; — wtedy Pan sam przemawia przez usta śmiertelne.

Michał Anioł na stropie Syxtyńskiéj kaplicy roztoczył historyą zrodzeń świata; a u góry między ścianą a sklepieniem widzisz proroki, męże od Boga natchnione, co widzeniem duchowém, słuchem nie z tego świata poczętym, widzą i słyszą nadchodzące dzieje ludzkiego rodu! I przed nimi księgi przyszłości rozwarte, i obok nich stoją Aniołowie, wysłanniki Bożych dziejów, i szepcą i mówią. Obok Proroków mistrz pokazał Sybille ludów pogańskich; niémi miota przeczucie, przeczucie nieznane, senne zapala im oczy, wstrząsa lękiem serce; bo do nich doleciał duch — duch, co wróży o przyszłém świata zbawieniu. I znów około okien kaplicznych widzisz świat cichy rodzinnego życia: tutaj jaśnieje świętość domowego obyczaju, uosobiona w postaciach przodków Panny Przenajświętszéj. Oni od pokolenia do pokolenia piastują w sobie wiarę, że z ich rodziny wyjdzie Matka-Dziewica, Matka Zbawiciela; więc czekają chwili onéj wielkiéj, gotują się do niéj. Te postaci, piękności pełne i wdzięku pełne, są jakby uobrazowaniem téj tęsknoty, tych żalów rzewnych, tych pragnień, co brzmiały w pieśniach świętych izraelskiego ludu, które żyły w sercu wszystkich dziejów jego. Więc z zebraniem serca czekają przodkowie Panny Przenajświętszéj

spełnienia się Niebios łaski, czekają w świętości nieskalanego obyczaju i gotują się do onéj Wielkiéj Nocy, w któréj się spełnią proroctwa proroków. I spełniły się! Na ścianie wielkiego ołtarza Chrystus Pan Zbawiciel stanął na sądzie, by sądzić żywych i umarłych. Nad nim Bóg Ojciec i Duch Święty, obok Niego Rodzica Jego Przenajświętsza; trąby Archaniołów zagrzmiały na sąd, ziemia się rozstąpiła, groby jako kretowiska się poruszyły; ziemia pęka, umarli zmartwychwstają, i piekło się rozwarło; szatany, złego potęgi, roztwarły na oścież państwo swoje. I niebo się rozwarło — tam pasowanie się potępieńców z szatanami, tu wniebowzięcie wybranych i niewypowiedziane wiekuiste wesele. Jest to Sąd ostateczny Michała Anioła w kaplicy Syxtyńskiéj.



LIST XXVI.

FANTAZYA U LUDÓW CHRZEŚCIJAŃSKICH.

Srednie wieki.

Wstęp.— W. ołtarz w kościele Panny Maryi w Krakowie, wykonany przez Wita Stwosza.— Widok wewnętrzny kościoła.— Ste Postaci na W. ołtarzu.— Wrażenie których doświadcza widz.— Charakterystyka tego dzieła.— Porównanie téj sztuki z grecką rzeźbą.— Bliższe opisanie Stwoszowego dzieła.— Wpływ malarstwa i architektury w tém dziele.— Dramatyczność.— Wpływ wiary Zbawienia na mistrzów Chrześcijańskich.— Nowy kształt świata.— Sztuka zmienia znaczenie swoje. Romantyczna fantazya.— Porównanie powołania sztuki w Grecyi a u ludów Chrześcijańskich.— Cofanie się ducha w siebie a sztuka ludów Chrześcijańskich.— Zastosowanie téj prawdy do dzieła Stwosza.— Miłość niebiańską i Legenda.— Prawda wiekuista w sercu zamieszkuje.— Skrucha.— Dokończenie o dziele Stwosza.— Niewiasta, rodzina i obyczaj domowy w świecie Chrześcijańskim.— Rzeźba, dla tych samych powodów dla których jest sztuką odpowiednią światu klassycznemu, staje się sztuką mniéj właściwą dla ludów chrześcijańskich.— A natomiast pojawiają się inne sztuki odpowiednie duchowi czasów Chrześcijańskich.— Fantazya romantyczna.

Wierzaj, ten podeszły krakowski gród jest jakby galeryą zabytków sztuki staréj, zostawionych od dawno-zapadłych czasów puścizną na artystyczny dorobek pokoleniom późnym. Wszak historya świata, przechodząc wędrówką po ziemi, nie mijała też nigdy nasze-

go mieściska; a co który wiek nowy pojawił się w ludzkich dziejach, znalazł też gościnę od serca w tym podsiwiałym domu; więc też każdy z nich, z kolei do wieczności się wyprawując, zostawiał w nim jakąś pamiątkę swojego pobytu, a na znak wdzięczności za uczciwe przyjęcie obdarował upominkiem, by się też miało czém pochwalić a ustroić miasto nasze. Stąd ten Kraków stanie za obrazkową książkę, w któréj się doczytasz gadek starych o uczłowieczeniu się człowieka, i o pracach jego wdzięcznych około umajenia doczesnego żywota.

Gdy ci spokojnie w piersiach, a cicho na dworze, na świecie, weź się przechadzać po tych ulicach, rynkach, kościołach, domach i szarych kątach naszych, a nie mało się nacieszysz, byleś miał oczy ku widzeniu, a troszkę uczucia, co to nie głuche, nie twarde na to wszystko, co ludzi obchodzi.

Ledwie się puścisz na taką wędrówkę estetyczną, a już cię zagadnie rzeźba mistrzowska, co na chwałę starych wieków wmurowana w ścianę kamienicy pradziadowéj. Rzeźbione święte figury,— to arcydzieła sztuki gotyckiéj; one oddychają pobożnością umarłych czasów i, jakby pacierzem na kamieniu wyrytym, modlą się za one wszystkie pokolenia, które pod ich stopami długim szeregiem przebiedowały życie tuteczne. Postaci rzeźbione kwitną młodością wiekuistą swoich uroków, a owe pokolenia o drgającém sercu, o krwi ciepłéj, żywéj, przeminęły jako sen. A znów nieco daléj zatrzyma cię na drodze kaplica kościelna, ubrana od ulicy, jakby na święto, w przecudny Zygmuntowski renesans. Ta zacna sztuka szesnastego stólecia, przebudzo-

na z nocnych magicznych widziadeł wieków średnich, tak szlachetna i czysta, powitała świat uśmiechem wdzięków świeżych, a ufna w siły swoje a wiosenne czary patrzała na swoją przyszłość pełną nadziei tak bogatéj a przecież tak kłamliwéj, zawodnéj. Widząc te szlachetne linie, któremi tu biegną wyrabiane jéj ciosy, tę muzykę rysunku, te pełném uczuciem piękności wyrabiane liścianki, rosety, bisiórki, serce ci smętkiem zabiegnie na myśl, że chmury słotne, mroczne następnych stóleciów padły na ten cudnie piękny świat, i samowolnie nasunie ci się obraz dziewicy młodéj,— co wyrosła z marzeń sennych, zrodzonych ciemném serca przeczuciem, co ufna swoim wdziękom, narzeczona szczęściu, zaślubiona swojéj miłości, pełna nadziei, otwartém sercem, jasném okiem wita przyszłość uroczą,— bezświadoma chmurnych słot i nieszczęść przyczajonych milczkiem na dalszéj drodze jéj żywota.

Indziéj znowu, gdzieś w zakąciu zapylonéj sieni jakiegoś odwiecznego domu, rysują się kamienne odrzwia, sięgające może żywota ostatnich Piastów. Fantazya średnich stóleciów, owa wróżka czarnoksiężka, oplotła je zwojem gałęzi i liści misternych, wydziergała na nich kształty magiczne, jakby powieści ze starych lat. Zdaje ci się, iż to furta do państwa czarów, że za temi drzwiami świecą brylantowe pałace, ogrody śpiewające, drzewa, co rodzą, jakby złociste jabłuszka, gadki i klechdy i baje czarodziejskie, słyszane niegdyś w dziecięctwie od nianiek przy kominku; rzekłbyś, że przez te progi za lada chwilę wystąpią rojem rycerze, królewne zaklęte, lub smoki i karzełki, kur czarny i czarownice, i zbójców dwunastu; oto, że cię przywita znowu ta cała

hołotka drwiąca, świecista, psotna, co ci była strachem i radością, kochaniem i trwogą w chłopięcych latach. Oj nie!— ta furta od dawna zamurowana, za nią dziś komtoar handlowy! nie roztworzą się więcéj te progi, nie wystąpi z nich ów czarnoksięzki wdzięczny świat, zamknięte też na zawsze one tęsknoty młodości twojéj i marzenia złote i sny dziecięctwa twojego. W pobliżu tych gotyckich ozdób misternych, w ustroniu, na jakichś ciemnych schodach, odziane wielokrotną powłoką wapna stanęły, jakby na straży, dwie wysłannice z dalekiéj nadmorskiéj stolicy; one przechodniów witają cichym szeptem, ale witanie ich niedosłyszane, a mowa niezrozumiała, ona obca, cudza; są to dwie smętne i samotne kolumny bizantyńskie; one poważne, przysiadłe, wyrzynane w pierożki i o posępnéj głowicy. Znać, że w tym Krakowie, tuż obok siebie zeszła się fantazya gotycka Zachodu ze sztuką Wschodu; te kolumny, to graniczniki dwóch światów, dwóch cywilizacyi różnych a odrębnych od siebie.

Przejdź się kilka kroków, a zamizdrzy się znowu do ciebie brama kamieniczna epoki króla Sasa Drugiego, wykrygowana w rokoko, wyfiokowana niby dawna dworska galantka; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale uprzejma, zgrabna. Biedaczka ta brama! ona marzy o czasach, kiedy była młodą, śni jéj się o świecie dowcipnym, gładkim, delikatnym, pełnym czci dla dam; więc jéj markotno i ckliwo w tém naszém stóleciu na pół zdziczałém, o mowie zgrubiałéj.

Widzisz, jak tam ze ściany kościoła (Świętéj Barbary) na ulicę wyrósł cudnym kwiatem przypornik kamienny; rzekłbyś, że liście jego, miłości tchem rozwite, roztula-

ją się wonią niebiańską i życiem nieskończoném. Jednak krzywdy żywiołów, gwałty wichrów, mroźnych zawiei, zamieci śnieżnéj, przeszły przez kwiat kamienny i odrywały po kawałku te jego liście cudne, rozsypując po ziemi okruchy; tak daremnie też dusza nasza roztuliła się kwiatem miłości nieskończonéj i niebiańskiéj woni; bo gdy ten duszy kwiat zmrożą krzywdy światowe, gdy nań zawieją szarugi słotne życia, już po jednemu odpadają liście jego, odpadają miłości i nadzieje, wesela i tęsknoty, i rozsypują się po ziemi, idąc wiatrom na igrzysko!

Tak, kędy spójrzysz, kędy oczyma ducha się zwrócisz, odezwie się do ciebie jakaś niezabudka z czasów starych; chodzisz, jakby po muzeum sztuki, po tém mieście naszém. Chceszli atoli uradować się najwyższą radością i roskoszować arcymistrzostwem średnich stóleciów, i obaczyć się oko w oko ze sztuką, którą romantyczną zowią, wstąp do naszego kościoła Panny Maryi i wpatrz się w arcydzieło, którém się świeci ołtarz wielki.

Jest dawna wieść, wieść, co wróżbą chodzi między ludźmi, jako umieranie człowieka podobne jest skonaniu kagańca. Płomyk przed skonem dygoce, drży, mruga; lecz zanim zgaśnie na zawsze raz jeszcze strzeli jasném światłem i rozwidni całe otoczenie swoje. Tak się dzieje i z człowiekiem. Zanim skona, dygoce, drży serce z lęku, bo życie jest przecież »tak lubém nawyknieniem« (Göthe),— lecz wśród ciemnego śmierci potopu duch raz jeszcze strzeli wiekuistości płomieniem i rozwidni mu przeszłość i nieskończoność przyszłą. Co było w życiu potęgą mocy wielkiéj, staje się bajką w sko-

nie, a prawdy bezdenne, niezgłębione stają się tak proste i łatwe jak uczucia pocholęce.—Doczesność i jéj troski i uciechy, jéj trwogi i radości, natura i jéj gwiazdy, góry i łąki i bory, i wszystkie ludzkie zabiegi rozpływają się niby dymek obłoczny, ulatują jakby sen poranny, a tajemnice wieczności i życia, zagadki okryte dla oczu doczesnych obłokiem, występują teraz na obecny widny jaw, rozdarta jest ich obłoczna opona, jak rozdartą była opona Jerozolimskiego kościoła w chwili Bożego skonania. Jest-to wiekuistości jasnowidzenie.

Tak umiera człowiek, tak umiera epoka w dziejach ludzkich, tak skonała historya wieków średnich. Ona przed śmiercią zebrała siły gasnące, wzmogła je raz jeszcze w jasne promienie, w błyskawiczne światło, i zajaśniała nadchodzącym pokoleniom. Ona te ostatnie swoje promienie odziała w wielkie mistrze, a zajaśniała przyszłym pokoleniom dziełami tych robotników swoich. Jednym z tych mistrzów jest Wit Stwosz, a jedném z tych dzieł jest: »*Zaśnięcie N. Panny*« w naszym kościele Krakowskim.—Zaśnięcie Przenajświętszéj Panny! wszak w tém zaśnięciu promienie Boga Rodzicy błysnęły na Ziemi jasnością jéj skonu.

Wybierz sobie jednę z tych chwil, w których umilkną w duszy ziemskie głosy, w których słyszysz kluwanie się własnych uczuć w głębinach serca twojego, w których słyszysz uderzenie skrzydeł wzbijających się myśli twoich, wtedy, stanąwszy pod ołtarzem wielkim Maryackiéj świątnicy, daj posłuchanie duchowi. Godzina popołudniowa,— kościelne przestrzenie samotne, milczące powiewne tchy wieczności płyną przez budowanie świątyni, ty sam na sam z duchem pozostałeś.

Polotne sklepień wiązania uniosły się ku niebu w wysokości zawrótne, splatając się w gwiazdy i w krzyże misterne, pod niemi mroczą się wiekami przyćmione obrazy: malowane ich postaci niby widne, niby we ćmie utopione, one jakby uczucia twoje na poły jasne i jawne, na poły ukryte dla ciebie, robią i pracują w tajnéj serca topieli. Na podniosłych gzémsach obiegają kościół ganki lekkie, nad niemi światłość promienista, pod niemi na dole mroczno, wieczorno — te ganki jakby ścieżka ziemskiego żywota między niebem a doczesnością ziemską zawieszona. Jeszcze niżéj, niżéj, na ubocznym chórze drzémią, jakby śmiercią, organy; one umarły, ich metal głuchy, drewno martwe oniemiały jako bezczułe zwłoki duchowych harmonij: gdy jednak przyjdzie chwila oddania czci wiekuistemu Panu, bezczułe i martwe zwłoki ożyją, w nich wstąpi duch, a harmonie umarłe zmartwychwstaną, a pod akordem tonów zadrga życiem metal i drewno.

Jako krystaliczne wody potoku rzucają się z przepaści skalnéj, grając różnobarwnym tęczy promieniem,— tak tu, przez wyniosłe ostrołukie okna a kolorowe szyby spada rzeka słonecznych światłości, mieniąc się barwami malowanych na szkle obrazów. I te przejrzyste malowania i one również uczciwém dziełem sztuki staréj, i pobożności dawnéj pracą ofierną. Na nich jaśnieją, jakby napowietrzne, promienne, niebiańskie widziadła, dzieje Boga Rodzicy i palą się w słońcu szafirów, szmaragdów przepychem, pożarem rubinów, a ta troistość barw jest jakby troistém wiary, nadziei i miłości godłem. Tak światło słońca jest tu wyrazem jasności niebiańskich, co przeczyste, wiecznie jedne i te

same mienią się barwami ludzkiéj istoty, gdy wpłyną w serce człowieka.

Rozlewa się powodzią po przestworzach kościelnych wielobarwna światłość słoneczna, i drga po potężnych filarach i po marmurowéj posadzce i zapala złocistym ogniem śpiże odgrodnych balasów u wielkiego ołtarza. I cicho w świątnicy i spokojnie. Jesteś sam na sam z duchem; powiewne wieczności tchy kroczą milcząc przez kościół; słyszysz tylko klujące się uczucia w piersiach twoich i słyszysz skrzydła wzbijających się twoich myśli. Te myśli, one, niby ptaki wędrowne, one, choć na ziemi zrodzone, ciągną w jesieni żywota w niebiańskie krainy, choć jéj nie widziały nigdy, ciągną w nieskończoności ojczyznę,— kędy nie ma zimy. Powiedz, kto ptaki wędrowne, kto myśli człowieka nauczył téj drogi?

Dumasz i myślisz, a z wdziękiem niewymównéj serdeczności patrzą na ciebie z ołtarza postaci, co się zrodziły w ciepłych piersiach Wita Stwosza. Mistrz stary je wystrugał ze suchego drewna, ale w to drzewo suche tchnął nieskończoności dech i w drzewo to wlał tętno wiary, bijące w sercach milionów. Więc to drzewo stało się drzewem żywota, co nie więdnieje nigdy, co wiecznie zielone, wiecznie młodą wiosną sieje nieśmiertelne kwiaty w serce ludzi. Te postaci,— to nawiedzenia pańskie, a miłości i przebaczenia proroki. Są chwile w których serce pęka nieznaną, niewypowiedzianą tęsknotą, w tych chwilach burze i troski żywota nie przytłumią cichych płaczów w duszy; w takich chwilach, choć wśród ludzi, przecież na świecie i w piersiach głucho, pusto; zdaje się jakbyś chodził po popio-

łach spalonego rodzinnego miasta, jakbyś stał na pogorzelisku ojczystego domu, kędy gnają wiatry po sczerniałych, popękanych ścianach, słoty gzą się po pustkach; ledwie się dopatrzysz śladów dawnych izb, a mury, co niegdyś były ochroną i przybytkiem domowego życia, dziś sterczą jako straszydła wrogie i chwiejąc się radeby cię zagrzebać w gruzach. Kto w takich chwilach szuka dla schorzałéj duszy ukojenia w Bogu, już mu nieme usta tych postaci cichą mową szepną z ołtarza anielskie powitanie: »pokój sercu temu!« Znów w zbiedniałéj duszy jego, jakby po długiéj zimie, roztulą się pączkiem stokrotki boże, dawne niewidziane goście! a serce jego znów ożyje żywotem, nadzieją w siebie i w świat.

Zważ,— iż gdy się opatrzysz sam z sobą i rozpoznasz się w duchu swoim, jakby w domu własnym, wtedy zrozumiesz, że trojaka potęga płynie z tych postaci do duszy twojéj. Bo naprzód jakiś daleki głos brzmi głębokim, rzewnym akordem; na jego wołanie modli się serce w ciszy uroczystéj; są to uczucia religijne, wiekuistości wróżby. I znów słyszysz, jakby westchnienie puszczy, gdy zimnéj oddech północy przelatuje, jak chuch, przez starowiecznych dębów szczyty: to jest przeszłości westchnienie a chuch tych pokoleń, co tu z kolei modlić się przychodziły, co w téj tu posadzce przed tym ołtarzem wypłakały stóleciami żywot swój; dziś ich groby nieznane, zapomniane, dawno już trawą i knieją porosły.— Znów cię porusza trzeci głos: jest to przemówienie anioła wdzięków nadziemskich a przecież widomych, jest to dech anioła sztuki chrześcijańskiéj; on niebiańskim wysłannikiem, co opuścił wiekuistą ojczy-

znę swoją, wzywając uczucie piękności, drzemiące w sercu człowieka, na sprzymierzeńca wiekuistych, religijnych prawd.

Stąd też chciéj nurkiem zapuścić się w siebie i chciéj ściśle, o ile możesz, rozróżnić w sobie te trojakie uczucia i sam siebie zapytaj, ile w tych akordach brzmiącéj w tobie muzyki jest brzmieniem uczucia piękności, przebudzonego dziełem starego mistrza; pytaj o ile sama sztuka jego poruszyła ducha twojego.

Orszak tych świętych postaci na ołtarzu otoczył gronem Boga-Rodzicę. Ona, ukoronowana koroną Nieba i Ziemi, zasypia skonem, który jest nieskończonym żywotem, nieskończoną chwałą. Ona i Matką i Dziewicą, »różą i lilią niebiańską.« Jakoż i ziemia nie zna wyższéj miłości nad matki miłość, nie zna wyższéj czystości, nad niewinność dziewicy. I dla tego nam tutaj tak błogo, tak rzewno i ufno w sercu.

Patrząc na te męże święte, cześć, uwielbienie niewypowiedziane, urzeczenie innego świata ima duszę twoją;— a przecież, mimo hołdu i czci, mimo uwielbienia, nie zna tu serce lęku,— ta świętość nie jest poniżeniem dla ciebie; jest to majestat bez dumy, jest to wielkość duchowa a tak pełna słodyczy,— jest to świętość, a przecież tak poufna, potulna; na tych twarzach tyle dobroci słodkiéj, tyle serdeczności rzewnéj; z nich tchnie powiew niebiański, a przecież w nich nie ma zgrozy i grozy! Słowem, im więcéj oczyma i sercem zapadniesz w tych postaciach, tém silniéj jakieś wspomnienia lube echem dolatują z dawnych lat; rzewność dziwna rozbiera duszę, a odmładzają się radości niegdyś uczuć twoich piastuny, i znów ci zaśpiewają

w duszy piosenki tak miłe, tak wdzięczne!— Toniesz w przeszłości, i przebierasz w obrazach pamięci, i dumasz i myślisz, aż, jakby serca błyskawicą, rozwiązują się zagadki uczuć twoich. Te echa, te pieśni, te wonie a radości dawne, toć wspomnienia drogie zmarłéj matki twojéj, co liczyła tchy duszy twojéj, co promieniem serca swojego tonęła w piersiach twoich, co cię strzegła miłością dniem i nocą, i w pobliżu i w dali, a ta miłość jéj była proroctwem i jasnowidzeniem nieznającém co oddalenie w przestrzeni, co oddalenie w czasie; życie jej syna było dla niéj obecnością nieprzemijającą nigdy. Więc też otoczyłeś jéj postać czcią i uwielbieniem, uwieńczyłeś jéj oblicze aureolą jasną twojéj miłości i czci. Otóż widzisz, czém jest dla ciebie téj matki twojéj pośmiertne oblicze, świętą jasnością oblane, tém są te postaci co na ciebie patrzą z ołtarza. Czujesz że dla nich nie masz w sercu tajemnicy, radbyś pożalić się im z tego, co cię i trapi i boli, wyspowiadać się nawet z winy jeślić jaka na duszy ciąży, pewien że znajdziesz pociechę i ochłodę, radę i utwierdzenie na téj drodze żywota twojego przez świat; a choć czujesz płynący od tych postaci wieczności powiew, nie znasz jednak co lęk, co groza, znasz tylko miłość i cześć.

Rzekłem dopiéro że z troistego wrażenia, które w serce nasze płynie, winniśmy z naszego stanowiska uwzględnić wyłącznie pierwiastek estetyczny, nie tykając mianowicie strony religijnych uczuć brzmiących w sercu naszém. Weźmy tedy pod sąd osobny pracę artystyczną naszego mistrza i uważmy, jak się pod tym względem wywiązał ze swojego zadania. Naprzód

patrzmy się z wierzchu na dzieło jego i zdajmy sobie sprawę z faktów zewnętrznych, które mamy przed sobą.

Otóż zaraz uderza nas osobniczość, indywidualność tych twarzy; każda z tych figur ma fizyognomią tak osobną, tak sobie właściwą, tak do niéj wyłącznie należącą, iż znać wyraźnie, że widzisz wizerunki osób niegdyś żywych, które chodziły doprawdy po téj ziemi. To piętno indywidualne tak dobitnie się wyjawia w tych obliczach, iż od razu, za piérwszym rzutem oka rozpoznasz te same głowy, gdy je znachodzisz po raz drugi wśród grup wyrzeźbionych na drzwiach wielkiego ołtarza. Te oblicza wszystkie zaiste w niczém nie są podobne do tych rysów zatartych, spłókanych, do tych twarzy powszednich, które tak często spotkasz w życiu zwyczajném; to iście głowy wysokiéj szlachetności. Na czole jaśnieje myśli potęga, wejrzenie głębokie, a przecież otwarte, uśmiech pełen wdzięku rozlany na ustach, a zacność i wyższość duchowa rozpłynęła po całém obliczu. A przecież te twarze, tak rzewne a serdeczne, nie są greckich mistrzów nadziemskim ideałem; one nie są ową pięknością klassycznego świata, zrodzoną w nadgwiazdnéj ojczyźnie uroków nieskończonych; to nie są z wysokiego Olimpu przychodnie!— Wskrześ sobie w pamięci kształty greckich bogów odziane marmurową bielą i porównaj je z wyrazem téj naszéj rzeźby chrześcijańskiéj, a obaczysz jakto te bogi greckie wystąpią z całą wyrazistością swojéj cechy; ich natura tém porównaniem dopiéro stanie się zupełnie dla nas jasną i zrozumiałą. Te greckie posągi bogów, one tak obce, tak cudze sercu two-

jemu, bo one tak chłodne i harde i dumne pięknością swoją!—Te bogi wprawdzie zstępują niekiedy na ziemskie doliny, one niby kochają, czują i cierpią jako człowiek; ale te kochania ich i cierpienia nie sięgają głębi ich istoty, dotykają tylko wierzchu jéj i przechodzą lekkim powiewem nie poruszając falą wiekuistego ich żywota. Te postaci greckich bogów nie straciły nigdy błogiéj ciszy głębokiego pokoju; stąd też one tak dumne w milczącym majestacie swoim. Mieszkańcy Olimpu z nadobłocznych wysokości patrzą się, jako z bezpiecznéj złocistéj stolicy, na mocowanie się i łamanie bolesne biednego ludzkiego rodu. Zrozumiesz tedy, że ta piękność ich nadludzka trzyma w nieśmiałém oddaleniu znękane ziemi mieszkańce i strapione doczesności syny. Te bogi »skamieniałe, te ich nieme, »nieruchome posągi milczą, nie udzielą nam rady; w ich »zimnych twardych marmurach nie zatętni krew cie»pła, ani serce nie zapuka; one nie zestąpią z podno»żów swoich,—nie zawitają w rzeczywistość naszą,— »i z nami i nad nami nie zapłaczą, i nie zasiędą z na»mi do uczty życia i wesela.« (*).

Oblicza tych bogów—to nie są wizerunki wzięte z koła rzeczywistości tutecznéj, one więc też nie mają na sobie indywidualności piętna; ich piękność nie jest z tego świata, ona jest abstrakcyą piękności, bo oderwaniem się od ziemskiéj niziny, od ziemskich krzywd, i stąd też te wszystkie ideały greckie, ogólnie mówiąc, są do siebie podobne. Wszak żywot ich na wysokim Olimpie płynie im wszystkim jednako, płynie bez bu-

(*) Wykład Filozofii §. 124. przyp).

rzy w nieskończonym pokoju, więc też nie wycisnął na nich tak silnie cechy osobniczéj, żywéj i wyłącznéj.

Odwrótnie w tych figurach Stwosza znać, że burze cierpień, głębokich boleści do dna roztworzyły te piersi ich, zostawując ledwie ukojone blizny na sercu; widać, że w ich duszy również kwitnęły tęsknoty i smętki, a roztulały się radości i wesela ziemskie, prawdziwie ludzkie, że pragnienia i chęci świata, przyczajone na dnie ich istoty, zrywały się nadzieją i ochotą światową, a anioły niebiańskie, przebywające w ich sercu, zwijały niekiedy skrzydła swoje. Znać, że te postaci po naszemu walczyły i pasowały się ze światem i z sobą, że wiele przebolały w życiu. Może te figury są wizerunkiem braci a przyjaciół od serca naszego snycerza, może powierniki jego trosk i radości domowych, opiekuny a obrońce jego żony i dzieci, gdy się wybierał za robotą artystyczną do dalekiéj Norymbergi. Te twarze też z taką baczną miłością, a tak pilnie wyrobione, iż znać, że były jego sztuki ogniskiem. Zaiste, te głowy są arcydziełem; każda z nich jakby epopeją opowiada długie dzieje zacnego, świątobliwego żywota na ziemi.

Jeżeli zaś oblicza w dziele chrześcijańskiego mistrza nie zbliżają się do najwyższych ideałów sztuki klassycznéj Greków, tém mniéj zbliżają się do owych ideałów nadziemskich inne części ciała, a mianowicie ręce i nogi. Lubo ani wątpić, że i one są wypadkiem pilnych studyów przyrody, toć one są przecież jawnym dowodem że w téj średniowiekowéj sztuce sama tylko twarz była ogniskiem najtroskliwszéj baczności, reszta zaś ciała stała się jedynie czémś podrzędném a ubo-

czném. Dążność takowa znowu wbrew przeciwna jest fantazyi Hellady, bo tam właśnie natura jest w prawie swojém, zatém właśnie tam ciało w nagości swojéj jest cudem nad cudy uroków idealnych. Stąd też tam i draperya ma inne znaczenie. Szaty greckich posągów są istnym poematem, płynącym na wdzięcznych falach lutni; draperya tam nie jest ukryciem ciała, ale raczéj objawem ruchów i mimiki, téj niemój, tak czarodziejskiéj muzyki jego. Ta draperya u Greków jest przeto raczéj środkiem uwidomienia ciała, które przez te szaty świeci promieniem, jakby kagańca płomień zapalony w przezroczu lampy strojnéj. Zupełnie inaczéj się dzieje u Wita Stwosza; tutaj szaty są istném zakryciem cielesności, a one choć wspaniałe, poważne, choć fałdy miękkie, są jednak sztywne niby sztuczne; rzekłbyś, że tu ciężkie a przemokłe sukno łamie się w różne tryby; one nie są idealizowane. Więc nie dziw, że puściwszy oczy po téj grupie, one od draperyi, od rąk i nóg ciągle nawracają do twarzy; wabi je ku sobie tajemniczém oczynieniem jakiś urok niesłychany, jakieś przeczucie nieodgadnionéj jeszcze głębi (*).

Zaprawdę, cudny to być musiał widok, gdy cała ta kompozycya figur, nagle odsłoniona ludowi, zagrała po raz piérwszy jakby koncertem kształtów, barw i złota! Bo wiedzmy o tém, że te postaci rzeźbione są jeszcze

(*) Co tutaj mówimy o tém arcydziele Stwosza, stosuje się też prawie do całego snycerstwa i malarstwa średniowiekowego w północnéj Europie; obaczymy w późniejszym liście, że sztuka we Włoszech znów osobnym a sobie właściwym trybem wyraża ducha tych stóleciów średnich. Sztuka we Włoszech, mając ciągle przed oczyma dzieła starożytnego świata, ciągle obwiana była tchem klassyczności. Inaczéj zupełnie dzieje się w Europie północnéj.

z najwyższą starannością malowane i złocone; i to jest dla nas nową charakterystyką téj sztuki dawnéj. Nie mów, że polichromii używali i greccy rzeźbiarze. Wszak wiadomo że w Helladzie owa polichromia, owo powlekanie posągów barwą nie było nigdy istném malowaniem, lecz miało raczéj ten cel, aby rozmaitością zlekka rzuconéj farby oznaczyć silniéj różne części posągu, aby tym sposobem ulżyć fantazyi widza, która tak z cicha potrącona mogła tém łatwiéj uzupełnić sobie cały obraz idealny mistrza. Grekom, malującym niekiedy rzeźby swoje, wcale nie chodziło o zbliżenie się do natury, co już poznać można ze saméj wielkiéj liczby arcydzieł spiżowych, które nam się po nich w dziedzictwie dostały; a nie zadawali sobie też oni żadnéj pracy, aby malując spiż farbą naśladowali ściśle naturę. Bo Grecy albo nie tykali wcale metalu, powierzając go téj prześlicznéj barwie rodziméj i jemu właściwéj, albo też jęli się takich środków, które właśnie są dowodem, że dbali jedynie, jakem rzekł, o lekkie potrącenie fantazyi, a bynajmniéj o ściślejsze udawanie przyrody: tak np. mając ulać Jokastę a chcąc przypomnieć jéj cierpienia, przymieszali do spiżu srebra, by ją uczynić bladą. Wszak pokazują ci w Neapolu one aktorki tragiczne z Herkulanum, porywające nas ponurym majestatem; one stanęły jakby do chóru Sofoklesa, głosząc spiżowemi usty wyroki niezłomne światu. Te figury ciemne mają wprawione szklane oczy, a rąbki u tuniki pozłacane i na tém poprzestał ich twórca starożytny. Zważ jeszcze,—iż te marmury greckie tak są szlachetne, tak przeczystéj bieli, iż powlekanie ich farbą byłoby istném barbarzyństwem, niewłaściwém owemu ludowi z tą wy-

soką czujnością i czułością artystyczną. Inaczéj się dzieje z naszą grupą krakowską; figury jéj są z drewna, wymagają więc koniecznie barw; malowano je też ze wszystkiemi szczegółami choćby najdrobniejszemi, pragnąc niby jak najwierniéj kopijować naturę. Ten naturalizm najsilniéj się odbija na twarzach, włosach; boć i pęzel, jak widać, miał za cel indywidualność i oddanie wizerunków osób żywych, rzeczywistych, które były modłą dla artysty. Jeżeli w posągach greckich oko jest najczęściéj bez źrenicy, tutaj przeciwnie ono jest żywym wróżbitą duszy przebywającéj we wnętrzu cielesném. Błyszczą przeto barwy czerwone, zielone, błękitne i fiolety, a wśród nich obszerne przestrzenie pozłoty. Téj to pozłocie świecistéj i szkleniu się barwy zawdzięczamy przedewszystkiem, że te rzeźby, choć kolorowane, w niczém nie są podobne do trupich a tak wstrętnych figur woskowych. Inne ważniejsze tego powody wypłyną nam jeszcze poniżéj. Zwracam tylko uwagę, jak tutaj malarstwo w téj rzeźbie o przewadze swojéj znać daje.

Malarstwo atoli wplata się do téj rzeźby jeszcze pod innym a głębszym względem; ta grupa postaci ma bowiem jeszcze rzeźbione tło, słowem perspektywę, która, jak wiesz, jest cechą malowania właściwego, nie zaś skulptury. Tę perspektywę silniéj jeszcze widać na płaskorzeźbach strojących drzwi ołtarza i stalle.

Stalle w kilkunastu wystruganych obrazach roztoczyły historyą Najświętszéj Panny, a choć są niższéj wartości, i, jak się zdaje, dokonane przez innego późniejszego mistrza, dziwnie wyjawiają ducha średniowiekowéj fantazyi. Tutaj wglądasz w izby głębokie, w ulice miej-

skie, w świątnice, w domaszne ciche komnaty; widzisz powyrzynane wschody, to wyrzeźbione sprzęty domowe, porozstawiane perspektywicznie po izbie; spostrzegasz okna na poły zamknięte lub otwarte, daléj naczynia, dzbany, stoły, krzesła, i te wszystkie lube towarzysze zacisza domowego, co choć martwe i bez czucia stają się przez długie lata przyjaciołmi naszemi. Tak np. widzisz i obraz rzeźbiony:— Zwiastowanie. Panna Marya modli się w komnacie na klęczniku poduszką pokrytym, przed nią książka, w oddaleniu dwa okienka, udany strop, posadzka, i t. d., przez drzwi otwarte anioł wstępuje do izby: Boga-Rodzica zwraca ku niemu oblicze. Za nią stołek gotycki, na stołku kotka stulona w sobie, jakby przestraszona widziadłem, i t. d.

Zważ, że wyobrażenia źwierząt domowych często bardzo się powtarzają w dziełach sztuki średnich wieków; wszak np. na drzwiach samego ołtarza widzisz powtarzane jeszcze dwa razy kształty źwierzęce; naprzód na oddziale wystawującym Narodzenie Zbawiciela: Najświętsza Panna klęczy modląc się, przed nią w koszyczku dzieciątko święte. A przy niém rozłożył się na ziemi wół potulny i cichy. Ale co więcéj, w oddziale następnym widać trzech królów oddających pokłon nowo-narodzonemu Panu: jeden z nich podniósł wysoko nad głową czapkę, jako na znak hołdu; za nim stoi jego konik siwy, co sobie spokojnie trawkę skubie. Nie tylko atoli same wizerunki zwierząt są zaiste charakterystyką sztuki w téj epoce, ale nawet błędny ich rysunek ma tutaj również znaczenie swoje.

Krom tego, uderza nas bogactwo architektonicznych ozdób wplatające się w tę rzeźbę. Wszak od stropu,

nad grupą główną, spuszczają się głęboko łuki, przystroje i kwiaty gotyckie, a tak tworzą jakby podniebek przezroczysty, grubo pozłacany. Wszak i przedziały na drzwiach ołtarza odosobniły się między sobą strojną architektoniczną przegrodą. Ta architektura silniéj jeszcze splata się z górnym oddziałem wielkiego ołtarza, ustawionym wprost nad tą ową celną grupą jego. Ta przewaga architektury na tém wyższém piętrze tłómaczy się i samą naturą przedmiotu. Jakoż gdy w główném części ołtarza «Zaśnięcie Panny Maryi» jest jakby dramatem świętym odbywającym się jeszcze na ziemi, przeciwnie u góry Najświętsza Panna, już do nieba wzięta, jako królowa świata stanęła w jasności swojéj chwały i światłości wiekuistéj; jest to liryczność, hymn, Hosanna, śpiewane przez Ziemię i wszech duchy stworzone na uwielbienie i cześć Matki Boga. Gdy tutaj przeto już nie ma dramatyczności, stąd postać Bożéj Rodzicy w swojéj aureoli podobnie jak i reszta figur są więcéj pomnikowe (monumentalne), są odosobnione, bo oddzielone od siebie architekturą własną. Każda z tych postaci staje pod misternym podniebkiem (baldachimem) strojnym, złocistym, będącym jakby osobną świątniczką, ale przeźroczystą, przepromienioną niebios jasném światłem.

Mówiłem o dramatyczności figur tych. Zaiste, choć średnie wieki, jak obaczymy, nie mają właściwego dramatu, toć te na ołtarzu postaci splecione są z sobą, jakby dramatem, odnoszą się nawzajem do siebie, wiążąc się w jedną całość, w jeden zupełny obraz, jak to bywa na dziełach malowanych. Rzekłbyś, że pierwiastek wewnętrzny duchowy poślubił te wszystkie postaci z so-

bą. Tę dramatyczność znajdziesz nie tylko na ołtarzu, ale i na drzwiach jego, ale i na stalach.

Chciéj zważyć, że tego wzajemnego powiązania postaci nie znajdziesz w greckiéj sztuce, wyjąwszy na ich płaskorzeźbach, lubo i tu nawet splot figur nie jest jeszcze ściśle dokonanym. A posągi, zdobiące otoczyny (fronton) wystaw greckich świątnic, nie tak odnoszą się nawzajem do siebie, jak raczéj do faktu zewnętrznego, który wprawdzie obchodzi wszystkie te figury, ale przecież nie jest bynajmniéj potęgą duchową, zrodzoną w ich wnętrzu (np. w grupie Eginitów, Niobidów i t. p. (*). Dla tego też prawie każda z tych figur greckich grup ma zawsze niby cechę pomnika, jest jakby całością dla siebie; każda z tych postaci, dumna swoją pięknością nadziemską, opiera się sama na sobie. Zważmy jeszcze że taki zbiór postaci greckich, jak nie był ścisłą całością, tak też ma za główny swój cel przyozdobienie architektonicznéj przestrzeni, a tém samém jest zniewolony stosować się do miejsca, które właśnie zostało wolne — próżne. On nie istnieje dla siebie.

Przestańmy na tém lekkiém wyliczeniu tych kilku cech charakterystycznych; wiém, iżby można jeszcze wiele innych przytoczyć, lecz te, które tutaj przywiodłem, wystarczą zupełnie dla naszego celu. Wytłómaczmy sobie atoli teraz bliżéj tych cech znaczenie.

Wyznaj naprzód, że te wszystkie fakta, pochwytane na dorywku i przezemnie tu pośpiesznie nadmienione, byłyby głuchonieme, martwe, gdybyś wypuścił z pamię-

---

(*) Dramatyczność rzeźby greckiéj wykazuje się dopiéro w późniejszych czasach, jako w Laokoonie, w grupie wołu farnesyjskiego.

ci, że w tę uczciwą pracę swoją snycerz stary «tchnął nieskończoności dech, że w postaci te wlał tętna wiary bijące w sercu milionów.» To dzieło drewniane jest pacierzem gorącym, rzewnym całego stólecia; uczucia wrzące, kipiące rozsadzały piersi ludu, a mistrz, by ulżyć sercu, zamienił uczucia w dzieło sztuki swojéj. Obaczymy tedy jeszcze jaśniéj, że te postaci bynajmniéj nie są prostém natury kopiowaniem, jako nam się za piérwszym rzutem oka powyżéj zdawało. Te cechy były dopiéro uchwycone li zmysłami naszemi, duch nasz nie znachodził jeszcze ducha przebywającego w tém dziele.

Anioł Zwiastun—wysłannik Pański, niosąc rodowi naszemu zbawienie, wstąpił do wnętrznego przybytku człowieka—roztworzyły się przed Zwiastunem niebiańskim bezdenne ludzkiego ducha głębie, a w tych ducha przepaściach drzémał drugi anioł; i przebudził go ze snu anioł-wysłannik, przebudził drzémiącego brata swojego, brata w światłości; a powitał w imieniu wiary i wieknistego żywota. Przestrzenie duchowe, mroczne, nocne, za przebudzeniem się anioła, rozpromieniły się jasnością. Ludzki ród zadygotał w sobie dreszczem, jak dygoce puszcza ciemna, gdy się ocknie na powiew wschodzącego dnia; bo anioł, przebywający w duchu człowieka, zatęsknił do ojczyzny swojéj, i ludzki ród westchnął tą tęsknotą nieskończoną; a nieznana rzewność zapłakała mu w duszy, i zapłakała radością i lękiem; mrowie trwogi i miłości przeszło istotę jego; poczucie tajemnicze, dziwne wróżyło o gościu niebiańskim, co przemieszkuje w duchu stworzonym. Stąd też myśl człowieka cofnęła promienie swoje ze zewnętrznego świata, zebrała się sama w sobie jako w ognisku siebie: a

tak dokonany jest nawrót ogromny ku własnéj wewnętrznéj, nieskończonéj istocie. Człowiek, utonąwszy w sobie samym, w swojéj treści, wyzwolony jest od potęg doczesnych. Przemówiło wiekuistości słowo, a doczesność przemożona została; śpiewali aniołowie wyzwolenie ludzkiego rodu, i starta jest doczesności potęga, i śmierć jest starta; ona «sama umarła śmiercią.» Gdy tak w człowieku odezwało się poczucie głębin wiekuistości roztwierających się w duszy jego, już wtedy świat cały rodzi się w jego wewnętrznéj istocie; ten świat jemu właśny jest teraz ogniskiem, do którego on się odnosi, jako do najwyższéj bezwzględnéj, absolutnéj prawdy. Światy zewnętrzne zbladły w koło, spłowiały i są dla człowieka tylko jawidłem marném, ale co każdy w głębiach swoich przechowuje, to teraz jest prawdą. Ta treść atoli nie jest bynajmniéj już rozumowaniem rozwinięta, ale pojawia się dopiéro uczuciem.

Ludzkość jest teraz morzem punktów świecących, iskier wiekuistych; każdy człowiek jest taką iskrą, taką jednostką odrębną, co w siebie samego patrzy. Światy zewnętrzne zbladły w koło, spłowiały; teraz mało waży świat ustaw i praw zewnętrznych, nie waży świat zmysłowy, natura. Słowem—nic nie waży, nic nie ma znaczenia, co z zewnątrz przyszło, chyba o tyle, o ile głos wewnętrzny własny osobiste dał temu zewnętrznemu zjawisku uświęcenie i świadectwo. Te światy zewnętrzne stają nawet tylko środkiem, aby człowiek na nich wyraził tę nieskończoność treści swojéj; lecz z drugiéj strony przepaść, którą się rozdziela ta nieskończoność żyjąca w indywidualności człowieka, w jego wnętrzu, od doczesnego świata, jest tak ogromna, że ta treść

wiekuista nie zdoła nigdy już znaleźć wyrażenia w téj tuteczności przemijającéj.

Przecież, gdy duch cofa promienie swoje z rzeczywistości zewnętrznych, gdy sam w sobie pozostał, wtedy mu ckliwo, smętno w téj samotności; nieskończona tęsknota rozbiera mu serce, bo czuje sprzeczność w sobie. On umieszczony na ziemi, w dolinach doczesnych, a niebo ojczyzną jego. I znów — obłożony będąc ciałem, otoczony naturą zmysłową, przecież w sobie ma wiekuistości wróżby! Stąd sprzeczność pełna boleści. Walka i rozdwojenie jest jedną z głównych cech a piętném romantycznéj fantazyi; jak to obaczymy jeszcze następnie wyraźniéj.

Gdy zaś świat zmysłowy już nie starczy duchowi, gdy nie zdoła być dostatniém ducha wyjawieniem, gdy treść nieskończona, bez granic, zamieszkała w nieśmiertelnéj istocie człowieka, już w rodzie ludzkim stanęła prawda przeczuciem, że sztuka, będąca właśnie uwidomieniem, wcieleniem ducha, nie zdoła być zupełnym wyrazem jego, że piękność nie jest jeszcze prawdą najwyższą, szczytem szczytów dla najwyższych prawd. Piękność nie wyczerpuje teraz bynajmniéj wiekuistego pierwiastku, który mieszka w piersiach człowieka, a jest wzniesionym nad wszystko, co zmysłowe, co widome.

Teraz z jednéj strony prawda nieskończona żyje życiem wiary w człowieku, jest pewnością, już daną, już gotową, jest już dokonaną przed wszelkiém dziełem sztuki. Tak też sztuka jest teraz jedynie wypływem pragnienia, które prze i robi w człowieku, aby tę prawdę, już istniejącą i gotową w duchu, wprowadzić w naturę, aby z natury uczynić dzieło sztuki, aby tę prawdę,

o ile to być może, uwidomić w materyi, we formach doczesnych, w jestestwach materyalnych. Z drugiéj strony — istnieje natura bezduszna, z któréj duch wycofnął promienie swoje; jest tedy, jak rzekłem, rozstąpienie się zupełne między wiekuistością a doczesnym fizycznym światem. Zrazu to odstanie jest zupełne, ale zwolna, stopniowo pasuje się i mocuje ludzki ród, aby obie te strony niby zbliżyć do siebie, aby ciężkim trudem zdobyć cały zewnętrzny świat i uczynić go odpowiednim téj prawdzie, która odzywa się w duszy.

Powiesz tu jednak może, że każda fantazya artystyczna właśnie na tém zależy i tę ma istotę a przeznaczenie, aby uzmysłowiała wdzięcznemi formami zewnętrznemi treść duchową; jeżeli tedy u ludów chrześcijańskich treść duchowa tak przerosła wszelką formę zmysłową, że takowa już jéj nie wystarczy do uzmysłowienia się jéj, już tém samém ta fantazya traci cechę czyniącą ją fantazyą artystyczną.

Oto — zarzut takowy jest mi iście na rękę, bo wyjaśni nam rzecz w zupełności. Uważ, że fantazya chrześcijańskiego świata ma właśnie to powołanie, aby w formach swoich wyraziła właśnie to górowanie ducha nad formami temi! Uważ daléj, że gdy w saméj téj treści duchowéj jest niby przeczucie o téj sprzeczności między nią (to jest tą treścią duchową) a formą zewnętrzną, zatém to przeczucie, ta wiedza o téj sprzeczności sama już należy do téj treści i stanowi jéj piętno, a tém samém fantazya chrześcijańska, wyrażając we formach zewnętrznych, w dziełach sztuki, tę sprzeczność, już wyraża i główną istotę téj treści duchowéj, wyraża główną jéj cechę. Widzisz tedy, że i ta fantazya romanty-

czna odpowiada warunkom każdéj prawdziwéj fantazyi. W liście późniejszym, dokładniéj jeszcze ten przedmiot rozbierając, wykażę zarazem, że już sama osnowa, która się nastręczy fantazyi romantycznéj, będzie właśnie środkiem wyświecenia téj sprzeczności powyżéj wspomnianéj, jako piętna, które jest jéj cechą charakterystyczną.

Z tego zaś wszystkiego, co się rzekło, znać, że jak z jednéj strony ta sprzeczność między prawdą wiekuistą a formami zewnętrznemi będzie się wyrażała już w tych formach stworzonych przez fantazyą romantyczną, tak z drugiéj strony historya silenia się ducha, aby nieskończoność treści swojéj wyjawił w tych formach, a zatém aby zniósł ową sprzeczność będzie stanowiła zarazem i historyą fantazyi u ludów chrześcijańskich.

Téj pracy a mocowaniu się towarzyszy przecież jakby na poły zrozumiana a tajemnicza wróżba, że ziszczenie się zupełne tego pragnienia jest niepodobne, że wyrażenie się prawd wiekuistych ma miejsce właśnie dopiéro po za granicą widomego świata, po za kończynami rzeczy materyalnych. Stąd (jak ktoś z estetyków rzekł) «nieskończona tęsknota, jakiś żal słodki, miękki, uczuciowy, brzmi jakby tonem elegii w całéj sztuce średnich wieków i dolatuje odgłosem rzewnym aż do naszych czasów. Bo piękność pracuje i pasuje się nad zadaniem, którego nigdy w zupełności nie dokona; i stąd jéj żal i tęsknota rzewna, stąd w sztuce romantycznéj ta sentymentalność» w najzacniejszém znaczeniu swojém. Podobne zjawisko rozpoczyna się i w innych sferach w sercach czysto ziemskich. W świecie chrześcijańskim człowiek daremnie się mozoli i biedzi, aby w rzeczywistość wprowadził ideały rozkwitłe w duchu jego.

Inaczéj się działo w sztuce klassycznéj, zwłaszcza u Greków. Tutaj nie było jeszcze prawdy danéj, gotowéj, łaską użyczonéj, a duch ludzki o tyle się dopiéro rozwinął z pączka, iż mógł jeszcze być w zupełności wyrażony w świecie zmysłowym. Człowiek wewnętrzny a zewnętrzny świat równoważyły się harmonią (obacz List XX i nast.) Duch Grecyi nie zerwał jeszcze z naturą. On tedy, jéj zaślubiony kochanek, w niéj siebie widział, cały siebie jéj oddał, nic dla siebie nie zostawując. Tutaj przeto cały duch Hellady świeci i goreje w tych posągach marmurowych, one są w nim, on jest w nich. Piękność była bóstwem Hellady, ich religia była religią piękności. Grecya nie miała prawd wiekuistych gotowych, danych; dla tego też duch jéj, uzmysławiając się w świecie przyrodzonym, stopniowo sam poznawał siebie, sam dopiéro dochodził do obaczenia siebie w dziele piękności; on ujrzał bogów swoich w formie idealnéj piękności, jako wyszły z rąk arcymistrzów swoich. Grecya, pracując około piękności dzieł, dopiéro się dorabiała wiedzy o nieskończoności ducha, a dosługiwała się téj wiedzy o tyle tylko, o ile ta nieskończoność może mieć wysłowienie swoje w dziele sztuki, o ile zdoła być poznana w formach doczesnych. A gdy Grecyi już nie starczyły te formy piękności zewnętrznéj, wtedy ona umarła.

Ten nawrót do siebie ludzkości chrześcijańskiéj nie był nigdy dokonany w świecie starożytnym w całéj prawdzie. Grecya, Rzym, jakeśmy widzieli, przy skonaniu swojém zerwały wprawdzie z rzeczywistością, człowiek i tu zebrał się w sobie samym; ale to zebranie było dopiéro jedynie skutkiem niezadowolnienia ze świa-

ta i uznania jego doczesności; było to stuleniem się ducha w sobie i niby ucieczką ze świata zewnętrznego, dumą zacną, uznaniem własnéj godności, rozpaczą nad światem, w obec rzeczywistości rakiem stoczonéj. U tych ludów starożytnych atoli takowe stulenie się w sobie, ta ucieczka do własnego duchowego przybytku, nie były jeszcze wypływem rozstąpienia się na oścież głębin duchowych i przekonania o wiekuistości tętniejącéj w sercu człowieka. Ta wiekuistość a Boża prawda, bijąca jasnym płomieniem w duszy naszéj, zrodziła się dopiéro z Wiary Zbawiciela. Człowiek w świecie starożytnym tonąc w sobie znalazł w ognisku swojém dopiéro zasady ludzkie, uczucia osobiste, ziemskie, albo w najszczęśliwszym razie jakieś proroctwa, wyrocznie, jakieś Sybille na poły zrozumiane, przemawiające jeszcze do niego jakby mową sfinxową.

Skreśliliśmy sobie przeto, lubo zlekka, charakterystykę téj nowéj epoki świata i téj fantazyi romantycznéj. Wszystkie przez nas przywiedzione powyżéj cechy rozwiniemy sobie jeszcze bliżéj za kilkakrotnym nawrotem. Chciéj atoli zważyć, że te znamiona są właśnie tłem ogólném dla artystycznéj fantazyi wszystkich ludów chrześcijańskich i do dziś dnia podwaliną prawie powszechną ich sztuki, choć różne ludy te i różne czasy ich rozwoju odznaczają się znowu różnym odcieniem téj głównéj a spólnéj im wszystkim barwy.

Obaczmy przeto dokładniéj jeszcze i w szczególności, jako wieki średnie stosują po swojemu ten ogólny charakter do dzieł sztuki swojéj. Ołtarz Wita Stwosza będzie w téj mierze wystarczającym dla nas wzorem i przykładem. Proszę atoli byś miał się na baczności i

pamiętał, że z tego, com dopiéro powiedział, wypływa, że cechy, które w nim obaczymy a tém samém i wnioski, które z nich wyprowadzimy, będą koniecznie dwojakiego rodzaju; bo jedne wynikają wprost z tego ogólnego piętna fantazyi chrześcijańskich ludów, a drugie rodzą się znów z właściwéj istoty wieków średnich. Dalszy ciąg naszych rozpraw wystarczy zupełnie do rozróżnienia tych dwojakiego rodzaju cech.

Gdy człowiek uznał wiekuiste znaczenie swoje, gdy sam spuścił się nurkiem we własną istotę podsłuchując pieśni przebudzonego w nim anioła światłości, wtedy też, jakem rzekł wyżéj, wycofnął ducha swojego z natury. Ta natura i jéj wesela, tchnące ziemską radością, przygasły, obumarły; przyroda zobojętniała w jego oczach, ona raczéj stała się teraz jakoby pokusnym wrogiem, mącącym hymny niebiańskie, które duch nieśmiertelny śpiewał na cześć Panu.

Tak przeto fantazya średnio-wiekowa nie tykała się niby zmysłowego świata, zostawiła go jakim był sam z siebie, nie rozpromieniając w nim piękności nadziemskiéj. Rozumiémy tedy ów naturalizm Stwosza, pojmujemy dla czego te figury na piérwszy rzut oka zdają się być prawie naśladowaniem natury; mistrz w nich prawie zostawił naturę jaką była przez się i przeniósł w dziedzinę sztuki te indywidualności rysów, przypominające niejako wizerunki osób, które mu stały za modłę. Zważ nadto, iż gdyby mistrz był uczynił z figur swoich piękność najwyższą w greckiém znaczeniu, już tém samém byłby je przeistoczył na piękność abstrakcyjną, niemającą już téj silnéj, wybitnéj indywidualności. A przecież właśnie człowiek indywidualny, pojedyńczy,

nabrał w chrześcijaństwie nieskończonego wiekuistego znaczenia, bo on właśnie jest okupiony niebiańskim, nieskończonym okupem; tutaj chodzi o wszystkich ludzi pojedyńczych a bynajmniéj nie o samą jednę abstrakcyą ogólną ludzkiego rodu.

Widzisz następnie, że gdy tutaj celem głównym jest duchowa istota człowieka, a takowa wyraża się najpotężniéj w obliczu jego, jako w widoméj jéj stolicy, stąd też u figur Stwoszowych fizyognomie, twarze, są wyrobione z najwyższą staranną miłością; one są ogniskiem jego sztuki i pracy artystycznéj. Po rysach twarzy tych przelatuje echem wewnętrzna mowa duchowa. Wspomniałem już powyżéj, że te posągi greckie, mimo najwyższéj piękności swojéj, najczęściéj nie mają źrenicy— one mają światło zewnątrz siebie, ale nie w sobie; tutaj w sztuce chrześcijańskiéj rozwarła się źrenica, zdjęta już jest katarakta duchowa — te oblicza patrzą, widzą, bo w nich jest duch, we wnętrzu ich istoty jest światłość, która jaśniejąc sama świeci i oświeca. Zważ—te twarze to są portrety, w nich silnie wybita indywidualność. Widziałeś, że gdy w chrześcijaństwie każdy pojedyńczy człowiek nabiera wiekuistego znaczenia, a więc też ta sztuka dąży ku temu, aby tę indywidualność jak najdobitniéj wyrazić; ku temu celowi zmierza nawet i malowanie tych figur, wykonane z najściślejszą bacznością.

Widzisz, na wysokiéj a śmiałéj tęczy naszego Maryackiego kościoła unosi się Zbawiciel ukrzyżowany; sama postać Jego i oblicze, lubo bywają tak odmienne w różnych wiekach i przez różnych mistrzów przedstawione, są przecież w głównych indywidualnych zary-

sach zawsze do siebie podobne, mają zawsze jedno i to samo główne piętno swoje. Bo Syn Boży zaprawdę dokonał dzieła nieskończónéj miłości, zaprawdę zstąpił z Nieba na doczesności doliny, stał się człowiekiem,— jednym pojedyńczym, indywidualnym człowiekiem— i umarł na świecie za świat; i odkupił z miłości ludzki ród, każdego pojedyńczego człowieka.

Wracajmy atoli do pracy naszego Stwosza. Gdy te postaci jego wpływają do uczuć widza, potrącając najcichsze nawet struny duszy,— gdy i dygocą i grają te nieśmiertelności struny, jako tony arfy eolskiéj, skoro na nie wionie od obłoków wianie, znać przeto, że te formy tych figur, choć na pozór z rzeczywistości wzięte, nie są bynajmniéj iście wiernemi kopiami natury. Ten pozór ścisłych wizerunków, ta indywidualność ma jeszcze znaczenie głębokie, znaczenie spólne całéj sztuce chrześcijańskiéj. Tutaj dopiéro wiekuistość istotnie zstępuje z wysokości niebios na doczesności doliny, przybiera na siebie postać ziemską, by pośredniczyć między niebem a ziemią; i toć jest sprawą miłości niebiańskiéj. Każda miłość jest widzeniem siebie w drugim, jest przeistoczeniem siebie w przedmiot ukochany; stąd też miłość mądrości podobna, bo i mądrość widzi i poznaje w drugim własne myśli swoje. Miłość niebiańska, nieskończona, będąca też najwyższą mądrością, zrzeka się wiekuistéj ojcowizny swojéj; przeistaczając się w postać doczesną poświęca się z miłości. Gdy niebo na ziemię zstępuje, ziemia ku niebu się zbliża. Niebo roztwiera się ludzkiemu rodowi. Wysłannik Boży budzi niebian w sercu człowieka, budzi je z miłości nieskończonéj.

Zaiste, człowiek nie dotrzymałby widoku wiekuistéj prawdy, gdyby mu się zjawiła w jéj właściwéj promienistéj postaci, lecz gdy ją obaczy odzianą w cielesność rzeczywistego człowieka, z całą indywidualnością, ze wszystkiemi cechami tutecznych bolów i doczesnego pasowania się z żywotem i ze światem—już wtedy biedny mieszkaniec ziemi nie spłoszy się lękiem, poufali się z wysłannikiem Bożym, który mu się zdaje, jako jeden z ludzi śmiertelnych;— więc zwabiony niebiańskiém oczynieniem słyszy jakby wołające na niego głosy, co utonęły gdzieś w dawnéj— w dawnéj bardzo przeszłości, lubéj, świętéj. Coraz bliżéj atoli nęci go wiekuistość i ku sobie pociąga miłością. Bliżéj, choć jeszcze z sercem nieśmiałém przystępuje do niéj człowiek,—ono dziécię boleści i cierpień,— bo on sierotą na ziemi! bo jemu tak tęskno, tak ciężko w duszy iżby rad wyżalić, wypłakać z siebie te biedy i te smętki swoje; a im bliżéj się przysunie do wiekuistości, tém ona potężniéj pociąga go do siebie i nęci go i wabi uśmiechem niewypowiedzianéj lubości i tajemniczego uroku, aż go obejmie miłością swoją i niebiańskiém kochaniem przytuli do łona, a człowiek, ono boleści dziécię a ziemski sierota, sam staje się wiekuistości synem, żyje życiem niebiańskiém, nieskończoném. Przecież właśnie dla tego, że samo niebo odziało się postacią rzeczywistego, osobnego człowieka, że właśnie człowiek pojedyńczy nabrał nieskończonego znaczenia, stąd też i człowiek, stając się wiekuistości synem, nie traci siebie;— nie traci osobności swojéj osoby, żyjąc życiem niebiańskiém, nieskończoném.

Wszak nie raz ci się przyśniła twoja matka zmar-

ła? widywałeś ją we śnie, jakby żywą była, choć odziana jakoby niebiańską poświatą; ona ci niosła radę i moc, wytrwanie i przestrogi. Powiedz mi, czyli nie przenikało duszę twoją przeczucie, że to są anioły niebiańskie przebrane w postać lubą, drogą zmarłéj matki twojéj?

Za prawdę takie są cuda miłości niebiańskiéj, a miłość najwyższa najwyższém jest poświęceniem.

Małoż to wieści z tych stóleciów dawnych o miłości cudach! Posłuchaj jednéj z nich; ona zaiste tkliwa, rzewna jakby słowicza pieśń, przywiana z dalekich mrocznych ducha twojego gajów, kędy rodziły się przeczucia święte młodości twojéj.

Słuchaj!— Przed staremi laty, na urwistéj hardéj skale urósł siwy, dumny gród; on wieżycą sięgał w przelotnych obłoków walki i patrzał na fale rzeki, co w głębi na wyścigi śpieszyły w daleką nieznaną dal. W zamku żył rycerz młody. On dumaniem sięgał nad obłoki, co płyną po jasnych niebios błękitach, a duszą tęsknił w daleką dal. Dumał i tęsknił, bo ze Wschodu, od Syonu, dolatywał głos o hufcach zbrojnych, co ciągną do grobu Chrystusa; głos o walkach w Świętéj Ziemi, kędy Zbawiciel zbawił świat: ale rycerza młodego trzyma w oczynieniu do małżonki miłość, bo jéj serce czystsze niż przeczystéj rzeki fale. Przecież, jak grzmot daleki, od Wschodu, od Syonu potężniéj i potężniéj dolatywał głos o hufcach, o walkach za Świętą Ziemię!

Poszedł za wołaniem głosu rycerz młody.

Mijały wiosny o krzewach i drzewach kwitnących, o leśnych skrzydlatych śpiewakach; a krzewy i drzewa

w jesieni listkiem po listku płaciły za wiosenne kwiaty swoje; a lesne śpiewaki milczeniem umarłém płaciły za wiosenne pieśni i kochania swoje. Zima nocna objęła świat. I Pani na zamku samotna,— serce jéj zaszło zimą nocną, a z liców spadły róże kwitnące; ona smętkiem w duszy płaciła za kwiaty, za pieśni weselne, za kochania młodego życia. Wracały wiosny, a z niemi wracały liście i kwiaty, pieśni i kochania skrzydlatych śpiewaków. Lecz w serce głuche młodéj małżonki nie wróciły więcéj śpiewne wesela, ani ziemskiéj miłości roskosze; nie roskwitły już nigdy jéj róże na licach, nie zeszła już z duszy nocna zima mroźna, bo nie wrócił już nigdy z Świętéj Ziemi serca jéj kochanek. Ona zaślubiona na zawsze wdowieństwu; samotnéj tęsknocie zaślubiona na zawsze.

Ale chociaż w sercu nie zakwitły już nigdy ziemskie miłości, ani dusza światowém kochaniem, przecież serce zapłonęło inną miłością, bo zapłonęło niebiańskiém wiary uczuciem. Wiész— choć zima zalegnie kraj, choć pora nieużyta mrozem ściśnie przyrody ochotne wesela, choć skamienieje lodem życie młode, i pulsa natury zewnętrznéj bić przestają, przecież ta Ziemia nasza ma własne ciepło swoje. W głębinach planety goreją ognie; one rzadko tylko buchną słupem złowrogim, płomiennym rozrywając piersi wulkanów; ale wiecznie grzeją, wiecznie płoną w sercu planety. Im głębiéj więc zapuścisz się szybem górniczym w jéj otchłanie, tém gorętsze jéj ukryte tajniki. Te ognie bronią ziemską kulicę by zewnętrzne chłody zimowe nie przestudziły jéj serca, by jéj wskróś nie przejęły mrozy. Podobnie bywa i z ludzkiém sercem. Mniejsza o mrozy świato-

we, mniejsza o chłody, mniejsza o mrozy co od życia, co od ludzi, od pory przemiennéj zimowéj na uczucia twoje wieją; jeśli te uczucia twoje głębokie, nie wygaśnie w nich ciepło; uczucia tylko z wierzchu skrzepną, lecz w piersi głębinach tętnieją zdrojem wiecznie wrzące uczucia, a ognie święte ciągle płonące bronić będą serce, by nie przeszły go wskróś mrozy. Tak się stało z pobożną w zamku niewiastą; choć serce jéj z wierzchu zabiegło ziemskich uciech zimą, Bóg w głębiach jéj zachował zdrój ciepły, ognie płonące chrześcijańskiéj miłości, co zbudziły inne wesela, inne nieskończone pociechy. Jakby aniołów posłannica, zjawiała się po chatach nizkich niosąc pocieszenie strapionym i chleb zgłodniałym; ona była już matką sierotom opuszczonym przez ludzi. Kędy postała, z pod jéj stop ustroiła się w róże wdzięczne ścieżka łzawa ziemskiego żywota; gdy się dotknęła cierniów doczesnego świata, ciernie zakwitły wonią i barwą a boleści radosném ukojeniem; więc ją też czcił w koło lud biedny, jako Świętą, jako Boże kochanie.

Raz wieczorem,— gdy zima miała ustąpić wiośnie młodéj panowania nad przyrodą, a świat czekał jedynie skowronków pobudki, jakby porannego dzwonka, co wzywa do życia i roskoszy śpiącą snem naturę— Pani przechadzała się w mroku po obejściu zamkowém, rozmyślając o Bogu na niebie, a biednych ludziach na ziemi. Zrazu, zdziwiona w sercu swojém stanęła, bo zoczyła krzew cierniowy okryty bielą jasną, co świeciła wśród mrocznego wieczora. Czyli to jeszcze zimy pożegnanie śnieżne? czyli to już wiosny kwieciste powitanie?— I przystąpiła bliżéj Pani; o radości! ciernie

bezlistne, ostre, suche, obsypane, jakby gwiazdkami, roskosznym kwiatków rodem. Uszczknęła gałązkę, by nią ustroić obraz Boga-Rodzicy, który chowała z miłością w komnacie, puścizną po dziadach pobożnych. I uwieńczyła obraz w komnacie, jako cierniem doczesnego trudu, rozkwitłym wiekuistości kwiatkami, i ślubiła sobie w duszy, że z każdym wieczorem świeżą gałązką uwieńczy Pannę Przenajświętszą.

Wróciła przeto nazajutrz wśród zmierzchu zachodzącego wieczora, ale lęki przeszły jéj duszę; krzewy cierniowe biły jakąś promienną jasnością; zdawało się że goreje poświatą wdzięczna ciżba kwiatów!—Skąd kwiatom te jasne promienie, czyli to robaczków świecenie błyszczące, czyli może rozbojników utajone czaty! Trwoga przejęła duszę niewiasty, lecz pomna swoich ślubów, drżąca, z wejrzeniem spuszczoném, zatrzymując tchy zbliża się do krzewów i dygotną ręką uszczknęła gałązkę i zaniosła na wieniec ofierny Boga-Rodzicy. Noc przeszła jéj na dumaniu i myślach, bo w niéj robi i nie daje pokoju pragnienie, by rozwiązać tajemnice onéj dziwnéj promiennéj poświaty. Gdy przeto znowu nazajutrz dzień z Nieba spłynął, a nocne namioty rozpinały się nad ziemią, nad zamkiem, opuszcza Pani ciche samotne komnaty swoje, z nią sługa siwy, powiernik jéj stary, i kapelan, wierny sługa boży. I widzą, jak wśród wieczornych cieniów goreje krzew jasną poświatą, a jaśniéj i jaśniéj rozgorzał światłością. Uklękło grono śpiewając hymny na cześć Panu. Przystępuje kapłan do świecących cierni, dłonią drżącą roztula gałązki kwieciste, świecące,— a wśród krzewów i kwiatów promieni się blaskiem niebiań-

skich jasności wizerunek Panny Przenajswiętszéj. »Bądź pozdrowiona Maryo! łaskiś pełna!« zawołał kapłan,— a wszystko troje, z sercem rozebraném radośną trwogą, zaśpiewali litanię na cześć Matki Boskiéj; jakby w uczuciu niewymównego szczęścia; a tkliwiéj i rzewniéj brzmiały pieśni serdeczne, mocniéj a świetniéj jaśniał wizerunek święty Matki-Dziewicy. Obraz pełen prostoty, z drzewa rzeźbiony, pomalowany farbami, on to był onych jasności stokiem, on to promienił poświatą w cierniowych krzewach kwiecistych, on i teraz promienił weselem nieskończoném w sercu tych trójga ludzi. I zaniósł kapłan obraz cudowny do zamkowéj świetlicy; za nim idąc Pani i sługa stary śpiewali koronki.

W świetlicy, w niży postawili obraz; ustroili go w kosztowne lichtarze i bogate sprzęty; noc całą przemodliło to zacne grono, a rzewne, serdeczne składali dzięki za łaskę tak wielką, że królowa niebios wstąpiła za progi doczesnego ich domu. Nazajutrz gromadzą się znów na modlitwę przed wizerunkiem świętym. Aleć, jakiż był przestrach i gorący żal ich duszy, gdy nie obaczyli więcéj Boga-Rodzicy; ona znikła z niży bogatéj, strojnéj! Daremnie przenikają najskrytsze tajniki swojego serca, pytając czyli może jakieś uczucie światowe, jakaś myśl doczesna nie wplotła się w ich pobożność i nie skaziła modlitw i pieśni świętych! Pani atoli, wiedziona wewnętrzną tajemniczą wróżbą, poszła nawiedzić krzewy cierniowe, a dreszcze roskoszy nieskończonéj przejęły jéj serce, gdy już zdala spostrzegła krzewy w powodzi jasności, a wśród kwiatów i gałązek promieniejący obraz Panny Maryi! »Niechaj się stanie wola twoja święta! Na tém miejscu niechaj się

wzniesie twój przybytek wybrany i dom!« zawołała niewiasta. Wkrótce też na miejscu cierniów zbudowany jest kościół, budowników cudo,— wspaniały i świetny darami całego kraju w koło; zdobny w rzeźbione na kamieniu konary i gałązki gotyckie, a poświęcony »Przenajświętszéj Pannie w cierniach kwitnących.« Nie zadługo też stary rycerski gród ustąpił miejsca grodowi wiary, bo na podwalinach jego wzniósł się okazały klasztor dla niewiast pobożnych, które, cofnąwszy promienie ducha swojego z zewnętrznego świata, odwróciły się od uciech doczesnych, co ulatują jako sen, jako rosy rannéj kropelka na listku drżącym, gdy ją wyssie skwar pod życia południe. Pani starego zamku, ulegając prożbom i czci powszechnéj, stała się piérwszą tego zgromadzenia matką. I przewodziła domowi, aż Cherubiny Pańskie śpiewem niebiańskim nie ukołysały jéj bożym snem i nie przeniosły w one światy, kędy w nieskończonéj jasności roztulają się już bez cierni kwiaty wiekuiste.

Spłynęło światem stólecie jedno i drugie, a w ustach ludu żyła dziedzictwem pamięć o cudowném powstaniu świątnicy i o Pani pobożnéj. Zawsze i zawsze w klasztorze tak już bywało, że jedna z dziewic z jéj rodziny była ksienią kaplicy onego cudownego wizerunku Panny Przenajświętszéj. Stało się tedy, iż jednego razu wybraną była na ksienią Bożenna młoda, wdzięcznéj urody dziewica. Jéj duszy nie zawiały kłamliwe tchy światowe, jéj uczuć nie doleciała wieść o grzechu doczesności ziemskiéj. Jéj serce przeczyste jak lilia śnieżna było mieszkaniem aniołów, co jéj przynosiły wieść o królowéj nieba i ziemi, i znów pa-

cierzem, z westchnieniem gorącéj, pobożnéj miłości dziewicy wracały do nieba, niosąc jéj pacierze, westchnienia w ofierze Maryi Pannie, co się świeci w wysokościach nadgwiazdnych. Bo też najwyższém kochaniem dziewicy, najrzewniejszą jéj serca tęsknotą była miłość ku Świętéj Pannie, onéj lilii niebiańskiéj, któréj poświęciła młody swój żywot i wszystkie tchy duszy swojéj. Całą treść serca wylewała przed tym wizerunkiem, składając mu łzy radości w ofierze, niby perły kosztowne. Co wieczór, co ranek, odwiedzając kaplicę cudowną, świeżym zwojem kwiatów stroiła przybytek Panny Przenajświętszéj; co dzień rozwiewny dymek kadzideł wonnych lekkim obłoczkiem otoczył obraz, a przez obłoczek świeciły, jakby gwiazdki, lampy błyszczące jéj ręką rozświetlone. Więc jéj się zdało, że razem z królową niebios uniosła się już po nad obłoków i gwiazd krainy. Jak motylek w rajskich ogrodach przelatuje z kwiatów na kwiaty, tak jéj przelatywało życie po niewinnych uciechach, w niezamąconym nigdy serca pokoju.

Otóż, zdarzyło się, iż pewnego razu chłopek przyniósł wieść straszliwą, jako nieznany rycerz młody, ciężko od rozbojników ranny, zemdlony, z ostatkiem życia przyniesiony był do chatki poblizkiéj. Niewiasty świątobliwe były słynne po przez kraj cały znajomością leków, a nad wszystkie już celowała przeczuciem szczęśliwém Bożenna młoda; ona też przeznaczona została na opatrzność ziemską konającemu młodzieńcowi. Z sercem ufności pełném w moc leków, a z wyższą ufnością w pomoc Bożą, młoda służebnica Przenajświętszéj Panny zwróciła staranne troski swoje

by wskrzesić umarłe życie w rycerzu nieznajomym. Walczyła dniem i nocą, by przemodz ohydne śmierci straszydło, stojące przy łożu boleści jego. Co ranek oddawszy swojéj niebiańskiéj Pani czesne służby swoje i pokłon serca, splotami kwiatów umaiwszy świetlice Królowéj świętéj, śpiesznie wracała do chatki nizkiéj.

Jak po długiéj zimie klują się ledwie dostrzeżone okiem trawki młode, wywołane wiosennego słońca spójrzeniem, tak u młodzieńca, pod spójrzeniem jasném dziewicy, wykluwały się piérwsze nadzieje znowu wracających sił; — lecz te nadzieje młode drżały, dygotały lękiem, by powrót mroźnych powiewów nie ścisnął skonem dopiéro co rodzących się zdrowia oznak. Rzewnie, z duszą pełną gorącéj wdzięczności modliła się swojéj Pani dziewica; w radości jéj serca zdało się, że jeszcze wdzięczniejsze kwiatów zwoje, że wonniejsze kadzideł obłoczki, że świetniéj jeszcze jaśnieją lamp srebrnych gwiazdki błyszczące.

Dzień po dniu Bożenna witała wróżby bliższego a bliższego wyzdrowienia w wojowniku młodym. Spójrzenie jego już niekiedy błysnęło jakby słońcem myśli; w sercu, jakby ptaszków wiosennych tęskne śpiewy, odzywały się uczucia za światem, za życiem, a purpury Wschodu z lekka już ochuchały lica jego.

Rzewnie, z duszą pełną gorącéj wdzięczności modliła się swojéj Pani dziewica i stroiła radością przybytek Jéj i dom. Ale, do modlitw, do pacierzów i pieśni pobożnych wglądały jakieś dziwne, jakieś niewymówne uczucia, jakieś zgrozy a uciechy zagadkowe. Ciężko jéj było na sercu i łzawo,— serce zadygotało, bo głosy lube, słodkie, roskoszne, a przecież obce, trwo-

żące wznosiły się z głębin nieznanych jéj duszy; to straszyły, to nęciły z kolei, a pieszcząc i grożąc przechodziły mrowiem jéj istotę. Jak gołębica spłoszona, tuliła się myślą do Boga-Rodzicy, pragnęła wypłakać strachy i lęki ze serca swojego, lecz przez łzy widziała postać Panny Przenajświętszéj jakby za mglistą, ciężką oponą.

Biada niewinnéj dziewicy!—jeszcze trwały powinności jéj nałożone,—jeszcze i jeszcze zniewolona była wracać do chatki młodzieńca, a one niepokoje, one nętne, pieszczące, słodko-śpiewne głosy mocniéj a mocniéj brzmiały w piersiach jéj! Jakieś postaci lube, z przymilającym się uśmiéchem, lekkie i urocze niekiedy otaczały ją tańcem hożym, wabiąc i pieszcząc piosenką dźwięczną. Te atoli postaci z innego pochodziły świata, ich uśmiech, to nie uśmiech niewinności rajskiéj;—te piosenki, to nie pieśni śpiewane na cześć lilii niebiańskiéj. Każdego wieczora, gdy, miotana niewypowiedzianém uczuciem, opuszczała chatę, zmierzając do zaciszy klasztoru, jeden z owych aniołków, co przemieszkiwali w jéj sercu, ulatywał do Nieba, a co który uleciał, już więcéj z Nieba nie wracał do Bożenny biednéj. Rzucała się krzyżem u stop ołtarza w cichéj samotności świętego przybytku, i modliła się i płakała, i drżącą ręką opatrywała w kwieciste wieńce i rozświetlała kagańców płomienie; ale kwiaty, jakby chore, pochylały swoje główki wdzięczne, a płomyki lamp srebrnych mrugały smętnie i gasły. Oblicze Najświętszéj Maryi tak teraz bolesne i poważne! i wnet też opona łzawa zakrywała ją przed dziewicy spójrzeniem.

Bliżéj, bliżéj otoczyła Bożennę siatka potęg zdradnych, siatka z róż ziemskich spleciona, i liczniéj a

liczniéj gromadził się orszak mocy czarodziejskich, wezwanych wrogą sztuką złego młodzieńca. Zawrótnym wirem one postaci i widziadła hasały około biédnéj dziewicy, a słodsze a wdzięczniejsze były pieszczoty ich pieśni. Już aniołki, w jéj sercu żyjące, po jednemu uleciały na wysokości, i już nie wrócił z nieba żaden z nich. Jeden tylko aniołek pozostał w sercu Bożenny, sam jeden, samotny; tym aniołkiem była— miłość jéj dla Maryi Świętéj!

Pewnego późnego wieczora Bożenna blada, drżąca, ze spuszczonym wzrokiem, o chwiejącéj stopie wchodzi do kaplicy i padła krzyżem przed Boga-Rodzicą. Tyś mnie opuściła, o Maryo! zawołała ze łkaniem boleści, już ja nie dotknę się tych kwiatów nieskalanych, tych sprzętów świętych, jam już nie godna, bym była służebnicą twoją, już ja więcéj tobie służyć nie będę! Przyjmij, o Matko Bolesna, łzy moje gorące, świadki mojéj żałości serdecznéj i katuszy.— I opuściła kaplicę i klasztor cichy, młodych czystych roskoszy raj.

Przeszła noc, uleciał dzień, jeden, drugi i trzeci, a Bożenna stanęła wraz ze zdradnym młodzieńcem na ojczystéj jego ziemi. Tu zabrzmiały w koło niéj ziemskie uciechy; tu zapieniła się odurzająca czara światowych roskoszy. Szał zabaw hucznych, szumnych unosił jakby wichrem niewiastę młodą, a roje młodzieży wytwornéj, gładkiéj, o duszy zepsuciem stoczonéj, składały służby swoje jéj wdziękom cudownym, otaczając ją dworem świecistym, złocistym; zewsząd słówka jedwabne, zwody schlebne, mowy słodkie opajały jéj myśl. Obsypana darami, strojem wykwintnym, cackiem klejnotów, porwana dziką, zapustną zmysłów ochotą i

rozhasanych namiętności wirem, nie zdolna była upamiętać się w bezdeniach zamętu. Przecież, gdy choć na chwilę przebrzmiały czarnoksięskie oczynienia, gdy się obaczyła sama z sobą, wtedy jakby od dziecięcia wymarzone obrazy senne o klasztorze, o kaplicy, o Najświętszéj Pannie Cudownéj snuły się przed oczyma jéj duszy i pokazywały jéj wrota zamknięte utraconych na zawsze rajskich ogrodów. W tych chwilach cichych żałość bez granic zabiegła jéj serce, rzewność pełna palących niewymównych uczuć rozbierała jéj duszę;— wtedy ona dobywała szkaplerza z wizerunkiem »Maryi w cierniach kwitnących« i tonęła nabożeństwem w tym obrazie przeczystym, bo szkaplerz i wizerunek święty były zawsze jeszcze najdroższym klejnotem uniesionym z czasów dawnych, tak szczęsnych, błogich i niewinnych. Wszakże nie śmiała dotknąć się skalanemi usty świętego obrazu, tylko łzy kipiące żarem boleści padały na szkaplerz, na obraz; a aniołek samotny, co sam jeden pozostał w sercu Bożenny, uśmiechał się radością niebiańską.

W rychle atoli, gdy samotność ustępowała wrzawie ochotnéj, błyszczącéj, znów zabawy, festyny huczne, strojne, znów opojenie światowe zalały powodzią serce niewiasty biednéj, i uchwyciły prądem gwałtownym i zaniosły daleko, daleko jéj umysł od wspomnień drogich. Tak kilka lat przeszumiało wśród hucznych mamideł, świetności ponętnych, wśród wrzaw burzliwych i opojenia rozkoszy zmysłowéj, gdy ów młodzieniec, zdradny zwodźca, opuścił kochanie swoje.

Bożenna stanęła sama jedna na szerokim złym świecie. W koło niéj rozstawione na czatach demony

grzechu, co wiecznie czujne, wiecznie stroją zasadzki nieopatrznemu sercu, które choć raz jeden powierzyło się ich kłamstwom pokusnym. Nieszczęsna niewiasta opuszczona, ujęta w matnie własnéj swojéj piękności czarownéj, parta podstępem, zdradą i mocą nawyknienia, odurzona światem, zstępowała na coraz niższe szczeble sromu i straszliwego poniżenia. Silniéj a silniéj osidlały ją demoniczne potęgi, a w końcu pogrążyły w trzęsawiska, z których świat nie zna wybawienia; do poniżeń i sromu przyłączyły się niedostatek i nędza sroga. Szaty wykwintne, stroje kosztowne, klejnoty błyszczące już od wielu lat rozpłynęły; choroba nieubłagana, widmo śmierci głodowéj zazierały w oczy,—to jedyne już jéj towarzysze przez resztki życia. Żebraczka o proszalnym chlebie, o siłach zwątlonych i postaci chwiejącéj, jakby żywe wyszydzenie dawnych uciech, wlokła drżące stopy swoje, błagając ratunku. Często u wrót zamkniętych, nieużytych, padała ze czczości;—wtedy koleje przeszłe i przyszłość, świat cały, zakręciły się hasem kołowrotnym, dzikim; bezuzdnym pędem przemykały się demony chichotne. Długi szereg lat, długi jak wieczność, upłynął w tém powolném, powolném konaniu. Lecz przez ten długi szereg lat nie ustępował z jéj piersi szkaplerz z wizerunkiem Panny Maryi, »w cierniach kwitnących.«

Na ustroniach samotnych, umarłych, kędy nie dochodziły wrzawy uliczne, dobywała szkaplerza swojego i z zeszklonemi oczyma zapadała sercem w niegdyś niebiańskie kochanie swoje. Wszakże już łzy palące, gorące nie padały na obraz święty, bo już łez nie stało, one wszystkie już wypłakane; w sercu atoli mie-

szkał jeszcze ten aniołek miłości ku Maryi Świętéj; choć samotny, choć sam jeden ze wszystkich braciszków swoich, które już dawno do nieba uleciały, on jedyny, samotny kwiateczek niebiański pozostał na cierniach żywota Bożenny.

Jakby długa noc, wlokło się wolne konanie nieszczęsnéj niewiasty; jakby noc boleści nieprzepłakana, nieprzeżyta, trwały katusze nędzy i cierpień bez granic. Wsparta na kiju, w męczarniach czyscowych szła od wsi do wsi, od miasta do miasta, z kraju do kraju, szukając miejsca, kędyby mogła już spocząć na wieki; lecz nigdzie, nigdzie nie mogła znaleźć grobu dla siebie.

Pewnego razu zapadły ją ciemności wieczorne, ponure, bezgwiazdne, mroźne jak jéj życie; w koło zamieci śnieżne, wichry lodowe; w koło pusto, głucho—jęki zimowe same hulają po umarłéj naturze. Żebraczka mdlejąca źrenice topiła w ciemnicy wieczornéj. Zewsząd pustkowie przyrody bezludne; zdala tylko na rąbku widnokręgu mrugało światełko. Czyli to może już ostatnia gwiazdka przewodnia na drodze pielgrzymki doczesnéj? Czyli to kaganiec, co mrugał ze samotnego domku? Ku światełku zmierza chodem omdlałym, ociężałym, płacąc poruszenie każde ostatkiem opuszczających sił. Wątpienie padło na jéj serce, czyli zdoła dosięgnąć jeszcze migocącego płomyka, azali może nie przyjdzie na samotném polu umrzéć wśród zgrozy i mrozów! Idzie, idzie długo, przyciskając szkaplerz swój do serca, które już bić przestawało, dźwigając z wysileniem schorzałe, strętwiałe zimnem członki. Dosięgła nakoniec celu.

Na wzniosłości pagórów urwistych stał gmach wspaniały, niby pałac, niby gród; z okien wzniosłych biły

jasności w ciemną noc. Z natężeniem ostatecznêm doszła bramy.— Zadzwoniła — głos dzwonka wywołał jakby echa z jakichś dawnych, dawnych lat—zadzwoniła — i padła nieprzytomna sobie; już jéj brakło sił.

Z wskrzeszonêm życiem, spójrzała w koło żebraczka, potoczyła okiem — te miejsca, kolumny i sklepienia, otaczające je w koło, tak dziwnie na nią spoglądały, jakby senne wspomnienia dawnych, dawnych wieści czarownych. Jakoż zakonnica pełna miłosierdzia cuci, dodaje sił wzmacniającym napojem.

«Gdzie jestem!» pyta żebraczka. «Alboż to nie wiesz biedna niewiasto moja, żeś w klasztorze Maryi Świętéj w cierniach kwitnących!» Dreszcze żalów, ognie radości mroziły, paliły serce nędznéj kobiéty—i milczała długo. Nakoniec rzekła «Bywałam i ja niegdyś w tych murach świętych, ale to już dawno, już bardzo dawno, było to przed wielu laty, wtedy, gdy jeszcze siostra Bożenna żyła w klasztorze.»—«Lecz—rzecze siostra furtyanka — siostra Bożenna ciągle jeszcze mieszka między nami.»— «Matko moja—rzekła drżąca żebraczka— ja mówię o téj siostrze Bożennie, która niegdyś była ksienią kaplicy cudownéj, i tak, tak niegodnie, jak było słychać, zdradziła śluby swoje święte.» — «Niechaj ci Bóg przebaczy, niewiasto biedna; aleć ta sama właśnie siostra Bożenna jest zawsze jeszcze ksienią kaplicy cudownéj. Ja od pół wieku żyję w tym drogim przybytku naszym, a żadna ze siostr nie skaziła nigdy ślubów swoich. Siostra Bożenna zaprawdę jest nam łaską Bożą, ona nam wszystkim wzorem świątobliwego żywota i uczuć świętych nieskalanych. Cały kraj w koło ma ją we czci najwyższéj, boć ona wszystkim wzmocnieniem,

otuchą niebiańską. Ale ona własnie znajduje się w kaplicy — wszak znasz drogę—idź niewiasto moja i z nią się przywitaj.

Żebraczka w napięciu duszy, bez tchu, bez upamiętania przechodzi przysionki, korytarze, ganki, co były niegdyś dla niéj światem całym a światem tak błogim rajskim. Już wstąpiła za progi kapliczne — tutaj uklękła, legła krzyżem, biła czołem w posadzkę kamienną. I widzi, widzi zakonnicę strojącą ołtarz świeżym kwiatów zwojem i rozświetlającą lampki błyszczące. Zakonnica zwróciła się ku niéj chodem niedosłyszanym i już się zbliża. Lęk, niepokój przejmuje serce Bożenny — ta siostra! to ona sama! to sama ona Bożenna! To jéj wizerunek żywy! to jéj własna postać i oblicze! Ale jéj wizerunek, jakim była niegdyś, przed laty, żyjąc w klasztorze jeszcze w wiośnie młodości niewinnéj, nieskalanéj. Zakonnica, przystępując do drżącéj żebraczki, rzekła:— «Witam cię ukochana córo moja! Ja długo na ciebie czekałam, ale wiedziałam, jak mnie kochasz, że twoja miłość dla mnie znów cię tutaj napowrót sprowadzi. Gdy byłaś daleko odemnie, jam przybrała postać twoją, jam za ciebie służyła, by cię osłonić od sromu, od wyrzutów. Teraz poznałaś ten świat, wiesz jaka wartość jego, już jesteś moją na zawsze! już teraz będziemy razem z sobą, razem na wiekuistość całą! Witam cię dziécię moje! W twojéj celi znajdziesz swoje dawne szaty; gdy je przywdziejesz, wrócona ci będzie z dawną postacią i młodością dawna niewinność i pierwotne nieskalanie, i będziesz czém byłaś niegdyś! Gdy to wyrzekła z uśmiechem anielskiéj miłości wstąpiła postać na ołtarz i przemówiła tylko jeszcze:— «Pozdra-

wiam cię siostro ksieni! Kochaj Maryą, jak ona cię kochała!»— Rozpromieniła się majestatem jako Boga-Rodzica i Nieba Królowa!

W ten dzień na niebie obchodzono święto radośne, a na ziemi dnia tego wszystkie ciernie zakwitły kwiatem!

Czyliż ta powieść nie jest wymówniejszym świadkiem o zwrocie ogromnym rodu ludzkiego, niż wszystkie choćby najgłębsze rozbiory naukowe! ona jest jasnością, roświecającą znaczenie świata, który teraz nastaje w dziejach ludzkich, i dla tego pozwoliłem sobie tak się rozszerzyć z tą powieścią: jest ona jedną z tych cudnych historyi, które nam w naszych tu stronach za lat dziecięcych opowiadano, a która podobno utkwi w sercu na życie całe, z całą formą tak pełną wdzięku a prostoty. Boć też każdy, kto ją raz usłyszał, nosił ją w sercu swojém, jakby klejnocik od matki na pamiątkę darowany. Cieszyłem się gdym ją przed kilku laty widział skreśloną przez jednego z autorów francuzkich; gdym ją czytał, zdało się że wieloletni pył ścierał się z tego obrazku wspomnień pacholęcych; a lubo z tych powodów wiele winien jestem rzeczonemu autorowi, zdało mi się atoli że może zbyt nadał téj legendzie barwę romansu; wolałem ją tedy opowiedzieć po swojemu, trzymając się przytém wspomnień z młodości porannéj; boć i one są podobnie «kwiatkiem na cierniach suchych żywota.» Lecz mniejsza o to. W każdym razie myślę że ta legenda, jedna z najpiękniejszych, godna była przełożenia, zwłaszcza iż nam się tak nadaje do celu naszego. Przyznaj, że ówczesny świat, który w duszy swojéj piastował podobne obrazy niebiańskie, sam wprzód odro-

dził się wiekuistością i wychrzcił się z więzów materyalnéj natury a przemijających, jako sen, uciech jego. Ten świat z tych powieści, jakby z przeczystego zdroju, pił nieustannie tę prawdę, że niebo samo zstąpiło na ziemię, że przybiera na się postać ludzką, że miłością nieskończoną ku naszemu rodowi oddaje się w służby doczesności i że z nim cierpi i płacze, bez granic się poświęcając.

Zaiste, człowiek zrazu nieśmiało, z lękiem w sercu zbliża się do gości wiekuistych; przyciągniony jednak kochaniem bezdennėm, rzuca się w ich objęcia, im się zaślubiając na wieczność całą. Przyciąga go własna wiekuistość, miłością obudzona. Im potężniéj żarem rozniecí się w nim ta miłość, tém potężniéj w nim prze i robi bezmierna ku niebu tęsknota, i tém też nawzajem potężniéj płynie prąd w serce jego od miłości nieskończonéj, która w niebie króluje; tém też nawzajem i niebo silniéj tęskni ku niemu.

Prawda wiekuista bynajmniéj nie jest samą wiedzą, przez rozum i pasowanie się myśli nabytą; ona jest i uczuciem, miłością gorącą serca naszego. Bo choć nie przeczymy, że w sercu zarazem gnieżdżą się i złe uczucia, owe demony siatniki, co, lęgnąc się z doczesnéj naszéj natury, a przebrane w kłamliwe urocze postaci, mamią i stroją nieopatrznym ochotom sieci zdradne; choć tedy nie przeczymy, że tu potrzeba myśli oględnéj, by stanęła na straży i po przez wdzięczne kształty poznała pokusne złego wysłańce i odróżniła je od niebiańskich zwiastunów; toć przecież wyznać potrzeba, że prawda nieskończona, samą pracą rozumową zdobyta, że samą chłodna wiedza nam nie wystarczy, jeżeli zarazem nie

przejdzie w ciepłe serce i nie stanie się żywém, obecném w nas uczuciem. Chciéj zważyć, iż każda nauka, wiadomość, któréj się pracą myśli dorobiłeś, którą sobie przyswoiłeś, jest wprawdzie twoją, jest twoją własnością; ale dla tego, iż jest dopiéro własnością twoją, nie jest jeszcze tobą samym. Wszak ty sam odróżniasz siebie samego od tych nauk, wiadomości twoich. Co jednak w sercu twojém żyje, co czujesz, co wierzysz, toć jesteś ty sam, to twoja istota. A lubo uczucia same jedne nie wystarczą, to jednak, gdy ich braknie, nie mogą być zastąpione samym rozumem; dla tego żądamy, aby wiara była w sercu, aby się stała sama istotą człowieka.

Jak umiejętność każda i mądrość jest poznaniem wewnętrznego znaczenia przedmiotu, zatém poznaniem myśli tkwiącéj w nim, więc przeniesieniem téj myśli jego do naszéj własnéj myśli; tak też uczuciem odpowiedniem mądrości jest miłość, bo i miłość jest znalezieniem, widzeniem siebie w przedmiocie ukochanym. Jak zaś najwyższa mądrość jest poznaniem wiekuistych prawd, tak miłość najwyższa jest ukochaniem prawd wiekuistych—jest miłością ku Bogu. Bo miłość odnosi się już koniecznie do osoby; pojęcie ogólne, abstrakcyjne, jakiém jest prawda—idea—może jeszcze odnosić się do jakiegoś rozumowego celu; ale serce, ale miłość, uczuciem będąc, zwraca się do osoby. Dla tego idea—rozum wiekuisty i inne podobne wyrażenia abstrakcyjne nie wystarczą dla serca; dla miłości trzeba Boga będącego osobą, Bogiem żywym; ale i dla rozumu one abstrakcye nie wystarczą, gdyż są niedokończonym wypadkiem; sam rozum party jest potęgą, koniecznością

logiki, by te abstrakcye daléj rozwinął, by stanął u celu który wywróży to serce jasnowidzeniem, przeczuciem swojém.

Gdy taka miłość nieskończona zapłonie w sercu człowieka, już on zwróci się w siebie, na wewnątrz, ku słońcu, które w nim rozgorzało jasnością, wtedy człowiek zrazu cały tonie w samym sobie, przepada we własnéj wiekuistości swojéj, nurzy się we wnętrzu swojém. Co tedy na zewnątrz niego istnieje, co doczesne, tuteczne, światowe, zrazu gaśnie, zmiera. Wtedy cała treść, tkwiąca w zewnętrznych rzeczach, ustępuje, znika; ten świat staje się dla niego bezduszną, bezjądrną łupiną, bo człowiek cofnął ducha swojego promienie z tego wszystkiego, co cielesne, co zewnętrzne jest. Odwraca się od tego doczesnego świata, co już jest bez znaczenia i obcym dla niego (*).

To nie przyznawanie się do świata zewnętrznego, to wyrzeczenie się a utonienie ducha w sobie, dochodzi téj mocy, że się człowiek nawet wyrzeka własnych czynów swoich, boć i one należą do zewnętrznego świata; więc i one stać się mogą czémś obcém i cudzém względem nas. Aby zaś te własne sprawy stały się

(*) Uważ że te zjawiska wszystkie zrazu się pokażą, bo w piérwszych chwilach ludzkość, czując w sobie gorejącą wiekuistość, olśniała jéj światłem: nie widziała przeto zewnętrznéj rzeczywistości. Trzeba było długiego czasu zanim ród ludzki, *nie tracąc wiedzy i uczucia o wiekuistości przebywającéj w nim*, zająć się zdołał i naturą i rzeczywistością, więc całym światem zewnętrznym. Otoż, temi pierwszemi chwilami, onemi chwilami utonienia w sobie i odwracania się od zewnętrznego świata, temi chwilami dla ludzkości są Wieki Średnie, trwające 1000 lat, a ze stóleciem XVI-tym, jak obaczysz w późniejszych listach, rozpoczyna się nawrot do rzeczywistości, bez utracenia skarbu wiekuistości żyjącéj w duchu.

rzeczywiście czémś obcém i zewnętrznérn, potrzeba aby z niego boleść wytopiła wszystkie pomyłki, jako ziemskie, marne i przemijające; wtedy to dopiéro zaprawdę duch, wstąpiwszy w siebie do głębin swoich, uznać zdoła te błędne sprawy swoje, jako zjawiska tylko zewnętrzne, które nie poszły z istoty jego, ale jedynie ze słabéj i nieopatrznéj chwili; uzna tedy, że te sprawy nie były i nie są nim samym. Wtedy, nawracając do przybytku wnętrza swojego, znajdzie w nim wiekuistość, w któréj już będzie jako w domu ojczystym, i będzie obchodził święto nieskończone pogodzenia się z samym z sobą i z Bogiem.

Tak tedy z rozumowania powyższego widzimy znaczenie powieści przez nas przytoczonéj. Wiekuistość istnieje w duchu, zatém człowiek zrywa z naturą, ze światem zewnętrzym, i czuje nieskończoną swobodę zamknąwszy się w sobie. Przecież gdy on ma również byt w świecie, w cielesności, więc następuje w nim walka dwóch pierwiastków, bo nieba i ziemi. W téj walce może chwilowo uledz potęgom tutecznym, ziemskim, przecież gdy wiekuistości swojéj nie traci, więc nieskończona tęsknota rozbierze serce jego, usłyszy wołanie w sobie, bo duszy tęskno do matki, do wiekuistości. Jeżeli tedy żal, żal serdeczny, głęboki wypalił z serca pomyłki i winy, już one staną się obce, jakby nie nasze; one z nas spadną, a dusza staje w czystéj, pierwotnéj swojéj nieskalanéj niewinności anielskiéj.

Może tedy jaśniéj jeszcze teraz wypłynęła ci prawda, już powyżéj powtórzona, że sztuka piękna, odziewając nieskończoną treść człowieka w postać cielesną, już nie wystarcza nowéj epoce świata; bo co materyalne,

cielesne, zewnętrzne, straciło już wagę swoją i nie zdoła być wyrazem wiekuistości w całéj jéj bezdeni, jak ją teraz pojmuje ludzki ród.

Ta powieść rzewna, przytoczona przeze mnie, posłuży może i za komentarz ostateczny dzieła naszego Stwosza. Zdaje mi się bowiem, że z niéj dostatnie wytłómaczyć sobie zdołamy i te wszystkie uwagi, które nam powyżéj wypłynęły z zapatrywania się na tę zacną pracę jego.

Chciejmy sobie jeszcze wyjaśnić niektóre fakta, na które powyżéj zwróciłem baczność twoją.

Patrz—to cofnienie się w siebie, to życie wewnętrzne, które, rozpromieniając się najwyższą potęgą, staje się miłością nieskończoną, objawi się odpowiednią sobie formą, gdy będzie zastosowane do sfery rzeczy ziemskich; a najbliższym objawem takowym będzie życie rodzinne i ten cichy i święty obyczaj domowy; bo dom, bo rodzina jest równie cofnieniem się od świata, i tutaj człowiek słucha jedynie tętna własnych uczuć swoich.

Zaiste — rodzina w znaczeniu prawdziwém występuje dopiéro na łonie wiary Zbawiciela. Wszak z tego, co już rzekłem, widać że dopiéro u ludów chrześcijańskich uznane być mogło znaczenie niewiasty. U Greków, u Rzymian znaczenie to już wprawdzie pojawiło się w pączku swoim, który się dopiéro mógł rozwinąć w całéj pełni, gdy duchowa istota człowieka uznana została w głębokiém znaczeniu swojém. Wszak bez uznania i uczczenia wartości niewiasty nie ma rodziny pojętéj w całéj jéj prawdzie. Wiara z istoty swojéj dokonała tego uznania. Następnie, niewiasty chrześcijań-

skie dokupiły się czci najwyższéj krwią męczeńską niewiast świętych, które śmiercią swoją podniosły jeszcze nawet w obliczu świata całą płeć żeńską. Zważ żę to życie uczuciowe, wewnętrzne, to zwrócenie w siebie, będące charakterem nowego świata, jest właśnie wyrażone przez niewiastę; ona jest kapłanką domowego obyczaju. Mąż jest zaiste i teraz głową i rozumem rodziny, małżonka zaś jest jéj sercem i jasnowidzeniem.

Tak pod *osłoną* cnót domowych niewiasty chrześcijańskiéj stanęła jakby na opoce twierdza domowego życia; o ściany tego domu rozbijają się fale dzikie zewnętrznego świata; choć tam szumią wichry i mroźne zamieci, człowiek sam siebie odzyska, sam do siebie nawróci, gdy przestąpi progi swojego domu. Tu znajdzie ukojenie swoich trosk, gdy go owionie uśmiech małżonki, co matką domowi; tu gdy jego serce burzą świata skołatane, niesmakiem żywota zmrożone, niechaj spójrzy na śpiące niemowlę swoje, a ten pokój głęboki, anielski na twarzy dziecięcia ukołysze mu duszę pokojem, wygoi serca boleści (Chateaubriand). Wszakże pacholęta krakowskie wierzą, widząc niemowlę śpiące, że dusza jego bawi się z aniołkami, biegając z niemi po łąkach i kwiatach. Mniejsza już o słoty zewnętrzne, o słoty światowe; ognisko pod własną lubą strzechą rozciepli uczucia, rozświeci, rozjaśni chmurne czoło. W ścianach zacnego obyczaju domowego wszystkie uczucia członków rodziny, choć każdy ma różną indywidualność, wiążą się wzajemną miłością w jeden spólny wieniec wśród szczęścia domowego.

Czyliż tedy dziwno, że w sztuce średniowiekowych mistrzów, że w dziele rzeźbioném Stwosza, wglądasz w to

zacisze domowe, w komnaty, w izby, w tę widownią rodzinnych kolei, w tę historyą skromną ścian domowych? Czyli dziwno, że tu nawet widzisz, jakem rzekł powyżéj, porozstawiane sprzęty i te domowe graty, boć i one są towarzyszami przez życie; a serce, co przekipiało uczuciem, i im udzieliło po cząsteczce swojéj treści rzewnéj, swojego kochania; te martwe, bezczułe przedmioty są przecież świadkami przeszłych wydarzeń domowych, przeszłych ciemnych i jasnych chwil; one się patrzały na trwogi, na radości, na biedy i na uroczyste obchody rodzinne; one userdecznione uczuciem, uduchownione wspomnieniem, stają się jakby symboliczną kroniką własnego naszego żywota. Jeżeli zaś bezduszne sprzęty domowe nabierają już tyle wagi, tém więcéj jeszcze mają znaczenia źwierzęta domowe, boć i one te senne uczucia swoje wplatają w losy owéj naszéj strzechy, boć i my wglądamy oczyma ducha naszego w te obrazy zatarte ich marzeń; a one czują te spójrzenia nasze, jakby promień wpadający z góry w niepewny mrok ich duszy.

Chciéj jednak zważyć, że te komnaty, izby, ulice, są w saméj rzeczy wystrugane na tych rzeźbach, że tedy udają perspektywę; ale perspektywa, jak wiesz, jest przecież jedynie malarstwu właściwą! gdy do tego zważymy, że te rzeźby wszystkie są nadto rzeczywiście starannie i pilnie umalowane, więc już, jak powyżéj rzekłem, najwyraźniéj znać, że tutaj rzeźba przechodzi w malarstwo, zatém w rodzaj sztuki zupełnie od niéj różny; rzeźba opuszcza właściwe sobie granice i wstępuje w obręb obcéj sobie sztuki.

Wszak to snycerstwo i w innym kierunku splata się jeszcze z trzecim rodzajem sztuki, bo z budownictwem,

jak to znać z ozdób i opraw architektonicznych nadających cechę tak wybitną całemu dziełu Stwosza. Na oba te fakta atoli zwróciłem już baczność twoją; teraz raczéj zapytajmy się, jaki powód tych właściwości, które tutaj tak silnie występują.

Otóż — skulptura z jednéj strony bierze na się piętno malarstwa, z drugiéj strony architektury; rzeźba niby wzywa na pomoc obie te sztuki; ona sama siebie opuszcza, jakby nie ufała swojéj mocy. Toć znaczy zaiste że fantazya średniowiekowa a raczéj fantazya ludów chrześcijańskich nie jest dostatecznie zadowolniona ze saméj skulptury, że jéj jakoś nie dowierza w zupełności; jest to instynktowe przeczucie, że rzeźba nie jest dla niéj sztuką właściwą, że to raczéj malarstwo i architektura jest objawem więcéj odpowiednim treści, która pracuje i robi w duchu.

Lecz dla czegoż skulptura mniéj odpowiada fantazyi ludów chrześcijańskich? Oto, rzeźba dla tych samych powodów jest sztuką mniéj odpowiednią fantazyi chrześcijańskiego świata, dla których była właśnie sztuką najwięcéj właściwą fantazyi klassycznych ludów. Rozprawiając o fantazyi Hellady szeroko się rozwodziłem, dla czego właśnie skulptura była sztuką najłatwiéj przypadającą do fantazyi greckiéj; odwołuję się przeto do tego wszystkiego, com już tam powiedział (w Liście XII). Tutaj z lekka tylko przypomnę, co tam rzekłem o architekturze, malarstwie i muzyce.

Jakoż okazaliśmy w tymże powyższym liście naszym że jak z jednéj strony architektura, będąca sztuką wyprzedzającą rzeźbę, nie zupełnie już odpowiada geniuszowi Greków, tak z drugiéj strony malarstwo i muzy-

ka, występujące w dziejowym rozwoju i z saméj istoty swojéj późniéj niż rzeźba, są rodzajami sztuki nadającemi się mniéj dla fantazyi Hellady. Jakoż architektura z natury swojéj jest sztuką symboliczną, a tém właśnie okazuje, że tylko przez przybliżenie zdoła wyrazić treść duchową we formach zewnętrznych; w architekturze duch przemawia jakby przez hieroglify na poły zrozumiane. Myśl grecka atoli właśnie dla tego, że była w zgodzie z sobą i ze światem, że była harmonią ducha i Natury, że tedy była jasną i zupełnie siebie świadomą, mniéj ma skłonności do symboliki zagadkowéj.

Rozbierając istotę malarstwa rzekliśmy podobnie, że tutaj materya się ulatnia, ustępując duchowi, który silniéj już przeważa w dziełach malowanych. Zaiste, obraz właściwy jest tylko płaszczyzną, ma tylko dwa wymiary, stąd wszystkie warunki materyi, bo oddalenie, perspektywa, ciężkość, światła i cienie, są tutaj tylko zmysłów złudzeniem, są czémś idealném; znajdują się tylko we widzu i w mistrzu, ale nie tkwią już w rzeczywistości, nie istnieją materyalnie w dziele samém; słowem, tutaj świat wewnętrzny, duchowy bierze górę nad materyalnym, a tak równowaga tych światów znika.

Więcéj atoli jeszcze to przemaganie duchowości nad światem materyalnym wyjawia się w muzyce, w któréj wymiary materyalne przestrzeni sprowadzone już są do oscyllacyi a drgania narzędzi muzycznych; tony przelatując lekkiém skrzydłem potrącają struny duszy naszéj, która pieśnią wewnętrzną wtoruje téj muzyce ziemskiéj.

Wypłynęło nam przeto z téj istoty malarstwa i muzyki, iż żadna z tych sztuk nie mogła być pełną wyobraźnicą fantazyi greckiéj, że atoli na ich miejscu skul-

ptura była tak przeważna w Grecyi, iż nawet, jak w owym liście rzekłem, zrodziła gimnastykę w najzacniejszém znaczeniu; co więcéj, że i poezya Hellenów ma piętno plastyczne. O téj zaś plastyczuości poezyi greckiéj rozwodziłem się już szeroko. Tutaj chciej raczéj baczyć, iż właśnie dla téj ogromnéj różnicy, która oddziela świat chrześcijański od świata klassycznego, rzeźba jest sztuką mniéj właściwą dla téj nowéj epoki, dla téj fantazyi romantycznéj, że w niéj raczéj występują sztuki z przewagą pierwiastku duchowego, zatém że sztuki z ulatniającą się materyalnością stają się teraz przedmiotem ulubionym artystycznéj fantazyi. Pojmujemy przeto, że malarstwo naprzód z całym cudem uroków zamieszkało w tym świecie nowym; że tu geniusz muzyki, czarodziejski władzca uczuć i serc, rodzi się teraz w doczesności chacie, by dźwiękami ulotnemi swojéj harmonii przypominał ludziom nadziemskie światy, co niewidzialne, niedojrzane od oczu ziemskich, niedotknięte czuciem cielesném drgają w najświętszém wnętrzu duszy, śpiewając jéj pieśni, których nuty na niebie zostały.

Widzimy tedy, dla czego w dziele Stwosza rzeźba przechodzi w architekturę i malarstwo; bo oba te rodzaje sztuki są więcéj odpowiednie duchowi chrześcijaństwa, niż rzeźba. Co o istocie malarstwa mówiłem dopiéro powyżéj, wystarczy; tutaj powiedzieć jeszcze wypada słów kilka o architekturze.

Wszak architektura jest sztuką symboliczną, bo jéj formy wyrażają silenie się ducha, aby w nich wypowiedzieć serca tęsknoty; dla tego właśnie architektura staje się sztuką panującą prawie we fantazyi chrześcijańskie-

go świata. Architektura zaiste jest najdobitniejszym wyrazem fantazyi romantycznéj. Jeżeli inne rodzaje sztuki mienią się różną barwą, wedle różnego narodowego tła ludów chrześcijańskich, tak iż trudniéj dopatrzyć już z nich charakteru spólnego im wszystkim; sztuka budowania zachowuje znamię więcéj ogólne, co znów właśnie stąd wypływa, iż architektura jest sztuką więcéj symboliczną, zatém więcéj abstrakcyjną; a dla tego właśnie już trudniéj poddaje się różnicom mniejszéj wagi, zachodzącym między różnemi narodami chrześcijańskiego świata. I w tym właśnie widać rozdział między architekturą a muzyką. Bo choć obie te sztuki są niby symboliką uczuć wewnętrznych, to przecież architektura ma do czynienia z massą głuchą materyi, która wymaga umiejętnego obchodzenia się z nią, wymaga pracy wielu lat, nie jest rzeczą chwili; więc też ta symbolika, która się winna budowaniem wyrażać, winna mieć piętno ogólniejsze, przyjęte powszechnie; a to tém więcéj, że dzieło architektoniczne, z istoty swojéj mając być dziełem zewnętrzném, mając ostać się w swiecie, wymaga charakteru i wyrazu, któryby trafił do ogólnego, powszechnego uczucia. Inaczéj dzieje się z muzyką, bo ta nie wymaga już, do wyrażenia treści duchowéj, ciężkiéj nieużytéj materyi; ona, co tylko chwila w sercu poczęła, przebiera w tony ulotne, a nawet w dźwięki własnego głosu człowieka; więc też lekki geniusz natchnienia, ulatując na skrzydłach melodyi, promieni się jasną barwą i świeci duszą kraju i ludu, kędy się rodził. Z drugiéj jednak strony, oba geniusze tych sztuk odwrotnych, właśnie dla tego, iż są odwrotne, są do siebie podobne i zaślubiają się serdeczném kochaniem.

Dawno już, i słusznie bardzo, nazwano architekturę muzyką skamieniałą; czém w muzyce są tony, tém tutaj są massy materyi; czém tam jest rytm kroczący w czasie, tém jest tutaj wymiar w przestrzeni; gdy w muzyce przepływają z kolei tony w czasie, wiążąc się w akordy i melodye, w architekturze wzrok twój przepływa z kolei po przestrzeniach; to podlatuje pod wysokie łuki, to spuszcza się i potrąca o filarów podnoża; to wpatruje się w melodyą głębokich cieniów i świateł jasnych, to buja po ogromnych przestrzeniach, to znowu bawi się splotem wdzięcznym szczegółów, co spływając w całość uderzają akordem. A jak w muzyce tak i tutaj gospodarzy jedno żywotne a niewidzialne prawo, jest to *statyka*, co wszechbytna, niedostrzeżona, jest budowania kontrapunktem.

Ten kontrapunkt — on zaiste jest ustawą żywotną, a uderzeniem serca ludzkości odrodzonéj; wszystkie tony nieba i ziemi, wszystkie dźwięki serca, i wszystko, co się na dnie ducha i natury święci, i gwiazdy, co się klują w przestrzeni nieskończonéj, i epoki ludzkich dziejów, co jeszcze drzémią w przyszłości, wiąże ten kontrapunkt wiekuisty. On rozwiązuje dyzharmonie wszelkie i wszelkie dźwięki fałszywe, zlewając je w jeden zestrój, w jedno oratoryum. Przecież w następnych listach nawrócimy do téj muzyki i architektury chrześcijańskiéj; tam przeto, czegośmy się tutaj zlekka dotknęli, rozwiniemy dokładniéj, obszerniéj.

Pytałeś się, skąd się bierze ten splot wdzięczny figur Stwoszowych, to ich wzajemne do siebie odnoszenie a spływanie w jedną dramatyczną całość?—One się splotły w jedną całość harmonii pełną, bo i we wnę-

trzu ich rozwarły się wiekuistości głębie, co brzmią dźwiękiem pieśni nieskończonéj; a choć tony ich duszy są różne, zlewają się przecież w jedną harmonią jednym zestrojem i kontrapunktem prawdy nieskończonéj. Ich kontrapunktem jest miłość niebiańska. Te postaci gromadzą się około Boga-Rodzicy, co zasypia niebiańskim żywotem, łącząc przymierzem miłości niebo i stworzony świat, a nad tą gromadką unosi się Duch Święty, który ją ogarnia; ta gromadka jest wyobraźnikiem jedności kościoła, jedności połączonéj przez Wiarę.

Tak ogólnym zarysem skreśliwszy charakterystykę téj nowéj epoki, przychodzi mi w liście przyszłym okazać, jakie formy ona zrodziła w stosunkach ziemskich, czysto ludzkich, a mianowicie, czém była fantazya artystyczna tego nowego świata, którą zwykle *fantazyą romantyczną* zowiemy. Już teraz widzisz, że to głębokie bezdenne wnętrze chrześcijańskiego ducha jest przepowiednią, że i w tych ludzkich stosunkach liryczność płynąca z serca tajnéj krynicy, że uczuciowość, serdeczność rzewna, że muzykalność fantazyi będzie tutaj piętnem główném.

LIST XXVII.

Średnie Wieki.

(Ciąg dalszy).

Wstęp.— Władysław Biały książe Gniewkowski jako typ rycerza średniowiekowego.— Powód figur podobnych w wiekach średnich.— Bliższe ich oznaczenie.— Wojny krzyżowe.— Fantastyczność; poezya romantyczna.— Cechą tych wieków honor.— Miłość; miłość jako ustawa wszechrzeczy.— Miłość ziemska jest przejściem do miłości niebiańskiéj.— Dante, Petrarka, Heloiza, Barbara Radziwiłłówna, Walkierz i Helgunda.— Ziemskie pierwiastki życia romantycznego.— Zapatrywanie się w średnich wiekach na rzeczywistość i na naturę.— Witellio i Roger Bako.— Dwie wręcz sobie odwrótne Filozofie w średnich wiekach a pochodzące z tego samego źrzódła.— Zwolna zapoznaje się człowiek z naturą.— Katakomby.— Symboliczność.— Cimabue i Giotto.— Indywidualność inaczéj występuje w dziełach sztuki włoskiéj a inaczéj na północy.— Angelico da Fiesole.— Poezya romantyczna.— Fantastyczny świat.

Było to za onych czasów,— gdy w Łobzowskim ogrodzie nie wznosiła się jeszcze Estery mogiłka, którą natura, litując się miłośnicy biednéj, co wiosna stroi w pierwiosnki i fiołki ciche, aby, gdy ludzie odmówili napisu grobowego, choć same kwiatki świadczyły, że tu kochanie pogrzebione;— było to za owych czasów, gdy w rynku krakowskim naprzeciw Świętego Wojcie-

cha pysznił się jeszcze w gotyckie floresy i dziergane okna starego Wierzynka zdobny dom, kędy gospodarz posadził do uczty cesarza i czterech królów majestat;—było to w owe lata, gdy postać wspaniała Wielkiego Kazimierza, co dziś marmurem na Wawelu legła, żyła jeszcze życiem pełném, tchnęła sercem ciepłém, uczuciem tkliwém, ludom mądrością władając. Otóż gdy tak jeszcze na świecie było, w Awinionie, mieście francuzkiém, zebrało się grono ludzi z nad Wisły i Warty, co radząc i ważąc rozmawiali o sprawach publicznych i o kraju i o Ojcu Świętym. Nie lada też było to ich zebranie, a najzacniéj w niém ważył ksiądz Janko, co był Archidyakonem gnieźnieńskim.

Zanim zaś o tym szanownym księdzu Janku więcéj opowiem, przypomnę, że to właśnie pod te lata w tém mieście stało jeszcze promienne Apostolskie krzesło; więc jak krew do serca, tak do Awinionu, jako do wielkiego ołtarza wiary a ogniska kościoła, napływały wysłańce ze wszech stron świata a wyobraźniki różnojęzycznych ludów. Ciągnął tam i pielgrzym skruszony, by u stop Ojca Ś. wybłagać, wypłakać łaski duchowe, by ulżyć sercu, co konało pod ciężkiém brzemieniem tajemnéj winy. A byli znów i tacy, co z duszą swobodną, z myślą lekką, wesołą, wybierali się do téj pełnéj uroków stolicy, co ich nęciła, wabiła, jakby pieśń ukrytéj wdzięcznicy. Bo i w ustronia, najdaléj od świata odsadzone, dolatywały wieści o błogiéj naturze téj szczęśliwéj prowansalskiéj ziemi, o tém niebie jéj, co tak cudnych jasnych lazurów, o tych pagórach ubranych w gaje oliwne, w gęstwiny chłodne figowych, migdałowych drzew, a bajały wieści że tam pomarańcza, cy-

tryna wita wędrowca siejbą kwiatów wonnych a dziewice oczkiem jasném, jakby spójrzenie gwiazdek na niebie.

Wszak w téj naturze tak lubego uśmiechu wybujała też i poezya jakby w ogrody, jakby w gaje pieśni dźwięcznych. Boć to tutaj przecież prowansalów, trubadurów ojcowizna! Tutaj na téj ziemi gniazdo swoje miały ich harmonie czarowne, co tak rozkochane, tęskne i rzewne, i znów tak wesołe, ochocze, rozleciały się po świecie, niby ptasząt śpiewnych stado. Tutaj muzyka i miłość i piosenka umaiły żywot ziemski. Obok ciżby posępnéj ponurych, wyschłych pielgrzymów, ubranych we włosienice ciemne, w kapelusze muszlą naszywane, przyciśnionych brzemieniem winy, zabłysnął orszak lekki urodnych, śpiewnych trubadurów w szatach błyszczących, w czapeczce z piórkiem, w powiewnym płaszczyku a z lutnią w ręku: a z lutni strun, z ust urodzonego śpiewaka zrywają się kancony, i serenady, ballady i pastorelle i cały tłum piosenek światowych, co oblatywały, jakby amorki figlarne, piękne panie, szepcąc im i prawiąc i bając, aż też nie jedno serce rozebrały rzewném, tęskném marzeniem. I te pieśni wdzięczne, lube, miłośne, śpiewały od świtu do zmierzchu, od wieczora do zarania, a śpiewały przez dwa z okładem stólecia.

Patrz, trubadurów poezya nie umilkła jeszcze, tu i ówdzie jeszcze brzmiała ich śpiewka jakby pieśń słowika spóźnionego w miłości i kochaniu, gdy, pewnego razu, w tymże Awinionie,— w Poniedziałek, w sam wielki tydzień,— w kościele świętéj Klary, pojawiła się postać niewieścia, oblana poświatą wdzięków naj-

wyższych. Włosy jasne aureolą opłynęły niebiańskie oblicze, z pod długich rzęsów patrzały słodycze duszy anielskiéj, szata błękitna, w złote gwiazdki wyszywana, otuliła kształty idealne, nie z tego świata zrodzone; zdawało się, że widziadło nadziemskie, obłoczne, zestąpiło z wysokości rajskich wśród ludzi. Modliła się ta postać cudów pełna,— modliła się rzewnie, gorąco, jakby jeden z aniołów, gdy się modli za cały człowieczy ród. Obaczył ją młodzieniec, oparty w zaciszu samotném o kolumnę kościelną. Obaczył ją i jakby błyskawicą rozjaśniły mu się wszystkie własnego ducha głębie,—jakby wiekuistości iskra rozświetliła wszystkie jego piersi tajniki. Przyszły na niego strachy i dreszcze, mrozy i radości niewymówne; lęk tajemniczy, a wesele i tryumfy, mrozy i upały przejęły duszę jego; bo z przepaści duchowéj dźwigła się owa potęga co niby własna a przecież obca, co cudza a przecież swoja!— Błyskawica miłości rozpaliła w duchu płomień gieniuszu.— Młodzieniec, tą chwilą na wieszcza uświęcony, stał się prorokiem miłości po przez wszystkie czasy i wszystkie ludy. Bo miłość tych obojga kochanków,— ona tylko duchów ślubem; ona czysta, nieskalana ziemskim tchem, nieznieważona niezacném uczuciem wywołała z piersi młodzieńczych nieśmiertelne pieśni, co tchnęły serca upałem, a przecież były tak czyste, co śpiewały melodyą cudowną, a były tak rzewne, uczuć tak głębokich! Młodzieniec śpiewał Sonety, Kancony, w których miłość jego, choć na ziemi zrodzona, promieni się światłem niebiańskiém; te Kancony, Sonety będą na wieki świadectwem żywém, nigdy niezwiędłém o mocy niewiasty, gdy jéj wdzięki najwyższe, na ziemi

zrodzone, prześwieca uczucie bez skazy i niewinność anioła. To kochanie w piersiach wieszcza było mocniejsze niż śmierć, i przetrwało kochanki skon. Ulubienica zapaliła płomień natchnienia w piersiach śpiewaka, co go poprowadził na szczyt chwały, na kapitol Rzymski, po korony laurowe;— a wieszcz, tchnąc w swe pieśni cześć i uwielbienie dla kochanki duszy swojéj, udzielił jéj własnéj promienistéj chwały, udzielił nieśmiertelności swojéj na ziemi; więc już godłem nieskalanéj, przeczystéj miłości stało się na zawsze jasne Petrarki i Laury imie.

Widzisz tedy, że iście było po co ciągnąć do Awinionu wyobraźnikom różnorodnych ludów i wszystkich świata stron. Lecz też i dobrze wiesz, że choć tam w dalekiéj dali może piękniéj bywa i świetniéj i wspanialéj, toć tam przecież braknie własnéj strzechy i ojczystego nieba, co to drogie a miłe; lubo strzecha tak biedna, a niebo tak zimne i szare, choć tam w dalekiéj dali może piękniéj i świetnéj i wspanialéj, toć tam człek, jakby drzewo przesadzone, odchorować musi swoje,— a częściéj jeszcze nie wychoruje się nigdy ze serca tęsknoty; a choć będzie w pełni lata swojego życia, zżółkną jednak, jakby w póżnéj jesieni, liście duszy jego, i opadną liście zwiędłe, i nierozkwitnie już dusza myślą świeżą i ustanie w niéj krążące życie; człek będzie, jako drzewo wyschłe, upiorem samego siebie. Stąd w dali zaświatnéj, luby ci i wiatr z północy, i miłe wędrowne ptaszę, co żegluje przez morza do krajów, kędy nie ma mrozu; i witasz wiatry zimne, i ptaki wędrowne, jakby posłańce od ojczystych borów, od domowych chat;— stąd tak lubo i błogo, gdy

pod obcém niebem, wśród obcych ludzi, swój swojego obaczy; bo i miło razem z sobą pogwarzyć, i łatwiéj już i poradzić się, i pocieszyć, i rękę sobie podać i obronić się biedzie jakiéj. Tak już za granicą, wiele nie przebierając, tulą się łatwo swoi do swoich, jak to lgną do siebie powinowate pierwiastki, co lubo rozpuszczone w płynie zbierają się w kryształki. Nie ma tedy dziwu, że i w Awinionie mieli się do siebie ludzie spólnego pochodzenia, spólnéj mowy, zbierając się razem w różne grona, wedle różnego obyczaju domowego i rodowych chęci. Tam założyli gospodę zamorskie Angliki, ondzie słychać śpiewne grono Włochów, tu Niemcy poważnie radzą, tam Hiszpany harde ważą honoru sprawy; więc też trzymali się i Polacy razem, a przewodniczył im, jakem mówił, ksiądz Janko; bo też to był mąż i wielkiego wzięcia i zacnéj powagi, on przyjacielem od serca swojego Arcybiskupa. Wszak to on bywał i przy królu Kazimierzu Wielkim, on późniéj pilnował chorego pana swojego na zamku Krakowskim, on stał przy śmiertelném jego łożu; on to, pomyśl, on widział na własne oczy, jak konał ostatni Piast. Prócz tego, ten ksiądz Janko napisał nam jeszcze kosztowną kronikę spółczesnych dziejów, z któréj wyjąłem obrazek, który ci tutaj kładę.

Otóż, jakeśmy rzekli, Polacy w Awinionie ręka w rękę żyli z sobą, a choć różne ich były sprawy w papiezkiéj stolicy, przecież wzajemnie u siebie bywali i zwykle każdy znał każdego. Jednak wtedy żaden z nich nie przeczuwał, że nie daleko od Awinionu, w posępnym, od ludzi odbiegłym klasztorze żył mnich, ich ziomek, wielkiego rodu pan, krewny ich króla. On

przybył do Awinionu właśnie w czasie, gdy jeszcze żył Petrarka a Janko bawił jeszcze w tém mieście. Zaledwie jednak ten mąż tajemniczy ukazał się na dworze papiezkim,— gdy już nagle zniknął, zagrzebując się żywcem w tęsknych murach zakonnych.

Pod grubym habitem piekło się serce niepokojem bolesnym dręczone, pod kapturem ukryła się twarz, jakby pogorzelisko namiętności gwałtownych, przytłumionych, ale niewygasłych. On, uchodząc przed światem, przed sobą samym, schronił się do celi klasztornéj, samotnéj; modlił się i płakał, i pościł, i martwił ciało swoje— daremnie. Po ścianach posępnych klasztornéj, samotnéj celi przemykały się obrazy żywe przeszłości, sceny dawnego żywota, ale jaskrawo oświecone magią onych nieubłaganych potęg, co raz w sercu przebudzone już nigdy nie usypiają, nigdy nie zmrużą czujnego oka. Daremne modły i łzy, posty i samowolne ciała katusze; dniem i nocą przed oczy stawała postać kobieca, wdzięczna, luba, która niegdyś była jego życiem i kochaniem najwyższém. Zaledwie ten obraz rozpłynął się marą a już na jego miejscu dźwiga się jawidło krwawe z raną śmiertelną na skroniach, co gniewne i groźne straszy i serce lękiem ziębi. Ten mnich— to książe Gniewkowski Władysław, co go lud zwał Białym. On żył niegdyś w szczęściu błogiém, możny na Kujawach pan, z sercem rycerskiém i butném; wtedy on u króla był w łaskach, a we czci u narodu. Wyższym jednak nad światowe blaski było to szczęście, co mu kwitło radośnie w domowych ścianach. Umysł z przyrodzenia hardy i zuchwały, serce burzami miotane znalazło ukojenie w miłości małżonki. Ona uśmie-

chem, spójrzeniem, jakby talizmanem zażegnała cierpienia duszy jego, nakazując ciszę rozhukanym namiętności falom.

Wszak pewnego razu, w oddaleniu od małżonki, w nieopatrznéj chwili, demony przyczajone w sercu jego pchnęły go w kłótnię o granice ze sędzią Kujawskim; moce zdradne oczyniły myśl gniewem—sędzia ciosem śmiertelnym legł z ręki Władysława. Widok własnéj zbrodni wtrącił go w dumę i upor zacięty. Głuchy na rozkazanie królewskie, nie stawia się przed sądem, ubliża nawet majestatowi króla zuchwałą mową. Wtedy, jakby z bożego dopuszczenia, spada na niego grom niebios—małżonka, kochanie jego, umiera. Już na on czas duch Władysława, wstrząśniony do dna, korzy się i kurczy w boleści bez granic. Samowolnie odstępuje i lenności królewskich i dziedzictwa po dziadach; z przemożnego pana czyniąc się pokutnikiem, jako pielgrzym idzie do Jerozolimy, aby u grobu Zbawiciela znalazł ochłodę palących boleści. Znienacka atoli, wróciwszy ze ziemi Świętéj, pojawia się w Pradze na dworze cesarskim; tu otoczony wykwintem i blaskiem wysokiego rodu swojego, rzuca się w zabawy zawrótne, świetne festyny, w turnieje; więc pieśni, więc muzyka, więc uroki niewieście zagłuszają na chwilę wewnętrzne niepokoje. Wnet atoli napił się do przesytu uciech dworskich, a znudzony, znienacka, na podziw wszystkim, przyodziewa się w rynsztunek wojenny, rusza do Krzyżaków, przystaje do nich i wojuje Litwę pogańską.. Na miejsce dworskiéj wystawy, błyszczących uczt i tańców i śpiewów, teraz wołanie umierających,

konających jęki, obożne śpiewy, bitwy, łamanie się, gra o życie i śmierć, obstąpiły go do koła.

Wnet przecież, przykrząc sobie wojenne krwawe rzemiosło, Gniewkowski książe bierze na się postać skromną zwyczajnego wędrowca i dosięga granic Polski. Jak złe sumienie unika światła i ludzi, przebywa tajnie Kujawy, swoją ziemię ojczystą, zdaleka widzi wieżyce własnych niegdyś zamków, słyszy z za boru głosy dzwonów rodzinnych kościołów. On milczkiem przeprawił się, od nikogo niepoznany, przez ziemie i kraje swoje i obce, aż doszedł do Awinionu pod czasy, gdy tam, jak już wiemy, mieszkał właśnie Archidyakon Gnieźnieński. Rzekłem ci również, iż Władysław bez wiedzy swoich wstąpił do zakonu, naprzód do Cystersów, późniéj do Benedyktynów, (habitum griseorum et nigrorum mutavit, jak docinając wyraża się Janko) (*). Tu pogrążony w sobie żył modlitwą, dumaniem posępném, srogie odbywając pokuty; ze ściany cichy krzyż, a przez okna błękity niebios wglądają w serca jego tajemne pracowanie. Tak nad głową znękaną przeleciały lata, lata samotności głębokiéj, smętnéj.

Razu jednego, wśród ciszy klasztornych wbiegła lotna wieść o skonaniu króla polskiego Kazimierza. Wtedy zakonnik odtrąca precz od siebie pokuty, zrzuca kaptur a przeistoczony w butnego rycerza pędzi przez Strasburg, przez Niemcy na Węgry. Tam siostrzenica jego jest małżonką królewską. Władysław wyprosił od Węgierskiego króla świetne poselstwo z którém ciągnie do Ojca świętego, by wybłagać rozwiązanie za-

---

(*) Sommersberg Silesiacarum rerum Scriptores T. II. pag. 111.

konnych ślubów. Odprawiony z niczém od apostolskiéj stolicy, wziął się na zuchwałe, i na sobie tylko polegając, własnéj potędze ufając, wichrem przelatuje ogromne przestrzenie krajów, staje w Kujawach, a mając z sobą jedynie czterech towarzyszy, którym także drwinką strachy, a życie stawką marną, zjawia się znienacka w Inowrocławiu. Sam widok księcia korzy mieszkańców; potulnie przysięgają dawnemu Panu na wierność. Zanim się mógł obaczyć starosta Kujawski, Władysław, to podejściem wojenném, to wstępnym bojem, to przestrachem zabiera grod po grodzie, miasta po miastach. Tak dokazał swojego. W rychle rozpiera się na panowaniu całych prawie Kujaw, a nawet myśli o koronie, która mu czy marą czy nadzieją promieni z daleka. Butnie stawia czoło staroście i zastępom orężnym króla Ludwika; sztandary jego również szczęśliwe, jak zuchwałe, powiewały zewsząd na wysokich wieżycach zamków Kujawskich.

Jakby mu atoli jedynie chodziło o igry z losem, a krotochwile ze szczęściem i walką, wnet sckliwił sobie i boje i władze i rządy; porzuca zdobyte zamki, oddając je samochcąc Sędziwojowi staroście; zamyka się w odludnym zamku Ordzińskim. Zniknął światu z oczów; nikt go już nie widział; kto przechodził, obchodził z daleka Ordziń, a patrząc na te mury i baszty, jakby na gniazdo orła, natężał zmysły, azali znów nie usłyszy potężnego szumu skrzydeł jego. Ale w zamku Ordzińskim cicho, opuszczono, samotno.

Rok cały Ordzin przeczekał w milczeniu. Wtém jednego poranku powitała Wielkopolan wieść bajeczna, senna; słychać że Władysław dostał w jęctwo Krysty-

na starostę na Złotoryi, że uderzył na gród Raciążski, że wziął siłą orężną Gniewków. Pogłoski te jak burza rozbiegły się po Kujawach a nabrzmiały w olbrzyma, przewalając się od wsi do wsi, od zamków do zamków, przenikając trwogą i podziwieniem.

Nie mało by mi przyszło pisać, gdybym chciał choć polotem skreślić jakie to nowe teraz fantastyczne koleje miotały życiem Władysława, na jakie on znowu puszczał się harce szalonéj śmiałości, jako zdobywa grody warowne i znów je traci i znów odbija; jak raz odbieżony od swoich sam jeden ucieka Wisłą na łodzi, jak wnet znowu, nagle się pojawiwszy, gromi i bije i trwoży i straszy, i znowu dopada władzy; jak Władysław, swawolnie grając niby z losem w kości, wszędzie i zawsze całego siebie na hazard stawia, a jak los, co to zwykle kocha się w śmiałkach, podrzucił go też na wysokości władzy.

Władysław jednak stroi sobie w końcu drwinki z losu, pogardza nim i znowu wypuszcza powtórnie samochcąc całą zdobycz, okupioną tak twardym trudem i tysiącznémi przygody, oddaje zamki i grody, ale to pod jednym warunkiem:— jemu jeszcze chodzi o to, aby opuszczając kraj rodzinny opuszczał go jako rycerz, ze czcią, z honorem. Stosownie do umowy tedy, gdy wyjeżdża w całym rynsztunku rycerskim przez most zwodzony zamku Złotoryi, czeka na niego Bartosz z Weisburga, rycerz nieskalanéj sławy, a czeka na koniu, w zbroi, z kopią w ręku. Wedle układów złożyli kopie. Władysław ugodzony ciężko w ramie; mimo tego atoli dotrzymuje danego przyrzeczenia nieprzyjaciołom, ustępując z kraju.

Książe Gniewkowski, dopiéro co przemożny władzca, teraz tak ubogi że przeciwnicy jego wśpierają go zasiłkiem pieniężnym, Władysław ciągnie na Węgry, tam zostaje—opatem Benedyktynów! Czyliż tu koniec tego fantastycznego życia? Bynajmniéj. Opuszcza znów klasztor i t. d. Ale, com dotychczas opowiedział, wystarczy do celu naszego. Nie jestże to dziwne a fantastyczne zjawisko ta postać Władysława! Zaiste, nam ludziom dziś tak spokojnym, statecznym, potulnym, ten jego żywot łóżny, błędny, sprzeczny z sobą, migocący się we wszystkie światła i barwy, wydaje się jakby bajeczką wymyśloną na przekór codziennéj, wymokłéj prozie spółczesnego nam świata. A jednak ta cała figura awanturnicza jest typem wieków średnich; ba, to czasy romantyczne uosobione, wcielone w kości i krew! (*). Duch historyi chodził po ówczesnéj Europie siejąc tę siejbę swoją, ona też bujnie wschodziła; zewsząd, po wszystkich krajach i ludach rodziły się postaci podobne do naszego Władysława; wszak nie jedna z nich nawet zasiadła na tronie, odziana purpurą a z hełmem rycerskim na skroniach.

Te postaci fantastyczne są piérwszą osnową dla fantazyi romantycznéj, jak obaczymy jeszcze dokładnie poniżéj. Przecież ta fantastyczność awanturna niekiedy przekroczyła daleko po za progi średnich stóleciów; zjawia się i w dziejach nowożytnych; przypominam ci one postaci, co występują w wojnie 30 letniéj, jakby spóźnione romantyczne rycerze. W Polsce ten duch

(*) Ten Władysław Biały, wedle mojego zdania, mógłby być wyborną osnową dla powieściopisarzy naszych.

powiewał jeszcze bardzo późno; przykładem są sprawy Elearów polskich, niegdyś Lissowczyków, co się biją w sprawie cesarskiéj pod Wiedniem, a potém znajdziesz ich w stosunkach i do Bawarów i Hiszpanów i znajdziesz ich w Badeńskiém i nad Renem i niewiedzieć już gdzie; a czyny ich wojenne tak zuchwałe i śmiałe, że czytając je w książce ich kapelana ks. Dembołęckiego zdawałoby się, że to powiastki wymyślone, cudotworne, fantastyczne. Nie trudno o podobne zjawiska i późniéj jeszcze w Polsce. Przecież takowe figury są jedynie wyjątkiem w ostatnich stóleciach a prawidłem w wiekach romantycznych, bo w nich się rodzą, niby w rodzimém gnieździe swojém.

Skąd zaś wzięły się figury takowe w tych średnich wiekach, nie trudno zrozumieć, byleś się zgodził na wywody objęte moim listem ostatnim, a które ci tu z lekka na pamięć przywiodę. Rzekliśmy dawniéj, że istotą ludów klassycznych był zestrój, harmonii pełny, łączący treść wewnętrzną człowieka ze światem zewnętrznym, więc też ducha z naturą. U ludów zaś chrześcijańskich nastaje ów ogromny nawrót ducha do samego siebie. »Anioł, wysłannik innych światów, roztworzył we wnętrzu człowieka głębie wiekuistych prawd, okazał mu nieskończoność przemieszkującą w bezśmiertnéj jego istocie.«

Tak teraz człowiek czuje się być wyzwolonym od zewnętrznego świata; doczesność została przemożona;— natura traci panowanie swoje. Atoli świat średniowiekowy jeszcze surowy, jeszcze nieskruszony w butności swojéj, zuchwały i twardy, zrazu dopiéro po ludzku pojął te prawdy nieskończone, zastosował je też

po swojemu rzeczy ludzkich, bo wedle doczesnéj ziemskiéj ochoty swojéj; a tak uczucie nieskończoności, wyswobodzenie od więzów doczesnego świata, przetłómaczone z ludzka do ludzkich stosunków, zrodziło butność, dufne opieranie się na sobie i swobodę nieskończoną. Każdy chce być teraz wolnym też od węzłów społecznych, każdy teraz tonie w sobie, w siebie się patrzy, staje się samoistny i odrębny. Stąd społeczność cała jest teraz niby morzem iskier odrębnych, zbiorem punktów świecących, indywidualności osobnych, z których każda odnosi się do siebie saméj, jako do własnego ogniska swojego; tak rodzi się społeczność feudalna, a wyrażeniem kamiennémi tego rozjednostkowania są one zamki rycerskie rozpojedyńczone, okrywające ówczesną Europę. Nie ma jeszcze ogólnego tła, nie ma jeszcze silnych ogniw łączących te jednostki osobne w jedną ścisłą całość; a tém samém świat takowy jest właściwą sceną, po któréj te jednostki mogą bujać samopas, samotnie, niczém niezwiązane. Każda teraz indywidualność w sobie wyłącznie znajduje środek własnéj istoty, ona do siebie się odnosi, z siebie czerpie cały żywot swój,— ona jest wskróś liryczna. Ona cofa promienie duchowe ze świata zewnętrznego, cofa je ze społecznego składu i z natury. Ten świat zewnętrzny a przyroda, to teraz zwłoki bezduszne, puste i głuche w sobie, więc tracą dawne znaczenie swoje, i niby o tyle tylko jeszcze ważą, o ile są środkiem do wyrażenia téj przewagi i przemocy indywidualności człowieka nad tym światem zewnętrznym. Lecz w tém wyrażeniu się człowiek słucha tylko siebie samego; on z tego własnego, osobistego wnętrza

bierze modłę postępowania swojego. Nieskończoność atoli, odzywająca się w nim, nie jest jeszcze rozwiniętą myślą, rozumowaniem; ona występuje dopiéro ciemném, nieodgadnioném parciem, pojawia się jako uczucie. Przez barwiste więc szkiełka uczuć człowiek patrzy się teraz na świat; on wykonywa to, do czego go prze własne serce jego.

Gdy zaś ten zewnętrzny świat jest już teraz dla ducha ludzkiego bez znaczenia, gdy mu jedynie tyle zostało wartości, aby duch mógł na nim położyć oznakę nieskończonéj przewagi swojéj, przeto znać iż ta zewnętrzna rzeczywistość cała nie zdoła już wystarczyć duchowi; bo on radby obaczyć wizerunek własnéj istoty swojéj, a obrazem takowym nie może już być więcéj tuteczny świat; bo w duchu odezwało się wiekuistości poczucie, lubo jeszcze niepewne, ciche, instynktowe, a świat ten z doczesności się rodzi, jest sam tylko przemijającém, marném zjawiskiem. Stąd ród ludzki jest teraz jakby tęsknotą duszy młodzieńca o uczuciach niewymównych, z których sobie sprawy zdać nie zdoła; tęsknota nieskończona, niewytłómaczona brzmi w sercu jego; ta tęsknota robi w nim i pracuje i prze do czynów, wypiera w świat daleki; radby on cóś stworzyć, cóś zdziałać, obaczyć własną siłę swoją w dokonanych sprawach. To uczucie nieskończonego jakiegoś braku wzmaga się i rośnie a rośnie w potęgę, nie dając pokoju. Więc człowiek rzuca się w świat; a wodzi go przez świat, jak rzekłem, samo uczucie, a nie treść wyrozumowana, myśleniem rozwinięta. Stąd w tém parciu nie ma pewnego oznaczonego celu; radby on jedynie wytrząść z siebie ten niepokój gwałto-

wny, wyrzucić z siebie tę burzę a w łamaniu się z tą rzeczywistością wysilić z siebie te moce, co nim miotają; radby położyć na świecie zewnętrznym cechy swojéj potęgi i śmiałości samoistnéj. Szuka tedy przygód nadzwyczajnych, fantastycznych, puszcza się na awantury, igrając z losem. Jest to niepokój młodzieńczy; dla tego właśnie one czasy rycerskie butne i zuchwałe oblane są urokiem tak czarodziejskim dla serc młodzieńczych, żyjących jeszcze życiem wewnętrznémi duszy.

Otoż i tu widać ogromną różnicę ducha awanturniczego średnich wieków od przygód bohaterów w świecie klassycznym. Można zaiste Odysseę Homerową nazwać poematem romantycznym klassyczności; ale mnie się zdaje, że to porównanie, podobnie jak wiele innych, choć dowcipne, jest powierzchowne, bo miesza dwie rzeczy zupełnie różne. Gdy najgłębszym gruntem swoim odróżnia się świat romantyczny od klassycznego, więc i pojawy ich winny być wskróś różne od siebie. Duch grecki właśnie dla tego, iż jest w harmonii ze światem zewnętrznym i rzeczywistym, ku temu się też ma, aby treść swoją, swoje uczucia uiścił w rzeczywistości; słowem, jemu chodzi o cel swoich spraw. Ulisses w Odyssei przebywa w prawdzie awantury, jakby rycerz błędny, ale on nie szuka tych przygód dla przygód samych, one mu się nawijają same, on ich nie zaczepia, ma się tylko obronnie do nich, on dąży do pewnego celu; jemu chodzi o powrót do domu, do żony, do ojczyzny; on przemaga przygody częściéj roztropnością, a w ostatnim razie dopiéro używa męstwa. Przeciwnie zaś charakter na sobie oparty, odważny, śmiały, sadzący życie na igry aby właśnie okazać swo-

bodę zuchwałą, niczém nie krępowaną, jest głównèm tłem, na którém rysuje się postać rycerza średnich wieków.. Ta odwaga, to męstwo różni się od męstwa klassycznego tą właściwą sobie cechą, że rycerz waży życie, choćby bez celu (więc bez odnoszenia się do świata zewnętrznego), że je waży choćby tylko dla tego, aby okazał światu swobodę duchową i najwyższą niezawisłość, a co więcéj, aby sam się uczuł w téj swobodzie, w téj dzielności butnéj. Stąd zabawy i gry rycerskie, turnieje nawet często zaprawione krwią i skonem. Jak zaś u rycerza ta czynność zuchwała, to pasowanie się z rzeczywistością wyjawia przewagę ducha nad światem zewnętrznym i posuwa lekceważenie téj rzeczywistości aż do igier a żartów swawolnych z życiem; tak znów odwrócenie się od świata tego, zrzeczenie się przyrody i społeczności, pogarda tego, co życie daje, zamknięcie się we własnych duchowych głębiach przemieszkuje w ścianach klasztornych. To życie zakonne jest również przewagą ducha nad rzeczywistością i pogardą a lekceważeniem jéj; jest również wycofaniem ducha ze świata, z własnego ciała, ze życia, choć zupełnie w inném, różném znaczeniu, bo jest życiem czysto duchowém. We Władysławie, rycerzu-zakonniku, widzimy dwa te powołania uosobione w jednéj i téj saméj postaci, choć w różnych czasach. Oba zaś w średnich stóleciach spływają razem w zakonach rycerskich.

Czas ten, lubo tak kaleidoskopowy, lubo tak rzucający się bez oznaczonego celu, tworzy charaktery potężne, i ludzi dzielnych. Trzeba umieć życie ważyć, jeżeli tego potrzeba, by hartem wyrobić ducha swojego. Mło-

dzieniec, który nie przeszedł nigdy niebezpieczeństwa życia, nigdy nie widział śmierci przed sobą, który się nigdy z nią nie obaczył oko w oko, czyli to trafem czyli w dopełnieniu powinności, ten nie wychrzcił się na męża; duch jego wiotki jest niby bezkostnym miękczakiem.

Widać, że w średnich stóleciach istota człowieka rozpękła się na dwoje, bo duchowa strona przerosła zmysłową, idealna wzniosła się nad rzeczywistą; obie te potęgi zerwały przymierze swoje i nie łączą się więcéj harmonijnie z sobą. Właśnie zaś dla tego, że człowiek jest istotą zmysłowo-duchową, gdy niezdolen wyrzucić z siebie potęg natury, zatém się też dziać musi, iż te moce zmysłowe, choć na czas uśpione, nie mogą być zniweczone i dopominają się o prawa swoje w nieopatrznych chwilach, a odzywają się tém gwałtowniéj, że odstały od idealności, że się rozstały z duchem coby je uszlachetnił, uzacnił. Ztąd występują obok siebie i z kolei ostateczności, które miotają człowiekiem. A gdy, jak rzekłem, społeczność nie była jeszcze uorganizowaną, nie była powiązaną ścisłym węzłem towarzyskim, gdy nie znała tysiącznych nitek trzymających indywidualność w karbach prawa, obyczaju i zwyczaju; dla tego tém gwałtowniéj pojawia nam się teraz wszędzie to dziwne przerzucanie się z idealności nadgwiazdnéj w nizkie młaki grubéj zmysłów ochoty,— z uczuć rzewnych, miękkich, tkliwych w barbarzyństwo twarde, okrutne. Ostateczności atoli, które teraz ciskają człowiekiem, nie rosną już w kształty potworne, które przerażają, trwożą myśl w Indyach. Bo w świecie chrześcijańskim idealność nie jest już więcéj oną abstrakcyą głuchą, bezdenną, która niby to-

pielcem ciemnym chłonie i naturę i człowieka; tę idealność teraz napełnia treść głęboka, rozwinięta, przepromieniona prawdami wiary zbawienia; a z drugiéj strony też świeci nadzieja, że zmysłowa surowizna natury będzie obłaskawiona, okiełzana nauką chrześcijańską. Możnaby raczéj twierdzić, że średnie wieki pod wielu względami przypominają romantyczność mahometańskich ludów; ale zważmy, że zachodzi przecież ogromna różnica w pojawach obu tych światów. Abstrakcyjne wyobrażenie o Bogu w Islamie ma tylko potęgę ujemną, ale nie ma treści dodatnéj, nie przenika wszystkich stosunków człowieka, nie wznosi osoby jego do nieskończonéj wartości. Wiara chrześcijańska zaś przejmuje go wskróś, napełnia wszystkie serca przybytki, uświęca wszystkie drogi życia jego i nadaje mu znaczenie wiekuiste. Lecz zanim nauka ta Zbawiciela zdołała skruszyć, przemódz dzikie barbarzyństwo średnich wieków, długo jeszcze pasował się w sercu człowieka anioł światłości z demonem ziemskim; więc długo jeszcze umysł ludzki, pełen sprzeczności, kołysze się niepokojem, wykazując to jasne, to ciemne strony istoty swojéj.

Takim był człowiek pojedyńczy, takiemi były narody— ba, cały ówczesny chrześcijański świat. Rycerz błędny, o jednym koniu i rynsztunku, tak party jest niepokojem w daleki świat, jak Marco-Polo, co się puścił w zapadłe, nieznajome ludziom strony Wschodu, jak cała Europa, gdy nad nią hasłem zagrzmiało imie Grobu Świętego.

Wyznaję chętnie że wojny krzyżowe miały za jeden z głównych pierwiastków swoich uczucia wiary i

pobożności głębokiéj, ale też trudno zaprzeczyć, że europejskie ludy parte były tęsknotą fantastyczną, nieskończoną. Kipiąca żądza przygód, awantur zaledwie nie rozsadzi piersi młodzieńczéj Europy; trzeba było tylko słowa, nadającego nazwę tym uczuciom niewymównym, aby to słowo wcieliło się w serca wszystkich ludów i zapracowało w nich wrzącém uczuciem. Piotr Pustelnik, ów pielgrzym zbiedniały, opasany powrosłem, wyrzekł to słowo, a ono wpadło żarzewiem ognistém w duszę palną Europy, a ta stanęła pożarem, co ogarnął ówczesny świat od końca do końca, i wszystkie ludy i stany.

Ciągną więc do Grobu Świętego: Godfryd z Bouillonu, książe Normandzki Tankred, Rajmund hrabia Tuluzy, i wszystkie one postaci świetne, szlachetne, rycerskie, i biegną do Grobu Świętego tłumy tysiączne pacholąt, dzieci zbiegłych z rodzicielskiego domu, i przewala się na Wschód ów motłoch bez liczby, co, obrawszy sobie za przewodnicę gęś i kozę, rabuje, morduje po drodze, aż znów kupy onéj gawiedzi z kolei wyrznięte były do nogi; bo z dwóch kroć sto tysięcy awanturników, z których się składały, żaden nie ujrzał Ziemi Świętéj— wszyscy legli trupem jeszcze na europejskim lądzie.

Gdy hufce regularne dosięgły piérwszych palestyńskich pagórów, znagła stanęła na widoku Święta Jerozolima— cel życzeń serdecznych, a tęsknot gorących— oblana światłem różowém młodego świtu. Jęk radości niewymównéj przeleciał długie wojenne zastępy; rzucają się twarzą o ziemię; płacz rzewny rozebrał stwardniałe od dawna uczucia; modlą się, płaczą, błogosławiąc godzi-

nę, w któréj się na świat rodzili, kwilą serdeczném dziękczynieniem; więc obejmują się uściśnieniem wzajemném radości; znikły nienawistki drobne, płaczą pancerne męże, rozczulone serce do serca przytulając.

Runęły warowne baszty i mury Jerozolimy; przez wyłomy taranów wpadają tłumy orężne. Wojownicy, dopiéroco tak tkliwych uczuć, tak roztopnego serca, teraz, jakby morderczy źwierz pustyni, rzucają się na mieszkańców:— ryk wściekłego szału, jęk, od ulicy dó ulicy, od domu do domu gonitwa, mord, śmierć; bruki, ściany mieszkań posoką spluskane, kupią się trupy niewiast, dzieci, niemowląt stósem na stósach. W meczecie Omara zwycięzcy brodzą powyżéj kostek we krwi. Trwają mordy dzień i trwają noc; w końcu umilkły, bo nie stało sił zabójcom, nie stało i ofiar.

Jeszcze nie ostygła krew, tu i ówdzie dopiéro z pod kupy zabitych słychać ostatnie umierających westchnienia, — a już zastępy Europy przerzucają się w ostateczność, i znów ze łzami w oczach modlą się i płaczą, miękkie i czułe, niby kobiety lub niewinne pacholęta.

Krzyżowcy nie widzą przedmiotu, czém jest w samym sobie, ale czém je czyni własna indywidualność wewnętrzna człowieka; jéj szkiełkami patrzą na świat i własne dzieła swoje.

Lubo dotychczas w lekkich zarysach przypomniałem ci dopiéro jednę stroną dziejów ludzkich w wiekach średnich, będącą osnową dla fantazyi romantycznéj, przecież myślę, że z niéj już widać, iż ta sama

epoka historyi powszechnéj, która z siebie zrodziła fantazyą romantyczną, nastręczyła jéj zarazem bogatszą jeszcze osnowę, aby ta fantazya, ten cudowny kwiat miał się czém żywić w piękności swojéj, by znalazł i ziemię, z którejby brał sobie soki i siłę do rozwoju swojego.

Zaiste, zechciéj zważyć, że w saméj téj butności samowolnéj, rycerskiéj, puszczającéj się samopas przez życie, że w tym fantastycznym harcu, słuchającym jedynie natchnienia własnych osobistych uczuć swoich, zradzającym więc sprawy tak różne i łóżne, tkwi jakiś pierwiastek, który zestraja te sprawy rozmaite, stojąc im za spólne tło i dno. Zgadujesz zapewne, iż właśnie dla usposobienia, będącego cechą romantycznych wieków, ów pierwiastek również sam będzie potęgą wewnętrzną a odnoszeniem się ducha do siebie, jako do ogniska swojego;— on będzie również odwoływaniem się do indywidualnych osobistych uczuć, jako do najwyższych wyroków swoich. Tym pierwiastkiem a zakonem władnącym jest cześć, jest *honor*.

Jak różne barwy w obrazie łagodzą jaskrawość swoją tonem spólnym, co rozpływa, jakby chuchem, po całém malowaniu, nadając mu harmonią dźwięczną; tak i one sprawy awanturne, przygody łóżne, różnorodne nabierają jakiejś harmonii i całości, bo im wszystkim przyświeca honor, jako gwiazda oblewająca je wszystkie spólną poświatą lekką, duchową.

Wszak honor i cześć, jak wszystkie pierwiastki rodzące się w średnich wiekach, pochodzi z własnych głębin człowieka, z opierania się jego na sobie samym; jakoż honor i cześć jest uczuciem zupełnie indywidu-

alném, wypływającém z własnych osobistych głębin, z własnego sposobu zapatrywania się na świat. Każdy człowiek sam jest stroną i sam sędzią w sprawach swojego honoru. Co dla jednego jest obojętném, jest dla innego ciężką obrazą. Drobnostka, niemająca sama przez się żadnego znaczenia, nabiera ogromnéj wartości, gdy człowiek właśnie tę drobnostkę uważa za wyobraźnika swojéj osoby, swojego wnętrza. Tak tedy i tutaj przedmioty zewnętrzne nie są więcéj uważane za to, czém są same w sobie, ale za to, czém je mieć chce indywidualne przekonanie człowieka. Widzisz więc i tutaj przewagę ducha nad zewnętrznym światem! Dla tego wyrządzenie szkody materyalnéj, choć ogromnéj, nie jest obrazą honoru, jeżeli nie płynęło z chęci obrazy, jeżeli czyn przeciwnika nie wypłynął, również jak honor, z wewnętrznych przybytków serca jego. Świat klassyczny nie znał honoru w znaczeniu ludów chrześcijańskich, bo ani w Grecyi ani w Rzymie nie roztworzyły się jeszcze do dna wiekuiste głębie człowieka, bo tam duch żył jeszcze w harmonii z rzeczywistym światem, z naturą i społecznością, żył jeszcze życiem zewnętrznėm, i dla tego właśnie człowiek był raczéj obywatelem, niż człowiekiem. Jak przeto w starożytności téj człowiek nie uznaje jeszcze ogromnéj wartości swojéj jako człowieka, tak też, żyjąc życiem zewnętrzném, uznaje jedynie dostojeństwa, które na niego jako na obywatela spływają, które mu tedy idą ze zewnątrz, ze społeczeństwa; widzisz przeto, że tam nie ma jeszcze honoru, ale są dopiéro honory. Wszak jeszcze bohatéry i króle Homerowe lżą się i przezywają ostatniemi słowy, którychby nikt dziś nie przeniósł

na zimno; ale za to ich blisko obchodzi co jest rzeczywistém, zewnętrznćm, np. wszelkie niesprawiedliwe rozdzielanie łupów, a zatém krzywdy na własności dokonane; i toć to jest iskrą, podpalającą sławny gniew Achillesa za porwanie Brizeidy; ona nie jest jego kochanką w naszém znaczeniu, ale własnością, ale niewolnicą, nie mającą głosu w téj sprawie.

Wyobrażenia zaś o honorze mogą wystąpić w najprżerozmaitszych kształtach: to się jawią w formie zdrowéj, pierwotnéj surowości, to znów toż uczucie honoru kaprysi i przeradza się w dziwactwa chorobliwe.

Najdobitniejszych tego przykładów dostarcza Hiszpania, która właśnie jest krajem, kędy wyobrażenia o honorze rozwinęły się w całéj bujności swojéj. Któż nie słyszał o téj ciżbie pieśni, co zaśpiewały setkami sławę Cyda «el Campeador;» to był rycerz w całém znaczeniu; on przecież «był urodzonym w szczęśliwéj godzinie, on w szczęśliwéj chwili pasowany na rycerza.» Wiesz, że Cyd kocha Ximenę, córkę Gormaza, że ten zhańbił starego Diega, ojca Cyda, że Diego żąda od syna krwi obraziciela, że Cyd waży się w boleści serdecznéj między miłością a honorem, że w końcu uczucie honoru przemaga, a ojciec ulubienicy pada z ręki młodzieńca; wszak to już wiemy wszyscy z Corneilla, nam atoli mniéj o to chodzi; daleko więcéj, jak myślę, do naszego celu nadaje się scena następna, tak charakterystyczna, a znajdująca się w jednéj z tych starych pieśni. Gdy jeszcze Diego, rozpaczając nad zadanym sromem, szuka mściciela z pośród trzech synów swoich—oni stają przed ojcem. Starzec pragnie doświadczyć ich dzielności. Choć głowę pokrywa siwizny biel, uczucie honoru dodaje sił

olbrzymich starej zlodowaciałej krwi. Ująwszy ręką dwóch starszych synów prawicy, tak je ścisnął, że obaj młodzieńcy krzycząc z boleści zawołali «puść nas ojcze, bo umrzémy.» Wtedy skonała prawie nadzieja zemsty w sercu ojca. Zbliża się atoli jeszcze do najmłodszego syna, którym właśnie był Cyd, i jego prawicę uścisnął ojciec; ale młodzieniec, obrażony tym czynem ojca, rozgorzał śmiałością i szałem,» jak tygrysowi Hirkanii zabiegły z gniewu oczy krwią i krzyknął na ojca: «Od-»stąp ojcze, bo biada tobie! odstąp, bo ani będę zwa-»żał, żeś ojcem moim — ani zważać będę na żadne sło-»wne przeproszenia; ja, jakby puginałem, témi palca-»mi mojemi przebiję wnętrzności twoje!» — Wtedy ojciec zapłakał z radości i zawołał: — «O synu duszy mojéj, »twój gniew jest dla mnie pociechą — twoja tkliwość »na obrazę jest najwyższą rozkoszą moją. Ty mi zdo-»będziesz honor utracony!» — Ojciec błogosławi syna i podaje mu własną szpadę, i t. d.

To się dzieje w XI-tym wieku, za naszego króla Kazimierza I. (Mnicha) a 600 lat później Calderon w tragedyi «Lekarz swojego honoru» przedstawił, jak Don Gutierre zabija małżonkę swoją ukochaną niewinną; zważ, że w tém zabójstwie on nie tak szuka zemsty krwawéj z powodu niewierności i popełnionéj winy, jak raczéj dla tego, że małżonka «w oczach świata» nie promieni już w czystości nieskalanéj; więc nie miłość, śmiertelnie raniona, ale raczéj utrzymanie honoru przed światem wymaga śmierci małżonki. Dla tego, po dokonaném zabójstwie, Don Gutierre powiada do króla:

Kto rzemiosłem się trudni,
wyjawia je wywieszonym znakiem;

mojém rzemiosłem honor jest,
a ta ręka, krwawa znakiem moim!
Honor obmywa się krwią!

W końcu téj tragedyi ten sam Don Gutierre na rozkaz królewski zaślubia się małżeństwem Leonorze. On jéj nie kocha, ale winien jéj to zadosyćuczynienie honorowe, bo był niegdyś jéj narzeczonym, a opuścił podejrzywając ją o lekceważenie honoru jego. Wszak powiada do Leonory:

wiedz, że byłem honoru mojego
lekarzem, a nie oduczę się
umiejętności téj!

Lubo sprężyny, działające w téj tragedyi, nie są prawdziwém patos, wypływającém z głębin czysto ludzkiéj istoty, to przecież całe zapatrywanie się jest nie równie jeszcze zdrówszém, niż owa kazuistyka z gruntu chorobliwa, którą w innych tragedyach hiszpańskich spotykamy.

Przecież jak w każdéj ostateczności tkwi jéj uleczenie, tak i samowolne wyobrażenie o honorze, dotarłszy do ostateczności swoich, nawraca w siebie, znów się miarkuje. Zaiste, uczucie honoru wypływa z własnego wnętrza człowieka, ale z drugiéj strony znów na tém stoi, aby przecież honor był także uznany od innych ludzi; otoż to oglądanie się na innych ludzi już miarkuje, łagodzi osobiste, ciasne, zacięte wyobrażenia, zbliżając je do ogólnego się zapatrywania w świecie, zatém do ustaw rozumu, bo te zaiste są ogólnemi prawami.

I ciemności były nad głębokością (Genes. 1. 2.)

Ciemne były i próżne światów bezdenne przestworza; lecz wsród nocnych przepaści, wśród głuchéj bezdeni wstąpiła miłość, miłość światłością promienna. Więc wśród próżnéj ciemnicy, wśród głuchéj otchłani przebudziły się gwiazdy, ocknęły się gwiazdy do wzajemnéj miłości, ocknęły się z marzeń ciężkich, a z głuchego snu. Gwiazdy jasne, słońca świeciste, jako druhy stworzenia, puściły się kołem weselném, wieńcem radośnym, i śpiewają i grają Bogu na cześć, miłości na cześć. Bo miłość jest nutą światów, a tonów ich miarą. Gdyby jednego z tych braci jasnych, świecistych brakło w kole weselném, jużby zmarły ich tany, jużby gwiazdy wszystkie wróciły do nocnéj ciemnicy, do głuchego snu; więc te światy niebiańskie, miłością wzajemną złączone, w każdym rówienniku swoim wszystkie widzą siebie, a każdy z nich we wszystkich kocha i miłuje własny żywot swój; w każdym świeci się i źwierciedli cały naród gwiazd na niebie, i tany ich, i życie ich.

Ziemia śpi i marzy — dech jéj ulata ku niebu i buduje się w obłoczne grody i wiąże się w fantastyczne chmur postaci, niby śpiącéj ziemi widziadła senne. Niebo kochaniem wzajemném odpłaca za duszy jéj widziadła, za świeciste grody obłoczne, bo rozpływając się dżdżem po niwach jéj i gajach jéj poi życiem, poi rozkosznéem weselem.

Miotają się w boleści morskie kipiące topiele, grzmi piorunny oceanu szał; to dęba stają kędziorne dzikie fale, to nikną, rzucając się w otchłanie pieniące. Lecz choć miota się boleścią, choć grzmi szałem przepaść morskich wód, wzajem liczą, wzajem ważą, mierzą ru-

chy swoje rozhukane morskie fale: każda z nich, czy się wzbije, czy przepada, jest powodem, jest i skutkiem ruchów innych fal; każda czy się wzbije, czy przepada, jest powodem, jest wzajem i skutkiem całéj morskiéj dzikiéj gry.

W domku drewnianym mieszka igiełka mała, co jéj wiecznie tęskno, tęskno do biegunowych gwiazd; choć odwrócisz ją przemocą, choć przetrącisz nawet, ona sili się i mocuje by ci wskazać piasty świata. Igiełka cicha, nieporuszona patrzy, kędy ją miłość ciągnie, a miłość jéj na dwóch nieba kończynach. Ona cicha, nieporuszona, niby śni i marzy o kochaniu swojém; lecz niespodzianie, nagle czegoś zadygotała w sobie, czegoś się rzuca, drży, jakby ocknęła się w niéj dusza, i miota się, i ciska to na wschód, to na zachód, to główkę wysoko podźwignie, to ją głęboko spuści i kołysze się i drży, jakby strachem, lękiem niepokojona. W téj saméj godzinie, w téj saméj chwilce, po całéj części świata, wszystkie igiełki, choć zamknięte w ciasnéj izdebce swojéj, choć o setki mil od siebie odległe, miotają się, ciskają strachem i lękiem. Skąd igiełkom te niepokoje i trwogi? Na biegunie, na piaście świata mocują się i łamią, i walczą potęgi Natury, pokrewne igiełce; igiełka czuje ich pasowanie się i jakby jasnowidzeniem serca odgadła wszystko, choć zamknięta w domku małym. Stąd jéj lęki i trwogi!

Pszczółka brzęczy wesoło — brzęczy poranny paciorek swój, i pozdrowiła kwiatek co tęsknił miłością i biedził się miłością, a kwiatek dał jéj miodu i powierzył pszczółce tajemnicę kochania swojego, i poleciała pszczółka w posły do drugiego kwiatka, co i przyjął oświad-

czenie lube, i także słodko podziękował pszczółce, a ona tak się sprawiwszy ulatuje i brzęczy wesoło. Latem kwiat-miłośnica przeistoczył się w owoc wonny, złocisty i wdzięczny. W owocu tym ziarnka małe, a w ziarnkach we śnie zwinięte przyszłe drzewa, przyszłe kwiaty. Ten owoc wonny, złocisty, i te ziarnka małe, toć zaiste kochania kwiatów i pszczółki brzęczącéj sprawy!

I był ogród, w nim tłumne rody ślicznych kwiatów, co postrojone w sukienki cudnie wyszywane, a wystroiły się i ubrały kwiatki, bo były miłości tęskne. Jedne rade hołdom pszczółek, co im grały i śpiewały piosenki zakochane; inne patrzały za motylkami, co utrefione w barwy światowe lekkim rojem oblatywały kwiaty zalotne; inne kwiatki smutne, że bez hołdów pszczółek a służby motylków, zwiesiły główki i patrzały w ziemię, drobnym świecącym robaczkom dając posłuchanie; jeden tylko kwiat samotny w górę zwrócił oblicze swoje i w niebo patrzał. A niebo spuściło na kwiaty rosę swoją, a i wszystkim kwiatom udzieliło po rosy kropelce. Więc i onym kwiatom motylki, drugim pszczółki wypiły rosy kropelkę, a kwiatki, co w ziemię patrzały, wypłakały swoją kropelkę co była niebios darem, a ona, jak boża perełka, spłynęła, spadła i zginęła w ziemi niewidomie. Ten zaś kwiatek, co w niebo patrzał, niebu posyłając wonie na ofiarę, zachował kropelkę jakby oczko błyszczące, a w tém oczku jego przezierało się niebo całe.

Zaprawdę, co stworzone jest, tęskni miłością, tęskni miłością do innych jestestw, co równie wykluły się na ciepłéj stworzyciela dłoni; zaprawdę, wszystko co stworzone jest, zmierzone, zważone jest wedle innych stworzeń, jest zarazem środkiem i celem wszyst-

kich stworzeń; zaprawdę, wszelkie stworzenie brzmi tonem we wszech światów harmonii, a im wyżéj postawił Ojciec jedno z jestestw swoich na szczeblach stworzenia, tém ono ściśléj zestrojone do całego koncertu natury, tém wyraźniéj z niego wysnuć zdołasz całość wiekuistéj kompozycyi i miary jéj i akkordy; tém wyraźniéj w niém złożona zarodem cała myśl stworzenia. Czyliż człowiek ma stanąć niżéj gwiazdy, lub obłocznéj igry, niżéj ptasząt gromady i rozhukanych wód? niżéj kwiatka lub owadu lub igiełki bezdusznéj ? Wszak człowiek jest przyczołem jestestw stworzonych; na nim spoczęły piérwsze promienie i ostatnie promienie myśli światorodnéj; z miłości dla człowieka Bóg stworzył świat, więc człowiek był powodem stworzenia. Wszak Bóg stworzył człowieka, gdy świat stanął już gotowy przed Bożém obliczem, i gdy «wszystko, co było uczynione, było uczynione dobrze» (Genes. I.); tak człowiek był i skutkiem stworzonego świata a zarazem powodem jego. Więc też w nim złożony zaród, z którego się snuje całość onéj wiekuistéj kompozycyi; ten zaród jest w duchu jego, w duchu myślącym, czującym. Duch człowieka ogrzany, oświecony Bożą poświatą, rozwinął myślą zaród ten, rozsnuwając samego siebie, rozsnuwając się tęsknotą nieskończoną, miłością bez granic; bo duchowi stworzonemu tak ckliwo, tak tęskno i duszno w tém samotném oddzieleniu od Boga.

W piersiach człowieka świeci ducha kwiat, a na listkach kwiatu drży rosy kropelka, niby oczko niebiańskie; niechaj się duch ku niebu zwróci a w duchu przejrzy się wiekuistość cała. Wiara Zbawienia zwróciła też

ducha kwiat ku niebu, a nieskończoność rozpromieniła się w sercu.

Ckliwo i tęskno duchowi ludzkiemu, by wiekuistość swoją obaczył. Zanim zaś anioł śmierci, zesłannik Pański, zdejmie kataraktę z oczu duchowych, wprzód, by nie olsnęły nieskończoną Bożą jasnością, prowadzi jakoby za rękę człowieka na wyższe a wyższe szczeble, do wyższéj a wyższéj światłości; i aniół wiedzie go zwolna od ziemi na szczyty niebiańskie. Człowiek nawzajem, w miłośnéj tęsknocie ujrzenia nieskończonéj istoty swojéj, pragnie gorąco rozświecić nawet ziemskie zjawiska, rozświecić je tym promieniem, co w nim światłością płonie. Takto ziemskie zjawisko, choć samo z nizin doczesnych zrodzone, staje przed nim w gloryi niebiańskiéj chwały; bo wszelkie nawet uczucia ziemskie, byle przepromienione owym ogniem bożym, nabiorą świętości nieskalanéj i wiekuistego znaczenia, a z niemi też i przedmiot ów, do którego uczucia tęsknią, otuli się nieskończonym, nadziemskim urokiem.

Tak się tedy dzieje, że gdy tęsknota bez granic rozbierze niewymownėm uczuciem serce młode, czyste, nieznieważone grubym zmysłów pyłem, już wtedy miłość na świat się rodzi, miłość, któréj przyświeca wiekuistości płomień, miłość pokrewna owym zwiastunom niebiańskim, co żyją w nieśmiertelnym duchu człowieka.

Postać ukochana jaśnieje wdziękami nie z tego świata, bo serce miłujące użyczyło jéj własnego nieba swojego; co zacności, co uniesień szlachetnych, co uczuć świętych a prawd wiekuistych w sercu kochanka, tém wszystkiém on przyodział postać ulubienicy swojéj. Te anioły wszystkie, mieszkające w sercu jego, jako w nie-

bie swojém, ustroiły postać drogą, lubą w kwiaty wiekuiste, uzbierane w rajach Bożych. Tak duch kochanka przeziera się w postaci ulubienicy swojéj; im tedy on sam bogatszym będzie treścią głęboką, im on sam będzie wyższéj wartości duchowéj, tém wyższym urokiem, tém wyższą świętością oblany pojawi mu się wizerunek téj jego ulubienicy. Tą kochanką jego jest iście sam duch jego własny; on się w niéj widzi, sam się w niéj kocha. Ten obraz jéj jest jego własną duszą, jego własném życiem duchowém, więc on też za tę miłość swoją chętnie daje ziemskie życie. Tak miłość ta trwa po za groby, ona mocniejsza niż śmierć.

Gdy ta miłość jest najwyższym szczytem ducha, więc gdy znajdzie wzajemność, już wtedy na nią pada szczęście najwyższe, bo wzajemność jest świadectwem dla kochanka o własnéj wartości jego. Tak miłość rozdaje i radości nadziemskie i rozpacze bezdenne; z miłości «wykwita i róża czerwona błogiego szczęścia, i róża biała skonu.»

Ta miłość duchowa, idealna, romantyczna, nieznana pogańskim narodom, pojawiła się ludzkim dziejom w wiekach średnich; ona również poczęła się światu gdy głębiny wiekuiste roztworzyły się w sercu człowieka, ona również jest skutkiem wycofania się ducha ze świata rzeczywistego, zmysłowego, we własne przybytki, w świat idealny, nieskończony; jest ona echem śpiewów anielskich. Wszak Dantego u wrót niebios przyjmuje Beatryxa, co niegdyś była kochaniem jego na ziemi, życiem duchowém w doczesnym żywocie; ona go prowadzi przez wiekuiste państwo nieskończonych radości.

Słuchaj śpiewu wieszcza tego: «Jako orzeł w słoń-»ce, ulubienica patrzała w jasności Boże, i spojrzała »w oczy moje; a to spójrzenie błyskawicą wpadło przez »oczy do wnętrza ducha mojego i rozpaliło w nim po-»tęgi nadziemskie: więc już wzniosłem śmiało w górę »wzrok, wzniosłem go śmiało do wieczności zdroju; lecz »olśniony nie wytrzymałem żarów iskrzących, spuściłem »źrenicę! A ona znowu patrzy się w jasne niebios krę-»gi; a ja, odwrócony od wysokości płomiennych, ssałem »oczyma światłość z oblicza jéj — wyssałem zachwyce-»nie! Zachwycenia tego nie wypowie już żadna ziem-»ska mowa; rozumie zachwycenie tylko ten, kto łaską »przebudzony! Czyli byłem w téj chwili duszą tylko? »Powiedz mi, o miłości, ty niebios przewodnico! coś mnie »na promieniach światłości twojéj uniosła — uniosła do »wiekuistych sfer.» (Paradiso, pieśń I).

»I znowu spójrzała na mnie ulubienica moja; z oczu »płonęły miłości ognie, z oczu, co przeczyste, jasne, jak »Boże źrenice, a ja przemożony już spuściłem wejrze-»nie moje, tracąc samego siebie, a ona rzecze:—Jeżeli »ci jaśnieję miłości żarem, jaśnieję światłością nieezna-»ną na ziemskich padołach; jeżeli promienie oczu moich »mroczą źrenicę twoją, niechaj nie będzie ci dziwem, »mój wzrok rozpalony jest owém widzeniem, co im w głęb-»szych nurtuje światłościach, tém potężniéj pociąga ku »sobie.» (Koniec pieśni IV i początek V).

A Petrarka po śmierci Laury śpiewa:

»Niebios ślakami uniosłem się na lotach duchowych, »bym obaczył w niebie, co zniknęło dla ziemi! I oba-»czyłem ją otoczoną trzecim niebios kręgiem; ona te-

»raz ochuchana wdziękiem wiekuistym, ona teraz już »bez dumy podała mi rękę i rzekła: W tém jasnosci »kole zaślubieni będziem na wieki; ja jestem miłością »twoją, za którą mocowałeś się niegdyś tak ciężką wal»ką, jam opuściła ziemską pielgrzymkę przed żywota »mojego wieczorem. Rozum ludzki nie obejmie szczę»śliwości mojéj, oczekuję jedynie jeszcze ciebie, co tak »długo kochałeś szaty doczesne, co już pochowane na »dole — na ziemi.»

Tak jest, ta miłość idealna, romantyczna, ona pojawiła się światu, gdy się rozstąpiły niebiańskie głębie w duchu człowieka; ta miłość jest pokrewna owym zwiastunom niebiańskim, co żyją w nieśmiertelnym duchu człowieka; ona mogła pojawić się jedynie u ludów chrześcijańskich, ona również jest skutkiem wycofania się ducha ze świata rzeczywistego, bo kochanek w ulubienicy nie widzi, czém iście ona jest, ale widzi czém ją uczyniła miłość jego. Miłość ta, będąc również, jak uczucie honoru, życiem wewnętrzném człowieka, na sobie się opiera, w sobie ufa. Gdy atoli honor jest wyrazem najwyższym samoistności, miłość odwrótnie żąda zrzeczenia się siebie i oddania własnéj istoty. Butność młodzieńca i hardość łamie się o potęgę miłości; tutaj egoizm po raz piérwszy się ściera; młodzieniec zuchwalstwo swoje, samolubstwo i upór dumny, zacięty składa u stóp kochanki. Miłość jeszcze potężniéj i głębiéj niż honor jest odnoszeniem się do wewnętrznych uczuć człowieka; więc jeszcze mniéj niż honor ogląda się na obce zdanie, na wtrącanie się, na rozsądkowanie cudze, boć ona przecież nie powstaje w skutek rozsądkowania i siebie świadomego myślenia a jest mocą, która owładnęła

ducha, stając się jego mistrzynią a panią. Miłość jest patos, co porywa, unosi bezświadomie, mimowolnie, i w tém podobna do geniuszu, który zarazem jest potęgą niby obcą, a przecież swoją. W miłości jest rozłamanie się ducha na dwoje; bo zarazem człowiek niby działa wedle woli swojéj, a przecież jest bezwolny,— w niém świeci myśl jasna a przecież oczyniona—on jest sobą a przecież nie swój, nie jest sam sobą.

Barbara Radziwiłłówna pisze do Zygmunta listy pełne tęsknoty rzewnéj i ufności bez granic «Jeżeli W. K, M. pan mój ze mną, któż przeciwko mnie?» i znów w innémmiejscu: «Posyłam ja też W. K. M. pierścionek od wiecznéj niewolnicy swojéj, racz W. K. M. miłościwie przyjąć on zegareczek ode mnie, bogdajby mnie rychło oznajmił fortunną a wesołą godzinę przyjechania W. K. M. sam do nas.» W tych wyrazach pełnych prostoty i uczucia znać że Barbara kochała Zygmunta Augusta choćby i nie był królem, i dla tego też, gdy gromem spadła na niego śmierć ulubienicy jego, on w słoty i burze odprowadza jéj zwłoki do grobów wileńskich; przez ciemne puszcze Litwy idzie droga do przybytków śmierci — czarne konie ciągną karawan, na którym Barbara w trumnie; obok karawanu na koniu król ze smętkiem w sercu. On wiedział że Barbara kochała w nim nie króla, ale kochanka (*).

Więc też posłuchaj co pisze w téj mierze Heloiza przeszło czterysta lat wcześniéj.

Heloiza do Abelarda w jednym ze swoich listów łacińskich tak się wyraża: «Bogiem się świadczę, gdyby

(*) Ob. L. Siemieński w dodatku do „Czasu" r. 1850. N. 12.

»Augustus (Cesarz), pan wszechwładny ziemi całéj, uznał »mnie godną pojąć za małżonkę swoją, gdyby mi oddał »cały świat pod panowanie moje, toćbym przecież uwa»żała być wyższéj zacności stać się ulubienicą twoją, »niż świata panią. Niechaj się żadna z kobiét nie łu»dzi, niechaj wié, że jedynie sprzedaje osobę swoją, gdy »się zaślubia chętniéj bogatemu niż ubogiemu mężowi; »niewiaście takowéj należy się raczéj zapłata pieniężna, »niż miłości cześć» i t. d.

Miłość zaiste nie radzi się myślenia. Póki miłość w sercu panuje, póty téż człowiek nie zdoła odróżnić siebie od tego uczucia swojego; nie zdoła przeto badać i ważyć téj miłości swojéj; bo gdy ją bada, rozbiera, gdy nad nią rozumuje, myśli, już wtedy odróżnił się od niéj; już wtedy ona jest czemś różuém od istoty jego i już nie masz miłości. Właśnie zaś z powodu iż miłość jest tą mocą czarodziejską, tém uczuciem patetyczném, co czyni człowieka bezwolnym i wolnym zarazem, co go unosi, porywa nurząc się w najgłębszych toniach duszy jego; właśnie dla tego miłość jest tak niewyczerpaną, tak nieprzebraną nigdy osnową dla fantazyi chrześcijańskich ludów. Jak zasiew w Maju, tak puściły się pieśni miłości, i na wschód i na zachód, na północ i południe Europy i brzmiały te pieśni w ludach chrześcijańskich i germańskich i słowiańskich. Miłość wylewała się dźwiękiem lirycznym, uosobiała się w postaci epopei, aż i w poźniejszych wiekach, w następnéj epoce, stworzył się dramat miłości, który śmieje się i żartuje w komedyi, lub kona w tragedyi.

Nie zaprzeczam ci, że ta miłość romantyczna, tak idealna, właśnie dla téj idealnéj natury swojéj porywała

człowieka często w drugą ostateczność, w drugą sprzeczność, więc w grubą, brudną, zmysłową ochotę. Boć ostateczności są, jak wiesz, cechą średnich wieków. Tak obok wdzięków niebiańskich, niebolotnych Dantego i Petrarki nie brakło w całéj ówczesnéj Europie przygódek, jakie nam maluje Boccacio, lub przedstawia żywot nie jednego z lekkosercych Trubadurów. Bywały historyjki podobne do owych scen, które się odbyły między Walkierzem i Wisławem, a panną Helgundą, królewną frankońską, która tak się roztkliwiła pięknemi śpiewkami, które jéj nocą pod oknami nucił nasz Wałkierz, że się też dała wyśpiewać z ojcowskiego zamku i uprowadzić aż tu do nas pod Kraków, na zamek Tyniecki. Przypominam ci, jako ta dama zagraniczna spisała się w Polsce — jakto ona zachwyciła się urodą Wisława, którego Walkierz trzymał w wieży Tynieckiéj, jakto ona w nieobecności małżonka, uwolniwszy ślicznego rycerza, uszła z nim do Wiślicy, i jakto Walkierz wróciwszy z wojennéj wyprawy, po scenach, które pomijam, jedném cięciem zabił oboje kochaństwo. Wszak długo poźniéj jeszcze widziano kamień, w którym wyrzeźbione były sceny Walkierza i pani Helgundy, jako na przestrogę a naukę moralną sercom kochającym.

Zgadzam się też chętnie i na to, że ta miłość idealna wyradzała się w przesady dziwaczne; wolno ci się uśmiéchać, gdy sobie pomyślisz owego rycerza, co się wałęsa, błąka po świecie, i wyzywa i walczy i goni na ostre z każdym, coby śmiał wątpić o piękności damy, któréj poświęcił służby swoje. Wolnoć żartować z owych piękności, które przyrzekały rączkę i serce wielbicielowi swojemu pod warunkiem aby np. za rok sześć nie-

dziel złożył u stóp jéj z pół kopy wizerunków damskich, odebranych innym rycerzóm walką krwawą. Niechaj sobie drwi dzisiejsze pokolenie z owéj miłości idealnéj, romantycznéj, przesadzonéj, aleć mnie się zdaje, że choć sobie może żartować z owych czasów, jednak mu nie wolno niémi pogardzać: zacniéj podobno dziwaczyć się z idealami w sercu i gonić je uczuciem ponad gwiazdy, niż tarzać się w młakach samolubnych; z tym szałem bezrozsądnym piękniéj podobno ówczesnym rycerzom, niż wielom z dzisiejszych, których miłość spekulacyą a duszą tabliczka mnożenia.

Zważ jeszcze — jak miłość uczciwa, idealna, serdeczna łamie, jakeśmy rzekli, butność zuchwałego chłopca i kruszy w nim samolubstwo, tak też i ta miłość romantyczna głównie się przyczyniła do przemożenia barbarzyństwa dzikiego wieków średnich; ona pomogła do strącenia surowizny uczuć twardych, upartych, butnych, ona przekłuła serce, nieużytą skorupą odziane, i tak przygotowała Europę do cywilizacyi i kultury.

Otoż fantastyczność awanturnicza, dzielność samoistnych charakterów, śmiałe męztwo, honor, miłość idealna, były ziemskiémi pierwiastkami, które składały życie romantycznego świata. Moglibyśmy tu inne jeszcze wytknąć potęgi, które podobnie robiły i kipiały w sercu tych poetycznych czasów, lecz te, które wymieniłem, wystarczą. Chciéj tylko zważyć, że wszystkie te pierwiastki weszły w krew i soki nowożytnéj Europy, że w niéj żyją i tętnią pulsem żywym, choć często niewidnym.

Te pierwiastki wszystkie właśnie stanowią fantazyą powszechną (List XI), fantazyą rozlaną w duszy ludów,

a która jest osnową bogatą, a morzem nieprzebraném, wiecznie żywym zdrojem, z którego czerpie fantazya artystyczna wieków romantycznych; ta osnowa staje się jeszcze obfitszą, bezdenną, jeżeli będziesz baczył, że te pierwiastki nie tylko występują po jednemu, z osobna, ale najczęściéj ważą się z sobą, walczą w sercu, zderzają się i krzyżują kollizyą, a tak nowe a nowe zradzają osnowy, których nie znała fantazya starożytna. Zważ jeszcze, że te moce i pierwiastki same znów odziane są w promienie wiary, nadającéj cechę tak przeważną fantazyi chrześcijańskich ludów, jak to widziałeś w liście moim ostatnim.

Ta osnowa wszystka — toć zaiste kopalnia nieprzebranych skarbów, co ukryte w podziemnych, nocnych przepaściach górskich, strzeżone przez demony zazdrośne; lecz ile razy zjawi się mistrz, zwiastun przeszłości, już részczką czarnoksiężką odgadnie te skarby; one zapłoną ogniem, a zazdrośne demony uciekną spłoszone potęgą magiczną prawdziwéj poezyi.

Cała ta atoli osnowa, wszystkie pierwiastki téj fantazyi powszechnéj rodzą się właśnie z owych głębin duchowych, które rozpromieniły się we wnętrzu człowieka; one wszystkie były wypadkiem onego nawrotu ducha ku sobie i jego odstania od rzeczywistego świata, one więc wszystkie mają cechę rozdwojenia się wewnętrznego a zewnętrznego świata. Ztąd też osnowa téj fantazyi powszechnéj jest odpowiednia spółczesnéj, artystycznéj fantazyi, więc dziełom sztuki czasów romantycznych. Bo jak poczucia nieskończoności, zrodzone nie z tego świata, rozdzielają ducha człowieka od rzeczywistości, tak też i w dziele sztuki znać, że nieskończo-

ność a dzieło, w które ona jest wlana jako we formę swoją, nie są sobie odpowiednie, znać, że treść nieskończona nie zdoła się pomieścić w dziełach sztuki, jako w wyrażeniu swojém zewnętrzném.

Otoż wiemy jakie były pierwiastki duchowe w tych wiekach, wiemy, jaka była fantazya powszechna, a tém samém jaka była osnowa dla fantazyi mistrzów tych średnich stóleciów. Przecież to wszystko tém jaśniéj wyświeci się, tém szczerzéj roztworzy nam duszę swoją, jeżeli zwrócimy jeszcze baczność, jakto zapatrywał się człowiek w średnich wiekach na rzeczywistość zewnętrzną, a mianowicie na świat zmysłowy, czyli na Naturę i na świat duchowy, zwłaszcza na dzieje powszechne ludzkiego rodu. Nie trudno ci wywróżyć, co nam się pod tym względem wyjawi, byleś chciał mieć na myśli całe usposobienie umysłowe średnich wieków, rozwinięte powyżéj: więc owo pogrążenie się ducha w sobie, a odwrócenie się od rzeczywistości, od natury, która go otaczała do koła; a przedewszystkiém chciéj już pamiętać, com rzekł powyżéj, że właśnie dla tego usposobienia swojego duch o tyle tylko sobie ważył świat ten zewnętrzny, te formy natury, o ile były mu środkiem do wyrażenia treści swojéj indywidualnéj, która w nim pracowała, miotając nim i robiąc.

Jak będziesz kiedy w Krakowie, przejdź przez Wisłę, potém weź się na prawo, zostaw po za sobą i mogiłę Krakusową i ów samotny, dziki jar opoczny, co go lud szkołą Twardowskiego zowie; bo podobno on tam, jak słychać, miał się uczyć po nocach od szatana ele-

mentarza czarnoksiężkich sztuczek swoich; a gdy już miniesz całą ścianę skalną stromych krzemionek, wtedy miéj się ciągle pod wodę, a niezadługo staniesz w Borku. Borek—to wioska, co warta pamięci i czci. Bo widzisz, będzie temu lat sześćset, gdy ludy europejskie dumały marząc w ciemnéj nocy duchowéj; zegar dziejów ludzkich zaledwie był wybił północ głuchą; wtedy, jakby ptaki nocne, ciężkiém skrzydłem wałęsały się po świecie roje zabobonów i guseł, a snuły się po ziemi straszydła szkaradne, a chodziły wśród żyjących spragnione upiory. Otoż w téj grubéj nocy, siedział właśnie w tym Borku szlachcic, co się bawił światłem. Zwał się on Witellio, bo się ciołkiem pieczętował. Otoż ten szlachcic od rana do wieczora kreślił jakieś figury matematyczne, liczył i rachował, i badał światło, i uważał, jakto się promienie jego odbijają, jak się łamią, i nadstawiał im to płaskie, to wklęsłe, to wypukłe zwierciadła, i znów czasem ostrokręgowe; i prawił o zbieraniu się światła, o ognisku tych zwierciadeł, nawet był przekonany, że mocą takich zwierciadeł i ogień rozniecić można! Znów rysował i liczył i tłómaczył teoryą ludzkiego oka. Patrzał też często to na słońce, to na księżyc, i dla tego nieraz wychodził na górę Lasotę, a nawet na stojącą na niéj mogiłę Krakusa; bo tam mógł więcéj nieba i świata obaczyć. A gdy się już dużo napatrzył, i narachował, i figur nakreślił, jął się pióra i napisał Optykę; a co on skreślił w téj książce swojéj, toć potwierdził i uczony Paryż; szkoda tylko, że dopiero w pół tysiąca lat późniéj. Widzisz, że nic ma się czemu dziwić, że go spółcześni za czarodzieja mieli; ale szczęściem dla niego, iż oni dopiéro po śmierci tak się

na nim poznali. Właśnie w te same lata, gdy nasz Ciołek sobie chodził z dworku swojego na Krakusową mogiłę, a z mogiły do dworku, żył daleko od niego, bo za morzem, bo w Anglii mnich, nawet mu z imienia nieznany. Lecz choć się oni nie znali, oba byli przecież braćmi z geniuszu i natchnienia. Roger Baco, bo tak było na imie mnichowi temu, także był za czarnoksiężnika, ale za życia jeszcze, uznany. Wysechł więc w katuszach więziennych, w podziemnych ciemnicach, odgrodzony od ludzi i od słońca, a głodem morzony. I on bawił się światłem! A ciągle sobie roił po głowie niestworzone rzeczy, a co mu się uroiło, toć i zapisywał w wielkiéj księdze (opus majus). Zważno, co on w niéj pobajał: »można sprawić zwierciadła, co przybliżą słońce i księżyc do ziemi, a pacholę, przez zwierciadła takie widziane, powiększy się w olbrzyma; połącz razem saletrę i siarkę i węgiel, a będziesz miał zaprawdę co udaje doskonale błyskawicę i grom, a siła jéj tak potężna, że i miasta rozwali. Nie cuda też złożyć wozy, powiada, coby i bez pomocy źwierzęcéj przebiegały z szybkością wichrów ogromne przestrzenie; możnaby też takie wymyślić statki, któremiby zdołał pokierować sam jeden człowiek; ktoby chciał, mógłby też za pomocą machin nawet unieść się w powietrze jak ptak, albo spuścić się w bezdna morskie i obaczyć ciemne wód tajemnice.

Patrz—takowe to geniusze świeciły na onczas gwiadą płomienną! Choć atoli świeciły jasnością, a choć i światłość była ich ulubienicą, któréj oddawały służby i życie swoje, przecież ciemno, nocno i głucho było po ziemi. Natura i zjawiska jéj, one bezduszne wiekuistéj mądrości zwiastuny, były jeszcze dla ludzkiego rodu księ-

gą tajemniczą, na siedm pieczęci zamkniętą. Cała umiejętność bawiła się dwojaką filozofią. Jedna była owa scholastyczna; dla téjto filozofii nie było natury, ani rzeczywistości; ona popisywała się bystrością osobistą w sylogistyce sztucznéj, będącéj jedynie wyskokiem subtelności rozumowéj; nie zostawała więc w żadnym stosunku do zewnętrznego świata. Obok téj filozofii scholastycznéj, zasadzającéj całą mądrość na formach rozumowania, na sztukach łamanych logiki ówczesnéj, żyła w średnich wiekach druga, dla któréj zdrojem prawdy było widzenie wewnętrzne, patrzenie się w objawy prorocze własnego ducha, kontemplacye tajemnic własnego serca: słowem, była to filozofia mistyczna, głęboka, bezdenna a pragnąca w zapadaniu w sobie połączyć się z Bogiem. Obie te filozofie średnich wieków, lubo sobie odwrotne, były przecie koniecznym wypadkiem ducha téj epoki, one obie są wzajemném siebie dopełnieniem, obie nie uznają znaczenia natury i rzeczywistości.

Duch człowieka w średnich stóleciach, w siebie się patrząc, miał dla cudów przyrody olśnione źrenice. Natura — to wroga, to pokusna potęga, — ona przyczajona rozpina zdradne sidła nieopatrznéj zmysłowéj ochocie. Ztąd pogarda dla pięknych, uroczych form; ztąd człowiek wzdryga się na myśl wcielania, zmateryalizowania prawd świętych w postaci wzięte ze zmysłowéj natury. Fantazya, odwrócona od cudów przyrody, była głuchą na jéj muzykę, ślepą na jéj wdzięki czarowne. Duch modlił się w sobie, uczucia płakały z rozrzewnienia w cichym, samotnym serca przybytku.

Dopiéro późno, bardzo późno, gdy brzask młodego dnia rozwidnił świat średnich stóleciów, zwolna znikała

mglista opona z dramatu natury; a po jednemu roztwierały się okienka duszy, i powiew świéżego zarania ocucił zadumaną Psychę; a ten powiew zarania i piérwsze łuny świtu nowéj epoki wynęciły duszę z samotnéj wewnętrznéj świetlicy w ten piękny Boży świat. Późno, bardzo późno zjawiło się przekonanie w duchu, że najwyższa świętość na niebie w najwyższéj piękności na ziemi znaleść winna zacne uwidomienie swoje.

Zapuść się pielgrzymką w zamętne Rzymu lub Neapolu katakomby. Tu miasto Boże rozrasta się labiryntem podziemnych konarów. Uliczki wązkie, nizkie, biegną, krzyżują się; znów odstępują od siebie i znów się wiążą; wszędzie i wszędzie u góry, u dołu, we wszystkie strony, i z prawéj i z lewéj w ścianach wykute niże podłużne, kędy robotniki w winnicy Pańskiéj złożyły kości swoje—one spoczęły około męczenników wiekuistéj prawdy, jako umiérają pszczelne roje około swojéj matki. Gdy zaświecisz w te niże, obaczysz jedynie popioły i kostki martwe, lecz słyszysz w nich tajemne bicie ich serca; słyszysz i odgłosy ich tryumfów w skonaniu. I zewsząd ciągną się ulice, krużganki śmierci, i groby przy grobach; zewsząd towarzyszą ci na podróży po ciemnicach umarli, umarli w światłości a za żywot wiekuisty. Wędrowcy, przyświecając sobie drogę zapalonemi gromnicami, ciągną długim sznurem światełek błędnych, jakby orszakiem pogrzebnym, po przybytkach zmartwychwstania. Niekiedy rozstąpią się ciasne korytarze i dźwigną się wysokim stropem, — to niegdyś kaplica; ława kamienna, jama u góry, — to niegdyś ambona; grobowiec świętego męczennika, Bożego wybrańca — to ołtarz, ołtarz ofierny. Podnosisz po-

chodnię, co niepewném światłem drży po ścianach, a po ścianach, po stropie dygocą przedwieczne malowania. Rzekłbyś, że psalmy, hymny, pieśni święte, łzy i płacze wcieliły się w te malowania, co jak krzewy wonne rozpięły się po ścianach, po stropach kaplicznych. I toniesz okiem w tych obrazach, i toniesz z lękiem i czcią w sercu w tych postaciach, co tu jakby Bożém przykazaniem żyją i mówią wśród popiołów, wśród cielesnéj niemoty. Te malowania rozkwitły tu po grobach przed półtora tysiącem lat w owych piérwszych wiekach chrześcijańskich, kiedy ziarno Boże puszczało lekkie kiełki z pod wrogich mrozów świata. Te malowania tak rzewne, tak niewypowiedzianym wyrazem wglądają w duszę twoją; i ty nawzajem toniesz w nich myślą i sercem.

Zrazu dreszcze i uwielbienia i lęki przebiegły cię mrowiem, a braknie upamiętania, zebrania w sobie, byś zdołał widzieć artystyczność, która władała pędzlem starego mistrza; bo ty zrazu, podobnie jak on, jedynie oczyma ducha widzisz te dzieła jego; milczą zmysły cielesne, olśnione nadświatnym promieniem.

Gdy się nieco rozpatrzysz i nawrócisz do siebie, wyznasz, że w rzadkich wyjątkach tylko znajdziesz formy ścisle artystyczne, a to jedynie o tyle, o ile je zawiały jakby przypomnienia z umarłéj już sztuki klassycznéj Greków; o ile zaś one urosły samoistnie z ducha piérwszych chrześcijan, o tyle znać w nich lekceważenie sobie natury i w postaci i w draperyi. A przecież mimo braku ścisłego rysunków, mimo twardości i skostnienia tych figur, one ogromną potęgą uderzają na widza, bo przez te formy nieartystyczne wygląda treść

wiekuista; treść ta przerosła formę, która pęka niby łupina wymietna wypuszczając z siebie Boże ziarno, owoc niebiański. Tutaj wszędzie znać kompozycyą ogromną, pomysł całości genialny, obok niedostatku w samém wykonaniu; wszędzie widzisz, że forma zewnętrzna, widoma sprostać nie zdoła treści tak nieskończonéj jak wieczność. I tutaj, jak i wszędzie w tych stóleciach, poznajesz że świat zewnętrzny, że ta natura, że życie doczesne nie ma znaczenia dla człowieka, dla ducha, że ona o tyle jedynie waży, o ile jest dla niego środkiem a znakiem do wyjawienia jego treści wiekuistéj. Te malowania, to iście himny i psalmy; jest to modlitwa, co śpiewa w duchu człowieka, jest to zdrój, co wypada z serca pełnym potokiem bez względu już kędy popłyną wody jego; jest to malowania liryczność najwyższa.

Widziałeś tedy jaki był powód głęboki braku artystyczności i natury w piérwszéj sztuce chrześcijańskiéj; już ten powód spoczywał na dnie ówczesnych wieków i tkwił w nich nawet bez ich świadomości jasnéj. Średnie wieki, choć nie znały ducha co w nich żył, miały wstręt instynktowy do form uroczych natury, więc do pięknych obrazów, do cudnych posągów i same tłómaczyły sobie tę niechęć swoję niby obawą, aby te dzieła sztuki nie były przypomnieniem pogaństwa.

Zważ jeszcze, że gdy ta prawda już wyświeciła nam się jasno ze samego wykonania tych obrazów, toć ona jeszcze silniéj nas uderzy, gdy zwrócimy baczność na ich osnowę. Jakoż najczęściéj w tych cichych przybytkach żyjących-umarłych przedstawia się postać dobrego pasterza, statku miotanego burzą, baranka, pal-

my i t. d.; aleć podobne obrazy są symbolami, a symbol właśnie ma dwojakie znaczenie: bo jedno widoczne, dotykalne, niby zmysłowe, a drugie znaczenie nadane, duchowe. (Palma np. raz znaczy wprost palmowe drzewo, drugi raz pokój niebiański). A to znaczenie duchowe właśnie tutaj waży, ono jest duchem tych obrazów; te przedmioty nie dla siebie istnieją ale dla znaczenia swojego; one są tylko środkiem dla wyjawienia się ducha, są widocznym jego znakiem; znaczenie ich naturalne, przyrodzone tak nie waży, jak i natura sama. Wszak późniéj znajdziesz wprawdzie sceny z pisma Ś. Starego Zakonu, ale i te mają znaczenie symboliczne: są to allegoryc, bo się odnoszą do prawd wiary chrześcijańskiéj. (np. Abraham, ofiarujący syna, jest przenośnią, wyrażającą Niebiańskiego Ojca, co Syna jednorodzonego poświęca światu na zbawienie).

Owo pomiatanie naturą znajdziesz i w starych mozaikach, które ubrały kościoł Wenecki Ś. Marka, lub świecą tak poważnie po najdawniejszych bazylikach Rzymu. Znajdziesz to lekceważenie form przyrody na całym chrześcijańskim wschodzie w owém bizantyńskiém malowaniu; te oblicza ciemne, oczy rozwarte, pełne grozy, ten nieruchomy wyraz twarzy, ta draperya i układ jéj, one zaiste nie zrodziły się z zapatrywania się na naturę, co tak pełna krwi i życia i ruchu. W tych postaciach nie tętni serce ciepłe, ustały pulsa i tchy. W koło też nich nie widać natury, pełnéj wesela, nie widać drzew, łąk kwiecistych, zdrojów strumiennych. Zamiast wizerunków malowanych téj przyrody żyjącéj, grającéj, błyszczy złote tło, wyciskane w różne wzorki, niby kobierce świeciste. To tło błysz-

cząc i jaśniejąc potęguje jeszcze wyraz grozy owych ciemnych, uroczystych twarzy. Ztąd też widok ich uderza jakimś głuchym strachem; patrząc się na te oblicza czujesz jakieś oczynienie i zawianie duszy jakimś chuchem z innych światów.

Jakoż zwolna, stopniowo wyzwalała się sztuka.— Po jednemu, niby ptaki wędrowne, wróżbity nadchodzącéj wiosny, pojawiają się długim szeregiem wielcy mistrze, wysłanniki nowéj epoki sztuki. Tak przodem staje Cimabue. On roztwiera serce swoje przyrodzie, a choć się jeszcze nie zdoła wyswobodzić z pod urzeczenia bizantyńskiéj sztuki, toć przecież jego malowane oblicza, jego pojmowanie natury tak do serca przemawia, tak jest lube i wdzięczne, że wykończenie jego obrazów staje się świętém narodowém dla ludu i dumą najwyższą zacnych jego ziomków. Wszak wizerunek jego Najświętszéj Panny przenoszą uroczystym pochodem z pracowni mistrza do kościoła, a orszak świetnego rycerstwa i grono możnych książąt włoskich towarzyszy uniesionemu radością ludowi.

Raz, pewnego wieczora, aniołek malarstwa wyprowadził mistrza w dalekie łąki i gaje. Wśród skał samotnych spostrzega Cimabue pastuszka, co, leżąc po swojemu na ziemi, rysował kamykiem wizerunek swojéj kozki ulubionéj. Cimabue bierze za rękę bose pacholę i wiedzie z miłością do przybytku sztuki, i uczy i pieści chłopczynę, aż z niego wypiastował onego Giotto, który był również wielkim mistrzem w architekturze i w malarstwie i w rzeźbie. Właśnie to on zwrócił sztukę na nową drogę, któréj nie przeczuwał nawet świat. Giotto, również jak przyjaciel jego od serca— Dan-

te — uczy się na starożytnych mistrzach i patrzy się naturze w serce, i w oczy, i pyta ją o radę. On ją z serca ukochał. Ta jednak miłość jego jest jeszcze nieśmiała; jest to jakby piérwsze kochanie młodzieńcze, trwożne, bojaźliwe, nie ufne sobie. Giotto, otoczony w koło bogactwem nieprzebranéj rozmaitości téj kochanki swojéj— natury, chodzi lękliwie po jéj pałacach, i nie ośmiela się przebierać wśród tych kształtów rozmaitych; więc też jego obrazy jeszcze wiązane są jakąś architektoniczną symetryą, jego oblicza malowane mają jakiś wspólny sobie typ; brak im indywidualności. Ztąd już wyraźnie znać, że one nie tak są uniesione z natury, jak raczéj wszystkie, niby braciszki rodzone, mają jedno spólne gniazdko swoje,— a tém jest właśnie serce i duch samego mistrza.

Baczmyż przeto teraz na różnicę włoskiéj a północnéj fantazyi. Różnica ta dobitna, choć tu i tam panuje jeden i ten sam pierwiastek, bo cofnięcie się ducha w siebie i lekceważenie sobie natury. Widziałeś na dziele Stwoszowém Krakowskiém silnie wyrażającą się indywidualność na postaciach rzeźbionych; bo mistrz, nie mając innych wzorów, trzymał się natury, czyniąc z niéj wizerunki, portretując ją, ale nie zdołał téj naturze nadać własnéj swojéj indywidualności, nie zdołał wyrazić zmysłowo własnych uczuć swoich które mu w sercu grały. We Włoszech zaś to samo przebywanie ducha we wnętrzu swojém wyraża się właśnie tém, że mistrz siebie, swoje własne osobiste zapatrywanie maluje w obrazach swoich, i dla tego te postaci, pęzlem jego stworzone, są tak podobne do siebie; nie są wzięte z natury, nie mają właściwéj indy-

widualności, którąby je różniła między sobą, i dla tego są tak idealne, duchowe i wyrażają uczucia mistrza. Tak indywidualność, będąca cechą wieków średnich, występuje w północnéj Europie tym trybem, że tu mistrz wyraża ją w dziele swojém, jako w wizerunku wziętym z rzeczywistości; a we Włoszech owa indywidualność objawia się tém, że mistrz w dzieło swoje wciela wprost treść idealną, wewnętrzną, swoją własną indywidualność, nie bacząc jeszcze na naturę i jéj rozmaitość. W obu zaś tych razach widać jeszcze rozdzielenie ducha, bo treści wewnętrznéj mistrza a zewnętrznego świata, czyli natury. To zaś rozdzielenie, ten dualizm, jak wiesz, jest właśnie piętnem ogólném, spólném wszystkim wówczas krajom i ludom (*).

(*) Zważ jeszcze, że mistrze włoscy mają tu ciągle przed oczyma zabytki kosztowne staréj sztuki klassycznéj, które właśnie są tak idealne, ogólne;— co więcéj duch starożytnego świata żył jeszcze w tradycyi, żył w urządzeniu, w składzie i ładzie miast włoskich, a historya kraju włoskiego w średnich wiekach jest historyą miast włoskich. Tutaj przeto indywidualność ludzka nie mogła tak wybujać samodzielnie jak w Europie północnéj, bo wzięta była w karby przez spólne prawa, ustawy, obyczaj i t. d., więc przez moc również ogólną. Przeciwnie na północy rozkołysał się tak silnie feudalizm, że prawa ogólne mniéj miały wagi, ale za to indywidualność, każdemu właściwa, wyrosła butnością i z całém zuchwalstwem mocy, która sobie ufa i żyje oparta na swojéj potędze. Otóż, o ile sądzić się ośmielam w téj sprawie, takowy jest powód różnicy fantazyi ludów północnych a włoskich mistrzów. Odważam się przy tém powiedzieć, że też odpowiedni téj różnicy jest historyczny rozwój sztuki. We Włoszech idealność ku temu się ma, aby się indywidualizować, a na północy indywidualność postaci ku temu dąży, aby się zidealizować! Każda z tych fantazyi dąży do tego, aby idealność i naturę,— indywidualność a piękność nadziemską zestroić w jeden dźwięk, słowem, aby ześlubić z sobą fantazyą romantyczną i klassyczną spólném przymierzem; co się też ziści, jak obaczymy, w przyszłéj epoce bo w XVI stóleciu, które jest szczytem sztuki nowożytnéj.

Wracając atoli do Giotto, uważ, że u niego pierwiastek ogólny i tém się jeszcze wyjawia, że obrazy jego lubią allegorye, bo znaczenie przenośne, choć to nie są czcze, głuche allegorye, ale takie, co mają w sobie życie i krew. Jak ten pierwiastek tkwi, z jednéj strony, w mistrzu samym i w jego ludzie i w czasie, tak z drugiéj strony i przyjaźń jego z Dantem, przemawiającym tak często przez allegorye, a nadto echa, dolatujące ze symboliki piérwszéj sztuki chrześcijańskiéj, były téj allegoryczności Giotta przyczyną zewnętrzną.

Mimo atoli tego, że Giotto nie oswoił się jeszcze z naturą, przecież niesłychany wdzięk żyje w tych malowaniach jego; one tak piękne i lube, że znać, że to kochanek natury malował oblubienicę swoją, choć lękliwie i nieśmiało. Trudno mi wspomnieć o tych wszystkich mistrzach wielkich, którzy zacnym promiennym orszakiem przeszli po włoskiéj ziemi. Mimo różnicy ich i co do geniuszu i rodzaju ich talentu, na nich wszystkich jednak spoczywa już choć z lekka tchnienie romantycznéj fantazyi.

Patrząc się na ich dzieła, rzekłbyś, że już naturę opłynął świt różowy, odsłaniając stworzenia cuda, lecz że we własnym domu ducha jasno płonące światłości olśniły jeszcze oczy fantazyi, że jéj tedy trudno rozpoznać kształty, które już dniały na tym pięknym świecie Bożym. Rzekłbyś, patrząc na ich obrazy, że nie tak widzisz przedmioty malowane, jak raczéj głębiny wewnętrzne duszy każdego z tych mistrzów zacnych; ich dzieła, to liryczna pieśń, która z piersi wytrysła, by ulżyć sercu, co przepełnione kipiącém uczuciem, a pieśń ta i jéj dźwięki i uczucia krystalizują się i ści-

nają w barwy i światła obrazów malowanych, uczuciowych a pełnych sentymentalności miękkiéj. Tak na pograniczu prawie średnich wieków a szesnastego stólecia klęczy pobożna postać zakonnika-malarza o uczuciach niebiańskich, czystych jak pieśni aniołków około bożego tronu; więc go też nie darmo zwano Giovanni *Angelico* da Fiesole (1387+1455). On zakonnikiem, on maluje bez zapłaty, li z serdecznéj miłości dla Boga i ludzi, on pracuje na cześć Bożą i Matki Jego przenajświętszéj; a gdy maluje, płacze z rozrzewnienia, bo widzi te święte niebiańskie postaci przed sobą, i modli się i krzyżem leży, i z duszy błaga Boga-Rodzicę, by też na niego zesłała łaski swoje, by go natchnęła błogosławieństwem swojém. W klasztorze Florenckim świętego Marka, po cellach, po korytarzach, po kaplicach widzieć możesz dzieła jego; to jego modlitwy malowane, to jego łzy, to jego tęsknoty ku niebu; one przybrały na się kształty widome, a tak przeczyste jak ta lilija promienna, co mu tchem bożym w duszy rozkwitła. Ztąd też kościół beatyfikacyą uczcił anielskiego malarza. Otóż na jego obrazach nie szukaj ścisłości rysunków form cielesnych; ale za to ułożenie tych figur, wyraz ich oblicza,— to z nieba przychodnie, co stanęły w celli obok mistrza, by miał wzór świętości przeczystéj, a barwy jego tak lube, tak pełne wdzięcznéj harmonii! Mówią, że mu się postać szatana nie udawała; zaiste, bo go nie miał w sercu!

W miarę jak człowiek w tęsknocie swojéj zbliża się do natury, podpatrując jéj kształty i podsłuchując jéj mowy, coraz też więcéj a częściéj występuje ta przyroda bezduszna w obrazach. Więc pojawiają się

już zwolna widoki okolic, niebo, drzewa, góry dalekie, otaczając ludzkie postaci; a dzieje się to i na południu i na północy. Przypominam ci te urocze kompozycye Jana van Eycka, onego arcymistrza staréj flandryjskiéj szkoły. Lecz zważ, że natura jest tutaj wszędzie niby dopiéro oprawą dla postaci człowieka; ona nie istnieje dla siebie, ale istnieje jako środek dla figur ludzkich. Natura nie pojawia się tutaj nigdzie jeszcze samoistnie i odrębnie; słowem, nie masz jeszcze tego, co nazywamy malowaniem pejzażu, kędy natura jest przedmiotem głównym, a figury ludzkie jedynie dodatkowym środkiem do spotęgowania jéj znaczenia, a tém mniéj znachodzisz w téj epoce malowania roztaczające samą naturę bezludną, samotną, żyjącą dla siebie i w sobie. Uważ, że ta cecha, niby ta nieśmiałość do natury, tak silnie jeszcze władnie w dziełach fantazyi romantycznéj, że spotkać możesz nawet jeszcze jéj ślady w następnéj epoce sztuki, więc w epoce, gdy one geniusze olbrzymie, one kapłany piękności w XVI wieku stwarzają cuda, światu na uwielbienie. Patrz na bitwę Konstantyna w Stanzach watykańskich, malowaną przez Rafaela;— konie, jak dawno uważano, są błędnie rysowane obok postaci ludzkich nadświatowego uroku.

Ten sam duch, który żyje w malarstwie romantycznych stóleciów, śpiewa również i w ich poezyi. Rzuć okiem, czy to na epopeje, czyli na liryczne pieśni, i Francuzów i Niemców w średnich wiekach, a wszędzie i zawsze obaczysz, jak oszczędnie wieszcze malują naturę, dotykając się jedynie mimochodem jéj uroków czarodziejskich. Nawet w miłosnych piosenkach trubadurów i minnesengerów usłyszymy wprawdzie jakieś

potrącenie o struny otaczającéj ich w koło przyrody, ale dźwięki tych strun nie zlewają się nigdy wdzięcznemi akkordy z treścią główną saméj pieśni. Kochankowie w tych pieśniach (jak mówi jeden z dzisiejszych estetyków) niby dużo i często prawią i o słowikach i o różach i o porach roku; zważmy jednak, że te słowiki i róże i wiosny tak słabo łączą się z treścią poematu, że jakby stereotypy wracają przy każdéj pieśni, i słusznie powiedziano, że to są zewnętrzne arabeski, otaczające rysunek ramką w koło, ale nie splatające się z rzeczą samą. Te wspomnienia natury są kwiatkiem, który bynajmniéj nie rozwinął się ze samego gruntu pieśni, ale jest gdzieś tam urwany i przypięty powierzchownie do niéj; słowem, te obrazy natury nie wiążą się organicznie z poematem, ale stanęły obok, z lekka o jego treść oparte.

Prawda, że Dante cudownie umie śpiewać wdzięki Przyrody; lecz teżto Dante wykarmiony był na klassykach starożytnych, a, jak wiesz, sam Wirgiliusz był jego przewodnikiem przez Piekło, Czyściec i Niebo. W ogólności chciejmy pamiętać, że wczesne rozwinięcie się Włochów w średnich wiekach stanowi ważną ich różnicę od ludów Europy. Bo oni duszą gorącą patrzą na naturę i rzeczywistość, a do tego wcześnie byli wychowani na sztuce klassycznéj greckiéj i rzymskiéj. Wszelako o tém już mówiłem właśnie powyżéj. A przecież znów, mimo tego wszystkiego, Petrarka, co także Włochem, co także wyuczony od starożytnego świata, podróżując po Francyi, Anglii i po Renie, ani słówkiem nie wspomina o naturze tych krajów, jak to Humboldt uważa. (Kosmos T. II). Znać, że Petrarka, mi-

mo klassyczności swojéj, czuł się pod tchem właściwym średnich wieków.

Ten charakter poezyi średniowiekowéj już był wyświecony przez nie jednego ze znawców téj literatury francuzkiéj, niemieckiéj i włoskiéj; aleć ja myślę że nawet i poezya słowiańska średniowiekowa, co tak świeża, pierwotna jak puszcza boża, nie znieważona gwałtami człowieka, że ta poezya słowiańska jest podobnież potwierdzeniem naszych uwag powyższych. Niezmiernie rzadko, a oszczędnie, i to kilku słowami znajdziesz w niéj odrysowany pejzaż jakiś natury, np. w Ruskiéj Wyprawie Igora, czytamy: »Drugi dzień rano »zorza z krwawym wschodem świt wiodą, tucza w chmu»ry się piętrząca ciągnie od morza zaćmić cztéry słoń»ca. Drżą sine błyski, piorun po piorunie bije, i z Do»nu strzałami deszcz lunie« (tł.Aug. Bielowskiego)—albo:

»Już noc z północnéj chyliła się pory, rzedniały cienie nad szarawym rankiem; cyt, mówił Wyhoń do księcia Oldrzyka i t. d.« (Oldrzyk i Jarmir, królodworski rękopis tłum. z czesk. L. Siemieńskiego). Wyszli na górę—stanęli—kraj lasu; tam milczy Praga w zaranném marzeniu, Wletawa mglistą kurzyła się parą, za Pragą góry w błękitnym cieniu, świt za górami wdziewał barwę szarą. (tamże).

Takowych dłuższych rozwiniętych obrazów natury nie wielebyś znalazł w pieniach ludów słowiańskich; najczęściéj pieśń ledwie potrąca o naturę, ledwie ją czyni lekkiém tłem, na którém odbywają się sprawy ludzkie np. stoją góry z prawicy, stoją góry z lewicy, na ich wierzchy kończate zsyła słońce oświatę (Czestmir i Własław tamże).

Ten stosunek człowieka do natury jest wprost skutkiem nastrojenia lirycznego duszy w średnich wiekach, która raczéj tonie we własném wnętrzu swojém, a mniéj ma zmysłu dla świata, roztaczającego w koło nas wdzięki swoje.

To nastrojenie, wręcz przeciwne usposobieniu Greków, było powodem, że i jestestwa, któremi świat klassyczny zaludniał naturę winny były być wbrew różne od tych jestestw, któremi ją napełniała fantastyczność wieków romantycznych. Widziałeś z naszego wywodu bogów i niższych bóstw starożytnego świata, że one stworzone są tym trybem, iż ich piérwszy początek pochodzi zawsze od potrącenia, które fantazya odbiera od natury; człowiek spostrzega zjawisko w przyrodzie, które go uderza, więc uosabia moc w niéj ukrytą, a tak rodzi się zawiązek jednego z bogów. Wiész atoli równie że taki początek ideału, idący od zewnętrznego potrącenia, jest prawdziwie artystyczny i dla tego te bogi greckie są tak piękności pełne. Choć atoli to potrącenie idzie od natury, choć zawiązek rodzi się z spostrzeżenia zjawisk zewnętrznych, przecież Grek chwyta ten zawiązek twórczą potęgą fantazyi swojéj, rozwija go i roztacza mity, uroczą bajeczkę o tym bogu, tak pełną wdzięku i poezyi jak te ich rzeźby i budowania i pieśni.

Inaczéj, a nawet zupełnie odwrótnie, ma się rzecz w średnich wiekach. Wiara chrześcijańska zagrodziła tutaj wprawdzie fantazyi tworzenie sobie bóstw, ale za to ta fantazya zaludnia naturę jestestwami nadprzyrodzonemi; bo roje upiorów, karłów, gnomów, rusałek, strachów, czarownic, czarodziejów i innych dziwaków,

diablików burmistrzują po świecie. Te wszystkie jestestwa, co straszą, broją i stroją figle ludziom, najczęściéj biorą swój początek nie tak z potrącenia natury jak raczéj z własnego wnętrza człowieka; dla tego one nie mają na sobie cechy właściwéj potęg przyrody, dla tego one nie są odpowiednie bynajmniéj z istoty własnéj żywiołom, w których sobie broją i gospodarzą (wodzie, podziemiom górniczym, lasom i t. d.) owszem one są wprost kapryśnym wymysłem fantastyczności swawolnéj człowieka, który patrzy na naturę, ale jéj jeszcze nie widzi. Ztąd też ta wszystka czeladź rzadko tylko jest piękną, i ubiera się jedynie we wdzięki ile razy czyha pokusą na ludzi; zresztą najczęściéj są to garbate, szpetne, kulawe i jakieś dziwne potwory; bo jak tutaj nie znajdziesz pięknéj, greckiéj mitologii, tak nie znajdziesz i rozumu i dowcipu i uroku greckich bogów. Przecież te same uczucia własne serca, wyprawiane w świat zewnętrzny, nie zawsze biorą na siebie kształty osobne, na ich własną miarę wymyślone, ale te uczucia odziewają się w jestestwa już zupełnie w naturze gotowe; do tych jestestw ma się tedy człowiek jak do własnych uczuć swoich, z niemi rozmawia, jakby z sobą samym. W onéj prześlicznéj pieśni serbskiéj dwa czarne kruki siadają na wieży Kruszewca, one przybyły z Kosowego Pola i widziały klęskę krwawą; więc gdy głucho w zamku i cicho, jeden z kruków zakrakał do drugiego: »Czy to zamek sławnego cara! czyliż nie ma nikogo w wieży?« Caryca Milica, usłyszawszy rozmowy kruków, wychodzi z wieży i rzecze: »Bóg z wami dwa czarne kruki! zkądże tak wczesnym rankiem, czy może nie z Kosowego Pola?— A kruki na to:« Bóg zapłać Caryco

Milico, z Kosowego Pola lecimy...i t. d. i tak następnie daléj roztacza się ta przecudna pieśń. W Igorze, »rankiem w maju kukułka kukaniem się żali;— a w Zbychowiu (czeskim)« »Lata gołąb' siwy i po drzewach »siada, los swój nieszczęśliwy lasom rozpowiada:« latał ja w te lasy w lepsze nieraz czasy i t. d. i t. d. (Królodworski rękop.) Lecz po co nam dalekie przykłady? takie cechy i zwróty codziennie się koło nas rodzą w poezyi ludu jak poziomki w borze, jak kwiaty na łąkach. Puść się przechadzką w wioski nam przyległe a znajdziesz je żywe w powiastkach, w krakowiakach, w przypowieściach i bajach.



LIST XXVIII.

Średnie Wieki.

(Ciąg dalszy.)

Bliższe określenie średniowiekowéj fantastyczności.—Ściślejsze oznaczenie istoty fantazyi romantycznéj.—Brak uczucia plastycznego we fantazyi romantycznéj. Za to występuje liryczność potężna i muzyka.— Ś. Ambroży w Medyolanie. Powody, dla których średnie wieki nie zdołały rozwinąć tych zarodów muzyki kościelnéj.— Muzyka światowa.— Architektura Gotycka i niektóre przykłady z kościołów krakowskich.— Porównanie jéj z Islamickiém budowaniem.— Architektura ta jest wprost wypływem cech fantazyi romantycznej, powyżéj wykazanych.

Widziałeś tedy, jako pierwiastkiem a cechą średnich romantycznych stóleciów było owo cofanie się ducha we własne głębie, więc lekceważenie zewnętrznego świata a mianowicie Natury; poznaliśmy również niektóre najgłówniejsze tryby wyjawienia się tego pierwiastku w świecie i w życiu i w sztuce. Obaczmy teraz jeszcze inne wypadki, które również wypłynęły koniecznie z tego samego usposobienia Europy w średnich wiekach. Wszak gdy człowiek w owych czasach mniéj znaczenia przywiązywał do natury, więc téż nie uznawał praw niezmiennych, będących tłem jéj zjawisk i zakonem. Ztąd powstała wiara w magiczne, duchowe potęgi, w ich przewagę nad przyrodą, ztąd przyszła moc czarów, czarow-

nic, czarnoksiężników, wróżbiarstw i t. d. Tak dziwna sprzeczność objawia się i pod tym względem w średnich wiekach. Bo człowiek niby rozsądnie się zachowuje do rozsądku natury, a przecież znów w niéj widzi potęgi magiczne, co łamią i gwałcą ten rozum natury i jego prawa.

Tak na miejscu natury prawdziwéj, rzetelnéj wysuwa się inna mieniąca, błyszcząca jakby świat czarodziejskiéj opery, która zasłania średnim wiekom przyrodę rzeczywistą. I to jest także jedna z głównych cech stóleciów romantycznych, o któréj jeszcze w liście następnym obszernie pomówimy. Teraz zważ tylko, że podobnie się dzieje z historyą powszechną. Wypadki dziejowe, figury historyczne, oddzielone od siebie przestrzenią krajów i stóleciów, bohatéry Grecyi i Rzymu, i króle i rycerze chrześcijańskie, olbrzymy i bogi greckie i czarowniki mieszają się w kalejdoskopie podań, powieści i sagów. Człowiek stwarza sobie i w dziejach i naturze świat osobny, a co mu się zradza w głębiach uczuć jego, to wszystko wynosi na zewnątrz i rozstawia jakby przyrządy naturalne, malowane, czarodziejskie ogrody, drzewa śpiewające, pałace zaklęte, zamki brylantowe. Więc gdy sobie to wszystko umieści wśród rzetelnego i prawdziwego świata, wśród przedmiotów rzeczywiście istniejących, już wtedy tak zmieni ten świat prawdziwy, iż sam nie pozna, co zmyślone a co rzeczywiste, a to tém więcéj, że fantazya oświetli ten cudotworny świat sztucznemi ogniami, lampkami kolorowemi i zapuści go rusałkami, dziwożonami, upiorami, diabłami, karłami, strachami i innémi mieszkańcami swojego chowu, co tam czmychają, hulają, broją

i dokazują. Swiat cały się teraz mieni, błyszczy i mąci z sobą niby maski zapustne. A życie średniowiekowe, już samo przez się fantastyczne i awanturnicze, jeszcze się potęguje dziwami i migoce się pod tchem fantastyczności rozhukanéj, rozbujałéj.

W téj pięknéj ziemi klassycznéj, w onéj cudnéj Grecyi fantazya zradzała bożków i bogów; w średnich wiekach zaś czarnoksiężników, straszydła, zmory, karłów zradzała fantastyczność. Grecya była w harmonii z naturą i z sobą; jéj wolno było wywodzić bogów swoich, jakby z zaródów, z potęg przyrodzonych; wolno jéj było wierzyć, że te bogi i bożki, choć są jestestwa jednostkowe, ciałem odziane, władają światem. Średnie wieki zaś były już uduchownione, były wzniesione nad jestestwa fizyczne, a przecież miały wiarę w takowe jestestwa; były tedy te wieki i pod tym względem w sprzeczności same z sobą, a ta sprzeczność i rozdwojenie stanowi właśnie ich fantastyczność. Wszak wewnętrzna sprzeczność wszędzie i zawsze jest cechą ogólną téj epoki. Jest to ta sprzeczność fantastyczna, która rycerza tęsknotą nigdy nieukojoną pędzi przez świat na awantury, nie dając pokoju; która go czyni niepodobnym do siebie samego i wręcz przeciwnym samemu sobie; jest to ta sprzeczność, która, jako uczucie samowolne honoru, w drobnostce pokłada znaczenie całéj osoby i godności swojéj, a pomija sprawy większéj wagi; jest to ta sama sprzeczność, która w onéj idealnéj, nadziemskiéj miłości tchnęła wiekuiste znaczenie na postać ukochaną, co przecież sama, z doczesności zrodzona, jest śmiertelną; jest to ta sprzeczność, która stawia człowieka wśród uroczego dramatu przyrody, a znów go od-

wraca od rzeczywistości, bawiąc go fantasmagoryą cudotwornych widziadeł. Wszędzie też widzimy zstąpienie ducha w głęboki szyb własnéj swojéj istoty, a wszędzie widzimy ów rozwód głęboki treści wewnętrznéj człowieka a zewnętrznego świata; ztąd dusza, nie wiązana światem zewnętrznym, to buja nieskończoną swobodą, to znowu niby harfa brzmi samotną tęsknotą, rzewną, uczuciową, lubą, bo jéj struny wtorują głosom niebiańskich chorów, dolatującym z wysokości nadświatnéj.

Dawniéj, w liście XI powiedzieliśmy, że fantazya jest dwojaka, gdyż jedna powszechna a spólna wszystkim ludziom, bo każdy człowiek ma przecież mniéj więcéj fantazyi sobie dodanéj; a drugi rodzaj fantazyi jest ten, który niektórym tylko wybrańcom szczęśliwym dostał się udziałem, bo mistrzom, poetom; słowem, który jest artystów posagiem. Otoż w całym liście poprzednim rozprawiałem o fantazyi średniowiekowéj, bo romantycznéj, ale nie odróżniłem jeszcze dostatecznie obu tych rodzajów fantazyi: zatém teraz nastręcza się nam pytanie, jakże się ma w tych wiekach średnich fantazya *powszechna*, rozlana po całym ówczesnym świecie, zatém fantazya gminna, ludowa, do fantazyi artystycznéj?

Widzisz, jak sobie gospodarzy w średnich wiekach fantazya powszechna, wszystkim właściwa,— fantazya ludu. Ona, jak rzekłem, stwarza sobie osobną naturę, przyrodę czarodziejską, osobną historyą, która jéj zasłania naturę rzeczywistą i historyą prawdziwą. Średnie wieki patrzą się na świat rzeczywisty, ale go nie widzą; one widzą jedynie świat wywołany magią fantastyczności swojéj, one się patrzą przez szkiełka czarodziejskie na rzeczywistość otaczającą w koło człowieka.

Gdy atoli już téj fantazyi ludowéj, powszechnéj istotą i cechą jest owo zanurzenie się w duchu, a odwrócenie się od rzeczywistości, przerobienie i przeistoczenie jéj po swojemu, zatém znać, że ta cecha i istota nie tylko winna się znaleść także i we fantazyi artystycznéj, ale winna w niéj zakipić w stopniu wyższym, spotęgowanym.

Jeżeli tedy fantazya powszechna, to jest fantazya ludu, gminu, biorąc sobie za osnowę rzeczywistość, takową sobie fantastycznie przerabia i przetwarza; fantazya artystyczna nie przestaje na tém, ale najczęściéj bierze sobie za osnowę ten świat, już przeistoczony przez fantazyą gminu, i przerabia go raz jeszcze.

Widzisz tedy, że słusznie już od dawna orzeczono w literaturze naszéj, że sztuka romantyczna zwykle pożycza osnowę swoją z podań ludu, z wieści gminnéj; brakowało tylko bliższego określenia téj prawdy.

Tak tedy rozwijając głębiéj ten rodzaj sztuki, wskazaliśmy teraz przyczynę, dla któréj zwykle sztuka romantyczna udaje się właśnie do tych podań i wieści gminnych, jako do osnowy swojéj. Powyżéj zaś oznaczyliśmy właściwy charakter i istotę téj osnowy; albowiem przyznasz mi, że samo obrobienie artystyczne podań ludowych nie stanowi jeszcze istoty sztuki romantycznéj; potrzeba zrozumieć dla czego te podania ludów chrześcijańskich są właśnie dla sztuki a mianowicie dla poezyi romantycznéj osnową stosowną, bo inaczéj wieszcze i mistrze greccy i rzymscy byliby także romantykami, o ile czerpali z podań ludowych.

Teraz wypada jeszcze odpowiedzieć na jedno pytanie. Zważ bowiem, czyli to samo spotęgowanie się fan-

tazyi powszechnéj wystarczy, aby ją zamienić na artystyczną? czyli doprawdy już będziesz poetą, byleś czerpał z podań gminnych, z wieści ludowéj? I na odwrót, czyli sięganie po osnowę do podań ludu ma być już konieczną i niezbędną cechą poezyi romantycznéj? czyli poeta, nie czerpiący osnowy z podań gminnych, ale sam z siebie ją wydobywający nie może być poetą romantycznym?

Wiemy już z listu XI że fantazya artystyczna nie tylko stopniem wyższym spotęgowanym różni się od ogólnéj, powszechnéj, lecz się różni od niéj nawet rodzajem swoim, trybem swojego postępowania. Obaczymy właśnie teraz, jak ta prawda stosuje się do danego nam wypadku.

Fantazya romantyczna, jeśli jest doprawdy artystyczną, niechaj bierze za osnowę dzieł swoich całą treść, którą jéj podaje fantazya powszechna, gminna; niechaj ją przyjmie z całą sprzecznością i walką, tkwiącą w niéj, z całém jéj wewnętrznėm rozdwojeniem, bo tym sposobem właśnie ta fantazya artystyczna wyrazi w dziełach swoich, że ona sama należy do czasów romantycznych, to jest do epoki dziejowéj, w któréj duch odstał od rzeczywistego świata, w któréj on jedynie słucha wróżbitów serca swojego, wróżących mu o nieskończoności tęsknotą rzewną. Tak ta fantazya artystyczna w dziełach wyjawi tę walkę, tę sprzeczność, którą się rozstąpiło własne wnętrze człowieka.

W tych dziełach okaże się przeto owo rozdwojenie między duchem a materyą—doczesnością a światem wiekuistym, między istotą nieskończoną a naturą przemijającą, między treścią niebiańską a formą zewnętrzną

z ziemi zrodzoną. Takim sposobem fantazya artystyczna dopiéro będzie iście miała na sobie cechy średnich wieków i stanie się fantazyą romantyczną.

W tém, co rzekłem, okazuje się już związek między fantazyą artystyczną a powszechną średnich wieków; obie są romantyczne, bo obie mają za istotę sobie spólną owo rozdwojenie wewnętrzne a rozłamanie się człowieka na dwoje.

Atoli obaczmy również różnicę głęboką między tą fantazyą powszechną a artystyczną. Fantazya powszechna w średnich wiekach ma wprawdzie onę dwoistość wewnętrzną za dno swoje, bo ona jest cechą ogólną ówczesnego świata duchowego, ale fantazya powszechna, choć ma w sobie tę sprzeczność, toć przecie nie wie o téj sprzeczności; ta sprzeczność ją boli i płacze w duszy, lecz lud i fantazya jego nie pojmuje jasno, co ich boli, co w sercu kwili i płacze. Fantazya ta gminu nie pojmuje tego rozdwojenia własnego, bo sama jest bierną, bo sama jest aktorem w walce tych przeciwnych sobie pierwiastków i nie pojmuje, co nią podrzuca i ciska. Aby pojąć to rozdwojenie i sprzeczność tych potęg walczących, do tego potrzeba wzniesienia się nad samo to mocowanie się a walkę, potrzeba patrzyć się na pasowanie się pierwiastków z wysokości; a tego dokazać jedynie może artystyczne natchnienie. Mistrz zdoła ujrzéć to rozdwojenie a sprzeczność okiem gieniuszu i dla tego on zdoła wyrazić to rozdwojenie w dziele sztuki swojéj, które też właśnie dla tego staje się dziełem romantycznóm. Nie rozumiéj atoli, jakoby mistrz miał wiedzę wyrozumowaną, filozoficzną o téj sprzeczności i rozłamaniu się ducha w sobie, bo w ra-

zie takowym dzieło jego, będąc jedynie uzmysłowieniem zimnego rozumowania, nie byłoby więcéj dziełem sztuki, kwiatem żywym fantazyi, ale kwiatem robionym, martwym. Mistrz, jak rzekłem, poczuciem swojego natchnienia, instynktem artystycznym, jasnowidzeniem gieniuszu odgaduje ją i przeczuwa, bo takowa jest właśnie istota fantazyi artystycznéj (*).

(*) Czytając te wyrazy moje, może uczynisz mi zarzut, jakoby w samém rozumowaniu mojém była sprzeczność zamknięta. Powiesz może, że wszelkie dzieło sztuki, czyli należy do fantazyi klassycznéj, czyli do romantycznéj, winno być w każdym razie wyrażeniem, uzmysłowieniem nieskończonego pierwiastku przebywającego w człowieku. Z tego wynika naprzód, że to dzieło sztuki winno być wcieleniem treści duchowéj samego mistrza, a powtóre, że to dzieło samo, wzięte w sobie, właśnie dla tego, że jest wcieleniem takowém, winno być w sobie doskonałą jednością, całością; bo ta idea, którą to dzieło wyraża, uzmysłowia, uzewnętrznia, sama jest jednością i całością w sobie. Z tych warunków, które powinny towarzyszyć każdemu dziełu sztuki, wyprowadzisz może następne wnioski i powiesz, że ponieważ fantazya romantyczna gruntuje się właśnie na rozdwojeniu ducha, to jest wiekuistego pierwiastku, a świata zewnętrznego, zmysłowego, wynika ztąd, że *naprzód* treść duchowa, przebywająca w mistrzu, będąc w rozdwojeniu ze światem zewnętrznym, zmysłowym, nie zdoła się wyrazić w dziele sztuki, bo się nie zdoła uzmysłowić w świecie zewnętrznym; *powtóre*, gdy w duchu mistrza także mieszka to rozdwojenie pierwiastków sprzecznych, będące piętnem jego wieku, zatém też ta treść duchowa jego, wcielona będąc w dzieło sztuki, sama uczyni to dzieło czemś rozdwojoném i nie da mu téj jedności i całości, która przecież jest warunkiem każdego dzieła sztuki; co więcéj, to dzieło sztuki samo, właśnie dla tego, że jest dziełem romantyczném, winno się stać odbiciem onego rozdwojenia i sprzeczności, i tak z tego powodu nie będzie ową doskonałą jednością a całością w sobie. Przypominasz sobie może, że już w innéms miejscu z lekka potrąciłem o stosunek sztuki romantycznéj do warunków sztuki w ogólności. Przecież rzecz cała za nadto jest ważna, byśmy nie mieli poddać jéj pod ścíślejszy jeszcze rozbiór.

Wracam tedy do zarzutów twoich.

Zgadzam się zupełnie na te warunki, które kładziesz każdemu dziełu sztuki, bo one wypływają z całego wykładu tych listów naszych; nie mogę się atoli zgodzić na twoje zastosowanie ich do sztuki romantycznéj. To

Zdaje mi się, że to wszystko, co już w tym i w ostatnim liście powiedziałem, wystarczy do lekkiego określenia fantazyi romantycznéj w średnich wiekach. Obejdzie się też zupełnie bez przeglądu szczególnych rodzajów sztuki, by niemi jako przykładami objaśnić, com

---

zastosowanie byłoby zupełnie w swojém miejscu, gdyby chodziło o fantazyą powszechną, gminną, nie artystyczną. Lecz gdy, jakeśmy rzekli, prawdziwy mistrz unosi się nad te walki i rozdwojenia, właściwe wiekowi swojemu, gdy on o nich wie natchnieniem, z tego już wynika, iż nad niemi panuje, iż je zdoła przemódz w sobie, a tém samém że z jednéj strony treść jego wewnętrzna, którą wciela, którą uwidamia w dziele sztuki, a z drugiéj dzieło same nie będą od siebie rozdwojone. Następnie, gdy mistrz zdoła przemódz to rozdwojenie, więc widać, że w samym mistrzu, w treści ducha jego także to rozdwojenie jest przezwyciężone; dla tego on choć w dziele swojém, jako w romantyczném, wyrazi to rozdwojenie i sprzeczność, przecież, mimo tego, to dzieło będzie co do formy rzeczywiście jednością i całością artystyczną. Mistrz w niém okaże walki i sprzeczności, właściwe wiekowi swojemu, a przecież uczyni samo dzieło jednością.

Zaiste, sztuka romantyczna i sztuka klassyczna to mają sobie spólnego, że każda z nich winna wyrazić treść wiekuistą ducha w pojawach zmysłowych, z rzeczywistego świata pożyczonych, bo taki jest warunek każdéj sztuki; różnią się atoli osnową swoją. Sztuka klassyczna, jak ów cały świat jéj spółczesny, ma za osnowę swoją harmonią ducha i natury; sztuka romantyczna ma za osnowę rozdwojenie ducha a natury, wewnętrznego a zewnętrznego świata; więc też ona to rozdwojenie wyjaśnia w dziełach sztuki, a tém samém wyjaśnia treść ducha spółczesnego jéj. Przecież, mimo tego, samo to dzieło jest znów w sobie jednością harmonijną — całością artystyczną.

Spytasz się atoli może teraz, czyli wedle tego, com rzekł, mistrz romantycznych stóleciów nie ma już żadnéj innéj cechy, sobie właściwéj? Owszem jest w nim i bardzo silna cecha. To rozdwojenie świata wewnętrznego a zewnętrznego, bo odwrócenie się od rzeczywistości zewnętrznéj a utonienie we wnętrzu swojém, będące właściwe wiekom romantycznym, okazuje się także w mistrzu romantycznym tém jeszcze, że średnie wieki nie wszystkim rodzajom sztuki poświęcają się z równém zamiłowaniem i szczęściem, że te jedynie rodzaje sztuki są dla mistrza właściwe, które płyną ze samego wnętrza ducha, jak to zaraz obaczymy.

Jakoż nie odwołuję się wcale do ciżby pieśni lirycznych, która jest tak ogromna w porównaniu epopei, ale postrzedz łatwo, że same te epo-

powyżéj rozwinął, a tém mniejsza tego potrzeba, gdym powyżéj już się dotknął, przy sposobnościach różnych, tych wszystkich rodzajów sztuki. Tutaj zwrócę tylko uwagę twoją na kierunek właściwy téj fantazyi, więc na te rodzaje sztuki, które najsilniéj przeważać musiały w téj epoce dziejowéj.

Przyznasz mi, że z całego naszego rozwoju wypływa sama przez się cecha i dążność poezyi średniowiekowéj. Wszak to zapadanie się człowieka w sobie, to odnoszenie się jego do wnętrznych przybytków ducha jego—słowem, to nastrojenie jego liryczne jest powodem, że poezya ówczesna będzie miała także głównie charakter liryczny. Liryka, która czerpie z wnętrza duchowego, jest daleko właściwszym rodzajem poezyi dla średnich wieków, niż epopeja; dramatu zaś wcale tu nie znajdziesz. Bo też inaczéj dziać się nie mogło w średnich wiekach. Kto chce widzieć zewnątrz siebie widziadło swojéj fantazyi, powinien niby siebie zapomnieć, utonąć na zewnątrz. Tego nie zdołała dokonać fantazya średnich wieków; ich duch nie zdołał wystąpić z siebie na zewnętrzny świat, nie mógł sam wychylić się z siebie, bo cała jego waga ciążyła na wewnątrz. Duch w téj epoce świata tak był zajęty sam z sobą, treść wewnętrzna tak mu śpiewała i grała, tak mu lśniła i świeciła, że stracił wzrok i słuch duchowy dla zewnętrznego świata (*).

---

peje mają na sobie cechę liryczną. Im brakuje unaocznienia, brakuje plastyczności; co już najdobitniéj okazuje się we figurach, które nie dość silnie są wyrobione i nie dość wydatnie występują z ogólnego tła, na którém są malowane.

(*) Brakło tedy i w tych epopejach panowania nad światem zewnętrznym; to samo usposobienie ducha okazało nam się w figurach Stwoszowych sposobem odwrótnym, bo jakąś niemocą wzniesienia postaci rzeczywistych (z natury wziętych) do idealnéj piękności.

Jak tedy rzeźba, plastyczność była właśnie sztuką najwięcéj Grecyi właściwą, sztuką wybraną, najwięcéj od niéj ukochaną (obacz list XII), tak też poezya plastyczna, któréj wyobraźnicą jest epopeja, stała u kolebki tego szczęśliwego ludu, i jako niańka wypiastowała go na śpiewach Homerowych, — a jak plastyczność i rzeźba była rodzajem sztuki najmniéj odpowiednim epoce wieków średnich (obacz list przedostatni) tak też i w poezyi plastyczność ich figur rozpłynęła, gdy zaśpiewała lira całą głębią uczuć, nutą, którą układali aniołowie w nadprzyrodzonych światach.

Nie chciéj nazwać lekkodusznością, że niby jednym kolorem oznaczyłem poezyą wszystkich ludów europejskich, przecież tak różnych między sobą. Lecz właśnie dla tego, że one tak rozmaite między sobą, wolno mi mówić tylko ogólnie bardzo o spólnym charakterze ich poezyi. Nadto zważ, że ta różnica przelicznych narodowości nie była tak silną w średnich wiekach, jak jest dziś. Bo ta różnica i indywidualne piętno każdego narodu wyrabia się dopiero najgłówniéj przez historyą, przez wielkich ludzi, przez rozwój literatury i języka. Narody tém podobniejsze do siebie, im bliższe swojego dziecięctwa, bo wtedy jedynie zachodzą różnice, idące od usposobienia szczepowego, przyrodzonego, a te różnice wszelkie, właśnie jak to wszystko, co od natury pochodzi, mniejsze miały znaczenie w średnich wiekach. Przypomnij sobie nadto, jak się nawzajem mieszały narodowości w owych czasach, w wyprawach krzyżowych, na uniwersytetach, na jarmarkach, turniejach, pielgrzymkach, cechach i t. d.

Nie będę ci wcale przytaczał przykładów, abym wska-

zał brak plastyczności figur w epopejach średniowiekowéj Europy; biorę jednę z tych pieśni, która zaiste należy do najświetniejszych pojawów poezyi i niemałém podziwieniem przejęła każdego umiejącego czuć, co piękne i charakterystyczne. Mówię tu o pieśni «Wyprawa Igora na Połowców.» Patrz np. na postać samego Igora. Igor nie ma postaci wydatnéj, plastycznéj, własnego indywidualnego oblicza; jego postać jest raczéj wyobraźnicą całego ludu. Kontury obłoczne téj figury rozpływają się pod tchem gorącym uczuć lirycznych. Rzekłbym, że w téj pieśni mniéj o Igora chodzi jak raczéj o losy, o płacze, o tryumfy Rusi saméj; tutaj serce Rusi jest śpiewcą i bohatérem zarazem. Więcéj wprawdzie mają indywidualności i rysunku wydatnego bohatérowie w owych prześlicznych poematach serbskich (choć późniejszych); ale i tu cechą wielce charakterystyczną jest brak silnego zarysu indywidualnego figur pojedyńczych. Patrz np. na onych braci Jugowiczów; oni zupełnie do siebie podobni: myślą, działają, mówią nawet temi samémi wyrazami. Nie są to akkordy, ale tony jednobrzmiące, co wtorując wrażeniom ogółu potęgują je silnie i ogromnie. Jugowicze, razem zaproszeni do uczty, razem siadają do stołu; wszyscy dziewięciu odzywają się do ojca razem, zachęcając, by pił wino— wszyscy dziewięciu témi samémi słowami doradzają, jak wynagrodzić giermka; wszyscy dziewięciu zrywają się od stołu, dobywając, pełni gniewu, szabel, gdy słyszą, że ich siostra Milica ma być giermka nagrodą (*).

(*) Wykrzyknęli ku ojcu synowie:
„O Rodzicu, sędziwy Bohdanie!
„Czemu wina nie pijesz z téj czaszy,
„Którąć Łazarz doręczył z pokłonem?

A gdy zajść miała potrzeba pod Kossowem, Milica każdego Jugowicza z kolei jako brata prosi, by został z nią na zamku białym, a każdy z kolei odpowiada prawie témi samémi słowy — każdy z nich śpieszy do bitwy — i wszyscy dziewięciu polegli.

Dla téj przemagającéj liryczności, dla tego samego usposobienia ducha w średnich wiekach, nie znajdziesz tutaj, jak rzekłem, rzeczywistego dramatu; jest wprawdzie już zaród silnéj komiki, ale komedyi jeszcze nie ma. Bo do dramatu, mianowicie do tragedyi trzeba znać zakon, którym się rządzą dzieje ludzkie, trzeba pojąć

Odpowiedział sędziwy Jug Bohdan:
„Dziatwa moja, mili Jugowicze!
„Czaszę wina spełniłbym z ochotą,
„Ale myślę, przemyślam w méj głowie,
„Czém nawzajem obdarzyć Łazarza."
I wołali na nowo synowie:
„Łacno Tobie obdarzać, nasz Ojcze!
„U nas koni, sokołów dostatek,
„O! dostatek i piór i kołpaków."

Wnet się zręcznie przymówił car Duszan:
„Łazarz dosyć ma koni, sokołów,
„Ma tu dosyć i piór i kołpaków,
„Łazarz tego wszystkiego nie chciwy,
„Łazarz łaknie Milicy dziewicy,
„Owéj ślicznéj Milicy Mizinéj,
„Lubéj siostry braci Jugowiczów."
Na te słowa wszyscy Jugowicze
Poskoczyli równemi nogami,
I sierdziści jęli się do mieczów,
Aby natrzeć na cara przy stole.
Modlił synów sędziwy Jug Bohdan,
„Stójcie, stójcie przez Boga żywego,
„Na gościnie, kto dotknie się Cara,
„Na wiek wieków niech będzie przeklęty!
(Tłom. *Boh. Zaleskiego.*

ład i szyk moralny świata i te potęgi opatrzne, które stoją na straży światu, mierząc i ważąc losy człowieka i ludów; temu wszystkiemu jednak nie podołały średnie wieki, one nie umiały czytać w rzeczywistości, a tém mniéj znały potęgi tajemnicze, które mistrzują losami ludzi sprawiedliwém choć nieubłaganém prawem.

Widzisz atoli że ta liryczność, ten żywot wewnętrzny obudziły w średnich wiekach właśnie tę sztukę, która również wewnętrznie dygoce w duszy człowieka, która również rodzi się w najtajniejszych głębiach duszy, która także wolna od zewnętrznego świata, wolna i oswobodzona od natury i jéj praw, która podobnie jest zestrojeniem wszystkich duchowych potęg; — tą sztuką jest *muzyka.* Muzyka jest sztuką wewnętrzną, ona więcéj odwrócona od świata zewnętrznego niż którakolwiek bądź inna.

Turnia tatrzańskich granitów, gwiazd sąsiada, milczy w cichym majestacie, milczy w niemé samotności harda i dumna. Na dole, pod nią, w głębi niedójrzanéj mrówią się sprawy ludzkie i klują się stólecia i lat tysiące i narodów losy, a niewidna i niespostrzeżona kroczy Historya świata. Turnia tatrzańska harda i dumna nie dowidzi dziejów ludzkich, nie dosłyszy ani jęków, ani tryumfów rodzących się i konających pokoleń. Ona milczy; u podnoża jéj swawolą obłoki, biją się i harcują bezduszne natury potęgi, lęgną się gromy i błyskawice, hasają wichry i burze. Turnia milczy i patrzy w gwiazdy. Przelatują wieki po wiekach;— lecz chyłkiem, nieznacznie u stop turni pracują zdradne przyrody mocc; one nie usypiają nigdy,

nie spoczywają nigdy;— dniem i nocą, latem i zimą, od roku do roku, od wieku do wieku robotnice nieznękane trawią hardéj, nieméj turni twarde podnoże, jak cierpienia i żale trawią serce, co dumne w niebo się patrzy, jak życie życiem się trawi. Pracują zdradne robotnice, a ziarnko po ziarnku opuszcza granitowe turni podnoże, i porywają ziarnko wichry, i unoszą je w przepaść ulewy. Turnia dumnie, hardo milczy,— aż nagle grzmot głuchy, łoskot piorunny zadygotał w koło krajem, przeleciał go lękiem: turnia runęła!— ona, co wiecznie milcząca i niema, w upadku swoim jękła jękiem boleści, ona zawołała grzmotem w skonaniu.

Ocean legł w dolinach przepaścistych ziemskiego planety, i cicho i spokojnie patrzy się w Niebiosa,— on się kocha w niebiańskiéj bezdeni, więc ubiera się w barwy ulubienicy swojéj, on podziela jéj uczucia, on zwierciedli jéj ciemne i jasne chwile,— na obliczu jego błyszczą jéj gwiazdki; on się weseli, gdy kochanka zajaśnieje światłością promienną, on się rumieni, gdy purpury zarania zapalą się na kochanki licach; a cicha jest ta miłość oceanu, a niema jego cześć dla niebios bezdeni. Ale gdy zerwą się wichry, gdy hukną szałem burze, gdy potęgi dzikie przyrody uderzą na siebie, ścigając się gonitwą i walcząc po oceanu wodach; wtedy on się zmarszczy, postawi strome fale i zagrzmi gniewem; a fale jak struny piorunne zahuczą, i sykną piany wrzące, i łomot zamętny strachem uchwyci serce żeglarzy.

Wszak i puszcza milczy świąteczno, uroczysto; ona zbudowała się w tajemniczy natury kościół, wydźwigła

swoje drzewa w kolumny potężne i przysklepiła je gęstym stropem konarów, gałązek i liści. W mrokach zielonego splotu, ziemia ziołami się modli; tutaj w zaciszu niedójrzane odbywają się tajemne roślin miłości, ich zrodzenia i skonania; w każdym listku, w każdéj gałęzi, trawce lub meszku natura słyszy swoich pulsów pukanie. Ona duma i myśli w tych drzewach pradziadowych, czuje kwiatkami i tęskni w zalecankach swych ptasząt. I cicho w borze i spokojnie. Dopiéro gdy powiew przeleci nad puszczą i dotknie się jéj skrzydłem ciemném, dopiéro gdy burza znieważy głębokie milczenie i uderzy bór; wtedy szarpną się drzewa, poruszą gniewnie konary; i bronią się i grożą konary jakby olbrzymów ramiona; strop puszczy rozkołysze się, zagrzmi falą, każda gałązka zakwili, każdy listek westchnie sykiem, bo w każdéj gałązce, w każdym listku dygoce lękiem i gniewem demon osobny, niewidzialny; on się obudził ze snu i woła i jęczy. Organy lesne zahuczą pełnym, głębokim, piorunnym akordem; wszędzie i wszędzie rozlega się krzyk, hałas i świst.

Tak i granit i fala przepaścista i bór ciemny milczą, one nie mają z siebie głosu; dopiéro, gdy zewnętrzne potęgi w nie uderzą, gdy w nie biją obce, cudze im moce, wtedy one jękiem, łoskotem, hukiem, brzękiem, szelestem dają znać o sobie, a wedle wewnętrznego składu tych różnych jestestw, wedle różnego powiązania ich cząstek, różne też będą i głosy ich, którémi się odezwą za potrąceniem zewnętrzném.

Dopiéro w tym gwarnym, hałaśliwym świecie źwierzęcym natura odzywa się samodzielnym głosem; źwierzę w głosie własnym samo siebie słyszy, słyszy

i czuje wewnętrzną budowę ciała swojego. Jak atoli dusza źwierzęca jest dopiéro niby zidealizowaniem materyi, jéj wonią, tak i głos źwierząt jest dopiéro echem, dosłyszalném odbiciem ich żywota, ich chcenia i wstrętu, które także są materyalne, także do rzeczy zmysłowych się odnoszące. Głos źwierząt jest dopiéro wyrazem boleści lub radości fizycznéj, objawem ochoty, tęsknoty cielesnéj; jest odniesieniem się materyi do materyi. Źwierzę odzywa się głosem, bo czuje, że jest tylko ułomkiem w ogóle zmysłowego świata; głos źwierzęcy jest jeszcze skutkiem stosunków ze światem zewnętrznym. Jednak wśród gwarnéj wrzawy a łoskotnych hałasów bezrozumnéj przyrody, wśród brzęków i szelestów bezduchowego żywota słychać muzykę. Muzyka! ona nie z natury poczęta; te jéj tony przywiało tchnienie boże z nad gwiazd na ziemskie poniża. Ton nie jest natury głosem; on głosem duchów, on słyszalnym promieniem wiekuistéj jasności. Natura nie ma tonów; tony są dziełem sztuki, wrodzonéj człowiekowi; one są instynktową umiejętnością; one są matematyką uczuć.

Wytłumaczę ci się bliżéj.

Powietrze otuliło ziemską kulicę morzem przejrzystém i osklepiło ją w jasne błękity; w niém oddycha żywot wszelki zmysłowy, w niém rodzi się i żywot duchowy, bo mowa i muzyka.

Gdy materya, gdy ciało jakie zadygoce w sobie, wtedy już, jakby po źwierciedle cichém jeziora, rodzą się po tém morzu powietrznéem kręgi po kręgach; one niewidome rozpływają się w coraz większe i większe pierścienie, aż nie uderzą w słuch. Zważ, gdy morska

fala bijąc w skalne brzegi wraca się, a w tym powrócie spotyka drugą nadchodzącą falę, już obie zderzają się z sobą, łamią się, i razem ogromnym kipiącym bałwanem wznoszą się, wzbijają w górę, a tak bez końca u brzegów powtarza się ta gra; tak też grają w słuchu fale powietrzne, co idą od drgającéj materyi. Zważ atoli, gdy ciało jakie np. struna dygoce tym trybem, iż drgania się powtarzają jednostajnie, bo w jednakowych ustępach czasu, wtedy też w jednakowych ustępach czasu każda fala, już odbita, wracając się spotka nową nadchodzącą falę, a tém samém i w jednakowych ustępach czasu odbędzie się owo spólne ich wzniesienie się, wzbijanie, co uderzy w słuch. Otóż ta prawidłowość i jednostajność zradza ton muzyczny. Gdy zaś te fale nie będą nadchodziły w jednakich ustępach, wtedy się zrodzi zamęt bałamutny fal nowo nadchodzących a już odbitych, wtedy nie będzie tonu muzycznego, wtedy zrodzi się łoskot jako grzmot walącéj się turni, jako gwar puszczy, jak owa swawolna gra i szum morskich bałwanów, jak ryk i świst, wrzawa źwierzęcego świata; słowem, powstają te wszystkie głosy niesforne przyrody, których nie zdołasz udać żadnym tonem, których ująć nie zdołasz żadną sztuką ani nutą. Natura bezduchowa dygoce w sobie, ale jéj dygotanie nie odbywa się prawidłowo, nie w pewnych ustępach czasu. Ona nie oblicza matematycznie tych drgań swoich i dla tego nie zna muzycznych tonów. Zważmy następnie, że różnice tonów, że zniżenia i podwyższenia ich są właśnie skutkiem różnéj ilości tych drgań w jednym i tymże samym czasie. Jeżeli zaś ton ma się godzić z drugim tonem, wtedy potrzeba,

aby liczba drgań jednego tonu w pewnym czasie zostawała w pewnym matematycznym stosunku do liczby drgań, które odbywa ten drugi w tymże samym czasie (np. jeżeli w tym czasie jedna struna odbywa dwa razy tyle drgań, co druga, wtedy zrodzi oktawę; jeżeli zaś jedna w tym samym czasie odbywa 2 drgania kiedy druga trzy, wtedy powstaje kwinta i t. d).

Te tony są iście dopiéro żywiołem pierwotnym, początkowym materyałem, z którego muzyka buduje czarodziejskie a rozwiewne pałace swoje. Powiesz atoli, zkąd ów pastuszek tatrzański, co zna tylko trzodkę kozek swoich na ziemi, a drugą bożą trzodkę gwiazdek na niebie, przyszedł do téj matematyki? zkąd mu te tony pieśni jego, co radośne jak wiosny tchnienie, świeże jak zioła błyszczące rosą niebiańską? Pytasz, zkąd pastuszkowi te rachuby sztuczne? Wszak on na samotni skalnéj rozmawia jedynie z echem, odgrodzony od świata obłokiem, co żegluje nadpowietrznym statkiem pod stopami jego!— Przecież wiesz, że prawdy, na których spoczął świat, drzemią zwinięte w piersiach każdego człowieka, czekając rozkwitnienia swojego. Jakoż prawdy o Bogu, o nieśmiertelności, o tém wszystkiém, co zacne i sprawiedliwe westchnęły już wszystkie uczuciem, instynktem w piersiach naszych, zanim późna filozofia roztoczyła je całością umiejętną. Tak i matematyka natury, co mierzy i liczy stworzenia potęgi, co wodzi krążące gorejące światy po wiekuistéj przestrzeni nieba, wprzód zamieszkała w bezświadomém sercu człowieka i w niém żyje jako przeczucie, jako instynkt, zanim umiejętność przedstawiła je kałkułem rozumowym dla jasnéj wiedzy jego. Jest to, jak rzekłem, ma-

tematyka uczuć, umiejętność wrodzona duchowi człowieka; te tony są sztuką naturalną; człowiek z nią na świat przychodzi. Ta matematyka jest tylko duchom właściwa, nie wie o niéj materyalny świat, on nie wie, co muzyka; ba, nie zna nawet co tony. Głosy, na które się przyroda zdobyć może, mają się do muzykalnych tonów, jak materya a duch, jak niebo a ziemia, jak doczesne pojawy do wieczystego trwania. Farby przypylone, pomieszane na palecie malarza, to są dźwięki wymuszone gwałtem zewnętrznym na przyrodzonych jestestwach, a promień słoneczny, niebiański rozszczepiony w pryzmacie krystalicznym na siedm przeczystych barw tęczowych, to są siedm tonów muzyki.

Wszak, gdy każdy ton zostaje w pewnym stosunku matematycznym do innych tonów, więc już każdy ton z istoty swojéj tęskni, by ten stosunek swój w rzeczywistości objawił, tęskni do powiązania się z innemi tonami, jako uzupełnieniem swojém. On zaś wiązać się może trybem dwoistym. Bo albo łączy się w następstwie czasów, gdy ton po tonie się rodzi, a tak powstaje melodya, albo gdy więcéj tonów razem się rodząc spływają z sobą, a tak dają początek harmonii.

Melodya i harmonia, to dwa Boże anioły, które pozostały na Ziemi, gdy ona utraciła niewinności raj— te nieba posłannice śpiewają w onéj harmonii i melodyi, co wiąże wszechistnienia stworzone w jednę kompozycyą wiekuistą. Te anioły pańskie śpiewają o myślach Bożych, które żyją życiem tajemniczém we wszech światach, i witają himnem anioła-dzieciątko, co się zrodziło w ciasnéj chatce serca twojego, otulone pro-

mieniem, światłością powite. Melodya owa nieskończona płynie od wieków, płynie przez światy od piérwszego stworzenia dnia; jéj falami lat tysiące, jéj tonami, to gwiazdy na niebie, to narody na ziemi; a harmonia wiąże te lat tysiące i gwiazdy i ludzkie dzieje, i wiąże skon i zrodzenie, przeszłość dawną, zmarłą i przyszłe stólecia, co się zrodzić mają; ona wiąże ciemności i światła, i cierpienia i wesela, żale serdeczne i nadzieje w jedne spólne akordy. Ta harmonia doleciała odgłosem z gwiazd do ducha Platona, ale ona była dla niego tylko szczęśliwym snem wróżącym; on jéj dosłyszał w jednéj chwilce szczęśliwego zachwytu; ona dopiéro powodzią światła otuliła chrześcijańskie ludy; świat chrześcijański dopiéro usłyszał tę harmonią świętą co goi i koi sprzeczności i odstępstwa od ducha, co jest snem i jawem, śmiercią i zmartwychwstaniem. Téj melodyi, téj harmonii spisał nóty wiekuisty kompozytor, zanim stworzył gwiazdy, zanim zagrał na promieniach światłości swojéj; téj melodyi, téj harmonii odgłosy ciche żyją w muzyce ziemskiéj, żyją w sercu człowieka.

Już dawno przedemną inni okazali, jako natura nie zna melodyi, ona nie zna harmonii; ona zna jedynie, i to bardzo rzadko, najniższy pierwiastek muzyki, bo rytm (takt; np. krople spadające mogą wypukiwać rytm, koń cwałujący lub kłusujący kopytem,— przepiórki głosem wybijają rytm, przeznaczony im od stworzenia świata. Lecz i ten rytm jest tutaj tylko przypadkowy, bo bezświadomy, a w muzyce on tylko jest podścieliskiem melodyi i harmonii. Tak jak ton, takt, melodya i harmonia są wykwitem a dziełem swobodném du-

cha, jego dziełem samoistném, wzniesioném nad świat materyalny.

Gdy w malowanych obrazach, gdy w rzeźbionych dziełach żyje choćby przypomnieniem natura zewnętrzna, więc jéj ludzkie postaci i kształty, zwierzęce i roślinne, i kwiaty, i owoce, i góry i wody i obłoki; — w poezyi i w dramacie żyją dzieje ludzkie i uczucia serca i sprawy człowieka; w muzyce niéma tego przypomnienia; w niéj brzmi, maluje się, rzeźbi się jedynie państwo duchowe i mieszkańce jéj w głębi piersi zrodzone. I dla tego też możesz odpowiednio słowami wypowiedzieć treść obrazu, rzeźby, poematu, ale nie zdołasz opowiedzieć treści kompozycyi muzykalnéj; bo muzyka zerwała ze światem rzeczywistym; bo muzyka jest rozmową ducha z sobą. Nie zdołasz opowiedzieć treści kompozycyi muzykalnéj mocą słów, wyrazów, bo mowa ludzka jest wyjawieniem myśli, a muzyka jest rzeczą uczucia; uczucie zaś jest niewymowne, nie da się słowami określić. Słowa, jak myśli same, odnoszą się zawsze do przedmiotu jakiegoś wyraźnego, oznaczonego, bo i przedmiot każdy, choćby należał do zewnętrznego, zmysłowego świata, jest szatą myśli, — myśli stworzenia.

Chciéj teraz spojrzéć wstecz na to wszystko, cośmy dotychczas o muzyce powiedzieli.

Naprzód okazało się iż każde brzmienie odbywa się w czasie i przestrzeni, a choć wszystkie jestestwa zmysłowe istnieją w czasie i przestrzeni, jednakże czas i przestrzeń nie są zmysłowe. Tak tedy już samo brzmienie, jakiekolwiek będzie, jest jakby cieniem bezśmiertnym jestestw zmysłowych. Widzieliśmy również,

iż brzmienie objawia skład mechaniczny, wewnętrzny jestestw, pochodzi z ich wnętrza, jest jakoby symboliką ich istoty wewnętrznéj. Tak się rzecz ma z każdém brzmieniem, a cóż dopiéro rzec o tonie, który stosunkiem liczebnym, mogącym być jedynie pojętym przez duchów, odróżnia się od brzmienia. Między tonem a brzmieniem niéma ogniw pośrednich, jak niéma ogniw pośrednich między naturą bezrozumną (choćby ona była najzmyślniejszém zwierzęciem), a duchem rozumnym człowieka.

Jak atoli brzmienie okazuje układ mechaniczny, wewnętrzny jestestw materyalnych; tak ton, tak melodye i harmonie, tak muzyka jest wyrazem duchowego wnętrza człowieka, najgłębszego wnętrza jego; ona rodzi się tedy z uczuć i jest uczuć objawem — a uczucie jest właśnie to, co jest najwięcéj wewnętrzném, najwięcéj osobistém w duchu człowieka. Każdy człowiek ma prawo do uczuć własnych, bo co myślą pojął, to jest jego własnością, co czuje, to jest on sam. Jeżeli zaś tony muzyki nie są więcéj materyą, ale jedynie jéj zidealizowaniem, jeżeli są jakby symboliką wzewnętrznienia się wnętrza jestestw, jakby zerwaniem stosunków ducha a grubéj natury zmysłowéj, jeżeli muzyka jest ducha nawrotem i pogrążeniem się jego w sobie, więc już znać, że to właśnie muzyka ze wszystkich innych rodzajów sztuki odpowiada najsilniéj usposobieniu duchowemu ludów chrześcijańskich, że jest sztuką wybraną, ukochaną ich fantazyi, która również jest zerwaniem ze swiatem materyalnym, która również jest wskróś liryczną. Widać przeto, że muzyka jest sztuką chrześcijańską w najwyższéj swojéj

potędze. Gdy sztuka każda stoi właśnie na pogodzeniu dwóch światów sprzecznych, bo ducha i materyi, głębin wnętrznych i zewnętrznéj rzeczywistości, ztąd to pogodzenie sprzeczności idealizuje się w muzyce, bo się staje zestrojem tonów odwrotnych sobie.

Obaczymy atoli zaraz, że wieki średnie rzuciły dopiéro siejbę téj sztuki anielskiéj, a siejba ta weszła dopiéro w dziejach nowożytnego świata.

Rzekliśmy powyżéj, że fantazya romantyczna, o ile jest doprawdy artystyczną, właśnie tę ma istotę, iż ona tę sprzeczność, to rozdwojenie, te więc tęsknoty spółczesne sobie wyjawia w swojém dziele; ale je godzi, koi i goi, a tak staje się wyrazem nieskończoności ducha, nieskończoności owéj, która zlewa, zestraja razem sprzeczne światy spólną harmonią. Ta potęga godząca, kojąca właśnie wyjawia się w muzyce, a przedewszystkiém w harmonii. Tak tedy nastąpiło koniecznie, że ludy chrześcijańskie z tą głębią w sercu, w duchu, która im się roztworzyła na wołanie wiary zbawienia, zrodziły z siebie harmonią i stały się piérwszemi piastunami prawdziwéj muzyki. Takiéj muzyki nie miała starożytność, bo nie miała harmonii. Niéma muzyki prawdziwéj, krom muzyki ludów chrześcijańskich, a tę poczęły właśnie w sobie stólecia średniowiekowe.

Muzyka wykwitła na ołtarzach wiary zbawienia. Jest temu półtora tysiąca lat, gdy Śty Ambroży rzucił ziarno przyszłéj muzyki w Medyolanie, a Śty Augustyn tak mówi o tych śpiewach medyolańskich: »Gło-»sy wpływały w duszę moją, prawda wiekuista sączy-»ła się w serce, a nabożeństwa uczucie wylewało się

»radości łzami, pełnemi słodyczy.« Później Grzegorz Wielki zasiadł na stolicy apostolskiéj a na tronie muzyki (r. 590); on zakładcą piérwszéj szkoły śpiewów. W trzysta lat potém zakonnik we Flandryi, ów Huckbald, ośmielony gieniuszem, owiany tchnieniem anioła tonów, zanurzył się w tajnikach bezdennych harmonii i wyniósł na świat zaród piérwszy kontrapunktu, więc poczęcie nowéj muzyki, co miała dźwiękami przerodzić serce Europy. A już od dawnych lat organy głosem uroczystym, grzmiącym łączyły się z nabożeństwem po bożych domach. I znów niezadługo przeradza Guido z Arezzo tryb ujęcia tonów w znaki pisane — w nóty. Tak to poczęte zostało zacne dzieło muzyki pod błogosławieństwem nieba, a było ogrzane sercem rzewném i przeczystą pobożnością wielkich mistrzów, a szerzéj, szerzéj roztwierało się czarowne państwo tonów. Obok muzyki kościelnéj, co płynęła rzeką wspaniałą, pełną, uroczystą, ciekły też świéżym, krystalicznym zdrojem strumyki muzyki światowéj. Śpiewają trubadury, minnesengery, towarzysząc melodyą pieśniom lekkim, pieśniom uciechy i światowego kochania.

Przecież wiadomo ci może, że średnie wieki nie zdołały rozwinąć tych pięknych zarodów muzyki kościelnéj; ona straciła późniéj swoją głęboką, uroczystą i świętą grozę, wyradzając się w sztuczność, w czcze, pedanckie formy, co trwało aż do XVI stólecia. Zkąd to poszło? — Ośmielam się wytłómaczyć to zjawisko, właśnie z całego naszego pojmowania powyższego. Duch cofnął się w siebie; to zapadanie się w siebie miało — jak wiesz — dwojaki skutek. Raz duch ujrzał

w sobie samym najświętsze tajnice istoty swojéj, prawdy wiekuiste, rękojmie nadziemskie, łączące go z niebem i z nieskończonością. Z drugiéj strony jednak to zapadanie się w sobie, to uczucie siebie zrodziło też wypadki ziemskie, bo ludzkie pomyłki; to samo poczucie siebie wydało bowiem, jak wiesz z powyższego listu, ową nieograniczoną dufność w siebie, która okazywała się tak często w chęci awanturowania się, w swawoli pragnącéj nacieszyć się swoją swobodą, uczuciem téj swobody nieskończonéj, osobistéj. Ztąd poszło owo rzucanie się w świat, goniące za przygodami, ztąd poszły wszystkie one zjawiska, właściwe średnim wiekom. Ztąd też zrodziła się owa filozofia scholastyczna, swawoląca sylogismami, mająca upodobanie w popisywaniu się z bystrością osobistą. Ta filozofia dufając sobie, a niedbając o prawdę, która tkwi w rzeczach samych, pragnęła nacieszyć się zwinnością awanturną swojego sztucznego rozumowania, nie mającego w sobie treści. Zupełnie podobném zjawiskiem była muzyka; i ona się wyrodziła, i ona mniéj dbała o prawdy, tkwiące w muzyce saméj, żyjące w jéj głębiach. Kompozytorom chodziło o to, aby się popisać sztucznością, aby awanturować się wedle kaprysów swawoli, aby gwałcić prawa kontrapunktu i melodyi, byle zadowolnić osobiste swoje zachcianki. Widzisz tedy, że i ta muzyka była objawem swojéj nieskończonéj a spaczonéj dufnosci w sobie.

Może się zgodzisz na takowe moje tłómaczenie muzyki ówczesnéj; w późniejszym liście okażę, ile mię stać będzie, dla czego to właśnie wiek XVI był stóleciem odrodzenia muzyki. Tutaj tylko chciéj je-

szcze zważyć, że gdy tym trybem muzyka umiejętna, uczona, paczy się i skręca szkolnictwem, muzyka gminna, bliższa natury, bliższa serca ludzkiego, płynęła ciągle zdrojem skromnym ale świéżym, krystalicznym, Jak śpiewki ptasząt, brzmią pieśni trubadurów, minnesengerów, minstrelów, towarzyszą im melodye lekkie, wdzięczne o uczuciu lotném, skrzydlatém, o sercu ciepłém, kochającém.

Te tchy nadziemskie, a niewymówne tęsknoty, co żyją w kościelnéj muzyce, te jéj melodye i harmonie, akordy i tony, gdy nie ulecą ku niebu, lecz zatrzymane na ziemi uwidomią się oczom śmiertelnym, już wtedy skamienieją głazem, stają się architekturą tumów i onych świątnic uroczystych, co je nam przekazały średnie wieki, jako Boże strażnice a zadatki święte naszego przymierza z wiarą i z duchem dawno pomarłych pokoleń.

Wszak od dawnego już czasu ludzie gienialni porównywali tę muzykę z architekturą. To porównanie trafne dokonywali ich następcy coraz dobitniéj i ściśléj. Nie rozwodząc się zbyt szeroko, pragnę w kilku słowach podać ci wypadek ostatni ich badań szczęśliwych, odsyłając cię po bliższe roztoczenie przedmiotu do dzieł, których nie brakuje literaturze europejskiéj. Zaiste i muzyki i architektury pulsem jest liczba i matematyczny stosunek. Obie te sztuki liczą i mierzą i wiążą. Jak muzyka płynąc tonami rodzi się i przemija w czasie, tak budowanie dźwiga się i szerzy w przestrzeni. Muzyka buduje sobie z tonów własne domy Boże, a budowanie gra na głazach, jako na strunach

święte psalmy i himny, i z nich wydobywa i rytmy i harmonie i melodye swoje. Jak muzyka przeistacza niesforne głosy natury, one łoskoty i szumy i szelesty na tony przeczyste, tak architektura przerabia skalne, niesforne opoki na ciosy, na figury jeometryczne, i nadaje im kształty piłą, dłótem i młotem. Dla tego też architektura, równie jak muzyka, nie pożycza sobie kształtów od natury, nie odziewa treści duchowéj w szatę jestestw zmysłowych; więc też obie te sztuki jako siostry rodzone wyzwalają się od zewnętrznego świata; każda z nich stwarza sobie osobny dla siebie świat. Muzyka rodzi go z serca i w nim żyje, w nim tonie nie słysząc wrzawy tłumnéj rzeczywistości przyrodzonéj; architektura, budując dzieło swoje, odgradza się również od zewnętrznego świata; stwarza własne sobie przestrzenie swoje i przebywa w nich, jako w domu własnym. Muzyka i architektura są serca hieroglyfem, symbolem przeczucia, co robi, co się rusza i mówi na pół zrozumiane w duszy, a wciela się we formy tonów i formy architektoniczne. Gdy atoli architektura, krom surowego, dzikiego materyału, nic wcale nie unosi z natury, gdy ona używa jedynie natury za środek do objawienia potęgi duchowéj, gdy przyroda ma jedynie dla niéj znaczenie ujemne, gdy ona, podobnie jak muzyka, całą osnowę swoją czerpie z tajników najskrytszych piersi naszych, gdy ona po ideał swój sięga do głębin duchowych; więc też ona jest najwolniejszą córą fantazyi artystycznéj każdéj i każdéj wielkiéj epoki w dziejach ludzkich. Gdy zaś architektura, jak już w innném miejscu rzekłem, tém znów różni się od muzyki, że ona już nie ma do czy-

nienia z dźwiękiem ulotnym, rodzącym się w chwili i znikającym w chwili, gdy ona buduje przez długie lata, a niekiedy i wieki, gdy jéj dzieło jest rzeczą jakby całego ludu i stólecia, a ma zostać w świecie zewnętrznym na widoku wszystkich ludów i narodów; ztąd znać, że architektura nie jest wyrazem jednéj fantazyi indywidualnéj, fantazyi jednego pojedyńczego ludu, ale jest jakby wykwitem serc tysiąców i milionów, że tedy architektura więcéj niż którakolwiek sztuka spoczywa na fantazyi, którąśmy fantazyą powszechną, ogólną nazwali, więc jest symboliką uczuć powszechnych. I zaiste, pomijając tę architekturę bazilik, w których tak potężnie i uroczo występuje duch chrześcijański, cofający się do wnętrza swojego, pomijając również architekturę bizantyńską, zostawując na uboczy budowanie romańskie, które wypiastowały wzory architektury klassycznéj, zwrócimy się wyłącznie do budownictwa w środkowéj Europie, które zwykle gotyckiém zowiemy. Ono właśnie jest tą architekturą, która w całéj wolności, bez wzorów i reguł narzuconych, wyrosła z serca średnich wieków. Ono też jest najwyraźniejszém odbiciem fantazyi romantycznéj i usposobienia duchowego średniowiekowych ludów.

W tych tedy tumach gotyckich na oczy własne dotykalnie obaczymy i zerwanie ducha z naturą, i cofnienie go w siebie, owo zwrócenie ku sobie od zewnętrznego świata, utonienie w sobie, a zatém uczucie nieskończonéj swobody, niewiązanéj już zewnętrznemi względami. Obaczymy zatém z jednéj strony wybujanie zuchwałe, fantastyczne osobistéj indywidualności istoty człowieka, lekceważenie natury zmysłowéj;

a z drugiéj strony uczucie sprzeczności wewnętrznéj; ta sprzeczność niewymówną rodzi tęsknotę, jakby nieśmiertelnego ducha za wiekuistością wołanie. Lecz znów zarazem ta architektura, jako dzieło fantazyi artystycznéj, będzie zestrojem téj sprzeczności, tego rozdwojenia,—ukojeniem tego rozstania się dwóch światów.

Obejdź kościoł nasz Maryacki, albo Dominikański, lub katedrę w Krakowie; przypatrz się, jak te kaplice, kruchty, zakrystye, skarbce i te wszystkie budynki drobniejsze przeróżnym trybem występują na zewnątrz; spójrzyj potém na górę, na te dachy strome, co w odmiennych bardzo wysokościach pokryły różne części kościoła, a wyznasz, że całe założenie tego budynku bynajmniéj nie miało na względzie zewnętrznéj strony jego, że tutaj budowała się myśl, patrząca się we wnętrze swoje, że ta architektura odwróciła się od otaczającego ją wkoło świata, że jest zebraniem się w sobie, cofnieniem się we własne tajne przybytki, w sobie się budując i w duchu się modląc. To cofnienie się do wnętrza a skupienie się w sobie jest piérwszą cechą każdego gotyckiego budynku, mianowicie kościoła, wyrażającą się nawet i tam z całą potęgą, kędy niéma tych występujących budowli pomniejszych, i gdy, jak to najczęściéj bywa, gmach składa się z jednéj całości; bo wszędzie obaczysz, że zewnętrzny kształt jakby nie istniał dla siebie, że ma wprost tylko znaczenie ujemne, jak natura, jak cały świat zewnętrzny. To zewnętrze świątnicy jest wprost wypadkiem budującego się wnętrza. Kościoł gotycki jest obrazem kupienia się w sobie, onego zmrużenia się zmysłów światowych, utopienia się w sobie. Dla te-

go, gdy cię obstąpią wewnętrzne, święte przestrzenie, gdy cię otoczą wkoło cichym, niemym majestatem i nawy i filary, i łuki i chór i sklepienia śmiałe, gdy cię uderzą, akordem harmonii pełnym, i światła i cienie i perspektywa uroczysta; wtedy odezwie się budowanie całe pieśnią tajemniczą i przejmie duszę dreszczem niewymównym; wtedy uczujesz, że te wnętrzne przybytki są iście jednością artystyczną, zamkniętą i ukończoną w sobie; że tutaj zebrały się promienie całéj budowy, jako uczucia zbierające się w piersiach twoich. A sercem tego wnętrza, a ogniskiem tych promieni jest ołtarz wielki, co króluje spotęgowanym przepychem zdobnych bogactw i sztuki.

Chciéj teraz przywieść sobie na pamięć świątnicę staro-grecką. Tutaj wszystko inaczéj się dzieje. Wszak istotą fantazyi Hellady była właśnie równowaga ducha a materyi, świata wewnętrznego a rzeczywistości zewnętrznéj. Ztąd też świątnica jéj buduje się i ku światu; te zdobne frontony, te przedsienia urocze a kolumny strojne są zaiste całą jedną połową świątnicy, a one również, jak ich bogi, patrzą uśmiechając się na świat, na naturę, milą się ludziom, zwracają się wdzięcznie i poufale do żywota ziemskiego, co robi radością i weselem. Podobnie też i od góry świątnica Greków często bardzo nie odgradza się od natury; ona i od góry nie zamknięta. Dach otwarty, wykrojony czyni wnętrze świątnicy niby dziedzińcem odkrytym. Więc promienie słoneczne opływają swobodnie posąg boga, a nad nim rozpina się wesoło jasny niebios sklep, a przelatują obłoki, a przelatuje ptasia lekka gawiedź. Duch Grecyi nie był skupionym w so-

bie, nie tonął w sobie. Ołtarz ofierny nawet stał najczęściéj na zewnątrz, przed świątynią, kędy zbierał się lud, oddając bogom wesołym pokłon wesoły. Aleć i pod innym względem, jak ci wiadomo, w tych budowaniach greckich iści się ten cudowny zestrój ducha i przyrody czyli materyi. Wszak fantazya Hellady obliczyła się ściśle z prawidłami mechaniki, statyki, bacząc pilnie na wszystkie warunki materyi, więc na warunki mocy i trwania budynku. Takowe atoli właśnie stosowanie się jéj do natury, do głuchéj materyi stało się dla Grecyi źródłem architektonicznéj piękności (List XII); technika, jako wzgląd na naturę i jéj prawa, stała się zarazem estetyką, bo względem duchowym na wdzięki i urok artystyczny. Harmonia przecudna wszystkich części świątnicy jest zarazem rękojmią jéj trwałości i mocy, a każdy członek architektury, jak może być wytłumaczony rozumowo z potrzeby technicznéj, tak również jest zarazem przystrojem i ozdobą. Tutaj ciążenie massy ku ziemi, właściwe materyi, nie jest ukryte; występuje owszem na jaw, ale będąc zestrojone z siłą dźwigających kolumn spływa z nią wdzięcznym akordem.

Inaczéj się pojawia fantazya w architekturze gotyckiéj. Sklepienie tutaj niby nie ciąży na filarach, ale z nich wyrasta, z nich się unosi. Żyły sklepienia, nadające im utwierdzenie potężne i kształt i rytm, już często nawet istnieją w zarodzie w filarach samych, przechodząc przez ich głowicę, a z tych znowu strzelając w górę w żyły sklepienia, jako konary palmowe rozpinają się po sklepieniach siatką kształtną, łącząc filary między sobą. To ostrołukie sklepienie jest naj-

wyższéj swobody wyjawem; tutaj ciężkość ku ziemi cisnąca, ów pierworodnéj materyi grzech, jest starta, pokonana; tu materya odrodzona zmartwychwstaniem, uskrzydlona duchém, lekko ulatuje w górę, zrywa z rzeczywistością; a kościelne sklepienie, błękitne, zdobne patrzy się gwiazdkami złotemi z zawrótnéj wysokości na mrowienie się ludzkie, co jeszcze na ziemi, co jeszcze doczesnością nękane. Tak tutaj lekkość form, dźwigających ogromne massy, jest zwiastuną przewagi ducha nad naturą i przemożenia ciężkiéj materyi. Podobne tryumfy ducha nad przyrodą obaczysz spozierając na ściany kościelne. One odgradzają świątynię od zewnętrznego świata, ale to nie ściany, to raczéj filary wysokie, śmiałe, połączone olbrzymiemi oknami; tutaj znika potęga jednostajnéj kupiącéj się materyi.

Okna, sklepienia ostrołukie wzlatują ku niebu—im ckliwo na ziemi. Ta forma ostrołuka zaprawdę jest tętnem téj architektury i świadczy, że duch już przełamał linią poziomą, równoległą do poziomu, będącą w Grecyi wyrazem onego ciśnienia materyi ku ziemi. Te linie gotyckiego ostrołuku chwytają oczy i serce widza i unoszą je z sobą nad gwiazdy nieskończoném przeczuciem. Lecz już w wieży potęguje się najsilniéj ta kipiąca tęsknota; tu wezbranie uczuć a wrzących pragnień niewymownych, tu oderwanie się od rzeczywistości, od nizin doczesnych, od świata i gwarnego jego żywota. Te wieże kościelne strzałą lotną, budowaniem nadpowietrzném w dzierganą koronkę, wzbijają się w niebiańskie błękity. Głazy, z przepaści ziemskich wydobyte, teraz sąsiadują ze światem obłocznym, piętrzą się senne, przejrzyste, eteryczne, niby prorocze głosy onych milionów

serc, co pozostały na pielgrzymce żywota. Przez tkanki przeźroczyste, plecionki wyrabiane, hafty ciosowe tych wież przeziera niebo i przeglądają gwiazdy, prawiąc ludziom, że materya złamana, zidealizowana stała się matką zwycięztw duchowych. Ta strzelistość a podlotność, ten kierunek pionowy, ta tęsknota ku niebu a silenie się, by się oderwać od ziemi wyjawia się i tętni w całéj świątnicy, i w ostrołuku, i w sklepieniu, i w bramach, i w oknach, i w filarach i w wieży, nawet w więźbie i zrębie stromego dachu. Nie myśl bowiem, jakoby ta spadzistość jego była względem technicznym na północne śniegi; ona się zrodziła wprost jako wypadek ogólny charakteru i całéj dążności onéj fantazyi romantycznéj; bo z odwróceniem się od natury nastaje niby lekceważenie technicznych względów (*).

(*) Przypominam atoli, że jeżeli tu mówimy o lekceważeniu sobie zasad technicznych i o strojeniu sobie żartów z potęg natury, toć się rozumie, że te lekceważenia i żarty są tylko czémś pozorném; techniczność jest tutaj ukrytą, choć zachowana z pewném zuchwalstwem a wyzywaniem sił przyrody. Nie mieszajmy tedy architektury gotyckiéj z arabską: choć obie są wielce do siebie podobne, choć gotycka pewnie doznała wpływu tchu budowania maurytańskiego, który jéj zawiał z Hiszpanii, i choć nakoniec obie te fantazye są jakoby spokrewnione z sobą i obie są fantastyczne. Z drugiéj strony jednak przypomnij sobie, jako powyżéj rzekłem, że każda z tych fantazyi jest fantastyczną sobie właściwym sposobem, że fantazya wschodnia ma się do fantazyi ludów średniowiekowéj Europy, jak abstrakcyjny, głuchy teizm Islamicki,—przeradzający się tak łatwo w swawolny panteizm — do wiary zbawienia, co tak pełna głębokiéj wiekuistéj treści, przenikającéj wszystkie życia kierunki. Otoż ta moc ducha chrześcijańskiego przeniknęła sobą i przemogła zacnie potęgi natury, ale nie puszcza się w swawolę w tych architekturach swoich; ona dochodzi do najwyższego stopnia śmiałości w przezwyciężeniu materyi, ale igrając niby z niebezpieczeństwem umie mu zapobiedz. Czyliż inaczéj te misterne tumy, te przezroczyste wieże mogłyby przetrwać tak długi szereg wieków i dochować się naszym stóleciom? Architektura gotycka ukrywa tylko baczenie swoje na techniczne wzglę-

Rzekłbyś, patrząc się na tumy średniowiekowe, że duch onych starych ludów stroił sobie żarty z żywiołów, które przyroda zawistna urokom dzieł ludzkich wysyła jako czeladkę swoją, by je trawiły, psowały nieznękaną nigdy pracą.

Właśnie te wyrabiane, misternie dziergane ciosy, te załomki, zakręty przerozmaite, tak właściwe gotyckim budowaniom, jawnie świadczą, że mistrz nie oglądał się na żywioły niszczące dzieła rąk ludzkich, że bu-

---

dy, ale ich nie gwałci; i dla tego ona rzeczywiście jest budownicą, ona doprawdy buduje, ona nie jest kuglarstwem jak maurytańska, jéj dzieła nie są dekoracyjne; nadto, duch artystyczny natchnieniem prawdziwém przenika całe to budowanie i czyni je całością organiczną.

Inaczéj dzieje się w maurytańskiéj architekturze. Tam fantastyczność jest swawolą, drwinkami z materyi; tam fantazya oczynia materyą, oczynia widza czarnoksięzką sztuką. Ta moc czarodziejska a pełna wdzięku tego budowania ma atoli sprawę z innym klimatem; a zresztą, jak ci wiadomo, jest czasem li dekoracyjną np. w onéj Alhambrze i w innych budowach maurytańskich, w których gęsto bardzo znajdziesz wrzekome tylko sklepienia, bo nie z ciosowych cegieł ale z kawałków drzewa pilnie, misternie ułożone, a w innych miejscach znowu sklepienia są raczéj oszalowaniem belek dachowych. Niedziw tedy, że takie sklepienie, udające murowanie, spocząć może na istotnie cienkich słupach i uderzyć podwyższeniem czarodziejskiém. Nie przytaczałbym téj właściwości, saméj przez się może drobniejszéj, gdyby ona zarazem nie przypominała nam onéj istotnéj cechy ducha i fantazyi Arabów, bo onego bujania bez granic, co raz senne, bezuzdne, opojone, a znów zamienia się na jałową rozsądkową prozę, tak, iż tam chwila uniesienia, zachwycenia fantazyi nie jest zarazem chwilą mądrości, onego artystycznego jasnowidzenia. Tak, jakem rzekł dawniéj, na Wschodzie, po chwilce upojenia, przystępuje rozsądek, co wiąże i waży i rafinuje. Ztąd te ornamenta i przystroje maurytańskie, nie będąc kwiatem natchnienia, nie są niby z jednego odlewu; one równie jak wschodnia poezya, jak cała architektura, nie są organiczną całością.

Toć jest, jak mnie się zdaje, istotna różnica onych dwóch fantastycznych fantazyi, bo europejskiéj średniowiekowéj a islamickiéj; toć jest różnica onych dwóch architektur, choć obadwa te światy są romantyczne i na pozór podobne do siebie.

dował im się na przekor, i wyzywając je jakoby do zapasów i walki. Zważ, że to samo sklepienie nawet jest tak misterne i lekkie, że nie zdoła wstrzymać pożaru, skoro płomienie ochłoną wiązanie dachu, jak tego smutnym dowodem nasz rok 1850.

A czyliż same olbrzymie rozmiary tumów średniowiekowych, przypominające budowanie starego wschodu, nie świadczą równie głośno pod tym względem, że duch człowieka potęgą swoją przeparł materyą, że jéj przyznaje tylko wartość ujemną, zostawując na niéj oznaki swoich tryumfów? Sam ogrom świątnic świadczy, że duch człowieka położył tutaj stopę swoją na bezdusznéj naturze, jako na podnożu wiekuistości swojéj. I zaiste, jeżeli ludzie nazywają ojca zacnym, co z miłością w sercu dla swoich dziatek szczepi drzewka, o których wie, że już nie jemu zaświecą owocem; cóż rzec o tych szanownych pokoleniach, co nie litując krwawego trudu, z wysileniem bez granic, z nabożeństwem w sercu a miłością gorącą dźwigały te tumy ogromne, choć przewidywały, że nawet ich późne prawnuki nie doczekają się końca téj pracy a mocowania się. Przystępowało pokolenie po pokoleniu zmieniając się w robocie, i umierały i rodziły się z kolei pokolenia, a dom Boży rósł a rósł na chwałę wiary i na cześć narodu, który w nim złożył świadectwo głośne, wymowne, że umiał żyć i umierać dla myśli, która się stała pulsem jego serca, żywotem ducha jego na ziemi.

Choć atoli one wieki i pokolenia zacne, ręka w rękę, ramię w ramię, spólną pracą, jedném spólném sercem jęły się budowania tego, toć przecież po tych dziełach ich znać, że to były czasy, w których indywidualność

»ludzka wybujała swobodą samodzielną, a człek każdy »uważał się za jednostkę osobną, o sobie stojącą; sło»wem, były to czasy, w których, jak to w inném miej»scu rzekłem, społeczność cała była zbiorem punktów »świecących, iskier odrębnych, z których każda odno»siła się do siebie saméj jako do ogniska swojego» (feudalność — list poprzedni). I zaiste znać w téj architekturze, że przeczucie nieskończonéj wartości roztworzyło głębie bezdenne w duchu, że człowiek każdy czuł się być jednostką osobną, o sobie stojącą. (Obacz oba listy poprzednie).

Jako, gdy drzewo się rozwija w konary, w gałęzie, gałązki i liście, każdy konar, każda gałązka, każdy listek jest jakoby całością dla siebie, osobném drzewem, osobną rośliną; tak podobnie w budowaniu średniowiekowém każda jego część, każda cząstka, każda nawet drobnostka rada niby stać się całością odrębną, rozwijając się po swojemu, nie oglądając się na inne; więc każda, udając całość, w siebie się cofa i w siebie się patrzy. Gdy u Greków znajdziem najprostsze założenie świątnicy na prostokątnéj jéj podstawie, — w gotyckim kościele całość rozszczepia się na mnóstwo kaplic, kapliczek, drobniejszych świątnic, z których każda jest odrębnym dla siebie kościołem, z ktorych każda ma ognisko własne w sobie i do siebie się odnosi. Ba, niekiedy nawet te kaplice, to obszernością swoją, to umieszczeniem swojém względem głównéj świątnicy, nabierają niby znaczenia rzeczywistych kościołów odrębnych a przecież należą do spólnéj całości; przykład nie daleki: wszak sam lud, i słusznie, nasz ko-

ścioł franciszkański w Krakowie nazywa kościołem o siedmiu kościołach (*).

Podobne rozjednostkowanie się na osobne całości i całostki znajdziesz w budowaniu wież. Spójrzyj na nasze dwie wieże maryackie. Owa niższa wyrosła wierzchołkiem baniastym swoim; lecz obok niego osiadły cztéry jemu podobne, z których niby każdy jest dla siebie całością. Wyższa zaś wieża, tak śmigła i strzelista, otoczyła się u góry ośmią wieżyczkami, co równie strzeliste, śmigłe, z których każda o gałce i chorągiewce pokazuje po swojemu prądy wietrzne i drogę obłokom. Wyznaję, że forma téj wieży jest oryginalna, i, o ile mi wiadomo, nie ma nigdzie sobie równéj. Natomiast na Zachodzie i na germańskiéj północy, cała przednia strona świątnic a mianowicie już wieże ustroiły się w bogactwo bujne, niedoliczone ornamentów zdobnych. Bujają, cisną się tłumem, przędą się i śpinają niby bluszczem wyżéj i wyżéj, szérzéj a szérzéj najcudniejsze skamieniałe dziwy fantazyi, a każdą ich cząstka jest niby czémś osobném, odrębném, niby samoistną całością. Jeżeli zaś już na rękę téj fantazyi są formy ze świata roślinnego wzięte, zatém sploty i zwoje gałęzi, konarów, kwiatów, owoców i liści, a nawet formy zwierzęce; toć zgadniesz że z istoty swojéj najwięcéj się rozkochać musiała w owéj drobnéj, niby miniaturowéj architekturze, w onych niżach, baldakinkach, kościołkach, kapliczkach, wieżyczkach; słowem,

---

(*) Powie może czytelnik, że przecież w Grecyi i Rzymie widzimy podobne zjawisko! Ale w Grecyi i Rzymie dwie lub więcéj świątnic budowanych około siebie nie składają jedności, ale są to całości materyalnie tylko powiązane z sobą a z istoty są zupełnie odrębne.

w tych zdrobniałych architektonicznych całostkach, bo takowe właśnie są niby czémś zupełném w sobie, odnoszącém się do siebie, do wnętrza swojego, jako do własnego ogniska. Tak na przyporach, trzymających zewnątrz ściany kościelne, wytrysły takie miniatury kościołków, splecionych jakby ze zwojów gałęzi, konarów; one wyrosły wysoko nad okap dachu; często bardzo znów te świątniczki oznaczone szczytem gotyckim; a częściéj a gęściéj jeszcze, ba prawie zawsze na tych szczytach, i kędy tylko miejsce się zdarzy, stérczą one wieżyczki czworościenne występujące w świat jedną krawędzią, a przykryte dachem śpiczastym, co to o czterech okapach i z kwiatem na wierzchołku a z perełkami na krawędziach. Te wieżyczki są pełne, niewydrążone, one są niby niewykończoną, ślepą kapliczką, w któréj miał być umieszczony posążek.

Słowem, kędy spójrzysz, obaczysz założone niby świątniczki, zamarzone kościołki, rozpoczęte szczyty; rzekłbyś, że mimowolnie one się rodzą w rysunku mistrza. Wszak i we wnętrzu znajdziesz niże, niby kapliczki osobne, świątniczki obstępujące filary; nawet w kształt kościoła budowany często bywa ołtarz wielki, ławki, konfesionały, ambony, ba nawet święte sprzęty kościelne, np. monstrancye średniowiekowe najczęściéj wyrobione są trybem kosciołków gotyckich, nawet często opatrzone w rury, niby na ściek wody, zakończone w głowy, w paszcze fantastyczne, jak to bywa u prawdziwych kościołów.

Widzisz, że te wszystkie rozpojedyńczenia się, rozjednostkowania, te wszystkie zewsząd kipiące stroje

i ornamenta to mają do siebie, że ciągle, wiecznie strzelają w górę, mają dążność pionową, i, ile ich stać, rade przełamać, poprzecinać linią poziomą; daléj uważ, że one nie są w żadnéj styczności z naturą, z rzeczywistością; one są wykipieniem swobody duchowéj i jéj wykwitem, bo nie rodzą się bynajmniéj, jak greckie ozdoby architektoniczne, z praw i warunków technicznych, i nie mogą być wyjaśnione rozsądkiem prozaicznym, bo one nie są uzasadnione potrzebą.

Pomyśl też, co się dzieje, gdy promienie słoneczne przejrzą się po tych ornamentach; cienie i światła ostre, dobitne, wązkie, potężne, odcięte od siebie, uderzą całą siłą swoją. Widok ten jest tak różny od gry światła na świątnicy greckiéj, gdzie i jasności i cienie, mroki zwolna łagodnieją, spływają z sobą przelewając się niespostrzeżonym tonem.

Chciéj baczyć, że to rozjednostkowanie się w odrębne niby niezawisłe całości, z których każda do siebie się odnosi, o sobie stoi, wyjawia się najpotężniéj, gdy znajdzie uosobienie swoje,—a toć właśnie się dzieje w onych rzeźbionych osobach, figurach, posągach i posążkach o przerozmaitych wymiarach, co tłumną ludnością ożywiły i zewnętrze i wnętrze kościołów gotyckich. Te figury wysadziły węgary i podwoje kościelne, mieszkają po wieżach, stanęły pod baldakinem na spornikach, pod podniebkami; to znów stanowią kapitele filarów, to znów patrzą się na ludzi ze szczytów, ganków, przypór i t. p.

Te posągi i posążki święte tak płyną ze samego

serca i ducha téj architektury, że wykwitają nawet na wzniesieniach, z dołu okiem niedostrzeżonych (*).

Rozumiem, że com powyżéj powiedział, wystarczy, by ci wskazać tę dążność do indywidualizowania się, do swobody odrębnéj, niezależnéj, do wyjawienia jakby osobistości oddzielnéj, która, jak widziałeś, występuje we wszystkich kierunkach życia średniowiekowego i świeci niby iskrami, niby błyszczącemi punktami udzielnemi, odrębnemi.

Proszę byś, obok téj cechy tak wydatnéj, miał na pamięci greckie świątnice, te ich ściany zewnętrzne tak jednostajne bez okien, bez niż (bo te nierównie późniéj się zjawiają). W gotycyzmie ta dążność do indywidualności, do odrębności ściśle się łączy z dążnością przemożenia wielkich mas ciężkiéj materyi, i nadania jéj lekkości duchowéj, idealnéj. Tak filary kościelne rozjednostkowały się na cienkie, odrębne kolumny; są tedy raczéj pękiem, wiązką, snopem filarów. Czasem one są bez kapitelów i wprost, strzelając w górę, przeistaczają się na żyły sklepienia; czasem znów, a to najczęściéj, każdy z tych cienkich misternych słupków ma kapitel swój własny, a tak okazuje indywidualność swoją. Niekiedy pęk kolumn cienkich, strzelających z dołu, u góry kończy się spornikiem, na którym stoją figury pod podniebkiem, od którego znów te słupki cienkie wzno-

(*) Uważ np. że samo zewnętrze marmurowe katedry medyolańskiéj liczy tych figur półpiąta tysiąca, z których większa część osadzona w onych wieżach i wieżyczkach dzierganych, przezroczystych. One wszystkie marmurowe, misternie, pilnie wyrobione i wyrzeźbione, a tak drobne, że chcąc je obaczyć trzeba stanąć na tym płaskim dachu kościelnym, a tu nawet zda ci się szkło bystre, byś ich wdzięk i sztuczność mógł podziwiać.

szą się w górę, rozwijając się, niby gałęzie, w żyły sklepienia, jak to widzisz w główněj nawie katedry krakowskiéj.

Takowe rozjednostkowanie się niekiedy tak bywa potężne, że spotykamy w jednéj i téj saméj nawie kościelnéj rozmaitość, zatem odrębność i udzielność; tak np. w głównéj nawie naszego kościoła Śtéj Katarzyny, po prawéj stronie kończą się kolumny zdobnemi szczytami gotyckiemi; poczém, po małéj przerwie, nad temi szczytami sznuruje gzéms, na tym gzémsie stanęły podnoża nowych kolumn, te kolumny wznoszą się pod sklepienia, gdzie zamieniają się na ich żyły. Po lewéj stronie téj saméj nawy, słupy idąc od dołu dosięgają gzémsu przecinającego i strzeliwszy bez przerwy pod sklepienia tam rozszczepiają się na żyły sklepienia. Jeżeli tedy po stronie prawéj gzéms panuje przerzynając kolumny, na stronie lewéj władztwo przeważne ma kolumna, boć ona przerywa gzéms. W tym samym kościele kaplica Śtéj Moniki i zakrystya tém się oznaczają, że ich sklepienie opiéra się na słupie jednym środkowym ośmiokątnym. W kaplicy żyły rozwijają się z krawędzi słupa, w zakrystyi zaś wyrastają ze środka jego ścianek. W kościele krakowskim «Bożego-Ciała», w nawie głównéj, słupki cienkie wznoszą się jednostajnie aż pod sklepienia, kędy rozkładają się w konary jego; w nawach pobocznych zaś — z jednéj strony żyły na ścianie kończą się w sporniki, a na ścianie przeciwnéj kończą się w ostrza misterne i t. d. Inaczéj się znów dzieje w kościele dominikańskim, inaczéj w kollegium Jagiellońskiém i t. d.

Przypatrz się teraz oknom gotyckim kościelnym—

one, choćby równéj wielkości, najczęściéj przecież każde odróżnia się od innych właściwą sobie indywidualnością; w każdém środkowe słupki i węgarki wysmukłe rozgałęziają się osobnym wzorem, osobnym rysunkiem, w każdém tedy inne kontury szybek; co więcéj, te środkowe węgarki niejako znów podzielają okna na dwa, trzy, cztéry i więcéj okien. A jak całe okno ma osobny swój szczyt a w nim np. swoją różę, tak znowu każde z tych okien pomniejszych ma swój szczyt i w nim różę własną, często i własny rysunek swój. Tak się dzieje przynajmniéj najczęściéj, najgęściéj. W kościele Śtéj Katarzyny jedna z pobocznych naw ma okna od siebie oddzielone, w drugiéj okna umieszczone są parami.

Otoż to rozjednostkowanie, ta indywidualność, ta swoboda i odnoszenie się do siebie powtarza się i w najdrobniejszych szczegółach; wszak nawet te żłobki, tak płytkie w greckiéj architekturze, są tutaj głębokie i nurzą się w téj głębi swojéj, a tak okazują to odnoszenie się do siebie, do swojego wnętrza, to cofanie się w siebie. Jak cała świątnica u Greków występuje na zewnątrz, tak też u nich cały rysunek gzémsów, opraw występuje w świat; w Gotycyzmie zaś właśnie ten sam rysunek okazuje cofanie się idzie na wewnątrz. Krawędzie, które u Greków pojawiają się jako kąt prosty, tu zaś jako kąt ostry lub rozwarty. (*).

Wszak już dość tych skazówek, boć i tak nie miałem na celu wyczerpania rzeczy całéj, pragnąłem je-

(*) Ob. co o téj architekturze gotyckiéj pisze Vischer, Hübsch, Kugler, Schnaase, Ramée, Bourasse z których tutaj korzystałem. Rozumie się że autorowie protestancy mniéj życzliwie oceniają te gotyckie budowania, uważając je za katolickie.

dynie niektórémi przykładami potrącić baczenie twoje; chodziło mi mniéj o poparcie całego rozumowania, roztoczonego w tych trzech listach moich, jak raczéj o wyjaśnienie bliższe całego sposobu zapatrywania się naszego.

Racz przeto jeszcze pozwolić, bym ci i w architekturze wskazał ono rozłamanie się na dwoje, oną walkę dwóch pierwiastków, oną sprzeczność, będącą istotą i cechą wieków średnich, a zarazem zestrojenie tych dwóch pierwiastków mocą fantazyi artystycznéj,— i pogodzenie ich i zlanie w jedną pełną harmonią. Otóż i pod tym względem kilka skazówek zupełnie nam wystarczy.

Piérwsza sprzeczność jest właśnie ta, o któréj teraz mówiłem. Cały budynek jest zaiste całością i dąży, by był jednością; tym czasem, jakoby sam sobie był przeciwny, wykwita w nieskończone drobne całostki, z których każda rości sobie prawo, by była czémś osobném, osobistém, odrębném. Powtóre, gotycka świątnica cała odnosi się do wnętrza swojego; ona jest utonieniem w sobie, duch tutaj cofa promienie swoje z rzeczywistości zewnętrznéj; kształt więc zewnętrznéj strony ma tylko znaczenie ujemne. A tak masz w téj odwrótności strony zewnętrznéj a wewnętrznéj piérwszy dualizm a sprzeczność tego budowania.

Aleć znów nową sprzecznością jest sama ta zewnętrzna strona, bo ona niby nie ma mieć znaczenia dla siebie, a przecież znów jest tak bogato ustrojona! Mianowicie też wystawa naczelna (front) nabiera tak ogromnéj wartości, że się zdaje, jak gdyby to ona była przeważną częścią całéj budowli; tak i podwoje głó-

wne ubrane najwyższym przepychem, utkane w rzeźby misterne, wykwintne.

Lecz w tych samych ozdobach znów jest sprzeczność, bo one zdobią zewnętrzną stronę kościoła a przecież każda z tych ozdób ma cechę odnoszenia się do swojego znów wnętrza, do siebie; wszak one są świątniczkami, kapliczkami, podniebkami i t. d.

Tak i wieże również są częścią zewnętrzną; a one właśnie są spotęgowaném arcydziełem sztuki gotyckiéj, dźwigającém się z całém wysileniem onych pracujących stóleciów. Słusznie też powiedziano, że one często więcéj kosztowały trudu i roboty i wydatków niż sam kościół, którego są przyczynkiem i ozdobą.

Zważ nową sprzeczność: te same wieże ulatujące w obłoki, a krypta podziemna!

Świątnica gotycka jest całością w sobie, a wieża, do niéj będąc jakoby przybudowana, roztrąca tę jedność na dwoje.

Ale te sprzeczności mnożą się, są jeszcze dalszym nieskończonym szeregiem. Tak zważ ogrom okien, ich wysokość i szerokość; one są tak olbrzymie, iż, jak rzekłem powyżéj, zostawują między sobą przestrzeń, będącą raczéj filarem niż ścianą; znać tedy, że chodzi niby o powódź światła, która pełną rzeką wpływać ma do wnętrza świątnicy. Te ściany atoli, właśnie osłabione ogromem okien, zradzają znów potrzebę przypór zewnętrznych a nawet łuków przypornych, a często znowu nad temi łukami piętrzą się drugie i trzecie bogate, zdobne łuki. Te jednak przypory i łuki przyporne wstrzymują światło, ściemniają okna, a tak niby okna te nie osięgają pierwotnego celu swojego, a to

tém mniéj, że te okna znów pysznią się w malowane szyby, co mroczą barwami święte wnętrzne przestrzenie świątnicy.

Gotycka architektura buduje świątnicę, w niéj okazując zebranie się w sobie i skupienie wszystkich promieni w jednem spólném ognisku (np. w wielkim ołtarzu); a przecież wbrew téj dążności stwarzając obok głównego ołtarza wiele innych ognisk pomniejszych (pobocznych ołtarzy, kaplic, naw pobocznych, poprzecznych) rozsypuje znowu duchowe promienie dopiéro co w jedném ognisku zebrane, i z kolei znów je kupi i zbiera. To kolejne bez końca zbieranie się i rozsypywanie, będące jedną z wielu sprzeczności, właściwych budowaniu gotyckiemu, gra w światłach, co strugą barwną, migotną, wpłynąwszy malowanémi szybami, mieni się i świeci po całéj świątyni.

Dzieło architektury romantycznéj jest całością, jednością; a z drugiéj strony wykwita bogatym światem ornamentów, przystrojów, z których każdy jest całostką osobną. Budowla jest z prawa swojego architekturą; przecież znowu ornamentów kamieniarskich i rzeźbiarskich jest taka ciżba, że pokrywają ściany całe, że właściwa architektura kryje się i chowa i cofa przed nawałem innego rodzaju sztuki. Rzekłbyś, że budownictwo jest tu tylko tłem dla rzeźbiarza, by miał po czém bujać, cieszyć się i tworzyć.

Architektura ta zuchwałe sobie żarty stroi z ciężkiéj, nieużytéj materyi, nadając ciosom dłutem, młotkiem formy fantastyczne, dziergane, przezroczyste; ale wnet, znów zniewolona uznać prawa materyi,

przekuwa żelazo na kotwy, zwory, naciągi, aby niémi pośpinać i utwierdzić te ciosy i mury.

Patrz— w tych kościołach wszystko tchnie świętą powagą, głęboką uroczystością; a obok rzeźb rzewnych, religijnych widzisz znów często figle, koncepta, karykatury wyrobione z kamienia, sceny komiczne, nawet burleskiady, często wcale nie skromne; prawda że to są przenośnie, niby symboliczne wyobrażenia, ale one wręcz są sprzeczne innym rzeźbom i całemu duchowi budynku.

Otóż takich sprzeczności możnaby wiele jeszcze przytoczyć, bo dużo też rozprawiano o tém wszystkiém w architektonicznym świecie. Przywiodę atoli jeszcze jedną tylko okoliczność. Wszak tu panuje wolna, niczém niekrępowana fantazya, co buja, igra i przędzie z siebie te świątnice i stroje, to zdobne, przepyszne bogactwo ornamentów; a przecież zdaje się, że na dnie téj fantazyi, niby bez granic wolnéj, były prawidła krępujące ją, nakazujące przeróżne kombinacye i przeróżne połączenia liczb, figur jeometrycznych. Tutaj wielkiéj wagi były trójkąty, sześciokąty, sześciany i. t. d. Obok tedy fantazyi swobodnéj znalazły się prawidła wiążące jéj butność i swawolę. Ztąd też być może słuszne twierdzenie tych, którzy są zdania, jakoby umiejętność budowania była tajemnicą przechowaną wyłącznie w cechu budowników. To być może, zwłaszcza że architektura średniowiekowa nie jest wypadkiem saméj natury i istoty rzeczy i prawideł podanych przez względy techniczne, jak to było w Grecyi; ale jest raczéj córą fantastyczności trzymanéj na wodzy przez prawidła dowolne i wyobrażenia przyjęte. Bądź jak bądź,

fantastyczność a matematyka! czyliż może być przeciwieństwo silniejsze, ogromniejsze?

Zwracam ci uwagę że, jako już w inném miejscu rzekłem, architektura jest sztuką symboliczną; widzisz tedy że to wszystko, com dotychczas mówił o architekturze gotyckiéj i co jeszcze powiem o niéj, okazuje się symbolicznie w całém budowaniu; duch średnich wieków w ciosach wyraża, co się we wnętrzu jego dzieje, ale wyraża to bezświadomie; ta symbolika rośnie z głębin jego niby kwiat; on sam nie zna własnéj sprawy swojéj. Przecież obok téj symboliki bezświadoméj jest druga świadoma; mistrz, budujący w średnich wiekach, rysując plan kościoła, już w położeniu jego, w rysunku poziomym, w rozmiarach, w stosunkach liczbowych z najzupełniejszą wiedzą wyraża myśli symboliki tajemnicze odnoszące się do wiary kościoła. Ta sama symbolika jeszcze potężniéj okazuje się siebie świadomą w ornamentach, w figurach ludzkich i źwierzęcych, fantastycznych i t. d. Lecz do rozpraw o téj świadoméj symbolice nie staje nam miejsca; a do naszego celu też daleko więcéj się nadaje i nierównie więcéj jest zajmująca ta symbolika instynktowa, bezświadoma, która prze w najgłębszych toniach średniowiekowego mistrza.

Com powyżéj rzekł dostatecznie nam dowodzi owego rozdwojenia, onéj walki i pasowania się w średnich wiekach; wszak to wszystko było właśnie przedmiotem tych naszych trzech listów o fantazyi romantycznéj. Widzieliśmy wszędzie tę sprzeczność bujającą całą nieskończoną swobodą, wolnym szerokim oddechem, wszędzie spotykaliśmy tę treść duchową, która kipiała

i warzyła się w sercu człowieka. Natura z całym zachwytem porywającym a duchowość w sobie zamknięta, rzeczywistość hałaśna, wesoła, tłumna a pokutne zamknięcie się w sobie i wstąpienie do wnętrznéj pustelni serca, dzikość twarda, okrutna a skrucha miękka, topliwa, rozpływająca się rzewnością, doczesność z wieńcem różowym, a wiekuistość w gwiaździstéj koronie, śmiechy światowe a łza samotna, paląca, spokój cichy słuchający pieśni cherubinowych a awanturne miotanie się po świecie, tęsknoty nieukojone, unoszące duszę w nieznaną dal, a lekkie, skoczne, ziemskie radości, kipiący puhar uciech doczesnych a ostateczne sądy, śmierć i życie wieczne, kolebka i dół grobowy, żarty i drwiny i gromy piorunne, słowem to wszystko, co się roi i burzy, i tętni i żyje w sercu człowieka, słowem wszystkie rozdwojenia i walki, co robią w duszy naszéj, zebrały się, spłynęły w te sprzeczności, które skamieniały w architekturze świątnic gotyckich, które nas w koło otaczają niby Bożym światem, niby wszechnicą stworzenia. Te walki a rozdwojenia są niby wbudowane w tę architekturę, bo istnieją w duszy średnich wieków, bo są pulsem ich serca i uderzeniem.

Przecież zkądże, mimo tych sprzeczności, tego rozdwojenia, ta świątnica uderza cię taką potęgą niewymówną? Zkąd ci to mrówie uszanowania, te dreszcze czci i podziwienia chodzą po duszy? Dla czegoż nie widzisz, nie czujesz tych sprzeczności, téj walki pierwiastków, gdy świątnica ta, jakby wieczność, obstąpi cię do koła? Wszak, gdy spójrzysz na te przybytki, nie możesz się upamiętać, a twoje życie całe, treść cała

ducha twojego ożyje w piersiach; w nich przeszłość zmartwychwstanie, a przyszłość żywota twojego, nieurodzona jeszcze, ubierze się w lekkie, eteryczne, barwne okien promienie i przemówi w falach organów, w światłach i cieniach sklepienia i kolumn.

Zkąd to budowanie, co niby tak pełne sprzeczności, a przeciwieństw, zaśpiewa ci jednak tą kamienną, niebiańską harmonią i uspokoi, zagoi wszystkie rany, wszystkie sprzeczności bolejące w sercu, i zaleje pociechą nadziemską palące rany duszy twojéj?— Pytasz zkąd się biorą te dziwy, te cuda! Oto— bo to budowanie jest jako Boży świat, jako wszechnica stworzenia!— bo mistrz był na prawdę mistrzem, bo on, jak powyżéj rzekłem, wyraził w dziele budowaném swojém sprzeczność, dwoistość, i pasowanie się i łamania, będące znamieniem epoki świata, z któréj on wykwitł, niby z ziemi swojéj. Ale mistrz ten, właśnie dla tego, że jest mistrzem, wyrażając tę sprzeczność w osnowie swojego dzieła, umiał ją zarazem zestroić spółdźwiękiem, harmonią; on mistrzem będąc wzniósł się nad ostateczności rozdzierające świat mu spółczesny, a tak je przemógł, przezwyciężył i w duchu z sobą pogodził, pojednał; on piersiami objął ten kontrapunkt, w którym zlewają się, topnieją dyzharmonie rzeczy skończonych.

Tak jest, ta świątnica gotycka, niby sama tak pełna najgłębszych sprzeczności, goi i koi i łagodzi sprzeczności bolejące serca twojego,— bo ona jest jako Boży świat, jako wszechnica stworzenia.

Przypatrz się życiu i światu w szczegółach, a znajdziesz nieprzebrane morze sprzeczności, tak, że

każda jednostka będzie zagadką nierozwiązaną; znajdziesz walkę i wojnę wszystkich jestestw, wszystkich potęg, znajdziesz bezpotrzebne katusze i męki, rozpacz bezdenną, cierpienia bez winy, szczęśliwość bez zasługi, obaczysz miliony pączków zwarzonych mrozem, zanim rozwinęły się w kwiaty, obaczysz miliony pączków ludzkich, złożonych w trumieńki, pogrzebionych po cmentarzach, zanim wykwitły ku gwiazdom uczuciem pełném, jasną wiedzą ku Bogu. Obaczysz, jak to w tém życiu nie dochodzą najświętsze, najgorętsze serca pragnienia, jak to rzeczywistość nieubłagana, nieużyta, szydzi z tęsknot, z nadziei, co umierają samotne, nieznane w piersiach naszych, jak to same ślepe, grube potęgi, bezwidne, bezuzdne moce w niwecz obracają nawet najświetniejsze arcydzieła ducha ludzkiego, co miały pójść na chwałę całego naszego rodu. W życiu, w świecie słychać jęki, kwilenia boleści, słychać gwałty i krzyki rozpaczy, widać rządy wrogiego przypadku, co jakby fatum, jakby zmora ciąży na duszy rodzaju człowieka.

Tak jest, tak się istotnie rzecz ma, gdy się zwrócisz ku światu krótko-wzrokim zmysłem doczesnym, gdy patrzyć się będziesz jedynie na szczegóły, na jednostkowe jestestwa we wszechstworzeniu, wtedy dostrzeżesz jedynie dyzharmonie i usłyszysz jęczące dźwięki fałszywe. Ale gdy, natchniony mądrością, gdy wzniesiony uczuciem wiekuistości nad te ułomki i okruchy biedne, obejmiesz światy wszystkie i doczesne i wiekuiste, i światy materyi i światy duchowe, niekonające nigdy; wtedy nie dosłyszysz już dyzharmonii, zostawisz je na tutecznych nizinach; okruchy, ułomki

zrosną się w jedną całość, jak kości rozsypane ludów zmarłych na ostatecznym sądzie; rozdwojenia się i sprzeczności, wszelki dźwięk fałszywy, przetopią się w jedną ogromną harmonią, w jeden himn, w jedno oratoryum, które słyszą anieli; świat materyi skończonéj i nieskończonéj, doczesny i wiekuisty, złożą jeden wielki Boży dom. Tak i gotycka świątnica w szczegółach sprzeczności pełna; jéj zaś całość, ogół jest przeczuciem harmonii nadgwiazdnéj, odgłosem innych światów, co tu zebrał się w kamienne budowanie i pozostał wśród ludzi, wśród ziemskiego żywota.



LIST XXIX.

Stólecie XVI.

Wstęp. — Wysłańcy nowéj historyi.— Kolumb, Kopernik, Keppler. — Franciszek Bako, Böhme, Des Cartes i Malebranche. — Machiavelli. — Paracelsus. — Wynalazki. — Feudalizm ustępuje powadze monarchicznéj. — Charakter i istota fantazyi artystycznéj w XVI stóleciu. — Fantastyczność średniowiekowa o ile może się nadać fantazyi w téj nowéj epoce. — Zestrój ducha i natury, będący istotą téj nowéj poezyi, nie jest atoli nawrotem do klassyczności dawnéj, starożytnéj. — Sztuka klassyczna nowożytnych czasów. — Różnica jéj od fantazyi klassycznéj starożytnych ludów. — Inne znamiona téj nowéj fantazyi. — Fantazya późniejszych czasów nie odpowiada nadziejom, które zrodził świetny wiek XVI. — Powody tego zdania i przykłady.

Gdy słońce opuści tamtę, nam odwrotną, półkulę naszego planety,—gdy pożegna nieskończone jéj oceanów przestworza, co oblały owe samotne, ostre kończyny trzech dzielnic świata,—gdy jego tarcza, ta pani światłodawcza, życia i ciepła mistrzyni, roztoczy wiosenne spójrzenie swoje po naszéj północnéj połowie ziemi; już wtedy ogrzane jéj promieniem duchy natury obudzą się po długim snie zimowym, i, przeciągając się, leniuszki ziewną, spójrzą w koło siebie, i zabiorą się ochoczo, rzesko do wydzielonéj im pańszczyzny. Jedni z tych duchów-wyrobników imają się łąk, gajów i gór i roli, i chuchają na wszystko, co rosnące, kwitnące, więc na drzewa, na kwiaty, na trawki i posiew zbożny, i

przędą cieniuchne włókienka, i tkają listeczki misterne, i malują kwiatki barwami i tchną na nie wonią— a wnet Karpaty, co w zimie odziane bielą, niby w chusty śmiertelne, ubrane w zielone śliczne sukienki, na powitanie posyłają nam w doliny potoki i rzeki swoje, którym było tak tęskno za Wisłą, a teraz w jéj objęciu śpieszą na Baltyckie brzegi. A przedwieczne mogiły odmłodniały wiosną i z wysokości swojéj patrzą kwiatkami na błonia i gaje i na grody stare. Ba, wszak i na jednéj z zsiwiałych baszt krakowskich, na jéj samym szczycie kołysze się krzew kwiecisty, jakby jéj bukiet ślubny. Tym ogrodnikom a gospodarzom niewidzialnym są też niepomału na rękę innego znów cechu braciszkowie, co ulatując w powietrze, wzgórę, wysoko siadają na obłoczkach, na chmurkach, a płyną na nich, jakoby na statkach niebiańskich, i wszędy patrzą ciekawie, a kędy posucha, tam kierują te rozpłynne statki swoje, to kropią dżdżem, luną ulewą, to zasłaniają nasze pszeniczne łany chmurną oponką od skwarów palących; a tak co sił pomagają onéj czeladce na dole, co to od urodzajów wszelkich a chlebodawczych plonów. Inna drużyna ma znów oddane sobie wszystkie żyjące, więc zaraz z wiosną piérwszą co tchu wyprawiają się w zamorskie południe i wnet wracają przez Tatry, wiodąc za sobą gęste bocianów półki, i wskazują drogę przez powietrzne morze jaskółkom domasznym, i sprowadzają nad Wisłę wszystkie one zmarzlaki skrzydlate, co ciągną pod jesień, pod zimę tam, kędy pomarańcza kwitnie a ryż i daktyl rośnie; bo im biedakom tak chłodno i srogo i dygotno u nas wśród mrozów sarmackich. A czeka je też z tęsknotą bocian

biedny przed gankiem staroczesnego dworu; on sam jeden się zabałamucił i został z nami na północy, więc wita braci radośnie i gościnnie, i rozpowiada biedy swoje zimowe i chłody i smutki.

Po ziołach, po trawach i liściach, po wodzie i trzcinie coś się szmerzy i rusza i szumi i kluje i burczy— to owadki, robaczki o zbrojach błyszczących, o szmaragdowych, rubinowych pancerzach, jakby żywe stworzenia klejnoty; inne rozpinają jak żagle skrzydełka błękitne i muskają po wodzie, przezierając się zalotnie w jéj szklistych zwierciadłach. Wszędzie tego życia pełno, wszędy się coś burzy i robi, i huczy, i roi, i w liściu, i w krzewiu, i w strumieniu, i w powietrzu i w ziemi i w trawce, na grobach i w ogrodach.

I wierzaj, choć to sam człek, jako natury pan, zasiadł na myśli swojéj tronie—choć się udrapował hardą purpurą swojéj wiedzy, toć jednak nie wie, że i on sam oddany jednemu z tych niewidomych cechów. Te robotniki natury, choć udają, że mu są potulne i posłuszne i korne, rade go przecież omajaczyć, oczynić, i najczęściéj też postawią na swojém. One chichocąc z cicha wabią i kuszą, byś czasem westchnął, patrząc wśród zimy na góry, na bory i jary, co zamknięte w ramkach zawiesiłeś na ścianie; to znów przebierają się za wróbla, rozpustnego paliwodę, co czepia się u okna i dziobem puka w szybę zmarzłą, drwiąc sobie z ciebie, coś zamknięty w izbie, jako w więzieniu zimowém. Ot, te duchy przez całą zimę grają z tobą «w zielone»; one się czają na ciebie w tych biednych ogródkach, coś je porozstawiał w doniczkach na oknie, lub się kryją w bluszczu, co nie wiedzieć po co pnie się od stolika, lub

sobie żarty stroją, jawiąc się w trupich kwiatach robionych, lub w owocach z cukru i wosku.

Niechajno atoli wiosna już na prawdę zawita, toć to dopiéro z tych ichmościów wielomocne, czarnoksięzkie pany, one ci cały dom przewrócą i na głowę zburzą w nim ład zimowy. Gdy piérwszy raz na oścież roztworzą się okna, wtedy też széroko, na oścież roztworzy się dusza, i odetchniesz serdecznie, głęboko; wtedy zewsząd do mieszkania wpadną one duchy odmłodnionéj przyrody, i nuż się krzątać, nuż wietrzyć; wyścigają cały zimowy tryb oknem i kominem, wypłoszą ckliwość stęchłą i plotki i bajki, owe niedorodne dzieci staréj zimy, i wypędzą je precz — aż na Łysą Górę.

Gdy z wiosną, na święto nasze miejscowe, od wielu wieków i pokoleń mnogich obchodzone, wyroi się miasto nasze jakby z ula, gdy się wyroi co żywe do słońca, do powiewów świéżych, do ptasich pogadanek; wtedy dziwnie się coś i w duszy zaświeci, i coś się w niéj kluje, i rusza, szmerzy i burzy i roi i brzęczy: jakieś przeczucia wróżby w piersiach gwarzą i szepcą, i tęsknotki westchną, i znowu jakieś swobody, słodycze koją, tulą biedki kwilące, i pieszczą te uczucia, co to grymaśne, zdraźnione w sercu chorują.

A cóż dopiéro dzieje się w sercu młodém, co samo wiosenne, śpiewne, kwieciste! Dziewczyna, młodziuchny podrostek trzyma fiołki w ręku, oddycha ich wonią, i dusza rada im się wyspowiadać, ale jéj słów braknie; ona doprawdy myśli, że te fiołki w jéj piersiach urosły, że to są wróżby, że to one senne obrazy, co jéj się w nocy przyśniły, że to owe marzenia, co ją dniem pie-

ściły, rozbierając serce rzewną, tkliwą tęsknotą—nieskończoném proroctwem. Ona stanęła i patrzy w kwiaty i słucha, a duchy przyrody po krzewach, po gajach ukryły słowiki, co wyśpiewują zakochane serenady swoje, i nucą zalecanki tęskne; aż się też i dziewczynie zdaje, że to one w jéj sercu śpiewają i nucą, a te pieśni ledwie jéj duszy nie rozsadzą. Nadleciał też i motyl wietrznik, siadł tuż przy niéj na kwiatku, i rozwinął skrzydełka swoje, i pokazuje jéj hieroglify na skrzydełkach popisane, a ona duma i myśli i darmo się sili, by to pismo tajemne, dziwaczne, czarnoksiężkie przeczytać — i duma i myśli i tęskni. Któż jéj rozwiąże owe wróżby i przeczucia, owe wonne i śpiewające proroki? Kto jéj przeczyta i wyjaśni zagadkowe hieroglify, popisane na skrzydełku motylém ?

Oto —jak w świecie przyrody, tak bywa i w świecie historyi; dzieje też ludzkiego rodu mają swoich duchów, Bożych wysłańców. Gdy się kończy jedna epoka, jedna pora rozwojów dziejowych na ziemi, a gdy nastaje nowy rzeczy zwrót, już wtedy, jakby na wiosnę, wszędzie pełno szeptu, szmeru, wszędzie się coś kluje i burzy i rusza i robi, bo duchy historyi, rozpuszczone po krajach, po narodach pukają zrazu zcicha, wnet mocniéj i mocniéj do duszy, do wnętrza owych ludzi, co sercem, co głową wyrośli nad miarę powszednią, codzienną, co zdolni przeczytać hieroglify, popisane na skrzydełku tych duchów historyi.

Taką epoką dziejową, taką porą nową a zwrotem duchowym było szesnaste stólecie. Przecież historya już w końcu piętnastego wieku wyprawiła zacnych wysłańców, a promiennych gieniuszem gońców swoich,

by gotowały ścieżkę nową, po któréj chodzić miały dzieje ludzkiego rodu—o nowéj myśli, o przerodzonéj artystycznéj fantazyi.

Jaki to był kierunek téj myśli, jaka to nastała nowa cecha fantazyi?—Łatwo zgadnąć, byleś chciał pójść ze mną i podpatrzyć onych wysłanników historyi, i uważał, jakich ludzi oni do pracy wzywali, i jak każdy z wezwanych wybrańców dokonywał wydzielonéj mu roboty na téj roli pańskiéj. Zdołasz też dokładnie ocenić i cel ich mozołów twardych i silenia się zacnego, jeżeli nie wypuścisz z pamięci, że średnie wieki zeszły już z widowni dziejów, że inny nowy dramat ma wystąpić z poza kulis świata, że tém samém cecha, stanowiąca istotę stóleciów romantycznych, miała teraz odbyć przemienienie swoje na inną, zupełnie od niéj różną. A wiesz, że ową cechą było właśnie ono odwrócenie się od natury, zatopienie się wyłączne w głębinach wnętrznych, duchowych, a opiéranie się na osobistém, indywidualném nastrojeniu umysłu. Ztąd też wypływało owo rozdwojenie ducha i przyrody, myśli a zmysłów potęgi, owe dualizmy a sprzeczności i złamanie się człowieka na dwoje; ztąd ona tęsknota niewymowna, ztąd też niepokój miotający człowiekiem i ścigający go przez życie awantur i przygód. Wszak przypominasz sobie również, że te moce wewnętrzne, żyjące w duszy człowieka, stwarzały sobie na miejscu natury i historyi osobną naturę, osobną historyą, pełne widziadeł magicznych, oświeconych czarodziejskim płomieniem. Tak w średnich wiekach rzeczywistość cała, zasłoniona światem złudzeń optycznych, czarnoksięzkich, nie istniała niby dla ludzkiego ducha. Otoż

te wszystkie moce, robiące w sercu wieków romantycznych, doznały w szesnastém stóleciu przestroju i ważnéj przemiany.

Wśród głuchéj oceanów pustyni, co samotna jak grób, rozłożysta jak wieczność — kołysze się statek — pod nim ziewają wodne, ciemne otchłanie i patrzy stóoka śmierć; nad nim ciche, spokojne niebios bezdenie, kędy mrugają gwiazdki ufnością, nadzieją. Upłynęły długim szeregiem dnie, upłynęły tygodnie, miesiące — jak widmo senne zniknęły wędrowcom obrazy brzegów ojczystych; już drwinami gaje, góry, strzechy domowych stron, już bajką, lądy i stała twierdza; pod stopami kołysze się statek, a serce kołysze się strachem, szałem rozpaczy, gniewnym buntem. — Statek goni — śpieszy na Zachód, bo na rozpięte żagle jego tchnął duch historyi! — Europie duszno, dławno, brak jéj oddechu, pobrzeża jéj ciasne, ona już sobie nie wystarczy; duch ją prze, by wystąpiła z siebie. Na statku Kolumb sam jeden, jak te gwiazdy na niebie, cichy i spokojny w sobie, choć w koło wre szał rozpaczy i strach i rokosz mściwy. Bo Kolumb w jasnowidzeniu gieniuszu obaczył wizerunek całego, ziemskiego planety; on natury prorokiem, on dziejom ludzkim ma roztworzyć nowe pracownie, nowe zawody, by człowiek dorabiał się własnéj a nieznanéj mu istoty swojéj, by się doczekał chwały i pociechy z siebie. Kolumb, sam jeden na statku, jest synem nowoczesnéj epoki świata; jego towarzysze, toć jeszcze wyobraźniki średnich stóleciów; ich ściga, goni przez morskie przestrzenie żą-

dza przygód i awantur. Kolumb prorokiem natury i kochankiem jéj. Jak ulubieniec o wdziękach kochanki swojéj, tak on prawi o urokach przyrody odkrytego przez niego świata (*). Opisuje, malując pędzlem natchnienia, i palmy powiewne, i gaje wiecznie strojne w liście gęste, bujne, w kwiatów tłumy, w owoce cudnego wejrzenia. Dniem i nocą podsłuchuje ciżbę ptaków śpiewnych i świerszczków świergotanie, i pogadanki krystalicznych wód strumieni, — i dziwi się i raduje, gdy patrzy na harde góry, co czarnoksiężkiém malowaniem rysują szczyty na czystém niebios przezroczu. Uczucia serdeczne, wzniosłe czynią blizko 70-letniego żeglarza malarzem, poetą, gdy roztacza obrazy téj nowéj, niewidzianéj jeszcze Natury, i żali się i boleje, że ręka jego, «oczyniona» czarem uroków przyrody, nie zdoła opisać tych opatrzności cudów, że języków tysiące nie sprostają tym niewymownym wdziękom, które go otoczyły do koła; więc śni czarodziejskiém marzeniem, więc woła, że mu się zdaje, jak gdyby nigdy, nigdy nie mógł pożegnać tych rajskich, pełnych piękności, cudnych stron. Tak ludzka myśl, uosobiona w Kolumbie, obchodzi śluby swojéj miłości z naturą.

Zaledwie duch Europy puścił zagony swoje w młody, odkryty świat, a już drugi Anioł pański, zwiastun Bożéj chwały, rozpina skrzydła i zbliża się z nowém wysłannictwem do naszego planety. Anioł nocą spuszczając się na ziemską kulicę, ujrzał w blasku księżycowéj poświaty wstęgę Wisły srebrną; wysłannik nadgwiazdny stanął wśród milczących murów starego kra-

(*) Ob. Humbold „Kosmos" T. II.

kowskiego grodu. Oniemiałe błyszczały świątynie, uśpione rynki, ulice. Anioł dumał i myślał, kogoby z naszych uwieńczyć miał koroną wiekuistéj sławy, ku uczczeniu téj ziemi całéj, która od dawna i krwią serdeczną wychrzciła się na wierną Bogu służebnicę. A w tych murach żył mąż, co dumaniem zapadał w topielach ducha swojego; w nich jakby na firmamencie paliły się myśli, niby gwiazdy, a to niebo w piersiach jego było bezobłoczne, przeczyste, żadna chmurka samolubna nie przyćmiła niebiańskiéj pogody duszy. Tak ten mąż, łamiąc się z sobą, uświęcił się na mądrości Bożéj wieszcza, na zacnego tłómacza wszechstworzenia dzieł. Bo kto duchem ma sięgnąć w sprawy wiekuistéj miłości, niechaj sam wprzód będzie w doczesnym żywocie miłości obrazem; kto się chce zaślubić jéj mądrości nieskończonéj, niechaj sam wprzód wystąpi z ciasnych, dusznych szranków samolubstwa; niechaj wyrzuci z siebie myśl, jakby wnętrze jego osobiste było wyłączném ogniskiem prawdy wszelkiéj; niechaj, nie tracąc siebie, wie przecież, iż jest tylko jednym tonem w spółdźwięku wszech jestestw, żyjących w wiekuistym zakonie.

Zaprawdę, w téj miłości nieskończonéj skąpał ducha swojego Mikołaj Kopernik. On dumał w samotnéj komnacie i czuwał gorejącą myślą wśród snem uśpionego miasta. Roztaczał w duszy umiejętności stare podania; i ważył i badał naukę, co ją był przywiózł z Padwy, Bononii i Rzymu na ziemię ojczystą; z miłością przechodził słowa Brudzewskiego, co mu był niegdyś pierwszym w umiejętności przewodnikiem w Krakowie, w Jagiellońskiéj szkole. I dał gwiazdom posłuchanie i

ważył je i mierzył i zgłębiał; tęsknił głęboko za prawdą i wierzył nabożeństwem serca w łaski Boże, i ufał im jako twierdzy niezachwianéj. Wtedy Bóg z duchem jego rozmówił się na gwiazdy, wtedy stanął Anioł prawdy, wysłaniec niewidzialny, obok Kopernika, i tchnął tchem na dumające czoło; wtedy dreszcze, idące od Ojca na niebie, przejęły mrowiem duszę, a myśli stworzenia, dawniejsze niż światów poczęcie, zrodziły się po raz drugi w nieśmiertelnym duchu człowieka. Jak w onym dniu, gdy się wykluwały gwiazdy, rozgarnęły się ciemności od światłości, tak w téj chwili w myśli Kopernika jasność rozgarnęła się od mroku wątpienia. Rozstąpił się strop nizki samotnéj komnaty — anioł uniósł w górę ducha wybrańca swojego. Mijali gwiazdy, księżyce, mijali światy płomienne, przyświecające im niby kagańce natury po ciemnéj, nieskończonéj przestrzeni. Kopernik na własne oczy duchowe widział kołowroty planet około słonecznego ogniska i słyszał psalmy aniołów, co je wiodły przepaścią bezdenną, bez chyby — jako boże zegary.

Nowy system świata zrodził się dla umiejętności ludzkiéj, a zrodził się miarkując, łagodząc potęgę uczuć osobistych, a dufanie w siebie pełne pychy. Planeta ziemski uznał, że to dawniejsze uważanie siebie za ognisko wszech jestestw, za środek wszech ciał niebiańskich jest kłamliwém samolubstwem. Za Kopernika słowem, ziemia wystąpiła z ciasnych szranków miłości własnéj, uznała, że sama jest jednym tylko tonem w onym spółdźwięku gwiazd żyjących, w wiekuistym Bożym zakonie. Przejrzał planeta ziemski i obaczył, że on oraz z innémi światami, braćmi swoimi, obchodzi ognisko

światłości, zkąd im wszystkim płynie jasność i ciepło i wszelkiego żywota zdrój. Mikołaj Kopernik nieskalaną, niebolotną a śmiałą i pobożną myślą przemógł ducha wieków średnich, poślubiając znów serce człowieka z naturą a ścierając zarozumiałe odnoszenie się do siebie, jako do ogniska a środka wszelkiéj prawdy. On przyprawił myśli ludzkiéj skrzydła, by się puściła w one «boże ogrody» kędy klują się planety, niby zioła, a słońca, jako kwiaty.

Kolumb i Kopernik, toć dwaj bracia po duchu. Kolumb oduczył starą półkulicę ziemską, a Kopernik oduczył całego planetę pychy samolubnéj. Obaj roztworzyli na oścież dla myśli nowe nieznane światy, by duch człowieka w swojéj tęsknocie za nieskończonością, za wiekuistą prawdą, miał kędy oddychać w doczesnym żywocie, by się wychowywał, gotował i rósł w sobie, zanim go cherubin zmartwychwstania nie poprowadzi przed oblicze Wszechmocności i nie pokaże całego gospodarzenia mądrości wiekuistéj aż do kończyn światów. Kolumb otworzył ludzkiemu rodowi świat, kędy historya doczesna rozwija pole dla ziemskiéj pracy człowieka; Kopernik otworzył ludzkiemu rodowi świat, kędy, jak gwiazdy płomieniste, chodzą nasze przeczucia o tamecznym żywocie, kędy wznoszą się tęskne serca naszego proroki i wróżby ciche.

Miał swoich następców Kolumb w onych gienialnych a dzikich awanturnikach, na poły rycerzach, a na poły zbójcach, co je wysyłała Hiszpania na zrabowanie Ameryki i uświęcenie jéj krwią pierwotnych mieszkańców dla przyszłych dziejów ludzkości. Miał swoich następcow Kopernik w tych ludziach, co, podjąwszy nić wielkich

myśli jego, snują i przędą w cichości ducha tę nić, po któréj śpinać się ma nauka pod stolicę wiekuistéj mądrości. Są to one szanowne umiejętności zakonniki, co żyjąc tylko dla téj jednéj myśli wybranéj, dla idei umiejętnéj, wyrzekają się świata i jego uciech, żyją wśród trudów cierpkich, walki ze światem i z boleścią własnego serca. Takim pracownikiem był Keppler. Kopernik wyrzekł, *co* się dzieje na niebie, Keppler duchem wywróżył, *jak* się to dzieje; wywróżył duchem prawa świata światów. Gwiazdy zwierzyły się geniuszowi jego z ustaw matematycznych, które je wodzą po przestrzeni bez granic. Gdy do Kepplera mówiły myśli Boże, chodzące płomiennemi drogami po niebie, niedostatek głodowy zazierał do domowych jego ścian; gdy geniusz jego jasnością rozświecał tajniki piérwszego dnia stworzenia, na małżonkę jego padła noc obłąkania, w skutek okropności ówczesnéj wojny.

W tych właśnie latach, w których Keppler mocował się ze światem o chleb powszedni dla siebie i dla swoich, wtedy właśnie żył w Anglii wielki pan, przemożny lord, hr. de St Alban, wielki kanclerz połączonych królestw Brytanii. Świecisto i butno i hardo było w przepysznych pałacach a zamkach magnata; strumieniem płynęło złoto z rąk jego, słowo z ust jego władało publiczną sprawą, a w myśli jego pracowały zdolności tak genialne, że miały rozwidnić ścieżkę do umiejętności dla przyszłych pokoleń. Tym lordem a kanclerzem był Franciszek Baco na Werulamie. Choć atoli on był imiennikiem onego szanownego ziomka swojego mnicha Rogera Bacona, co uzacnił sobą całe średnie wieki; choć hardy lord, równie jak korny za-

konnik, przesiedział wielką część żywota swojego w więzieniu, przecież byli oni wręcz odwrótni sobie charakterem. Roger Baco umiejętność swoją opłacił więzieniem; wielki kanclerz Brytanii, potomek sławnych zasługą przodków, choć przemożny władzą a świecący bystrością talentu, zniesławił się niecném przekupstwem, matactwem; ztąd mu poszła utrata dostojeństw i czci, ztąd więzienie jego.

Niechaj mu jednak odpuszczone będą te winy, boć one i tak od dawna przez ludzi zapomniane. Co Baco zgrzeszył sercem, wynagrodził sowicie światu głową, i toć zostało we wdzięcznéj pamięci. Wszak to on przetarł oczy Europie ówczesnéj i kazał jéj się patrzyć na zjawiska natury zmysłem zdrowym, nieomajaczonym; on spłoszył widma fantastyczne, czarodziejskie, zasłaniające przyrodę, bo nauczył jak to czynić spostrzeżenia, doświadczenia, jak badać pojawy zmysłowego świata: on podał ludziom metodę w dochodzeniu prawd.

Baco jest wskróś Anglikiem, jest człowiekiem z gruntu praktycznym; sponiewierał on wprawdzie idealność w zapatrywaniu się na rzeczy: on był właśnie twórcą téj filozofii podsadzistéj, materyalnéj, téj filozofii, co zaklęła myśl w kółku ciasném zmysłów, która temu jedynie ufa, czego się ręką dotknie, a to tylko wiedzieć chce, o czém się na oczy zmysłowe przekonać może. Prawda, że taka filozofia nie jest jeszcze najwyższą filozofią, ale i to prawda, że Baco przysłużył się ogromnie swiatu swoją metodą zdrową, trzezwą nie mającą bielma na oczach, że się stał wzorem jasnego języka, że wymiótł po za progi nauk, jako śmieci, one syllogizmy i czcze gadaniny filozofii scholastycznéj średnich

wieków, że pogodził człowieka z naturą, że potłukł kolorowe szkiełka, przez które dawniejsze stólecia patrzyły się na rzeczy, a tak widziały nie rzeczy, jak raczéj swoje własne osobiste usposobienie i własne marzenia.

Gdy Baco jeszcze był młodzieńcem a już stał się podziwem otoczenia swojego, i już podobno myślał nad napisaniem książki: »O stanie Europy«, którą w rzeczy saméj wydał, mając lat dziewiętnaście; wtedy, zdaleka od świetnego, błyszczącego angielskiego panicza,— bo w Gorlicach, w miasteczku Luzacyi, siedziało zamyślone, ubogie pacholę w drobnym szewskim kramie. Było to z wieczora,— małe chłopię, zostawione samo w sklepiku, czegoś się od dawna głęboko zadumało. Ocknęło się przecież, bo drzwi skrzypły, otwarły się i jakiś obcy zapytał się o cenę pary trzewików. Chłopczyna w kłopocie,— bo nie był upoważniony od majstra do sprzedaży,— więc zacenił bardzo drogo swój towar; nieznajomy zapłacił żądane pieniądze, zabrał trzewiki i wyszedł. Lecz z ulicy zawołał: »Jakóbie wyjdź też do mnie.« Chłopiec zdziwiony, że nieznajomy wiedział, jak mu było na imię, wyszedł. »Słuchaj Jakóbie,« — rzekł do niego obcy, z twarzą serdecznéj życzliwości, a głosem uroczystym, »słuchaj Jakóbie, tyś jeszcze mały, ale ty tak urośniesz w chwałę, że aż się świat będzie wielkości twojéj dziwił! Bądź pobożnym, miéj bojaźń bożą w sercu a cześć dla słowa Jego!. Doznasz wiele biedy, ubóstwa i prześladowania w życiu; ale ty stój przy Bogu, bo Pan Bóg łaskaw na ciebie!«

Otóż ten szewczyk mały, toć ów sławny Jakób Boehme, ów Philosophus Teutonicus, co się stał praszczurem

całéj filozofii mistycznéj nowożytnych czasów. Przez życie aż do śmierci pilnował sumiennie uczciwego rzemiosła swojego, a przy tém, choć nieuczny prostaczek, pokochał filozofią, i ona go też pokochała wzajemną miłością.

Mądrość Boehmego jest widzeniem, natchnieniem. Iskra geniuszu, tlejąca w duchu jego, niewidzialna dla ludzi, jemu samemu nieznana, czekała tylko lada przyczyny zewnętrznéj, lada podwiania, by buchnąć jasnością promienną. Toć się i stało. Pewnego poranku, wtedy Boehme już był majstrem został, słońce całą światłością zajrzało przez wązkie okienko do izby szanownego rzemieślnika, i uderzyło w sprzęt miedziany, błyszczący na półce; sprzęt, niby źwierciadło, odbił blaski słoneczne, i jakby rozgorzał płomieniem. Widok ten rozebrał serce Boehmego, i iskra jaśnią płomienną rozgorzała mu w duszy. Jak światła słoneczne przyświecające planetom przejrzały się w biednem naczyniu, tak światło wiekuiste, co jest wszech duchów światłem, przejrzało się w duszy nieumnego prostaczka. Gdy Böhme zoczył one blaski na sprzęcie, już sobie nie mógł dać rady; ledwie mu serce nie pękło. Wybiega z domu, wybiega za bramę w pola zielone, w laski zielone, by się jakoś upamiętać wśród natury, by nawrócić do siebie. Odtąd on już, choć jego ręka ociężała pracą, w chwilach wolnych zabiera się do pióra i skreśla te pisma swoje, które przez długi szereg lat leżały w zapomnieniu, pogardzone od szkolnych pedantów, jako od biednego, nieumiejętnego szewca popisane, dziś zaś odebrały cześć sobie należną. Zaprawdę, gdy weźmiesz do ręki te dzieła jego, toć

zajmujący będzie widok popatrzyć, jak tu miota się geniusz głęboki, jak się sili, by dla téj treści nieskończonéj znaleść formy, znaleść wyrażenia i słowa. I zaiste Böhme pasuje się i sili z językiem, z mową, w którąby rad ubrać treść, co mu się tak w duszy warzy i kipi. Ale, aby słowami ująć treść, którą natchnienie podaje, aby tę treść już ujętą, zrozumianą, wydać jasnemi, odpowiedniemi słowy, do tego potrzeba wykształcenia naukowego i wprawy, a tych warunków właśnie brakło Boehmemu. Zatém myśli abstrakcyjne, myśli najgłębszéj spekulacyi ubiera w wyrazy oznaczające rzeczy zmysłowe, materyalne. Tak, rozprawiając o prawdach klujących się w wiekuistości łonie, obejmujących pierścieniem niebo i ziemię, o zakonie żywym, który istniał przed świata stworzeniem, używa wyrazów: saletra, merkuryusz, siarka, słodycz, kwas, gorycz, separator, tynktura i t. p. Takowa forma barbarzyńska téj książki, obok głębokiéj, przepaścistéj spekulacyi, czyni dzieła jego tak ciemne, mroczne, zagadkowe, jak ten rysunek położony przy tytule jego dzieła.

Przecież te pisma jego-to nocne podmorskie ciemnice, w których rosną korale i perły kosztowne. Lubo książka »Aurora we wschodzie« jest najważniejszém z jego dzieł, toć przecież nas tu obchodzi osobliwie druga książka, co ją nazwał: »Signatura Rerum.« W niéj to widzisz, jak on zacnie roztworzył duszę swoją przyrodzie; on ma to wewnętrzne przekonanie, że na kim duch Boży spocznie, już wejrzeć może w serce roślin, kamieni i gwiazd, że zdoła z zewnętrznych postaci rzeczy stworzonych odgadnąć ich duszę i ich wiekuiste znaczenie. Bo u niego natura jest zmateryali-

zowaną myślą Bożą, słowem Bożém, które się stało światem, a treść każdego jestestwa stała się jego formą zewnętrzną. Tak i Boehme, również jak Baco, przywrócił niby dobrą sławę, ogromne znaczenie naturze; Baco wziął ją ze strony zmysłów, Böhme uczcił tę naturę, jako usymbolizowaną myśl Bożą. Boehme jest odwrótnym Baconem, nie tylko pod względem położenia zewnętrznego do świata i życia, nie tylko pod względem jasności tłómaczenia się, ale głównie z powodu, że droga obu jest odwrótna. Baco bierze rzeczy przyrodzone materyalnie, zmysłom tylko wierząc,— jest z gruntu empirykiem, zmysły u niego gotują dopiéro treść dla myśli. Boehme odwrótnie rozpoczyna od myśli, i bez doświadczeń bliższych, bez badań, z kształtu zewnętrznego jestestw natury chce z góry natchnieniem wywróżyć ich serce, ich duszę. Obaj są wcieleniem dwóch ostateczności, i dla tego właśnie jak Baco tak i Boehme nie dosięgnęli celu swojego.

Przecież choć Boehme nie osięgnął celu swojego, choć jego filozofia jest mistyczną, choć tedy nie poprowadziła wyrazistych granic między duchem stworzonym, a mądrością wiekuistą, światem władnącą; toć jednak z nią się mierzyć nie mogą one bezmózgłe misticyzmy, co straszą po głowach w nowożytnéj Europie; a które zapewne dla tego tak wiele znalazły zwolenników i chętnéj czeladzi, że podawały wielce wygodną zasadę, ucząc: że się obejdzie bez pilnego badania, bez trudu a skrzętnéj pracy, że najwyższą mądrością jest pogrążenie we własném wnętrzu. Ztąd też lada kto poszedł za tą radą i pogrążał się w tém wnętrzu swojém, wierząc prostodusznie, że z tych pustko-

wiów, niezbogaconych pracą i nauką, że z téj czczéj niewidnéj nocy wyniesie tanim kosztem, ba, za bezcen mądrość głęboką i proroctwa, któremi rozwidni świat. Nie ma się też czemu dziwić, że każdy zacniejszy na sercu a wyższy na rozumie, choćby na chwilę oczyniony tą wrzekomą tajemniczą nauką, w rychle wyzdrowieje z téj chorobliwéj pychy serca a zwróciwszy ducha do rzeczywistości otrzeźwieje prawdami staremi jak historya i świat.

Co w Jakóbie Boehmie jest dopiéro natchnieniem, poczuciem, toć rozwinął rozumowo, umiejętnie Des Cartes, choć nie znał uczciwego majstra z Luzacyi. I Des Cartes bowiem również rozpoczyna od wnętrza duchowego, od myśli. Trzy słówka: »myślę, więc jestem,« przez niego wyrzeczone, stały się węgłem całéj nowożytnéj filozofii. Te słówka, na pozór biedne i puste, choć dopiéro łączą myśl z jéj własném istnieniem, mają w sobie jakby w zarodzie zwinięte ogromne zadanie. Na tych słówkach Des Cartes zbudował swój dowód o bytności Bożéj, dowód tak ogromny, że gdy go przeczytał piérwszy raz Malebranche osłabł i zachorował na serce. Te słówka, tak na pozór biedne, wpłynęły potężnie na całe przyszłe dzieje następnéj filozofii, bo rzuciły jéj zadanie, aby rozsnuła naprzód myśl ludzką, i wykazała w tém roztoczeniu wszystkie jéj coraz wyższe stopnie, a potém, aby stosowała tę myśl, tak już rozwiniętą, do rzeczywistości całéj, do wszelkiego istnienia, więc do natury i do świata duchowego. W tym atoli świecie duchowym, wśród innych nauk, wielce waży historya. I do niéj swoją miłość zwrócił świat odrodzony. A już przed innemi jaśnieje Machiawelli,— ten

wielki, skrzywdzony, zapoznany człowiek; on, krom ogromnéj wagi dzieł, napisał historyą téj cudnéj ojczyzny swojéj — Florencyi w tych jego księgach płynie mowa tak czysta, że jest już sama arcydziełem geniuszu, a ta mowa, jeszcze rozwijając najgłębszą sztukę pragmatycznego pisania historyi, świadczy, że autor zrozumiał moce władnące w ludzkich dziejach, że przeniknął ich najskrytsze tajemnice.

Jak tedy w naturze tak i w świecie duchowym roztworzyły się duchowi nowe światy, a światy niezmyślone, światy rzetelne i prawdziwe.

Słowem, dech nowy, świeży zawiał całą Europę; gdy wionął po krajach, narodach i ludziach, wszędzie dał znać o sobie i odezwał się w przeróżnych zjawiskach. Zrozumiesz łatwo, że gdy ogarnął ludzi o mniéj potężnéj myśli, już ich upoił szałem, przyprawił o zawrót głowy, miotając nimi a podrzucając. Tacy ludzie, oczynieni duchem, który na nich padł, sami nie wiedząc, co im się stało, co ich posiadło, wykręcali się i wypaczali w karykatury polityczne lub umiejętne. Tak wiele lat wcześniéj od Boehmego, żyjącego w zaciszu pokornném, w głębokości ducha swojego, zaszumiał, zahuczał po Europie ów hałaśnéj sławy Philippus Aureolus Theophrastus Paracelsus Bombastus de Hohenheim, co tak buńczuczny jak to imię jego. On ciężko wyćwiczony po wszystkich wszechnicach europejskich, a uczył się jeszcze, jak sam powiada i od mądrych i niemądrych, od zakonników i cyrulików, od czarodziejów i katów; on był iście uosobieniem tego opętania i niepokoju, który pada na ród ludzki, gdy jakaś nowa epoka się rodzi a stara epoka umrzeć jeszcze nie chce

i nie może. On źwiedził świat od Lizbony do Litwy, od Londynu do wyspy Rodus, od Wołoszczyzny do Paryża. Sam był mędrcem i szarlatanem, niby geniuszem i obłąkańcem, kuglarzem. Przecież mniejsza o to wszystko, dla nas on tu ważny jako człowiek, który, mimo dziwactwa i wrzaskliwéj zarozumiałości, miał tę wielką zaslugę, że również zwrócił cały zapał do badania przyrody. On na głos woła, że natury nic można się nauczyć przy kopciu lampy, w zapylonéj komnacie, ale przy jasném świetle słońca; więc publicznie na rynkach wznosi stosy i pali stęchłe pisma średniowiekowe o sztuce lekarskiéj. Paracelsus sam się mianuje królem i ogłasza ludom, że jego monarchią jest natura cała i woła na wszystek świat: »Wy coście z Monpellier i z Paryża, wy co żyjecie w Szwabii i Miśnii, wy z po nad Renu i Dunaju, wy Włochy i Dalmaty, wy wyspy na morzu! I ty Grecyo i ty Arabio i ty Izraelu! daléj za mną, daléj za mną do mojéj monarchii!!!

Przecież dość już tych przykładów, mógłbym ci na oczy postawić cały jeszcze szereg znakomitych figur, jako wysłańców nowego nadchodzącego zwrótu w dziejach ludzkich. Com atoli do tychczas rzekł wystarczy do naszego celu.

Jak na wiosnę zewsząd cóś się gotuje, roi, rusza, szmerzy i rośnie; w powietrzu, w wodzie, pod ziemią, w ziółach, w kwiatach pełno życia i niepokoju; — tak wszędzie już zaiste spostrzegłeś w tym XVI stóleciu wystąpienie człowieka z pogrążenia się w jego wnętrzu osobistém, roztworzenie się jego oczu na świat, który go w koło otacza; wszędzie już brzmi uczczenie natury i niby przywrócenie jéj dobréj sławy. Odtąd oso-

biste uczucia, w sobie, jakby w twierdzy, zamknięte, nie są więcéj wyłącznym zakonem w świecie,— odtąd owo opieranie się uporne na sobie znika z pośród ludzi. Przywiedź sobie na pamięć wszystkie one wypadki, które zatrzęsły szesnastém stóleciem a wyznasz, że one wszystkie zmierzały ku temuż samemu a spólnemu celowi, boć one wszystkie rosły ze spólnego tchu, który wówczas przeszedł światem. Przypomnę ci tylko trzy potęgi, które nastały w dziejach ludzkich. Piérwszą jest druk; on choć dawniéj wynaleziony, dopiéro w tém stóleciu staje się potęgą, a potęgą, co, upowszechniając wiedzę ludzką, wyprowadzając tedy myśl z ciasnoty osobistéj, nadaje jéj cechę ogólną, zbliżającą wyobrażenia do siebie. Obok téj potęgi staje druga, również dawniéj znana, nabierająca atoli właściwéj sobie wagi w szesnastym wieku; jest to wynalazek prochu. Obie te potęgi są niby sobie odwrótne, bo jak druk jest pierwiastkiem duchowym, tak broń palna jest potęgą fizyczną, materyalną, a przecież obie zarówno łamią przewagę osobistą ludzi pojedyńczych; jak bowiem drukowane księgi przekonywają, że zdanie osobiste, opierające się li na sobie, nie wystarczy, a tak zniewalają człowieka do poddania się ogólnym prawdom i zasadom uznanym w świecie, tak broń palna przekonywa, że dufanie rycerskie swojéj osobistéj sile cielesnéj i odwadze serca, słowem swojéj indywidualności już więcéj nie wystarcza, a tém samém zniewala do poddania się zewnętrznemu ogólnemu szykowi bojowemu, więc zasadom sztuki wojennéj. Dodajmy jeszcze, że szesnasty wiek spotęgował powagę monarchiczną, uosabiającą się przez świetny poczet wielkich ludzi, zasiadających właśnie wtedy pra-

wie na wszystkich tronach, a pojmiemy że na on czas konał feudalizm romantycznych stóleciów, które uczyniły, jak już rzekłem, »ze społeczności zbiór punktów świecących, odrębnych, z których każdy odnosił się do siebie, w siebie dufając, na sobie się opierając.«

Łatwo nam zgadnąć, że ten zwrót ludzkiéj historyi w szesnastém stóleciu był i zwrótem fantazyi artystycznéj; nie trudno też z tego, co do tychczas powiedziałem, oznaczyć choć ogólnemi rysami téj fantazyi cechę a oblicze.

Patrzmyż,—duch człowieka wychylił się z siebie i godzi się z rzeczywistością, więc z historyą a mianowicie z naturą; on po długiém, tęsknem rozstaniu z Przyrodą Bożą, odnawia z nią zrękowiny swoje. Fantazya objęła tę naturę promieniem, prześwieciła ją jasnością, ociepliła płomieniem swoim a natura się uduchowniła, a duch przemienił naturę, i tak znów w niéj znalazł wyrażenie swoje. Teraz duch człowieka, co wyszedł z ciepłéj dłoni miłości nieskończonéj, i natura, co dla niego jest stworzona, poznały się po długiém, tęskliwém niewidzeniu się. Fantazya żyje więc teraz rękę w rękę z naturą, a obie wypiastowały arcydzieło piękności.

Teraz ułagadza się tedy ono przełamanie człowieka na dwoje, teraz miały ucichnąć w sercu jego walki i mocowanie się ducha a ciała, wiekuiste a doczesne potęgi połączyły się przymierzem;—sprzeczność rozdzierająca tak długo duszę człowieka, tęsknota do natury, nieukojona, niezagojona, teraz przebolała pokojem, ciszą.

Widać przeto, że teraz natura nie jest więcéj

ową naturą fantastyczną średnich wieków. Człowiek teraz już własnemi oczyma patrzy na przyrodę; nauki zażegnały moce magiczne, które broiły po świecie stworzonym; pogasły ich lampki czarodziejskie, migotne, błyskotne; poświata, majacząca ducha, spłynęła z rzeczywistości; ów ludek karłów, ondyn, olbrzymów, czarnoksiężników, spłoszony uciekł gdzieś do ciemnych nieprzystępnych jarów, pochował się w zapadłe doliny, w zaświatne góry, kędy nie zazierał świt duchowy, kędy nie dochodziły wołania nowéj epoki. Teraz już gdzieś podziały się upiory, gnomy i uroki psotne, pokusne, swawolne, drwiące, chichotne, co broiły między ludźmi;— słowem zmyślony, choć pełny wdzięków, świat skończył się, jakby opera czarodziejska; ten świat uleciał niby sen, niby mgła nocna; a na miejscu przyrody ułudnéj pojawił się oczom rozumu i fantazyi artystycznéj świat rzetelny i natura w prawdzie swójéj. Fantazya otrzymała teraz z piérwszéj ręki naturę, to wspaniałe Boże dzieło, tę księgę obrazkową wiekuistéj mądrości. Teraz umiejętność wzięła na siebie powołanie, by się ucieszyła naturą, by przejrzała jéj zagadki a rozświeciła jéj tajemnice; teraz jest powinnością fantazyi artystycznéj, a mianowicie poezyi, by się obeznała, choć ogólnie, z tym dorobkiem bogatym umiejętności, by jéj nie były obce nauki przyrodnicze. Te nauki i umiejętności właśnie będą pomocą główną dla fantazyi do stworzenia obrazów i przenośni, do wcielenia treści duchowych w kształty zmysłowe, z natury wzięte. Boć przecież te uzmysłowienia, te przenośnie a obrazy są duszą fantazyi; bez nich nie ma sztuki, nie ma poezyi. Zaprzyjaźnienie się mistrza z na-

turą, jak mu potęguje ducha i nadaje siłę i dzielność, tak również staje się nigdy niewyczerpanym światem postaci i figur poetycznych.

Co z naturą, toć się dzieje również i z historyą i z rzeczywistością całą.

Teraz się kończy ona historya fantastyczna, gmatwająca sobą figury z różnych epok, odległych między sobą o stólecia i lat tysiące; dzieje ludzkie przestały być gadką czarodziejską, po któréj hulają i dokazują moce magiczne, cudotworne. Umiejętność teraz ku temu się ma, by w saméj rzeczy wywieść na jaw zdarzenia wielkie, by wskrzesić postaci dziejowe, przemawiające o drogach, któremi opatrzna mądrość prowadziła ludzki ród. Ta mądrość, to opatrzne oko Boże, czuwające nad dziejami świata, jest tak cudów pełne, że się fantazya artystyczna już obejdzie bez onéj cudotworności czarnoksięzkiéj, zmyślonéj, czyniącéj z historyi dziwaczny kalcidoskop fantazyi; podobnież i zapatrywanie się na naturę obejdzie się już teraz bez wiary w magiczne moce; zjawiska zmysłowego świata, w swojéj prawdzie pojęte, wystarczą, by podziwiać z uwielbieniem uzmysłowione w nich wiekuiste słowo, i wysłuchać w nich nieme modlitwy i psalmy wszech jestestw stworzonych.

Zaiste, właśnie dla tego, że jedna ogromna epoka się skończyła, że one lat tysiąc, stanowiące historyą średnich wieków, już do przeszłości należą,— właśnie dla tego w szesnastém stóleciu fantazya genialna może się spójrzyć wstecz za siebie, na tę przeszłość, którą ród ludzki przebył, może zrozumieć historyczne znaczenie każdego z tych wieków i zajrzeć w duszę wiel-

kim ich wydarzeniom i dopatrzyć się wiekuistéj ręki, która wiodła wielkich ludzi po dramacie świata.

Chciejmy się atoli porozumieć; wszystko, com dotychczas wyrzekł o pojednaniu się fantazyi artystycznéj z naturą, z historyą i rzeczywistością całą, nadaje się do szesnastego stólecia o tyle, że w tém stóleciu ten nowy zwrót fantazyi ma swój początek i zaród; lecz ziszczenie się tego nowego pierwiastku sztuki miało być zadaniem następnych wieków. Wiész albowiem że historyi nie śpieszno nigdy; ona ma wiele czasu do szafunku swojego. Jak dalece zaś te późniejsze epoki dokonały zadania owego, o tém wspomnimy późniéj, choć kilku słowami.

Spytasz się atoli, czyli ten tak wdzięczny, zajmujący fantastyczny świat romantycznych wieków już ma być stracony dla nowożytnéj sztuki? czyli ta natura i historya czarodziejska z całą ludnością swoją magiczną, majaczną mają pójść na odstawkę, jako już niegodne fantazyi artystycznéj? Czyli podania ludu, owe wieści gminne, owe wdzięczne kwiaty fantazyi powszechnéj, o ile wprowadzają do siebie świat czarnoksiężki,—już zupełnie dla nas przepadły?—Bynajmniéj. Fantazya mistrza w nowożytnych czasach, zyskując dla siebie naturę i historyą rzeczywistą, zbogaciła się nieprzebranym skarbem, a nie traci przecież fantastycznego świata średnich wieków;—winna jednak mieć na pamięci, że ten świat fantastyczny nie ma już dawnego znaczenia, że spadł na wartości swojéj; a powtóre, mistrz nowoczesny niechaj nie wypuszcza z uwagi, że jego stosunek do tego czarodziejskiego świata różni się wielce od sto-

sunku, którym się miał do niego mistrz średniowieko-wy. Wytłómaczę ci się dokładniéj.

Świat fantastyczny, ułudny, zmysłowy stracił dla sztuki na znaczeniu swojém, bo obok niego stanął świat rzeczywisty, a rzeczywisty tak pod względem natury jak i historyi. Ów świat fantastyczny przeto już dla tego jest mniéj ważnym, iż przestał być jedyną, wyłączną osnową dla fantazyi artystycznéj, a następnie dla tego, że nie zdołał się równać ani z pochodzenia, ani z godności, ani z treści ze światem rzeczywistym. Świat fantastyczny jest zrodzeniem samowolném osobistych uczuć człowieka, kapryśną igraszką omajaczonego umysłu jego; świat rzeczywisty jest uwidomioną bożą mądrością, jéj wcieleniem i szatą,—on jest symboliką myśli wiekuistéj.

Mistrz nowoczesny niechaj pamięta, że zachodzi walna różnica między nim a mistrzem stóleciów romantycznych. Ten wierzył sam w gusła i czary, w całą gawiedź duchów i strachów mącących rozumny ład świata; mistrzowi naszych czasów nie wolno jest okazać téj wiary swojéj w dziele sztuki, bo albo wyjawiłby tém, że nie jest synem swojego stólecia i uczyniłby się śmiesznym,— albo też udając wiarę, któréj nie ma, pisałby bez natchnienia; dzieło jego wymuszone byłoby jałową pracą, wysileniem się niepoetyczném. Dla tego poeta, roztaczający świat czarodziejski, niechaj nam w niéj raczéj przedstawia lud, który ten świat wynosił, wypiastował w swojéj fantazyi; osnową artystycznego dzieła będzie tedy nie tak sam ten świat czarowny, nadprzyrodzony, jak raczéj lud, który jest jego piastunem. Siadłeś nocą przy ognisku razem z grupą gorali

tatrzańskich;— zdaleka ciche gawory wodne morskiego oka wtórują szumom stóletnich świerków, górskie szczyty obstąpiły cię do koła, otulone światłem i cieniem księżycowéj poświaty-; w ich szczelinach granitowych pochowały się orły,— zasnęły kozy dzikie;—po wondołach i jarach wysokich, wzniosłych, po ostrych szczytach hasają wichry; a światła czerwone rozpalonych ognisk dziwnie się migocą po twarzach onych chybkich a fantastycznych tatrzańskich synów. Wtedy słuchaj, co prawi juhas, (pasterz) jeżeli chętny do gadek,— słuchaj co mu się baje o téj cudotworności jego gór, borów, przepaści i jezior. I baje i baje góral o królu co zaklęty w tych skałach czeka póki nie stopnieją śniegi po jarach, i z nim czeka 1000 rycerzy na koniach; a rycerze w rynsztunku, z brodami po pas; te rycerze drzemią i czekają, póki na nich nie zawoła król;— i znów mu się plecie o wężu ogromnym, widzianym od starego stryja, co śpi na dnie morskiego oka, i jedynie po długich latach głowę z wody wystawi i ziewnie i wróży i połknie kilka owiec i t. d. To wszystko widział rodzony dziad juhasa-gaduły. Jeżeliś poetą a gracko się sprawisz, ucieszysz nas śliczną powieścią, lecz pamiętaj przecież, że w téj powieści sam ten góral-pleciuga winien stanąć na głównéim a przedniém tle; niechaj ciebie nie będzie tam widać, boś ty sam niewierny, ten góral jest tutaj poetą; on osnową dla siebie; on sam primadonną téj powieści twojéj. Słowem, niechaj będzie znać, że ty nie do prawdy mówisz. Możesz tedy duchów i czarownic i czarnoksiężników użyć w znaczeniu symboliczném; możesz w nich wystawić owe moce, co nie zewnątrz nas ale w nas samych mają lęgowisko swoje,— one mo-

ce, co jakby albo anioły do zacności wodzą, albo jako pokuśnice złego wtrącają w przepaść zbrodni. Możesz także téj czeladki użyć za figury komiki; możesz też z rzeczą całą obchodzić się jako z żartem poetyckim. Nie będziemy się gniewali, jeżeli, opatrzony świetnym talentem, tak nas omajaczysz, oczynisz powieścią swoją, że na chwilę się sami oswojemy z duchami i strachami, i że nam się zdawać będzie, jakoby taki świat dziwaczny na prawdę mógł istnieć; ale tego wszystkiego znowu wtedy jedynie dosięgniesz, gdy mocą genialności twojéj rzeczy nadnaturalne naturalnemi się wydadzą, gdy w tym bezrozumie znajdzie się rozum, bo wtedy dopiéro sobie powiemy: gdyby były na świecie strachy i upiory, toćby zaiste one się właśnie tak sprawowały a nie inaczéj. Pamiętaj przeto, że do téj fantastyczności ogromnego talentu potrzeba, a to właśnie dla tego, że, jak rzekłem, tutaj nienaturalność ma być naturalną, a nierozum rozumem. Pamiętaj przeto że lada bezrozsądne androny i duby, że niedorzeczności, które ten lub ów prawi jak na mękach, nie są bynajmniéj poezyą fantastyczną. Choćbyś atoli miał talent najświetniéjszy w opowiadaniu fantastycznych powieści, przecież nie zapominaj, że one zawsze są tylko żartem poetyckim; co właśnie okazać się winno nawet już samym drobnym ich wymiarem. Któż nie zna Hoffmana, onego genialnego fantasty? Jemu, jak prawią, najszaleńsze koncepta się roiły, gdy siedział nocą w podziemnych knajpach berlińskich. Tu wśród wrzawy ochoczéj kompanii, wśród kart, lamp i świeczek, wyziewów piwnych i dymów fajczanych kłębami dziwacznemi snuły się i wiły i wiązały, wydrzeźniały

straszydła, postaci senne, mary, szatanice i diablęta. Hoffman tu widział świat fantastyczny; a co tu zobaczył, wplótł w powieści swoje, wplótł tak z mistrzowska w życie codzienne, prozaiczne, iż ci się zdaje, że te straszydła a dziwaki, wglądające w ten powszedni ład domowy, a mieszające się w prozę życia, rozumieją się same przez się, że nie są niczém nadzwyczajném; więc z podejrzeniem patrzysz na tego lub owego uczciwego jegomości z myślą, czy to nie jaki przemajaczony demonek. Mimo tego wszystkiego, te powiastki genialne Hoffmana byłyby nie do zniesienia, gdyby które z nich były kilkutomowéj długości, jak one czarnoksięzkie romanse, które dziedzictwem na nas spadły po wiekach romantycznych, A ów Holender Breughel, co tak maluje strachy, straszki, szatanów i czarownice, iżbyś rzekł, że te figury, co na poły węże, niby krokodyle, niby małpy, niby ryby, niby niewiasty zrodziły się w mózgu gorączką przepalonym; ale choć ten Breughel szaleńcem, toć przecież jakby po przez tę okropność widzisz drwiącą z ciebie twarz mistrza, a genialnym instynktem te sceny piekielne mieszczą się w szczupłych ramkach; są to najczęściéj małe obrazki, bo inaczéj byłby żart za gruby. Krótko mówiąc, prawidła są tu zbyteczne; instynkt, zmysł artystyczny sam powie prawdziwemu poecie, jak się ma obejść z fantastyczną pracą swoją.

Teraz zważmy, że ta cudotworność jest tylko podrzędnym pierwiastkiem fantazyi romantycznéj; obaczymy jeszcze, jaki obrót wzięła ta fantazya pod innym a ważniejszym względem.

Mówiłem, że fantazya w XVI stóleciu po długiém,

tęskném rozstaniu z naturą, znów się jéj zaślubia, znowu ziemia patrzy się na kochanie wzajemne Psychy, onéj córy z doczesnego świata zrodzonéj a boga piękności — boga, co zstąpił z wysokiego Olimpu. Teraz tedy nastaje serdeczne zapatrywanie się człowieka na przyrodę. Sztuka rozpoczyna od najgłębszych studyów zjawisk zmysłowego świata. Teraz i ta cicha, martwa natura, jéj skały i góry, wody i powietrze, obłoki i światła, dźwięki i tony, wszystkie królestwa roślin i kwiatów, borów i błoni, i państwo zwierząt, i kształty i formy człowieka są przedmiotem sumiennych i pełnych miłości badań. Fantazya teraz ogarnia już całą rzeczywistość, niby ojcowiznę swoją; więc się też uczy i duchowego żywota. Ona podsłuchuje, jak uczucia pukają w sercu człowieka, ona wziera w głębie charakterów ludzkich, wróżąc potęgi, co pracują niewidzialnie w głębiach duszy, do działania porywając. Podobnie też fantazya bada i serce ludzkiego rodu, co pracuje w dziejach świata; fantazya proroczy o potędze, co prze do dzieł i czynów stólecia i narody, i występuje na jaw dzienny wcielona w postaci wielkich ludzi i bohatérów światowładnych.

Tak mistrz, promieniem gieniuszu od nieba danego, przenikając naturę i rzeczywistość wszystką, czyni z nich ciała dla swojéj treści nieskończonéj; on je przemienia na krew, na kości swoich dzieł; on cały ten świat zewnętrzny, widomy zamienia na naczynie swojéj chwały.

Powiesz atoli, że ten zestrój ducha z naturą i całą rzeczywistością musiał już zrodzić w XVI wieku powrót do klassyczności, bo klassyczność starożytna, a zwła-

szeza grecka, jest właśnie tym zestrojem i tą harmonią cudną onych dwóch różnych od siebie światów.

I tak się też stało. Gorącą miłością wzięto się do wzorów sztuki i poezyi klassycznéj. Imiona wielkich mistrzów i wieszczów rzymskich i greckich stały się przedmiotem czci serdecznéj. Otworzył się nowy świat! Kto żył pięknością, całą duszą oddawał się studyom starożytnych mistrzów; dech Hellady zawiał na fantazyą Europy i przerodził ją i orzeźwił. Ten dech wiać będzie aż na późne stólecia, a póki on wiać będzie, uratuje świat od zepsucia, od znieważenia godności swojéj. (*).

(*) Zanim atoli bliżéj się téj rzeczy przypatrzymy, chciejmy się pozbyć do dna uprzedzenia i przesądu, który i dziś jeszcze dość powszechnie a gęsto chodzi między ludźmi. Jakoż najczęściéj nasłuchać się i naczytać można zdania, jakoby ten nawrót do klassyczności był skutkiem studyów pilnych i głębokich około wskrzeszonych wzorów starożytnego świata; jakoby właśnie zdobycie Konstantynopolu w XV wieku przez Turków, więc napływ ztamtąd do Włoch uczonych Greków, unoszących zabytki staréj sztuki Hellenów, nie mało się przyczynił do przebudzenia z martwych téj zacnéj fantazyi artystycznéj dawno umarłéj, i rozszerzenia się jéj po Europie. Takowe zdanie jest nowym przykładem, jak to często, sądząc o dziejach, bierzemy skutek za przyczynę, a przyczynę za skutek; jak nam skoro i łatwo czepiać się wypadków zewnętrznych, płynących po wierzchu, na widoku, im przypisując światowładną moc, a pomijamy inne potęgi, które właśnie działają w głębiach historyi i wysyłają one wypadki a zdarzenia widoczne na świat, jako sługi a wyrobniki swoje. Jeżeliś bowiem przystał na cały powyższy rozwój mój, zgodzisz się też ze mną, że zwrót świata do klassyczności był skutkiem koniecznym całego rozwoju historyi ludzkiego rodu.

Średnie stólecia dobiegły swojego kresu z końcem XV wieku; one dogorzały i dla dziejów świata i dla fantazyi artystycznéj, a tém samém i badanie zjawisk natury, które było wręcz przeciwne duchowi średnich wieków, właśnie obudzić się musiało z całą miłością, z całą potęgą. Prostym skutkiem tego zwrotu fantazyi do natury było uczenie się wzorów sztuki klassycznego świata, bo w nich właśnie również tętniała pulsem ona harmonia wdzięczna ludzkiego ducha z całém państwem przyrody. Zważ jeszcze, że fantazya XVI stólecia, przestając być fantazyą roman-

Lecz, mimo téj ogromnéj potęgi, którą wpłynęła sztuka starożytna na nowożytną fantazyą, zachodzi pytanie, czyli fantazya XVI stólecia i następnych wieków, słowem, czyli nowożytna sztuka mogła się stać z gruntu klassyczną? Na to odpowiadam: nowożytna fantazya jedynie ułagodziła oną dufność nieskończoną w sobie, ale jéj nie zniosła. Jak ta fantazya umiarkowała tylko nieskończoną tęsknotę i wewnętrzną sprzeczność w sercu człowieka, tak ta fantazya ani się stała, ani mogła się stać doprawdy i w całém znaczeniu klassyczną; jéj nawet niewolno było chcieć być do dna klassyczną i spłynąć w jedno ze sztuką Hellady i Rzymu. Ta prawda wyświeci się nam do syta, jeżeli zechcemy porównać świat klassyczny i nowożytny, a porównać oba te światy pod różnemi względami.

Świat klassyczny, mianowicie grecki był klassycznym *pierwotnie, bo z rodu swojego; on* tę harmonią

---

tyczną w znaczeniu dawném, straciła zrazu podstawę wszelką pod sobą, a będąc jeszcze za młodą, żeby się zdołała opatrzyć i nową, właściwą sobie, pójść drogą, rada była chwycić się wzorów sztuki Helleńskiéj, znajdując w nich spokrewnionego sobie ducha; te jéj studya około starożytnéj sztuki były przeto nie przyczyną, ale skutkiem całego nawrotu tego fantazyi. Prawda, że właśnie w tym czasie wypadki historyczne w samą porę nastręczyły, czyli raczéj ułatwiły światu sposobność nauczenia się arcydzieł, sztuki klassycznéj, ale temu nie ma się czego dziwić; bo mądrość, władająca dziejami rodu ludzkiego, ile razy wywołuje nową epokę, by odświeżyła świat, podając jéj zarazem i sposobność, by urosła, by się spotęgowała, jest to ta sama opatrzna mądrość, co pamięta o rozwijającéj się lilii polnéj, o pisklęciu, co się dopiero wykluło ze skorupy swojéj. Bądź co bądź, to jednak pewna, że z nową odradzającą się klassycznością, że ze zmartwychwstaniem cudów starożytnéj sztuki, owianéj najwyższą pięknością, i sztuka chrześcijańska wzmódz się musiała urokiem idealnym, jakby nie z tego świata zrodzonym. Piękność klassyczna staje się przeto teraz jednym z pierwiastków, jedną z cech głównych nowożytnéj sztuki.

ducha i natury, stanowiącą istotę klassyczności, wziął z urodzenia swojego, ona była jego duszą, pierwiastkiem jego żywota. Grecya z urodzenia była uwidomieniem, wyjawieniem zewnętrznóm téj harmonii i wdzięcznego zestroju. Ta harmonia była tedy istotą, ba, całą istotą i żywotnym warunkiem Grecyi.

Inaczéj zupełnie się rzecz ma z wiekiem XVI i z artystyczną jego fantazyą.

Sztuka XVI stólecia, jak cała fantazya nowożytnych czasów, nie mogła być klassyczna w tém znaczeniu, jak nią była fantazya grecka, a to już naprzód dla tego, że stólecia nowożytne nie *były klassyczne pierwotnie ze samego urodzenia swojego*. Świat chrześcijański wprzód napasował się, nałamał z sobą przeż półtora tysiąca lat, zanim znowu zbliżył się do natury, zanim pełen dla niéj miłości serdecznéj objął w objęcia swoje rzeczywistość całą, a tak zbliżył się do téj harmonii zewnętrznéj, która klassyczność stanowi. A gdy po tak długim czasie ten świat zabrał się do klassycznych wzorów starych mistrzów, te wzory nie były przecież własnemi dziełami jego, one nie powstały z własnéj kości, z własnéj krwi chrześcijańskich ludów; te wzory były przybrane, obce, wzięte po ludzie zupełnie różnym, po epoce w dziejach świata wcale innéj i która dawno już ustąpiła z dramatu dziejów powszechnych. Tak przeto z góry już spostrzegamy, że klassyczność dawna nie zdołała w całéj prawdzie swojéj przyjąć się na gruncie nowożytnéj historyi.

Z tego, co właśnie teraz rzekłem, już widzimy że sztuka nowożytna zamyka w sobie klassyczną jako jeden ze swoich pierwiastków, lecz właśnie dla tego nie

jest w zupełności klassyczną; tak jak ciało żywe zamyka w sobie ten i ów organ, a przecież ciało całe nie jest tylko tym lub owym organem. W dziełach nowożytnéj sztuki znajdziesz równie i ducha starożytnego, klassycznego świata, ale znajdziesz w niéj jeszcze inne jéj właściwe pierwiastki; wszak nawet w arcymistrzowskich naśladowaniach poezyi klassycznéj uczujesz jeszcze powiewy nowożytnego ducha. Ta prawda potwierdzi nam się jeszcze dokładniéj gdy porównamy pod innym względem starożytność klassyczną z nowożytnym światem.

Jakoż, uważ jeżeli w Helladzie treść duchowa z rodu swojego była w harmonii zupełnéj z naturą i z całym światem zewnętrznym, rzeczywistym, to ta harmonia miała miejsce znów dla tego, że duch Grecyi właśnie o tyle był urósł, że cała treść jego mogła się jeszcze zupełnie pomieścić w rzeczywistości zewnętrznéj; więc też ta treść ducha Hellady we formach z natury wziętych a zidealizowanych, zatém w dziełach sztuki mogła znaleść zupełnie odpowiednie a najwyższe wyrażenie swoje. Wyrażenie zaś takowe było tak zupełne, ta harmonia między treścią a formą była tak doskonała, że co było w treści téj, czyli co istniało w człowieku wewnętrznym, znalazło w zupełności odbicie i wcielenie swoje we formie zewnętrznéj; to jest w jego prawach i naukach, w jego religii, w historyi jego; co więcéj, człowiek zostawał nawet w harmonii z naturą fizyczną swojego kraju a ukształtowaniem jego powierzchni, z klimatem i t. p.; słowem, cały świat rzeczywisty, zewnętrzny był tylko uwidomieniem treści wewnętrznéj człowieka. Tém więcéj Grecya w dziele sztuki, jak w wol-

ném i swobodném dziele ducha swojego, mogła się przejrzyć i obaczyć całą istotę swoją; przeto w pieśni, w posągu, w świątnicy budowanéj Grecya wypowiedziała całą treść ducha swojego, nic już w sobie nie zachowując; i nawzajem też ta forma właśnie tyle jedynie miała w sobie osnowy, ile służyło do wyjawienia treści owéj, ani więcéj ani mniéj. Tak przeto w Grecyi co było w treści, było i w formie, a co w formie istniało, toć się znalazło w treści. Tę całą myśl przeprowadziłem przez owe trzy listy, w których rozprawiałem o fantazyi greckiéj. Tam również rzekłem, że stanowisko takowe *raz tylko* w historyi świata pojawić się mogło, a potém przebrzmieć bezpowrotnie. A tak i klassyczność prawdziwa nigdy już nie mogła wrócić się światu; nie wróciła się też nigdy, bo w dziejach rodu ludzkiego nie ma nic starego, co się tu rodzi, rodzi się po raz piérwszy i po raz ostatni. Historya jest wiekuiście młoda.

Otoż takowéj ścisłéj harmonii między treścią duchową a światem zewnętrznym, rzeczywistym, takowéj harmonii, jedynie Grecyi właściwéj, takowéj tedy klassyczności nie było, ani być nie mogło w stóleciu XVI, ani też w całéj sztuce nowożytnéj. Treść duchowa już nie zdołała się pomieścić w rzeczywistości, bo w formie zewnętrznéj, w naturze, choćby podniesionéj przez fantazyą w krainy nadziemskie ideału. Wiara chrześcijańska nawiedziła wnętrzne tajnice serca ludzkiego, rozwarła w niém głębie wiekuiste, nadała im treść nieskończoną. Jak przeto teraz człowiek w świecie zewnętrznym, rzeczywistym, jako doczesnym, nie znajdzie wyrażenia treści swojéj, tak też téj treści bezdennéj człowiek nie zdoła wyśpiewać pieśnią, nie zdoła jéj wyja-

wić obrazem malowanym ani rzeźbą. To co istnieje życiem wiekuistém, co żyje w przybytkach piersi twoich, tego nie zdołasz uzmysłowić arcydziełem piękności; boć właśnie co jest najwyższą treścią twoją, to nie jest z tego świata zrodzone. Dzieło piękności będzie jedynie tchem nieśmiertelnego ducha, ale nie będzie nim samym. Choć się ustoi ten gwałtowny niepokój, co miotał wnętrzem człowieka, ciskając go po ostatecznościach wręcz sobie przeciwnych; choć się ułagodzi ochota do przygod nadzwyczajnych i awantur; przecież zostanie na dnie ducha ukryte niezadowolenie z rzeczywistości doczesnéj i z siebie samego,— zostanie w głębinach istoty naszéj niewypowiedziana tęsknota, rzewność bezdenna, żałość słodyczy pełna, odzywająca się w chwilach cichych, spokojnych z całą potęgą — dusza uczuje, że jest gościem na ziemi, i że ziemia jest przemijającą gospodą. Ten nastrój, będący piętnem ducha nowożytnych, znajdzie też wtorowanie swoje i w sztuce nowoczesnéj. W nadniebnych widziadłach madonny Rafaelowéj usłyszysz tęsknoty aniołów, usłyszysz je w mszach świętych Palestryny, w akkordach Bethowenowych; owa tęsknota rośnie i dźwiga się w sprzeczność, staje się niekiedy śmiertelną boleścią, rozłamując serca wieszczów, jakim jest Byron. I właśnie dla tego, mimo zbliżenia się człowieka do natury a rzeczywistości, nie uleciała i w nowych dziejach ona dufność człowieka w siebie, ono opiéranie się na sobie, ona sprzeczność we wnętrzu duchowém. Te pierwiastki jedynie się umiarkowały, ułagodziły, ale nie znikły.

Widzieliśmy tedy, że mimo onéj przybranéj klassyczności swojéj, nowożytna fantazya całym światem rozdzieliła się od sztuki Helleńskiéj.

Lecz chciéj mieć baczność, że obie te fantazye przegrodziła jeszcze inna ogromna różnica, a różnica odnosząca się nawet do rzeczy ziemskich, tutecznych. Grecya była ludem żyjącym wśród zarania ludzkich dziejów, i ona przeminęła tak rychło, jak spływają purpury z porannego nieba — życie Hellady tak było krótkie! Ona, mimo genialności, nie miała czasu zdobyć sobie treści tak bogatéj, tak pełnéj, jakiéj się dosłużyć jedynie może lud, który liczy żywot swój, doświadczenie swoje, na długi szereg wieków. Inaczéj dzieje się z Europą XVI wieku; ona tak wiele już była przecierpiała, tak wiele przebolała! Historya średnich wieków, toć to była szkoła twarda a długa dla ludów chrześcijańskich, ta szkoła uczłowieczyła świat, ona nauczyła go czci dla kobiét, a wpoiła uczucie honoru i uszanowania siebie i drugich. Ta długa tysiącoletnia walka rodu ludzkiego, napełniając ludzi bogatą, nieprzebraną treścią, a treścią przerozmaitą, wyrobiła zarazem barwę osobniczą, indywidualność odznaczającą tak silnie ludzi między sobą.

Widzieliśmy w poprzednich listach, że ta indywidualność, będąc skutkiem wiary chrześcijańskiéj, jest jedną z cech sztuki romantycznéj, a nie zatarła się ona i w nowożytnych dziejach; owszem ona się jeszcze silniéj spotęgowała, jak rzekłem, przez długą historyą, przez doświadczenie tak twarde tych ludów chrześcijańskich. Ta indywidualność nadająca osobną, że tak rzekę, fizyognomią duszy każdego człowieka, wycisnęła się na jego dążnościach, na rysach jego twarzy, w ruchu i mimice jego. Ale co więcéj, te wszystkie potęgi, które się przyczyniły do wyrobienia téj indywidualności, nadały też głębokość ogromną człowiekowi, o któréj nie

ma śladu w sztuce starożytnéj. O téj głębi w duszy, będącéj piętném sztuki nowożytnéj, będziemy jeszcze mówili w liście następnym. Tutaj proszę tylko, byś porównał posągi bogów greckich między sobą, a znajdziesz, ogólnie mówiąc, wielkie między nimi podobieństwo, a treść ich tak prosta, że niby cała wykwitła na wierzch; gdy, odwrotnie, madony Rafaela, choć tak liczne, choć one wszystkie mają jedno spólne piętno, choć one wszystkie jakby marzenie śniącego o niebie anioła, przecież one wszystkie są inne a inne: każda ma swoją indywidualność i jedynie do siebie saméj tylko podobna. Każda z nich ma treść głęboką jako niebo całe, o każdéj mógłbyś napisać dzieje rzewne a długie jak wieczność. Porównaj figury tragedyi greckich z figurami Shakespeara, a wyznasz, że tamte, jakem już wyżéj powiedział, są podobne do posągów, bo cała treść ich mogła zkamienieć w jednéj chwili; gdy przeciwnie figury Shakespeara potrzebują długiego rozwoju w dramacie, aby nam wykazać tę treść głęboką, bogatą, nieprzebraną, która w nich przebywa a która jest wypadkiem onéj pracy ciężkiéj, którą się mocował ród ludzki przez lat tysiące. (*).

(*) Widziałeś w liście, w którym kończyłem rzecz o Grekach, jak cudowną jest tragedya Sofoklesa *Antygona*. Wspomniałem ci o zachwyceniu, w które wprawiła widzów teatru paryzkiego, bo co piękne, jest wiecznie piękne, a przecież mimo tego każdy naród, każda epoka nadaje swojéj właściwéj fantazyi całość, tchnienie i barwę, i rade siebie widzieć w dziele sztuki; i dla tego też, mimo zachwycenia publiczności pięknością Antygony, rzadko bardzo ta tragedya bywa przedstawianą na teatrach, o ile mi wiadomo. Dotychczas pojawiła się w czterech czyli nawet w trzech tylko miastach europejskich..

Nikt tak nie umiał naśladować Horacyusza, jak nasz Sarbiewski; to mistrzowstwo przyznała mu cała Europa, a przecież, czyli właśnie dla tego, poezye jego są prawie dla nas exotycznym kwiatem.

Takowych różnic, oddzielających fantazyą nowożytnych mistrzów od sztuki klassycznéj, moglibyśmy wiele jeszcze wytknąć; one wszystkie zrodziłyby się z téj głównéj prawdy, że mimo nachylenia się sztuki nowoczesnéj do klassycznéj fantazyi, pierwiastki duchowe, właściwe ludom chrześcijańskim, były tak potężne, że nie mogły pójść w zapomnienie, że żyły z całą świeżością w nowożytnych mistrzach. Owszem duch chrześcijański, jak coraz potężniéj przenikał wszystkie świata stosunki, jak coraz silniéj a silniéj przejmował wszystkie tajniki duszy, tak i teraz był tłem główném, i życiem i sercem artystycznéj fantazyi; i teraz tedy sztuka romantyczna trwa i nie ginie, ale ona ułagodziła swoje barwy jaskrawe, swoje sprzeczności sztuką klassyczną i nią się wzmogła i uzacniła. Tak tedy pod tym względem mają słuszność estetycy, którzy twierdzą, że sztuka nowoczesna jest cudném połączeniem romantycznéj i klassycznéj fantazyi. Pamiętajmy atoli, że to połączenie nie jest bynajmniéj obojętném istnieniem obok siebie tych dwóch różnych żywiołów; to połączenie jest organiczną jednością, jest onym zestrojem, akkordem dźwięcznym dwóch odwrótnych sobie tonów. Tak tedy powołanie sztuki nowoczesnéj jest ogromne, olbrzymie, ale dla tego właśnie niezmiernie trudne. Mistrz nowożytnych czasów nie dopełni powołania swojego, jeżeli nie zanurzy ducha swojego w krystalicznym zdroju piękności klassycznego świata, a przytém nie zachowa piętna własnego swojego czasu i narodu, do którego należy.

Przekonywasz się przeto, drogi przyjacielu mój! jakie są cechy główne téj sztuki nowożytnéj. W niéj

znajdziesz idealność klassyczną, a zarazem całą głąb' uczuć chrześcijańskiego świata; pogodzenie się z naturą i całą rzeczywistością, a zarazem tęsknotę zaświatną, rzewność pełną słodyczy i wdzięku, daléj piękność niebiańską nadgwiazdną a zarazem indywidualność wyrobioną, pełną siły a potęgi. Czyliż mam wyliczać daléj jeszcze znamiona żywotne, będące tętnem téj nowoczesnéj fantazyi? Rozumiem, że ci samemu już nie trudno będzie roztoczyć jeszcze ich szereg długi, byleś zechciał zgodzić się na cały wątek rozumowania naszego. Złóż i powiąż razem z sobą to wszystko, com ci rozwinął w dawniejszych czterech listach moich, mówiąc o Grecyi i Rzymie, z tém, com znów rzekł w trzech listach poprzednich, rozprawiając o fantazyi średnich stóleciów, a już same przez się wypłyną dalsze cechy sztuki nowożytnéj, a mianowicie XVI stólecia.

Historya fantazyi nowoczesnéj, doprowadzona aż do dni naszych, jest tak bogata, tak treści pełna, że bynajmniéj nie ośmielam się, choćby ogólnym zarysem, skreślić ci jéj wizerunku. Gdybym się chciał jako tako wywiązać z podobnego zadania, gdybym miał zwłaszcza jeszcze oznaczyć charakter sztuki różnych ludów w tych ostatnich stóleciach, wypadałoby mi popisać całe tomy takich listów; bo inaczéj sądy moje byłyby czczemi ogólnikami, wyrokowaniem zuchwałém, trąciłyby niepomału zarozumiałością lekkomyślną. Przestanę tedy i skończę rzecz na wieku XVI.

Tutaj atoli odpowiedzmy sobie tylko, choć z lekka, na pytanie, czyli rzeczywiście sztuka piękna w ostatnich wiekach ziściła w zupełności zadanie swoje? Czyli jéj dzieła są w saméj rzeczy wyrażeniem doskonałém

tych cech, właściwych nowożytnéj fantazyi, zrodzonéj w XVItém stóleciu. Śmiało odpowiadamy że jedynie w dziełach niektórych geniuszów wybrańców, a szczęśliwych namaszczeńców piękności, a zwłaszcza żyjących w tém XVI stóleciu, iści się duch nowożytnéj fantazyi z całą świetnością nieskończoną. Najczęściéj zaś, a to mianowicie w późniejszych stóleciach, dzieła sztuki nie sprostały jeszcze zadaniu, które na nie włożyły dzieje świata, a które zapowiedziane były przez ten cudny wiek szesnasty.

Zdaje się, że Europa dzisiejsza nie skończyła nawet piérwszego okresu téj epoki sztuki, która się zawiązała z oném stóleciem szesnastém. Prawda, że fantazya artystyczna miała arcytrudné zadanie, znalazłszy się znienacka w obec istnéj natury i całéj rzeczywistości prawdziwéj, która stanęła na miejscu owéj fantastycznéj, zmyślonéj; — fantazya nie mogła się zrazu obaczyć, upamiętać, czując, że jéj nagle zabrakło podstawy, na któréj przywykła stać przez lat tysiąc onych wieków średnich. Co więcéj, to zadanie było jeszcze dla tego tak trudne, iż było tak wielkie a ciężkiéj wagi; zasadzało się bowiem na zestrojeniu romantycznego a klassycznego świata, a zatém dwóch ostateczności wręcz przeciwnych sobie; tak przeto sztuka nowoczesna miała być współdźwiękiem a harmonią najwyższą tych wszystkich cech, tych wszystkich pierwiastków, z których kilka wyliczyłem ci powyżéj.

Temu zadaniu tedy tak trudnemu często bardzo nie zdołała sprostać nowożytna fantazya; ona często nie była dość silna, aby jemu poradzić, aby ująć i zespolić te różne a rozmaite dźwięki. Działo się tedy, że czę-

sto te różne tony odstały od siebie, że te pierwiastki nawzajem się odstąpiły, że każdy z nich samopas, z osobna, odrębnie się rozwinął bez drugich współdźwięków, że zbyt w śród innych wybujał, nie będąc już trzymany na wodzy przez tamte pierwiastki. Gdy zaś te pierwiastki z istoty swojéj miały właśnie przeznaczenie, aby się zlewały z sobą, więc też każdy z nich, gdy pozostał sam jeden, nie tylko wybujał zbytnie, ale musiał koniecznie się jeszcze wypaczyć i zwichnąć.

Do naszego celu wystarczy, bym ci natrącił, choć dla wyjaśnienia, kilka przykładów. Tak np. jednym z pierwiastków, zapowiedzianych przez to wielkie i świetne stólecie szesnaste, była znów owa wskrzeszona miłość do natury; ten pierwiastek, puszczając się sam bez idealności, doszedł do ostateczności, zrodził przeto późniéj ową sztukę zmysłową, materyalną, zakochaną w naturze grubéj, pozioméj, powszedniéj a nie zidealizowanéj tchem duchowym; (np. obrazy Caravaggio i innych późniejszych naturalistów).

Albo się też stało wręcz przeciwnie; bo wychyliła się jakaś idealność fałszywa, która bez zapatrywania się na rzeczywistość, bez słuchania praw, którym z natury swojéj ulegają przedmioty zewnętrzne, chciała być najwyższéj piękności mistrzynią. Ta idealność, sama sobie oddana, a nie uświęcona natchnieniem artystyczném, wypaczała się w swawolę kapryśną, majaczyła się w dziwaczne kształty, w których nie dójrzysz istoty rzeczy saméj, ale raczéj chorowitość epoki, uosobioną w mistrzu; (przypomnij sobie np. one rzeźby, udające postawy złych komedyantów; one budowania, kędy kamień i mury fryzowane, wyci-

nane, powykrawane jakby papierki,— słowem, on czas rokoko;— przypominam te malowania »manierowane,« mianowicie widoki natury, drzew, na pamięć robione, one sztuczne, poetyczne figle wymuszone i płaskie, kędy koncepta udają skoczków na linach i t. d.). Tego odstania od rzeczywistéj treści, od natury nie mieszajmy atoli ze zjawiskiem sztuki romantycznéj, bo w wiekach średnich ono odstanie od natury, ono pogrążenie się w duchu właśnie dla tego, że było pierwiastkiem rodzimym, zrodziło ten cudowny kwiat fantązyi romantycznéj; przeciwnie w nowożytnych czasach to odstanie od rzeczywistości, od natury zradza często one chorobliwe, osobiste zachcianki, które niekiedy niby uśmiechają się i milą, ale częściéj są dziwaczkami, które udają fałszywą sentymentalność, lub chodzą na szczudłach skłamanéj wielkości.

Wiesz równie, że jednym z owych pierwiastków jest także techniczność;jest ona warunkiem ogromnéj wagi dla mistrza.— Lecz gdy ona sama jedna wybuja, wtedy zamienia się na wirtuozowstwo, co bezpłodne, co oczynia, oślepia na chwilę, a potém znika, gaśnie bez śladu wśród stuku i puku, jako sztuczne ognie.

Jeszcze jeden przykład:

Wszak sztuka nowożytna ma w sobie jako pierwiastek i klassyczność; występuje tedy klassyczność a mianowicie we Francyi. Wyżéj zwróciłem już uwagę twoją, że wskrzeszenie prawdziwéj klassyczności w nowoczesnéj sztuce było istném niepodobieństwem; a samo pokuszenie się o to, co nie mogło być osiągnione, ściągnęło na się konieczną karę. Otóż właśnie tragedya francuzka stała się niby klassyczną pod względem zachowania formy zewnętrz-

néj. Ona trzyma się ściśle prawideł greckich, a zwłaszcza żyje w ciągłéj obawie, by nie ubliżyć prawidłom Arystotelesa o trzech jednościach dramatycznych (*).

Naśladowano klassycznych tragików co do formy, ile ich tylko można naśladować, a przecież mimo tego, mimo mocy a wzniosłości Corneilla, mimo nieskończonych wdzięków i harmonii Racina, mimo zgrabności zwinnéj Voltaira,— ta dramatyczna poezya nie tylko nie jest dziś powszechnie uznana za klassyczność prawdziwą, ale, co więcéj, ośmieliłbym się powiedzieć: jest wręcz odwrótną klassyczności prawdziwéj. Bo jeżeli ta opiera się właśnie na harmonii ducha z rzeczywistością i naturą; w onéj wrzekoméj klassyczności nie ma ani natury, ani rzeczywistości. Występują tam figury tak głuche i zimne jakby allegorye jakie; są to uosobione myśli abstrakcyjne bez krwi i ciała, których nie ma w naturze; są to figury bez treści, bez barwy indywidualnéj, bez fizyognomii własnéj. Autor w nich nawet nie stosuje się ani do rzeczywistości wschodu, ani starożytności, z któréj bierze osnowy swoje; nadto on nie stosuje się ani do rzeczywistości, która żyje

(*) Wiész że po dziś dzień te prawidła wrzekome Arystotelesa uchodzą za przykazania nietykalne, za powagę świętą. Przecież, mówiąc po prawdzie, każdy poeta prawdziwy i bez Arystotelesa powinienby czuć, że bez jedności w czynie dramatycznym nie ma dramatu, jak nie ma żadnego dzieła sztuki. Co do jedności czasu, téj wcale nie podaje Arystoteles, jako prawidło, wspomina o niéj zupełnie przypadkowo, przygodnie a to raz jeden tylko, i to jeszcze jako zwyczaj, który zachowany bywa. Co się zaś tyczy jedności miejsca, o téj ani słówka nie ma w całym Arystotelesie. Otóż przykład jak studyowano starożytnych autorów, i jak łatwo uprzedzenia się rodzą w świecie, jak wystarczy, by ktoś wyrzekł zdanie choć mylne, a już wszyscy powtórzą za nim gadkę, a nikt się nie przekona, nikt nie zajrzy w źródło, by obaczyć, czyli też owo twierdzenie jest prawdziwe!

w jego własném spółczesném stóleciu, zbogaconém treścią i pracowaniem się tylu wieków, która żyje w narodzie własnym autora. Bo ta poezya jest dworską, nawet dworacką, zamkniętą w kółku osobném, oderwaną od reszty świata. Więc te postaci bez treści głębszéj mają treść przyuczoną, udaną; nie czują, nie działają, ale deklamują rozprawy o uczuciu, o sercu, o działaniu i t. d. Te figury same są uosobioną abstrakcyą od rzeczywistości; popisują się osobistą treścią, a ta treść sama jest zmyślona, nie rzeczywista, bo nie jest z życia wzięta. Prawda, że to wszystko może i ztąd poszło, że nie Eschylus, że nie Sofokles, ale Eurypides był wzorem téj poezyi. Przecież ten Eurypides, choć jest Grekiem, jest właśnie wyobraźnikiem późniejszéj greckiéj historyi, boć w nim już brzmi zerwanie ducha z naturą i rzeczywistością, które się dopiéro u niego wyradza w popisywanie się sentymentami, w rozprawianie o uczuciach, o powinnościach, w sentencye i maksymy. O ile zaś Eurypides jest jeszcze Grekiem, o tyle wyrządzono mu gwałt, gdy mu kazano zmartwych wstać i wystąpić przed dworem Ludwików francuzkich. Lecz cała rzecz ta już była nadto ogadana, aby nam było potrzeba rozwodzić się jeszcze w téj mierze; powiedzmy raczéj, że mimo tych niedostatków studyowanie klassycznych tragedyi francuzkich i po dziś dzień może pójść nie jednemu na zdrowie. Nie mówię już tutaj o szlachetności Corneilla, ani o cudności wiersza Racina, bo któż ze wszystkich poetów do téj chwili pisze piękniejszym, wdzięczniejszym wierszem? To wszystko już pomijam;—jest atoli inna korzyść stanowcza, którą wynieść możemy z czytania

tych klassyków francuzkich. Jak bowiem ta klassyczność wzięła w karby dziką i surową wyobraźnią północnych ludów, i nie tylko Francuzów ale całą Europę oduczyła gburowatości i rubasznéj swawoli, tak dziś jeszcze może być napomnieniem nie dla jednego autora, by tę muzę swoją, źle wychowaną, nie umytą, rozczochraną jakoś przecie uczynił przyzwoitszą, by ją ogładził i ucywilizował (*).

(*) Godzi się też aby ze czcią wspomnieć tutaj o naszych tragikach a mianowicie już o szanownym wieszczu Franciszku *Wężyku*. Wczytanie się w takowy dramat, jakim jest jego „Barbara Radziwiłłówna" może pójść wielce na zdrowie poczynającym talentom, bo nauczy formy artystycznéj i przyzwoitości a przedewszystkiem nauczy jakto kochać to wszystko co historya uczciła serdecznym hołdem. Dawnoż to, gdy jeden z młodych pisarzy, ze zdolnością prawdziwie świetną, ale jakby przepojony szałem poetyckim, brudném piórem dotknął się téj przeczystéj postaci Barbary i skalał to, cośmy od wieków szanowali i kochali, oszargał pamięć Barbary, aby uczynić może swój dramat (czyli liryczność?) więcéj effektowym. Myślę iż każdy przyzna że owi starzy tragicy francuzcy bez wątpienia są mistrzami w swoim *rodzaju*, ale się też zgodzi że te ich figury są abstrakcyjne i głuche, bez wyrazistéj indywidualności; o przyczynach tego niedostatku nieco rozprawiałem powyżéj, przecież niechaj o jednéj z nich wspomnę wyraźniéj jeszcze kilku słowami. Ci tragicy francuzcy wprowadzają figury to rzymskie, to greckie, albo nieco żydowskie lub azyatyckie, to historyczne, to mitologiczne, a mimo tego żadna z nich nie ma piętna ani swojego narodu ani wieku, ani cechy osobistéj indywidualnéj, bo one wszystkie wciśnione są w formy dworskie króla Ludwika XIV, one wszystkie nie mają prawdy. Inaczéj u Wężyka. Figury jego są rodzime, swojskie, one urodziły się na téj saméj ziemi, któréj językiem przemawiają. Zygmunt August nie jest wcale takową abstrakcyą, on się poecie zrodził z historyi rzeczywistéj, więc jest indywidualnością, więc rusza się i działa, czuje nawet i mówi tak, jak go nam kroniki przechowały. Zatém widzimy tutaj formę klassyczną połączoną z treścią historyczną, a z treścią swojską tak serdecznie od autora ukochaną. I w tém właśnie jest moc i potęga Wężyka. Do przesytu już nasłuchać się można że formy klassyczne są przeżyte. Przecież pół stólecia minęło od pojawienia się Barbary p. Wężyka! a od półstólecia nie znalazła się u nas żadna tragedya coby obok niéj stanęła.

I powiedzmy prawdę, w najnówszych czasach jaśniały zaiste w wielu krajach Europy znakomite talenta w téj szkole, co się romantyczną zowie; lecz gdy im się bliżéj przypatrzysz, poznasz, że ta romantyczność, mimo talentu niezaprzeczonego autorów, najczęściéj jest tylko potęgą ujémną; moc tych pisarzy rodzi się bowiem najczęściéj, że tak powiem, »z opozycyi« przeciw onéj fałszywéj klassyczności, niby z chęci zrzucenia z poezyi przewagi cisnącéj a cudzéj, czyli to greckiéj, czyli nałożonéj przez inne obce a spółczesne narody. Jeżeli zaś znajdziesz geniusze promieniste, co obok téj siły ujemnéj mają jeszcze w sobie pierwiastek twierdzący, własny, twórczy, toć zapewne zdołasz się ich na palcach doliczyć.

Przestaję na tém, com dotychczas powiedział; obejdzie się bez wywodzenia innych jeszcze pojawów w sztuce, które podobnie ztąd się rodziły, że pierwiastki fantazyi artystycznéj, właściwe epoce nowożytnéj, zamiast się zestrajać w harmonią, odstawały od siebie. Tak tedy często jeden z tych pierwiastków a żywiołów, zbyt się rozpierając, przytłumił inne; a z tego powodu koniecznie dzieła sztuki musiały się wyradzać i zwichnąć. Wszak gdy w ciele organiczném jeden z organów zbytnie się rozwinie, już tém samém głuszy działanie innych i psuje całość, hamuje organizm, wypaczając go w chorobę.

Obejdzie się przeto już i bez rozbioru bliższego onéj poezyi zatrutéj i trującéj, co w rozpaczliwym przesycie, obmierziwszy sobie rzeczywistość, zerwawszy z nią do dna, zamyka się w sobie i po to jedynie występuje między ludzi, aby z prawdziwą lub skłama-

ną boleścią poniewierać całym bożym światem, niby łupiną pustą, wymietną. Czyliż mamy znowu wdawać się w wyroby owych niewydarzonych poetów, co, pożegnawszy się z rozsądkiem, częstują czytelników bezsensem i andronami, nazywając je kwiatem genialności fantastycznéj!— A cóż dopiéro owa poezya, co po śmieciskach towarzyskich poluje na osnowę dla siebie, a jakby z krynicy kastalskiéj czerpie natchnienie z płuczysk stęchłych społeczności!

Bez tego wszystkiego iście się obejdziem, zwłaszcza że nad światem jaśnieje przecież konstellacya gwiaździsta prawdziwych wieszczów i artystów. W to piękności niebo się patrzmy! one niech nam przyświecają i rozswiecają duszę, w chwilach gdy zajdzie smętkiem i życia żałobą!

Zrozumiesz, że znamiona fantazyi nowoczesnéj, skreślone powyżéj, są ogólną, bardzo jedynie ogólną i lekką charakterystyką; wszak te cechy mieniły się wielce pod wagą wielkich wydarzeń historycznych, pod wpływem znakomitych okresów dziejowych; roztoczenie atoli tych zrodzeń nie jest tutaj zamiarem naszym. Nie trudno równie zgadnąć, że każdy lud wywiązywał się po swojemu z powołania wziętego na siebie; możnaby przeto i tutaj okazać jakto usposobienie ogólne, duchowe każdego nowożytnego narodu odbiło się w jego fantazyi artystycznéj, jako np. Bacona filozofia zapowiada cechę angielskiéj fantazyi, tak jędrnéj, zdrowéj, ujmującéj z gruntu rzeczywistość i rzetelny świat, i jako znów Boehmego teozoficzna filozofia w sobie tonąca, mistyczna, wewnętrzna jest wysłannicą onéj głębokiéj liryki niemieckiéj, zwróconéj w świat wewnętrzny; jako np. zno-

wu duch Kolumba odpowiada téj fantazyi ludów romańskich południowéj Europy, téj fantazyi gorącéj, ognistéj, żyjącéj z naturą w wieczném, nigdy nierozerwanćm przymierzu.

Przecież, puszczając mimo się to wszystko, napomknę jeszcze słówkiem o owym wypadku dziejowym ciężkiéj wagi, który podzielił Europę na dwie połowice, odróżniające się tak potężnie pod względem umysłowym. Tym wypadkiem są wywroty religijne XVI stólecia. Nie wspomniałem o nich powyżéj, natrącając twojéj pamięci pierwiastki dziejowe tego wieku XVI, bom pragnął właśnie dla ich ważności przytoczyć je z osobna.

Protestantyzm, zwłaszcza niemiecki, ulotnił wiarę; ona z ciepłych, tajnych duszy przybytków, z głębin serca przeniosła się do głowy; co było proroctwem świętém uczuć, staje się tutaj pojęciem rozsądku, abstrakcyą rozumową. Ale rozsądek, pojęcie, wiedza, myśl nie rodzą natchnienia, nie znają, co zachwyt artystyczny. Myśli i pojęcia filozoficzne, choćby wcielone w formy zmysłowe, nie stworzą dzieła piękności; one, jak rzekłem tyle razy, zrodzić zdołają jedynie allegoryą zimną, głuchą, bezsercą. Wszak też mówiłem już przy innéj sposobności, że co człowiek wié, co rozumem ogarnął, co myślą zbadał, toć jest wprawdzie jego własnością, ale własnością tylko przyswojoną, a zatém nie jest jeszcze jego istotą; co zaś człowiek czuje, co on wierzy— to on sam, i to jedynie właśnie może się stać natchnieniem jego i przybrać na się formy sztuki pięknéj, w których się przeziera nieskończona, wiekuista natura ludzka. Widzisz przeto, jakto Protestantyzm sam się pozbawił jednéj z najważniejszych

osnów sztuki, i dla czego obrazy, jak je maluje np. Angelico da Fiesole, lub Madonny Rafaela stały się niepodobnemi dla protestanckiego artysty; co więcéj, zarazem z tém ochłodzeniem wewnętrzném serca, rozpłynął ów świat legend, podań religijnych, wspomnień cichych a rzewnych, co są przedmiotem tak cudownym, osnową już gotową dla natchnionéj fantazyi uświęconego mistrza.

Przecież czas bym ukończył list ten i nawrócił do właściwego naszego przedmiotu, bo teraz przyjdzie nam choć ledziuchnym zarysem oznaczyć w liście następnym kierunek, który nabierał każdy rodzaj sztuki w tym czasie. Łatwo zgadniesz, że ten kierunek będzie właśnie wypadkiem ogólnéj cechy całego stólecia, a tém samém stanie się i ostateczném jéj wyjaśnieniem.



LIST XXX.

Stólecie XVI.

(Ciąg dalszy.)

Architektura XVI wieku.—Bramante.—Palladio.—Michał-Anioł, jako architekt i jako rzeźbiarz.— Leonardo da Vinci, Rafael, Szkoła Wenecka.— Muzyka i Palestryna.—Tasso, Ariosto i Kamoens.—Cerwantes.—Jan Kochanowski.— Shakespeare.

Dopisek. **Wyprawienie tych listów.**

Znasz te uczucia, co grają na pół zrozumiane, na poły dosłyszane w serc toni? Znasz te uczucia, co żyją i tętnią w duszy, jako głuchy szum podziemnych wód— jako grzmotny huk ogniów ukrytych w ciemném ziemi wnętrzu? Oto—co tam w sercu żyje uczuciem, to występuje na jaw we właściwych postaciach przez fantazyą powszechną stworzonych, przez tę fantazyą gminną, wszędzie rozlaną. Gmin tę treść swojéj duszy, na poły mu zrozumianą, odziewa w legendy, powieści, klechdy; on ją wyśpiewuje piosenką, albo wypuści z głębin duszy melodyą swojéj muzyki; a te piosnki, te muzyki swoje wyczytuje, jakoby w piśmie kamiennėm, w szczytach, w liniach świątnic, które mu stawiali mistrze jego. Zaiste, te budowania, te z ciosów dźwignione fantazye,

te architektoniczne linie są jedynie artystyczną przenośnią tych uczuć zagadkowych ludu, są jedynie symboliką serca gminu.

Wiesz, że w romantycznych stóleciach główną osnową dla mistrza była treść podana mu właśnie przez fantazyą powszechną; on ją ujął miłości pełen, przerobił na dzieło artystyczne, a co wziął od ludu swojego jako kwiatek polny, oddał mu jako kwiaty niebiańskie, uwite w wieniec chwały promiennéj.

Wiesz atoli równie, co się stało w XVI wieku? Choć i w tém stóleciu, jak po wszystek świat i po wszystkie czasy, mistrz nie przestawał być synem swojéj epoki i swojego narodu—choć on zawsze był jeszcze wyobraźnikiem jego uczuć, choć i teraz w nim słychać tętno serca całéj ziemi i tchy rodzinnych powiewów, i gawory jego gajów i wód, przecież dla mistrza ta fantazya powszechna, te powieści, legendy i klechdy, te symboliki uczuć ogólnych nie były już główną osnową jego dzieł artystycznych; on teraz najczęściéj zaczął udawać się do rzetelnéj historyi, do prawdziwéj natury po treść swoją. Tak tedy już z tego względu fantazya mistrza a fantazya powszechna odstawały od siebie. Ale nadto sama ta fantazya powszechna osłabła w sobie i zwątlała, bo straciła jednolitą swoją moc: nowa nastała epoka, runęły wieki średnie, zewsząd nowe wyobrażenia powodzią wylały się na Europę, uczucie nie mogło się upamiętać; więc i fantazya powszechna się zachwiała, ta fantazya, co była dawniéj tchem żywotnym, wszędzie rozlanym; ona, co była dawniéj jakby akordem wszystkich tonów, wszystkich serc, ona teraz pozrywała struny, w sobie mącąc się i bałamucąc. I tać była druga

przyczyna, dla któréj fantazya artystyczna zerwała dawną ścisłość ślubów swoich z fantazyą powszechną gminu, i z tą symboliką jego uczuć.

Lubo zaś to zerwanie było stratą dla mistrza, przecież ją sobie wynagradzał w poezyi, malarstwie i rzeźbie; trudno mu jednak było zastąpić tę stratę w tym rodzaju sztuki, która właśnie jest wskróś symboliczną, która więcéj niż którykolwiek inny rodzaj sztuki jest odbiciem zagadkowéj treści zamkniętéj w serca głębinach, w uczuciach na poły zrozumianych. Tą sztuką, jak ci wiadomo i jak dopiéro co rzekłem, jest przedewszystkiém architektura.—Ona jest wskróś symboliczną, ona nie przemawia postacią uosobioną, wyraźną jak rzeźba lub malarstwo, ona nie przemawia słowami, mową jasną jak poezya; jéj wyrazem jest symbolika płaszczyzn i linii; w niéj ona składa przeczucia swoje i zagadki serca na poły zrozumiane, żyjące na dnie serca całego ludu; ona, więcéj niż którakolwiek inna sztuka, spoczywa na uczuciach ogólnych, wszędzie rozlanych, i na fantazyi powszechnéj; boć ona nawet niéma, jak inne sztuki, oparcia i pierwowzoru w formach przez samą naturę podanych, w onych postaciach ludzkich, kształtach zwierzęcych, widokach kraju i wód i gór.

Jasna tedy rzecz, że gdy powszechna ta fantazya, ta symbolika ludu stała się w XVI stóleciu czémś obcém dla mistrza, gdy ona w sobie omdlała, zwątlała,—już tém samém i architekturze XVI stólecia zabrakło rodzimego zdroju; nie stać było téj sztuki na zrodzenie wskróś nowego rodzaju budowania, nowego architektonicznego stylu. Jeżeli zaś sobie zarazem przypomnisz, iż właśnie ten wiek szesnasty nawrócił do klassyczności, więc

rzecz jest jasna, że architektura teraz, w tym braku rodzimego, swojskiego pierwiastku, udaje się do wzorów, które jéj zostawił świat starożytny. Z tego zaś powodu ten nawrót właśnie się najwcześniéj odbyć musiał we Włoszech, jako w kraju, który nawet przez całe średnie wieki patrzył własnemi oczyma na puściznę umarłego klassycznego świata. Gdy we Włoszech łacniéj było o wspaniałe i majestatu pełne zwaliska rzymskie, co jeszcze harde i pyszne choć w upadku i poniewierce, niż o wzory helleńskiéj architektury, stąd też Włochy raczéj z tych gruzów rzymskich, w których żył zaklęty duch pogromców świata, brały wzory dla swojéj architektury. Tak stanęło budowanie, tchnące wspomnieniami Rzymu, owiane atoli chrześcijańskim powiewem; tak zrodził się ów piérwszy prześliczny *Renaissance.*

Ten styl Renaissance choć rzymski, przecież łagodny i wdzięków pełen, uśmiécha się bogatym przystrojem, brzmiącym harmonią cudowną. Te ozdoby jego tak misterne, jakby były onych trzech gracyi lubém marzeniem, a przecież są dziwnéj szlachetności i czystości rysunku; te przystroje są tak zamożne, bujne, a przecież w nich nie widać napuszystości popisującéj się próżnością; tutaj dobrze zrozumiane bogactwo obok zacnéj prostoty; a lubo tu są wskrzeszone rzymskie formy, przecież w nich żyje świętością wiara. Jak to widzieć możesz mianowicie na budynkach, którémi zagrał na duszy melodyą kamienną Bramante (ur. 1444 † 1514); wszak on jest jednym z wczesnych wyobraźników téj odrodzonéj architektury (stylu *Renaissance).*

Jeżeli atoli zapragniesz zajrzeć w samo tajemni-

cze serce starorzymskich budowników, a zarazem obaczyć czém się staje ta architektura klassyczna, gdy ją wywoła gieniusz nowożytnych czasów, wtedy patrz na dzieła Andrzeja Palladio. Ten wielki mistrz a istny syn szesnastego stólecia (ur. 1518) w okruchach a zwaliskach zapadłéj Romy podsłuchał życie dawnéj klassycznéj fantazyi i umiłował ją jako oblubienicę swoją i w tém swojém kochaniu stał się arcywładzcą téj harmonii, co się rodzi z dźwięcznéj proporcyi a wymiarów w przestrzeni. Palladio atoli wskrzesił przeczyste architektoniczne formy starożytnych ludów, a jednak nie stracił siebie samego a własnéj samodzielnéj oryginalności, którą od natury wziął posagiem w świat; on do zmartwychwstania wezwał myśli, które niegdyś robiły w duchu artystów-budowników, będących chwałą wieku Augustów, Trajanów, a przecież ten wielki mistrz, stawiając kościoły chrześcijańskie, dźwigając twórczą potęgą okazałe pałace, daje znać że go wykołysała wiara Zbawiciela, i że się wskróś przejął potrzebą, dążnością, smakiem, obyczajem i całą atmosferą nowożytnych czasów (*).

(*) Zaiste żałować mi przychodzi, że szczupły zakres tych listów nie pozwala nam bliżéj przypatrzyć się, jakto pod tchem odradzających się sztuk i nauk klassycznych wykluwał się w architekturze styl Renesansowy. Byłoby to rzeczą arcy zajmującą obaczyć jak on się zachowywał do wyprzedzającej go architektury średniowiekowéj, więc głównie do gotyckiéj i romańskiéj. Lubo mówiąc w jednym z powyższych listów o architekturze średniowiecznéj ograniczyliśmy się stylem gotyckim, bo on najwydatniéj i najsilniéj przedstawia nam ducha owych czasów, toć przecież i styl romański jest także, choć już słabszym i mniéj wyraźnym, odgłosem téj głębi duchowéj, téj indywidualności, która była piętnem średnich wieków. Gdy atoli styl ten przez długi czas był przeważającym we Włoszech, więc w kraju w którym właśnie najwcześniéj rozwinął się

Przecież, mimo potęgi tych gieniuszów, mimo silenia się tych świetnych mistrzów, architektura XVI stólecia nie miała w sobie zarodu wielkiéj przyszłości. Bo gdy ta sztuka nowoczesnego budowania nie miała, jak się rzekło, własnéj podstawy pod sobą, gdy jéj brakło rodzimego żywotnego pierwiastku, z któregoby się mogła rozwinąć i urość sama z siebie, dla tego nie dziw, że się też wnet wypaczyła, że jéj przemiany późniejsze nie były bynajmniéj postępem. Co więcéj, do dziś dnia nawet nie stać nas, bý stworzyć właściwy nam styl architektoniczny; dzisiaj najwyższym szczytem sztuki budowania jedynie są studya gruntowne stylów całéj przeszłości i umiejętne ich naśladowanie! Przypatrz się budowom dzisiejszym; najlepsze z nich są najczęściéj te, które są mistrzowskiém powtórzeniem dawnych czystych stylów, a te, które żadnéj nie mają wartości, które są «murowaną niedorzecznością» najczęściéj bywają arlekinadą pomieszanych stylów.

---

renesans, więc tém trudniéj wykazaćby nam przychodziło stosunek tego renesansu do poprzedzających go stylów i wykluwanie się jego z nich, nie wyświeciwszy wprzód istoty architektury romańskiéj; a która znowu była głównie wypadkiem stylów chrześcijańskich, więc bazylikowego i bizantyńskiego, choć za przyczynieniem się innych jeszcze wpływów a mianowicie za działaniem rozwijającego się coraz postępu duchowego.

Dla uniknienia pomyłki czynimy atoli tutaj uwagę, żeśmy pod jednéin ogólném imieniem: *Renesansu* objęli i styl Bramantego i Palladiusa; dla tego bośmy tą ogólną nazwą pragnęli oznaczyć całą epokę odrodzenia. Przecież niechaj zechce pamiętać młodszy nasz czytelnik że style tych dwóch mistrzów, lubo oba się poczęły pod wpływem sztuki klassycznéj, są wielce od siebie różne. Prosimy również mieć na pamięci, iż styl tak wdzięczny, który zwykle w życiu renesans zowiemy (np. kaplica Zygmuntów w Krakowie), lubo jest także stylem odrodzenia (w ogólném znaczeniu) ma swoje właściwe cechy, które go różnią od czystego prawie klassycyzmu, co go stworzył Palladio.

Zważ jeszcze, że ten brak żywotnych warunków w architekturze nowoczesnéj stał się przyczyną, że ona tak łatwo zmieniała się i przeradzała za dotknięciem schorzałego już czasu, lub w kapryśnych rękach wielkich mistrzów. Tak przecudnéj piękności Renaissance został zwichnięty w genialnym a zuchwałym ręku Michała-Anioła Buonarottego; — on, tytan w ludzkiéj postaci, dźwignął świątnicę S. Piotra w Rzymie, na podziw świata, na tryumf śmiałości sztuki, przemagającéj bezmierne massy i przestrzenie; ale te wszystkie tryumfy nie są tryumfem najwyższéj artystycznéj piękności.

Ten sam Michał-Anioł jest rzeźbiarzem: on młotem uderzył w głuche marmuru bałwany, a jak z przedświatnych bezkształtnych zamętów wystąpiły na Boże skinienie światłości i słońca i księżyce, i wszystko żyjące; tak za uderzeniem dłóta mistrza tego, z bezkształtnych marmurowych bałwanów wystąpiły postaci jego. Te postaci, to nie wizerunki ludzi śmiertelnych; w nich żyją całe pokolenia, z nich patrzą na nas całe epoki i lat tysiące, one są odziane siłą i potęgą, jakby ich wykarmiły moce natury wstrząsające światem; a przecież na nich wyciśnięte piętno indywidualności; gdy stajesz w obec nich, czujesz, że to oblicze, te rysy, te ruchy w kamieniu raz tylko w świecie się pojawiły, że one nie są ślepą, bezduszną abstrakcyą — w nich tętni prawda żywa. Patrz na posąg Mojżesza, co jest najwyższym klejnotem jednego z rzymskich kościołów. Zasiadł zakonodawca tak poważnie i uroczysto, jakby na stolicy wszech ludów; w oczach jego i wejrzeniu, i w obliczu całém, w jego rękach, ba w szatach, we falach téj długiéj spływającéj brody tchnie i goreje duch

męża, co sam na sam rozmawiał z Bogiem, wśród obłoków i błyskawic i gromów. Czujesz, widzisz duchem, że to jest mąż, co stworzył naród; owszem, co więcéj dokazał, bo dźwignął z upodlenia naród swój, naród, co widział i Faraonów Egiptu i przepych Babilonu i Assyryą ludowładną, co zapamiętał, kiedy Rzym się rodził, co był przy skonaniu jego, który przeżył wszystkie ludy, państwa, wszystkie tysiące lat a przecież jeszcze snuje się pomiędzy nami, chodzi wśród ludów nowych prawnuczych, bo żyje swoją wiarą, choć w rozsypaniu, choć jest niby upiorem pośmiertnym przeszłości zapadłéj. Buonarottego geniusz, sam tak olbrzymiego a posępnego majestatu, zrozumiał onego prawodawcę bogochwalczego ludu, więc obaczył oblicze jego wśród błyskawic własnego swojego geniuszu.

Ten sam Michał-Anioł widział, jakby na własne oczy swoje, strachy i grozy ostatecznego sądu; on jakby stworzenia prorok patrzał na chwilę zrodzeń natury, na losy piérwszego człowieka, na jego winę i upadek; i chwycił za pęzel i w Sykstyńskiéj kaplicy Watykanu w malowanych obrazach zostawił i ten sąd ostateczny i te wszystkie widzenia swoje, jakby epopeję Bożą, jakby dramat wiekuistości, i zostawił te widzenia swoje nadchodzącym pokoleniom na puściznę po sobie a piorunne «memento» swojego przejścia po ziemi.

A lubo Buonarotti jest malarzem, jakby od wiekuistości w służby wziętym, toć nie on przecież jest wyrazem a uosobieniem malarstwa XVI stólecia. Michał-Anioł nie jest wyobraźnikiem ani żadnego stólecia, ani żadnéj w szczególności sztuki, ani żadnego narodu; on sam siebie jest wyjawem, i dla tego wyobraża wszyst-

kie czasy, wszystkie sztuki, wszystkie narody. Ztąd też nie Buonarotti ale Leonardo da Vinci stanął na reju temu świetnemu pochodowi malarzy wielkich, którzy przeszli stóleciem szesnastém przez świat na uczczenie rodu ludzkiego. Leonardo jest zaiste piérwszém uosobieniem i poczęciem sztuki nowoczesnéj, on jest klassykiem i romantykiem zarazem. Z jego obrazów spogląda idealna piękność Grecyi i indywidualność chrześcijańskiego świata; tutaj wdzięki natury odziały ciałem one proroki, co wróżą o zbawieniu w głębiach duszy człowieka.

Leonardo bada przyrody tajemnice, on zgłębia prawdy matematyki, dokonywa cudów w mechanice; a przytém harcuje na koniu i składa się orężem jakby rycerz średniowiekowy; on najurodziwszym mężem swojego czasu, on wielbi piękne panie, a obok ziemskiego kochania żyje w sercu jego niebiańskiéj miłości kwiat: więc też Franciszek I król francuzki, co sam był uosobieniem monarchii XVI stólecia, uczcił sam siebie uwielbieniem i serdeczną przyjaźnią dla malarza, który w skonaniu umarł w objęciach króla, a umarło i arcydzieło mistrza: owa Wieczerza Pańska w refektarzu medyolańskim! Moce bezmyślne natury a dziksze jeszcze barbarzyństwo ludzi zabiły, sponiewierały na ścianie te postaci święte! Przecież w tejże lombardzkiéj stolicy, w jednéj z bogatych jéj galeryi znajdziesz dziś na jednéj ze ścian zawieszone ramki skromne — za szkłem papier zmięty o roztrzępionych, podartych brzegach, na nim malowanie o lekkich rzutach, niedokończone, tu i ówdzie przebijają jeszcze zarysy ołówka—to głowa Zbawiciela, to karton do onéj wieczerzy — on się zrodził w natchnieniu, w zachwycie nadziemskim Leonarda.

Zaiste, gdy zanurzysz duszę w tym strzępku papierowym, wyznasz że łaska Boża tchnęła na duszę mistrza, by dreszczem przeczucia rozebrał serca ludzi, by je przejął rozrzewnieniem gorącém, bezmiernem. Mistrz przywiódł tu na oczy cielesne i żal niebiański do zdradnego ucznia, i przebaczenie i słodycz nadziemską! Wiekuistość i doczesność spłynęły w tém obliczu. Znać że Leonardo widział oczyma geniuszu dzieje Boże; widział, jako ludzki ród uwiedziony samowolą odstaje od miłości wiekuistéj, jako wiekuista miłość zstępuje do niego na ziemię, i sama staje się człowiekiem, i w postaci ludzkiéj cierpi jak człowiek, umiera jak człowiek, a tak ześlubia znów człowieka z niebem, godzi wiekuistym okupem wiekuistość z ziemskim żywotem.

W sąsiedztwie starego rzymskiego forum i mamertyńskich więzień, tuż pod kapitolium, w akademii świętego Łukasza jest także malowanie nadpsute; treść jego taka: malarz pracuje nad obrazem Najświętszéj Panny; oczy mistrza jaśnieją blaskiem nie z ludzi poczętym — oblicze jego goreje światłem promiennem. Obok na poły dokończonéj pracy jego stanął mu wzór — widziadło lekkie, przejrzyste, wdziękiem nadświatnym odziane,—to sama Boga-Rodzica. I wpatruje się mistrz w niebiańskie widziadło; więc jaśnieją oczy jego blaskiem nie z ludzi poczętym! Obok krzesła natchnionego malarza stanął młodzieniec urodny; z napiętą duszą wpatruje się w prace starszego mistrza i tonie w powstającym obrazie, i uczy się jako malować Królowę Nieba, uczy się wcielać i w barwę i w postać widomą niewinność anielską, dziewiczą i kochanie, co nie ma granic: otoż tym mistrzem malującym, któremu modłą

jest widziadło naduiebne, tym mistrzem jest Łukasz Ś.; a młodzieńcem, co uczy się od niego, jak malować Matkę Bożą i niewinność anielską dziewiczą i kochanie, co niema granic — tym młodzieńcem jest Rafael Sanzio z Urbinu. Wszak ten obraz cały w Akademii jest jego ręki!

Powiedz, jeżeli pomyślisz duchem o wizerunkach Boga-Rodzicy, onéj przeczystéj lilii niebiańskiéj, czyliż duchem nie złączysz jéj postaci ze wspomnieniem o Rafaelu, co czyste niby lilia ziemska! Tak w duszy twojéj ciałem przyćmionéj żyją i wizerunki niebiańskiéj Maryi Swiętéj, i żyje pamięć Rafaela malarza z Urbino—co rodził się w Wielki Piątek i umarł w Wielki Piątek—w dniu najwyższéj boleści i najwyższéj chwały Boga-Rodzicy.

Słuchaj słów, które wyrzekł o Rafaelu spółczesny mu Vasari: «O szczęśliwości i błogosławieństwa pełny duchu! O tobie z roskoszą człek każdy rozprawia i sławi czyny twoje, i podziwia dzieła twoję. Zaiste, gdy mistrz ten umarł światu, mogło umrzeć i malarstwo; gdy on zamknął powieki, mogła też olsnąć sztuka na zawsze!..... Niebo tyle mu udzieliło miłości, że wszyscy artyści nasi, którzy z nim spólnie pracowali, łączyli się związkiem serdecznym, wzajemnym; a gdy on w ich kole się zjawił, już z serca każdego ustąpiła wszelka żądza niedobra; na sam widok mistrza tego uleciała każda zła, niezacna, pozioma myśl. A to się stało, bo każdy był oczyniony jego uprzejmością i artystycznym geniuszem, a więcéj jeszcze czystém sercem jego, które już było tak szlachetne i tak miłości pełne, że nie tylko ludzie ale i zwierzęta oddawali mu cześć!»

Podobno trudno nam już dodać więcéj do tych słów

zacnego Vasarego; wspomnij sobie tylko jeszcze ten orszak szkół, które chwałą wiekami nieprzeżytą rozwinęły się po miastach włoskich, a mianowicie te szkoły, co je urodziła Wenecya. Wszak mistrzowie Wenecyi malowali tak, jakby już to czyste niebo nad niémi, palące się w barwy tęczowe, było ich paletą malarską, a o których tak trafnie wyraża się A. Raczyński, mówiąc, że ich obrazy, to kwiaty żywe, rozsypane na tle jasnego srébra. W Wenecyi geniusz malarski nawrócił silnie do natury i pokochał ją rzewną, gorącą miłością; na tych obrazach postaci cudowne tchną radością i weselem doczesném; a przyroda w koło i jéj góry i morza i rośliny i zwierzęta obchodzą jakby święto stworzenia swojego.

Wszelako nie brakło i europejskiéj północy wielkich malarzy; więc na północy, na południu i na wschodzie i na zachodzie obaczysz miłość do natury, lecz miłość ta wszędzie unosi naturę w świat niebiański piękności idealnéj. Piękność ta nie tylko uczciła ideałem postać człowieka, ona sercem szerokiém, wielkiém i zacném rozlała promienie swoje na całą naturę, a nawet i na tę cichą, bezduszną w koło przyrodę; ona uduchowniła swojém kochaniem wszystkie stworzenia ziemskie. Tak też zrodziło się na świat piękności malowanie widoków natury—pejzażów, co już jest najwyższą oznaką ześlubienia się powtórnego sztuki z przyrodą.

Już dawniéj rozwinąłem ci zdanie, że rzeźba ze saméj istoty swojéj jest nad wszystkie inne sztuką klassyczną; widzielismy zarówno, że malarstwo ma to do siebie, iż w niém nikną wymiary materyi, że oddalenia, skrócenia, światła i cienie nie istnieją w rzeczywisto-

ści, ale istnieją jedynie dla widza obrazu, że tedy malarstwo jest sztuką już więcéj idealną, duchową, niż rzeźba. Otóż zrozumieć możemy dla czego i w XVI wieku mimo geniuszu Michała-Anioła, że i późniéj za naszych czasów, mimo świetności dłóta Thorwaldsenów, rzeźba była zawsze i wszędzie uczennicą klassycznéj skulptury, gdy przeciwnie malarstwo chrześcijańskie roztworzyło sobie nowe światy dla swojego żywota i swojéj chwały.

Gdy zaś ludom chrześcijańskim odsłoniły się czarodziejskie dziedziny malarstwa, cóż dopiéro się dzieje z muzyką, z oną sztuką duchową, o eterycznéj postaci, któréj stopa nie dotyka się już przestrzeni ani czasu, i jakby zwłoki doczesne zmiata z siebie szaty materyi. Wszak muzyka niby woń przywiana z rajskich ogrodów, niby szept miłości wiekuistéj, ona nie dojrzana śmiertelnemu oku—dowidzisz jéj zjawienia tylko po łezce rzewnéj, po rumieńcu, co obłoczkiem przelatuje po licach, po tęskném serca pukaniu. Muzyka nade wszystkie sztuki jest sztuką idealną; ona przemieszkuje w sanctissimum duszy naszéj, ona tą kapłanką świętą, co najwierniéj pilnuje ognia niebiańskich uczuć człowieka.

Wiesz, jak to w wiekach średnich w ród ludzki padł błogi zaród muzyki przyszłéj; wszak już z niego miały się cudownym kwiatem rozwinąć tajemnice kontra-punktu. Te średnie stólecia atoli z istoty swojéj nie zdołały wypielęgnować téj roślinki niebiańskiéj. Bo choć w sercu ludzkości wiara rozwarła bezdenie nieskończone, a tak nauczyła człowieka czuć ogromne swoje znaczenie; toć właśnie, jak już dawniéj rzekłem, to znaczenie wiekuiste było po ziemsku poczute i wyrodziło

się w dufność w siebie bezmierną, w samowolę osobistą, w kapryśną ochotę popisywania się samym sobą a pomiatania rzeczą. To odnoszenie się do siebie samego a poniewieranie rzeczywistością i prawami, które w niéj władają, wylęgły z siebie w średnich wiekach oną filozofią scholastyczną, co ślepa na istny, zewnętrzny świat, na zakon, którym się rządzą i rzeczy duchowe i zmysłowe, puszczała się lózem w subtelności czczych syllogizmów, w których już nie o to chodziło, co jest prawdą w istocie, ale o to, aby okazać misterność własnéj (osobistéj) bystrości rozumowéj; tak tedy wyradzała się w sztuczne, pedanckie gadaniny. Otoż to samo odnoszenie się do siebie a poniewieranie rzeczywistością i prawami jéj, ta sama dufność w osobistą, samowolną powagę pogwałciła świętokradzko muzykę. Muzyka, ta córa nadziemskiéj krainy, była zwichnięta kaprysem kompozytorów, spaczona grymaśną ich ochotą popisywania się. Tak zwolna melodya zupełnie zaginęła, a na jéj miejscu występuje silenie się na sztuczne subtelności kontra-punktu. Gdy muzyka gminu nieuczna śpiewała sobie od serca, gdy trzymając się li wrodzonych uczuć, nie opuszczając świéżego zdroju natury, zachowała i prawdę swoją i wdzięk melodyi; inny kierunek wzięła muzyka umiejętna, a mianowicie kościelna. O tém wszystkiém wspomniałem atoli obszernie w liście ostatnim. Słuchaj, co nam spółcześni prawią o téj muzyce: «im kombinacye dziwaczniejsze i powikłańsze trudności, im mniéj Kanon jaki podobny do rozwiązania, tém piękniejszą zdawała się być muzyka, a kompozytor nazywał się boskim mistrzem.» Ta swawola wyrodziła się nawet w niezręczne proste burdy; tak donoszą nam

np: «że gdy jeden głos śpiewał pieśń *alma mater*, drugi swoim dworem *Regina coeli*, a trzeci sobie *inviolata, integra, casta.*» Wszak i na naszéj północy pewnie nie było lepiéj, gdyż Jan Kochanowski żaląc się mówi: «wniesiona jest muzyka do kościołów i tak postanowio«na aby ludzie ku nabożeństwu pobudzała: czego tak «dalece ci nowi prorocy nie baczą, którzy mniemają, że «to wszystko w taniec kiedy organy słyszą i tym ko«ścioły porządne ludziom hydzą.» i t. d. *(Wróżki).*

Znać, że muzyka podnieść się mogła z upadku a poniewierki w tym dopiéro czasie, gdy człowiek zaczął uznawać prawa rzeczywistego świata, prawa ogólne, a tém samém ukrócił w sobie samowolę osobistą, i wziął samego siebie w karby; a takim czasem, jak wiesz, był właśnie wiek XVI.

Jak muzyka rozwiązuje sprzeczność tonów zlewając je w harmonią, tak i fantazya artystyczna XVI stólecia, jako rzekłem, umiała zjednoczyć sprzeczność, zestrajając w harmonią świat wewnętrzny i zewnętrzny, myśl i naturę, ducha nieprzebrane głębie i rzeczywistość doczesną.

Jak stólecie XVI było epoką odrodzenia muzyki, tak nie trudno zgadnąć, że potęgą odrodzenia i podniesienia jéj z upadku i poniżenia był kościoł; boć muzyka jest nad wszystkie inne sztuki sztuką chrześcijańskich ludów, z nią zawarła wiara zacne przymierze swoje. Tak się też stało. Na Trydenckim Soborze, a 22 posiedzeniu jego, właśnie w połowie Września r. 1562, zapadła uchwała stanowiąca o przeistoczeniu muzyki kościelnéj.

A gdy dziś po blizko trzechset latach odbywasz piel-

grzymki wędrowne po przestrzeniach bezmiernych kościoła Ś. Piotra w Rzymie, gdy ta świątynia, jakby nie przez ludzi śmiertelnych dźwigniona, obejmuje cię w koło ogromem swoim niby światem Bożym, wtedy w nawie poprzecznéj okazują ci miejsce, kędy złożony: «Johannes Petrus, Aloysius Praenestinus, Musicae princeps»—To jest Palestryna! to on człowiek, co tak godnie i święcie odpowiedział nadziejom soboru zebranego w Trydencie.

Po śmierci Palestryny znaleziono na jednéj z jego mszy skreślone słowa: *Domine illumina oculos meos* (Panie rozświeć oczy moje!) Snać, że zacny mistrz z Bogiem poczynał prace swoje. Więc też te tony nieskończone harmonii cudownych, te dźwięki co rozlane po światów przestrzeni przygrywają gwiazdom cichą pieśnią, wodząc uroczysty pochód ich, te harmonie i akordy, co zabrzmiały, gdy się światło rodziło, a co prowadzą ludzki ród przez stólecia i lat tysiące; te spółdźwięki i tony Boże, co grają choć niedosłyszane w sercu każdego uczciwego człowieka, te tony, harmonie i akordy wszystkie zebrały się w duchu Palestryny; a co mistrz od Boga otrzymał, toć wszystko oddał wiernie ludziom śmiertelnym—on muzykę niebiańską, przedświatną przetłómaczył na muzykę ziemską. Te kompozycye jego już mieszkają między ludźmi; one to jedne z tych aniołów co stanęły dziejom ludzkim na straży, by nie zdziczały chucią zmysłową i nie przepadły w zapomnieniu siebie.

Są, którzy porównywali Palestrynę z Homerem, lub z Platonem, a to już zapewne dla tego, że Homer plastyczny, że on jest wieszczem zapominającym siebie i

osobiste ochoty swoje w postaciach, które z duszy swojéj wyśpiewał, im się już w zupełności oddając. -Wszak i Plato tonie w nadświatnych ideach, w onych pierwowzorach wszechrzeczy stworzonych, wykazując marność jednostkowych jestestw i wyobrażeń osobistych. Podobnie jak Homer, jak Plato, Palestryna też nie siebie ma na celu, nie o własną osobę, tę jednostkę mu chodzi, on oddał siebie wiekuistym piękności pierwowzorom. Dla tego on żyje i żyć będzie po wieki; bo to tylko umiera śmiercią, co się samolubnie buntuje ogólnym prawdom, siebie na szczycie stawiając; co zaś żyje w prawdzie, toć jest wiekuiste, jak prawda sama. Malarze uczą się na obrazach wielkich mistrzów XVI stólecia, architektura ćwiczy się na wzorach Helleńskich i gotyckich, rzeźba wpatruje się w puściznę bogatą, która jéj po świecie klassycznym i po wiekach Michała-Anioła została. Słuszność tedy, jak myślę, mają znawcy muzyki gdy się dziwią, dla czego sami muzycy tak są trudni, by się uczyć od Palestryny albo od Orlando Lasso, co przecież swojego czasu był także cudem. A lubo często gęsto mowa o tych mistrzach sławnych, toć przecież nie usłyszysz ich muzyki, a już do nadzwyczajnych zjawisk należy, gdy kiedyś duszę skąpać i pokrzepić możesz w dziełach światopomnych Sebastyana Bacha. Muzyka Palestryny stanęłaby za niejeden z dzisiejszych koncertów, a równie nam słuchającym profanom jak i artystom poszłaby na zdrowie. Lecz aby go słyszeć trzeba aż do Rzymu jeździć (*). Boć tam do

(*) Właśnie atoli dowiadujemy się z Kolonii, że chęć zacna i prawdziwa miłość do staréj muzyki kościelnéj spowodowała towarzystwo muzykalne w Brühl (nad Renem) do wznowienia kompozycyi starych mi-

dziś dnia w kaplicy Sykstyńskiéj Watykańskiéj, w wielki tydzień, gdy kaplica obrana ze wszelkich przystrojów, ogołocona z przepychów bogatych, świeci jedynie malowaniem Michała-Anioła— wtedy, w obec jego Sądu Ostatecznego, co grzmi zgrozą i strachem—płacze, kwili się muzyka Palestryny. Wtedy roztapia się serce, choćby od wielu lat oskorupiałe cierpieniem lub pychą, wtedy myśl ulatuje po nad doczesności doliny; żałość, pełna niebiańskiéj słodyczy, radości i tryumfu, nieskończone tęsknoty wpływają w duszę słuchacza, budzą w niéj i rozwiązują najgłębsze tajemnice życia i śmierci, tudzież wszystkie świata zagadki. Boć też i skon i boleść ścisnęły serce samego mistrza i zwróciły je ku niebnym wysokościom. Palestryna stracił przez śmierć małżonkę ukochaną; on w żarach swojéj rozpaczy stanął u grobu kochania swojego i zaśpiewał muzyką, pieśnią; i śpiewał Palestryna u grobu małżonki swojéj a tęsknił, aby w rychle się z nią połączył; ale znowu padły na niego lęki i powątpiewania, bo zgrózą i mrozem przejęła go myśl, że jego własne winy a grzechy odgrodzą go może na zawsze, na wieczność całą od żony ukochanéj! i paliły lęki w duszy jego, i żary boleści — Anioł muzyki utulił boleści wybrańca swojego — śpiewał u grobu

strzów. W Sierpniu 1854 odśpiewano tedy między innémi arcydziełami także następujące trzy kompozycye Palestryny: *Missa solemnis Papae Marcelli, alma redemtoris mater*, i psalm *Jubilate Deo*. Że wykonanie odbyło się w sposób znakomity, widać z tego że przeszło 200 dzieci z różnych szkół elementarnych całéj okolicy śpiewało Sopran i Alt! Do miasteczka Brühl zjechała się publiczność ze wszystkich stron, wiedziona uwielbieniem dla muzyki staréj. Takowe koncerta odbywać się będą co rok; założycielem tego towarzystwa muzykalnego i jego duszą jest proboszcz katolicki małéj mieściny i przyjaciel jego nauczyciel szkoły elementarnéj.

małżonki Palestryna a tony pieśni jego ulatywały do nieba, do gwiazd, i wracały z nieba rosą,—rosą niebiańskiéj pociechy!

Jeszcze żył Palestryna, gdy umierał Correggio, co także piękności wybranym ulubieńcem; on przed śmiercią zasnął, i obudził się raz jeszcze, raz ostatni na ziemi; zeszklone oczy zapromieniły ogniem i szepnął: »radości pełen umieram, bo będę połączony z Palestryną, jam go widział teraz w Niebie!« poczém skonał wielki mistrz-malarz.

Tegoż samego jeszcze roku, gdy z processyą uroczystą, tłumną zanieśli zwłoki Palestryny pod sklepy Ś. Piotra, jego kompozycye śpiewając, przybył w jesieni do Rzymu wieszcz. On jeszcze w pełnéj potędze wieku swojego, ale o znękaném, padającém się sercu, o licu wybladłém, schorzałém, o ranie śmiertelnéj w duszy. Papież wezwał do Rzymu wieszcza, by był uczczony najwyższą chwałą, bo ukoronowany wieńcem laurowym na kapitolium,—na kapitolium w obliczu wiekuistego Rzymu i w obec świata całego. Papież, pragnąc by wysłannicy różnych ludów Europy mogli zdążyć na koronacyą Tassa, odroczył uroczystość świąteczną na wiosnę, na czas gdy natura się wieńczy w kwiaty, gdy ptaki śpiewają swoje radości weselne.

Tymczasem przycisnęła zima szarugą słotną naturę; bladły, bladły lice schorzałego wieszcza, a głębiéj, głębiéj roztwierała się śmiertelna rana w duszy jego.

Na onéj starosławnéj górze Janiculus stanął klasztor Ś. Onofrio; w głębinach, u podnoża rozkłada się mappą Rzym chrześcijański; a daléj, daléj, rozwaliska

niegdyś starorzymskiéj pogańskiéj stolicy. Do tego klasztoru zaniesiono omdlałego wieszcza. On tak z serca pragnął przemieszkać zimę w celi samotnéj, cichéj, odsuniętéj od gwarów światowych, i w téj celi, cichéj jak trumna, skonał Tasso na wiosnę; wtedy właśnie, gdy kapitol Rzymski, gdy zebrana Europa czekała go napróżno z wieńcem laurowym.

Dziś osiwiały zakonnik prowadzi cię ścieżką przez sad klasztorny. Tyki z pnącém się winem,—jarzynne grządki,—a w dali resztki zwalonego dębu. Pod tym dębem siadywał w dni pogodniejsze zimowe Tasso umierający, i patrzał na nieprzeliczone świątnice i kopuły, co w głębi, jakby wyspy skalne, wznoszą się nad morzem kamienném ulic, rynków nowego Rzymu, i znów oczy zapuszczał w dal zieloną, kędy wśród bukietów drzew i ogrodów i pol dźwigają się harde, pełne majestatu zwaliska, niby pośmiertne pomniki dawnego Rzymu, i widział jak kroczy Tyber odwiecznym, uroczystym pochodem i szepce o starych latach, bo on sam jeden tylko pamięta dzieje zapadłe. Wyprowadzano wieszcza umierającego pod cień starego dębu i on rozmawiał z dziejami świata; aż i nie wrócił więcéj pod stary dąb, skonał w celi swojéj cichéj, samotnéj. Dziś w téj celi cicho, spokojnie, nabożno. Krzesła drewniane, stół, szafa, łoże proste,—toć puścizna cała po wieszczu zmarłym; w ramkach za szkłem list ostatni Tassa, pisany przed skonem do przyjaciela Antonio; do tego na ścianach napisy chwalne późnych pokoleń i porozwieszane wieńce laurowe zwiędłe, rozsypujące się w pył.

Choć się atoli rozsypują zwiędłe wieńce na ścia-

nach, »Jerozolima wyzwolona« zieleni się wiecznie w świeże laury i w kwiaty nigdy nieumierającéj chwały.

Poemat Tassa jest przejęty wskróś fantazyą właściwą XVImu stóleciu. Żyje w nim życiem pełném, potężném i duch klassycznego świata i duch romantycznéj poezyi. Jakoż znać z tych pieśni wyuczenie się mistrza na wzorach klassycznéj literatury, znać nawet, że Virgilius był wybranym przewodnikiem jego. Daléj obrazy cudowne przyrody, przedmiot wzięty z prawdziwych dziejów świata, forma wdzięczna, wykończona najwyższą artystycznością, są z jednéj strony cechą tego nieśmiertelnego dzieła.

Z drugiéj zaś strony również w tych pieśniach fantazya romantyczna tętni pulsem świeżym, a zwłaszcza ów pierwiastek wewnętrzny człowieka, ono opieranie się na natchnieniu własném, na potędze osobistéj, wszędzie tutaj znać o sobie daje; wszędzie też widać przewagę wewnętrznego człowieka nad światem zewnętrznym. To zaś okazuje się i pod względem osnowy dzieła i pod względem usposobienia mistrza samego.

Tą przecież osnową a treścią jest czyn najwięcéj romantyczny romantycznych czasów! — bo wojny krzyżowe. Tak tedy figury pojedyncze są to właśnie one rycerze, z których każdy, na sobie się opierając, idzie za osobistém wewnętrzném natchnieniem, sobie ufając i mniéj bacząc na świat zewnętrzny; są to właśnie postaci, które ci skreśliłem w jednym z listów o fantazyi romantycznéj. Drugą zaś cechą romantyczności jest tutaj własny stosunek Tassa do téj treści pieśni jego; bo lubo śpiewca trzyma się wątku prawd historycznych, przecież własne jego uczucia gorące, to serce jego pło-

nące żarem, cała wewnętrzna osobista jego treść przeniesione są do pieśni jego. Tak historya, którą on śpiewa, jest raczéj historyą jego własnéj duszy; te figury, które on maluje, są raczéj uosobieniem jego uczuć, są naczyniem jego wesela i boleści. Nie są to przeto figury plastyczne w znaczeniu ścisłém, bo mistrz nie oddaje im się w całości, nie zapomina samego siebie w nich; on zanadto zajęty własném życiem wewnętrznem, aby się mógł oddać w zupełności zewnętrznemu światu, który żyje w poemacie jego. Dla téj natury lirycznéj jego epopei, przedmiot nie jest wyczerpanym w całéj głębi swojéj, wiele jego stron nie było wcale tkniętych przez Tassa; co więcéj, dla téj liryczności, przeważającéj w wieszczu, cała też epopeja nie jest sama z sobą ściśle powiązaną; mógł ją tedy lud włoski rozebrać sobie na pieśni pojedyńcze i nucić z niéj najcudniejsze ułomki. Wszak do ostatnich czasów i rybak w Sorento i gondolier wenecki śpiewali pieśni jego Jerozolimy wyzwolonéj. Dziś w Sorento zaledwie ci dom wskażą, kędy się rodził wielki mistrz; nie wiedzą że wśród ich ojców żył niegdyś Tasso, jako żebrak obłąkany; a w niemocie i w ciszy bezśpiewnéj przesuwają się, jakby czarne trumny, gondoły po lagunach Wenecyi, onéj wodnéj pani, co płynie w głębokiém tęskném milczeniu na falach, niby marmurowa lilija morskich topieli.

Dopełnieniem Tassa jest Aryost; bo lubo ten, również jak Tasso, stał się istném wyrażeniem XVI stólecia, toć przecie jest mu wręcz odwrotnym.

Tasso ukochał sobie przedmiot ściśle historyczny; ale, malując ten przedmiot, raczéj siebie w nim malu-

je; w obrazach jego jaśnieją, promienieją barwy i światła własnéj duszy jego. Odwrótnie Aryost w swoim »Orlando« (czyli Rolandzie) wymyślił sobie przedmiot; ten więc przedmiot nietylko nie jest uniesiony z dziejów, nie pożyczony z rzeczywistości, lecz jest wskróś fantastyczny; za to znowu ten przedmiot, choć urodził się w zupełności z duszy mistrza, nie jest bynajmniéj odbiciem tego wnętrza jego, tych uczuć jego; ta jego epopeja nie jest tedy bynajmniéj natury lirycznéj. Aryost przedstawia przedmiot swój wskróś plastycznie; jego sceny i figury nie są bynajmniéj wyobraźnikami uczuć poety, ani jego indywidualności osobistéj; te postaci jego mają własną swoją indywidualność, własną fizyognomią; one mówią i działają za siebie, wedle własnego usposobienia swojego. Te sceny, figury wiodą ród swój z wnętrza poety, w niém są poczęte; lecz one działają wedle usposobienia własnego, a to znowu usposobienie nadał im sam mistrz. Co więcéj, one są dziećmi fantastyczności tak kapryśnéj, żeć się zdaje jakoby Aryost stroił sobie żarty ze wszystkiego, co tylko fantastyczne, ba! rzekłbyś nawet, że sobie drwił ze saméj poezyi fantastycznéj, bo tak w niéj przesadzał. On roztoczył istny świat czarnoksięzki. Niby snem na jawie przemykają się cudotworne sceny i obrazy, a są to żyjące, żywe obrazy, wrzące krwią i zmysłowością; a te postaci i sceny, te wypadki i ta natura cała mienią się, migocą jakby w ogniach sztucznych; bo na figury i naturę Aryost puścił poświatę magiczną, ułudną. W epizodę jedną wplata się druga, a w tę drugą znów trzecia; tu nic niema statku ani celu, tu niby wszystko igraszką swawolnego trafu, tu wszystko się gma-

twa, wikła; bo to państwo oczynienia, cudów i dziwów. Tutaj dokazują czarnoksiężniki i czarodziejki, hulają karły, olbrzymy, wszędzie awanturują się rycerze waleczni i damy prześliczne, harcują bohatery o tarczach zaklętych, świecą zamki urzeczone, mroczą się gaje pokusne. Ale już piérwszym czarnoksiężnikiem w tym świecie czarnoksięzkim jest sam Aryost, on gospodarzem a piérwszym cechmistrzem w tym świecie ułudnym, cudnie pięknym, choć tak bajecznym i szalonym. Te pieśni Aryosta o Rolandzie, toć iście kwintessencya a wyskok w najwyższéj potędze onych bajeczek romantycznych, które na nas spłynęły po poetach stóleciów średnich, tych bajeczek i powieści tak wdzięcznych i powabu pełnych, lubo tak majacznych i cudacznych; z tą atoli różnicą, że gdy owi poeci średniowiekowi prawią sobie na dobre te bajki cudotworne, Aryost zaś drwiarz maluje tę cudotworność romantyczną w szalonéj przesadzie; sam się uśmiecha nad dziełem swojém, a tak dowodzi, że jest iście już synem nowéj epoki w ludzkich dziejach.

Już Karol V, dwóch światów pan, uwieńczył był wawrzynem Aryosta; już sława wieszcza tego obleciała oba te światy, gdy od ostatnich kończyn zachodniéj Europy, od pobrzeżów portugalskich zabrzmiała pieśń wzniosła, harda, świetna; zaśpiewał ją Kamoens. Wieszcz portugalski czuje się być wznioślejszym od Aryosta i woła, że wyższe dzieła śpiewa niż Rolanda sprawy!— I Kamoens miał słuszność; on zaprawdę jest wieszczem XVI stólecia w całém, pełném znaczeniu. Gdy Tasso obiera sobie przedmiot z rzeczywistego świata, ale zamienia go na wyraz wewnętrznych uczuć swoich, gdy

odwrótnie Aryost czerpie treść z własnego wnętrza swojego, ale, raz ją stworzywszy, obchodzi się z nią jakoby z przedmiotem rzeczywistym, prawdziwym, nie pokazując już w nim uczuć swoich własnych, toć Kamoens łączy i Tassa i Aryosta w Luzyadzie swojéj.

Kamoens, równie jak Tasso, ujął w swojéj pieśni treść pożyczoną z rzeczywistego świata, ale on, równie jak Aryost, obchodzi się z treścią swoją jako z przedmiotem rzeczywistym; Kamoens, podobnie jak Tasso, wlewa w przedmiot uczucia swoje i całą treść wrzącą, kipiącą serca; ale w tém znów równy Aryostowi, że postaci, sceny, figury, które przedstawia, nie ulatniają się z serca tonami; one, choć są uobrazowaniem uczuć wieszcza, zachowują całą plastyczność; one działają, mówią, ruszają się po swojemu, nie tracąc własnéj swojéj fizyognomii;— mistrz w nich tonie, im się całkiem oddając, im się powierzając. Tak świat wewnętrzny poety a świat zewnętrzny rzeczywisty, będący przedmiotem jego pieśni, zestroiły się w harmonią prawdziwie mistrzowską, klassyczną.

Pytasz zaś, skąd te dziwy, pytasz skąd wieszczowi temu ta potęga zestrajająca tak wszechmocnie ostateczności wręcz przeciwne?— Kamoens mógł przelać serce swoje w przedmiot historyczny a przecież nie spaczyć uczuciami osobistemi przedmiotu tego; bo uczucia jego, choć wrzące, gorące, nie były uczuciami li osobistemi, one były serdeczną miłością dla treści, którą śpiewał. Podobnie i przedmiot jego zdolny być przedmiotem uczuć ciepłych, obecnych w piersiach śpiewaka; bo przedmiot ten, choć historyczny, nie jest światem tak obcym i oddalonym, jak wojny krzyżowe,

które śpiewa Tasso, ani jest przedmiotem zmyślonym, jak również obcym i cudzym sercu, jakim był świat fantastyczny, migocący się w pieśniach Aryosta, w który sam Aryost już nie wierzył:— słowem, treścią pieśni Kamoensa były wielkie czyny własnego ludu jego, tym przedmiotem była świetna chwała Portugalii, ojczystego, serdecznie od wieszcza ukochanego kraju. Tak tedy Kamoens mógł zestroić serdeczne uczucia wnętrza swojego z przedmiotem rzeczywistym, historycznym. Rycerskie wyprawy ziomków jego do Indyi zagrzmiały podówczas po wszystkich krajach i ludach; więc wieszcz zachwycony obrał sobie te wyprawy, te dzieła bohaterskie za osnowę swojéj pieśni i uczcił je najwyższą czcią i uświęcił najwyższém uwielbieniem, najwyższą miłością. Tak tedy co było u niego w sercu, co było pragnieniem kipiącém duszy, co radości, wszystko to miało ziszczenie swoje w przedmiocie prawdziwym, rzeczywistym, i nawzajem, co było w tym przedmiocie zewnętrzném, brzmiało i żyło życiem głębokiém w sercu wieszcza.

Takie to jest rozwiązanie tych dziwów! ztąd to przyszła Kamoensowi ta potęga jego pieśni! Geniusz od Boga mu dany, wypiastowany miłością wielkich spraw własnego kraju, urósł w olbrzyma!

Więc słusznie tedy zacny wieszcz bohaterów swoich wyżéj kładzie nad Rolanda i całą drużynę rycerzy Aryostowych; mógł tedy w pieśni swojéj zwrócić się do swojego króla śpiewając:

„Osądź, sławę poddanych słysząc w wierszu pianym,
„Czy lepiéj nimi rządzić, niż być świata panem?
„Słuchaj! a nie usłyszysz w pieśni moich treści,

„Ani czczych bajek, ani dziwącznych powieści;
„Ujrzysz jak nad zmyślanie wyższą wielkość szczera,
„Przedniejszą niż Rolanda sprawy lub Rogiera."
(Pieśń I. tłum. J. Przybylskiego).

Kamoens zaiste spłynął z przedmiotem swoim, on sam jest wieszczem-rycerzem, on sam walczy za chwałę swojéj Luzytanii, a składa pieśni wśród łomotu bitwy; on uczczony kalectwem na oko, strzałem. Kamoens wieszcz-żeglarz płynie po dalekich Oceanach; wszak nawet pewnego razu zgruchotał się statek jego; wtedy Kamoens wśród bałwanów walczy z niemi o życie; lecz po nad pieniące wody podnosi rękopism pieśni swojéj, która będzie chwałą i mistrza i kraju i Europy wszystkiéj.

Jak Luzyada jest poematem romantycznym już nawet dla saméj romantycznéj treści swojéj i dla głębokich uczuć mistrza, tak znowu ma cechę klassyczną dla onego cudownego zestroju wnętrza poety ze światem rzeczywistym zewnętrznym; ta harmonia czyni Kamoensa śpiewakiem do Homera podobnym. Dodaj jeszcze do téj cechy dźwięczną formę jego śpiewu, a nadewszystko przepyszne obrazy indyjskiéj przyrody, którą on widział w całéj butnéj, przemożnéj potędze, choć tak pełną wdzięku i uroku, a zgadniesz jaki duch, jakie moce przebywają w tych pieśniach jego. Ten też duch a moce pokrzepiały go i tchnęły na niego pociechę i wytrwanie, gdy w poźnéj starości stracił podporę w królu swoim, co zaginął w afrykańskich wojnach; ten duch poił wieszcza pociechą, gdy on, śpiewca chwały ziomków swoich, żywił się jałmużną, którą wyprosił od ludzi sługa jego, chodząc nocą po ulicach i żebrząc za swojego pana.

Ale naglił czas — był czas wielki, aby wieszczowie obu półwyspów południowéj Europy pośpieszyli się z Epopeją; boć w sąsiedztwie ojczyzny Kamoensa, w Hiszpanii, mniéj szczęśliwie rozwinął Epopeję swoją Alonzo d'Ercilla, mimo świetności swojego talentu i mimo cudnych ustępów swojego poematu. Co więcéj, w téj samej Hiszpanii zjawił się Romans niby epopeja, niby żart co śmiejąc się płacze. W tym romansie zajaśniała niby błyskawicą wiedza o tych światach sprzecznych sobie, które tak cudnie zestroił z sobą Kamoens, wiedza co niby wróżka odgadła gotującą się w świecie sprzeczność między ideałem w sercu wypieszczonym a życiem zewnętrznem — między uczuciem ciepłém duszy a rzeczywistością zimną — między duchem a zmysłowością. Mistrz genialny przejrzał wskróś świata tajnice, przejrzał je wskróś i poznał, że ta harmonia pierwiastków odwrótnych, którą ci powyżéj wywiodłem jako cechę fantazyi XVI stólecia, nie istnieje w swojéj prawdzie wśród ludzi, że pojawienie się téj harmonii jest jedynie przechodnim pojawem, że brzmienie fałszywe zakrzyknie boleśnie dyzharmonią w życiu i w fantazyi, w rzeczywistości i w krainie ideałów; że ta dyzharmonia odezwie się jakby zerwana struna w sercu, a jęk jéj zapłacze wśród wesela i radości żywota. Patrz—to wszystko ten mistrz wypowiedział a wypowiedział wśród żartów i dowcipów; on te sprzeczne pierwiastki, co mają być w jedność zlane, zestrojone z sobą, objął wprawdzie jako jedność w swoim geniuszu, ale w dziele je rozłączył, rozerwał, a drwiąc i żartując przedstawił jako rozdzielone na dwóch ludzi, na dwie figury osobne. On tego dokazał arcymistrzowstwem swojém w romansie

tak wysokiego znaczenia, że już nie znajdziesz drugiego we wszech-literaturze, którybyś mógł godnie z nim zmierzyć.

Pytasz zapewne, kto był tym arcymistrzem, co z uśmiechem na licach a raną bolejącą w sercu, co z krotochwilą wdzięczną na ustach stał się wróżbitą rzeczy łzawych, co żartem, dowcipkiem, drwinką wypowiedział najgłębsze prawdy? Pytasz, jak się zwał, jakże wyglądał ten powieściarz-filozof? Niechaj on sam za siebie mówi; słuchaj, co prawi żartując sobie z własnego wizerunku na rycinie: «Człek, którego tu widzicie przed sobą, o orléj twarzy, ciemnych włosach, z czołem gładkiém i swobodném, z nosem zagiętym (ale wcale nie szpetnym), z wąsem potężnym, brodą dziś srebrną co niedawno była złocistą, z cerą świeżą, trzymający się nieco pochyło, jest to człek, którego zwykle zowią Miguel de Cervantes Saavedra; on to napisał Don Quichota i Galateę.» (Cervantes w przedmowie do swoich powieści).

Wiesz jak to Don Quichot czytywał wiele romansów rycerskich, i czytał i marzył, aż mu się w głowie skręciło na prawdę. Więc biedny obłąkaniec wybiera się w świat na koniu, z kopią w ręku, by walczyć za te marzenia swoje jako rycerz błędny ze światem, z olbrzymiemi czarodziejami; pewien że chwała nieśmiertelna czeka go z koroną laurową, nigdy niezwiędłą, że miłość szlachetnych dam czeka go z wieńcem różanym! I pojechał rycerz na koniu swoim Rossinante w świat, by potężném ramieniem wytępił nieprawości i nadużycia na świecie. I harcuje i kruszy kopie za zacne chęci swoje, lecz kędy się zmierzy z tym światem, już spotykają go drwiny, poniewierki i guzy.

em
co
za-
pad-
Więc
, na-
ny się
W Don
na ich
on sam
błąka się
o sercu
oże zaiste
wał, uwa-
iejsze nie-

ła swo-
światu
da, jako
dzy swo-

jéj; że, dokonywając ogromnéj sprawy, sam nie zna jéj głębokiéj wagi; więc jéj przypisuje powody małoznaczące, powierzchowne, nie znając potęgi, która w nim prze. Nie dziw tedy, że z jego romansem dzieje się jak z każdém arcydziełem sztuki; im bliżéj w nim się rozpatrzysz, tém wyższe piękności w nim odkryjesz, i tém więcéj świetnych stron w nim zaświeci, niby ścianki przepysznego brylantu.

Rozsłońmy tedy to dzieło jeszcze z trzeciéj strony, weźmy figurę Don Quichota w całkowitości, więc z jéj dopełnieniem; więc bierzmy rycerza z Manchy z giermkiem jego, którym, jak wszyscy wiemy, jest ów Sancho Pansa.

Don Quichot i Sancho giermek jego—to nieodstępni towarzysze, choć wręcz sobie odwrotni,—są to dwie połowice jednéj i téj saméj całości, uzupełniające się nawzajem, jak dwa bieguny magnetyczne, i dla tego właśnie tak nierozdzielne.

Don Quichot ma się do Sanchy jak dusza do ciała, jak człowiek wewnętrzny do zewnętrznéj strony swojéj — jak teorya do życia praktycznego, jak ideały w sercu ciepłém wypieszczone do rzeczywistego świata, jak duch do materyi, jak fantazya niebolotna do powszedniéj, grubéj prozy życia,—jak marzenia nadświatne do zmysłowości pozioméj. Słowem, są to one sprzeczne pierwiastki, które z istoty swojéj powinny się zlać w cudną jedność harmonijną, które nawzajem się wymagają, które wzajem tęskniąc do siebie, nawzajem się ważąc i miarkując, dopiéro stwarzają zupełnego, całego człowieka. Te pierwiastki w romansie Cerwantesa zerwały jedność swoją, rozdzielone są na dwie osobne fi-

gury, z których tedy każda staje się karykaturą własną, które obie stają się wzajemną siebie satyrą — cierpką ironią.

Sam Don Quichot pełen uczuć wzniosłych, człowiek szlachetny, odważny, poświęcający się za ideę swoją, ale słuchający jedynie osobistego, wyłącznego natchnienia swojego, nie uznaje prawd władnących światem. On rozprawia wielce mądrze i uczenie o świecie, o życiu; ale gdy rozmowa dotknie onéj struny panującéj w nim, wtedy ta struna duszy jego zabrzmi dyzharmonią; wtedy mu się rozum ćmi, pada na niego obłąd, majaczą się i mieszają myśli i rzeczy, a on świat i przedmioty wszystkie widzi już przez szkiełko téj idei wyłącznéj, która go posiadła. Tak karczma szynkowna w jego oczach jest grodem zamczystym, wieżastym, o srebrnych kopułach, fosach i mostach zwodzonych; pastuch trzody, strębujący nierogatych podwładnych swoich, to u niego karzeł, co daje znać straży zamkowéj o zbliżaniu się obcego rycerza; wiatraki, to w jego oczach machające rękami olbrzymy złośliwe; biedna wychudła szkapina, która zaledwie pod nim nogi wlecze, ów jasnokościsty Rossinante, zdaje mu się być rumakiem przepysznym, któremu «ledwie sprosta Bucephalus Alexandra W. lub Babiesa Cyda;» a brudna dziewczyna ladaco, to u niego piękności cudo, jéj poświęca idealną miłość swoją, jéj poprzysięga służby swoje, jéj się poleca w myśli przy każdém niebezpieczeństwie, w każdéj krwawéj potrzebie.

Tuż za rycerzem naszym zbiedniałym, suchym i tak już wychudłym, że «przez niego przeświecają promienie księżycowe» wlecze się na osiołku małym krótki,

podpasły, pękaty giermek jego Sancho; przed nim ukochane sakwy nabite prowiantami, bo to przedmiot najtroskliwszych starań jego. Sancho—to chłop z wioski Don Quichota. On widzi rzeczy tak jak są, on materyalista, daleki od wszelkiéj fantazyi, od wszelkich ideałów, człek co się zowie praktyczny, bo temu tylko ufa czego się dotknie, w to tylko wierzy co ukąsić i połknąć może, on istną prozą; zresztą tchórz, głowa dość ciasna, ale za to człek w gruncie poczciwy, wesoły, pełny konceptów, ma prosty chłopski rozsądek; dla tego też cała mądrość jego w przysłowiach, których umie mnóstwo niezliczone, które stosuje do każdego wypadku, a nie baczy, że prawie na każdy wypadek znajdą się zawsze dwa przysłowia zbijające się nawzajem. Więc, mimo praktyczności rozsądku i przysłów, dał się otumanić przez obłąkanego pana swojego. Bo ideały, choć spaczone i krzywe, nielada przecież «imponują» Sanchom Pansom choćby najpraktyczniejszym i najprozaiczniejszym, zwłaszcza gdy te idee wyrzeczone są przez człeka o uczuciach gorących, o sercu szlachetném. A co więcéj: Don Quichot przyrzekł uroczyście giermkowi, że zdobędzie dla niego wyspę, w któréj Sancho będzie święcie wielkorządzcą; tak i chciwość i nadzieja osobistych korzyści omajaczyły giermka. Sancho też, dufny w swoją mądrość polityczną, przy lada sposobności mówi do rycerza: «Jasny Panie Don Quichocie! dajcie mi onę wyspę, bo choćby była i najogromniejszą, toć się czuję dość silnym na duszy, bym nią rządził tak mądrze, a tak dobrze, jak ktokolwiek z tych wszystkich, którzy kiedyś wyspami rządzili.»

Tak tedy ci dwaj nierozdzielni towarzysze puszczają

się w świat na przygody. Don Quichot, nie widząc rzeczy, jakie one są w rzeczywistości, lecz tak, jako je sobie wymarzył, zderza się ze światem; więc łzenia, wyśmiechy, bolaki i trudy daremne są jedynym plonem, jaki zbiera za poświęcenia swoje. Szereg nieskończony awantur dziwacznych, najrozmaitszych rozsnuwa się przez całe cztéry tomy arcymistrzowskiego romansu tego. Atoli te awantury właśnie dla tego, że z jednéj strony zależą od zewnętrznego trafu, a z drugiéj od przywidzeń obłąkańca, nie są z sobą powiązane żadném koniecznem następstwem; koléj ich jest zupełnie przypadkowa; niсby nie zawadziło, choćby były następowały po sobie inną zupełnie koleją. Z tejże saméj przyczyny te przygody nie mają końca; jest to romans bez zakończenia, co właśnie odpowiada istocie całego dzieła. Koniec jego także jest przypadkiem szczerym, jest to niespodziana śmierć rycerza z la Manchy.

Pewnego razu Don Quichot wróciwszy do domu zachorował — trawi go boleść że nie zdołał przeprowadzić zamiarów swoich; lekarz orzeka że mu serce pęka—to serce biedne a tak szlachetne! Chory zasypia; po przebudzeniu urok obłąkania spływa z oczu duchowych—duch przejrzał—poznaje, że przez życie całe cisnął go obłąd wrogi. Synowica, przyjaciele, krewni płaczą, bo przeczuwają, że powrót do rozsądku jest wróżbą nadchodzącéj śmierci. Sancho o duszy uczciwéj, ciepłéj, stojąc w kącie, serdecznie szlocha.

«Cały dom, mówi Cervantes, był w ciągłéj trwodze i nieustającym niepokoju a szczerym smutku, lubo synowica smacznie zajadała, a gospodyni popijała, a Sancho dogadzał sobie ile tylko mógł. Nadzieja bowiem

sukcessyi, mówi daléj Cervantes, zawsze jakoś ułagadza choćby najszczersze boleści, sprawione przez śmierć spadkodawcy!»

Umarł Don Quichot, bo mu, jak mówił lekarz, serce pękło. Sancho zaś, choć bez wysp obiecanych, żył jeszcze długo i zdrowo, wesoło pożywając darów tutecznego świata.

Skończyła się komedya łzawa, tak krotochwilna a przecież tak tragiczna. Ale choć się skończyła w romansie, żyła na jawie; krzyknęła dyzharmonią zerwana w duszy struna, brzęczała tonem fałszywym w ludzkiém życiu i w łzawych dziejach świata; dzwięczała dyzharmonia i w nadchodzącém już XVII-ém stóleciu i w tym wieku XVIII, co dopiéro kiedyś zrodzić się miał. Bo ten wiek XVI miał przeminąć jak sen ułudny, jak poranek wiosenny.

Już jękła tonem fałszywym, dyzharmonią owa zerwana w duszy struna i miała zapłakać po dziejach świata, po sercach ludzi. A serca tęskniły za pociechą, za utuleniem boleści serdecznéj.

I zabrzmiały na północy akordy rozpłynne, eteryczne, jako innych światów pieśni; a na północy tony niebiańskie ciągnęły przez dusze, jako Cherubinów wołanie, niosących ukojenie boleści palącéj. Te akordy, te tony,—to są harmonie owéj harfy, co niegdyś grała na Syonie, to są dźwięki i pieśni święte harfy Dawidowéj. Król-Psalmista, Boży śpiewca, użyczył tych dźwięków, tych harmonii, tych pieśni swoich śpiewakowi z Czarnolesia, a on ujął tę harfę nadziemskich tonów, uderzył

w struny świętego wieszcza, a pieśni syońskie rozpłynęły po ziemicach Północy i po wodach jéj, i górach i borach, i padły niby rosa boża na grody i groby, i chaty i dwory, uświęcając umarłe i przyszłe i żyjące pokolenia. I zestroiły się w harmonią niebo i ziemia, śmierć i żywot, boleści, rozkosze wszystkie, i przeszłość z przyszłością, i natura i duchów królestwo. A nie miało już być żalu bez ulgi, ani łzy bez pocieszenia; bo te pieśni już miały pozostać nazawsze między nami i śpiewać przy ognisku domowém, i na cmentarzach i w świątnicy Pańskiéj, miały śpiewać w duszy rankiem i wieczorem.

Gdy serce boleje boleścią bez granic, gdy zwątpiony świat, żywot opłakany, gdy niema się czego człowiek jąć stroskany, wtedy: «Kto się w opiekę poda Panu swemu, a całém prawie sercem ufa Jemu; tego nie dostąpi żadna zła przygoda, ani się najdzie w domu jego szkoda» — bo Pan radzi o swojéj na świecie czeladzi! (*). Te pieśni już zostaną z każdym z nas aż do śmierci! One przejęły sobą duszę każdego zacnego człowieka, one mu pofolgują boleści, gdy z niemi nad sobą zapłacze, a gdy się weseli uroczystém świętém duszy, już wtedy one dodadzą naszym weselom radości niebiańskich a wieszczowi z Czarnolesia tryumfu. Niechaj mu będzie chwała i cześć!

Powiedz, mamże się rozpisywać szeroko nad Janem Kochanowskim? mamże się dotknąć miarą i cyrklem estetycznym tych drgających strun, brzmiących tak pełną harmonią? — Pewnie, żeby to była nie w porę rzecz a zbyteczna; już wieszcza z Czarnolesia kto in-

(*) Jan Kochanowski w Psalmie XXII i XCI,

ny lepszy przedemną a po mistrzowsku ocenił; a zaiste trudna tutaj krytyka wszelka. Dla czego? powiem szczerze—a wiem, że co rzeknę, toć tobie i innym będzie po sercu. Wiesz—Jan Kochanowski tak już przejął dźwiękami a harmonią swoją wszystkie serca, tak je przelał w krew i dech duszy naszéj, że się stał jakoby własną duszą i oddechem naszym, jakoby był już całém naszém sumieniem i miłością i wiarą naszą; dla tego też tak nam trudno osądzić artystyczną wielkość jego. Bo sądzić możem jedynie o tém trafnie, co jest czémś odróżniającém się od nas, niby czémś obcém dla duszy. Ale Kochanowski, ale sumienie nasze i miłość i uczucie nasze,—toć my, to przecież my sami. Kochanowski, jako wieszcz, to nie jest ten człowiek pojedyńczy, jeden, co żył w onym pewnym czasie; on krajem całym, on wyrazem uczuć wszystkich. Czytając Jana, każdy z nas jedynie siebie samego w nim znajdzie, choć nie już siebie, jako powszedniego, codziennego człowieka, przyćmionego pyłem téj ziemi, i jakby znieważonego wadami, co się rodzą z téj ubogiéj a ułomnéj natury naszéj; ale znajdzie siebie w Kochanowskim, jakim jest bez tych biedek a ułomności, bo uzacnionym, wzniesionym nad siebie, i jakoby oblanym światłością wyższéj swojéj istoty.

I dla tego tak trudno, prawie niepodobna ocenić Kochanowskiego; trzebaby być na to wieszczem, równym jemu z chwały i dosługi.

Przecież wiesz, że w tych listach pisanie rozbiorów estetycznych nie było nigdy moim zamiarem, a jeżelim przywodził dzieła sztuki, to już w téj myśli, abym na nich, jako na przykładzie, objaśnił rozwinię-

te teorye, lub lekkie moje orzeczenia o charakterze jakiego stólecia.

Podobny też był mój cel, gdym w dwóch tych ostatnich listach prowadził cię jakoby przez galeryą wielkich ludzi, którzy byli wyobraźnikami XVI stólecia, więc i synami a zarazem twórcami spółczesnego im wieku. Rozpocząwszy tedy od Kolumba i Kopernika pochód nasz po téj świątnicy chwały, teraześmy zatrzymali się z tobą przed postacią promienną Jana Kochanowskiego, co się wznosi nad nami na tak wysokiém podnożu, że mu ledwie pod stopy sięgamy. Chciejmy przeto i teraz przyjętym przez nas obyczajem rozpatrzyć się w téj postaci, jedynie z tą myślą, aby w niéj wykazać choć lekkiém słowem zarysy XVI stólecia.

Jeżelim ci rozwinął powyżéj, choć może niedostatecznie jeszcze, pierwiastki żywotne, które zaświeciły tak cudownemi barwy w tym dziwnie uroczym wieku XVI, toć wierzaj, że te pierwiastki wszystkie, w nim żyjące, zebrane są, jakoby w ognisku swojém a sercu, w poezyi Jana Kochanowskiego. Jeżeli tedy chcesz zrozumieć tego wieszcza, nie dość, byś go ujął na tle literatury polskiéj a na podstawie rodzinnego kraju, boć to jest tylko jedna strona istoty jego; stroną drugą, również tak ważną, jest stosunek jego do onych potęg a mocy żyjących w sztuce spółczesnéj mu Europy. On równie jest poetą Europejskim jak jest polskim wieszczem. I dla tego, jak niepodobna jest przetłómaczyć Kochanowskiego na obcy język, tak też i nawzajem nie podobna go pojąć nie rozpatrzywszy się w pierwiastkach fantazyi artystycznéj, która żyła sercem po lu-

dach i krajach spółczesnego mu świata. Chciéj też baczyć, że prawie w tym samym roku, w którym się rodzi Kochanowski, umiera Aryost i Corregio, że choć dwanaście lat wprzódy przypadł skon Rafaela, lecz wtedy mistrz ten kwitnął jeszcze wiosenną młodością swoją;— że Kochanowski był młodzieńcém, gdy rodził się Cervantes a konał Kopernik,— że był mężem w całéj potędze swojego geniuszu, gdy na świat przychodzi Bako, Keppler, Shakespeare a żegna życie pełne chwały Michał-Anioł i Kamoens, nakoniec że tylko w dziesięć lat po skonie Kochanowskiego umiera także Tasso i Palestryna.

Zaiste, byleś się wczytał w duszę Jana z Czarnolesia, a już wszystkie tony XVI stólecia zadrgają ci w piersiach; zwłaszcza odezwą się cudnym zestrojem uczucia chrześcijańskiego świata i piękność klassyczna. Toć to jest ta sama harmonia, co naprzód, choć dopiéro symbolicznie, zabrzmiała w rysunku, w liniach owéj Architektury Renaissance a przemówiła liniami, przestrzenią, jakoby w rytmie i tonach, w miarach i akordach. Dla tego, gdy się zanurzysz w pieśniach Kochanowskiego, już uczucia twoje przebudzone mimowolnie zwiążą się i zbudują w kaplicę uroczą Zygmuntów katedry Krakowskiéj, boć i ona Renaissancem szlachetnym, wdzięcznym i ona jakby odgłosem ducha Bramantego, i ona kwiatem marmurowym przesadzonym z ziemi klassycznéj, rozwiniętym pod tchem ciepłym uczuć chrześcijańskich. W téj świątnicy grobowéj, jakby w pieśniach naszego wieszcza, panuje ten cichy, święty spokój głęboki, ta strojność przezacna, ten wdzięk wyższy, szlachetności pełen a zamożność i wykwint bez prze-

sady. I tutaj lśniąca błyskotność została na zewnętrznéj kopule złoconéj, a wewnątrz kaplicy same linie i ruchy dźwięczne grają muzyką świateł i cieniów, wywołanych jasnością z góry płynącą. Wśród téj jasności z góry płynącéj, wśród téj muzyki świateł i cieniów spokojnie dumają dzieje stare w poważnéj uroczystości, w cichym majestacie. Ta kaplica—to zaiste duch Kochanowskiego Jana w ogólnym, symbolicznym zarysie.

Znać zaprawdę że studya starożytnéj klassycznéj literatury były piérwszą kąpielą w któréj się zanurzyła fantazya poetycka mistrza naszego; a z drugiéj strony przecież Kochanowski miał serce otwarte dla rzeczywistości żywéj, obecnéj, bo dla mowy ojczystéj; on całą miłością utonął w téj mowie, on na nią tchnął ducha swojego, on podsłuchał jéj serca tętna, on ją ogrzał kochaniem swojém; więc też i ona, nawzajem miłość miłością płacąc, zaśpiewała mu duchem jego. Mógł on tedy z uczciwą dumą zawołać: »wdarłem się »na skałę pięknéj Kalliopy, gdzie dotychczas nie było »śladu polskiéj stopy.«

Jan Kochanowski jest piérwszym mistrzem mowy polskiéj. Więc kto sobie dziś rości jakieś prawo do polskiego języka, niechaj poprzez życie całe, poprzez wszystkie lata swoje pije z téj przeczystéj krynicy pieśni jego, a ta krynica go ożywi, pokrzepi, wyzwoli od wszelkiéj niemocy i uchroni mowę jego od kalectwa i wypaczenia, od swawoli świętokradzkiéj, od ulicznéj rozpusty. Nie będzie pisarzem polskim, komu język Kochanowskiego nie jest talizmanem chroniącym, broniącym, wodzącym.

Jan Kochanowski był twórcą mowy swojéj a pieniom swoim nadał formę klassycznych idealnych wzorów; te pieśni jego zaiste mieszkają na wysokościach Helleńskiéj »Kalliopy«; one jakoby posągi starożytne w przeczystéj pięknocie, one tak wykończone, tak spokojne, niby olimpijskie bogi, a jaśnieją i świecą najwyższym urokiem; a przecież pod tą formą marmurową roztwierają się głębie duchowe, wiecznością promieniejące;—te poezye są iście zarazem córami chrześcijańskiego świata. Posłuchaj tych Trenów, któremi wieszcz zapłakał nad umarłém dzieckiem swojém. Żałość jego serdeczna, bolesna, smętna staje tutaj w formie elegii klassycznéj; ta żałość odziana formą tak szlachetną, iżbyś rzekł, że to ów posąg Nioby florenckiéj, onego arcydzieła starożytnych mistrzów. I Nioby oblicze pełne wzniosłéj boleści, i w niéj nie widać rozpaczy bezdennéj, bez granic. Niobe przytula do siebie córeczkę najmłodszą, co przed śmiercią ucieka do matki, do niéj się tuląc, a matka z boleści skamieniała marmurem. Taką Niobą, takim posągiem marmurowym o przecudnych formach klassycznych jest żałość serdeczna, głęboka czarnoleskiego wieszcza. Ale gdy się dotkniesz téj Nioby Kochanowskiego, już uczujesz pod tą idealną formą serce bijące, krew ciepłą, tętniejącą; pod tą marmurową bielą poczujesz, że tam serce boleścią się pada, że łza spływa po tych marmurowych licach i Niobe polska przemówi:

„Pańska ręka mię dotknęła!
Wszystkie mi radości odjęła,
Ledwie w sobie czuję duszę,
I tę podobno oddać muszę!

Lubo wstając gore jaśnie,
Lubo padnąc słońce gaśnie;
Mnie jednako serce boli,
A nigdy się nie utuli.
Oczu nigdy nie osuszę,
I tak wiecznie płakać muszę;
Muszę płakać o mój Boże!
Któż się przed Tobą skryć może!" (*Tr. XVII*).

„Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,
Moja droga Orszulko, tém zniknieniem swojém.
Pełno nas, a jakoby nikogo nie było;
Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło!" (*Tr. VIII.*)

„Orszulo moja wdzięczna, gdźieś mi się podziała?
W którą stronę, w którąś się krainę udała?
Czyś ty nad wszystkie nieba wysoko wzniesiona,
I tam w liczbie aniołów małych policzona?" (*Tr. X.*)

„Moja wdzięczna Orszulo, bodaj ty mnie była
Albo nie umierała lub się nie rodziła;
Małe pociechy płacę wielkim żalem swoim,
Za tém nie odpowiedniém pożegnaniem twojém!
Omyliłaś mię jak nocny sen znikomy!" (*Tr. XIII.*)

„Próżno morzem nie pływamy,
Próżno w bitwach nie bywamy,
Ugodzi nieszczęście wszędzie,
Choć podobieństwa nie będzie.
Wiodłem mój żywot tak skromnie,
Żé ledwie kto wiedział o mnie,
A zazdrość i złe przygody,
Nie miały mi w co dać szkody." (*Tr. XVII.*)

Ta boleść, trawiąca serce ojcowskie na jawie, za dnia, staje nocą przy łożu jego, »nie dając długo zamknąć oczu i uspokoić zemdlonego ciała i ledwie na godzinę przed świtaniem sen otulił duszę jego ciemne-

mi skrzydły. Wtedy we śnie jak niebiańskie widziadło ukazała mu się matka jego, co go niegdyś wypiastowała miłością bez granic; a teraz żałość i cierpienia syna zabolały w sercu matki umarłéj, i z grobowych światów i z krain bardzo dalekich przywiodły ją w te tu nasze strony, by syna pocieszyć.« Pojawia się mu matka śpiącemu, mając na ręku jego ukochaną dziewczynkę, »któréj i twarz rumiana, i włoski pokręcone, a oczy ku śmiechu skłonione,« jako wtedy gdy po paciorek ranny do ojca przychodziła. I rzecze matka: »Czyli nas umarłe macie za stracone, I którym już na wieki słońce jest zgaszone?... O to się ty nie frasuj, a wierz niewątpliwie, Że twoja najmilejsza Orszuleczka żywie!... Ona »między anioły i duchy wiecznemi, Jako wdzięczna jutrzeńka świeci, A za swemi rodzicami się modli, jak to umiała z wami będąc, choć jeszcze słów nie domawiała!« I pociesza matka ukazując marność ziemskich rozkoszy, bo w nich więcéj frasunków i żałości więcéj, a roztacza obraz rozkoszy niebiańskich, kędy: »troski nie panują a pracy nie znają, kędy nie»szczęścia miejsca przygody nie mają, ani śmierci łza»mi karmionéj, kędy widny Stwórca wszechrzeczy w je»go majestacie.« »Doznałeś« mówi »co świat umie »i jego kochanie.«

Powiedz, w téj rzewności głębokiéj, w tém widziadle niebiańskiém nie z tego świata zrodzoném, w tém cofaniu się we własne sanctissimum naszego serca, w wiekuiste głębie jego, czyliż nie żyje życiem nadziemskiém ona poezya romantyczna, co tutaj tak wdzięcznie zaślubiła się formom klassycznym. Tutaj one zrękowiny świetne form starożytnych a uczuć głębo-

kich, właściwych jedynie chrześcijańskim ludom. Tutaj zestrojone jakby kontrapunktem światy tameczne, niebiańskie, z doczesności żywotem. Jak śmierć ukochanéj małżonki zagrała boleścią na duszy Palestryny, a tony duszy jego zapłakały, jakby śpiewem aniołów, nieskończoną zagrobową tęsknotą, zestrajając w akordy świat tutęczny z nadziemską krainą, tak skon drogiego dziecięcia wywołał z głębin serca Kochanowskiego tony tęskne, rzewne, co, ulatując do nieba, wracały z nad gwiazd, przynosząc utulenie boleści i rosę niebiańskiéj pociechy, a te tony wstęgą niewidomą wiązały ziemię i niebo!

I zważmy, ten sam wieszcz, którego duch zwrócony w siebie podsłuchuje wiekuistości głosy, żyjące we własném wnętrzu jego, ten sam wieszcz znów zwraca się do spraw zewnętrznego świata, do politycznych spraw kraju. On przemawiając do Zygmunta Augusta pisze poemat o wadach publicznych.

Przecież ten sam znów człowiek, co tak z mistrzowską prozą i wierszem dotyka się pełen miłości i żalu ran publicznego życia, umie także i zniżyć i nastroić pieśni swoje, i śpiewać życie ciche, prywatne, codzienne; więc to żartem, to krotochwilą gani z lekka, łaje usterki, oddając zacności hołd i obyczajom domowym cześć. To znowu śpiewa czyny wielkie, roztaczając historyczne karty przeszłości bohaterskiéj i wielkie wypadki dziejowe. Poczém uderza znowu w nowe strony i zwraca się do natury, i wywołuje sobie z duszy one prześliczne Sobótki, niby sielanki ludowe, a nawet tłómaczy poemat Arata o gwiazdach i ich biegach po przestrzeni niebiańskiéj. Poczém znowu duszę nurzy

w rozpłynne tony, nadziemskie harmonie arfy Dawidowéj.

Słowem, wszystkie barwy i tony, na pozór różne i sprzeczne, jednoczą się uroczym dzwiękiem w tym wielkim wieszczu, który już splótł w sobie wszystkie żywioły i pierwiastki fantazyi artystycznéj XVI stólecia. Dodaj do tego jeszcze, że słusznie powiedziano, jako on piérwszy z pośród wszystkich Europejskich pisarzy stworzył dramat wedle prawideł sztuki Hellenów, jak to jego »Odprawa posłów greckich« jest dramatem iście greckim w całéj świeżości swojéj. Wszak to wszystko tém wyższego jest znaczenia, gdy zważysz, że dramaturgia klassyczna francuzka, ten zwichniony klassycyzm, pojawia się nawet dopiéro w sto lat po urodzeniu naszego wieszcza.

Zaiste dramat mógł wystąpić na świat dopiéro w XVI stóleciu! które przejrzało, które dopiéro piérwsze ujęło koleje świata i ludzkich dziejów w prawdzie ich głębokiéj. Wieszczy duch ludzkiego rodu, jak dopiéro teraz poznał zakon rzeczy przyrodzonych a materyalnego świata, tak też teraz dopiéro poznał ustawy i prawa, co, choć niewidne na zewnątrz, wiodą losy ludów i mistrzują od wieków sercem człowieka. Jak na szczycie wszelkiéj poezyi stanęła dramaturgia, tak na szczycie dramaturgii, która jest ostatniém słowem XVI stólecia, stanął Shakespeare (*).

(*) Co do zjawisk duchowych w XVI stóleciu a mianowicie co do Shakespeara obacz: Schmidt (Romantik) Cariere (Weltanschaung)— Ulrici i Gervinus (Shakespeare) daléj Phil. Chasles i Guizot. Wszakże i pod tym względem wypada mieć baczenie na stanowisko często zbyt jednostronne protestanckich pisarzy.

Przeliczne, przeróżne moce i potęgi przyrody, rozwiewne, niewidome rozpływają po wszem świecie; a cicho, spokojnie w naturze, póki te moce równoważą się harmonią w wielkiéj pracowni stworzenia, słuchając ogólnego zakonu i wiekuistych prawd. Cicho, spokojnie, uroczysto wówczas w naturze, jakoby w wigilią wielkiego święta wszechjestestw. I obłoczki świeciste igrają lekkie, barwiste po szklaném morzu powietrznem, i spuszczają się wieńcem rozlotnym na górskie przyczoła, przelewają się w piersi szczytów skalnych, tętnią w ciemnych, chłodnych wnętrznościach gór, aż się pojawią na wierzch źródłem krystaliczném; wtedy już rosną gawornym potokiem, potężeją w rzekę poważną, by spłynąć do nieskończoności oceanów. Z oceanów tych wznoszą się znów wody wyziewem, i znów obłoczkiem lekkim, barwistym płyną po szklaném, powietrzném morzu. I z cicha igrają powiewne tchy, i z cicha, tajemnie gospodarzą moce przyrodzone w tém wielkiém państwie bożém, równoważąc się i miarkując nawzajem. Więc spokojnie, uroczysto, i w atmosferze i nad ziemią, na dolinach i górach, i spokojnie w podziemnych sklepach, kędy mieszkają moce wielowładne. Przecież, gdy te potęgi wszystkie zerwą wzajemne przymierze, gdy się zbuntują ogólnemu prawu, gdy się wyłamią z pod ogólnéj prawdy, która jest ich mistrzynią, gdy każda z nich skupi siłę swoją w sobie i zbierze się w sobie; już wtedy występują do walki i zderzają się z sobą wojną na zabój, pasowaniem się na wytępienie. Płyny niewidome ściskają się w twierdze ciężkie czarnych chmur i w pioruny błyskawiczne, i zagrzmią, aż niebo stanie pożarem; potęgi podziemne

szarpią się, rozsadzą sklepione ciemnice, wyleją się rzeką ogniów płynnych, staną słupem płomiennym, zatrzęsą ziemską posadą, runą budowaniem gór. I wody i ognie i ziemie i wichry ciskają się gniewem i zderzają się wojną na zabój, rozmiatając w koło zniszczenie i zgrozę.

Podobnie, jak w świecie przyrody, dzieje się i w świecie duchowym. Przeliczne moce serca, przeróżne potęgi rozlane są po wszem ludzkim rodzaju; one spokojnie gospodarzą w społeczności ludzkiéj, nawzajem się miarkując, mierząc i ważąc. Tak honoru uczucie, miłość, rodzinne kochanie, chęć sławy i chwały i władzy, przywiązanie do kraju, i te wszystkie inne moce, które nam są dane posagiem, miarkują stosunki wszystkich ludzi nawzajem. Wszak wszystkie te same potęgi są zamknięte i w każdym zosobna człowieku i w nim wzajem się równoważą i mierzą i chronią go od przygody. Póki tym trybem ma się człek do człeka, i człek każdy sam do siebie, póty cicho w społeczności i spokojnie; i spokojnie też w piersiach pojedyńczego człowieka, bo błogie gospodarzenie tych potęg w sercach ludzkich jak jest wzajemném ich podniecaniem się tak i wzajemném ich miarkowaniem.

To atoli miarkowanie się wzajemne, ten zestrój tych pierwiastków jest właśnie cichém, choć bezświadomém, uznawaniem ogólnego prawa, uczczeniem ogólnéj prawdy wiekuistéj, wewnętrznéj, która rodzi te wszystkie prawdy szczegółowe z siebie saméj, i zestraja je wszystkie w sobie. Lecz gdy te potęgi i prawdy szczegółowe zerwą z sobą i z tą prawdą ogólną bezwzględną, gdy pęknie łączące ich przymierze,

gdy jedna z tych mocy szczegółowych dźwignie się olbrzymem, samodzielnie w piersiach, gdy przygłuszy inne moce, inne pierwiastki, inne prawdy, wtedy zarazem zbuntuje się człowiek i onéj ogólnéj prawdzie Bożéj, co jest świata zakonem; wtedy ona potęga, wezbrana w sercu jego, demoniczném oczynieniem porywa go całego namiętnością, staje się jego losowładną mistrzynią i panią, wtedy rzuci go o innego człowieka, w którym znów inny pierwiastek, inna z tych potęg jest mocą panującą. Zderzenie się tych mocy jest tragicznością ich. Gdy każda z tych zderzających się postaci jest pod wyłączną władzą téj jednéj miotającéj nią siły, co stanowi jéj życie i duszę, więc też każda z tych postaci życie za nią oddaje i żywotém ją opłaca. Jedynie śmierć jest ich pogodzeniem z prawdą ogólną i sercem własném.

Rzekłem już i po innych listach moich, że każda z tych postaci, z tych figur tragicznych ma słuszność, a zarazem niema słuszności. Jest bowiem w prawie swojém, bo przekonanie, któremu się ona poświęca, za którą życie daje, jest jedną z onych wielu prawd szczegółowych, które władają światem; które są przytomne i w każdym z nas; dla tego właśnie skon i los jéj tragiczny wzbudza w nas spółczucie i przejmuje zgrozą duszę naszą; ale z drugiéj strony figura tragiczna zawiniła w tém, że nie miarkuje uczucia swojego, że przygłusza inne prawdy w piersiach swoich, które równie do jéj posłuchu mają prawo, że tém samém obraża oną prawdę ogólną, nieskończoną, wiekuistą, oną prawdę prawd, która tych wszystkich szczegółowych prawd jest macierzą i zestrojem najwyższym. Dla tego też postaci

tragiczne zderzeniem śmiertelném, skonem za tę winę swoją płacą. Śmierć atoli ich jest zadosyć uczynieniem za grzech przeciw onéj prawdzie wiekuistéj; więc nad ich grobem unosi się ta wiekuista prawda z palmą w ręku, z palmą przebaczenia i odkupu.

O tém wszystkiém atoli wspomniałem już na innych miejscach; powtórzyłem tutaj to zapatrywanie się nasze na tragiczność, aby nam tém łatwiéj przyszło wykazanie różnicy między tragicznością starożytną klassyczną a Shakespearem.

Zważ, że to wszystko, com właśnie teraz powiedział, jest spólném i tragiczności starożytnéj i Shakespearowskiéj. Obaczmy teraz, w czém między niémi zachodzi różnica.

W świecie starożytnym człowiek nie ma jeszcze we własnych głębiach swoich poczucia onéj prawdy nieskończonéj, wiekuistéj, więc żyje w harmonii z rzeczywistością zewnętrzną, więc w harmonii z obyczajem przyjętym wśród ludzi, z prawem, z naturą, z wyobrażeniami religijnemi, słowem, z témi wszystkiémi potęgami, które u niego również istnieją w świecie zewnętrznym, jak żyją w samém sercu jego. Grek nie jest jeszcze tak wewnętrznym człowiekiem, aby się mógł obejść bez powagi zewnętrznéj; co on czuje, toć u niego powinno mieć uświęcenie zewnętrzne. Zatém idzie, że owa prawda wszystkich prawd, owa prawda ogólna, nieskończona, wiekuista, obejmująca wszystkie inne, uświęcona jest powagą zewnętrznego świata, jest dla Greka również urzeczywistniona w świecie zewnętrznym.

Prawda, że póki Grek żyje z tą prawdą w harmonii, póki ona przejmuje jego przekonanie wewnętrzne, póty

téż on nie zdoła się na nią patrzyć, jako na moc zewnętrzną, któraby była li mocą a nie zarazem i prawdą; lecz w chwili, gdy on występuje przeciw niéj, już tém samém rodzi się rozdwojenie, dyzharmonia między nim a tą prawdą — ona staje się dla niego potęgą zewnętrzną; on łamie się z nią, jakoby z mocą obcą, cudzą. Zatém idzie, że też moce, które go za winę karzą, są również w jego oczach czémś obcém, cudzém, zewnętrznėm, jest to fatum, są to bogi, eumenidy, jędze, nemesis.

Inaczéj zupełnie ma się rzecz w tragiczności Shakespeara. Tu świat chrześcijański w całém znaczeniu, tu głębie nieskończone rozwarły się w duchu człowieka; świat zewnętrzny tutaj traci znaczenie swoje, człowiek ma całą wagę swoją na wewnątrz, człowiek nie dba o to, co zewnątrz waży, on zamyka się we własnych głębiach i w nich żyje; owa prawda wiekuista, ogólna, nieskończona, owa prawda wszystkich prawd nie przebywa zewnątrz niego, ale mieszka w nim samym i tam świeci okiem bożém, niezmrużoném nigdy.

Gdy przeto tutaj figura tragiczna występuje przeciw téj prawdzie wiekuistéj, bezwzględnéj, już wtedy nie zderza się z potęgą zewnętrzną, ale zderza się z własną a najgłębszą istotą swoją, rozdwaja się we własném wnętrzu swojém. A gdy tedy figura tragiczna ginie od mocy téj prawdy ogólnéj, wiekuistéj, to jéj skon jest właśnie zadosyć uczynieniem téj prawdzie, jest pogodzeniem się człowieka z własną istotą swoją wiekuistą, jest pogodzeniem się jego ze sobą samym. Zatém idą już dalsze różnice obu tragiczności.

Figura tragedyi klassycznéj (greckiéj), zderzając się

jedynie ze światem zewnętrznym, nie zna tego rozdwojenia własnego wnętrza swojego, nie zna sprzeczności wewnętrznéj, a zatém ona już w całości oddaje się własnemu czynowi swojemu; ona, nierozdzielna w sobie, całém brzemieniem istoty swojéj waży w stronę, kędy ją porywa jéj losowładne uczucie. Ona jest niby z jednéj sztuki, z jednego odlewu, ona wyobraża tylko jedną pojedyńczą myśl, która nią włada; dla tego te postaci są tak plastyczne, do posągu rzeźbionego podobne, w którym przecież «równie jedna chwila, więc jedno poruszenie, jedno uczucie skamieniało marmurem.» Wynika ztąd, że figury tragedyi klassycznéj mniéj są charakterami rozwijającemi się, jak raczéj typami prawie nieruchomemi, niezmiennemi od początku do końca tragedyi. Z tego wypływa następnie, że we wnętrzu figur tragedyi klassycznéj niema potęgi, coby łagodziła, miarkowała to uczucie, które unosi figurę tragiczną do czynów, a które ona za prawdę najwyższą uważa, lubo ta prawda jest tylko jedną z szczególnych prawd. Tą potęgą miarkującą mogłoby być jedynie przekonanie o onéj prawdzie wiekuistéj, bezwzględnéj, nieskończonéj, obejmującéj w sobie wszystkie one szczegółowe prawdy. Gdy jednak ta prawda wiekuista nie przebywa jeszcze we własnych piersiach człowieka, ale jest zewnętrzna, więc ją zastępuje chór tragedyi grecki, który także jest zjawieniem zewnętrzném, bo wyraża świat zewnętrzny a lud; ten chór łagodzi, miarkuje, napomina, narzeka; ale jest bezwładnym, bezczynnym.

Inaczéj u Shakespeara! Tutaj owa prawda bezwzględna już jest żywą we własném sercu człowieka; stąd rodzi się nieskończona ufność jego do siebie, do

swojego wewnętrznego przekonania, jako do wyroczni niemylnéj. Widzieliśmy atoli w czterech ostatnich listach, jako ta ufność, która z istoty swojéj winna być poleganiem na prawdzie wiekuistéj, przebywającéj w sercu człowieka, dla ułomności jego spacza się i wykręca. Dla tego też człowiek w średnich stóleciach, nie zrozumiawszy téj własnéj dufności ku sobie, téj niezawisłości od zewnętrznego świata, rad jéj zadosyć uczynić puszczaniem się na awantury fantastyczne. Co więcéj, człowiek, nie zdołając odróżnić głosu demonów ciemnych, pokusnych od wołania bożych aniołów, bierze ów popęd wewnętrzny, błędny, odzywający się we wnętrzu jego, za oną prawdę bezwzględną, wiekuistą. Baczmyż atoli jakie się stąd rodzą skutki. Gdy człowiek, porwany tą bez granic ufnością w siebie, rzuca się całą potęgą duszy w strony, kędy go prze uczucie, będące li osobistém, wtedy właśnie jakby przez oddziaływanie przebudza się w nim i owa prawda wiekuista, ogólna, bezwzględna, która ożyła w sercu wiarą Zbawienia, a która nigdy nie zmruży wiekuistéj źrenicy i wiecznie czuwa w duchu człowieka. Tak tedy u Shakespeara w obec widza staje na scenie człowiek, w którym dźwiga się, rośnie demon popędu samowolnego, uczucia osobistego. Przecież, gdy w tym samym duchu jego jest zarazem i uczucie prawdy wiekuistéj, zatém człowieka rozdziera rozdwojenie i pełne boleści powątpiewanie o sobie samym. Ale im mocniéj w piersiach jego wzniesie głos swój ta prawda wiekuista, przestrzegając i grożąc, im przeto głębsze jest w nim powątpiewanie o sobie i zachwianie się w sobie, tém więcéj, jakby przez nową reakcyę, ów popęd złowrogi napręża się w sobie, potęguje, podnie-

ca się i skupia w sobie, by nie uledz onemu powątpiewaniu, by się nie poddać onym wiekuistym głosom, by je przytłumić, przygłuszyć. Dla tego właśnie tę uczucia, te namiętności w tych figurach rosną, a rosną przez oddziaływanie w moc tak olbrzymią, że już z nią nie może pójść w porównanie żadne uczucie, żadna wewnętrzna potęga, żadne patos, które prze do działania bohatérów tragedyi klassycznéj; dla tego też właśnie te figury winny ginąć, bo one nie tylko buntują się przeciw wiekuistéj prawdzie istniejącéj zewnętrznie, ale przeciw własnéj nieskończonéj istocie swojéj; bo ta prawda żyje w nich samych.

Mimo atoli najwyższego spotęgowania i tego parcia w każdéj figurze dramatów Shakespeara, mimo wysilenia się duszy jéj, owa prawda bezwzględna, wiekuista, ogólna wiecznie stoi na straży, wiecznie żyje w jéj sercu; wynika stąd, że w tych figurach, mimo ciśnienia potężnego do winy, zawsze owa prawda wiekuista znać o sobie daje, a daje znać w różnéj formie, wedle różnéj indywidualności i usposobienia tych figur. Ale w jakiejkolwiek postaci wtedy pojawia się w tych figurach ona prawda ogólna, zawsze ich przekonanie osobiste, ich świadomość własna, udzielna będzie dla nich najwyższą wyrocznią, któréj one ufają bez granic, bo ta osobista świadomość jest ich duszą, ich prawem.

Obaczmy, dla przykładu, niektóre z tych form, w których pojawia się prawda wiekuista w sercu figur Shakespearowych. Tak, aby uciszyć w sercu to wołanie wiekuistości, figura dramatyczna radaby je połączyć z osobistém patos swojém, z onym popędem swoim; więc wymyśla osobne teorye życia, osobne tryby zapa-

trywania się na świat, a tak widać, że w téj figurze prawda wiekuista odzywa się, że jest obecną w niéj; ale ta figura wysila się na sofizmy, aby się pogodzić z ową prawdą bezwzględną, aby samą siebie otumanić. Ryszard III np., co jest istnym demonem zbrodni, poczuwa przecież oną prawdę w sobie, która w sercu jego znać o sobie daje; przetoż on tłómaczy się sam przed sobą, dla czego chce być ludzkości wrogiem. Natura go upośledziła, uczyniła jego postać ohydną, potworną — ludzie go nienawidzą, unikają jego obecności; więc sądzi, że ma prawo zerwać z naturą, sponiewierać jéj ustawy, poigrać krwawo z uczuciem ludzkiém, odpłacić się za krzywdy swoje i naturze i światu i ludzkości. To jest jego przekonanie, i wedle niego idąc przez świat urosł w szatana. (Ryszard III, scena I).

Podobny mu Falstaf, choć on jest komiczną figurą komedyi. On dowcipny, żartobliwy i prawdziwy geniusz cynizmu; jest to figura, na jaką tylko duch olbrzymi Shakespeara zdobyć się mógł. Falstaf jest wskróś zmysłowym; on wierzy jedynie w grube, ziemskie rozkosze, bierze życie li ze strony cielesnéj; reszta u niego bajką. On drwi z honoru i ze sławy, a talając się w cynizmie filozofuje, argumentuje i dowodzi, że jego sposób zapatrywania się jest jedyną najwyższą mądrością na świecie, jest właśnie prawdą ogólną, bezwzględną. (Henryk IV, 1-a i 2-a część). Więc w charakterach, tak zupełnie sobie różnych jak Ryszard III i Falstaf, prawda bezwzględna odzywa się podobnym trybem, gdyż oba wyrozumowali sobie osobne teorye życia, by ją przygłuszyć, uciszyć w sobie. Znowu w innéj figurze, jako w Lady Macbet, w innéj formie pojawi się ta prawda

wiekuista; jakoż one głosy wewnętrzne odzywają się w sumieniu, w widzeniach. To jéj się zdaje, że zamordowany Dunkan tak podobny do jéj własnego ojca! to znów ze świécą w ręku, snem somnambulicznym błądzi w nocy po zamku i żali się i trwoży, że wszystkie wonie Arabii nie zdołają zmyć krwi z jéj małéj, białéj ręki! Albo prawda wiekuista znów w innéj, nowéj a zupełnie właściwéj i odwrótnéj postaci występuje w Hamlecie. Jemu się zjawia duch własnego ojca, wzywając by zemścił się za śmierć jego; ze wszystkich stron biją na niego dowody okropnéj zbrodni dokonanéj na ojcu jego. Ale Hamlet tém grzeszy, że nie ma właśnie żadnéj namiętności, żadnego popędu i energii; więc mimo ducha ojcowskiego, mimo że sam wierzy onym dowodom, boi się działania; on z natury swojéj bezczynnym. Ta ujemność charakteru czyni z człowieka, pełnego szlachetnych uczuć i zacności, charakter trwożliwy, szperający, wątpiący, sceptyczny. Hamlet tonie w badaniach nad wiecznością, śmiercią i życiem, nad sobą i prawdą, waży i mierzy i kołysze się w zdaniu, a nie działa. On radby nie wierzyć w zbrodnią ojczyma i w słabość pełną winy własnéj matki swojéj, bo ma wstręt do wszelkiéj czynności; i w tém właśnie jego wina, tém właśnie wywołuje ujemność w duchu swoim; on za tę ujemność swoją, za ten sceptycyzm życiem płaci.

Czyliż przywodzić jeszcze więcéj tych postaci, rysowanych mistrzowską ręką Shakespeara? Odstępuję od zamiaru tego, byś mnie nie pomówił słusznie o lekkomyślność, żem się odważył jakby mimochodem, jakby przygodnie rozprawiać o najogromniejszych arcydziełach sztuki, o dziełach, które po wszystkie wieki zosta-

ną zdrojem żywym mądrości artystycznéj. Zresztą, nie braknie im już dzisiaj mistrzowskich objaśnień i komentarzy, do których cię odsyłam. Czynię ci tylko tę uwagę tutaj, że właśnie z tego, com powyżéj rzekł, okazuje się cała przepaścista głębia tych jego figur. Zaiste, jest to otchłań w któréj mieszka wiekuistość; stąd też te figury są tak butne, takie demoniczne, tak na sobie się opierające, stąd tyle wewnętrznéj energicznéj potęgi, mimo wewnętrznego rozdwojenia. I w tém właśnie widzisz iście pierwiastek romantyczny w całéj swojéj mocy,—ów żywioł, który napotykaliśmy w średnich stóleciach.

Tak tedy Shakespeare, nadając głębie niesłychane tym figurom swoim, nadając im piętno romantyczne, sam geniuszowi swojemu daje świadectwo, że ujął potęgą swoją istotę romantycznego świata; wszak on czerpie nawet przedmioty do swoich tragedyi ze średnich wieków, on wprowadza fantastyczność tych stóleciów romantycznych w dramata swoje (np. duchy, czarownice, widma i t. d.) Ale z drugiéj strony, Shakespeare jest synem XVI wieku, a to już właśnie dla tego, że jest autorem dramatycznym! On zna zakon, który żyje na dnie ludzkich spraw i dziejów świata; on wie, że osobiste uczucia i moce, żyjące w sercu człowieka, nie powinny być wyłącznem prawem jego. Shakespeare ma oczy otwarte na świat wewnętrzny; on geniuszem przejrzał historyą wewnętrzną człowieka, on czynił studya psychologiczne, on nauczył się na pamięć serca ludzkiego, a tak dowiódł, że sam już nie ogranicza się na osobistych uczuciach, ale uczył się ludzi, by poznać człowieka.

Z tego, co już rzekłem, widzisz już że Shakespeare jest szczęśliwym zestrojem świata romantycznego i XVI stólecia; ale spytasz się: gdzież znajdujemy w nim pierwiastek klassyczności. Wszak ten pierwiastek klassyczności jest również żywiołem XVI stólecia? a przecież geniusz Shakespeara, wedle powszechnego mniemania, jest wbrew odwrótnym biegunem wszelkiéj klassyczności?

W liście przeszłym powiedziałem, że poezya klassyczna nie może być w zupełności przeniesiona w nowożytne stólecia, że klassycyzm wśród ludów chrześcijańskich będzie zawsze rośliną exotyczną, nie swoją, więc chorobliwą, sztuczną, spaczoną. W niniejszym liście starałem się wykazać ogromną różnicę między tragedyą klassyczną a pojmowaniem Shakespeara; ale zatém nie idzie bynajmniéj jakoby oba te rodzaje dramaturgii nie miały cech spólnych sobie; wszak wszystko, co prawdziwie wielkie i piękne, oparte jest koniecznie na spólnéj podstawie. Jakoż nawet dotknąłem się powyżéj ogólnéj zasady tragiczności, będącéj spólną i klassyczności i Shakespearowskiéj tragiczności.

Zaiste, nie miejsce ani czas po temu, abym rozwinął ci w szczegółach dramata Shakespeara i okazał o ile one mają pierwiastek spólny z tragedyą starogrecką. Jedna uwaga niechaj wystarczy. Wszak Arystoteles był Grekiem, a zatém już z samego urodzenia swojego człowiekiem-klassykiem; on przecież miał przed oczyma arcydzieła wielkich tragików greckich, zatém swoich ziomków a prawie mu spółczesnych; on, zapatrując się na te wzory a poparty będąc geniuszem swoim filozoficznym, napisał prawidła poezyi, rozwinął teoryą

dramatu tak doskonale, że już od 2000 przeszło lat są prawdą, a będą prawdą póki ludzie będą wierzyć w rozum i czuć prawdę. Otoż ustawy, które skreślił Arystoteles, znajdziesz w zupełności zastosowane w dziełach Shakespeara. Rozumie się atoli, że ja tu mówię o Arystotelesie prawdziwym, nie o tym Arystotelesie spaczonym, którego sobie wymyślili klassycy nowożytni, przypisując mu nawet zdania i zasady, o których tamten prawdziwy Arystoteles nawet nie pomyślał.

Zaiste, Shakespeare dopełnił wszystkich warunków, których wymaga Arystoteles. Pochodzi to stąd że, co Arystoteles wydobył z głębi filozoficznych spekulacyą rozumową i ze wzorów geniuszów dramatycznych własnéj ojczyzny swojéj, to uczuł instynktem natchnienia Shakespeare. Od Arystotelesa do Shakespeara świat, ród ludzki urósł blizko o 1800 lat, nabrał tedy treści ogromnéj, bogatéj. Więc jak z jednéj strony mistrz angielski zadosyć uczynił wszystkim prawdom, które orzekł Arystoteles, tak z drugiéj strony nadał im znaczenie głębsze i rozwinął bogato. Dawna klassyczność jest w nim przeto tylko jednym z wielu różnych pierwiastków, które w nim żyją, jako organa różne w żywém ciele. Gdyby tedy dziś żył Arystoteles i rozpatrzył się w arcydziełach Shakespeara, pewnieby nie wykreślił żadnego ze swoich niegdyś danych prawideł, aleby te prawidła rozwinął, roztoczył, i kto wie, czyliby ten filozof-klassyk nie przyznał się chętniej do Shakespeara, jak do nowożytnéj, zwichniętéj klassyczności. Czém byli Francuzi klassycy dla świata francuzkiego dworu, tém są tragicy Grecy dla całéj starożytności, dla każdego człowieka niceo ukształconego, tém jest i bę-

dzie Shakespeare dla wszystkich narodów i wieków. Dosyć być człowiekiem z trocha zdrowém sercem a głową nie chorą, aby złożyć mu czesć i uwielbienie.

Zważ — nie ma pierwiastku żyjącego w duchu ludzkim, któryby nie wystąpił żywym człowiekiem w głównéj jakiéj figurze Shakespeara. Każdy z tych pierwiastków przybrał się w ciało i krew jednego pewnego człowieka; a choć pierwiastek ten, np. zazdrość, miłość, chęć władzy i t. p. są dawne jak ród ludzki, i ciągle i ciągle się pojawiają w świecie, toć przecież figury, w których się one u Shakespeara pojawiają, mają tyle silnéj i oryginalnéj indywidualności, że są jakby wizerunki osób prawdziwych, które raz tylko rodzą się w rzeczywistym świecie.

A jak każda u Shakespeara figura jest całością i zupełném zestrojeniem przeróżnych tonów, tak znów każdy z jego dramatów jest światem dla siebie, jest jakoby epopeją, w któréj występują moce serca ludzkiego; ale poprzez ten świat tuteczny, po przez mocowanie się, walkę potęg patrzą się oczy wiekuistości.

Shakespeare, stojąc jakby na opoce nadświatnéj, pogląda na świat, na ludzi, na dzieje duchowe i daje posłuchanie światu, i sądzi jakby sądem ostatecznym całą serca treść, wszystkie moce i potęgi. Bo geniusz roztworzył mu oczy, i wieszcz był jakby przytomny wtedy, gdy był stworzony ludzki ród; on wtedy patrzał, gdy demon złego kusił człowieka, i widział upadek ludzkości, i słyszał owo odkupienia słowo, co wróżyło w Prorokach i Sybillach!



Dopisek.

Tak tedy doprowadziłem te dzieje fantazyi do epoki, którą sobie oznaczyłem za kres pracy mojéj. Nie będę ci już prawił o celu tych listów, o myśli przewodniczącéj mi w czasie ich pisania, bo o tém wszystkiém rozwodziłem się już dość szeroko w końcu tomu drugiego; co tam wyrzekłem stosuje się zupełnie i do tego trzeciego tomu. Widzisz, że, mimo sporéj liczby tych listów moich, nie wyczerpałem bynajmniéj całéj treści estetyki; zaiste, gdybym tego chciał dokazać, przyszłoby mi najmniéj drugie tyle ich napisać, a nie wiem czyli mi się kiedy na to zbierze; dla tego lepiéj podobno iż się nie zwiążę żadnym w tym względzie oświadczeniem, bo choć dopełnienie wziętego na mnie obowiązku mogłoby być dla ciebie dość obojętném, dla mnie zaś stałoby się powinnością, z któréjby się koniecznie uiścić należało, a bez którejby się nawet i obeszło, a to tém więcéj, że te listy tworzą niby jakość całość skończoną w sobie. Owszem, zamiast wchodzić w nowe zobowiązania, raczéj mi przystoi wytłómaczyć się przed tobą, dla czego przez tak długi czas nie wywiązałem się z danego prawie wyraźnie przyrzeczenia przy końcu tomu pierwszego. Zaiste, widzę potrzebę

wyjaśnienia powodów téj odwłoki; zwłaszcza że, jak się spodziewam, uznasz ich słuszność.

Zważ — w literaturze każdego kraju, każdego narodu dwie są główne dzielnice; jakoż jedna część piśmiennictwa odnosi się do literatury nadobnéj, pięknéj, a druga zajmuje się pracą około nauk i umiejętności poważnych. Literatura nadobna—toć jest kwiat umysłowy, to wonny, barwny, luby ogród co otacza wiankiem wdzięcznym mieszkanie doczesne człowieka; a zamiłowanie jego w tych rajskich kwiatach, unosząc go po nad kłopotki i biedy ziemskie, jak jest cichą wróżbą serca, że człowiek nie zdoła poprzestać na powszedniém przemijającém życiu, tak jest zarazem rękojmią, że dusza jego nie wyschła, nie zjałowaciała wśród skwarów a krzywd światowych. Piśmiennictwo atoli, trudniące się nauką i umiejętnością, więc uprawą wiedzy ludzkiéj, jest twardém łamaniem się mocy duchowych. Tutaj nie słychać tonów uroczych pieśni, tutaj nie brzmią muzyki uczuć lubych, tutaj niema fantazyi—onéj niebiańskiéj wysłannicy, coby zcałowała trud z pracowników czoła, bo tu jedynie prawda, grozy pełna, jest panią a przewodnicą. Na téj roli od wczesnego świtu do późnego zmierzchu twardo idzie robota, na téj roli nie roztulają się róże, nie wonią fiołki; ale za to błogosławną siejbą spada na zagon rodzinny ziarno przyszłości duchowéj, ziarno co jest podstawą umysłowego bytu i gruntem wszelkich zasobów, na których stoi dom; na téj roli nie roztulają się róże, nie wonią fijołki, ale rośnie życiodawcze zboże. Gdy człowiek wyciągnął rękę swoją do drzewa wiadomości i pożył owoc jego, wtedy stał się wygnańcem z ogrodów rozkoszy; odtąd już krwawym znojem upra-

wia téj wiadomości rolę »i w ciężkiém utrudzeniu je chleb z niéj.« Ale, choć ta praca nad wiedzą jest tak twardém pasowaniem się, choć jest powinnością poświęcenia pełną, przecież ona jest ludzkiego rodu świętém prawem, jest żywotnym każdego kraju zadatkiem.

Takowe mając przekonanie o duchowym rozwoju każdego kraju, wpatrzyłem się w piśmiennictwo nasze. Nie trudno było mi dójrzeć, że u nas literatura nadobna, w porównaniu z literaturą ściśle naukową, jest uprawiana przez grona nierównie liczniejsze pisarzy; a tych właśnie prace same jedne stanęły na świeczniku chwały i głośnego imienia, a choć im, jako owocom znakomitych i świetnych talentów, bez wątpienia należy się to miejsce, i choć jestem przekonany, że ci zacni pisarze stanowią tak przeważną epokę w literaturze, iż dopiéro potomki nasze zdołają obliczyć ich ogromny wpływ, jaki wywarli na kulturę umysłową wielkiéj publiczności i kraju całego (że nawiasem przywiodę tylko samego Kraszewskiego i Korzeniowskiego), przecież, mimo to wszystko, smutno mi przychodziło widzieć, że prace czysto naukowe, gruntowne, umiejętne, najwyższéj wagi, opłacone wysileniem długoletniém bystrego rozumu i głębokiéj nauki, stały na uboczy niewidnéj, przeoczone od wielkiéj publiczności i patrzały z zacisza swojego, gdy innym dostawały się wieńce chluby i brzmiące oklaski. Nie dziw tedy, że te dzieła prawdziwéj nauki tak rzadko się u nas pojawiają, a rzadziéj jeszcze pojawiają się bez ofiary materyalnéj własnego mienia tych zacnych pracowników (*).

(*) Nie trudno wcale o dowodne przykłady, potwierdzające to zdanie.

Nie dziw tedy że właśnie za to trudno nam nie oddać im serdecznéj czci i hołdu z całéj duszy; bo to oni przecież téj pracy i trudu ciężkiego nie podejmują zaiste dla żadnych zewnętrznych widoków i korzyści, ich nie wiedzie nawet chęć głośnego imienia, ich gwiazdą przewodnią jest ukochanie prawdy i nauki, a tętnem ich serca jest miłość przeczysta, bo gorejące pragnienie służenia zacną pracą oświacie prawdziwéj; więc ta gwiazda, ta miłość prowadzi ich na oną rolę,

---

Bo nie sięgając po nie do innych miast, kędy równie nie brak mężów wysokiéj zasługi w naukach, poprzestaję tylko na przykładach, które nam Kraków nastręcza; co więcéj, wymienię i tutaj tylko te imiona, które w najnowszych czasach przysłużyły się umiejętności. Otóż prace PP. *Muczkowskiego*, *Majera*, *A. Z. Helcla*, *Skobla*, *Czerwiakowskiego*, *Steczkowskiego*, zbogaciły znakomicie bardzo u nas literaturę naukową, obdarzając ją dziełami wysokiego znaczenia; a jednak tych prac nie spotkała cześć odpowiednia zasłudze. Dobrze wiemy że podobne księgi nie mogą być tak znane większéj publiczności jak pisma liczące się do literatury pięknéj, wiemy że niesłusznieby było wymagać po publiczności aby się obznajomiała np. z dziełami matematycznemi, lekarskiemi, prawnemi i t. p. ale zdaje mi się że można wymagać najwięcéj od tych pisarzy, których powołanie wiąże się z osnową dzieła i od tych, którzy sami obrali sobie miejsce na strażnicy rozwoju duchowego, aby zwracali baczność pilną na każdy pojaw w piśmiennictwie, oddając mu słuszne uznanie i cześć; życzymy zaś tego już mniéj ze względu na samych autorów, bo tych już wynagradza poważanie choć szczupłego kółka braci w nauce i własne przekonanie o dopełnionéj zacnie powinności; ale wymagamy tego oddania czci zasłudze raczéj ze względu na publiczność, któréj się to z prawa należy. Bo publiczność, choć nie może sama znać dzieł ściśle naukowych, poznałaby imiona szanownych pracowników, policzyłaby się ze siłami duchowemi i dowiedziałaby się, komu też naprawdę literatura winna najpotężniejsze zapomożenie i siłę moralną — Nie jest to pocieszającą oznaką, że, gdy rozprawiają o literaturze, piszą i mówią prawie wyłącznie o literaturze nadobnéj, tak jak gdyby umiejętności i nauki już na świecie nie było; więc też się niekiedy dzieje (a stało się nawet w tych dniach) że o dziełach, o których prawie wzmianki u nas nie było pisma zagraniczne rozwodzą się szeroko, nie szczędząc zasłużonych pochwał i winszując literaturze polskiéj, że tak celujących posiada pisarzy.

na któréj za ciężkim ich mozołem rodzi się życiodawcze ziarno przyszłości duchowéj. Są to zakonniki-ascety szanowne, co, wyrzekłszy się świata i siebie, ofiarowały się bóstwu przebywającemu w ich sercu. Są to kapłany pilnujące świętego ognia cywilizacyi każdego kraju; bo, widzisz, poezya choć tak ogromnego znaczenia w życiu duchowém ludów, sama nie wystarczy aby je ucywilizować i uczynić człowiekiem w najściślejszém znaczeniu. Wszak historya i jeografia dają świadectwo pełne powagi, że są ludy na półbarbarzyńskie a świecące przecież uroczą, cudnie piękną poezyą i powieściami pełnemi najwyższego wdzięku! Bez dzieł naukowych nie ma literatury! Do prawdziwéj cywilizacyi czegoś innego jeszcze potrzeba niż poezyi saméj; potrzeba aby promień wiary chrześcijańskiéj rozgrzał serce, a promień jasny nauki i umiejętności rozświecił myśl i rozum.

Ufam że tych wyrazów moich, tu wyrzeczonych, nie wytłómaczysz sobie tym trybem, jakobym ja niedość cenił pracy około literatury pięknéj, boć przecież trzy tomy tych listów, które poświęciłem sztuce i poezyi, są dowodem dostatecznym, jak wysoko ją ważę, a forma ich nie naukowa i lekka czyni te książki przecież niby dziełem belletrystyczném. Ale postrzeżesz także, że po napisaniu przed wielu laty piérwszego tomu téj książki, widząc tak szczupły a przytém tak szanowny zastęp robotników, poświęcających się u nas umiejętności, sam siebie zapytałem, czyliby mi się nie godziło raczéj wrócić do nich i pomnożyć ich liczbę, choćby o jedną jednostkę? Sam siebie zagadnąłem, czyli mi samo sumienie nie nakazuje zaniechania na czas

dłuższy pracy nad piękną literaturą, więc tych listów moich, i czyli raczéj nie wypada zabrać się, ile mnie stać, do pracy ściśle naukowéj?

Pragnąc mówić do ciebie z całą otwartością, nie waham się wyznać, że ostateczne postanowienie w tym względzie nie przyszło mi wcale bez walki.

Chodziło mi bowiem o przerwanie pracy około tych listów tak lekkiéj a miłéj, że mi raczéj była zabawą i ochłodą po trudach codziennych powołania mojego; wypadało również zrzec się wszelkiéj próżności wrodzonéj jakby każdemu prawie autorowi; jakoż wiadomo ci jak wielce życzliwie, jak łaskawie był przyjęty od publiczności tom piérwszy; nie dziw się tedy że sama miłość własna parła chęć moją bym raczéj zajął się następnemi listami, do których i tak zebrane już były dostateczne materyały; a mogłem już mieć pewną nadzieję, że ten dalszy ich ciąg znajdzie również życzliwego a licznego czytelnika. Słowem, miałem się uczynić, jak się powyżéj wyraziłem, dobrowolnym wygnańcem »z onego lubego ogródka co otoczył wdzięcznym wiankiem« choć kilka miesięcy życia mojego, w którym się już zbierało nie na jeden pączek dla mnie, a może nawet na jaki kwiatek skromny, a natomiast miałem się napowrót przenieść na tę rolę umiejętności, pełnéj grozy, kędy życie jest »twardém łamaniem się, kędy od wczesnego świtu do późnego zmierzchu idzie praca pełna trudu.« Przewidywałem z góry, że, zajmując się ściśle naukowym przedmiotem, znajdę nie liczne, bardzo szczupłe grono czytelników, że dla większéj części publiczności książka, do któréj się zabierałem, przejdzie bez śladu, bez imienia nawet; wie-

działem dobrze że mnie czeka w najściślejszém znaczeniu to, co zwykle nazywają pracą niewdzięczną. Przecież wszystkie te względy z istoty swojéj nie są dość silne, aby mogły powodować człowiekiem, bo my w życiu doczesném nie jesteśmy na rozkosze stworzeni; tu nie chodzi bynajmniéj o to, co nam jest wdzięczne, miłe i ponętne, ale raczéj o to, co naszą powinnością być uważamy. Nakoniec wyznaję, że we mnie przeważył w końcu zupełnie wzgląd na samą naturę umiejętności, która miała być przedmiotem roztoczenia mojego, to jest wzgląd na istotę Filozofii. Uważałem że szeroko u nas rozwijany jest dech owéj filozofii, co, upiorem bezsennym chodząc po świecie, wysysa, jakby krew ciepłą żywotną, najświętsze, najdroższe prawdy z piersi ludzi, ich samych na upiory bezserce zamieniając. Od uściśnienia téj nauki dławiącéj nie ochronią żadne rozprawy choćby najświetniejszych talentów, nie obronią żadne przedstawienia ani namowy, bo owa filozofia, umiejętnością będąc, jedynie także przez umiejętność pogrzebioną i zaklętą być może. Bo co drogą umiejętności jest zepsute, jedynie także drogą umiejętną naprawić zdołamy. Tak zapatrując się na tę naukę, co pada dżumą na ducha i okrywa ciemném skrzydłem prawdy o istocie nieśmiertelnéj człowieka, o przeznaczeniu świata i ludzkich dziejów, o Bogu, zdawało mi się być obowiązkiem, abym naprzeciw nauce takowéj rozłożył umiejętność, którą oddawna wynosiłem w myśli mojéj. Należało mi tedy rozwinąć i w szczegółach tę umiejętność, powiązać jéj ogniwa ścisłą logicznością i rozwinąć ją w książce przed oczyma czytelnika, jako całość systematyczną ukończoną w sobie.

Tą tedy chęcią ostatecznie powodowany zabrałem się do téj roboty i dokonałem jéj, ile mnie stać było, w przeciągu znacznego szeregu lat wytrwałéj i sumiennéj pracy (*).

Tak wyłożywszy ci powody, dla których przerwałem dalszy ciąg tych listów moich, jako mniéj znaczącéj pracy, ufam że mi téj przewłóki nie policzysz na niekorzyść moją!

Jednak, gdy przejęty jestem najmocniéj zdaniem, że jest rzeczą arcyważną aby stosunek piszącego do czytelnika wyjaśnił się do czysta i w zupełności, więc już nie waham się jeszcze wynurzyć ci się z niepewności, która zrazu dość ciężko przycisnęła mi duszę. Otóż, gdy owa praca umiejętna już była dokończona, gdym tedy dla odpoczniecia sobie po niéj chciał nawrócić, choć na czas niejaki, do lżejszego pisania, a przedewszystkiém do tych listów, nachodziły mnie dwojakie wątpliwości, które, mimowolnie z głębi ducha wypływając, trapiły mnie niemile a natrętnie.

Bo naprzód nasuwała mi się niepewność co do owéj pracy poważniejszéj. Jakoż sobie samemu zadawałem pytanie, czyli też ona dosięgnęła celu swojego? Czyli z niéj iście zrodził się skutek tak gorąco upragniony, dla którego przecież porzuciłem milszą, wdzięczniejszą a już rozpoczętą pracę, dla którego poświęciłem tak znaczny szereg lat a podjąłem tak ciężkie pasowanie i twarde łamanie się myśli? Słowem, czyli ostateczny wypadek jéj obstoi za poświęcenie a ofiary łożone? Na

(*) Wykład systematyczny Filozofii, obejmujący wszystkie jéj części. Tom I. Kraków 1849 r. Tom II. Wilno 1852 r. u Józefa Zawadzkiego.

to pytanie trudno mi odpowiedzieć. To tylko Bóg wie! Pocieszałem się atoli tą wiarą, iż przecież każda praca, choć słabszemi siłami, ale za to w uczciwéj chęci podjęta, nie jest nigdy zupełnie straconą, gdyż jest zaprawdę rzeczą niepodobną aby na nią nie spłynęło błogosławieństwo z góry; więc mniemam że i moje usiłowania nie pójdą na zupełny rozwiew i poniewierkę, bo dobra chęć stanie w nich za moc i udolność duchową. I pomyśliłem u siebie: że choćby część posianego ziarna padła na opokę, a drugą część zagłuszyły chwasty, a inną znów wyjadły kruki czarne, toć przecież choć może cząsteczka przyjmie się na ziemi urodzajnéj i wyrośnie kłosem na chleb pożywny ludziom a Bogu na chwałę.

Druga zaś wątpliwość, która mi chodziła po myśli rodząc we mnie nieufność ku sobie, odnosiła się już do samego dalszego ciągu tych listów. Jakoż tyle lat już upłynęło od pojawienia się owego piérwszego ich tomu, iż bardzo się stać mogło, że czytająca publiczność zobojętniała i na dawniejsze listy i na późniejszy ich szereg, zwłaszcza że od tego czasu wystąpiło na jaw niemało pisarzy o znakomitych a prawdziwie świetnych talentach! Ta niepewność tém zdawała mi się słuszniejszą, że sam wątpiłem czyli kreśląc te listy zdołam nastroić znów umysł do tego samego usposobienia, którego byłem wówczas, gdym pisał piérwszy ich tom; czyli przeto ten ich następny szereg nada się bez naciągania do nich i z barwy i z tonu i z ciepła duszy? Bym tego mógł dokazać, wypadłoby abym i ja sam tym samym był co przed laty. A tu przecież upłynęło lat dziesięć. A lat dziesięć— to przeciąg długi, bardzo

długi w życiu człowieka! Przez lat dziesięć ileż to w duszy świateł zgasnie, ile uczuć gorących ochłodnie pod zawieją mroźną świata, ile nowych ułud wdzięcznych zemrze w sercu, ileż ufnych nadziei, uniesień wymrze w piersiach, ileż ogłuchnie w nich tonów i zerwie się strun! a choćby nawet w życiu zewnętrznèm zostało

»Wszystko, tak jak było,
Przecież się do starości więcéj pochyliło!«

Tak wyznaję ci że niemałą miałem wątpliwość o sobie samym, azali zdołam duszę cofnąć w upłynione, w młodsze epoki życia, i znów odmłodnieć ciepłem uczuć i wskrzesić, rozcieplić dawne serca pukanie!

Gdym się tak wahał a bił z tą własną, a tak niemiłą myślą moją, przyszła mi na pamięć owa gadka, którą ci opowiadałem jeszcze przy końcu piérwszego tomu, owa historya o górniku a zaślubionéj mu kochance jego.—Przypominam ci treść téj powieści.—Pewien górnik młody, zaślubiony kochaniu swojemu, przed samemi godami weselnemi zginął, a nikt nie przeczuwał że przepadł w otchłani kopalni głębokiéj. Pół stólecia przeleżał w ciemnicach górskiego szybu. Wody metaliczne przesiąkły ciało jego i uchroniły od zepsucia. Gdy po pięćdziesięciu latach znaleziony był i wyniesiony na świat słoneczny, zdziwione tłumy otoczyły w koło ciało młodzieńca, nikt go przecież nie poznaje; młodzi z cicha pytają zgrzybiałych starców;—ale ten górnik martwy i zimny, niegdyś towarzysz ich młodości, wygasł z ich pamięci bez śladu. W tém, patrz,—jakaś niewiasta, złamana wiekiem, okryta bielą późnéj siwizny, na kulach, chwiejąc się i drżąc zbliża się, wiedziona

natchnieniem niewypowiedzianego przeczucia; znagła te jéj omdlałe oczy zatliły się błyskawicznym ogniem,— z najgłębszego duszy dna wystrzelił rumieniec na lica dawno zbladłe i oblał je, jakby młodości barwą. Niewiasta biedna rzuca się na młodzieńca i okrywa zimną twarz jego gorącém ucałowaniem i rzewnemi łzami bolesnéj radości. To jest narzeczony jéj, to jéj kochanek! Ten młodzieniec był jéj zaślubiony niegdyś, przed pół wiekiem. Ona przez tak długie lata przechowała dlań pamięć i miłość gorącą! Ta miłość była jéj talizmanem przez tak długie cklíwe lata; ta miłość odrodziła teraz blade lice zgrzybiałéj niewiasty młodości rumieńcem, zapaliła światła w źrenicy zeszklonéj,— ona znowu zapukała w sercu życiem pełném, zbudziła z martwych świat cały wspomnień lubych, ułud wdzięcznych, niby dawno w duszy pogrzebionych; ona w niéj rozgrzała, rozcieplíła wszystkie uczucia, od tak dawnych czasów zawieją świata zmrożone. Tych cudów dokazała miłość wiernie kochaniu swojemu zaślubiona: ona w sercu nawiązała struny do dawnych pieśni, co uniosły duszę w dawne młodości lata, w dawne zachwycenia, w raj uczuć błogich.

Patrz— ta gadka i mnie wróciła ufanie w siebie i przejęła wiarą, iż miłość będzie i dla mnie talizmanem, że ona przemoże dawno upłynione lata i nastroi duszę moją do dawnych tonów, do uczuć dawnych, a to tém przecież więcéj, że mojém kochaniem to nie młodzieniec martwy, umarły, przez długie lata w górskich ciemnicach pochowany; to nie człowiek pojedyńczy, śmiertelny przedmiotem mojéj miłości, któréj tę pracę moją poświęcam,— to młodzieniec ciągle odradza-

jący się życiem i uczuciem; tą miłością moją jest duch wszystkich czytelników naszych. Ale, czy to kochanie znajdzie wzajemne współczucie i życzliwe przyjęcie? Ufam całém sercem; bo słuchaj co prawi dziadek u naszego cnego i ukochanego Ignacego Chodźki:

»A póki skryptury i księgi wasze z taką miłością »czułą i serdeczną i z takiém życzeniem dla braci »waszych pisać będziecie, z jakiemi stary dziadulek »naucza katechizmu swoje małe wnuczęta i broni je »od zgorszenia, z jakiemi naprzykład ja ciebie nauczałem, póty nie lękajcie się Zoilów.«

Lubo ja nie mogę sobie rościć prawa do téj świętéj powagi, jaką ma dziad uczący wnuki swoje, i lubo treść, w tych moich książkach zamknięta; daleką jest od znaczenia, jakie mają wiekuiste prawdy wiary, toć przecież, z bożéj łaski, nie brak im czułéj, serdecznéj życzliwości i dobréj woli.

Dla tego też i ja, pełen ufania, wyprawiam tę pracę moją z krzyżykiem w świat.

Kraków, w Jesieni 1854.

KONIEC.

TREŚĆ LISTÓW

ZAWARTYCH W TRZECIM TOMIE.

LIST XX. str. 3.

Historya Fantazyi u różnych ludów.

(*Ciąg dalszy.*)

FANTAZYA LUDÓW KLASSYCZNYCH.

Grecya.

LIST XXI. str. 46.

Grecya.

(*Dalszy ciąg*).

LIST XXII. str. 100.

Grecya.

(*Dalszy ciąg*).

LIST XXIII. str. 151.

Rzym.

LIST XXVII. str. 324.

Średnie Wieki.

(Ciąg dalszy).

LIST XXVIII. str. 382.

Średnie Wieki.

(Ciąg dalszy).

LIST XXIX. str. 434.

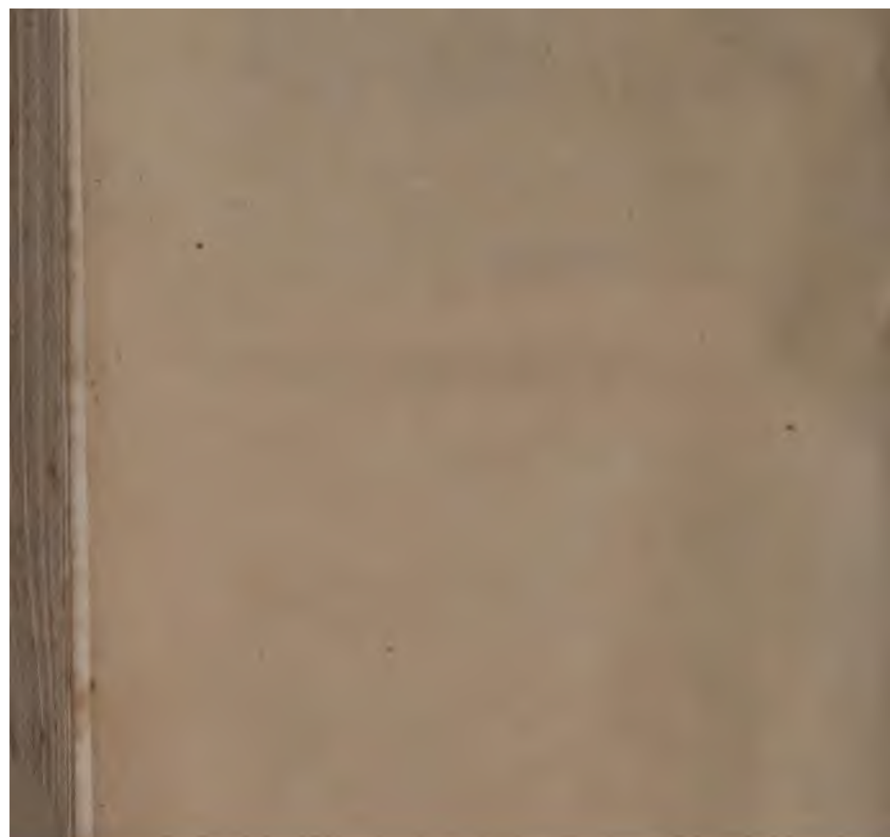
Stólecie XVI.

LIST XXX. str. 484.

Stólecie XVI.

(Ciąg dalszy).





DATE DUE

